



DON DELILLO
LIBRA

NOIR SUR BLANC

DON DELILLO

LIBRA

Przełożył
Jan Kraśko

NOIR SUR BLANC

*Chłopakom z 607:
Tony'emu, Dickowi i Ronowi*

Część pierwsza

Szczęście od nikogo nie zależy; nie jest małym domkiem, braniem i dawaniem. Szczęście to udział w walce tam, gdzie nie ma granicy między światem własnym i światem jako takim.

Lee H. Oswald
list do brata

Na Bronksie

To był rok, kiedy jeździł metrem aż po krańce miasta, ponad trzysta kilometrów torami. Lubił stać na przodzie pierwszego wagonu, z dłońmi rozplaszczonymi na szybie. Pociąg pruł przez ciemność. Ludzie czekali na peronach, gapiąc się w pustkę z tą wyćwiczoną przez lata miną. Śmigając tuż obok nich, zastanawiał się czasem, kim tak naprawdę są. Na najszybszych odcinkach dygotało mu całe ciało. Pędzili wtedy na łeb na szyję i miał wrażenie, że pociąg lada chwila wypadnie z szyn. Przenikliwy hałas ocierał się o granicę bólu, a on znosił ten ból, traktując to jak swego rodzaju próbę. Kolejny zwariowany zakręt. W zgrzycie, z jakim je pokonywali, było tyle żelaza, że niemal czuł jego smak, tak jak czuje się smak włożonej do ust zabawki, kiedy jest się małym.

Wzdłuż sąsiednich torów chodzili robotnicy z lampami. Nieustannie wypatrywał szczurów. Żeby coś dostrzec i obejrzeć to od początku do końca, wystarczyła ledwie dziesiąta część sekundy. A potem były stacje, pisk hamulców i hordy stłoczonych jak uchodźcy ludzi. Przeciskali się przez drzwi, obijali o wyłożone gumą krawędzie, powoli przesuwali się do przodu i przygwożdżeni przez współpasażerów szybko utykali w tłumie, spoglądając ponad głowami sąsiadów z tą wyćwiczoną przez lata miną.

Ale to go nie dotyczyło. On jechał, żeby po prostu jechać.

Sto Czterdziesta Dziewiąta – Portorykańczycy. Sto Dwudziesta Piąta – Murzyni. Na Czterdziestej Drugiej, po zakręcie tak przesywająco zgrzytliwym, że aż nie do wytrzymania, rozpoczynał się największy szturm: teczki, torby na zakupy, tornistry, ślepcy, kieszonkowcy, pijacy. W tym, że w metrze jest dużo ciekawiej niż w słynnym mieście na górze, nie widział nic dziwnego. Bo tam, na górze, nawet w biały dzień nie wypatrzyłby niczego takiego, czego nie znalazłby w czystszej formie tutaj, w tych biegnących pod ulicami tunelach.

Oglądali telewizję w suterenie, matka i syn. Matka kupiła kolorowy filtr do ich czarno-białej motoroli. Górna część filtra była zawsze niebieska, środkowa zawsze różowa, a pas na dole zawsze migotał na zielono. Powiedział jej, że znowu był na wagarach, że pojechał metrem aż na Brooklyn, gdzie widział mężczyznę w płaszczu bez rękawa. Zerwał się z lekcji, tak tu mówili. Marguerite uważała, że od czasu do czasu można trochę powagarować, że nie ma w tym nic strasznego. Ciągłe dokuczali mu koledzy, miał kłopoty z nauką i, jak każdy półsierota, bywał czasem agresywny. Jak choćby wtedy, gdy zamachnął się scyzorykiem na żonę Johna Edwarda. Wybuchła słynna awantura, chociaż Marguerite uważała, że niepotrzebnie, że synowa nie była tego warta. Nie należała do osób z klasą, poza tym poszło tylko o zwykłe wióry, którymi zaśmiecił podłogę mieszkania, gdzie próbowali mieszkać jako rodzina. No i stało się. Już ich tam nie chcieli, a ponieważ nie chcieli, przeprowadził się z matką do suterenu na Bronksie – wszystko na jednej kupie, kuchnia, sypialnia i cała reszta – gdzie z ekranu telewizora przemawiały do nich niebieskie głowy.

Kiedy robiło się zimno, walili czymś w rury, żeby zawiadomić ciecia. Mieli prawo do ciepła.

Marguerite siedziała i słuchała narzekań syna. Nie mogła usmażyć mu na zawołanie kotleta z kością, nie skąpiła za to na lunch, a nawet dawała mu pieniądze na komiksy czy przejażdżkę metrem. Przez całe życie musiała stawiać czoło niesprawiedliwości. Edward odszedł od niej, kiedy była w ciąży z Johnem Edwardem, bo nie chciał dziecka. Robert umarł pewnego parnego letniego dnia na Alvar Street w Nowym Orleanie, gdy nosiła w brzuchu Lee, więc musiała poszukać pracy. Potem był wiecznie uśmiechnięty Ekdahl, najlepszy ze wszystkich, ich jedyna

nadzieja, starszy mężczyzna, inżynier, który zarabiał prawie tysiąc dolarów na miesiąc. Ale Ekdahl okazał się podstępny cudzołóżnikiem i w końcu przyłapała go na gorącym uczynku, gdy przekupionemu chłopakowi z fałszywym telegramem drzwi otworzyła kobieta w negliżu. Co wcale nie powstrzymało Ekdahla przed wyrolowaniem Marguerite z przyzwoitej ugody rozwodowej. Jej życie stało się pasmem nieustannych przeprowadzek do coraz to gorszych mieszkań.

Lee widział w „Daily News” zdjęcie Greków skaczących do wody z mola w śródmieściu; próbowali wyłowić święty krzyż czy coś takiego. Ich księża nosili brody.

- Nie wiem, co ja tu właściwie robię.
- Cały dzień byłam na nogach.
- Zawadzam ci, wszędzie mnie ze sobą ciągniesz.
- Nigdy czegoś takiego nie mówiłam.
- Myślisz, że lubię gotować?
- Ja pracuję. Pracuję. Może nie pracuję?
- Ledwo starcza nam na jedzenie.
- Nie leżę do góry brzuchem, to nie w moim stylu.

W czwartki wieczorem oglądał programy kryminalne. *Racket Squad*, *Dragnet* i tak dalej. W świetle latarni za zakratowanym oknem ukośnie zaciął śnieg. Było zimno i wilgotno. Wróciła do domu i powiedziała, że znowu się przeprowadzają. Znalazła trzy pokoje na Sto Którejś, gdzieś koło zoo na Bronksie, w sam raz dla dorastającego chłopca, który interesuje się zwierzętami.

- Tok wspan – powiedzieli w telewizji.

Było to mieszkanie na czwartym piętrze kolejowej czynszówki przy ulicy pełnej ponurych typów. Kuśtykał tam niedorozwinięty umysłowo chłopak w jego wieku z żywym krabem, którego ukradł na włoskim targu i którego podtykał pod nos mniejszym dzieciom. Typowy widok. Albo rzucanie się kamieniami, to też było typowe. Typowi stawali się również chłopcy ze spluwami, które robili na pracach ręcznych w szkole. Pewnego wieczoru widział z okna, jak dwóch takich wkłada do worka kota ze spożywczego i jak roztrzaskuje go o słup latarni. Próbował dostosować plan dnia do rytmu ulicy. Trzymać się od niej z dala między dwunastą a pierwszą i między trzecią a piątą. Chadzał zaułkami, wykorzystywał ciemność. Jeździł metrem. Dużo czasu spędzał w zoo.

Wśród starszych byli tacy, co to nigdy nie usiedli na kamiennych schodach, dopóki starannie nie rozłożyli na nich chustki do nosa.

Matka była niska i szczupła i trochę już siwiała. Często mówiła, że jest filigranowa, ale to był tylko taki żart. Jedząc, obserwowali się nawzajem. Nauczył się grać w szachy z książki, przy kuchennym stole. Kupowała różne figurynki i bibeloty i opowiadała mu o swoim życiu.

Usłyszał kroki, potem szcęk klucza w zamku.

– Wezwanie – powiedziała. – Znowu nam grożą. To już kolejne. Czy ty je przede mną ukrywasz? Mam stawić się na przesłuchanie w sprawie wagarów, to ostatnie ostrzeżenie. Piszą tu, że nie było cię w szkole, odkąd się przeprowadziliśmy. Ani jednego dnia. Nie wiem, dlaczego mam dowiadywać się o tym pocztą. To dla mnie cios, wstrząs dla organizmu.

– Po co mam chodzić do szkoły? Oni nie chcą mnie, ja nie chcę ich. Wszystko jest tak, jak trzeba.

– Przycisną nas. Tu jest inaczej niż w domu. Postawią nas przed sądem.

– Do sądu mogę pójść sam, bez twojej pomocy. Ty idź do pracy, tak jak co dzień.

– Dałam słowo, że zostanę w domu i będę wychowywała dzieci. Dobrze o tym wiesz. To mój czuły punkt. Nie zapominaj, że ja też jestem półsierotą. I wiem, co to znaczy. Pracowałam w sklepie, byłam kierowniczką.

Zaczyna się. Zaraz zapomni, że nie jest sama. Będzie tak gadała przez dwie godziny tym swoim piskliwym głosikiem, jakby czytała książkę małemu dziecku. Wbił wzrok w obraz kontrolny na ekranie telewizora.

– Kocham Stany Zjednoczone, ale sąd wcale mi się nie uśmiecha, tak jak nie uśmiechał mi się, kiedy Ekdahl oskarżał mnie o wybuchy niekontrolowanego gniewu. Powiedzą, że oficjalnie nas ostrzegli. Wtedy ja powiem, że jestem osobą bez formalnego wykształcenia, że zawsze uważam, z kim się zadaję, i że mam zadbany dom. Jesteśmy rodziną wojskowego. To będzie moja linia obrony.

Zoo było trzy ulice dalej. Przy brzegach stawu dla dzikiego ptactwa skrzył się jeszcze lód. Lee schował ręce do kieszeni i poszedł do pawilonu dla lwów. W pawilonie nikogo nie było. Od razu uderzył go ten zapach, zapach ciepła i siły, odór surowej wołowiny, sierści i dymny fetor zwierzęcego moczu.

Gdy usłyszał, jak otwierają się ciężkie drzwi, gdy dobiegły go głosy, wiedział, czego oczekiwać. Dwóch małolatów z P.S. 44. Krępy gnojek imieniem Scalzo w zielonej kurtce i klapiących butach i wygłup, którego Lee znał tylko z ulicznej ksywki, niejaki Black, Nicky Black. Przyszli, żeby podrażnić zwierzęta, trochę porozrabiać, bo na rozrabianiu upływały im całe dni. Gdy go zobaczyli, ścisnęło go w gardle i niemal poczuł, jak się cieszą.

W wysokim pawilonie zadudnił głos Scalza.

– Codziennie wyczytują twoje nazwisko w klasie. Lee. Co to za imię? Dziewczyńskie czy jak?

– On ma na imię Tex – rzucił Nicky Black.

– I jest pastuchem – dodał Scalzo.

– Tex, chyba wiesz, co robią pastuchy? Wiesz?

– Pastuchy ruchają krowy – odparł Scalzo.

Lee wyszedł drugimi drzwiami ze słabym uśmiechem na twarzy. Zszedł schodami na dół i za pawilonem skręcił w stronę zdobionych klatek z drapieżnymi ptakami. Nie żeby nie chciał się bić. Chciał. Bił się z chłopakiem, który rzucał kamieniami w jego psa, bił się i wygrał, stłukł go na kwaśne jabłko, rozkwaśił mu nos. Ale to było na Vermont Street w Covington, kiedy miał jeszcze psa. A takie dogryzanie było dla niego torturą. Dogryzali mu, odchodzili, wracali i znowu dogryzali, zdzierając strupy, rozdrapując rany.

Scalzo podszedł do kilku starszych chłopców i dziewczyn, którzy palili na ławce.

– Dwukolorowy oldsmobil na szprychach – usłyszał Lee.

W klatce siedział sęp królewski z nagą szyją i głową. Taki sęp potrafi chwycić dziobem kamień i rozbić nim strusie jajo. Obok klatki stał Nicky Black. Zawsze Nicky Black, nigdy samo Nicky czy samo Black.

– Wagarowanie to jedno. Wagarujesz? W porządku. Ale ty nie pokazujesz się w budzie od miesiąca.

Zabrzmiało to jak komplement.

– Grasz w bilard, Tex? Co ty właściwie robisz? Cały dzień siedzisz w chacie? Grasz w bilard, tak? I unik!

Zamarkował cios w krocze i się cofnął.

– Ale jakim cudem trafiłeś tutaj, na Północ? Mój brat stacjonował w Fort Benning w Georgii. Mówi, że ci z Południa muszą brać kamyk do ręki, żeby wiedzieć, w którą stronę mają robić zwrot. To prawda?

Przez cały czas oddychał głośno przez nos i przekrzywiał głowę to w prawo, to w lewo, udając, że z nim sparuje.

– Mój brat służy w morskiej straży granicznej – odparł Lee. – Dlatego tu przyjechaliśmy. Stacjonuje na Ellis Island. Straż Ochrony Portu, tak się to nazywa.

– Mój jest w Korei.
– Mój drugi brat służy w piechocie morskiej. Też mogą wysłać go do Korei. I to mnie martwi.
– Koreańczykami nie musisz się martwić – odparł Nicky Black. – Martw się lepiej tymi pierdolonymi Chińczykami.

W jego głosie pobrzmiwało coś w rodzaju szacunku, cicha nutka podziwu. Był w porwanych spodniach i wojskowej kurtce, równie kusej jak wiatrówka Lee. Niski, niemal karłowaty, wciąż pociągał nosem, a lewą połowę twarzy miał stale wykrzywioną.

– Wiem, gdzie można podprowadzić słodkie ziemniaki z ciężarówki. Pieczemy je na działce pod Belmont. Macie tam u siebie słodkie ziemniaki? I wiem, gdzie można dostać te książki, co kiedy się szybko przewraca kartki, to widać, jak się ruchają. Ja się na takich rzeczach znam, łebski ze mnie chłopak. Chłopak kończy szesnastkę i rzuca szkołę. Zobaczycie.

Miał źdźbło tytoniu na czubku języka. Splunął i dodał:

– Chłopak rzuca szkołę i idzie do roboty na budowę. Pierwsza rzecz to funduje sobie dziesięć koszul. Będzie odkładał i zanim się spostrzeżecie, kupi sobie wóz. Co miesiąc będzie polerował go na błysk i któraś da mu wreszcie dupy, co nie? No i kto jest lepszy ode mnie?

Scalzo podszedł do nich, zawadiacko kołysząc biodrami. Na chropowatym asfalcie cicho zazgrzytały ząbki na obcasach jego butów.

– Ty, Tex, dlaczego ty nigdy ze mną nie gadasz?

– Powiedz coś, pokaż, jak zaciągasz – dodał Nicky Black.

– Ja nie zaciągam.

– Pogadaj z nim, tak ładnie cię prosi.

– Ale pozaciągaj trochę, co? Kurwa, tak chciałem usłyszeć, jak zaciągasz.

Lee uśmiechnął się i poszedł dalej, mijając po drodze tych, którzy siedzieli na parkowej ławce i przypalali papierosy na wietrze, piętnastoletnie dziewczyny o jaskrawo wyszminkowanych ustach i chłopców w nabijanych nitami kowbojskich dżinsach z kieszenią na spluwę. Na głównym placu skręcił w alejkę prowadzącą do bramy najbliższej jego ulicy.

Scalzo i Nicky Black szli dziesięć metrów za nim.

– Hej, szpaczku.

– On ssie kloretki.

– Masz cuchnący oddech? Weź kloretkę. Wystarczy sekunda i będziesz mógł się całować!

– I raz, i dwa.

– Ja nie zaciągam...

– I raz, i dwa, i cza-cza-cza.

– To lewus jakiś...

– Znaczy, uważaj.

– Ale dlaczego on nie chce ze mną gadać?

– Co mamy zrobić?

– Zapalić szluuuużka!

– Nader łagodneeeego!

– Ja nie zaciągam.

– No to pogadaj z nami.

– Źle mówimy czy co?

– No, powiedz coś.

– Wymyśl coś, Tex.

– Ja nie zaciągam.

Stojący w bramie mężczyzna w ocieplanej kurtce w jaskrawą szachownicę spytał go o nazwisko. Lee odparł, że nie gada z jankesami. Mężczyzna kazał mu odejść kilka kroków dalej i

zaczekać, dopóki nie wyjaśnią sprawy. Potem podszedł do Scalza i Nicky'ego Blacka i gadał z nimi przez chwilę, wskazując go ręką. Nicky Black milczał. Scalzo tylko wzruszył ramionami. Wtedy tamten się przedstawił i okazało się, że jest strażnikiem miejskim, takim od wagarów. Scalzo podrapał się w krocze, patrząc mu prosto w oczy. Że niby no to co. Nicky Black schował ręce do kieszeni, wyszczerzył zęby i zaczął lekko przytupywać, jakby zmarzły mu nogi.

Strażnik odprowadził Lee do zielono-białego radiowozu. Lee był pod wrażeniem. Za kierownicą siedział policjant. Prowadził jedną ręką, a dłonią drugiej osłaniał papierosa między kolanami.

Marguerite do późna oglądała obraz kontrolny na ekranie telewizora.

Lee bezgranicznie uwielbia zwierzęta, więc zoo było prawdziwym błogosławieństwem, tymczasem wysłali go do śródmieścia, do domu, gdzie te świrołapy dręczą chłopaka przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Schronisko młodzieżowe. Na każdym kroku Portorykańczycy. Ciągłe paplają i trajkoczą, a on musi się z nimi kąpać. John Edward próbował nakłonić go do rozmowy z lekarzem, ale Lee nie rozmawia z nim, odkąd zamachnął się scyzorykiem na jego żonę. Każą mu spać we wspólnej sypialni. I cały czas pytają go, czy ogryza paznokcie. Czy wyznaje jakąś religię? Czy przeszkadza na lekcjach? On nie zna slangu, wysoki sędzie. A tam pełno tych nowojorskich typów. Widzą, że chodzi w lewisach i mówi z akcentem. Dużo chłopców nosi levisy. Co w tym dziwnego? A oni dokuczają mu, wypytyują, czy uważa się za Billy'ego Kida. Kiedy mieszkaliśmy z Ekdahlem na Ósmej Alei w Fort Worth, ten chłopiec grał w monopol ze swoimi braćmi i przynosił ze szkoły przyzwoite cenzurki. To kwestia adaptacji, panie sędzio. Zamachnął się na nią scyzorykiem, tylko scyzorykiem, i nawet jej nie drasnął, a teraz ze sobą nie rozmawiają, brat z bratem. On badał życie zwierząt, ich zwyczaje, sprawdzał, jak się odżywiają i jak śpią, zwierząt mieszkających w norach i jaskiniach. Jak się to nazywa? W legowiskach? On jest dobrze rozwinięty, wysoki sędzie. Już mówiłam, że od wczesnego dzieciństwa lubił słuchać opowieści i oglądać mapy. Wie bardzo dużo i bez chodzenia do szkoły. Z braku miejsca spał w moim łóżku prawie do jedenastego roku życia, a kiedy jego bracia byli w sierocińcu, w akademii wojskowej, piechocie morskiej czy morskiej straży granicznej, mieszkaliśmy w najnędniejszych i najciaśniejszych pokoikach, ja i on. Większość chłopców uwielbia swoich ojców. A ten biedak runął jak kłoda na trawnik i skonał, i to był koniec jedyne szczęśliwego okresu mojego dorosłego życia. Od tamtej pory jesteśmy sami. Marguerite i Lee. Matka i syn. I nigdy go nie zaniedbywałam. Mówią, że wagaruje, tak tu mówią. Mówią, że całymi dniami siedzi w domu i ogląda telewizję. Że sąd wysłał go do szpitala. Że będzie musiał pracować u Wielkich Protestanckich Braci. On już ma dużych braci. Po co mu więcej? Wspominają o Armii Zbawienia. Rozpakowują batoniki, które mu przynoszę. Zaglądają mi do torebki. Takie traktowanie jest poniżające. To nie moja wina, że ubiera się nie tak, jak trzeba. O co to całe zamieszanie? U nas, w Teksasie, wagarowicz nie jest przestępcą, którego zamyka się i poddaje badaniom. Mój syn jest dla nich kolejną sprawą w terminarzu. Każą mi prosić o pozwolenie na powrót do domu. Nie jesteśmy włóczęgami, jak nas przedstawiają. Na litość boską, a jestem chrześcijanką, tak więc, na litość boską, czy wyrodna matka stworzyłaby mu taki porządny dom, dom jasny, ciepły i schludny, który chętnie przedstawię tu jako dowód w sprawie? Ja nie oszczędzam na jedzeniu, ja nie sknerzę. To nie hańba ugotować fasolę i chleb kukurydziany, potem odgrzać to i zjeść. Sknerą to był Ekdahl, kiedy mieszkaliśmy na Granbury Road w Benbrook i kiedy zaczął mnie zdradzać. Ale to mnie oskarżają o ekscesy i wybuchy niepohamowanego gniewu. Wróciłam do swego panińskiego nazwiska, wysoki sędzie. Marguerite Claverie Oswald. Przeprowadziliśmy się wtedy na Willington Street, tam gdzie te tory.

Kazali mu rysować ludzi i orzekli, że rysunki są za ubogie.

Psycholog stwierdził, że inteligencja badanego mieści się w górnych granicach przeciętnej.

Pracownik opieki społecznej napisał: „Przesłuchanie ujawniło, że badany czuje się niemal tak, jakby żył za zasłoną, przez którą ludzie nie mogą go dotknąć, mimo to woli, żeby zasłona ta pozostała nienaruszona”.

Nauczyciel doniósł, że puszczał papierowe samoloty w klasie.

Do szkoły wrócił pod koniec siódmej klasy. Latem, o zmierzchu, przed ławkami na Bronx Park South kręciły się dziewczęta. Żydówki, Włoszki w obcisłych spódniczkach, dziewczyny z bransoletkami na kostce u nogi – w ich szemrzących głosach pobrzmiewały imiona chłopców, słowa piosenek i drobne uwagi, które nie zawsze rozumiał. Zagadywały do niego, kiedy tamtędy przechodził, a on uśmiechał się wówczas tajemniczo.

I ta zalatująca piwem kobieta w autobusie z plaży do domu. Czuje słone pieczenie w zmęczonych oczach po całym dniu na słońcu i w wodzie.

– Nie mogłam zostawić cię u siostry, bo miała za dużo własnych dzieci – powiedziała Marguerite. – No i się kłócili, jak to w rodzinie. Dlatego kiedy miałeś dwa latka, a mieszkaliśmy wtedy na Pauline Street, musiałam zatrudnić panią Roach. Ale pewnego dnia po powrocie do domu zobaczyłam, że zbiła cię tak, że miałeś pręgi na nogach, i od razu przeprowadziliśmy się na Sherwood Forest Drive.

Skwar wciskał się do mieszkania przez ściany i okna, bił z krytego papą dachu. W niedzielę ludzie nosili ciastka w białych pudełkach. W cukierni zabito jakiegoś Włocha, pięcioma strzałami z pistoletu, i jego mózg zachlapał ścianę za półką z komiksami. Zewsząd zbiegły się dzieci, żeby popatrzeć na te szarawe rozbryzgi. Matka tego Włocha sprzedawała pończochy na Manhattanie.

Przed wejściem do metra jakaś kobieta, zupełnie normalna, może pięćdziesięcioletnia, w okularach i czarnej sukience, wcisnęła mu do ręki ulotkę. „Ocalić Rosenbergów” tak tam pisało. Chciał ją oddać, myśląc, że kobieta zażąda pieniędzy, ale ona już się odwróciła. Poszedł do domu, słysząc leniwy głos komentatora radiowego, relacjonującego jakiś mecz. Jest pełno wolnych miejsc. Przyjdźcie na resztę pierwszej połowy i na całą drugą. Była niedziela, Dzień Matki: starannie złożył ulotkę i schował ją do kieszeni, na później.

W świecie istnieje drugi świat.

Pojechał metrem aż do Inwood, do Sheepshead Bay. Pasażerowie kiwali się w miedzianym świetle. Byli niesamowici. Widział Chińczyków, żebraków, ludzi, którzy rozmawiali z Bogiem, którzy mieszkali w pociągach, spędzając w nich noce i dni, ludzi posiniaczonych, z pozlepianymi włosami, zwiniętych w cierpliwy kłębek na wiklinowym siedzeniu. Raz przeskoczył bramkę. Jechał między wagonami, trzymając się grubego łańcucha. Od drgań pociągu dzwoniły mu zęby. Czasami pędzili tak szybko. Na krawędzi: lubił to uczucie. Bo skąd wiadomo, czy maszynista jest przy zdrowych zmysłach? Ilekroć o tym pomyślał, przechodził go zabawny dreszcz. Spod kół tryskały snopy błękitnobiałych iskier, z takim głośnym sykiem, jakby mieli zaraz wypaść z szyn. I ten tłok, ci ludzie o wszystkich twarzach z księgi twarzy. Przepychali się przez drzwi, zawisali na porcelanowych uchwytych pod sufitem. A on jechał tylko po to, żeby jechać. Hałas miał moc i ludzką siłę. Moc miały ciemności. Stał na przodzie pierwszego wagonu, z dłońmi rozpląszczonymi na szybie. Widok torów też był rodzajem mocy. Mocy i tajemnicy. Światła reflektorów wyławiały z mroku tajemne rzeczy. A ten wściekle przenikliwy wizg umiejscawiał się w mózgu i zalewał go falą miłego gniewu i bólu.

Żył krótko i już nigdy, absolutnie nigdy więcej nie było mu dane poczuć tej wznoszącej się do wrzaskliwego pisku wewnętrznej mocy, tej tajnej siły ducha, jaką odnalazł w nowojorskich tunelach.

17 kwietnia

Nicholas Branch siedzi w wypełnionym książkami pokoju, w pokoju dokumentów, teorii i snów. Pracuje już piętnasty rok i zastanawia się czasem, czy nie grozi mu bezcielesność. Wie, że się starzeje. Bywa, że nie może skupić się na tym, co czyta, i musi nieustannie wracać do tej czy innej strony, do linijki, do jakiegoś wyczelowanego szczegółu tego czy innego popołudnia. Wchodzi w te popołudnia i z nich wychodzi, widząc jasne, gorące niebo, które nadaje detalom odcień i głębię. Czasem zasypia i osuwa się w fotelu, z ręką zakrzywioną na dywanie. To pokój starzenia się, ognioodporny, bo wszędzie leżą papiery.

Ale on wie, gdzie co jest. Z wysokiej na pół ściany sterty teczek sprytnie wyciąga tę, której potrzebuje. A sterty są wszędzie. Wszędzie walają się notatniki i kasety magnetofonowe. Książki wypełniają wysokie półki na trzech ścianach, leżą na biurku, na stole i prawie na całej podłodze. Jest tam masywna szafa na akta wypchana dokumentami tak starymi i ciasno ułożonymi, że mogą się same zapalić. Gorąco i światło. W wyszukiwaniu materiałów nie pomaga mu żaden formalny system, bo żadnego systemu tu nie ma. Branch robi to rękami i oczami, wykorzystując kolory, kształty i pamięć, konfigurację skojarzeń, która łączy dany przedmiot z jego zawartością. Nagle się budzi, nie wiedząc, gdzie jest.

Czasami rozgląda się, przytłoczony wagą tego wszystkiego, pracą w papierze. Tkwi po uszy w szczegółach życia setek ludzi. A końca pracy nie widać. Ilekroć czegoś potrzebuje, jakiegoś meldunku, odpisu, czegośkolwiek, choćby najtrudniej osiągalnego, musi tylko o to poprosić. Kurator zawsze reaguje szybko, nieustępliwie wyszukując najbardziej precyzyjne dokumenty, chociaż teren badań naznaczony jest niejasnościami, błędami, polityczną tendencyjnością i systematycznym fantazjowaniem.

Przysłała mu nie tylko odpowiednie papiery, nie tylko niejasne przypisy z jawnych źródeł. Przysłała mu materiały, których nie oglądał nikt spoza kwatery głównej w Langley, materiały z rezultatami wewnętrznych śledztw, poufne akta Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Branch nie zna go osobiście i wątpi, czy kiedykolwiek pozna. Rozmawiają przez telefon, lakonicznie jak śniegułki, lecz zawsze grzecznie i uprzejmie; cóż, ostatecznie obydwaj robią w papierze.

Nicholas Branch, który siedzi właśnie w mięciutkim skórzanym fotelu, jest emerytowanym starszym analitykiem Centralnej Agencji Wywiadowczej, którego zatrudniono do spisania tajnej historii zamachu na prezydenta Kennedy'ego. Historii sześciu i dziewięciu dziesiątych sekundy gorącego rozbłysku światła. Zwołajmy naradę, żeby przeanalizować tę niewyraźną smużkę. Poświęćmy życie, żeby zrozumieć tę jedną jedyną chwilę, żeby rozdzielić stłoczone części każdej sekundy. Stworzymy teorie, które zalśnią jak nefrytowe bożki, intrygujące systemy założeń, eleganckie i o czterech obliczach. Trajektorie pocisków doprowadzą nas do ludzi żyjących w mroku, tych, którzy jęczą przez sen. Elm Street. Kobieta, która zastanawia się, dlaczego siedzi na zbryzganej krwią trawie. Dziesiąta Ulica. Świadek, też kobieta, zostawia buty na masce radiowozu krwawiącego policjanta. Dziwne. Ta dziwność jest niemal święta. Dziwności, a tym samym świętości Branch dostrzega tu znacznie więcej, co w świecie namacalnych realiów jest wyraźnym odstępstwem od normy. Odzyskajmy kontrolę nad sytuacją.

Wprowadza datę do komputera, który dostał od agencji, żeby wygodniej mu było pracować. 17 kwietnia 1963. Nazwiska ukazują się natychmiast, nazwiska wraz z życiorysami, miejscami i powiązaniem. Jasne, gorące niebo. Cienista ulica i rząd eleganckich starych domów pod dębami.

Amerykańskie kuchnie. Ta ma wnękę, gdzie Walter Everett Junior – Win, jak go nazywają – siedział pogrążony w zadumie, nie słysząc wzbierających wokoło porannych odgłosów, nie reagując na znajome poruszenie, na mozaikę dźwięków będących siłą napędową każdego szczęśliwego domu: na cichy trzask, z jakim toster wyrzuca grzanekę, na intymny, choć pełen wigoru tembr płynących z radia głosów, na cały ten optymistyczny szum. Tuż przy jego łokciu leżała gazeta, „Record-Chronicle” wciąż złożona dokładnie tak, jak złożył ją roznosiciel. W lśniących, oświetlonych słońcem urządzeniach kuchennych migotały ulotne obrazy; coś się w nich zawsze poruszało, choćby tylko sama jasność; tak dużo można nauczyć się od światła. Walter zamieszał kawę, pomyślał przez chwilę i znowu zamieszał, siedząc w szerokiej smudze światła, z bezwładnie opuszczoną łyżeczką; sądząc tylko po wyglądzie, można by powiedzieć, że to łagodny, zagubiony człowiek.

Rozmyślał o tajemnicach. Dlaczego są potrzebne i co oznaczają? Jego żona właśnie sięgała po cukier.

Rozmyślał przy śniadaniu. Rozmyślał przy lunchu w biurze. Wieczorem siedział na ganku i też rozmyślał. Uważał, że ludzi, którzy posiadli jakieś tajemnice, ciągnie ku sobie, że to zgodne z prawem natury, że ciągnie ich ku sobie – nie dlatego, iż chcą się tymi tajemnicami wymienić, tylko dlatego, że potrzebują towarzystwa sobie podobnych, podobnie doświadczonych, że jest to chwila wytchnienia od tego drugiego życia, od dziwnej rzeczywistości życia z ludźmi, którzy nie muszą dochowywać tajemnicy z obowiązku, z powodów zawodowych czy ze względu na interesy nierozłącznie związane z ich życiem.

Mary Frances patrzyła, jak mąż smaruje masłem grzanekę. Trzymał ją za krawędź lewą ręką i smarował miarowymi ruchami noża, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Chciał równo rozprowadzić masło? A może chodziło mu o coś głębszego? Smutno było widzieć go pochłoniętego tak przyziemną sprawą, tym wiecznym smarowaniem, rutyną przechodzącą w pusty przymus bez znaczenia i potrzeby.

Umiała martwić się rozsądnie. Umiała wykorzystywać swój głos, żeby sprowadzić go tam, gdzie wszystko jest zrozumiałe i bezpieczne, między kubki i talerze, w światło dziesiątego z rzędu słonecznego dnia.

– Najładniejszy widok? Taki, który zauważyłam dopiero po przeprowadzce? Ludzie wychodzący z kościoła. Zbierający się i rozmawiający u stóp schodów. Czyż nie jest ładny?

– A myślałaś, że będzie tu pełno zbiegłych recydywistów...

– Podoba mi się tu. Tylko ty umiesz tak wybrać.

– Mężczyzn wchodzących zawiadaczając do baru. Spragnionych po spędzie bydła.

– Nie, widok ludzi wychodzących z jakiegokolwiek kościoła. Nigdy dotąd nie zwróciłam na to uwagi.

– Ja lubię obserwować ludzi wychodzących z moteli.

– Nie, mówię poważnie. Kiedy kończy się nabożeństwo, kiedy ludzie powoli wychodzą i stają w grupkach przed kościołem, w tych trawnikach i schodach jest coś uroczego. Tak ładnie wyglądają.

– Właśnie dlatego jako nastolatek nie lubiłem niedziel. Te wszystkie straszdyła w wykrochmalonych ubraniach. Przygnębiały mnie jak diabli.

– Straszdyła? Co w tym złego, że straszdyła? Jestem kobietą w średnim wieku i lubię być zaniedbanym straszdyłem.

– Nie chodziło mi o ciebie.

Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, jak zawsze, gdy jej przerwał czy powiedział coś, co mogło ją urazić. Nie słuchaj słów. Zaufaj rękom, dotykowi.

– Jak miło – szepnęła.

Ciągnie nas do siebie, ilekroć poszukujemy wzajemnego pocieszenia w chorobie. I właśnie o tym myślał przy śniadaniu w ich pięknym starym domu z przełomu wieków, takim z zakrzywionym gankiem i porośniętymi milinem dębowymi podporami. Miał czas na myślenie, na bycie czystym, pachnącym staruszką, siwym i zdziwaczalym. W tym, że agenci tajnych służb przechodzili na emeryturę w wieku pięćdziesięciu jeden lat, nie było niczego dziwnego. Jakiś komitet zatwierdził plan emerytalny i wydał oświadczenie, że ludzie ci wiedli uciążliwe i niebezpieczne życie; problemy rodzinne; ulotny charakter wykonywanych przez nich zadań. Ale Everett nie przeszedł na emeryturę dobrowolnie. Zdecydowała o tym sprawa z Coral Gables. Były badania na wariografie. I od trzech różnych specjalistów usłyszał określenie: „wyczerpanie motywacyjne”. Dwóch było psychiatrami z CIA, trzeci dokładnie prześwietlonym cywilem ze świata zewnętrznego, miejsca tak realnego i niesamowitego.

Nazwali to półemeryturą. Semantyczna uprzejmość. Zrobili z niego wykładowcę i płacili mu za werbowanie studentek, potencjalnych pracowników. W żeńskim college’u miało to w sobie coś tak komicznego, że na swój gorzki i masochistyczny sposób komizm ów docenił nawet on, Win: czuł się tak, jakby wciąż był po ich stronie i obserwował siebie z oddali.

Oto jak kończymy, pomyślał. Szpiegując samych siebie. Jesteśmy na łasce własnego obiektywizmu. Myśl na dzień dobry.

Gotów do jedzenia, złożył na dwoje lekko przypieczoną grzankę. W swoim zwyczajnym ciele dostrzegł moc wiary. Było to ciało szczupłe i delikatne. Łagodna twarz, czyste oczy, wysokie, smutne, pokryte plamkami czoło. Tak, płonęła w nim wiara, poczucie sprawy. Teraz, gdy oderwano go od tych wszystkich narad, grup planowania, sił specjalnych i tajnych poligonów, Mary Frances widziała to wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd. Pozbawiony konkretnych zadań, kontaktów z ludźmi, odizolowany od wydarzeń, które podsycaly jego zapał, stawał się kwintesencją pryncypialności i gorliwości. Bała się, że z czasem dołączy do tych, którzy z urazy i rozżalenia robią coś w rodzaju świętości, świecąc przez lata światłem czystym i udręczonym. W radiu powiedzieli, że jest prawie trzydzieści stopni. Teksas. Bóg żyje tu i ma się dobrze.

Weszła Suzanne, ich sześćioletnia córeczka, znowu głodna. Stała z głową na ramieniu taty i na wpół nadąsana, charakterystycznie skrzyżowała stopy, co było znakiem, że domaga się uwagi. Podobnie jak jej matka, była rzeczową blondynką o grubych, sztywnych włosach i twarzy nieco bledszej i gładszej niż szorstka od wiatru twarz Mary Frances. Ponieważ chcieli mieć dziecko, lecz stracili nadzieję, była dla nich symbolem czegoś bezinteresownego, przejawem wspaniałomyślnej siły, która potrafiła zmienić ich małostkę w nabożny podziw. Win wziął ją na kolana, a ona teatralnie się na nich osunęła. Dał jej resztę grzanki i kiedy jadła, głośno mlaskał z podekscytowanymi oczami. Mary Frances słuchała audycji *Life Line* na KDNT, komentarza na temat czujności rodziców, którzy zawsze powinni sprawdzać, co ich dzieci czytają, oglądają i czego słuchają.

– Niebezpieczeństwo czai się wszędzie – mówił ponury głos.

Win poklepał się po kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Suzanne usłyszała warkot szkolnego autobusu i szybko wybiegła z domu. Zapadła cisza, pierwsza tego dnia, nadeszła pierwsza tego dnia chwila małego wytchnienia. A potem Mary Frances, wciąż w szlafroku, zaczęła zbierać naczynia ze stołu i w powietrzu zawisły lekkie, czyste dźwięki, dyskretne jak małe dzwoneczki.

W słabym, migotliwym świetle jarzeniówek w tymczasowym biurze Wina Everetta w podziemiach Old Main siedziało ich dwóch. Win był bez marynarki. Palił papierosa skory do rozmowy, zaskoczony i trochę skonsternowany swoim niecierpliwym wyczekiwaniem, chęcią do podzielenia się nowinami z byłym kolegą.

Na korytarzu pracowali stolarze o krótko ostrzyżonych włosach, którzy mocno zaciągając,

krzyczeli coś do siebie pod rurami z gorącą parą.

Laurence Parmenter, wysoki, krzepko zbudowany mężczyzna w ciemnobłękitnej koszuli i ciemnym garniturze, nachylił się do przodu. Jasnowłosey, z przyprószonymi siwizną baczkami, pełen wigoru nawet wtedy, gdy siedział, miał w sobie coś, co mówiło, że lubi rozmawiać o interesach wylewnie i przyjaźnie, żartując i popijając. Robił wrażenie. Pewny siebie i dobrze ustosunkowany, stał wraz z innymi za szybkim, skutecznym i błyskotliwym zamachem stanu w Gwatemali w 1954 roku. Kolekcjonował wina szlachetne, był dobrym przyjacielem i uczestnikiem nieudanej inwazji w Zatoce Świń.

– Boże, pogrzebali cię tu.

– Teksański Uniwersytet dla Kobiet. Podelektuj się tą nazwą.

– Czego uczysz?

– Historii i ekonomii. Ktoś z Langley prosił mnie, żebym wybadał najbardziej obiecujące studentki. Zwłaszcza zagraniczne. Chodzi o to, że jeśli jest wśród nich przyszła pani premier, dobrze by było zwerbować ją już teraz, kiedy jest jeszcze dziewczicą.

– Jezu Chryste.

– Najpierw każą mi iść do psychiatry. A potem zsyłają tutaj. Co to za kraj?

Wybuchnęli śmiechem.

– Cały czas powtarzam sobie tę nazwę – dodał Win. – Omywa mnie jak balsam. Pławię się w jej aurze.

– Teksański Uniwersytet dla Kobiet – powtórzył z czcią Parmenter.

Win pokiwał głową. Wraz z sześcioma innymi analitykami i agentami wywiadu wojskowego należeli kiedyś do podgrupy planowania taktycznego Study Effort Detailed, wchodzącej w skład komitetu, który miał rozwiązać problem Kuby Fidela Castro. Podgrupa pierwsza, Senior Study Effort, składała się z czternastu wysokich urzędników, prezydenckich doradców, wysokiej rangi wojskowych, asystentów specjalnych, podsekretarzy oraz szefów wywiadu. Ludzie ci obradowali przez półtorej godziny. Potem jedenastu z nich wyszło, weszło zaś sześciu innych. Członkowie powstałej w ten sposób podgrupy, zwanej Study Effort Augmented, czyli podgrupą poszerzoną, obradowali przez dwie godziny. Potem siedmiu z nich wyszło, weszło zaś czterech następnych, w tym Everett i Parmenter. Ci z kolei stworzyli podgrupę zwaną Study Effort Detailed, której zadaniem było planowanie tajnych operacji wywiadowczych i decydowanie, którzy członkowie Study Effort Augmented mają te plany poznać. Wtajemniczeni przez nich członkowie SEA zastanawiali się z kolei, czy plany te zechcą poznać członkowie podgrupy pierwszej, czyli SSE; istniało duże prawdopodobieństwo, że nie. Gdy obrady trzeciego szczebla dobiegły końca, pięciu członków SED opuściło salę konferencyjną, ustępując miejsca trzem oficerom, którzy wraz z pozostałymi członkami SED utworzyli grupę zwaną Lider 4. Win Everett był jedyną osobą, która uczestniczyła w odprawie podgrupy szczebla trzeciego i czwartego.

– Mogło być gorzej – powiedział Parmenter. – Przynajmniej ciągle w tym siedzisz.

– Wolałbym się wypisać, raz a dobrze.

– I co byś robił?

– Założyłbym własną firmę. Udzielałbym porad.

– Jakich? Jak organizować tajne inwazje?

– Tak, jestem jak skażony towar, ale to tylko jeden problem. Drugi polega na tym, że nie mam smykałki do interesów. Umieję uczyć. W aktach CIA jest obraz mojej duszy przed upadkiem. Obejrżeli go i zesłali mnie tutaj.

– Ale cię zatrzymali. To najważniejsze. Rozumują głębiej, niż myślisz.

– Dużo bym dał, żeby wycofać się z tego raz na zawsze. Dopóki tu jestem, wciąż dla nich pracuję, choć brzmi to jak marny dowcip.

– Ściągną cię z powrotem.

– Tylko czy na pewno tego chcę? Żyję jak schizofrenik i wcale mi to nie odpowiada. Z jednej strony nimi pogardzam, z drugiej łaknę ich miłości i zrozumienia.

Wiedza była niebezpieczna, ignorancja stanowiła bezcenny atut. W wielu przypadkach dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej miał po prostu nie wiedzieć o najważniejszych sprawach. Im mniej wiedział, tym bardziej zdecydowanie mógł działać. Gdyby znał plany Lidera 4, gdyby wiedział, o czym rozmawiają jego członkowie, o czym mamrocą przez sen, nie mógłby mówić prawdy na przesłuchaniach, w trakcie różnych dochodzeń i śledztw czy podczas rozmowy z prezydentem w Gabinetcie Ovalnym. Członkowie Kolegium Szefów Połączonych Sztabów też nie o wszystkim wiedzieli. Operacyjne potworności nie nadawały się dla ich uszu; szczegóły były rodzajem skażenia. Podobnie sekretarze. Nie wiedząc czy dowiadując się za późno, byli o wiele szczęśliwsi. Ich zastępców interesowały jedynie tendencje i ogólne zamiary. Oczekiwali, że się ich zwiedzie. Bardzo na to liczyli. Prokuratorowi generalnemu oszczędzano przyprawiających o mdłości szczegółów. Przedstawiano mu jedynie rezultaty. Komitet do spraw Kuby skonstruowano tak, że każda podgrupa niższego szczebla chroniła te szczebla wyższego. Mówiono zawile. Trzeba było specjalnego doświadczenia i wnikliwości, żeby z mętnych uwag wyłowić ich prawdziwe znaczenie. Stosowano pauzy i pozbawione wyrazu spojrzenia. Z wyższych szczebli na niższe spływały błyskotliwe zagadki, nad którymi myślano, które rozgryzano i ignorowano. Win przyznał w duchu, że tak musiało być. Pracownicy jego szczebla rozsiewali tajemnice, przejrzyste jak gadzie jaja. Zamierzali zatruć cygara Fidela Castro. Opracowywali cygara z mikroładunkami wybuchowymi. Konstruowali trujące pióro. Skumali się z szefami mafii, żeby ci wysłali do Hawany płatnych zabójców, trucicieli, snajperów i sabotażystów. Testowali na małpach działanie jadu kielbasianego. Fidela miały złapać skurcze. Potem miał wymiotować i gwałtownie kaszleć, jak ogoniaste ssaki z rzędu naczelnych, i wreszcie umrzeć w potwornych męczarniach. Widzieliście kiedyś małpę w ataku gwałtownego kaszlu? Paskudny widok. Chcieli natrzeć zarodnikami grzybów jego skafander do nurkowania. Zbudować morską muszlę, która miała eksplodować, gdyby koło niej przepłynął.

Ale na górę docierały jedynie ogólniki. Najważniejszym obiektem ich opiekuńczych instynktów był oczywiście prezydent. Wiedzieli, że Kennedy chętnie ujrzałby Fidela na katafalku, ale uświadomić mu, że podjęli się realizacji jego grzesznych pragnień...? Niedopuszczalne. Biały Dom miał być szczytem niewiedzy. Wyglądało to tak, jakby ich niepokalany przywódca odkrył jakąś prastarą prawdę, którą inni – ze względu na swoją misję na tym zagmatwanym świecie – musieli podziwiać jedynie w abstrakcie.

Jednakże planom inwazji na Kubę towarzyszyły jeszcze głębsze cienie, jeszcze dziwniejsze i posępniejsze przemilczenia. Prezydent o inwazji wiedział, to oczywiste, znał jej ogólne plany, rozumiał potencjalne rezultaty. Ale system działał w izolującym rozmydleniu. Niechaj Kennedy widzi tylko łagodniejsze barwy. Trzeba uchronić go przed odpowiedzialnością. I tak tajemnice stworzyły swoją własną sieć. Sieć trwała, dziwną i obsesyjną, pełną dwuznaczności, urojonych myśli i zagadek z wieloma rozwiązaniami. Miało tak być dopóty, dopóki żołnierze nie zejną z plaży.

Po Zatoce Świń wszystko się zmieniło. Wiosnę sześćdziesiątego pierwszego Win spędził, podróżując między Miami, Waszyngtonem i Guatemala City, gdzie próbował zamknąć poszczególne etapy operacji, gdzie chłwał z doradcami i szefami tamtejszych placówek i wyjaśniał przywódcom uchodźców, co poszło nie tak. Powodem ostatecznej klęski było ujawnienie spisku, pierwsze tygodnie jatki, którą przedłużał, narażając się na poważne ryzyko, jakby chciał zrekompensować w ten sposób półśrodki, które do tej klęski doprowadziły. W miejsce starego komitetu powstał nowy, o mniej zmyślnej strukturze, choć – co nikim bynajmniej nie wstrząsnęło

– w wyłożonej boazerii sali konferencyjnej ponownie zasiadło wielu członków tego starego. Znowu rozmawiano o śmierci Fidela Castro. Jednakże W rozmowach tych nie wspomniano już ani o SED, ani o Liderze 4. Obydwie grupy rozwiązano, lecz zamiast uznać, że ich członkowie byli nieudolnymi spiskowcami i agentami, nazwano ich amerykańskimi uczestnikami inwazji, ludźmi, którymi kierowało głębokie osobiste zaangażowanie w sprawę uchodźców. I to właśnie ich, tych najszczerzych wyznawców, należało usunąć. Ich kontakty z przywódcami Kubańczyków, ich wkład w werbowanie i szkolenie grupy uderzeniowej sprawiały, że niezbyt chętnie reagowali na zmiany polityki, że stali się przewrażliwieni i nieprzewidywalni. Grupy te po prostu zniknęły, a ich członkom przydzielono zadania niezwiązane z Kubą, tą spowitą księżycowym blaskiem fikcją na szmaragdowym morzu.

Co ciekawe, niektórzy z nich nie przestali się spotykać.

– Znajdzie nas?

– Coś mi mówi, że już tu jest – odparł Win.

– Dwadzieścia pięć po piątej mam samolot.

– Znajdzie nas.

Siedzieli przy ladzie w drogerii Shraderów na placu sądowym. Win zamieszał kawę, zamyślił się, usiadł prosto i ponownie zamieszał kawę. Larry ciągle pochylał głowę, żeby lepiej widzieć gmach sądu hrabstwa Denton. Gmach był z wapienia i zbudowano go w mieszanym, acz dynamicznym stylu; miał mnóstwo wieżyczek, trójkątnych zwieńczeń, spiczastych kopuł, balustrad na dachu i pawilonów w stylu Drugiego Cesarstwa.

– Patrzę na te bogato zdobione gmachy na ruchliwych miejskich skwerach i odnajduję w nich nadzieję, którą chyba cenię. Spójrz. Jaki jest imponujący! Wyobraź sobie kogoś z przełomu wieków, kto przyjeżdża do jakiegoś południowo-zachodniego miasteczka i widzi taki budynek. Cóż za stateczność, cóż za duma! Ta architektura tchnie optymizmem. Mówi, że przyszłość będzie równie sensowna jak przeszłość.

Win milczał.

– Mówię o przeszłości amerykańskiej – ciągnął Larry – jak naiwnie o niej myślimy. Naiwność ta jest jedynym rodzajem niewinności, jaki dopuszczam.

Tematem narady miała być rzekomo Kuba. Spotykali się już wcześniej w Coral Gables, w mieszkaniu, w którym Parmencer urządzał odprawy dla pilotów lecących do Nikaragui. Rozmawiali o podtrzymywaniu kontaktów ze społecznością uchodźców, o budowie sieci w rządzie Fidela Castro. Ich piątka za nic nie mogła odpuścić sobie Kuby. Byli jednak grupą nielegalną. Dlatego na tych spotkaniach mówili głównie o sobie. Stali się skryci i hermetyczni. Teraz liczyła się tylko jedna tajemnica: ich grupa jako taka.

– To zajmie tylko chwilę – powiedział Win.

Przeszli pod markizą i wstąpili do ciemnego, kiszkowatego sklepu żelaznego, miejsca, gdzie królowało piękno zagubione i pełne wyrzutu, gdzie na wystawie leżały narzędzia amerykańskich pionierów i stały pradawne wagi, gdzie Win chodził przejściami jak turysta między wysokimi do pasa ruinami, rozległymi i smutnymi. Zawsze musiał sobie przypominać, że to tylko zwykły sklep. Kupił skrobaczkę do farby i gdy wrócili do wypożyczonego przez Larry ego samochodu, który parkował w odchodzącej od skweru uliczce, na przednim siedzeniu zobaczyli ubranego w krzykliwą koszulę mężczyznę o szerokich barach. Był to T.J. Mackey, typ kowboja, jak uważał Win, najprawdopodobniej najlepszy, najbardziej doświadczony członek Lidera 4, stary weteran, który uczył kubańskich emigrantów strzelać z karabinów szturmowych i nadzorował pierwsze fazy lądowania.

Parmenter usiadł za kierownicą, nucąc pod nosem coś, co go bawiło. Win zajął środek tylnego siedzenia i zaczął wskazywać drogę. Z Mackeyem dzień nabrał sensu. T-Jay nie przynosił nowin

o przyjęciach i zwolnieniach czy o narodzinach dzieci. Był jednym z tych, za którymi Kubańscy bez pytania poszliby w ogień. Był również jedynym, który odmówił przyjęcia oficjalnej nagany, udzielonej mu po tym, gdy Biuro Bezpieczeństwa Wewnętrznego odkryło, że spotykają się w Coral Gables. Jeśli istniał gdzieś monumentalny obraz przedstawiający grupę pięciu mrocznych spiskowców, płótno, które pokazuje, jak ze zmarszczonymi brwiami i wykrzywionym ciałem stawiają czoło krótko ostrzyżonym agentom w brązowych garniturach o naturalnie opadających ramionach, miał pewnie tytuł *Światłość wkraczająca do jaskini bezbożności*. Parmenter i dwóch pozostałych naganę przyjęło i podpisało; spoczywała teraz w ich aktach osobowych. Win też ją przyjął; zgodził się nawet na przesłuchanie i badanie na wariografie. Podpisał również oświadczenie, że badaniu temu poddaje się dobrowolnie. I tajne zobowiązanie, że nikomu o tym nie powie. Gdy badanie wykazało, że kłamie, agenci z Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego opieczętowali jego gabinet, mały pokój z niebieskimi drzwiami na trzecim piętrze kwatery głównej w Langley. Znaleźli tam notatnik z numerami telefonów i dokumenty, które zdawały się wskazywać, że Win Everett wprowadzał swoich ludzi do Zenith Technical Enterprises, szybko rozwijającej się spółki z siedzibą w Miami, fasadowej firmy CIA, która za jej pośrednictwem finansowała nową serię operacji przeciwko Kubie. Czara się przelała. Najpierw szefuje grupie, która nie rozwiązała się mimo oficjalnego rozkazu. Potem organizuje prywatną operację w rozległych, wielowarstwowych strukturach antykubańskiej działalności CIA. Po trzecim pytaniu podczas drugiego badania na wariografie Win rozszochał się z elektrodami na dłoni, opaską na rękę i gumową rurką przecinającą pierś. Tak trudno było nie kłamać.

Wyjechali z Denton i skręcili na południe, w głęboką zielenią krajobrazu, mijając po drodze opuszczone pastwiska porośnięte jałoszynem i jałowcami, miejsca nagłej surowości, palącej jasności oraz pojedyncze karłowate drzewo, artretycznie powykręcane i posępne. Niebo było tu nieznośnie przytłaczające.

Mackey siedział z ręką zwisającą za oknem. Krajobraz go nie interesował. Mijali właśnie kościół baptystów na fundamentach z żuźlowych bloków. Mackey reagował na uwagi lekkim przekrzywieniem lub podniesieniem głowy, żeby pokazać, że się z czymś zgadza lub że coś go bawi.

– Na tych starych cmentarzach – powiedział Parmenter – muszą leżeć ludzie, którzy przyjechali tu wozami pionierów. Wędrowni kaznodzieje, ci, którzy walczyli z Indianami. To piękne miejsce, Win. Kurczę! Dlaczego nie miałbyś osiąść tu na stałe? Wychowałbyś córkę, zapisałbyś ją do kółka muzycznego czy teatralnego. W szkole na pewno jakieś mają. Nie, mówię poważnie.

Oczy we wstecznym lusterku.

Psychiatrzy nie byli niemili. Ale dzięki nim uświadomił sobie, czym jest ta choroba. Uświadomił sobie, że to oni ją roznoszą. Że sami są chorzy. Na ich twarzach były niedokładnie ogolone miejsca. Nie miał serca im o tym powiedzieć. Byli mili, lecz jakby niewykończeni albo wykończeni za bardzo. Bo wyraźnie widział te mikroskopijne włoski. Wyczerpanie motywacyjne. Agencja tolerowała takie problemy. Agencja rozumiała. Tak naprawdę to wcale nie umieścił swoich ludzi w Zenith Technical Enterprises. Była tam już jego stara ekipa, która współpracując z nowymi oficerami, szykowała morską inwazję z tajnych baz na archipelagu Keys. Ale zebrane dowody, mgliste, nieprzekonujące i marginalne, były zbyt brzemienne w następstwa, żeby mógł je podważyć ktoś w jego sytuacji. Łatwiej było im uwierzyć niż wszystkiemu zaprzeczyć. Rozszyfrowali jego notatki, zbadali taśmy z maszyny do pisania. Czyż mógł powiedzieć, że kocha Kubę, że zna jej język i literaturę? Znaleźli torby z dokumentami do spalania. Jakim cudem mógł ich przekonać, że nie ma w nich nic poza nieszkodliwymi notatkami

twardogłowego głupca?

Zdjął kurtkę, złożył ją wzdłuż, potem w poprzek i rzucił na siedzenie obok. Poklepał się po koszuli w poszukiwaniu papierosów.

Wiejskim traktem przejechali przez Old Alton Bridge nad Hickory Creek. Win wskazał w prawo. Skręcili w czerwoną od gliny polną drogę, która przez kilkaset metrów biegła pod grubym baldachimem dębów i drzew hikorowych. Lasy po jednej, łąki po drugiej stronie. Larry zatrzymał samochód przy płocie z drewnianych żerdzi. Win wychylił się między przednimi fotelami i zapalił papierosa. Mackey i Parmenter siedzieli z lekko przekrzywionymi głowami, ale żaden z nich na niego nie spojrzał.

– Kiedy córka zdradza mi jakąś tajemnicę – zaczął Win – ma bardzo ruchliwe ręce. Chwyta mnie za ramię, za kołnierzyk koszuli, przyciąga mnie bliżej, wciąga w swoje życie. Dobrze wie, jak intymne są te sekrety. Lubi je zdradzać przed pójściem spać. Tajemnice to ekstaza, to niemal sen. Potrafią zatrzymać wszelki ruch, potrafią zatrzymać cały świat, żebyśmy mogli zobaczyć w nim siebie. Dlatego tu jesteście. Ja musiałem tylko przygotować miejsce i podać wam godzinę. Przyjechaliście, o nic nie pytając. Nie zważaliście na to, że zadając się z Walterem Everettem Juniorem po tym, co zaszło, ryzykujecie karierę. Jesteście tu, bo w tajemnicy jest coś ożywczego. Moja mała córeczka hojnie obdarza mnie sekretami. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby była bardziej powściągliwa. Ale czyż sekrety nie dodają jej siły? Czyż jej nie usamodzielniają, nie wykształcają w niej samoświadomości? Skąd miałyby wiedzieć, kim jest, gdyby nie zdradzała swoich tajemnic?

Tamci czekali.

– Inwazja zakończyła się klęską, ponieważ wysocy urzędnicy nie przeanalizowali podstawowych założeń. Wciągnął ich duch przymusowego działania. Zbyt chętnie zaakceptowali poglądy innych. Dawały im poczucie bezpieczeństwa. Plan nigdy nie był jasny. Nikt za niego nie odpowiadał. Niektórzy wiedzieli, że grozi klęską. Mimo to dali im zielone światło. A sami usunęli się w cień. Chcieli skończyć z tym raz na zawsze. Naciskano na nich, żeby zabrali uzbrojonych uchodźców z Florydy i wywieźli ich na tę przeklętą Kubę. Nie wiem, czy ktokolwiek pomyślał, co się z nimi stanie, jak już wylądują na tej plaży. I właśnie tu wkroczyliśmy my. Byliśmy na lotniskach, na okrętach, siedzieliśmy z ich przywódcami w koszarach OpaLocka. Między zabitymi byli ich bracia i synowie, a amerykańscy żołnierze pilnowali, żeby nigdzie z tych koszar nie wyszli. Co mogłem im powiedzieć? Czuję się jak wysłannik śmierci i pomoru. A potem nastąpił długi, powolny upadek. Chciałem go uświęcić, chciałem, żeby trwał wiecznie. Skoro nie odnieśliśmy sukcesu, maksymalnie wykorzystajmy klęskę. I próbując działać dalej, właśnie to robiliśmy. Ale była to tylko bezsensowna wprawka.

Tamci wciąż czekali. Byli cierpliwi i uważni.

– Ten ruch trzeba reaktywować. Operacje, którymi agencja kieruje z Keys, to tylko ukłucie szpilką. Potrzeba nam jakiegoś elektryzującego wydarzenia. JFK chce załagodzić różnice z Fidelem Castro, do tego zmierza. Z jednej strony uważa, że rewolucja jest chorobą, która może rozprzestrzenić się na całą Amerykę Łacińską. Z drugiej potępia zbrojne wypadki kubańskich emigrantów i próbuje ich wcielić do naszej armii, gdzie byliby pilnowani. Jeśli chcemy mieć drugą inwazję, tym razem na pełną skalę, bez żadnych ograniczeń czy warunków, musimy coś zrobić, i to szybko. Musimy sprawić, żeby kwestia Kuby wykroczyła poza te wszystkie niewinne podchody. Potrzeba nam wydarzenia, które wstrząśnie społecznością uchodźców, które zaszokuje cały kraj. Wiemy, że kubański wywiad ma swoich ludzi w Miami. Chcemy zorganizować coś, po czym pomyślą, że uderzyli w samo serce naszego rządu. Nadeszła pora na podjęcie najwyższego ryzyka. Dlatego mówię: skończmy z półśrodkami, z unikami i odwlekaniem.

Drogą przejechał pickup, więc podkręcili szyby, żeby ich nie zakurzyło. Kierowca pomachał

im, nie odrywając ręki od kierownicy. Zaczekali, aż kurz opadnie, i ponownie otworzyli okna. Win milczał przez chwilę, po czym kontynuował:

– Na niektóre rzeczy nieświadomie czekamy przez całe życie. Ale kiedy już do nich dochodzi, od razu wiemy, kim jesteśmy i co mamy robić. Oto pomysł, który zawsze chciałem zrealizować. Mam nadzieję, że uznacie, że jest słuszny. Potrzebujemy czegoś bardzo ryzykownego. Potrzebujemy elektryzującego wydarzenia. Czekaliście na to z taką samą niecierpliwością jak ja. Zorganizujemy zamach na życie prezydenta. Zaplanujemy każdy krok, każdy szczegół. Skrzyknjemy ludzi i pozostawimy niewyraźny ślad. Niejasne dowody. Niejasne, lecz wskazujące na kubański dyrektoriat do spraw wywiadu. Plan będzie zawierał również drugi zestaw dowodów, śladów jeszcze bardziej mglistych i intrygujących. Ślady te wskażą na CIA, wskażą na to, że CIA próbowała zorganizować zamach na Fidela Castro. Opracowuję plan, który łączy w sobie elementy zarówno amerykańskiej prowokacji, jak i kubańskiej na tę prowokację odpowiedzi. Zorganizujemy wszystkie dokumenty. Paszporty, prawa jazdy, notesy z adresami. Zespół naszych snajperów zniknie, lecz policja natrafi na ich ślad. Na formularze sprzedaży wysyłkowej, formularze zmiany adresu, na zdjęcia. Zwerbujemy jakiegoś śmiecia. Zabrzmią wystrzały, podekscytowany kraj dozna wstrząsu. Papierowy ślad doprowadzi do płatnych agentów, którzy zniknęli w Wenezueli czy Meksyku. Jestem przekonany, że aby odzyskać Kubę, musimy zrobić właśnie to. Plan ma liczne warianty, których jeszcze nie dopracowałem, ale w zasadzie jest już gotowy. Czuję, że to plan dobry i słuszny. Wiem, co mają na myśli naukowcy, mówiąc o eleganckich rozwiązaniach. Ten plan przemawia do czegoś ukrytego głęboko w sercu. Jest oparty na żelaznej logice. Rozwijał się we mnie od tygodni jak sen, którego znaczenie powoli do nas dociera. To stan, jaki zawsze chcieliśmy osiągnąć. To olśnienie naszego życia, nasza największa tajemnica, dlatego musimy jej dochować, musimy chronić ją do chwili, gdy nasi snajperzy zajmą pozycje na dachach czy wiaduktach kolejowych.

Zapadła cisza.

– Nie mogliśmy załatwić Fidela – rzucił oschle Parmenter. – Załatwmy więc Kennedy’ego. O to tu chodzi? To nasz ukryty motyw?

– Nie, nie załatwimy Kennedy’ego – odparł Win. – Nasi spudłują.

Mackey wrzucił kilka ćwierćdolarówek do automatu telefonicznego na stacji benzynowej Esso, sto sześćdziesiąt kilometrów od granicy z Luizjaną. Próbował złapać faceta nazwiskiem Guy Banister, byłego agenta FBI, który prowadził agencję detektywistyczną w Nowym Orleanie. Banister robił za kanał przerzutowy dla pieniędzy, którymi CIA wspierała tamtejsze organizacje antykubańskie. Mackey poznał go jeszcze przed inwazją, kiedy Banister zaopatrywał uchodźców w broń i materiały wybuchowe. Nadeszła pora skontaktować się z nim ponownie.

Głos w słuchawce nie był ani jego głosem, ani głosem jego sekretarki. Chwilę trwało, zanim Mackey poprawnie go umiejscowił. David Ferrie. Poborca haraczy i duchowy doradca. Mackey odwiesił słuchawkę i przez wietrzny plac wrócił do samochodu.

Słyszając w lewym uchu cichy trzask odkładanej słuchawki, David Ferrie zrobił minę. Taką miał skłonność. Codziennie robił miny przed lustrem, przyklejając domowej roboty brwi i moherowy tupecik. Cierpiał na rzadką i potworną chorobę, na którą nie wynaleziono jeszcze lekarstwa. Jego ciało było całkowicie łyse. Wyglądało jak coś wyciągniętego z ziemi, jak bulwiasta łodyga albo obleczony w szaty grzyb. Ale Ferrie bynajmniej nie zamierzał się poddawać, ulegać przygnębieniu, zamykać się w ciemnym pokoju, pić i się onanizować. Miał wiele ciekawych zainteresowań. Na przykład lekarstwo na raka – interesował się tym niemal przez całe życie. Prowadził badania, pisał rozprawy. Interesował się również hipnotyzmem i umiał wprowadzać ludzi w trans. Kolejnym zainteresowaniem było latanie. Zanim zachorował i wyłysiał i zanim jego zainteresowanie chłopcami, które tak bardzo zaniepokoiło jego

chlebodawców, stało się powszechnie znanym faktem, pracował jako pilot w Eastern Airlines. Interesowały go także zagrożenia, jakie niósł ze sobą komunizm. Interesowała go Kuba.

Chwilę po tym, gdy odłożył słuchawkę, był już w pokoiku za gabinetem Guya Banistera, gdzie przyprawiając sobie łukowate brwi, robił miny do lustra. Właśnie wychodził do centrum handlowego w Jeff Parish, gdzie pokazywano model schronu przeciwoatomowego. Chciał sprawdzić, jakie ma wymiary, zobaczyć, jakie zgromadzono w nim zapasy i jak je rozmieszczono. Miał już gumowe prześcieradła i radio na baterię z wyraźnie zaznaczoną częstotliwością CONELRAD-u. Wiedział o zbudowanym na południowy zachód od miasta podziemnym magazynie amunicji, który można było przekształcić w skuteczny schron, głęboki i odizolowany, z zapasami jedzenia i wody na wiele miesięcy. Takie myślenie o bombie na swój sposób podnosiło na duchu. Mieszkać samotnie w schronie – jakie to satysfakcjonujące. Satysfakcjonujące bynajmniej nie dlatego, że wyglądał jak mutant, tylko dlatego, że podczas gdy na górze szalałoby piekło, on mógłby po prostu jeszcze trochę pożyć. Za takie nieszczęśliwe życie zasłużył na nagrodę.

Laurence Parmenter jechał wypożyczonym dodge'em Dart w kierunku Love Field. Wołał tymczasem nie myśleć o planie Everetta. Słuchał radia, radiowego kaznodziei mówiącego o modlitwie detalicznej i hurtowej. Módl się za siebie, módl się za świat.

Win był inteligentny. Inteligentny, lojalny i oddany sprawie. Był nawet bardzo inteligentny, ale przeżył załamanie nerwowe. Zdarza się aż za często. Teraz już chyba wydobrzeł, bo był czujny, skupiony i w pełni nad sobą panował, lecz każda myśl potrzebuje czasu, żeby ujawnić wszystkie swoje oblicza, wszystkie ogniki i załamania światła. Nie żeby chciał cokolwiek odwlekać. Pragnął, żeby Stany odzyskały Kubę, i to jak najszybciej. Zainwestował tam duże pieniądze. Miał liczne prawa i liczne roszczenia, był tajnym udziałowcem spółki leasingowej, która dopinała wielki interes, zakup olbrzymich terenów pod odwierty naftowe. I właśnie wtedy ze wzgórz zeszli partyzanci.

Postanowił, że o planie Everetta pomyśli podczas lotu do Waszyngtonu. Będzie sączył martini, pogryzał słone orzeszki i modlił się za siebie i za świat. Przypomniał mu się fragment starej, pijackiej piosenki. Tylko skąd ją znał? Z Kairu. Tak, Kair 1944. Biuro Służb Strategicznych, operacja „Morale”. Należał wtedy do sieci Groton-Yale-OSS, ligi szpiegów dżentelmenów, z których wielu zajmowało teraz wysokie stanowiska w agencji. Nie pochodził ze starego ziemiaństwa i nie powinni go byli przyjąć, mimo to przyjęli, dlatego gorliwie wypełniał wolę przywódców. Kulturowali tradycje, byli naturalną kontynuacją szkolnych stowarzyszeń – tajne przysięgi, inicjacje i tak dalej – ciałem skupiającym myśli i hipotezy typowe dla młodych ludzi ze specyficznym wigorem. Więc zaśpiewał:

– „Jesteśmy wesołymi szpiegami, czyhamy i szpiegujemy aż do bólu...”

Próbował przypomnieć sobie następną linijkę, gdy na poboczu dostrzegł pierwszy drogowskaz z nazwą lotniska.

Radiowy spiker powiedział, że chociaż od zamachu na Edwina A. Walkera, generała i kontrowersyjnego prawnika, upłynął już tydzień, policja wciąż patroluje okolice jego domu. Nie znaleziono żadnych nowych śladów.

O zmroku tężeje bezruch. To czas, gdy ludzie znikają w domach, gdy domy pogrążają się w cieniu, gdy ulica jest miejscem prywatnym, księgą tajemnic. Wszystko to, co wiemy o sąsiadach, jest wtedy wyciszone i uśpione głębokim spokojem. Staje się rodzajem pachnącej jaśminem zwodniczej intymności.

Win kartkował książkę w salonie. Jego żona mówiła, że to właśnie robi, że zamiast czytać,

przewraca kartki. Że przewraca je dopóty, dopóki nie przewróci wszystkich. Tymczasem on zastanawiał się, czy jego koledzy zdawali sobie sprawę, że wezwał ich tu 17 kwietnia, w drugą rocznicę Zatoki Świń. Myśl na dobranoc. Przewrócił kolejną kartkę.

Mary Frances leżała w łóżku na górze. Martwiła się przetartym dywanem, myślała o śniadaniu i o lunchu, próbowała nie być zbyt głupio dumna ze świeżo odremontowanej kuchni, dużej, eleganckiej, praktycznej, z bezszronową zamrażarką i dobranymi pod kolor urządzeniami, w domu na cichej, wysadzonej dębami i pekanami uliczce, sześćdziesiąt cztery kilometry od Dallas.

W Nowym Orleanie

Obserwował go Robert Sproul, kolega z klasy. Lee przechodził przez ulicę. Książki niósł na ramieniu, przewiązane zielonym pasem z mosiężną klamrą. Piechota morska. Był w porwanej na szwie koszuli. Miał siniaka na policzku i krew w kąciku ust. Przeciąwszy jezdnię, przeszedł tuż obok Roberta, który ruszył spieszenie za nim, bacznie mu się przyglądając i oczekując jakiegoś wyjaśnienia.

Szli North Rampart na skraju Dzielnicy, gdzie między blaszanymi warsztatami i parkingami wciąż stało kilka domów o żelaznych balkonach.

- Nie powiesz mi, co się stało?
- Nie wiem. A co się stało?
- Nic, tylko masz zakrwawione usta.
- Nic mi nie zrobili.
- Och, jakiś ty przekorny. Jesteś moim bohaterem, Lee.
- Nie zatrzymuj się.
- Zlali cię do krwi. I chyba cię w niej wytarzali.
- Ponoć śmiesznie mówię.
- Zbili cię, bo śmiesznie mówisz? Jak to śmiesznie?
- Zaciągam jak jankes.

Lee chyba się uśmiechał. To do niego podobne, uśmiechać się bez sensu, oczywiście zakładając, że naprawdę się uśmiechał, że nie był to jakiś tik czy coś. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

– Pójdziemy do mnie – powiedział Robert. – Mamy jedenaście różnych środków dezynfekujących.

W wieku piętnastu lat Sproul wyglądał jak miniaturka studenta drugiego roku. Białe buty, drelichy, rozpięty kołnierzyk koszuli. Już drugi raz spotykał Lee pobitego. Kiedyś jechał autobusem z Murzynami i jacyś chłopcy dali mu wycisk na przystani. Nie chciał powiedzieć, czy zrobił to dla zasady, czy nie wiedział, że z Murzynami się nie jeździ. Cały on, zagubiony męczennik, który udaje głupiego, albo odwrotnie, przynajmniej do chwili, gdy prawda wychodzi na jaw.

Robert pomyślał, że jak dobrze się wsłuchać, to rzeczywiście Lee lekko zawodzi, jak jankes, chociaż znając jego złożoną przeszłość, zupełnie się temu nie dziwił.

Dużo czasu spędzał w bibliotece. Najpierw chodził do filii naprzeciwko ogólniaka Warren Easton High. Piętrowa budowla mieściła bibliotekę dla niewidomych na dole i zwykłą na górze. Siedział po turecku na podłodze i godzinami przeglądał tytuły książek. Szukał trudniejszych niż szkolne podręczniki, książek, dzięki którym mógłby wyprzedzić kolegów, zamknąć otaczający go świat. Mieli tam pozycje z wiedzy obywatelskiej i ekonomii. Ale on poszukiwał tematów i idei o zasięgu historycznym, myśli, które dotyczyły jego życia, tego prawdziwego, które okiełznałyby szalejący w nim wir czasu. Czytał broszury, oglądał zdjęcia w „Lifie” Mężczyźni w czapkach i znoszonych kurtkach. Grube kobiety w chustkach na głowie. Rosjanie. Inny świat, tajemnica zajmująca jedną szóstą wszystkich lądów na Ziemi.

Filia była mała, więc zaczął korzystać z biblioteki głównej, tej na Lee Circle. Korynckie kolumny, wysokie, łukowato sklepiene okna, cztery bibliotekarki za ladą na prawo od wejścia. I

półokrągła czytelnia. Widywał tam najrozmaitsze typy, przedstawicieli różnych klas, różnych stylów i sposobów czytania. Widywał na wpół śpiących staruszków z twarzą w książce, którzy przyszedli do biblioteki, żeby uciec od tego co na zewnątrz. Staruszków kuśtykających przez salę, starców z okruciami chleba w kieszeniach, widywał obcokrajowców.

W katalogu znajdował nazwiska, które napełniały go dziwnym, trudnym do opanowania podnieceniem. Nazwiska jak szept, który słyszał od lat, nazwiska ludzi, którzy tworzyli historię i wzniesli rewolucje. Znalazł książki napisane przez nich i książki o nich. Książki z przetartymi na krawędziach okładkami. Książki, z których zniknął tytuł. *Das Kapital*, trzy tomy z wgniecionymi grzbietami, wypłowiałymi kartkami, podkreśleniami i dziwacznymi, obsesyjnymi zapiskami. Znalazł w środku wzory matematyczne, radykalne teorie na temat pracy i kapitału. Znalazł *Manifest komunistyczny* po niemiecku i po angielsku. Marks i Engels. Robotnicy, walka klasowa, wyzysk, praca najemna. Biografie i długie opowieści. Dowiedział się, że na wygnaniu Trocki mieszkał w dzielnicy robotniczej na Bronksie, niedaleko domu, w którym on mieszkał kiedyś z matką.

Trocki na Bronksie. Ale tak naprawdę Trocki nie nazywał się wcale Trocki. Lenin nie nazywał się Lenin. Prawdziwe nazwisko Stalina brzmiało Dżugaszwili. Historyczne nazwiska, przydomki, rewolucyjne i wojenne pseudonimy, nazwy partii. Ludzie ci bardzo długo żyli w odosobnieniu, ocierali się o śmierć podczas długich zim na wygnaniu czy w więzieniu. I przez cały czas odczuwali obecność historii, przez cały czas czekali na chwilę, gdy historia wdrze się do celi i porwie ich ze sobą. Była dla nich siłą, czymś namacalnym. Czuli jej obecność i czekali.

Czytanie kosztowało go dużo wysiłku. Zrozumienie choćby podstawowych rzeczy przychodziło mu z wielkim trudem. Walczył, ale książki te też rodziły się w walce. Walką było samo ich napisanie, walką było przeżycie. Odpowiadało mu, że naszpikowano je zwartymi, nieustępliwymi teoriami. Im były trudniejsze, tym bardziej zdecydowanie powiększał dystans dzielący go od kolegów.

Znalazł dużo rzeczy, które mógł zrozumieć. Dostrzegł kapitalistów, dostrzegł masy. Były tutaj, wszędzie i codziennie.

Marguerite zrobiła zasmażkę na patelni o grubym dnie. Jedząc, patrzyli na siebie. Zawsze tu była. Te ruchliwe ręce, te jasne oczy za okularami w ciemnych oprawkach. Widział napiętą skórę tuż poniżej linii jej włosów, widział zmęczenie i starość na twarzy i odczuwał wtedy coś pośredniego między litością a pogardą. Oglądali razem telewizję w drugim pokoju. Na ścianie wisiły miniaturowe koszyki z wierzbowych witek. Przez włosy widać było jej czaszkę.

– Lillian mówi, że do cna cię rozpuściłam. Mówi, że traktujesz mnie jak swoją własność.

– Jestem twoim synem. Musisz robić to, co chcę.

– Masz rację, nie powinnam mówić ani słowa, ale twoi bracia byli dla mnie ciężarem. Domagali się wprost nieludzkiej uwagi. I właśnie tu wkracza ten czynnik: człowiek. Kiedy pomyśli się o tych wszystkich tragediach... Twój tatuś poczuł ból w ramieniu, kiedy kosił trawę. A potem to już wiesz.

– Poszli do wojska, żeby od ciebie uciec.

– Albo kiedy pomyślę, że mogłabym być babką, której nikt nie darzy uczuciem. W poniedziałki jadaliśmy czerwoną fasolę z ryżem. I zabrałam cię wózkami do Godchaux.

Odkąd tylko pamiętał, zawsze mieszkali w ciasnocie. To było jego główne wspomnienie. Zawsze czuł zapach powietrza, przez które przechodziła, zapach jej wiszących za drzwiami ubrań, tropikalną mgiełkę gorsetów i wody toaletowej. Wchodził do łazienki wypełnionej jej smrodem. Słyszał, jak mamrocze przez sen, jak zgrzyta swymi trupimi zębami. Wiedział, co powie, widział jej gesty, zanim je zrobiła.

- Mam prawo do lepszego życia.
- Ja też – odparł. – To o mnie głównie chodzi. Mam swoje prawa.

Pomógł jej zawiesić półokrągłe półki na ścianie. Znajdzie komunistyczną komórkę i zostanie jej członkiem. W tym mieście roiło się od obcokrajowców, od idei i wpływów. Mieszkali tu ludzie, którzy dawali ogłoszenia w gazecie, prosząc o łaskę tego czy innego świętego. Ludzie, którzy nosili berety, którzy nie znali dziesięciu słów po angielsku. W dokach widział ciemniejących robotników, którzy dźwigali ponadczterdziestokilowe kiście bananów z Hondurasu. Znajdzie komórkę i otrzyma zadanie, żeby mógł się wykazać.

– Lillian myśli, że będę jej dziękować i dziękować. Dziękuję, proszę, nie ma za co; ona tym żyje.

- Myśli, że jeszcze trochę i zaczniemy rozdawać ulotki na ulicy.
- Uważa, że jesteśmy jej coś winni. Byłam lubianym dzieckiem. Trzymajmy się faktów.

Mieszkali z jej siostrą na French Street. Potem przeprowadzili się na St. Mary Street, a jeszcze potem do tańszego mieszkania w tym samym domu. Wreszcie wylądowali w Dzielnicy.

Jest spokojnym, skrupulatnym chłopcem, którego trzeba nakarmić jak każdego innego chłopca.

– Claveries byli biedni, ale całkiem szczęśliwi. W poniedziałki jadaliśmy czerwoną fasolę z ryżem. Wiem, co gada za moimi plecami, i to tylko dlatego, że pozwoliła nam zostać przez kilka tygodni. Plotkuje i zmyśla, czemu wcale się nie dziwię. Nie ujawniają swoich prawdziwych odczuć, bo mają ku temu ukryte powody. Twierdzą, że łatwo wpadam w gniew. Że nie potrafię żyć z nikim w zgodzie, jak to się mówi. Ale ani razu nie powiedzieli, że może to z ich winy. Że to z nimi nie można się dogadać. Mówi, że czepiam się słów, że to czy inne słowo nas dzieli, dopóki nie spotkamy się na ulicy i, no wiesz, witaj, jak się masz, może do nas wpadniesz.

- Myśli tak, bo daje mi pieniądze na wypożyczenie roweru.

Mieszkali w dwupiętrowym domu w zaułku odchodzącym od Canal Street, pełnym mętnych typów i połyskujących gorąco okien wystawowych. Wchodziło się tam zdobionym łukowatym wejściem. Właśnie to wejście podobało się Marguerite najbardziej. Poza tym nie było o czym mówić. Lee spał na łóżku, ona na sofie.

Na cmentarzu St. Louis Number One Lee widzi starego Murzyna, chrapiącego ze spuszczonego nosem. Murzyn siedzi oparty o ścianę przypominającej duchówkę krypty, w słońcu przypiekającym roztrzaskaną bursztynową szklanę.

Obserwowali się, jedząc. On ćwiczył szachowe ruchy na kuchennym stole. Ona opisywała mu domy, podwórza i meble z początku wieku, nowoorleańskie, bo dorastała w Nowym Orleanie i miała szczęśliwe dzieciństwo. Wiedział, że to ważne. Nie zaprzeczał temu, co mówiła, nie negował mocy opisywanych przez nią obrazów. To były ważne rzeczy, rodzina, pieniądze, przeszłość, ale rzeczy te nie dotyczyły jego prawdziwego życia, jego zamykającego się i wsysającego niczym wir „ja”, dlatego jej głos przelatywał przez powietrzną dziurę.

Widzi, jak meksykański czy jakiś tam oprych przybiera przed barem kobietą pozę, wywołując wśród kolegów wybuch śmiechu.

Miał jednotomową encyklopedię powszechną, którą, według ciotki Lillian, czytał, jak chłopak czyta przygodową powieść morską. Energia kinetyczna. Tama Grand Coulee. Wstąpi do komórki komunistycznej. Do późnej nocy będą snuć teoretyczne rozważania. Będą przydzielali mu zadania, powierzali nocne misje wymagające inteligencji i ostrożności. Będzie nosił ciemne ubrania i chodził w deszczu po dachach.

- Ilu ludzi wie, że siewka to ptak?

Dostał list od Roberta, swego rodzonego brata, który wciąż służył w piechocie morskiej. Wyrwał kartkę z kołonoatnika i natychmiast odpisał, głównie odpowiadając na pytania. Lubił

brata, ale był pewien, że Robert nie wie, kim jest. Stara tajemnica rodzinna. Nie wiesz, kim jestem. Brat odziedziczył imię po ich ojcu, Robercie E. Lee Oswaldzie. Stąd Lee. Ojciec leżał teraz na końcu Lakeview, zmieniając się w proch.

– Pojechaliśmy do Godchaux, żeby zobaczyć flagę, tylko we dwoje, ty i ja. Trwała wojna, mieszkaliśmy na Pauline Street i na ścianie Godchaux, tam gdzie kupiłam ten jasnoszary kostium, który mam na zdjęciu z Ekdahlem, tym tuż po ślubie, wywiesili flagę, taką na siedem pięter. Siedmiopiętrową amerykańską flagę. Właśnie wtedy doszło do scysji z panią Roach, bo rzuciłeś w nią żelazną zabawką.

Chciał napisać opowiadanie o kimś z biblioteki dla niewidomych. Był to jedyny sposób, żeby wyobrazić sobie ich świat.

Marguerite miała niebieskie oczy i ciemne rzęsy. Pracowała jako sprzedawczyni i kasjerka w sklepie z wyrobami pończosznymi, gdzie kiedyś, kilkanaście lat wcześniej, zanim dostała wypowiedzenie i zanim wyprowadzili się z Canal Street, była kierowniczką. Oficjalnym powodem zwolnienia było to, że nie umiała dodawać i odejmować. Ale Marguerite wiedziała swoje, czuła te wibracje, słyszała te wredne szepty, te narzekania na świat, co było jeszcze do przyjęcia w porównaniu z tym, że wyrzucili ją z nowojorskiego Lerner, ponieważ – jak twierdzili – nie używała dezodorantu. Co było nieprawdą, bo codziennie używała takiego z kulką, a skoro nie skutkowało tak, jak mówili w telewizji, jakim prawem naznaczono ją piętnem społecznego odmieńca? Pod względem dziwnych zapaszków Nowy Jork wcale nie był zapóźniony.

Odrabiał lekcje na kuchennym stole, odpowiadając na pytania, na które odpowiadałby tylko debil. Budziła go do szkoły klaskaniem. Klaskała w drzwiach, natarczywie, palcami jednej ręki klepiąc w dłoń drugiej. Na jej widok zaczynał mieć mordercze myśli, zwłaszcza gdy zaskakiwała go na ulicy. Słyszał jej kroki, słyszał szcęk klucza w zamku. Wołanie z kuchni, szum wody w toalecie. Znał na pamięć modulację jej głosu i wszystkie pauzy, wiedział, co zaraz powie, słowo po słowie. Klaskała w drzwiach. Pobudka!

„To oczywiście – czytał – że definicja, która mówi, że kapitałem obrotowym jest część kapitału zainwestowana w siłę roboczą, jest definicją wtórną i że jej znaczenie ulega zmianie w procesie produkcji”.

Próbował rozmawiać o polityce z siostrą Roberta Sproula, głównie po to, żeby coś powiedzieć. Grali w szachy na werandzie ich domu. Robert siedział w pobliżu, pisząc semestralną pracę z historii sił powietrznych.

Była rok starszą blondynką o miękkiej skórze i poważnych ustach. Miała wrażenie, że starała się nie wyglądać za ładnie. Były takie dziewczyny. Ukrywały się pod maską schludności i powściągliwości.

– Eisenhowerowi za łatwo uchodzi na sucho – mówił Lee – i mogę dać ci na to dobry przykład.

– Nie sądzę, ale spróbuj.

– To właśnie on i Nixon zamordowali Rosenbergow. Na sto procent. To oni za to odpowiadają.

– Chyba w twoich snach.

– Wcale nie.

– Był proces, chyba że się żałośnie myślę.

– Ike to głupek i wszyscy o tym wiedzą. Mógł wstrzymać egzekucję.

– Jak na filmach, tak?

– Czy ty w ogóle wiesz, kim są Rosenbergowie?

– Już mówiłam, był proces.

– Ale nie znasz ukrytych faktów, rzeczy, o których się nie mówi.

Przeszyła go wzrokiem. Była dobrego wzrostu. Nie za wysoka. Podobała mu się jej chłodna rezerwa, sposób, w jaki przesuwała pionki po szachownicy, bo robiła to niemal wstydliwie, nie zdradzając, czy chce wygrać, czy przegrać. Był przez to ożywiony i nierozważny, jak szachowy geniusz z brudnymi paznokciami. Gdzieś w głębi domu chodziło któreś z jej rodziców.

– Kiedy byłem w Nowym Jorku, przeczytałem o nich wszystko – powiedział. – Wrobiono ich i posadzono na krzesła. Chodziło o to, żeby uczynić zdrajców z wszystkich komunistów. Ike mógł coś zrobić.

– I zrobił – wtrącił Robert. – Grał wtedy w golfa.

– A teraz do Nowego Orleanu przyjeżdża senator Eastland. Wiesz dlaczego. Wiesz?

– Szuka ciebie – odparł Robert. – Nie wie, jakim cudem trafiłeś do Obywatelskiego Patrolu Powietrznego.

– Szuka czerwonych pod łóżkiem – przerwał mu Lee.

– Zastanawia się, jak taki miły chłopak...

– Najważniejsze w komunizmie jest to, że robotnicy nie wypracowują zysku dla systemu.

– Patrzy na twoją uśmiechniętą buźkę i bardzo się denerwuje. Nastoletni komunista w OPP.

Te śmichy-chichy niezbyt mu się podobały. Popatrzył na jego siostrę, żeby sprawdzić, jak na to reaguje, ale ona nie odrywała oczu od szachownicy. Dobrze wychowana. Widział ją w bibliotece. Była cheerleaderką w szkole, dziewczyną z ostatniego szeregu, której prawie nikt nigdy nie zauważał.

– A jeśli byli szpiegami? W takim wypadku szpiegowali tylko dlatego, że wierzyli, że komunizm jest najlepszym systemem. Systemem, który nikogo nie wyzyskuje. I za to zostali posadzeni na krzesła.

Wyczuł, że ich matka czy ojciec stoi tuż za otwartymi drzwiami. Że stoi przy ścianie i podsłuchuje.

– Trocki. Jeśli powiesz to nazwisko po rosyjsku, zabrzmie zupełnie inaczej. Jest jeszcze coś, o czym nikt nie wie. Stalin nazywał się Dżugaszwili. A Stalin znaczy „człowiek z żelaza”.

– Ze stali – poprawił go Robert.

– Wszystko jedno.

– Głupek.

– Chodzi o to, że nasi kłamią. Rosja nie jest taka, jak mówią. W Nowym Jorku komuniści się nie ukrywają. Normalnie chodzą po ulicach.

– Szybko, Henry, środek na komary!

– Najpierw wytwarzasz zysk dla systemu, który cię wyzyskuje.

– Trzeba ich popsikać, bo się rozleją!

– A potem zawsze próbują ci coś sprzedać. Wszystko opiera się na tym, że zmuszają ludzi do kupowania. Jeśli nie możesz kupić tego, co sprzedają, jesteś zerem.

– Nie ma tak ani tu, ani tam – odparła siostra Roberta.

– To znaczy gdzie? – spytał.

W drzwiach ukazał się ojciec, wysoki mężczyzna z przerzuconą przez rękę kraciatą derką. Jakby szukał konia. Zaczął mówić coś o pracy domowej i o zakupach, mamrotać o sprawach rodzinnych. Lee natychmiast spostrzegł, że siostrze Roberta ulżyło. Ulgę tę można było zważyć i zmierzyć. Prześlizgnęła się obok ojca i wtopiła błogo w mroczne wnętrze domu.

Ojciec odprowadził go do frontowych drzwi i otworzył je najszerzej, jak tylko mógł. Nie odezwali się do siebie ani słowem. Lee szedł do domu przez Dzielnicę, mijając po drodze setki turystów i delegatów na jakiś zjazd, którzy tłoczyli się na lekkim deszczu jak ludzie z kroniki filmowej.

Marksistowskie książki trzymał w swoim pokoju: zanosił je do biblioteki, przedłużał termin i wracał z nimi do domu. Ciekawskim kolegom z klasy pozwalał przeczytać tytuły tylko po to, żeby zobaczyć, jak marszczą te swoje głupie gęby; matce książek nie pokazał. Były jego prywatną własnością tak jak coś, co znajduje się i ukrywa, jak amulet z tajemnicą czyjejs prawdziwej tożsamości. Tajemnicą były już same książki, książki jako takie. Zakazane i trudne. Zmieniły jego pokój, wypełniając go znaczeniem. Rozjaśniły mu szarzyznę otoczenia, ubarwiły jego sfatygowane ubranie. Postrzegał siebie jako część czegoś wielkiego i rozległego. Byli produktami bezkresnej historii, on i matka, produktami w trybach pewnego procesu, systemu własności i pieniądza, który to system, niczym prawo naukowe, z dnia na dzień zmniejszał ich wartość jako ludzi. Dzięki książkom do czegoś przynależał. Coś doprowadziło do tego, że był w tym pokoju, że był tym, kim był, że coś będzie potem. Ludzie w ciasnych klitkach. Ludzie, którzy czytają i czekają, którzy walczą z tajemnicami i gorączkowymi ideałami. Trocki nazywał się Bronstein. On też musi mieć konspiracyjne nazwisko. Wstąpi do komórki w tych starych domach koło doków. Do późnej nocy będą rozprawiać o różnych teoriach. I będą działać. Organizować i agitować. Będzie chodził przez zalane deszczem miasto w ciemnym ubraniu. Musiał tylko znaleźć tę komórkę. Nie ulegało wątpliwości, że jakies tu są. Senator Eastland wyraźnie powiedział to w telewizji. Czerwone podziemie w Nowym Orleanie.

Tymczasem czytał regulamin żołnierza piechoty morskiej, który dostał od brata, żeby przygotować się do dnia, kiedy wstąpi do wojska.

Zanim rzucił szkołę, było tam dwóch takich, którzy cały czas przezywali go jankesem. Łazili za nim po korytarzach, krzyczeli do niego w stołówce. Uśmiechał się wtedy, gotów do walki, ale nigdy go tak naprawdę nie zaczepili.

Ekscytowały go nazwy miast na formularzach zamówienia. Lizbona, Manila, Hongkong. Ale szybko górę wzięła rutyna i zdał sobie sprawę, że okręty i ich ładunek nie mają z nim nic wspólnego. Był gońcem. Nosił dokumenty do innych firm przesyłkowych, towarzystw okrętowych albo do urzędu celnego po drugiej stronie ulicy, gmachu masywnego, szarego, z wysokimi granitowymi kolumnami, który wyglądał jak świątynia mamony.

Miał robić wrażenie wesołego i chętnego. Zdawało się, że ludzie przykładają do tego wielkie znaczenie. Im jesteś mniej ważny, tym szerzej powinienes się uśmiechać. Godzinami przesiadywał w kinie. Albo w nieużywanym biurze na końcu korytarza na drugim piętrze, gdzie czytał regulamin żołnierza piechoty morskiej.

Nauczył się na pamięć zasad zabijania. Studiował musztrę, poznał zasady przyznawania różnych baretek i naszywek. Z biurowego telefonu dzwonił bez pozwolenia do Roberta Sproula, żeby czytać mu jeżące włos opisy walk na bagnety. Cios z obrotu, cięcie, cios kolbą. Mógł je cytować w nieskończoność. Ten podręcznik napisano chyba specjalnie dla niego. Zaczytywał się nim, był pod wrażeniem jego surowości i dokładności, liczby zapierających dech w piersi szczegółów, dokładnych, dziwacznych, doskonałych.

Robert wiedział o karabinie na sprzedaż – kalibru 22, ryglowany, karabinek na szkodniki albo taki popykajmy sobie do puszek – więc mimo styczniowego chłodu poszli razem w porze lunchu aż za centrum finansowe, do taniego hotelu między sklepami z tłumikami samochodowymi i z meblami po okazjnych cenach. Hol wyglądał jak korytarz do toalety. Pokoje były na pierwszym piętrze, nad zabitym deskami sklepem z szyldem: „Lokale do wynajęcia”. Robert znał numer pokoju tego od karabinu, ale nie znał jego nazwiska. Facet był ponoć znajomym Davida Ferriego, pilota i instruktora Obywatelskiego Patrolu Powietrznego. Ferrie dowodził oddziałem, do którego Robert i Lee wstąpili tego lata, i chociaż Lee był tylko na trzech zbiórkach, to jednak

wystarczyło, żeby dali mu mundur.

Byli zdziwieni, gdy drzwi otworzył sam kapitan Ferrie. Dobijał czterdziestki, miał smutną, lecz życzliwą twarz. Stał w progu, w szlafroku i kraciatych skarpetach do kolan. Gestem ręki zaprosił ich do środka, uważnie przyglądając się Lee. Żaluzje były opuszczone. Wszędzie wały się ubrania, z pudełek wylewała się chińszczyzna na wynos, na podłodze leżało kilka monet i banknotów. W pokoju panował stężyły, otepiający bezruch, jakby obowiązywała tu niezależna strefa czasowa.

– Jak to miło – powiedział. – Spodziewałem się was. A więc Alfredo sprzedaje swój karabin. Mówi, że kogoś z niego zabił. Jakiegoś bogatego *gringo*. Każdy Latynos zabił w marzeniach jakiegoś *gringo*. To tylko tymczasowa kwatery. Wasz powietrzny as czeka na nowe zadanie.

Usiadł w fotelu pośród rozrzuconych ubrań. Robert zerknął na Lee. Wykrzywił twarz, jakby ktoś go dusił.

– A więc tak – ciągnął Ferrie. – Roberta znam z zajęć w hangarze w Lakefront. Wydaje się, że od tamtej pory minęło sto lat. Ale kim jest ten nieśmiały młodzieniec ze starannym przedziałkiem na głowie?

– Też byłem tam kilka razy – odparł Lee. – Przychodziłem, potem przestałem.

– Ale przychodziłeś. Tak myślałem. Byłem tego pewny. W mundurze. Tak, w mundurze wygląda się zupełnie inaczej. Znam moich kadetów. Nigdy żadnego nie zapominam. Znacnie Dennisa Rumseya? Też jest kadetem. Przychodzi tu po szkole. A Warrena Van Zandta, tego grubaska? Jego ojciec ma raka płuc.

– A ten karabin? – spytał Robert.

– Gdzieś tu leży. Marlin kalibru dwadzieścia dwa z magazynkiem. Jest tani, bo ma złamaną iglicę. Łatwo to naprawić. Zaniesiesz go do spawacza, bach, bach, bach, i gotowe.

– Nikt mi nie mówił, że ma złamaną iglicę – powiedział Robert.

– Bo o takich rzeczach się nie mówi.

– Sam nie wiem.

– Ja też nie.

– Jeśli nie można z niego strzelać...

– Spawacz przyspawa iglicę, bach, bach, i po krzyku.

– Ale zawsze to kłopot.

– Przyjemność ze strzelania będzie tego warta. Znasz się na broni? To jedno z moich zainteresowań.

Robert ponownie zerknął na Lee, jakby miał ochotę dać nogę. W kącie pokoju coś się chyba poruszało. Lee zrobił kilka kroków w tamtą stronę. Zdawał sobie sprawę, że idzie z oderwanym, abstrakcyjnym uśmiechem na twarzy, z uśmiechem, który mówi, że ma jak najlepsze zamiary. Na komodzie stała klatka, w klatce biegały białe myszki.

Spojrzał na Ferriego.

– Myszy.

– Czyż życie nie jest fantastyczne?

– Po co panu myszy?

– Do badań. Wojna skończyła się jedenaście lat temu. Żyjemy w nowej epoce, w epoce nadziei, mimo to jeśli chodzi o lekarstwo na plagę, jaką jest rak, od tysiąca lat nie posunęliśmy się ani o krok. Zajmuję się chorobami od maleńkości. Już jako dziecko potrafiłem zagospodarować sobie czas. Wiedziałem, czym jest rak, na długo zanim usłyszałem to słowo. Jak ci na imię?

– Lee.

– Zagospodaruj sobie czas, Lee.

Robert zaczął wycofywać się powoli w stronę drzwi.

– Panie kapitanie, myślę, że...

– Że co?

– Że muszę już iść. Zakup karabinu odłożę chyba na później.

– Analizowałem wzorce przypadków – powiedział Ferrie, patrząc na Lee. – Przypadek to nauka, której jeszcze nie odkryto. Nauka o wzorcach przyczynowo-skutkowych. W Baldwin-Wallace studiowałem geopolitykę, zanim nazwano ją geopolityką.

– Lee, idziesz?

Lee też chciał wyjść, mimo to stał tam i uśmiechał się głupkowato do Roberta, który zrobił minę i wyszedł na palcach. Lee pomyślał, że chyba nieładnie jest wychodzić tak nagle. Ale w tym przypadku to Robert powinien zostać, nie on. Robert był prymusem w szkole, był dobrze wychowany, mieszkał w domu z werandą, pośród azalii, dębów i palm.

– Opowiedz mi o sobie – poprosił Ferrie. – I nie zwracaj uwagi na ten bałagan. To rzeczy Alfonsa, Alfreda czy jak mu tam. Co za człowiek! Gdziekolwiek się wprowadzi, choćby tylko na chwilę, od razu widać, że ma złe zamiary. Pływa na holowniku w Port Sulphur. Chłopca z oczami inteligentnymi jak twoje taka praca by nie zainteresowała. Opowiedz mi o swoich oczach.

Siedział głęboko w fotelu. Gdy patrzyło się na niego pod tym kątem, w tym rozmytym świetle, przypominał osiemdziesięcioletniego starca z rozszerzonymi ze strachu oczami. Był całkowicie wycofany. Lee zrozumiał, że zostając, zdobył nad Robertem przewagę, że Robert uciekł za szybko, że ta rozmowa jest zbyt ciekawa, żeby ją sobie odpuścić, i już do końca spotkania z Ferriem przeżywał coś w rodzaju lekkiego rozdwojenia, bo doświadczając tego, co działo się w pokoju, relacjonował to jednocześnie Robertowi. Oczywiście wyobraźni widział sam siebie. Widział, jak opowiada o tym koledze, jak rozkoszuje się swoją swadą, i chociaż działo się to tu i teraz, jego wizja przypominała ożywiony komiks, w którym gwałtownie gestykulując, opowiadał wszystko ze swoistym poczuciem wyższości. Został do samego końca. Czyż istniało coś bardziej tchórzliwego i strachliwego niż myśl, że najważniejsze jest bezpieczeństwo własne, niż ucieczka do domu, do swojej cudownej rodziny i kraciastych derek, zwłaszcza że wszystko skończyło się dobrze?

– Jeśli właściwie zagospodarujesz sobie czas, dokonasz fantastycznych rzeczy. Kiedy byłem w twoim wieku, uczyłem się łaciny. Siedziałem w domu i uczyłem się martwego języka ze strachu, że mnie zauważą, że każą mi zapłacić za to, że jestem tym, kim jestem.

Zapomniał, że ma gościa.

– Cleveland. – Zabrzmiało to jak nazwa zaginionej cywilizacji. – Mój ojciec był policjantem. Dlatego ciągle przesładują mnie myśli o policjantach i agentach FBI, o fedziach. Są jak plaga. Trafisz do ich akt i już nigdy ci nie odpuszczą. Zzerają cię jak rak. Bo są jak rak wieczni.

Dziwak. Jest dziwakiem nawet sam dla siebie.

– Więc co z tym karabinem? – spytał Lee. – Może ja go kupię. Ile on chce?

– Dwadzieścia pięć dolarów. Ale ty daj mi piętnaście. Dla ciebie niech będzie piętnaście. Jesteś moim kadetem, więc piętnaście. Dbam o moich chłopców. Nosisz mundur, a mundur to mundur. Spójrz na mnie. Wkładam mundur i całe to gówno natychmiast ze mnie spływa. Staję się kapitanem. Mówię jak kapitan. Niespokojni wędrowcy nabierają przy mnie pewności siebie. Jakbym latał tym cholernym samolotem.

Wie, że jest dziwny, ale nic nie może na to poradzić.

– Tylko jak przeniosę go do domu?

– Bez żadnego kłopotu. Zawiniesz go w koc. Tam leży. Ci z hotelu nie będą mieli nic przeciwko temu.

Poza wszystkim innym miałby karabin. Z karabinem byłby kimś. Mógłby powiedzieć, że

przeniósł karabin w kradzionym kocu, że szedł z nim przez całe miasto. Ferrie obserwował myszy w klatce i cicho pogwizdywał. Wszystko to dopasowywało się idealnie do opowieści dla Roberta, jak przyszłość w teraźniejszości, jak krótki komiks w samym centrum wydarzeń.

– Pytanie brzmi: czy można wyleczyć chorobę, zanim ona cię zabije? Kiedy już postanowisz świadomie z nią walczyć, tak jak zrobiłem to ja, zanim poznałem znaczenie słowa „rak” ryzykujesz, że się zarazisz. *Comprende?* Zabija cię to, czemu się poświęcasz, twoja totalna obsesja. Jeśli jesteś poetą, zabija cię poezja, i tak dalej. Ludzie wybierają swoją śmierć bez względu na to, czy zdają sobie z tego sprawę, czy nie.

– Gdybyśmy poszukali tego karabinu, to zawinałbym go w koc i już poszedł.

– Niedługo karnawał – odparł Ferrie. – Żegnaj, miśeczko ty moje.

Krzyczy, że chce mu się jeść. Wrzeszczy. Jestem na dole z Myrtle Evans i słyszymy, jak woła matkę: natychmiast pędź na górę, żeby mu coś ugotować, jak każdemu innemu chłopcu.

Nikt nie wiedział tego co on. Nikt nie wiedział o wirze czasu, o jego prawdziwym życiu. To była jego dźwignia, jego jedyna władza. Patrzył, jak matka robi zasmażkę, widział jej lepkie, uwalane mąką ręce nad patelnią o grubym dnie. Nosił dokumenty do towarzystw okrętowych. Leżał w półśnie i pogrążony w zadumie fantazjował o potężnym świecie Oswalda bohatera, o rewolwerach połyskujących w ciemności. Fantazje o władzy. Doskonałość furii, doskonałość żądy, noc, mokre od deszczu ulice, mroczne cienie mężczyzn w czarnych płaszczach, jak te z plakatów filmowych. W mroku była władza. I ten deszcz na pustych ulicach. Wtedy się pojawiali, ciągnąc za sobą długie cienie, a potem w ich rękach pojawiał się karabin, marlin z magazynkiem, pojawiała się myśl o strzale w brzuch, żeby przedłużyć cierpienie.

Świat w świecie. Koba, partyjny pseudonim Stalina. On też wymyślił sobie pseudonim i znajdzie tę komórkę w domach koło doków. Zapamiętał markę, kolor i numer rejestracyjny jakiegoś samochodu. Przejrzał książkę ze zdjęciami rewolucjonistów. Policyjne zdjęcie: Trocki w wieku dziewiętnastu lat. Kolejne: Lenin z profilu i *en face*. Richard Carlson *alias* Herb Philbrick, zwykły obywatel, członek partii komunistycznej, tajny agent FBI.

Znowu klaszcze. Pobudka!

Widział faceta z ręką wytatuowaną od ramienia aż po dłoń, który palił papierosa, siedząc tyłem na motocyklu.

Marzenia o dziewczynie w kraciastej spódnicy. Leży na plecach na łóżku i ma spuszczone nogi. Jest w biało-brązowych butach, białych skarpetkach, białej bluzce, a kraciasta spódniczka sięga jej tuż przed kolana. Bezruch, doskonałość żądy, doskonałość władzy, jej lekko rozchylone białe uda, ręce wzdłuż boków, zamknięte oczy. Na jego rozkaz obraz to znika, to się pojawia. Jedynie tyle o niej wie, tym sposobem sprawuje nad nią władzę, gdy widzi ją w nocy na łóżku, w tym bezruchu nad mokrą od deszczu ulicą. Jest odpowiedniego wzrostu. Nieśmiała, głupia i ma cienkie usta.

Z kilkunastu filmów wie, że postrzał w brzuch przedłuża agonię.

Jej lepkie, białe ręce. Zasmażka jest już gęsta, tłusta i brązowa jak błoto, bo taki ma być sos. Dodała do niej mięsnego wywaru, cebuli i przypraw. Jedli przy kuchennym stole. Ten odgłos, jaki wydawała, żując. Odgłosy zza okna. Zawsze tu była, zawsze go obserwowała, mierzyła myślą ich przeznaczenie. Miał dwa życia, własne i to, które dla niego organizowała. Nie strzelał z marlina. Oddał go mechanikowi samochodowemu, a on trzymał go przez półtora miesiąca i nawet na niego nie spojrział. Pokłócili się o to. Nie bał się bronić swoich praw. W końcu sprzedał karabin za dziesięć dolarów Robertowi Oswaldowi, który wyszedł już z wojska i który zawsze chętnie pomagał młodszemu bratu bez względu na to, czy ten dziękował mu za to, czy nie.

Marguerite siedziała na sofie i oglądała telewizję.

Zdenerwował się, że musi jechać do Nowego Jorku, dodgeem z tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego zresztą, ale właśnie tam stacjonował John Edward z żoną i dzieckiem, no a przecież jesteście rodziną i nigdy nie mogliśmy być razem. Niektóre kobiety w tej sytuacji lekceważą przeszłość. Ale Lee jechał ze mną i Ekdahlem, zresztą podróżował już sam, i to kiedy miał ledwie jedenaście lat, pociągami z Fort Worth do Nowego Orleanu, do mojej siostry, a to przecież osiemset czterdzieści kilometrów. A teraz o tym, czy prowadzi zdrowe, amerykańskie życie. Wysoki sędzie, powiedziałabym tak: w sąsiedztwie mieszka wielu prawych i zamożnych obywateli, ale we Francuskiej Dzielnicy są również włóczędzy i inni tacy. I są różne lokale, bo my, na ten przykład, mieszkamy nad barem, takim, co ma bilard, i wiem, że dzieją się tam różne rzeczy i że na ulicy kwitnie hazard. prostytutek też jest tam w bród. Ale jako matka na swoją obronę powiem, że w ostatnim semestrze, kiedy pracowałam u Kreegera na Canal Street ileś tam, opuścił tylko dziewięć dni. Jego przyszłością i marzeniem jest wstąpić do piechoty morskiej, o co bez przerwy się kłócimy, bo żeby go wzięli, sfałszował zaświadczenie, no i wpadł. Chodzi tylko o to, żeby skończył te siedemnaście lat, chociaż rzucił już szkołę i mówi, że na dobre. To chłopiec, który uśmiecha się, kiedy go biją, który nie może doczekać się dziennika w telewizji. A jeśli chodzi o to, jakie miejsce zajmuję w jego sercu, powiem tylko tyle, że kiedy pracował jako goniec i kurier, za pierwszą wypłatę kupił mi płaszcz za trzydzieści pięć dolarów. Dawał pieniądze na czynsz i na jedzenie, kupił mi papużkę w klatce z poprzeczką i doniczką. Była doniczka z dzikim winem, była klatka, była papużka i pokarm dla papużki. To tylko kwestia adaptacji, wysoki sędzie, a on zawsze się stara. Nie potrafię nawet opisać, jak trudno jest wychowywać synów bez ojca. Mówiłam slangiem, pracowałam w sklepie pończoszniczym, kiedy pan Ekdahl oświadczył mi się w samochodzie. Kazałam mu czekać cały rok, a był po Harvardzie. I zawsze, na przekór wszystkiemu, udawało mi się stworzyć dzieciom dom. Często mówiono mi komplementy, że ładnie wyglądam, często podziwiano moje miłe akcenciki tu i tam, a teraz myślę, że znowu pojedziemy do Teksasu, żeby pomieszkać z jego bratem Robertem, żeby znowu być rodziną i żeby chłopak miał brata. I nie chcę już słyszeć, że ciągle wzywam tych od przeprowadzek. W wieku, w którym żyjemy, przeprowadzki są najważniejsze. Mam trzech synów i kiedy Lee leżał jeszcze w kołysce, sprzedawałam igły, nici i włóczkę w swoim własnym sklepie, we frontowym pokoju domu przy Bartholomew Street, takim kanadyjskim, z własnym podwórkiem. Byłam lubianym dzieckiem, wysoki sędzie. Miałam pięcioro rodzeństwa i byłam szczęśliwa, a ojciec wychował mnie na patriotkę. Ale nawet i bez ojca robiłabym, co tylko bym mogła, żeby wychować tak moje dziecko. Bez względu na to, co tamci mówią, a mówią przez cały czas, Lee dobrze wie, kto był jego główną podporą od chwili, gdy wróciłam z nim z Old French Hospital przy Orlean Avenue. Nie jestem koszmarem z jego snów.

Na ekranie ukazał się George Gobel, krępy, krótko ostrzyżony, z drwiącym uśmiechem na ustach – przytknął rękę do czoła w czymś w rodzaju błazeńskiego pozdrowienia małomiasteczkowej braci studenckiej.

Lee czytał u siebie o zamianie wartości dodatkowej na kapitał, śledząc tekst palcem wskazującym, słowo po słowie, słowo po słowie.

26 kwietnia

Śmieci z kieszeni. Win Everett opracowywał ogólny kształt, opracowywał nowe życie. Zwerbuję snajpera ze zwykłych kartek papieru, takich z oślimi uszami, z zawartości portfela. Parmenter podprowadzi formularze z archiwum. Mackey znajdzie wzorzec dla postaci, którą on właśnie tworzył. Potrzebowali nazwiska, twarzy, ciała, dzięki któremu mogliby przełożyć tę fikcję na realia. Postanowił, że jedna postać będzie nieco bardziej widoczna niż pozostałe, że będzie to człowiek, na którym skupi się śledztwo, ktoś, kogo policja wytropi i być może nawet zatrzyma. Trzech czy czterech snajperów przypadnie jak kamień w wodę, pozostawiając za sobą nikły ślad. Ludzie mówiący po hiszpańsku, Meksykanie albo Panamczycy wyszkoleni specjalnie do misji na Kubie. I ten jeden dodatkowo, ten wyraźniej widoczny, ten, którego być może pozostawią samemu sobie na stanowisku strzeleckim, żeby uciekł na własną rękę, żeby ci z tajnych służb, FBI czy z miejscowej policji wpadli na jego trop, żeby go znaleźli, może nawet zabili. Żeby zrobili z nim to, co przewiduje regulamin. Musi to być dobry strzelec, ktoś anonimowy, bez przeszłości, ktoś, kto wypływa na mętne wody, kto znika, kogo policja aresztuje za akty przemocy, kogo następnie wypuszcza, żeby znowu mógł snuć się bez celu, a potem wypłynąć gdzieś i ponownie zniknąć. Mackey go znajdzie. Będą potrzebowali odcisków palców, próbki pisma, zdjęcia. Mackey znajdzie i pozostałych snajperów. Nie zabijemy prezydenta. Spudłujemy. Chodzi o wielkie, spektakularne pudło.

Siedział samotnie na ganku. Na wiklinowym stoliku stała szklanka lemoniady. W pudełkach, skrzynkach okiennych i w doniczkach na stopniach schodów rosły kwiaty. Brzegi ceglanej ścieżki były wysadzone trawą. Czekał na Mary Frances.

Ze wszystkich miast, gdzie mogliby przeprowadzić zamach, najoczywistsze wydawało się Miami. Setki uchodźczych frakcji konspirowało tam, dało ze sobą koty i czekało na kolejną okazję – *movimientos, juntas, uniones*. Wyobraził sobie, jak wieść roznosi się po całej okolicy, po jego starych terenach łowieckich: La Moderne Hotel, kwaterach przywódców Frente. W Miami mogli liczyć na oddźwięk, na zapal i gorliwość. Było to miasto otwartych ran, gwałtownie rozpolitykowane i pełne animozji. Właśnie ta łatwopalność, ten kubański blask i gorączka sprawiły, że nie wtajemniczył w plan antycastrowskich przywódców.

Kennedy był tam przed czterema miesiącami, żeby przyjąć sztandar brygady z rąk tych, którzy przeżyli inwazję; wielu z nich wykupiono tuż przedtem z kubańskich więzień. To było uczuciowe oczyszczenie, oczyszczenie konieczne. Otwarcie przyznano się do klęski, którą uczczono w obecności czterdziestu tysięcy ludzi na stadionie futbolowym – na fali powszechnego nawrócenia wszystkie ocenzone dotąd materiały przesłano do TV-landu, dzięki czemu Everett mógł je teraz oglądać. Szanował prezydenta za to, że pojechał do Miami. Był zaskoczony i wzruszony, gdy jego żona rozmawiała po hiszpańsku z żołnierzami. Lecz ceremonia ta nic nie dała, nie odnowiła i nie wzmogła tęsknoty za wolną Hawaną. Chodziło tylko o wizerunek publiczny, tak to teraz postrzegał, o promienną symbolikę, która towarzyszyła każdemu posunięciu nowej administracji.

Przed dom zajechał samochód i Win poszedł pomóc żonie. Chwycił ciężkie torby. Od wschodu powiał wiatr, zapowiedź deszczu, nagła i wszechogarniająca. Patrząc na siebie z zewnątrz, zobaczył mężczyzną na cichej uliczce, mężczyznę robiącego zwykle, normalne rzeczy, nieobawiającego się, że ktoś go obserwuje.

Wszedł do spiżarni, a ona zaczęła podawać mu zakupy. Przepaliła się żarówka, więc układał

je na półkach po ciemku. Lekki, trącający myszką zapach, chłód małego pomieszczenia i znajome nalepki na słoikach i puszkach sprawiły, że poczuł się jak stare, zmęczone dziecko, jak ktoś, komu pozwolono przeżyć na nowo najprostsze, najgłębsze chwile, chwile, które pozostawiły blizny na sercu, dowody nie minionego bólu, tylko czasu jako takiego, czasu obciążonego przytłaczającymi, systematycznymi stratami. Próbował utrwalić w pamięci tę przepaloną żarówkę, żeby nie zapomnieć jej wymienić. Zatrzęsło się niebo i przypomniały mu się burze z lat, gdy dorastał na wsi, gdy był chłopcem, który widząc posepniejący w zmieniającym się świetle krajobraz, udawał głupszego niż jego bracia. Wszystko było podszyte strachem. Strach spływał z powietrza na rzeczy i dzieci. Te przydymione burze na horyzoncie. Stał wtedy w spiżarni i liczył do pięćdziesięciu, bo po pięćdziesięciu grzmot cichł.

- Muszę odebrać Suzanne.
- Dokończę sam – odparł.
- Nie masz zajęć?
- Odwołane.
- Chcę wpaść do Penny po kilka rzeczy.
- Wszyscy powinniśmy tam wpaść.
- Nie, muszę coś kupić. Tylko na chwilę.
- Ten sklep jest dla nas jak dom.
- Żarówki trzyma za schodami.
- Czyta w moich myślach. O wszystkim za mnie pamięta.
- Tylko na chwilę.

Parmenter uprzedziłby go, gdyby JFK zamierzał ponownie odwiedzić Miami. Prędzej czy później prezydent skrzyknie stado pomagierów, ochroniarzy, pismaków i klakierów i wyjdzie na ulicę w jakimś mieście, gdzie będzie stanowił łatwy cel. Na Miami Everett był skłonny czekać nawet rok. Tam przesłanie byłoby najwyraźniejsze: strzał z dużej odległości, z ostrego kąta, z celownikiem optycznym, bez bezsensownej jatki, jaką mógłby urządzić przyczajony w tłumie szaleniec z domowym pistoletem.

Ruszył za żoną do drzwi.

Plan byłby całkowitą kłapą, gdyby w jego poszczególnych warstwach nie odkryto dowodów na to, że w próbie zamachu na Fidela Castro maczała palce CIA, że po części maczał w tym palce i on. To była niespodzianka, którą chciał zachować na sam koniec. Jego osobisty wkład dla tych zorientowanych. Niechaj wiedzą, co dzieje się w salach obrad różnych komisji i narożnych gabinetach. Żeby śledczy odkryli, że Kennedy chciał zabić Fidela, że zorganizowano w tym celu spisek, że zatwierdzono go na najwyższych szczeblach władzy i skierowano do realizacji, że Fidel i jego najbliżsi doradcy postanowili odpowiedzieć ciosem na cios – żeby to wszystko zrobić, musieli podsunąć im śmieci, drobne kłaczki z kieszeni, rzeczy snajpera i mylące dowody, musieli wpuścić ich w mroczne zaułki. Taki oto główny podtekst i moralne przesłanie tkwiło w planie Wina Everetta.

Dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku w Occidental Restaurant łączyły pewne podobieństwa fizyczne. Obydwaj mieli ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, obydwaj byli kosztownie ubrani, krzepcy i atletycznie zbudowani i obydwaj czuli się na luzie w tym teatrze Kennedych, w tej stolicy męskości, pewności siebie, obietnicy i odwagi niezbędnej do podejmowania największego ryzyka.

Laurence Parmenter, z pięć lat młodszy od tego drugiego, mówił z akcentem dobrze wykształconego mieszkańca Wschodniego Wybrzeża, lekko przeciągając sylaby, żeby wyrazić w ten sposób ironiczne poczucie wartości własnej.

Jego kolega, George de Mohrenschildt, który mieszkał teraz w Dallas, też mówił z akcentem, obcym i wytwornym. Nie miał nic przeciwko temu, żeby uchodzić za mieszkańca kontynentu. I w sumie nim był. Był czarującym światowcem i mówił płynnie po rosyjsku, angielsku, francusku, hiszpańsku i prawdopodobnie też w języku tego czy jakimkolwiek językiem tam mówią (Parmenter był w Togo w 1958, podając się za filatelistę). Larry go lubił. Znał go od kilku lat i wiedział, że po licznych zagranicznych wyprawach przesłuchiowano go w CIA. Ale chociaż ich interesy parokrotnie się ze sobą splatały, nie był pewien, czym George zajmuje się naprawdę.

– A w maju jadę na Haiti – powiedział de Mohrenschildt.

– Można spytać po co?

– Ależ oczywiście. Będę szukał tam ropy. Haitańczycy dają mi koncesję na uprawę sizalu.

– Potrzebują pomocy w poszukiwaniach sizalu?

– Sizal rośnie chyba na ziemi, a nie pod ziemią.

Z trudem powstrzymali śmiech.

– Pojawiasz się w ciekawych miejscach, George.

Tym razem nie wytrzymali i wybuchnęli śmiechem, Wspominając to samo wydarzenie. Kiedy Parmenter wszedł do kliniki w zapadłym miasteczku niedaleko bazy powietrznej CIA w południowo-zachodniej Gwatemali, gdzie przed Zatoką Świń szkolono kubańskich pilotów i amerykańskich doradców. Wszedł i w zapuszczonej poczekalni zobaczył George'a w koszuli ze skóry aligatora i w szortach z madrasu, George'a de Mohrenschildta znanego również jako Jerzy Sergius von Mohrenschildt. Powiedział, że wędruje po Ameryce Środkowej.

– Skończyło się koszmarnie – mówił George. – Jeśli w ogóle się skończyło.

– Chyba można tak powiedzieć.

– Nasza administracja wciąż straszy Castro. To idiotyczne i zupełnie niepotrzebne. Powiem więcej. Ta administracja cały czas kręci się wokół malutkiego, komunistycznego węgielka, jakim jest Kuba. To brzmi jak jakiś żart, Larry, i mówię to, wiedząc, po której stronie tego kubańskiego płotu stoisz. Oczywiście to twoja praca i ja to szanuję.

– To była moja praca. Teraz im tylko pomagam.

– Chciałbym wierzyć, że administracja Kennedy'ego niczego już nie planuje.

– Absolutnie. Kryzys rakietowy został zażegnany w tym znaczeniu, że już nigdy nie będziemy planować ataku na Kubę. Kennedy miał okazję pozbyć się Castro, a skończyło się na tym, że gwarantuje mu pracę. Nikt się już tym nie interesuje. Zaangażowanie w sprawę jest zerowe. Od żarliwego oddania i poświęcenia przeszliśmy do wyniosłości i całkowitej obojętności, i to w rekordowym czasie.

– To amerykańska choroba – odrzekł z ciepłym uśmiechem George.

De Mohrenschildt był z zawodu inżynierem naftowym, lecz wyglądało na to, że poświęca tej profesji niewiele czasu. Larry wiedział, że ma już czwartą żonę i że wszystkie poprzednie pochodziły z bogatych rodzin. Jednakże żony nie tłumaczyły jego jawnej współpracy z nazistami podczas drugiej wojny światowej, jego powiązań z polskim i francuskim wywiadem, powodów wydalenia z Meksyku, nieskrywanym sympatii komunistycznych podczas studiów na Tekszańskim Uniwersytecie Stanowym, kontaktów z Sowietami w Wenezueli, rozbieżności w oficjalnym życiorysie, podróży do zachodniej Afryki, do Ameryki Środkowej, do Jugosławii i na Kubę.

Ciągle albo go zatrzymywano, albo strzelano do niego, gdy szkicował plany nabrzeżnych instalacji wojskowych w strategicznych rejonach tego czy innego kraju.

Znał za to Jackie Kennedy albo jej rodziców, albo też kogoś z rodziny, wpadał do Racquet Club, ilekroć bywał w Nowym Jorku, poza tym, teoretycznie rzecz biorąc, miał prawo do tytułu barona. A jego ciągle zmieniająca się przeszłość tylko przydawała mu atrakcyjności.

– Kiedy wyjeżdżasz z Waszyngtonu?

– Jutro jadę do Nowego Jorku, potem do Dallas.

– Myślałem, że Dallas to teren Walkera – odparł Larry. – Któż tak ciągle do niego strzela?

– Ten Walker to faszysta i degenerat. Niebezpieczny rasista i organizator antykubańskich krucjat. Bo Kuba tak właśnie na nas działa. Wzbudza nasze najgorsze obsesje. Oto masz generała, którego pozbawiają dowództwa za to, że głosi prawicowe poglądy, który prowadzi rasistowską kampanię w Missisipi, który trafia do domu wariatów, żeby w końcu wylądować w Dallas, gdzie gazety wypisują bzdury o Stowarzyszeniu Johna Bircha i cytują jego tyrady. To żywa nienawiść, Larry. Jego prowokacje doprowadziły do śmierci dwóch osób w Missisipi. To mały Hitler. Proste.

– Mówisz tak, jakbyś sam chciał go zastrzelić.

– Żebyś wiedział, chętnie bym to zrobił. I chyba wiem, kto próbował go zabić.

Kelner zanurkował pod stół w poszukiwaniu upuszczonej łyżki.

– Pewien chłopak; poznałem go w Dallas. Nazywam go chłopakiem, bo ma dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata. Ja przekroczyłem już pięćdziesiątkę, więc wszyscy młodszy są dla mnie chłopakami i dziewczynami. Pod warunkiem, że chłopak nie wygląda jak dziewczyna i *vice versa*.

– Dlaczego zainteresował się Walkerem?

– Polityka, to proste. W pięćdziesiątym dziewiątym wychodzi z wojska i co robi? Ucieka do Związku Sowieckiego. Wysyłają go do jakiejś fabryki w Mińsku. Oczywiście szybko przychodzi rozczarowanie, więc wraca do kraju. Interesuje się nim Agencja. Wydział kontaktów wewnętrznych prosi mnie, żebym z nim pogadał.

– Przyjacielskie przesłuchanie.

– Otóż to. Traktuję go jak syna. Wypyuję, co tam widział, słyszał, wąchał i jadł. Szybko się polubiliśmy. Szczerze mówiąc, myślę, że to moje poglądy skłoniły go do zamachu na Walkera.

– Ale nie jesteś tego pewien.

– Nie do końca.

– Nie przyznał się.

– Nie powiedział na ten temat ani słowa. Ale wszystko na to wskazywało. Atmosfera rozmów, wzmianki, jego gesty. Rozumiesz? I bardzo ciekawe zdjęcie, które mi przysłał. Szczerze żałuję, że chybił.

Na powrót zajęli się jedzeniem, lunchem. Znowu dotarły do nich głosy i dochodzące zewsząd szumy, fala ekscytujących wieści, cały ten cywilizowany rozgwar. George powiedział coś absolutnie trafnego na temat wina, którym zakręcił w kieliszku na wysokiej nóżce. Tuż obok przeszła spiesznie jakaś kobieta, ładna, poirytowana i szczęśliwa, że wyprawa do restauracji nareszcie dobiegła końca, bo w drodze do tej oazy spokoju i dostatku przeżyła wiele osobistych dramatów i musiała pokonać wiele długich korków ulicznych. Bywały takie chwile, kiedy Larry dochodził do wniosku, że główną atrakcją dla mieszkańców Zachodu jest lunch w luksusowej restauracji.

– A propos polityki – rzucił. – Ten twój młody przyjaciel bardzo lewicuje?

– W polityce są emocje, jest i psychologia. Znam go dość dobrze, ale skłamałbym, mówiąc, że potrafię to dokładnie określić. Może jest ortodoksyjnym marksistą, najzagorzalszym z zagorzałych zwolenników komunizmu. Ale może też być dobrym aktorem. Na sto procent wiem tylko jedno: że jest straszliwie biedny, że żyje w skrajnej nędzy, że... Że co?

– Że nie śmierdzi groszem.

– Właśnie. Ożenił się z uroczą, wprost przeuroczą dziewczyną. Naprawdę, z jedną z tych rosyjskich piękności, takich z drobną skazą. Jest delikatna i niewinna. Mówi cudowną

ruszczyzną, wiesz? Prawdziwą, nie tą sowiecką. Jej wujek pracuje w ich Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Larry nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. To było wspaniałe, naprawdę wspaniałe. Wszyscy byli naiwniakami, szpiegami albo wtykami, podwójnymi agentami, kurierami, wyrzutkami, uciekinierami, byli albo mieli coś z nimi wspólnego. Tak, wszystkich nas połączył bezmiar rytmicznego przypadku, łańcuch plotek, podejrzeń i sekretnych życzeń. George też się śmiał, cudownym, dudniącym śmiechem. Patrzyli na siebie i się śmiali. Śmiali się, bo rozumieli wspaniałość życia, cudowną i odrażającą naturę ludzkich spraw, bo doceniali dobre jedzenie, picie i znakomitą obsługę, bo cieszyły ich zniszczone kariery, cały ten nabrzmiały ropień szaleństwa i żalu. Larry czuł, że jest czerwony na twarzy, syty i lekko wstawiony, czuł, że jest po prostu dobrze. Pozdrowił ich ambasador Hondurasu. Ktoś z Pemexu opowiedział im wspaniały świński dowcip. To był uroczy lunch. Lunch wyborny, kapitalny, taki jak trzeba.

Parmenter wrócił autobusem do Langley. Wrócił i napisał notatkę dla tych z Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego, w której zażądał, żeby natychmiast przeświecono George'a de Mohrenschildta.

Gdzieś tu, w tym pokoju teorii, w jakimś notatniku czy teczce, Nicholas Branch miał listę trupów. Spis nazwisk świadków, informatorów, śledczych, ludzi powiązanych z Lee H. Oswaldem, ludzi powiązanych z Jackiem Rubym, ludzi niedwuznacznie i dogodnie martwych. W 1979 roku komisja specjalna Izby Reprezentantów uznała, że we wskaźniku śmiertelności osób powiązanych z wydarzeniami z 22 listopada nie ma niczego statystycznie nienormalnego. Branch akceptuje to jako aktuarialny fakt. Píše historię, a nie studium paranoi. Wieloznacznościom nie ma końca. Branch się z tym godzi. Zna mowę śmierci. Zginął od strzału w tył głowy. Poderżnięto mu gardło. Zastrzelony na posterunku policyjnym. Zastrzelony w motelu. Zastrzelona przez męża miesiąc po ślubie. Powiesiła się w więziennej celi na rybaczkach. Zabity ciosem karate. To neonowa epika sobotniej nocy. I Branch chce w to wierzyć. Wystarczy, że tajemnice tkwią w samych faktach, że roi się tu od knozań, przypadków, urwanych wątków, wątków, które utknęły w ślepym zaułku, od wielorakich interpretacji. Uważa, że nie ma potrzeby wymyślać wielkiego, mistrzowskiego spisku, idealnej zмовy, która rozrasta się w kilkunastu kierunkach naraz.

Mimo to echo tych spraw wciąż pobrzmiwa, prawda? Zmarli są w większości anonimowi. Egzotyczne tancerki, kierowcy taksówek, sprzedawczynie papierosów, sterani prawnicy z łupieżem na kłapach marynarki. Lecz z biegiem lat śmierć dosięgła i innych i z każdą nową serią nieszczęśliwych przypadków Branch ponownie stwierdza, że zamach ten rzuca potężne i trwałe światło, odsłaniając wzorce, schematy i powiązania, ujawniając, że ten człowiek znał tamtego, że ta śmierć jest dziwna w zestawieniu z tamtą.

George de Mohrenschildt, światowiec o wielu narodowościach, studium podzielonych lojalności lub całkowitego ich braku, człowiek, który przyjaźnił się z Oswaldem, ginie w marcu 1977 roku w Palm Beach od strzału w usta ze strzelby dużego kalibru. Uznano, że popełnił samobójstwo.

Tydzień później, w Miami Beach, policja znajduje zwłoki Carlosa Prio Socarrasa, byłego prezydenta Kuby, milionera i handlarza bronią, powiązanego poprzez informatora z Jackiem Rubym. Ciało spoczywa na krześle, tuż obok leży pistolet. Samobójstwo.

Zwłoki Davida Williama Ferriego, zawodowego pilota, onkologa amatora i antycastrowskiego bojownika, zostają znalezione w jego nowoorleańskim mieszkaniu w lutym 1967 roku, pięć dni po tym, gdy prasa połączyła jego nazwisko z zamachem na Kennedy'ego. Koroner stwierdza zgon z powodów naturalnych, lecz niektórzy zastanawiają się, jakim cudem Ferrie znalazł czas na napisanie pożegnalnego listu, skoro miał właśnie wylew. („I tak oto umieram sam i

niekochany”). Wśród jego rzeczy są trzy czyste paszporty, czterdziestopięciokilogramowa bomba, kilka strzelb, bagnetów, pistolet sygnałowy i pełny naonczas komplet książek oraz innych materiałów na temat zamachu na Kennedy’ego.

Eladia del Valle, jego znajomego i szefa Komitetu na rzecz Uwolnienia Kuby, znaleziono martwego tego samego dnia, w samochodzie w Miami. Kilkakrotnie strzelono mu z bliska w pierś i rozłupano głowę siekierą. Policja nikogo nie aresztowała.

Dokumenty piętrzą się wszędzie. Branch ma raporty z wydziału zabójstw i protokoły z sekcji zwłok. Ma wyniki badań spektrograficznych fragmentów kul. Ma raporty akustyków i ekspertów od analizy niewyraźnych zdjęć. Sam te zdjęcia analizował, pochylając się nad fotografiami z Dealey Plaza, zrobionymi przez ludzi, którzy przyszli tam – tak przynajmniej myśleli – zobaczyć przejeżdżającego ulicą prezydenta. Ma lupę. Ma dokładny rozkład linii widzenia wszystkich aparatów fotograficznych.

Kurator przysłała mu transkrypty z zamkniętych przesłuchań na komisjach śledczych. Przysłała dokumenty odtajnione na mocy *Aktu o swobodnym dostępie do informacji*, dokumenty tajne, niedostępne dla innych śledczych lub mocno ocenzone. Cały czas przysłała nowe książki, każda z nową, błyskotliwą teorią, z teorią absolutnie pewną i do przyjęcia. Jest to pokój teorii, pokój starzenia. Branch zastanawia się, czy kiedykolwiek skończy, czy powinien z tego powodu wpaść w rozpacz.

Jest tu i dokumentacja FBI, sto dwadzieścia pięć tysięcy stron pełnych lęku i zgryzoty. Kurator przysłała też coraz to nowe materiały na temat pobytu Oswalda w Rosji, materiały z przesłuchań byłego funkcjonariusza KGB (nie był pierwszym uciekinierem, który zaferował im swoją wersję wydarzeń). Są i nowe materiały na temat Everetta i Parmentera, Ramona Beniteza i Franka Vásqueza. Dane sprzed lat ciurkają jak woda. I jak woda skapują do mózgu. Camp Street 544 w Nowym Orleanie, najgłośniejszy adres w kronikach zamachu. Budynek już dawno nie istnieje i jest tam teraz centrum handlowe. Kurator przysłała najnowsze zdjęcia i Branch rozumie, że musi je dokładnie obejrzeć, chociaż nie mają żadnego związku ze sprawą. Granitowe ławki, ceglane alejki, sponsorowana rzeźba o nazwie *Stamtąd*.

Branch musi obejrzeć i przeanalizować wszystko. Nie może sobie pozwolić na selekcjonowanie, za głęboko w tym tkwi.

Siedzi owinięty szlafrokiem i się martwi. Bo tak naprawdę to prawie niczego jeszcze nie napisał. Ma obszerne i pokrywające się ze sobą notatki – notatki w prawie metrowej wysokości stertach, całe lata notatek. Ale tekstu jako takiego napisał bardzo mało. Ciągle zbiera dane, nie może przestać. Bo dane nieustannie spływają. Musi oceniać coraz to nowe teorie, musi przemyśliwać i oplakiwać coraz to nowe życiorysy. Nikt z CIA nigdy go nie skontrolował. Nikt nie przeczytał tego, co pisze, ani rozdziału, ani jednej strony, ani słowa. Branch współpracuje już z drugim kuratorem i szóstym dyrektorem CIA. Od 1973 roku, kiedy się to wszystko zaczęło, zaliczył Schlesingera, Colby’ego, Busha, Turnera, Caseya i Webstera. Nie wie, czy powiedziano im, że ktoś spisuje tajną historię zamachu. Może nie wie o tym nikt oprócz kuratora i dwóch czy trzech osób z archiwum CIA. Może nikt tej historii nigdy nie przeczyta.

T.J. Mackey stał po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko zapuszczonego dwupiętrowego domu, w którym mieściła się agencja detektywistyczna Guya Banistera. Miał jasnobrzowe, krótko ostrzyżone włosy, był w obcisłej sportowej koszuli i ciemnych okularach. Nieustannie zaciskał i rozwierał pięść, jak to on. Między palcami był wytatuowany ptak i kiedy T.J. rozwierał dłoń, ptak rozpościerał skrzydła.

Obserwował kogoś na Camp Street, trzęsącą się staruszkę w długim płaszczu i białych skarpetach do kostek, jedną z zagubionych dusz tej nieprzyjemnej wiosny 1963 roku, już teraz

zbyt gorącej, parnej i wilgotnej. Zaciekawilo go to, że nieustannie zmieniała tempo marszu. Że zwalniała, żeby inni ją wyprzedzili. Nieufnie skulona, szła tuż przy ścianie domu numer 544, popędzając ludzi ręką. Chciała mieć ich przed sobą, chciała ich widzieć.

Mackeyowi bardzo się to podobało. Był tu już od tygodnia i widział wielu szurniętych pijaczków, lecz nikogo z tak paranoidalnym poczuciem humoru.

Wokoło stały stare magazyny, parzalnie kawy i tanie hoteliki. Nad starym wejściem do domu numer 544, teraz już zamurowanym, widział niewyraźny napis: „Gmach Portowców i Dokerów”. Przeciął jezdnię i wszedł do środka. Biuro mieściło się na pierwszym piętrze. Banister siedział przy biurku, twarde, ponure chłopsko w wieku sześćdziesięciu kilku lat. Miał na koncie dwadzieścia lat pracy w FBI, był podinspektorem nowoorleańskiej policji, członkiem Stowarzyszenia Johna Bircha i minutemanem, żołnierzem amerykańskiej armii obywatelskiej. Na widok Mackeya otworzył dolną szufladę. Zaproszenie na drinka. T-Jay odmówił gestem ręki i przystawił sobie krzesło.

– Nie chcesz się ze mną napić. Nie chcesz mi powiedzieć, gdzie się, u diabła, zatrzymałeś.

– Jutro wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Na Farmę.

– Demonstrować kaczanom ze Swarthmore, jak łamać żółtkom karki. Wspaniałe życie.

– Zwyczajne zadanie.

– Nie, T-Jay. Ktoś taki jak ty, ktoś, kto ryzykował życie... to jest, kurwa, czyste marnotrawstwo. Jest parę rzeczy, za które Kennedy musi odpowiedzieć. Najpierw rozpoczyna inwazję bez właściwego wsparcia powietrznego, a potem każe nam za to płacić. Jego ludzie napadają na bazy bojowników i przechwytyją transporty broni.

– Po co mnie tu ściągnąłeś, Guy? Mieliście czas.

– To nie takie proste.

– Macie więcej broni niż meksykańska armia.

– Są pewne priorytety – odparł Banister. – Wydaje się, że czeka nas gorące lato.

– Muszę zobaczyć pieniądze, Guy. Utrzymanie, żołd, wysokie rozłakowe.

– Ilu ludzi?

– Powiedzmy, że kilkunastu. Poza tym niewykluczone, że będę potrzebował pilota.

– Pilot może tu być za dziesięć minut.

– Niech to szlag!

– Uspokój się.

– Tylko nie on.

– Zapomnij o jego wyglądzie i o tym, co wygaduje, on tak na pokaz. Ferrie jest dobry. Potrafi latać samolotem tyłem naprzód. Ma pierwszorzędne kontakty. Robi u adwokata Carmine Latty. Wchodzi do domu Latty i całymi torbami wynosi stamtąd forszę. Wszystko dla sprawy. Może wynająć mały samolot bez żadnych pytań i papierków. Szuka teraz C-47, bo chce wywieźć stamtąd materiały wybuchowe.

Banister ponownie otworzył szufladę, wyjął z niej ćwiartkę early times i sięgnął na półkę po dwa kubki do kawy.

– Wysyłam transport na Florida Keys – powiedział – do punktu zbornego. Karabiny, miny lądowe, dynamit, ręczne wyrzutnie przeciwpancerne, miny moździerzowe. Posłuchaj tylko tego: i kanistry z napalmem.

Mackey odnotował wyraz tych srebrzystych oczu. To, że Banister wściekał się na rząd Kennedy'ego, było po części reakcją na ich życie publiczne, na ludzi prezydenta, którzy promienieli przed obiektywami aparatów fotograficznych. Czar Kennedy'ego, charyzma

Kennedy'ego. Jego nienawiść miała w sobie siłę fizyczną, można ją było zmierzyć. Dzięki niej przetrwał wszystkie rozczarowania zawodowe i przejście na emeryturę, dzięki niej wychodził z każdej choroby. Spotkali się wzrokiem. W jego oczach tłoczyło się tyle uczuć, tyle wspomnień, smutku, tyle przekonań. Kuba stracona, Kuba, którą odzyskają – była to chwila tak gęsta od ludzkich doznań, tak głęboka, tak bogata w skojarzenia i przepełniona mocą rzeczy niewypowiedzianych, że T-Jay uciekł wzrokiem w bok. Łączyło ich zbyt wiele takich samych myśli.

– Skąd wzięłeś towar?

– Z leśnego magazynu. Włożyliśmy klucz do zamka, i po robocie.

– Kto to zorganizował?

– To był tajny magazyn CIA. Broń, której nie wykorzystano w Zatoce. Ale na pewno o tym wiesz.

– Ostatnio mało wiem.

– Cały czas zgłaszają się do nas nowi rekruci. Chcą spróbować jeszcze raz. Szkolimy ich w obozie niedaleko stąd. Do tej pory nie mieliśmy żadnych, kurwa, kłopotów, odpukać w niemalowane, bo osobiście wszystkiego pilnowałem i jakoś dogadywałem się z federalnymi. Ale ten cały Kennedy zaczyna z nami pogrywać. Wiesz, że przywódcy uchodźców nie mają prawa przekraczać granic hrabstwa Dade? Że nie mogą nigdzie wyjechać? Wydał zakaz. Normalizuje stosunki z Fidalem. Gada z Sowietami. Pójdą na ugodę. My zagwarantujemy, że Kuba pozostanie komunistyczna. W zamian za co Moskwa nie będzie przeszkadzała Jackowi w drugiej kadencji. Zależy mu na ochronie i na bezpieczeństwie własnym, poniekąd słusznie, bo powinien bardziej na siebie uważać.

Rozlał burbona.

– Co to było w Dallas parę tygodni temu?

– Strzelali do Walkera – odparł Mackey.

– Pewnie jakiś czarnuch. Złapali go?

Mackey usłyszał podstępną nutkę w jego głosie. O Walkerze rozpisywano się jak o gwiazdce filmowej, której grozi niebezpieczeństwo. To, że ktoś strzelał do niego zza podwórkowego płotu, stojąc na palcach, że strzelał i chybił, było według niego najlepszą zapłatą za tę swoistą sławę. Degradowało to generała do statusu przypadkowego celu dla jakiegoś nieobeznanego z bronią wuja Toma.

– No, dobra. Zakładając, że zorganizuję te karabiny.

– I celowniki optyczne.

– Co mam z nimi zrobić?

– Masz je przechować – odparł Mackey.

– O kim my właściwie mówimy?

– W bezpiecznym miejscu, gotowe do użycia.

– Guy, jaki jest temat tego spotkania? Muszę mieć pewność, że całkowicie sobie ufamy.

– Dobrze wiesz, że ufamy. Uwierz mi na słowo. Inaczej by mnie tu nie było.

– Nie mów tak, bo czuję, że robię się za stary do pewnych rzeczy. To mój zawód. Dla ludzi takich jak my istnieje tylko jeden temat.

Płatki odłóżącej farby na blacie biurka i na podłodze, stalowe szafki pokryte kurzem. W szafkach akta. Banister zakładał je wszystkim wstępującym na ochotnika do antykubańskich bojówek na tym terenie. Miał też mikrofilmy z dokumentacją działalności lewicowej w Luizjanie. Z nazwiskami znanych komunistów. Miał materiały FBI, akta agentów Fidela Castro i jego sympatyków. Podręczniki walki partyzanckiej, stare numery rasistowskiego pisma, które wydawał. Miał akta organizacji, które wynajmowały biura przy Camp Street 544, teraz i w

przeszłości, w tym także akta Kubańskiej Rady Rewolucyjnej, stowarzyszenia ugrupowań antykubańskich, które przy jego pomocy zorganizowała CIA.

– Tacy jak my – powiedział – mają dylemat. My, poważni ludzie, którzy nie mogą się spełnić. Bo wyrzucą nas i co? Usiądziemy spokojnie w fotelu na trawniku przed domem i będziemy tak siedzieć? Normalne, codzienne zajęcia nie spełniają naszych oczekiwań. – Roześmiał się wesoło. – Pracując w FBI, przez dwadzieścia parę lat byłem członkiem wyjątkowej społeczności, która zaspokajała moje najważniejsze potrzeby naturalne. Tajemnice, którymi można było pohandlować. Których trzeba było strzec. Niebezpieczeństwo. Okazja do sprawdzenia się w trudnej sytuacji, do pomachania komuś spluwą pod nos. Zakłęta społeczność. Jeśli masz przestępcze skłonności, nie mówię tego o sobie czy o tobie, najlepiej ci będzie w policji czy służbach specjalnych. – Krótki, wesoły śmiech. – Ciekawe, ile z mojej męskości spłynęło do kibla? Chciałbym to sprawdzić. Na początku służby przydzielili mnie do sprawy Dillingera. Wróg publiczny numer jeden. Słynny finał; dorwaliśmy go, kiedy w parny wieczór wychodził z Biographu w Chicago. Podczas wojny służyłem w Biurze Wywiadu Marynarki Wojennej, tak jak młody Jack Kennedy. – Pociągnął łyk burbona. – Szpiegowanie, praca pod przykrywką. W naszej społeczności wojna trwa zawsze. Prawo ma mało do zaoferowania.

Odstawił kubek, pomacał ręką po gazetach i teczkach w poszukiwaniu papierosów.

– W Stowarzyszeniu Johna Bircha mamy sto tysięcy członków – ciągnął. – O wiele za dużo, nie da się nad nimi zapanować. Jest generał Ted Walker, który jeździ z wielebnym Billym Jamesem Hargisem od wybrzeża do wybrzeża w tym swoim dziesięciolitrowym cylindrze na głowie. Minutemanów jest mniej i są bardziej przyczajeni. Ale jest wśród nich zapał, któremu nie ufam. Czekają na ten rozstrzygający dzień. Pochowali magazynki po garażach i wiedzą, że dzień ten szybko się zbliża. Pomylili politykę z drugim nadejściem Chrystusa. Z uznaniem przyglądam się temu, jak pracujesz. Chcesz zorganizować oddział mały, zwarty i mobilny. Nie jakieś tam gówno z list adresowych. Nie chcesz teoretyzować i debatować. Szybkie, silne uderzenie, o to ci chodzi. Dwóch, trzech ludzi do poważnej roboty.

Wszedł David Ferrie w za małej panamie i golfie z opadającym kołnierzem. Mackeyowi, z którym rozmawiał przedtem tylko raz, posłał smutne, przeprasające spojrzenie, jak człowiek, który zawiódł publiczne zaufanie. (Banister twierdził, że Ferrie był księdzem, którego pozbawiono habitu). Szedł ospale, mlaszcząc podeszwami butów.

– Nie powinieneś pić o tej porze – powiedział do Banistera.

– Co mamy na składzie?

Ferrie zerknął na T-Jaya.

– Kilka starych, bardzo starych springfieldów. Trzydziestekszóstek. Są naprawdę stare. Kilka M-1, mnóstwo jugosłowiańskich mauserów z ruskim grawerunkiem, jeśli robi to na was wrażenie. I kilka M-4 w Lacombe. Nie dalej jak wczoraj wywaliłem cały magazynek.

– Gdzie trzymamy celowniki? – spytał Banister.

– Większość celowników i montażu jest w obozie. Mamy też kilka bardzo długich. Wszystko zależy, do czego chcecie strzelać. Jeśli do wielkiego, włochatego zwierza takiego jak Fidel, musicie mieć duże pole widzenia, bo on jest zawsze w ruchu. Kiedyś skrycie podziwiałem doktora Castro. Tylko przez chwilę. Chciałbym walczyć u jego boku.

Mówił pełnym niedowierzania szeptem; ścieżki jego dziwaczного życia nieustannie go czymś zaskakiwały. Na jego twarzy – wypłowiące oczy, kontrastujące z cerą wysokie, łukowate brwi – malował się wyraz zdumienia. Bez względu na to, co mówił, nie można było oddzielić tego od jego niesamowitego wyglądu, a już na pewno nie mógł zrobić tego sam Ferrie.

– Granica – rzucił Mackey. – Masz tam zostawić samolot, bo musisz szybko wyjechać z kraju. Gdzie byś go zostawił?

– W Matamoros. Pod Brownsville. Jest tam taka łąka. A jeśli chcecie pójść dalej, w głąb Meksyku, możecie pograć w klasy na suchych jeziorach. Uniknęlibyście zaludnionych obszarów.

– Bez urazy, ale ile ty masz lat?

– Czterdzieści pięć. Wiek w sam raz dla astronauty. Jestem mrocznym, przerażającym obliczem Johna Glenna. Zdrowym jak rydz, nie licząc tego, że rak zżera mi mózg.

– Zginiesz gwałtowną śmiercią – powiedział Banister.

– Chcę w to wierzyć.

– Udławisz się *nacho*.

– Znam hiszpański – odparł zdziwiony Ferrie.

Wszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie Delphine Roberts sporządzała kolejną listę, jedną z tych, do których ktoś z firmy zawsze zbierał materiały. Była zarobioną Amerykanką w średnim wieku, sekretarką Banistera, i miała wysprejowane lakierem puszyste włosy.

– Te pończochy miały nie puszczać oczek – powiedziała.

– Wszystko miało być jakieś, ale nie jest. Taka już natura egzystencji.

– Wiem. Studiowałeś filozofię gdzieś tam.

– Jadłaś lunch?

– Znowu przeszłam na metrecal.

– Przecież jesteś szczuplutka.

Włączył mały telewizor.

– Jak myślisz, po co Murzyn chciałby zostać komunistą? – spytała, sunąc palcem w dół listy. – Nie wystarczy im, że są czarni? Po co ta czerwień?

– Pytasz, czemu są tacy zachłanni?

– Pytam, po co im dodatkowe kłopoty. Poza tym, jak jesteś kolorowy, nie możesz już być nikim innym.

Siedziała przy laminowanym biurku pod oknem. Dziurę w drucianej siatce ktoś zatkał tekturą.

– W zeszłym tygodniu pytałem o ceny schronów przeciwlotniczych – powiedział Ferrie.

– Ja tam bombami się nie martwię. Kryzys raketowy był i minął. Martwię się, że pewnego ranka przyjdą tu żołnierze, że wylądują na plażach i spadną z nieba na spadochronach. Guy dostał meldunek, że Chińczycy koncentrują wojska na granicy z Kalifornią.

– Mam swoje prywatne udręki, Delphine. Wymagają czegoś większego niż wojsko.

Oglądali *As the World Turns*. Ferrie siedział na składanym krześle ze skrzyżowanymi nogami. Zdjął kapelusz i położył go na prawym kolanie.

– Myślę tak sobie i myślę: dlaczego ta Delphine przychodzi codziennie do tego zapuszczonego biura? Kobieta taka jak ona. Z takim pochodzeniem i w ogóle. Piękny dom na Coliseum Street. Towarzyskie przyjemności. Córa Amerykańskiej Rewolucji.

– Tutaj pracuję dla kraju. Cóż bym osiągnęła w radzie miejskiej czy jakiejś organizacji kobiecej? Jeśli chodzi o efekty, Guy Banister jest w awangardzie tego, co się u nas dzieje. Werbowanie, szkolenie, zbieranie informacji. To jest wkład, którego w normalny sposób, w tych wszystkich komitetach, nie mogłabym wnieść.

Zerknęła na jego wypłowiały rudy tupecik, który przypominał niesiony wiatrem uliczny śmieć. Popatrzyła na jego strome czoło, na spiczasty nos, na rzymski profil, dziwnie imponujący mimo przerośniętych, błazeńskich uszu. Widziała ten profil już przedtem, zanim go poznała. W aktach Banistera było policyjne zdjęcie Ferriego. Upamiętniało dwa aresztowania w 1961 roku, w Jefferson Parish, za, jak to oficjalnie ujęto, występkę przeciwko naturze.

Oglądali telewizję.

– Dave, w co ty wierzysz?

– We wszystko. Najbardziej w moją śmierć.

- Pragniesz śmierci?
- Ja ją czuję. Jestem tablicą reklamową raka.
- Tak łatwo o tym mówisz.
- Jaki mam wybór?

Dwie aktorki na ekranie rozpoczęły rozmowę przy kawie, powolną, odmierzoną, pełną poważnych pauz na urazę i gniewne spojrzenia. Delphine wróciła do pracy i odsiewając dźwięki dochodzące z telewizora, próbowała wsłuchać się w głosy z sąsiedniego pokoju, w ten odległy, monotony, prywatny pomruk, który wyznaczał granice jej dni.

– Dlaczego homoseksualiści nałogowo oglądają seriale? – rzucił w zadumie Ferrie. – Bo wiemy, że życie jest bogate.

Delphine runęła do przodu, zanosząc się sprośnym śmiechem. Górna część jej ciała opadła na biurko, ręce chwyciły się krawędzi blatu. Siedziała tak i kiwała się, rozbawiona szczerze i do głębi. Ferrie był zdziwiony. Nie zdawał sobie sprawy, że powiedział coś śmiesznego. Myślał, że jego uwaga jest melancholijna, smutno filozoficzna, że jest to rzucona od niechcenia myśl na jałowe popołudnie. Nie żeby Delphine reagowała tak pierwszy raz na to, co powiedział. Uważała, że nawet jego najmniej komiczne uwagi są szokujące i przezabawne. Śmiała się dwoma rodzajami śmiechu. Lubieżnym, sprośnym i wyuzdanym – w kulturalnej reakcji na jego skłonności seksualne i z poczucia swego rodzaju analnej mądrości, która zdradzała źródło jego dowcipu. Cichszy śmiech, ten zarezerwowany dla Banistera, był gardłowy i znaczący, dający się kierować, szeleszczący wspólnymi sekretami, miejscami szepczący – był śmiechem słyszalnym jedynie dla tych, którzy wiedzieli, że on i ona są kochankami.

– Nie chodzi o samego Kennedy’ego – mówił Banister. – Chodzi o to, co ludzie w nim widzą. O ten promienny obraz. Na wszystkich zdjęciach Kennedy dosłownie promienieje. Każą nam wierzyć, że jest bohaterem epoki. Widziałeś kiedyś kogoś, komu byłoby tak spieszo do wielkości? Myśli, że może zrobić z nas inne społeczeństwo. On chce nas zmienić. Jesteśmy dla niego za głupi. Zbyt niedojrzali, za mało energiczni. Harvardczyk, światowiec, podróżnik, przystojny bogacz, dowcipny szczęściarz. I te idealnie białe zęby. Patrzę na niego i wkurwiam się od samego patrzenia. Wiesz, co znaczy dla mnie ta charyzma? To, że on zna jakieś tajemnice. Niebezpieczne tajemnice, które kiedyś były tajemnicami pozarządowymi. Że wie o spiskach, zмовach, rewolucjach, że wie, jaki będzie koniec tego porządku społecznego. Jego rząd położył łapę na najważniejszych tajemnicach. Całe niebezpieczeństwo, od broni nuklearnej poczynając, tkwi w Białym Domu. Co on knuje z Castro? Jakimi kanałami gada z Ruskimi? Dotyka telefonu i trzęsą się światy. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że w naszym rządzie istnieje ruch całkowicie oddany sprawie wspierania komunistów. Odbierz komuś jego największe tajemnice. Odbierz mu tajemnice, a będzie nikim.

Banister odczekał, aż Mackey na niego spojrzy.

– Głęboko wierzę, że są siły, które zmuszają człowieka do działania. Nazwij to sobie historią, koniecznością, nazwij to, jak chcesz. Co wyczuwasz w powietrzu, T-Jay? Bo o tym mówię. Czy jest tu coś, co czujesz na całym ciele, co swędzi cię jak ciepły pot? Dopij to, dopij. Strzelimy sobie jeszcze po jednym.

Co można przekazać spojrzeniem.

Tej nocy Mackey siedział w małej klitce naprzeciwko hurtowni narzędzi chirurgicznych i dwóch czy trzech domów na kółkach. Szanse na chłodny wiatr? Jak jeden do tysiąca. Domy stały za płotem, wzdłuż którego piętrzyły się sterty gruzu, i były strzeżone przez złe psy.

Siedział przy oknie po ciemku, smarując balsamem ugryzienia komarów na kostkach u nóg i na wierzchu dłoni. Trudno będzie zasnąć w tym upale, zwłaszcza bez wentylatora i z tymi

małymi, brzęczącymi sukinsynami.

Pensjonat stał w rejonie, gdzie roilo się od domów i złomowisk. Co rano piał kogut. Ledwie kilka ulic od głównych arterii komunikacyjnych. Zdumiewające.

Każdy pokój ma swoją własną muzykę. Czasami, gdy spał w obcym pokoju i gdy ustał już uliczny szum, intensywnie się w nią wsłuchiwał, szukając fałszywych tonów, niuansów czy skaz w jej strukturze.

Zorganizowanie broni dla Banistera było – na dłuższą metę – mniej ryzykowne i – na krótszą – o wiele łatwiejsze niż wykradzenie jej z Farmy. Farma to tajny poligon CIA w południowo-wschodniej Wirginii, dwieście dwa hektary lasu oficjalnie zwanego bazą wojskową Camp Peary. Mackey szkolił tam rekrutów w posługiwaniu się bronią lekką, młodych absolwentów wyższych uczelni chętnych do pracy w tajnych służbach. Nie przyjął nagany i w ten sposób Agencja dawała mu do zrozumienia, gdzie jego miejsce. Mieszkał szesnaście kilometrów stamtąd, lecz podczas manewrów dzielił pokój z innym instruktorem w starym, drewnianym baraku, w którym urządzono kilka podwójnych pokoi. Chodzili w polowych mundurach, różnili w remika i wsłuchiwali się w głuchoe grzmoty dobiegające z przyczółka sabotażystów.

Wylał trochę balsamu na palce i lekko potarł ugryzienia. Nie przestały swędzieć.

Gdziekolwiek by się ruszył, wszędzie komary. Szkolił rebeliantów na Sumatrze, szkolił komanda obcych armii w wielu zawszonych dziurach. Ale nie musiał pracować w Agencji do końca życia. Mógł poczekać, aż go wyrzucą, albo ich do tego zmusić. Był świadkiem zbyt wielu wybiegów i zdrad, widział za dużo ludzi, których najpierw zachęcano do walki, a potem pozostawiano samym sobie ze względów politycznych. Nie na darmo nazywali ich Firmą. Bo Firmę założono do maskowania głęboko ukrytych powiązań, do zagłuszania zewu krwi, na który musieli odpowiedzieć. To była jedyna opowieść wojenna, jaką znał, jedyna, jaka istniała albo mogła istnieć. I zawsze kończyła się tak samo: widokiem pozostawionych samym sobie ludzi w oparach wycofanej medytacji.

Czuł fale upału, czuł nocne wibracje, słyszał syreny na ulicy i bełkot samotnego pijaka. Komar roznosi choroby. Zacisnął pięść. Ptakiem był orzeł, *circa* 1958, którego wytatuował w mrocznym zakładzie jednego z hawańskich *esquinas del pecado*, zakątków grzechu, gdzie trzy lata przed inwazją z ramienia Agencji ubezpieczał przepływ funduszy dla antykubańskich rebeliantów.

W każdym pokoju gra muzyka, która – jeśli dobrze się wsłuchasz – na pewno coś ci opowie.

Zginęło wielu dobrych ludzi, ponieważ ci z rządu spóźnili się, do samego końca rozważając, co robić. Mackey, który był wtedy na pokładzie okrętu dowódczego CIA, starego lotniskowca kotwiczącego dwadzieścia cztery kilometry od Blue Beach, doszedł do wniosku, że operacja upodabnia się powoli do czegoś surrealistycznego. Zaczęli otrzymywać pierwsze informacje. Dane spływały z radarowych ekranów i radiowych głośników, od chmur odbijały się sygnały świetlne potężnych, dwudziestoczterocalowych reflektorów niszczyciela i im danych było więcej, tym większe ogarniało go przeświadczenie, że coś wymyka się spod kontroli. Mieli do czynienia z czymś dziwnym i pełnym skaz, z głębią iluzji, podstępem i upiornej perspektywy.

Ten sam okręt używał dwóch nazw.

Żeby sprowokować siły zbrojne Fidela do masowej dezercji, Radio Łabędź na pokrytej guanem wysepce nadawało bezsensowne komunikaty. „Chłopak jest w żółtym domu”. „Jednookie ryby biorą”. Całonocny bełkot.

Okazało się, że wodorosty ze zdjęć rozpoznania powietrznego są rafą koralową, która utrudniła lądowanie.

Samoloty miały zamalowane insygnia, a kiedy pilotom pozwolono wreszcie przeprowadzić rekonesans w głębi wyspy, ci musieli używać map drogowych Esso, bo inaczej by zabłądzili.

Odrzutowce marynarki wojennej, które miały dołączyć do maszyn B-26 z Nikaragui, przyleciały za wcześnie – albo za późno – ponieważ ktoś pomylił strefy czasowe.

Radar namierzył dwa okręty z amunicją, które ignorując radiowe wezwania, płynęły pełną parą w złym kierunku.

Allen Dulles, dyrektor CIA, spędzał weekend w Portoryko, wygłaszając przemówienie do jednej z organizacji obywatelskich. Temat przemówienia: „Komunistyczny biznesmen za granicą”.

Na okręcie Mackeya doszło do dziesięciominutowego buntu.

„Niebo jest pokryte ciemnymi chmurami” „Jastrząb atakuje o świcie”.

Drugie uderzenie powietrzne w końcu odwołano.

Wiedział, że Everett uważa, iż klęska ta była czymś więcej niż zwykłą misją, z której w ostatniej chwili zrezygnowano. Że była wynikiem ogólnej mizერიi ideałów i środków. Jednakże Mackey nalegał na jasne i proste przesłanie. Nie wolno wyrzekać się gniewu i wstydu tylko dlatego, że bez końca mnożą się problemy.

Miał gdzieś żonę. Problemem były już same wspomnienia. Dwa lata studiów, po wojnie, górnictwo i metalurgia, z dodającą mu otuchy połowicą. Prawie nie pamiętał jej twarzy. Błedej i rozdętej od wody. Była żoną paramilitarną. Lubiła chodzić do kina. Gdy na ekranie fruwały kule, wciskała tyłek w szparę między oparciem fotela i siedzeniem i zastygała bez ruchu jak poważna, zrównoważona zabawka. Pamiętał, że miała ładne włosy i że ciągle chłłała, jakby chciała w ten sposób ubiec wszelkie zarzuty, że przestała nad sobą panować.

Zwiadowcy wylądowali przed północą. Mackey był jedynym Amerykaninem w gumowym pontonie, chociaż miało go tam nie być. Gdy ponton zaczął się ześlizgiwać ze stromego brzegu, jeden z Kubańczyków wskoczył do wody i biegł obok nich, zagarniając piach obiema rękami i mamrocząc pacierze. Zaczęli rozstawiać światła dla oddziałów, które czekały na stareńkich okrętach desantowych i przywróconych do życia frachtowcach. Plaża nie była całkowicie opustoszała. Przed sklepem spożywczym na skarpie siedzieli jacyś ludzie, rozmawiający ze sobą starcy. Jeden ze zwiadowców – czarne kąpielówki, czarny podkoszulek, twarz wysmarowana sadzą z kambuza – podszedł do nich z karabinem w ręku, żeby pogadać. T-Jay był nieuzbrojony. Nie wiedział, czy chciał w ten sposób pokazać ludziom, że jego rola jest ograniczona, czy dlatego, że tej nocy czuł się niezwyknięty. Zapach morza był intensywny i orzeźwiający. Zobaczył starego chevroleta koło sklepu i wysłał tam Raymo, dowódcę zwiadowców, żeby poprosił właściciela o kluczyki, o powitalny gest ze strony tych, których mieli zaraz wyzwolić. Chciał sprawdzić, czy obóz miejscowej milicji jest rzeczywiście tam, gdzie twierdzili ci z wywiadu. Do deski rozdzielczej chevroleta, rocznik czterdzieści dziewięć, było przyklejone zdjęcie kubańskiego baseballisty w czapeczce i koszulce klubowej Brooklińskich Dodgersów. Przejechali może dwieście metrów kamienistą drogą, gdy w światłach samochodu pojawił się jeep z dwiema podskakującymi głowami w środku. T-Jay ustawił wóz skosem do pobocza. Raymo wysiadł, mówiąc coś w huku wystrzałów pistoletu maszynowego. Co druga kula była pociskiem smugowym. Światło i żar. Gdy opróżnił magazynek, w dymiących fotelach zobaczyli dwóch martwych milicjantów z rozdziawionymi ustami. Raymo stał tam i patrzył, niski, krępy i nieruchomy jak głaz. Był na bosaka, w idiotycznych szortach w kratkę, jak na urlopie w Miami, a pod brzuchem wisiał mu pas z amunicją. Usłyszeli wystrzał na plaży i na wstecznym wrócili pod sklep. Ktoś powiedział, że zwiadowca zastrzelił jednego ze starszków za nieroztropną uwagę. Wokół ciała stała grupka kłócących się ludzi. T-Jay poszedł na plażę. Przyplłynęli już płetwonurkowie i pomagali teraz rozstawić światła. Kazał radiowcowi powiedzieć tym z okrętu, żeby wysłali na brzeg dowódców, żeby wysłali Kubańczyków, żeby wreszcie się to zaczęło. Na poboczu drogi, przed krytą strzechą chatą, zobaczył wymachującą rękami kobietę. Byli w pobliżu

Zapata, słynących z komarów bagnisk.

Przeczytał napis po drugiej stronie ulicy. Zniżka na fartuchy laboratoryjne. Zza rogu dobiegały czyjeś głosy, chrapliwy śmiech wychodzących z baru mężczyzn. O świcie piał tu pewnie koguty i szczekały psy, jak między krytymi blachą lepiankami w małej wiosce na Karaibach.

Pamięć była ciągiem nieruchomych obrazów, niczym pocięty na klatki film. Nie potrafił ułożyć ich w całość. Widział, jak Raymo otwiera drzwi samochodu, skokami, pozostawiając za sobą rozmazane smugi. Strzały z thompsona pochodzącego z nadwyżek magazynowych były pierwszymi strzałami inwazji w Zatoce Świń. Dlatego Raymo stał się sławny i szanowany wśród współwięźniów z fortecy La Cabana, gdzie spędzili dwadzieścia miesięcy, słuchając wystrzałów karabinowych z fosy, w której przeprowadzano egzekucje. Po każdej salwie, krótkiej i suchej, rozbrzmiewało wyraźne echo, jak kłaśnięcie, i myśleli wtedy o psie, który mieszkał w fosie, żywiąc się krwią.

Wreszcie przed domem zatrzymała się taksówka.

Wszedł do łazienki i zimną wodą obmył ręce, chcąc złagodzić pieczenie w miejscach, gdzie zawiódł balsam. Podczas operacji w Indonezji złapał malarię i od czasu do czasu odczuwał jej skutki; miał wtedy wrażenie, że jego ciało zmienia się w bagno. Podszedł do drzwi. Czekał.

Kiedyś, po nocy z cyklu „kto co wie” żona chlasnęła go kuchennym nożem, tak przez stół, i rozharatała mu lewy policzek. Myśląc o niej, nigdy nie nazywał jej po imieniu. We wspomnieniach widział ją w jakimś nieokreślonym miejscu, w pokoju z zasłonami w oknach, zawsze w fotelu. Oto jak kończą ukochani, którzy odchodzą. Każemy im po wsze czasy siedzieć w pokoju.

Weszła kobieta, mocno opalona, o przydymionej, spękanej cerze. Powiedziała, że ma na imię Rhonda. Była mocno umalowana i od razu przypomniały mu się te noce na lądzie, noce i rzeźączka.

– Casal powiedział, że mam być dla ciebie miła.

– Ciekawe, co miał na myśli.

Uśmiechnęła się i rozpięła sukienkę. Casal był barmanem w Habanie, knajpie na wybrzeżu, dokąd przychodzili marynarze ze statków handlowych, rozgoryczeni Kubańczycy oraz ci, których wyrzucił tam przyływ.

Przez całą noc po wodzie niosło się echo. „Bracia, posłuchajcie, jak ryczy biały tajfun!” Najstraszniejszą, najbardziej dobijającą rzeczą jest wstydzić się własnego kraju.

Win Everett siedział w piżamie, czytając „Daily Lass-O”, studencką gazetkę sprzed dwóch dni. Konkurs na lidera dopingu i na małżonki. Ogólnokrajowe poszukiwania typowej studentki. Siedział w fotelu w kącie sypialni. Wyczytał, że pierwotna nazwa uczelni była zupełnie inna: Teksasński Instytut Przemysłowy i Naukowo-Artystyczny College dla Białych Dziewcząt ze Stanu Teksas. Pominął artykuł o JFK.

Na dole zadzwonił telefon. Usłyszał, jak Mary Frances wchodzi do kuchni i podnosi słuchawkę. Potem stanęła u stóp schodów, a wtedy opuścił gazetę, czekając, aż go zawoła.

Patrzyła, jak schodzi na dół, prawie nieważki w piżamie, tym miękkim krokiem, którym ostatnio chodził, jakby chciał w ten sposób zademonstrować, że wkroczył na ścieżkę skromności. Gdy ją mijał, lekko się dotknęli i już wiedziała, że tej nocy będą się kochać na świeżej pościeli, przy otwartym oknie, w powietrzu przesyconym zapachem deszczu i mokrych liści.

Parmenter. Dzwonił z budki. W tle słychać było szum i odgłosy podeksycytowanej ulicy. Win popatrzył na Mary Frances, która oderwawszy rękę od słupka balustrady, ruszyła na górę, muskając palcami poręcz.

– No i?

– Telefon jest czysty. Sam sprawdzałem. Już się mną nie interesują.

Urwany śmiech.

– Sam? Umiesz?

– Lubię majstrować w piwnicy.

– Znasz George'a de Mohrenschildta?

– Nie.

– Pracuje dorywczo dla tych z wydziału kontaktów wewnętrznych. Dowiedziałem się, że dla wywiadu wojskowego też. Kuba via Haiti. Jedzie teraz na Haiti. Pewnie pohandlować bronią. Prześwietliliśmy go. To zwolennik Castro. I chyba autentyczny. Uważa, że źle się zachowaliśmy. Rzecz w tym, że jeśli mój informator czegoś nie poplątał, facet robi Kubańcom wbrew, albo wkrótce zrobi na Haiti. George bezpośrednio nas nie dotyczy. Ale ma znajomego, młodego chłopaka, którego przesłuchiwał w imieniu Agencji. Uciekiniera, który po dwóch latach w ZSRR mniej więcej za wszystko odpokutował. Wyciągnąłem z George'a jego nazwisko i go sprawdziłem. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym założyli mu akta dwa-zero-jeden.

– Nasi go tam wysłali?

– Tak dobrze fałszujemy akta, że któż to wie? Brak wyraźnych śladów. Mogę powiedzieć tylko tyle i dodać jedno: kiedy był w wojsku, przez jakiś czas służył w zamkniętej bazie w Japonii. W Atsugi. Był radarowcem. Miał dostęp do informacji o lotach U-2. Ożenił się z Rosjanką. Postanowił wrócić do kraju. Zamieszkali w Dallas, poznał tam George'a, a wieczorami bywał na spotkaniach miejscowych emigrantów, pewnie po to, żeby powspominać. Według George'a mniej więcej dwa, dwa i pół tygodnia temu nasz młody przyjaciel wycelował do słynnego Edwina A. Walkera, emerytowanego generała, i wystrzelił.

Cisza. Win wsłuchiwał się w intensywny szum powietrza w słuchawce, w odgłosy żyjącego miasta, w dźwięk klaksonów, podmuch samochodów pędzących przez mosty nad Potomakiem.

– To może być cenne znalezisko, Larry.

– Mówisz tak, jakby chodziło o trzypokojowe mieszkanie. Moglibyśmy go urobić. To lewicowy ekstremista. Popracować nad nim. Powiązać go z kubańskim wywiadem. Może nawet umieścić na miejscu akcji. Jeśli będzie przekonany, że robi to dla lewicy, dla Castro, dla Sowietów, dla kogoś, z kim sympatyzuje, pomożemy mu zrealizować jego fantazję. Powodów, dla których można strzelać do prezydenta, jest mnóstwo.

– Zawiadom Mackeya. Przekaż mu szczegóły. T-Jay go zwerbuj.

Ciągle kładł się spać. Zawsze była pora spania. Dzień wstawał, kończył się, a on znowu kładł się spać.

Obszedł dom, pogasił światła, sprawdził frontowe drzwi. Kiedyś widział U-2 na słonym jeziorze w Nevadzie. Wyglądał jak dziecięcy projekt zaawansowanego samolotu rozpoznawczego. Cudaczna rozpiętość skrzydeł, jakby niewykończony kadłub i składane końcówki skrzydeł. Ale pod ramą szybowca miał silnik odrzutowy, dzięki któremu piął się w górę pod kątem większym niż czterdzieści pięć stopni, osiągał pułap przelotowy dwudziestu pięciu tysięcy pięciuset metrów i omiatał obiektywem aparatu pas ziemi o szerokości ponad stu sześćdziesięciu kilometrów. Mroczna Dama, jak nazywali go Rosjanie. Poszedł sprawdzić, czy duchówka jest wyłączona. Duchówkę zawsze sprawdzał na końcu.

Mary Frances czekała w łóżku. Przy fotelu paliło się łagodne światło. Rozbierając się, poczuł na ciele podmuch powietrza. Noc była pełna nowości, zapachu piżma, mokrej kory, nocnego jaśminu, aromatycznej świeżości spulchnionej deszczem ziemi.

Wszedł w nią powoli. Ogorzała od wiatru twarz i białawe brwi. Perfumowany posmak jej piersi. Zakocha ją na śmierć, w tajemny sen. Jej przekrzywiona głowa na poduszce, mocno zamknięte oczy. Ukrył twarz w zagłębieniu jej ramienia. Noc była pełna poruszającej się wody,

cichych, mokrych dźwięków, odgłosów spadających z drzew kropel, wody spływającej z okapu, płynącej rynkami, mokrego szumu samochodowych opon na asfalcie, na mokrej ulicy. Uniósł się lekko, splótł dłonie z jej dłońmi, wyprostował palce. Naparli na siebie. Odurzający aromat. Głuchy grzmot w oddali. Woda w cichych, trawiastych bajorkach, woda spływająca z ogonków liści, zbierająca się na błoniastych blaszkach, kropelki, trzęsące się kielichy, woda na liściach rosnącego pod oknem dębu, rozbłysk światła w szybie, gdy zmienia się wiatr. Była blondynką, bladą różową, szorstkoskórą, szerszą od niego i w tej chwili bardziej zdecydowaną, o wiele silniejszą, i chciała jedynie dać mu coś bezpiecznego i zwyczajnego. Poczł lekki zapach potu, kropelkę jej śliny na podbródki. Ich ręce naparły na siebie, palce stężyły i zdrząły. Szeleszczące prześcieradło, jej poruszające się rytmicznie pośladki, wilgoć na białym meszku w kąci ust. Wypowiedział jej imię i otworzyła oczy, głęboko zadziwiona, jak to ona, zadziwiona i pełna wiary w zwyczajne tajemnice. Istniała w świecie tak, jak on nigdy istnieć nie potrafił. Była światem. Uwolnił rękę i wytarł ślinę. Wypowiedziała jego imię, szybko, wiele razy, jak cheerleaderka za linią boiska, i tak, tak, tak, tak skończyli.

Obok siebie, słuchając radia.

– Ciekawe – powiedziała – co mówią wtedy inni?

– Kiedy?

– Teraz. Chciałabym wiedzieć, co mówią. Może coś, o czym nie pomyśleliśmy. – Roześmiała się do siebie. – Coś, co powinniśmy byli mówić.

– W trakcie czy po?

– W trakcie to nieciekawe. Taka tam jękliwo-stękliwa gadka. Nie, potem.

– Myślisz, że przez te wszystkie lata mówiliśmy coś nie tak?

– Nie chciałbyś posłuchać? Nie chcę podglądać. Chcę posłuchać.

– Mówią, że zapaliliby papierosa.

– Kto dzwonił?

– „Gdzie są papierosy?” To mówią.

– Nie przedstawił się.

– Larry Parmenter. Pamiętasz go. Z Miami. Był tam u kogoś.

– Chyba nie pamiętam.

– Jakies trzy lata temu.

– Czego chciał?

– Ciekawska damulka.

– Są takie wieczory, kiedy chcę, żebyś mnie przytulił. Ale dzisiaj chcę słuchać. Tak miło jest leżeć w zmiętej pościeli i słuchać. Zasyp mnie słowami. Będziemy jak dwoje samotnych plotkarzy w środku nocy. Opowiedz, o czym rozmawialiście.

– O bardzo seksownych rzeczach.

– Akurat.

– O samolotach U-2. Tych, które wypatrzyły sowieckie rakiety na Kubie. Nazywaliśmy te zdjęcia pornografią. Analitycy zbierali się nad nimi i mówili: „Zobaczmy, jaką pornografię tu dzisiaj mamy”. Kennedy oglądał te fotki przed snem.

– Mów.

– Samoloty szpiegowskie, samoloty bezzałogowe, satelity z aparatami fotograficznymi, które z wysokości czterystu osiemdziesięciu kilometrów widzą tak dobrze jak ty z trzydziestu metrów. Widzą i słyszą. Jak pradawni mnisi, którzy gromadzili wiedzę i mozolnie ją spisywali. Te systemy gromadzą i przetwarzają. Wszystkie tajemnice świata.

– Czujesz, jak powietrze muska ci skórę? Czyż nie jest to najprzyjemniejsza rzecz pod słońcem?

– Powiem ci, co to znaczy, te wszystkie orbitujące gdzieś tam czujniki, które mogą podsłuchać nas w łóżku. To kres lojalności. Im bardziej złożony system, tym mniej przekonania w ludziach. Wyszą je z nas. Te satelity. Będziemy nijacy i ulegli.

Po latach bycia razem, po latach tymczasowości, tajnych operacji, wiarygodnych kłamstw i chwil martwego milczenia, Mary Frances nie miała powodów, by wierzyć, że kiedykolwiek pozna sekrety, których Win aktualnie strzegł, dlatego w jego rozgadaniu, w formie i treści jego tyrad było coś mile widzianego. Zachęcała go, żeby opowiadał jej to, co mógł, o wszystkim związanym z jego pracą albo po prostu o tym, o czym myślał – zachęcała bez słów, otaczając go wrażliwymi na bodźce niszami, stężalym bezruchem. Żoniny obowiązek, równie naturalny jak dobieranie zasłon. Nabrała wprawdy w rozładowywaniu nieśmiałej ciekawości i chociaż już tak naprawdę nie pracował, wciąż chciała wiedzieć, wciąż chciała słuchać. Ale tej nocy usnęła, powoli odpłynęła, zwinięta w kłębek na prześcieradle, z ręką na jego piersi. On słuchał radia, kaznodziei o głosie czystym, pogodnym, porywającym, młodzieńczym i pewnym siebie. Tak, tak, tak, tak. Teksas. Bóg żyje tu i ma się dobrze.

Złoży kogoś z kawałków, stworzy nową tożsamość, subtelny kłębek przekonań i nawyków. Człowieka z wiarygodnymi odchyłkami. Stworzy mroczny pokój, pokój snajpera, który śledczy w końcu znajda, stworzy go, bezlitośnie prześwietlając każdy fakt, każdego przyjaciela, krewnego, wszystkich przygodnych znajomych, podążając za nimi do ich własnych mrocznych pokojów. Wiedziemy o wiele ciekawsze życie, niż się nam wydaje. Jesteśmy bohaterami szarych, rozwlekłych spisków. Nasze życie, starannie przeanalizowane pod kątem sympatii i powiązań, obfituje w dwuznaczności, w motywy i zawile zwroty, na które przymknęliśmy oko. On ukaże wszystkim tajemne symetrie szarego życia.

Notes z adresami i zamazanymi śladami. Fachowo podrobione zdjęcia (lub zdjęcia podrobione nieudolnie). Listy, paszporty, sfalszowane podpisy, fałszywe nazwiska. Rozszyfrowanie i przetłumaczenie tego wszystkiego na zwykły tekst będzie wymagało potężnego nakładu pracy. Wyobraził sobie zespoły lingwistów, grafologów, specjalistów od analizy zdjęć, od daktyloskopii, ekspertów od analizy włosów, włókien, smug i niewyraźnych plam. Śledczych układających kolejność wydarzeń. Podsunie im kalendarium, zaprowadzi ich do suterren w wietrznych robotniczych slumsach, do zagubionych w tropikach miast.

Wyłączył radio i wysunął się spod jej ramienia. Miał ochotę na papierosa. Włożył piżamę i w kieszeni koszuli na fotelu znalazł dwa zmięte winstony. Zapalił i usiadł, żeby trochę poczytać. Burza przesunęła się na zachód w błękitnobiałych rozbłyskach głucho dudniących grzmotów. T-Jay go zwerbuję. Wiedział, że „Mackey” to pseudonim, który przydzielili mu ci z archiwum. Theodore J. Mackey. On też używał kiedyś pseudonimu, to standard wśród tajnych agentów. Nazwisko Mackeya zyskało poblask, poblask wprost legendarny, gdy przywódcy uchodźców dowiedzieli się, że T-Jay wyszedł na brzeg wraz ze zwiadowcami, którzy wylądowali na Blue Beach. Kiedy stało się jasne, że inwazja się nie powiedzie, Mackey wrócił tam na kutrze wielorybniczym i pływał po zatoczkach z megafonem, przywołując i zabierając na pokład ocalałych. Win nie znał jego prawdziwego nazwiska.

Czytał „Daily Lass-O”. Wyczytał, że w 1905 roku uczelnia zmieniła pierwotną nazwę na College of Industrial Arts, czyli CIA. Był zbyt zmęczony, żeby docenić tę ironię czy przypadek.

Za dużo było tej ironii, za dużo przypadków. Pewnego dnia ktoś z głową na karku stworzy – jeśli już tego nie zrobił – religię opartą na przypadku i zgarnie ciężkie miliony. Tak, tak, tak, tak. Rozejrzył się w poszukiwaniu popielniczki. Już od dawna nie czuł się dobrze. Nie pamiętał od kiedy. Był zmęczony i miał coraz gorszą pamięć. Jadąc samochodem, musiał cały czas rozmawiać sam ze sobą, w duchu, wydawać sobie proste polecenia, musiał siebie besztuć, inaczej szybko się dekoncentrował. Długo liczył drobne na ladzie w drogerii, kupując dziecięce mydło w

aerozolu dla swojej małej córeczki. Czasami nie mógł wytrzymać sam w domu. Pod nieobecność żony i córki, gdy się na przykład spóźniały, dom stawał się koszmarnym miejscem. Cały czas wyobrażał sobie, że miały wypadek. Ten wrak na poboczu drogi. W sypialni pociemniało.

Wszystko to było częścią powolnego upadku, ogólnego wrażenia, że umiera.

W Atsugi

Czarny samolot spływał w dół na wschód od pasa, zataczając szeroki łuk na zamglonym niebie. Z nieprawdopodobnie długimi skrzydłami, rozkołysany i lekki jak balsa, przeleciał nad słupami wysokiego napięcia, których rząd przecinał poletka ryżowe i ginął za wzgórzami. W powietrzu dało się słyszeć dziwny gwizd, który wypędził ludzi z sąsiadujących z bazą domów – musieli wykrzywiać nogi i przybierać dziwne pozy, żeby obserwować jego lot – gwizd przypominający ciągnący się w nieskończoność krzyk mewy, odbijający się echem w czeluści głębokich jaskiń wokół bazy, gdzie podczas wojny stacjonowali japońscy kamikaze. W oknach ukazały się twarze żołnierzy, którzy chcieli chociaż zerknąć na lądującą maszynę. Przed kopułą radaru stał ktoś z założonymi rękami, przed kantyną dwóch w połowych czapkach. Samolot przeleciał nad poletkami, nad ogrodzeniem z drutu kolczastego, lekko dotknął kołami pasa i spod końcówek opadających ku ziemi skrzydeł, którymi tarł beton jak samolot z gazetowego komiksu, w biały żar południa buchnął snop iskier.

- Ma niesamowitą prędkość wznoszenia.
- Wiem. Słyszałem – odparł Heindel.
- I szybki jest, sukinsyn. Zanim się spostrzeżesz, już go nie ma. Bez względu na pułap.
- Wiem, jaki ma pułap.
- Byłem w radarze – powiedział Reitmeyer.
- Dwadzieścia cztery tysiące metrów.
- I na tej wysokości jeszcze leci.
- Chociaż nie powinien.
- Ale leci. Wiem. Słyszałem. Robiłem na przechwytywaniu. Jestem wtajemniczony.

Pierwszy żołnierz, Donald Reitmeyer, wielki i kanciasty, zawsze chodził leniwym krokiem, jakby zapadał się w ziemię. Patrzył na nadjeżdżający ciągnik, który miał odholować maszynę do hangaru. Wiedział, że zaraz otoczą ją żołnierze z pistoletami maszynowymi w rękę, że obstawią i hangar. Reitmeyer zdjął czapkę i pomachał nią komuś, kto szedł ku nim po falującym asfalcie, drobnemu mężczyźnie z przekrzywioną głową i opadającym ramieniem, który obserwował samolot, stojąc przed kopułą radaru.

- To Ozzie. Wygląda jak zwykle.
- Szybciej, Oswald! – krzyknął Heindel.
- Daj czadu, Oswald!
- Więcej życia!
- I zainteresowania!

We trójkę ruszyli w kierunku koszar.

– Wiemy już, jaki ma pułap – powiedział Reitmeyer – więc następne pytanie brzmi: jaki ma zasięg i co robi, kiedy już tam doleci?

- Lata nad Chinami – odparł Oswald.
- Skąd wiesz?
- Zdrowy rozsądek i logika. Nad Chinami i Związkiem Sowieckim.
- Mówią, że to samolot ogólnego przeznaczenia – powiedział Heindel.
- To samolot szpiegowski. Nazywa się U-2.
- Skąd wiesz?
- Wszyscy wiedzą – odrzekł Oswald. – To i owo się słyszy, a to, czego się nie słyszy, łatwo

można znaleźć. Widzieliście te budynki za hangarami na wschodnim końcu pasa. Połączona Grupa Doradztwa Technicznego, tak to się nazywa. Ale nazwa jest lewa, bo siedzą tam sami szpiedzy.

– Pieprzysz – odparł Reitmeyer.

– A myślisz, że co, że kwaterują tam zapaśnicy?

– Jak coś wiesz, to lepiej o tym nie gadaj.

– Chodzę na odprawy. Wiem, czego nie wolno mówić.

– Widzisz tych z maszynówkami?

– Właśnie o tym mówię. Bez przepustki nikt tu nie wejdzie.

– Tak czy inaczej, morda w kubek.

– Lot nad Chinami – powiedział Heindel. – Wyobrażasz sobie? Ten ogrom.

– Chiny wcale nie są takie ogromne – przerwał mu Oswald. – Związek Sowiecki, to jest dopiero ogrom.

– To znaczy jaki?

– Chciałbym kiedyś wsiąść do pociągu i przejechać ten kraj wzdłuż i wszerz. Porozmawiać ze wszystkimi, których spotkam. Bardziej niż fizyczna wielkość Związku Sowieckiego imponuje mi idea, na jakiej ten kraj zbudowano.

– Jaka idea?

– Poczytaj sobie.

– Zawsze tak mówisz, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Bo może wyjaśnia.

– A może nie.

– W takim razie jakim cudem jestem mądrzejszy od ciebie?

– Jesteś głupszy – odparł Reitmeyer.

– Ale nie tak głupi jak oficerowie – powiedział Heindel.

– Nie ma głupszego od oficera – zgodził się z nim Oswald.

Nazywali go Królikiem, bo miał ściągnięte usta, dołeczki w policzkach, był bardzo zwinny i szybko biegał, gdy w koszarach albo w knajpie dochodziło do burdy. Miał sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, ważył sześćdziesiąt jeden kilo i niedługo kończył osiemnaście lat. Oceny z zachowania i szkolenia miał to lepsze, to gorsze, a wyniki strzelań zmienne.

Heindela nazywano Hidellem, bez specjalnego powodu.

Chodził do kina i do biblioteki. Nikt nie wiedział, jakie katusze przeżywał, czytając proste zdania po angielsku. Litery w słowach ciągle zmieniały położenie. Z pisaniem było jeszcze gorzej. Kiedy był zmęczony, udawało mu się poprawnie napisać najwyżej pięć słów z rzędu, przesyłabizować bezbłędnie jeden krótki wyraz.

Tej tajemnicy nigdy nikomu nie zdradził.

Miał przepustkę na wolność, hawajską koszulę, w której czuł się jak intruz we własnej skórze, i miejsce przy oknie w pociągu do Tokio.

To Reitmeyer zaklepał termin, tłumacząc mu, że wystarczy tylko, iż pokaże się w odpowiednim miejscu i o odpowiedniej porze, że błysnie tym ciepłym, amerykańskim uśmiechem. Od razu spotka go tysiąc zakazanych przyjemności.

Witajcie w Japonii, krainie rozsuwanych drzwi i skośnookich kurew.

Szedł niewidzialny, przecinając warstwy chaosu ogarniętego zmierzchem Tokio. Zewsząd atakowany przez angielskie słowa – WSPANIAŁY! WSPANIAŁY! – szedł tak przez godzinę, obserwując neonowe światła przebijające sine od spalin powietrze, przechodząc pod tramwajowymi kablami, mijając restauracje z kluseczkami i bary. Widział sześciu amerykańskich

żołnierzy idących za rękę z japońskimi dziewczętami, sądząc po wyglądzie, piekarzy i kucharzy, wszystkich w kurtkach wyszywanych w smoki. Był rok 1957. lecz on patrzył na nich jak na zawadiackich wojowników, doświadczonych weteranów, którzy nabijali na hak wszystko, co popadnie.

Zagłębił się w labirynt wąskich uliczek, w których roilo się od kupujących. Był niezwykle spokojny. To, że wyszedł poza teren bazy, że był z dala od rodaków i od Ameryki, złagodziło napięcie i dręczące go poczucie grzechu.

Zerknął na karteczkę z jej imieniem.

W uliczkach paliły się latarnie. Zobaczył beznogiego mężczyznę z akordeonem i trzepoczącym na wietrze hieroglifem na piersi. Jego korpus podtrzymywało dziwaczne metalowe rusztowanie, jak w maszynie Singera.

Znalazł Mitsuko bez trudu. Trochę bezkształtna w spódnicy, białej bluzce i chustce na głowie, miała dziecięcą twarz i tak jak umówił ich Reitmeyer, czekała pod tablicą z napisem DLA ŻOŁNIERZY na ulicy tanich sklepików pod arkadami.

Zabrała go do salonu pachinko, kiszkowatego pomieszczenia pełnego tłoczących się przed automatami ludzi. Wszyscy próbowali umieścić stalową kulkę w małej dziurce. Dudniło tam i brzęczało jak w jakiejś fabryce albo w tłoczni. Gdy znalazła wolny automat, wcisnęła przycisk i uwolniła kulkę. To był początek nirwany czy jak się to tam nazywa, stanu doskonałości absolutnej. Wpatrywała się w szarawe okienko, obserwując krążącą kulkę. Wokoło przepychali się ludzie, studenci, staruszki w kimonach, wykształceni mężczyźni z dobrze płatną pracą, a wszyscy czekali na wolny automat. Przed niektórymi tłoczyło się ich tyłu, że stali w trzech rzędach, cierpliwi w hałasie i wiszącym dymie, jakby oprócz tej pędzącej po tarczy kulki nie liczyło się nic więcej.

Zerknął na karteczkę z jej imieniem.

Dwie godziny później znaleźli się w pokoju z rozsuwanymi drzwiami i słomianymi matami. Coś mu mówiło, że to nie jej pokój. Wyglądał jak imitacja japońszczyzny. Na ścianie wisiał jedwabny zwój, tylko że pewnie nie był z jedwabiu. Spozregł kalendarz nad toaletką, kilka kostek mydła Lifebuoy. Zdjęła pantofle bez nosków. Trochę trudno było uwierzyć, że już zaraz będzie uprawiał seks, że to ta legendarna chwila. Temat milionów słów, odgłosów, śmiechu i krzyków na podwórkach i w koszarach jego egzystencji. Na widok pierwszej w życiu nagiej kobiety, dorosłej i takiej nie z kolorowego czasopisma, popadł w stężały bezruch. W nagiej kobiecie było coś poważnego. Poczul się inaczej, tak jakoś uroczyście i spokojnie. Był częścią czegoś, co płynęło przez ten świat. A potem wsadziła mu rękę do spodni, ruchem pewnym i stanowczym, jakby odkręcała kran. Rozebrał się i ogorzałymi od wiatru rękami złożył koszulę. Chwila, na którą czekał. Ten pokój istniał tu od jego narodzin, od jego narodzin czekał, aż on, Lee, wejdzie tymi drzwiami. Chodziło o wejście drzwiami, o włączenie się do strumienia wszechrzeczy.

Miał jej zapłacić? Reitmeyer nic o tym nie mówił. Widział, jak się z nią kocha. Jakby po części patrzył na siebie z zewnątrz. Kochał się z nią i obserwował, czekając, aż ogarnie go przyjemność, aż przyjemność ta przetoczy się po nim jak fala przyływu, aż uderzy w niego niczym wyginający drzewa wiatr. Bardziej myślał, niż widział, chociaż widzieć też widział.

W weekend miał służbę, ale przy pierwszej nadarżającej się okazji znowu pojechał do Tokio. Okazało się, że wzięła od niego pieniądze tylko dlatego, że chciała pograć w pachinko. Była nałogowcem, pachinko kompletnie ją ogłupiło, więc mogła stać przed automatem godzinami, w cudzym płaszczu przeciwdeszczowym. Wychodził, wracał, znowu wychodził, łąził po knajpach ze striptizem i po kowbojskich barach. Przystawał w drzwiach i patrzył, jak Mitsuko gra. Do salonu wpychali się ludzie. Od czasu do czasu ktoś wygrywał torebkę cukierków w kształcie

liścia. Zobaczył, jak Mitsuko unosi prawą nogę i nieświadomie pociera nią kostkę lewej.

Dziwne dni na baśniowym Wschodzie.

Tym razem zaprowadziła go do pokoju w dużym bloku koło jakichś fabryk i zbiorników na ropę. Wszędzie zalatywało siarką i pokrytymi kożuchem ściekami. Z okna widział rzekę, ale nie wiedział, jak się nazywa. Powiedziała, że ma trzydzieści cztery lata. Dziwne noce i dni. Jakiś czas po tym, jak już się ubrali, z mroku wychynął jakiś mężczyzna, młody, szczupły i dobrze znający mieszkanie, który potraktował go jak coś oczywistego, jakby wiedział, co Lee kiedykolwiek powiedział i zrobił. Szukał płaszcza.

Lee nigdy nie zrozumiał, co łączyło go z Mitsuko. Może był jej bratem, kuzynem, kochankiem, opiekunem, chociaż nie mógł być chyba alfonsem (skoro nie brała pieniędzy). Podczas dwóch następnych tygodni widział go kilka razy. Był ciekawym facetem. Miał kędzierzawe włosy, nosił ciemne okulary i kazał mówić do siebie Konno. Palił lucky striki, jednego po drugim, znał amerykański jazz i nazwiska, których zagubiony Lee nie mógł sobie z niczym skojarzyć. Rozmawiali o polityce. Pili piwo i gin, który Lee przynosił i sączył tylko z grzeczności. Konno mówił po angielsku całkiem dobrze, na pewno lepiej niż ktoś początkujący. Chodził w sfatygowanym ubraniu, w dobotych butach i zawsze, czy to na dworze, czy w mieszkaniu, nosił czarny jedwabny szalik.

Zapanowała jesienna wilgoć. W labiryncie zatłoczonych uliczek pełnych drewnianych domów i sklepików płonęły migotliwe światła latarni. Odebrali mu amerykańską przestrzeń. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Jego przestrzeń była nieustannym wędrowaniem, kłamstwem ukrytym w ciasnych pokoikach, była telewizją, wszechobecnym głosem jego matki. Luizjana, Teksas. Bezsensowne miejsca, które wirowały w zagraconych pokojach, gdzie zawsze kończyli. Tutaj małość miała swoje znaczenie. Te papierowe okna i pudełkowate pokoiki były odbiciem jasności umysłu, formą dobrobytu.

Zabrała go do krainy *nudo*. Tablice reklamowe, zdjęcia, ulotki, szyldy na słupach latarni, nagie kobiety w boksach i kinach, nagie kobiety z papieru i z neonowych rurek, modelki do fotografowania, nagie dziewczyny w kolorowych światłach, dziwnie blade w sztucznym różowym blasku. Mokre od deszczu ulice, jak ulice z jego wspomnień, cienie w kinach i mężczyźni w czarnych płaszczach, jej lekko nadąsane usta, język gestów i aluzji, zaduma bezruchu, doskonałość żądy, lekko rozchylone białe uda, ręce wzdłuż boków.

Nigdy nie zrobiła niczego, co mówił Reitmeyer, a on nigdy o to nie poprosił.

Pracował w gorącej poświacie, nanosząc krzyżujące się ze sobą linie tras, spoglądając na ekran oscylatora w poszukiwaniu śladu elektronów przedstawiających ruch powietrzny w danym sektorze.

Podczas każdej nocnej służby wciągał do rozmowy oficerów, zadawał im pytania na temat tego, co działo się na świecie.

Okazało się, że wie więcej od nich. Nie znali podstawowych rzeczy. Nazwisk przywódców politycznych, nazw systemów społecznych. Najmniej wiedzieli młodszy oficerowie, takie studenciaki, co potwierdzało jego podejrzenia co do tego, jak to tak naprawdę jest.

Skrzekliwy głos proszący o podanie kierunku i prędkości wiatru na wysokości dwudziestu czterech tysięcy metrów, głos spoza kopuły, spoza znanych granic.

W pobliżu bazy były bary i dziewczyny, ale wolał jeździć samotnie do Tokio, gdzie odwiedzał Konno w wielkim osiedlu koło fabryk. Miedziany dym był tak gęsty, że przesłaniał słońce. Konno palił papierosy i opowiadał o walce o przetrwanie. Pracował na pół etatu jako windziarz, ponieważ w kraju było pełno absolwentów wyższych uczelni. Czasami wpadała Mitsuko i kochali się wtedy przy płytach Theloniousa Monka, przy dziwnie brzękliwe bluesach na

bongo, muzyce jakby japońskiej. Bywało, że Konno zabierał go do Queen Bee, nocnego klubu z wyszukаныmi występami i wspaniałymi kobietami, które sunęły przez dym jak sto kelnerek Howarda Johnsona w rozciętych spódnicach. Co zwykły windziarz i starszy szeregowy robili w takim miejscu? Przyszło mu do głowy, że powinien się nad tym zastanowić.

Konno wchodził tam niedbałym krokiem, zdejmował płaszcz i wlokąc go po podłodze, szedł za kelnerem do stolika na podeście, wysoko nad turystami, japońskimi biznesmenami, amerykańskimi oficerami i pilotami (można ich było rozpoznać po koszulkach z krótkimi rękawami i po fantazyjnych ciemnych okularach, które nosili bez względu na pogodę). Rachunki chował do kieszeni, jakby nie miał zamiaru ich płacić, i pewnego wieczoru przedstawił go kelnerce imieniem Tammy, kobiecie w srebrzystej sukni i o błyszczącej od makijażu twarzy.

Konno wierzył w skuteczność zamieszek.

Konno twierdził, że podczas wojny z Koreą Stany Zjednoczone użyły broni bakteriologicznej i że eksperymentują z substancją, którą w Japonii nazywano kwasem lizerginowym.

Uważał, że życie jest wrogiem. Że bardzo trudno jest je dostosować do biegu historii.

Żeby mieć prawdziwy socjalizm, mówił, trzeba najpierw wprowadzić kapitalizm, całkowity i bezwzględny, a potem stopniowo go zniszczyć i utopić w morzu.

Był członkiem Towarzystwa Przyjaźni Japońsko-Radzieckiej, Japońskiej Rady Pokoju, Japońsko-Chińskiego Towarzystwa Wymiany Kulturalnej.

Mówił, że współczesną Japonię zdominował obcy kapitał i obce wojska.

Wszystkie obce wojska są wojskami amerykańskimi. Każdy mieszkaniec Zachodu jest Amerykaninem. Każdy Amerykanin służy sprawie monopolistycznego kapitału.

Tammy zabrała go do świątyni buddyjskiej.

Pewnego wieczoru w Queen Bee Konno powiedział, że MACS-1, jednostkę Lee, przerzucą niedługo na Filipiny. Dla młodego żołnierza piechoty morskiej była to nowina. Zaczynał lubić Japonię. Lubił przyjeżdżać do Tokio. Liczył na dalsze dyskusje z Konno, który potrafił wyjaśnić mu jego sytuację z historycznego, nie zaś czysto osobistego punktu widzenia, zaczynając od samego początku, od zrekonstruowanego śmietniska krajobrazu i rozbuchanej gospodarki.

Dlaczego przenosili go akurat teraz, w chwili gdy szły zmiany na lepsze, gdy miał na co czekać, gdy od czasu do czasu miał kobietę do łóżka, gdy poznał ludzi, którzy widzieli w nim normalnego człowieka, z którymi mógł normalnie porozmawiać?

Poszli do mieszkania nad rzeką. Konno krążył po pokoju, szarpiąc końce jedwabnego szalika. Dał mu do zrozumienia, że inni też słyszeli o starszym szeregowym Oswaldzie, że podziwiają jego polityczną dojrzałość. Powiedział, że ludzie o podobnych poglądach na świat, ludzie na odpowiednich stanowiskach, pozostający ze sobą w bliskim kontakcie, mogą razem dużo osiągnąć. Dał mu pistolet, mały, chromowany, dużego kalibru, ot, taki skromny podarunek, i poprosił go o załatwienie papierosów z bazy.

Reitmeyer próbował podnieść go i odwrócić do góry nogami, chwycić od tyłu za krocze i kołnierzyk koszuli, tak dla jaj, ale wszystko spieprzył, bo jedną ręką złapał go pod pachę, a drugą za boczną kieszeń, tak więc jego ofiara zawisła równolegle do podłogi, wymachując rękami i próbując przytrzymać się futryny. Pływający w powietrzu Ozzie zareagował początkowo wesołym okrzykiem zaskoczenia, ale potem, gdy Reitmeyer gwałtownie nim szarpnął, chcąc, żeby Ozzie zrobił gwiazdę, ten, bliski płaczu, zaczął syczeć, rzucać urwane groźby, stawiać ultimatum, szarpać się jak bezbronny dzieciak, cały czerwony z wściekłości, by w końcu kompletnie zwiotczeć, co dało mu ukrytą satysfakcję, fałszywą i straszną.

Pewnego wieczoru zawędrował do tokijskiego baru, który był albo barem dla gejów, albo

czymś w rodzaju *kabuki*, albo wszystkim tym po trochu. Siedzieli tam sami mężczyźni, a gdy wzrok przywykł do półmroku, okazało się, że kelnerzy czy kelnerki też wyglądają jak mężczyźni, że noszą jaskrawe kimona, wysokie, fantazyjnie ułożone peruki, że mają starannie uszmkowane usta i pomalowane kredą twarze. Kształtujące. Zaszleściło i przeszedł obok niego mężczyzna w kimonie, który chciał zaprowadzić go do stolika, ale Ozzie ruszył do wyjścia, przez wszystkich obserwowany, czując się dziwnie, nieswojo i obco. Otworzywszy drzwi, zobaczył na ulicy znajomego. Żołnierza z jego jednostki, Heindela, który przeszedł tuż obok. Ozzie wpadł w lekką panikę. Nie chciał, żeby widziano, jak wychodzi z takiego miejsca. Gdyby się to wydało, pomiataliby nim po koszarach jak śmieciem. Mieliby ubaw po pachy, ryczeliby ze śmiechu. Ekscentryczny samotnik wymykający się cichcem z podejrzanego baru. Cofnął się w mrok i zamówił piwo, cały czas zerkając na ulicę. Hidell w ciemnej kurtce z gotowym do skoku tygrysem na plecach. Wypił piwo i rozejrzał się wokoło. Wszędzie przyprawiająca o gęsią skórkę ciemność. I jękliwa muzyka ze ścian.

Złapał taksówkę i pojechał do dzielnicy Konno. Z fabryk i stoczni buchał trujący dym. Z bocznych zaułków wypadały na ulicę ostrzyżone na łyso dzieciaki na rowerach i na złamanie karku pędziły przed siebie zrytą dziurami jezdnią.

Hidell znaczy „milcz”.

Nikogo nie zastał. Zabłądził i przeszedł wiele kilometrów, zanim złapał kolejną taksówkę. Pojechał do Queen Bee, gdzie powitała go hostessa czy kelnerka, której jedynym zadaniem było kłaniać się wchodzącym gościom. Konno siedział samotnie przy stoliku na końcu sali. Długo rozmawiali. Po scenie chodziły dziewczyny w kostiumach kąpielowych, zarzucając biodrami w stronę siedzących na widowni biznesmenów i amerykańskich oficerów. Sala była przestronna i zatłoczona, goście hałaśliwi. Zmęczony Konno mówił ochryplym głosem, jakby dopadła go jakaś choroba. Przy stoliku zapadła cisza. I wtedy Lee powiedział, że pewnego dnia widział w Atsugi coś ciekawego: samolot U-2.

Zamilkł, żeby zbadać, jak się czuje. Zewsząd rozbrzmiewała muzyka i oklaski, ale on tkwił w przesyconej spokojem niszy. Z tym, co wokoło, nic go nie łączyło, nie łączyło go nic z samym sobą, a gdy mówił, mówił nie do Konno, tylko do kogoś, komu Konno o tej rozmowie zamelduje, do kogoś stamtąd, z tego stale zmieniającego się świata, do kolekcjonera luźnych rozmów, specjalisty mieszkającego w mroku jak tamci mężczyźni o jaskrawych ustach i w jedwabnych perukach na głowie.

Dodał, że samolot zniknął im z radarów. Że prawie o osiem kilometrów pobił dotychczasowy rekord wysokości lotu. Że jest uzbrojony w niesamowite aparaty fotograficzne i że lata nad wrogimi krajami.

Ledwie zauważył, że w ogóle mówi. To było najciekawsze. Im więcej mówił, tym bardziej czuł się rozdwojony. Wszystko było tak odległe, że to, o czym opowiadał, nie miało żadnego znaczenia. On tkwił w tej wypełnionej białym spokojem niszy, a zdania po prostu płynęły. Konno uważnie mu się przyglądał i słuchał. Nieogolony trząsł się jak w gorączce i wachał żółte od nikotyny palce w nawyku, który zdawał się sugerować, że nigdy dosyć – nigdy dosyć tego, czego się bardzo pragnie. Lee cicho mówił dalej. *Banzai*, dziesięć tysięcy lat szczęścia, czy cokolwiek to znaczy.

Dał mu do zrozumienia, że zdołał wyliczyć prędkość wznoszenia U-2. Nie powiedział, ile wynosi, zdradził za to inne, mniej ważne szczegóły, chcąc sprawdzić, czy Konno zna się na sprawach technicznych. Zrobił mu mały wykład, wytykając luki w systemie bezpieczeństwa bazy.

Mężczyzna w białym smokingu przedstawiał po imieniu piękności w kostiumach. W sali szczery aplauz. Wyszli na nocny chłód. Było późno, cicho, i Lee owinął się mocniej wiatrówką.

Konno stał na ugiętych nogach tyłem do wiatru, paląc papierosa i spoglądając na pustą ulicę.

Lee – skreślić dwa „e”.

I ukryć podwójne „l” w „Hidell”.

Hidell znaczy ukryj „l”.

Hidell, don't tell.

Białe ideogramy. Migoczące w mroku rzymskie litery. Konno powiedział, że czekają na jedną z kelnerek, Tammy, ale chyba nie bardzo mu się chciało, może dlatego, że był niewyspany. Tammy wyszła bocznymi drzwiami, w plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym, kapeluszu i botkach z opadającymi cholewami, i wyglądało na to, że ma ochotę na zasłużony odpoczynek. Powiedziała, że zna salon pachinko, który może być jeszcze otwarty. Chciała zagrać.

Operator radaru, niejaki Bushnell, szedł zewnętrznymi schodami na górę, gdy wtem usłyszał suchy trzask, pojedynczy odgłos, jakby ktoś uderzył linijką w blat biurka. Nie. Po namyśle doszedł do wniosku, że zabrzmiało to jak cichy huk, jak wybuch małej petardy. Nie, to też nie było to. Nie było nawet podobne. Może po prostu ktoś trzasnęła drzwiami.

Wszedł i zobaczył Ozziego, który z dziwnym uśmiechem siedział samotnie na żołnierskim kuferku. W rękę trzymał mały pistolet, a z ramienia, z miejsca tuż nad łokciem, spływała mu krew.

– Chyba się postrzeliłem – powiedział.

Bushnell przyglądał się przez chwilę tej małej, doskonałej wprost scenie. Uwaga Ozziego zabrzmiała historycznie i uroczo, jak kwestia z jakiegoś filmu czy sztuki telewizyjnej.

– Gdybym był oficerem dyżurnym i przypadkiem tędy przechodził, od razu pomyślałbym, skąd masz ten pistolet.

– Ale czy mógłbyś tymczasem coś dla mnie zrobić?

– Niby co?

– Byłoby miło, gdybyś wezwał lekarza.

– A ty co? Krwawisz? Wygląda to tak, jakbyś zaciął się przy goleniu.

– Mam w rękę dziurę.

– Ty się już golisz, Ozzie? Słyszałem, że twoja matka się goli, ale ty? Co będzie, jak zobaczą ten pistolet?

– To był wypadek.

– Gówno prawda. Wypadek to byłby z czterdziestkąpiątką.

– Z której odstrzeliłbym sobie rękę.

– To służbowa broń, kretynie. I co im powiesz? Znalazłem toto na chodniku w samo południe?

– Bo znalazłem.

– Chryste, rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę. Siedzisz tu całkiem sam. A gdybym tędy nie przechodził? Siedziałbyś dalej i czekał? Nie lubię jednego: złego planowania.

– Ale tymczasem mam dziurę w rękę.

– Jaką tam, kurwa, dziurę!

– Krwawię.

– I dobrze, masz to, na co zasłużyłeś. Zaraz, kurwa, zbledniesz jak ściana i wykorkujesz. To zwykła podpucha, Ozzie. Najstarszy numer na świecie. Myślisz, że co, że przyjdą tu i powiedzą: w porządku, Oswald, postrzeliłeś się. Ty zostaniesz, a reszta brać dupę w troki i na statek?

– Tak, bo jestem ranny. Tak powiedzą.

– Zupełnie nie zwracając uwagi na to, że kość jest cała? Bo chyba jest cała, nie? Stwierdzą, że broń jest nielegalna, i od razu postawią cię przed sądem polowym, masz to jak w banku.

- Wyjąłem pistolet z kufierka, żeby go oddać, i nagle wystrzelił.
- Tak, tak, najlepiej powiedz im, że jest taki malutki i śliczniutki.
- Bushnell, ja krwawię.
- Oskarżą cię o czyn zagrażający bezpieczeństwu, tak samo, jakbyś miał tu jakąś armatę.
- Wypadł mi z ręki i wypalił. Podniosłem go z podłogi, zakręciło mi się w głowie i w stanie szoku pomyślałem, że zamknę kuferek i usiądę. Wtedy przyszedłeś.
- Powiedz to nie mnie, tylko im, pojechańcu.
- Wezwij lekarza. Ktoś musi mnie opatrzyć. Jestem rannym żołnierzem.

DIAGNOZA: RANA POSTRZAŁOWA LEWEGO RAMIENIA / POCISK. BRAK DOWODÓW NA UDZIAŁ OSÓB TRZECICH. #8255

1. Pacjent do zabiegu.
2. Pacjent upuścił pistolet automatyczny kalibru 45, który wypalił. Pocisk ranił pacjenta w lewe ramię.

OKOLICZNOŚCI WYPADKU:

Osiemnastoletni mężczyzna postrzelił się przypadkowo w lewą rękę z pistoletu kalibru 22. Badanie wykazało, że rana wlotowa znajduje się w środkowej części lewego ramienia, tuż nad łokciem. Brak oznak uszkodzenia nerwów czy kości. Gdy rana wlotowa się zagoiła, pięć centymetrów nad nią wykonano nacięcie, przez które wydobyto pocisk kalibru 22. Rana zagoiła się dobrze i pacjent wrócił do obowiązków służbowych.

CHIRURGIA: 10.05.57 USUNIĘCIE OBCEGO CIAŁA Z KOŃCZYN / LEWE RAMIĘ. #926

Pocztówka 1. Na pokładzie USS „Terrell County” na Morzu Południowochińskim. Ozzie siedzi na rufie z Reitmeyerem, licząc dni do końca tych upiornych manewrów w lejącym się z nieba żarze i zastanawiając się, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze ląd.

- Nauczę cię grać w szachy, chcesz?
- Pierdol się.
- Dla twojego własnego dobra, głupku. Poza tym trzeba jakoś zabić czas.
- Na księżyc, kurwa.
- Najlepszymi szachistami są Rosjanie.
- Pierdolić Rosjan.

Siedzą otepiali w słonecznym blasku.

Pocztówka 2. Corregidor pośród wojennych ruin. John Wayne odwiedza stęsknionych za domem żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej z MACS-1, przerywając pracę nad filmem, który kręci gdzieś na Pacyfiku. Ozzie ma służbę w kambuzie – siedzi tam teraz cały czas – ale wymyka się, żeby popatrzeć, jak słynny aktor je lunch z grupą oficerów, rostbef z sosem, który pomagał przyrządzić. Chce podejść bliżej, chce powiedzieć coś prawdziwego. Wayne rozmawia i śmieje się. To niezwykle i zdumiewające słyszeć na żywo ten ekranowy śmiech. Ozzie słyszy go i dobrze się czuje. Wayne jest w dwójnasób realny. Nie oszukuje ani nie rozczarowuje. Ilekroć się śmieje, Ozzie się uśmiecha, rozpromienia, rozpływa w otaczającej go poświacie. Ktoś robi zdjęcie Wayne’owi i oficerom i Oswald zastanawia się, czy będzie go widać w tle, w przejściu, szeroko uśmiechniętego. Pora wracać do kambuza, ale on zostaje i patrzy na niego jeszcze trochę, myśląc o spędzie bydła w *Rzece Czerwonej*, o tej pełnej napięcia chwili na początku filmu.

Bezruch, zdenerwowane woły, świt, kowboje, zarys dalekich wzgórz i silny, głęboki głos starzejącego się Wayne'a, głos, w którym pobrzmiwa tyle uczuć i otuchy: „Prowadź je do Missouri, Matt”. A potem stojące dęba konie, krzyżący poganiacze, muzyka, porywająca pieśń, szczerze, porośnięte szczecina twarze (mężczyzn, których jakby znał), pył i chwała tej wspaniałej wyprawy na Północ.

W ruinach szpitala czyta Walta Whitmana.

Jedna rzecz: Konno nigdy nie rozmawiał z nim jak z żywym człowiekiem. Zawsze kiedy do niego przemawiał, mówił jak do dyktafonu. Był taki sztywny. Nie widział w nim jednostki.

I jeszcze jedno: z technicznego punktu widzenia to wszystko go przerastało. Nie znał terminologii, nie znał nazw, żargonu, nie znał się ani na awionice, ani na rozpoznaniu powietrznym. Dźwigowy! Ha, ha.

Lee nie powiedział mu, że postrzelił się z tego pistoletu. Po pierwsze, dlatego że strategia nie wypaliła i miał wyjechać na Filipiny. Po drugie, nie chciał, by Konno wiedział, że działał pod jego wpływem.

Milczeć.

Do odwołania stać na baczność.

Nigdy nie przekraczać białej linii. Nie dotykać białego. Linie były wymalowane na podłodze. Biegły korytarzami. Nie dotykać ani nie przechodzić przez białe linie. Są za nimi wszystkie pisuary. Żeby się odlać, trzeba mieć pozwolenie.

Biją między pierś i krocze, żeby nie było sińców. Taka tradycja. Albo strażnik wsadza ci na głowę kubek i wali w niego pałą.

Jeśli dali ci celę, klawisz zleje ją sikawką, kiedy w niej będziesz.

Jest też karcer zwany dziurą, pudłem czy klatką – nazwy o plastycznym brzmieniu, znane z filmów.

Jeśli tylko można biec, nigdy nie wolno ci iść. Z celi wybiegasz i biegiem do niej wracasz. Zatrzymujesz się przed każdą białą linią i prosisz o pozwolenie na jej przekroczenie. Na spacerniaku biegasz z motyką na ramieniu, i cały czas prezentuj broń!

W izbie przyjęć musisz rozebrać się do naga, stać z workiem marynarskim wysoko nad głową i na każdy szept tamtych wrzeszczeć: „Tak jest, panie sierżancie!” albo „Nie, panie sierżancie!” Wolno ci opuścić worek na kark dopiero wtedy, kiedy każą ci się schylić, kiedy zaglądną ci do odbytu, szukając gazetek, narkotyków, alkoholu, łopatki, telewizorka czy czegoś, czym mógłbyś się pochłastać.

Taki był areszt połowy w Atsugi, wielkie gmazysko z betonowymi podłogami, budynek mieszczący magazyny, biura, składziki, kwatery dla klawiszów i ogrodzony gęstą siatką kurnik, gdzie stało dwadzieścia jeden prycz. Kurnik pękał w szwach, więc nowych aresztantów upychano w sześciu betonowych celach na wąskim korytarzu z białymi liniami. Cele były pojedyncze, ale lato to sezon na odmieńców, uciekinierów, rozrabiających pijaków, urodzonych nieudaczników, drobnych złodziejasków, desperatów, facetów delikatnych i wrażliwych, dlatego Oswald siedział razem z niejakim Bobbym Dupardem, szczupłym, smutnookim Murzynem o miedzianych włosach i ciemnomiedzianej skórze.

Lee, którego wsadzili pierwszego, miał pryczę. Dupard dostał tak zwaną koję wiszącą, z materacem, na którym roilo się od płaskich, połyskliwych i gryzących żyjatek, takich, co to zgniecione między paznokciami rozpadały się z trzaskiem na dwa, na cztery, wreszcie na osiem mniejszych żyjatek i wracały całym stadem do swoich mięciutkich gniazdek, żeby spółdzić kolejną chmurę potomstwa i żeby – jak mówił Dupard – nie było sensu ich dalej rozgniatać.

Nocami rozmawiali. Szeptem.

- Więc jak je zabijesz, to się rozmnażają?
- Ich nie można zabić. Są za małe.
- To śpij na kocu.
- Przełazą. Drażą dziury i przełazą.
- To termity drażą dziury.
- Chłopcze, ja je znam, mieszkam z nimi od lat.
- To połóż koc na podłodze. Śpij na podłodze.
- Podłoga jest podzielona na pół białą linią. I tak by na mnie spadły.

Prawie puste pomieszczenie. Najprostsze sprzęty, podstawowe potrzeby. Miał straszliwie wyostrzone zmysły. Na języku czuł smak żelaza. Słyszał głosy z kurnika, warczących jak psy strażników. Kiedy zlewali sikawką podłogę, czuł zapach tkwiącej w betonie ziemi – kamyków, żwiru, żużlu i kruszywa – i lekki jak domieszka pogardy zapach amoniaku.

Dupard był z Teksasu.

- Pierwsze miejsce w kraju pod względem liczby zabójstw – powiedział Oswald.
- Otóż to.
- A dokładnie skąd?
- Z Dallas.
- Ja z Fort Worth. Wyjeżdżałem stamtąd, wracałem i tak w kółko.
- No to jesteście sąsiadami. Niesamowite, co? Młodyś. Ile ty masz lat?
- Osiemnaście.
- Dzieciak jeszcze. Wsadzają dzieci do pierdla. Ile dostałeś?
- Dwadzieścia osiem dni.
- Za co?

– Najpierw postrzeliłem się przypadkowo w rękę. Postawili mnie przed sądem, skazali, ale zawiesili wyrok.

- Jeśli przypadkowo, to dlaczego skazali?
- Powiedzieli, że broń była nielegalna. Miałem własną, prywatną.
- Taką, co to ci jej nie wydali?
- Taką, co to ją znalazłem. Ale jeśli nie jest zarejestrowana, to nie ma znaczenia.
- No, ale zawiesili wyrok, więc dlaczego?
- Bo potem miałem drugą sprawę.
- Ktoś tu chyba przegiął.
- Zwyczajny incydent, i tyle.
- Wierzę.

– Taki jeden sierżant, Rodriguez, cały czas dawał mi służbę w kambuzie. Nie lubi mnie facet i z wzajemnością. Dlatego nieraz dochodziło między nami do wymiany zdań. Uwziął się na mnie, więc wytłumaczyłem mu, jak się z tym czuję. On na to, że to przez ten wyrok nie mogę wrócić na radar, poza tym nie przestrzegam regulaminu, niechlujnie się ubieram i źle się zachowuję. Kiedyś zobaczyłem go w barze i od razu podszedłem. No i wygarnąłem mu. Powiedziałem, że mam dość bycia posługaczem. Staliśmy twarzą w twarz. Myślałem, że powiem swoje i odejdę. Ale nie, stałem dalej. Zbierało się coraz więcej ludzi. Potencjalni świadkowie, myślę sobie. Powiedziałem mu, co myślę. To wszystko. Nie wymądrzałem się. Mówiłem jasno i wyraźnie. Że chcę sprawiedliwego traktowania. Tak mu powiedziałem. Nie prowokowałem go. A on mówi, że go prowokuję. Że mi się nie uda. Że mu się nie opłaca, bo to tylko kłopot. Że straci belkę czy coś tam. Ale ci, co stali koło nas, zaczęli go podpuszczać. Spuść mu manto, Rodriguez, mówili. A ja wcale nie chciałem go sprowokować. Po prostu wyłożyłem mu sprawę. Nazwał mnie *maricón*.

Uśmiechnął się słodziutko i szepnął: *maricón*. Ja na to, że wiem, co to znaczy. Bo słyszałem, jak Portorykańczycy tak mówią. On wtedy, że nie jest Portorykańczykiem. To niech pan nie używa portorykańskich słów, mówię. I zrobiło się gorąco. Ludzie stali ze wszystkich stron. Ktoś mnie popchnął i oblałem go piwem. Przypadkowo. Powiedziałem, że przecież pan widział, że mnie popchnęli. Tak powiedziałem. Nie przeprosiłem go ani się nie tłumaczyłem. To nie była moja wina. Bo cały czas nas popychali. Broniełem tylko swoich żołnierskich praw.

– Mów ciszej – szepnął Bobby.

– No i znowu postawili mnie przed sądem. Ale tym razem się wybroniłem. Poprosiłem Rodrigueza na świadka. I udowodniłem, że oblałem go niechcący, że to nie była czynna napaść, jak napisali w akcie oskarżenia.

– To jakim cudem tu jesteś?

– Zmienili mi zarzut i uznali, że jestem winny prowokacji słownej w stosunku do podoficera zawodowego. Artykuł pierwszy, paragraf siedemnasty. No i dup.

– I pierdut – dodał Bobby.

W wypłowiiałym mundurze polowym, na którym wciąż było widać ślady po dawno już odprutyach pagonach sierżanta, pracował na polu, zbierając kamienie i paląc śmieci. Strażnik miał czterdziestkępiątkę i zawsze ustawiał się bokiem do więźniów, tak że nie było jej widać. Żadnych rozmów, ani chwili odpoczynku. Pracowali w deszczu. Tego pierwszego tygodnia lało jak z cebra, szerokimi strugami, gęsto i powoli. Snuł się nad nimi dym cuchnący mokrymi, na wpół spalonymi śmieciami. Włóczyli się po tym polu przez cały dzień. Uważał, że ma szansę dostać się do szkoły oficerskiej. Przed wyjazdem zdał egzamin na kaprała. Byłby w niezłej formie, gdyby nie ten postrzał i incydent z rozlanym piwem. Ale formę zawsze mógł poprawić. Był dość inteligentny, żeby zostać oficerem. Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, czy pozwolą mu zdawać. Ścinał krzaki i zbierał kamienie. Rzecz w tym, że pewnie wykorzystają tę sprawę przeciwko niemu.

– To jest jak sen – szepnął tej nocy Dupard. – Ja już chyba nie żyję. Czekaam tylko, aż wezmą szufłę i sypną mi ziemią w twarz.

– O co cię oskarżyli?

– Wyro mi się sfajczyło i powiedzieli, że przeze mnie. Ale po mojemu można to ująć inaczej. A jak ujmiesz to inaczej, dowody są słabiutkie.

– Ale przecież to ty je podpaliłeś.

– To nie takie proste. Mogłem je podpalić albo i nie, tak uważam.

– Nie jesteś pewien, czy chciałeś to zrobić. Tylko o tym myślałeś.

– To było jak, no wiesz: rzucić tego papierosa czy nie?

– I tak się zastanawiając, rzuciłeś.

– To było jakby samo z siebie.

– No i co z tym łóżkiem? Zapaliło się?

– Prześcieradło się trochę sfajczyło, tylko tyle. Jakbyś na ułamek sekundy zasnął z fajką w ręku.

– Ale po co ci był pożar?

– Sam muszę sobie na to odpowiedzieć, dlaczego i po co. Tu na pewno w grę wchodzi psychologia.

– No dobra, a potem?

– Potem było najważniejsze: zdezerterowałem.

– Dlaczego?

– Bo chcę się stąd wypisać – odparł Bobby. – Nie nadaję się na żołnierza. Po prostu. Powinni to wreszcie dostrzec i położyć temu kres. Bo im dłużej to trwa, tym mniejsza szansa, że poradzę sobie z całym tym gównem.

W więziennej literaturze Oswald zawsze natykał się na barwną postać starego skazańca, który doradzał młodszym kolegom, dawał im praktyczne wskazówki, filozofował na głębokie tematy. Bo więzienie prowokowało do głębokiego myślenia. Brakowało w nim spojrzenia z perspektywy, wiedzy jakiegoś siwiutkiego więźnia o zmęczonych oczach, doświadczonego doradcy. Lee nie był pewien, kogo właściwie spotkał w osobie Bobby'ego R. Duparda.

Nazajutrz po powrocie z pracy zastał w celi dwóch strażników, którzy okładali Duparda pięściami. Nie spieszyli się. Początkowo wyglądało to zupełnie inaczej, jak atak padaczki czy atak serca, ale zaraz potem zrozumiał, co się dzieje. Bobby leżał na podłodze i zasłaniał się, a tamci tłukli go na zmianę w żebra i nery. Jeden siedział na pryczy, pochylony do przodu, i wyprowadzał krótkie, proste ciosy, zupełnie jakby próbował odpalić silnik motorówki. Ten drugi klęczał na jednym kolanie i zagryzając usta, uważnie celował, żeby nie trafić w skrzyżowane ręce Bobby'ego. A Bobby miał minę, która mówiła, że kiedyś musi się to wreszcie skończyć. Robił wszystko, co mógł, żeby nie dopięli swego.

Nazywali go Brillo Head, co rymowało się z Brillo Pad, nazwą metalowego zmywaka. Bobby uśmiechał się leciutko, jakby jego zainteresowanie mogło wzbudzić tylko słowo mówione. Tamci znowu wrócili do bicia.

Oswald przystanął tuż przed białą linią na korytarzu. Pomyślał, że jeśli będzie stał zupełnie nieruchomo, spoglądając tępo to w lewo, to w prawo, jeśli cierpliwie zaczeka, aż tamci skończą swoje, i poprosi o pozwolenie na przekroczenie linii, to może zechcą wpuścić go do celi.

Nienawidził klawiszów, jednocześnie solidaryzował się z nimi w duchu, gdy tłukli niektórych więźniów. Uważał, że ci głupi i okrutni całkowicie na to zasługują. Czuł, że obiekty tej nienawiści ciągle się zmieniają, odczuwał potajemną satysfakcję, nie znosił obowiązującego tu reżimu, gardził tymi, którzy nie potrafili się do niego przystosować, chociaż wiedział, że wymyślono go po to, żeby ich wszystkich złamać.

Kiedy do jednostki wracał aresztant z kurnika, jego miejsce zajmował ktoś z celi.

Kiedy aresztant z kurnika podpadł strażnikowi, wsadzano go do pojedynczej celi, gdzie dostawał gówno do jedzenia i gdzie uważnie go obserwowano, co miało straszliwe konsekwencje.

Kiedy strażnikom podpadł ktoś z celi, wtrącano go do karceru, ciasnej nory ze srajdziurą i klepiskiem zamiast podłogi.

Ze względu na zatłoczenie ciągle przenoszono aresztantów z miejsca na miejsce, ciągle też organizowano apele na białych liniach, przeprowadzano inspekcje i przeszukania, robiono kipsisze. I ciągle ktoś podpadał klawiszom.

Tamtej nocy Dupard nie miał nic do powiedzenia, chociaż nie spał.

Próbował wyczuć historię w celi. Była to historia rodem z George'a Orwella, strefa bezwyboru. Wyraźnie widział, że zmierzał tu od chwili narodzin. Ten areszt wymyślono specjalnie dla niego. Była to po prostu inna nazwa ciasnych pokoików, w których mieszkał przez całe życie.

Powiedział kiedyś Reitmeyerowi, że jedyną prawdziwą religią jest komunizm. Mówił poważnie, ale i na pokaz. Potrafił doprowadzić go do szału, podkreślając, że jest ateistą. Reitmeyer uważał, że ten zaszczytny tytuł przysługuje ludziom, którzy skończyli czterdzieści lat. Że trzeba na niego długo pracować i mieć doświadczenie, długi staż, jak w Teamsterach.

A może więzienie było rodzajem religii. Wszechwięzienie. Coś, co nosi się w sobie przez całe życie, przeciwwaga kłamstwa i polityki. Rzecz była głębsza niż wszystko to, co mówili na kazaniach. Zawierała prawdę, której nikt nie mógł zanegować. Zmierzał tu od samego początku. Nieuchronnie.

Trocki na Bronksie, ledwie kilka ulic dalej.

A może człowiek musi dać się ponieść fali, która porwie go w określonym kierunku, może musi znaleźć się w strefie bezwyboru. To właśnie dlatego pewne rzeczy są nieuniknione. Te wszystkie restrykcje i kary wzmacniają, więc trzeba to wykorzystać. Historia jest umiejętnością wtapiania się i zlewania. Wyjść z własnej skóry, taki jest jej cel. Wiedział, co napisał Trocki: że rewolucja wyprowadza nas z mroku nocy odizolowanego „ja”. Że w historii żyjemy wiecznie, poza naszym *ego* i *id*. Lee nie bardzo rozumiał, czym jest to *id*, wiedział jednak, że ukrywa się ono w słowie Hidell.

Naga żarówka płonąca w korytarzu. Dupard w mrocznym cieniu na zawieszonym materacu, jego puste spojrzenie. Jego kościste nadgarstki wystające z rękawów wypłowiałej koszuli. Był tak chudy, że wyglądał jak niezdarny, figlarny szesnastolatek, ale dobrze biegał – biegał po spacerniaku, do kibla, nieustannie spoglądając na białe linie. Pociągła, zakłopotana twarz nieudacznika, matowe włosy, rudawe brwi. Oczy podejrzliwe, urażone i rozbiegane. Oswald leżał nieruchomo; świadom całej tej posępnosci i masowego snu, wsłuchiwał się w monotonne odgłosy aresztu, w ciężki oddech współwięźniów. Dupard rozebrał się, wszedł pod koc, zaczął się onanizować odwrócony do ściany. Oswald widział, jak drga mu łopatką. On też odwrócił się do ściany, zamknął oczy i spróbował zasnąć.

Hidell znaczy *don't tell*.

Id to piekło, czyli *hell*.

Jekyll wali konia, bo taki ma cel.

Stał za białą linią przed pisuarem. Tuż obok przeszedł klawisz, posyłając mu badawcze spojrzenie typu „co by tu zrobić dla zabicia czasu”.

Oswald poprosił o pozwolenie na przekroczenie linii.

– Patrzę na twoje kudły, gnoju. Jaka powinna być długość włosów na karku?

– Zerowa.

– A co tu widzę?

– Nie wiem.

Strażnik pchnął go za linię. Odwracając się chwiejnie, Oswald spojrzał mu prosto w twarz. Jajowaty łeb. Pólinteligent o małych, jasnych oczach.

Oswald wrócił na miejsce, stanął twarzą do pisuaru i poprosił o pozwolenie na przekroczenie linii.

– Patrzę na twoje bokobrody. Na co patrzę?

– Na moje bokobrody.

– Bokobrody nie mogą przekraczać jakiej długości?

– Trzydziestu jeden milimetrów.

Klawisz chwycił go za baczek dwoma palcami i pociągnął, tak dla większego efektu. Oswald pochylił głowę, ale nie po to, żeby mniej bolało, bo bolało tak sobie, tylko po to, żeby pokazać mu, że w tych okolicznościach nie zamierza znosić bólu ze stoickim spokojem. Strażnik puścił włosy i lekko uderzył go w głowę nasadą dłoni.

Oswald poprosił o pozwolenie na przekroczenie linii.

– Długość włosów na głowie nie może przekraczać ilu centymetrów?

– Siedmiu i pół.

Czekał, aż tamten chwyci go za włosy.

- Rozporek ma być rozpięty jak i nie robić czego, kiedy co jest rozpięte i jak?
- Rozporek musi być rozpięty prosto, a w rozpiętych spodniach nie może być szpary.

Strażnik chwycił go za jądra.

- Znam takich jak ty.
- Tak jest!
- Wypatrzę takiego z kilometra.
- Tak jest!
- Takiego, co nie potrafi znieść bólu.
- Tak jest!
- Zasmarkanego wymoczka udającego żołnierza piechoty morskiej.

Do drugiej białej linii podszedł jakiś aresztant, prosząc o pozwolenie na jej przekroczenie. Strażnik powoli odwrócił głowę. I zabrał rękę. Znowu zaczął padać deszcz. Klawisz odczepił pałkę od pasa i podszedł do tamtego.

– Nazwisko.

– Nineteen.

– Nie znasz regulaminu, Nineteen?

– Poprosiłem o pozwolenie na przekroczenie linii.

– Ale nie poprosiłeś o pozwolenie na otwarcie gęby. – Klawisz dźgnął go pałką w bok. – Więźniowie milczą. Przestrzegamy międzynarodowych zasad prowadzenia wojny. Tu, w głowie. To moja głowa. Nikt nie otwiera gęby, dopóki nie powiem, że można.

Dźgnął go jeszcze raz.

– Więźniowie biegają, milcząc. Uderzeni padają, milcząc, na ziemię. Umiesz padać, Nineteen?

Zanim Nineteen zrozumiał, że ma upaść, i zanim upadł, tak powoli, starannie wystudiowanymi fazami, strażnik dźgnął go jeszcze dwa, a zaraz potem jeszcze trzy razy, znacznie mocniej. Ramię Nineteena musnęło białą linię. Klawisz kopniakiem przewrócił go na plecy.

– Nocą biegnie się tylko w razie niebezpieczeństwa.

Nie pochylając się nad leżącym – po co ta fatyga? – wziął zamach i z niedbałego bekhendu uderzył go lekko w łokieć. Biorąc zamach, nawet na niego nie spojrzął. To należało do obowiązującego tu stylu.

Spojrzął za to na Oswalda.

– Dłaczego go uderzyłem?

– Wyrecytował zasadę numer dwa.

Klawisz ponownie wziął zamach i grzmotnął Nineteena w ramię.

– Regulamin znamy na pamięć słowo po słowie – powiedział, stając tyłem do niego. – W głowie nie powinno być nic oprócz regulaminu. Zabijamy po cichu i z zaskoczenia.

Oswaldowi strasznie chciało się łać.

– Podczas rozstrzygającego ataku – mówił klawisz – to właśnie żołnierz piechoty morskiej, jego karabin i co jeszcze ściera się z wrogiem i go niszczy?

– I jego bagnet – odparł Nineteen.

– Zdecydowany atak na bagnety, przeprowadzony przez żołnierzy piechoty morskiej pragnących trafić zimną stalą w cel, co może zrobić?

Leżący na podłodze milczał. Zanim strażnik cofnął się pół kroku, wziął szeroki zamach i uderzył go ponownie, tym razem w kolano, Nineteen zdążył jeszcze mocniej zwinąć się w kłębek. Oswald aż rwał się do odpowiedzi.

I gdy strażnik przeniósł na niego wzrok, natychmiast wyrecytował:

– Zdecydowany atak na bagnety, przeprowadzony przez żołnierzy piechoty morskiej

pragnących trafić zimną stalą w cel, sieje przerażenie w szeregach wroga.

Strażnik zamachnął się jeszcze raz i uderzył Nineteena w rękę. Oswald odczuł lekką satysfakcję. Bijąc, klawisz demonstracyjnie patrzył w dal.

Lee wyczuł, że jego uwaga skupi się zaraz na nim. Był gotów do odpowiedzi.

- Zasada numer jeden.
- Wbić bagnet w ciało wroga.
- Zasada numer dwa.
- Być bezwzględny, bezlitosny i szybkim w ataku.

Strażnik zrobił pół kroku do przodu, przerzucił pałkę do lewej ręki i grzmotnął go w mostek. Oswald był szczerze zdziwiony. Zdawało mu się, że doszli do porozumienia. Cios odrzucił go trzy kroki do tyłu i zmusił do przyklęknienia na jedno kolano. A myślał już, że wyrobił całą dniówkę.

– Nie ma dobrych odpowiedzi – wyjaśnił strażnik, patrząc w dal.

Oswald wstał, podszedł do białej linii i wbił wzrok w pisuar. Poprosił o pozwolenie.

- Żeby zadać cios bagnetem, co trzeba zrobić?
- Punkt pierwszy: przyjąć pozycję wyjściową.
- Dalej.
- Punkt drugi: nie podnosząc prawej nogi, lewą zrobić trzydziestosiedmiocentymetrowej długości wyrok.

Strażnik uderzył go pałką w ramię. Oswaldowi tak bardzo chciało się sikać, że był zlany potem, górną część ciała miał wilgotną i zimną.

– Ta głowa nie uznaje dobrych odpowiedzi. Udzielanie odpowiedzi, które uważa się za dobre, jest przejawem największej głupoty.

Dźgnął go w bok końcem pałki. Nineteen wciąż leżał zwinięty w kłębek na podłodze.

Klawisz zdzielił Oswalda w kark. Po co zawracać sobie głowę pytaniami, o to mu pewnie chodziło. Oswald postanowił złać się w spodnie. Ze złości i żeby wyrównać z nim rachunki. Czuł, jak mocz spływa mu po nodze. Głęboka ulga i wybawienie. Wszystkiego najlepszego, zdrowia i szczęścia.

Pałka trafiła go w szyję.

Rękami osłonił głowę. Ostatni cios dziwnie strażnika rozżłościł. Stał, patrząc w dal, ale był teraz jakiś taki inny, bo miał rozchylone usta i martwe oczy, i Lee zdał sobie sprawę, że dzieli ich tylko krok od małej, prywatnej jatki, takiej, o jakich się czasem słyszy, bezimiennej i pozbawionej szczegółów.

Z rękami na głowie, patrzył, jak na podłodze rozlewa się kałuża moczu. Musiał przez chwilę pomyśleć.

Głęboko westchnął i podszedł do białej linii. Patrząc prosto przed siebie, powoli opuścił ręce. Uznał, że jeśli będzie poruszał się powoli, jawnie i nie okaże przerażenia, strażnik da mu spokój. Musiał wziąć pod uwagę jego stan psychiczny. Musiał zrobić wszystko, żeby strażnik wytrzymał, po to tu byli. Zwinięty w kłębek Nineteen też o tym wiedział. Też zdawał sobie sprawę z wagi chwili, Oswald wyraźnie to czuł. Musieli odczekać, aż chwila ta osiągnie poprzednią spójność, wróci do dawnego kształtu, do czegoś, w czym rozpoznają kolejną deszczową środę w Japonii.

Stał przed białą linią i czekał.

– Nabieram coraz większej pewności, że chcą mnie odesłać do domu w trumnie – szepnął w ciemności Dupard. – Jak tylko włożyłem ten zielony mundur, od razu zobaczyłem, że wyglądam w nim jak trup. Że to ubranie do trumny dla głupca. Natychmiast to zauważyłem.

– Mnie się tam mundur podobał – odparł Ozzie. – Świetnie w nim wyglądałem. Zaskoczyło

mnie, że tak dobrze się w nim czuję. Prałem go i zabezpieczałem przed molami. Nigdy nie nosiłem ciężkich rzeczy w kieszeniach. Patrzyłem w lustro, a lustro mówiło, że to ja.

– Dobre, dobre. Mojej matce tak powiedzieli. Powiedzieli: niech pani wyśle go do wojska, pani Dupard. Na amerykańskich ulicach z dnia na dzień panuje coraz większy obłęd. Syn będzie u nas bezpieczny.

– Mojej też tak powiedzieli.

– Wysłali mnie do Japonii, żeby ochronić mnie przed Murzynami z zachodniego Dallas. Dasz temu wiarę? Wsadzili mnie za kratki, żeby nikt nie podprowadził mi portfela i butów.

– To jeden wielki system. W tym systemie jesteśmy zerem.

– I darzą mnie tu specjalnymi względami. Wierz mi.

– Cały czas nas obserwują. Jak Wielki Brat z *Roku 1984*. To nie jest książka o przyszłości. Ta książka opowiada o nas, teraz i tutaj.

– Kiedyś czytałem Biblię – powiedział Bobby.

– A ja regulamin. Do podręczników nie zaglądałem, czytałem tylko regulamin żołnierza piechoty morskiej.

– Wojsko zrobi z ciebie prawdziwego mężczyznę.

– A potem zrozumiałem, o co w nim tak naprawdę chodzi. Ten regulamin tłumaczy, jak być narzędziem systemu. Jego sprawnie funkcjonującą częścią. To doskonały podręcznik kapitalizmu.

– Zostań żołnierzem piechoty morskiej.

– Orwell ma na myśli umysł wojskowy. Rosja nie jest państwem policyjnym. Państwo policyjne jest wszędzie tam, gdzie taki umysł napisze przewodnik po zasadach zabijania.

– Gdzie ten Stalin? Umarł?

– Umarł.

– Chyba coś słyszałem.

– Ale Eisenhower żyje. Ike jest naszym Wielkim Bratem. Naszym dowódcą naczelnym.

Leżeli w ciemności i myśleli.

Wszystko przez nich. To przez nich musiała ciągle pracować, rzucać pracę, zajmować się mną, wylatywać z roboty, wracać, zbierać manatki i wyjeżdżać. Spakujmy się i wyjedźmy. Ciułanie forsy na kolejną przeprowadzkę. Przez całe życie nic, tylko poniżenie. To się nazywa ucisk. Z tym, że ona nigdy się temu nie sprzeciwiała. To tylko przez warunki miejscowe. Przez Ekdahla i tę żalostną ugodę rozwodową. Przez to, że szepczą za jej plecami. Przez sąsiadów z tymi wszystkimi zmywarkami i fordami, z którymi rywalizuje w jedyny sposób, w jaki może.

– Mój synek Lee uwielbia czytać.

Wieczna matka.

Z niewiadomych powodów przez trzy dni z rzędu dostawali królicze żarcie – sałatę, marchew i wodę.

Oswald przebiegł wzdłuż siatki, skręcił w korytarz i zatrzymał się przed białą linią. Dupard siedział w gaciach na jego pryczy. A jego materac się tlił. W powietrzu gęstniał jasny dym. Dupard po prostu tam siedział, przybity i zamyślony, grzebiąc między palcami stóp.

– Bobby, jak to się stało?

– Chcesz usiąść?

– Nie, siedź.

– Nie możemy rozmawiać.

– Tylko pogarszasz sytuację.

– Wykurzam wszy, to wszystko. Wzerają mi się w skórę. Pora na odwszenie.

– Prosiłeś o nowy materac?

– Prosiłem. Dostałem w mordę.

Był spokojny, trochę urażony, ale głównie zamyślony i zrezygnowany.

– Przedłużą ci odsiadkę.

– Po mojemu nie ma się czym ekscytować. Mogą mnie ukarać, ale nie czuję się winny. Ja tylko wykurzam wszy. Innymi słowy, robię dobrą robotę.

– To twój drugi pożar.

– Ciszej.

– Szczerze mówiąc, nie widzę sensu w paleniu materaców.

– Przestań gadać, Ozzie. Zlej ci dupę.

Dwóch strażników minęło Oswalda i weszło do celi. Pożar był tak mały, że po wodę posłali dopiero pięć minut później, gdy już stłukli Duparda.

Oswald stał za białą linią, patrząc w bok.

Przenieśli go do kurnika. Musiał tam unikać nie tylko klawiszów, ale i kolegów, tych wszystkich ciał, tych oczu, tej wewnętrznej muzyki: przerażenia, przygnębienia, psychicznego gwałtu. Cała sztuczka polegała na tym, żeby trzymać się własnej strefy, unikać kontaktu wzrokowego, przypadkowych dotknięć, pewnych gestów, wszystkiego, co mogłoby wskazywać, że jeden z tych brzęczących trutni ma jakąś osobowość. Bezpieczeństwo zależało od anonimowości.

Przemawiał do siebie w myśli, dzięki czemu przetrwał te wszystkie dni. Ciągące się w nieskończoność, identyczne. Areszt był czymś tak bezmyślnym, że w końcu wyparł cały strach. Lee biegał korytarzami, biegał w miejscu. Szorował kibel, sprzątał swój kawałek podłogi, słał pryczę. Sensem aresztu było utrzymywanie aresztu w czystości. Wyjmował z pakamery wiadro i stawał za białą linią. Zbudowali ten areszt tylko po to, żeby go sprzątać. I to właśnie tu namalowali te linie. Od nich zależało wszystko. Areszt był miejscem, dokąd przenoszono je z wojskowego umysłu, gdzie malowano je jasno, wyraźnie i na stałe, po wsze czasy. Gdy to wreszcie zrozumiał, nauczył się z nimi pogrywać.

Siedział w sali telewizyjnej i oglądał *American Bandstand* Dicka Clarka. Przyszedł Reitmeyer, żeby uścisnąć mu rękę. Wpadło kilku innych, żeby spytać, jak było. A on siedział w hawajskiej koszuli i uśmiechał się z wyższością, mówiąc, że to kaszka z mleczkiem. Świetna zaprawa przed powrotem do życia w Stanach. Dodaje zadziorności. Cały Ozzie, powiedzieli kumple. Cały Królik, cały Bugs, a potem wyszli jeden po drugim, i znowu został sam na sam z uczniami i uczennicami ogólniaka, snującymi się sennie po parkiecie w Filadelfii.

Dwa tygodnie później wyruszył do pewnego domu w dzielnicy Sanya w Tokio. Szedł zgodnie ze wskazówkami, przez osiedle szmaciarzy zbudowane z materiałów zebranych w innych częściach miasta. Uliczkami truchtały stare kobiety z pustymi butelkami, nogami od krzesel, z trudnymi do zidentyfikowania rupieciami. Domy sięgały mu ramienia. Sklecono je ze starych skrzyń i kawałków blachy, a ściany uszczelniono tekturą i szmatami. Przed ruchomymi ośrodkami pobierania krwi stały kolejki ludzi o zapadniętych ciałach, ludzi kruchych, w stanie głębokiej zapaści. Dno nie istniało. Bez względu na to, jak nisko człowiek upadł, zawsze mógł upaść jeszcze niżej, zawsze mógł zobaczyć i przeżyć rzeczy jeszcze gorsze. Celowo szedł powoli. Chciał zobaczyć, co tam jest.

Wszedł do czynszówki i przez otwarte drzwi zajrzał do mieszkania, gdzie jakiś młody mężczyzna naprawiał powielacz. Konno kazał mu iść na trzecie piętro, ale nie podał numeru mieszkania. W korytarzu było ciemno i cuchnęło. Gdzieś na górze płakało dziecko.

Hidell idzie starymi, trzeszczącymi schodami.

Na trzecim piętrze dwoje otwartych drzwi. W środku skłębiony tłum studentów, tłum studentów na korytarzu między mieszkaniami. Jeden z nich spojrzał na Ozziego, który stał tam z uśmiechem, w podkoszulku i zakurzonych dżinsach. Spojrzał, też się uśmiechnął i wskazał mu drzwi na końcu korytarza. Oswald zapukał i czyjś głos kazał mu wejść. Zobaczył matę tatami i niski stolik. Przez pokój szła kobieta. Miała około pięćdziesięciu lat, okrągłą jak księżyc twarz, filuterną fryzurę i była w lekkim, bawełnianym kimonie. Powiedziała, że nazywa się doktor Braunfels. Że udziela prywatnych lekcji niemieckiego i rosyjskiego studentom Uniwersytetu Tokijskiego. Spytała, czy to prawda, że chce uczyć się rosyjskiego. Odparł, że tak, i zamilkł. Kobieta usiadła po turecku na macie po drugiej stronie stolika. Poprosiła, żeby zdjął buty. Te wszystkie miłe akcenciki bardzo pasowały do otoczenia.

Jej bladoniebieski makijaż był w kolorze kimona. Nie spodziewał się Europejki. Dodało mu to otuchy, sprawiło, że uznał, iż podjął tę decyzję w odpowiednim momencie, w sprzyjających okolicznościach, że wyjdzie mu to na dobre. Była pewnie kimś ważnym, doradczynią radykalnych studentów, oficerem werbunkowym albo agentką prowadzącą. Wskazała mu miejsce naprzeciwko. Obserwowała go, gdy niezdarnie siadał na macie. Jedli ciasteczka ryżowe owinięte wodorostami.

– A ty jesteś Lee Oswald – powiedziała w końcu jakby dla równowagi, jakby chciała dodać ostatnią dostojną nutkę w wymianie zdań między dyplomatami.

W oknie były bambusowe żaluzje, z boku stał parawan. Sufit był niski, z ciemnego drewna. Tu i ówdzie małe, wypolerowane na błysk przedmioty. Wypadało docenić ich rozmieszczenie i surowość wystroju. Gałązki w wazonie na stoliku z laki.

Wyznał, że chce uciec z kraju z powodów politycznych.

– Pomyślałem, że tak trzeba, że nie mógłbym żyć w Stanach Zjednoczonych. Chcę żyć jak ci studenci, udzielać się politycznie, walczyć za sprawę. Nie jestem niewinnym młodzieńcem, który uważa, że Rosja to kraina marzeń. Patrzę na to chłodno, w świetle dobra i zła. Uważam, że w Związku Radzieckim jest coś wyjątkowego, i chcę się o tym przekonać. Ten kraj to wspaniała teoria wcielona w życie. Zanim skończyłem piętnaście lat, indoktrynowałem się w nowoorleańskiej bibliotece. Studiowałem ideologię marksistowską. Podnosiłem głowę znad książki i widziałem wokoło zubożenie mas, zubożenie własnej matki, to, jak na przekór wszystkiemu walczyła o wychowywanie trojga dzieci. Socjalistyczna literatura była moim kluczem do środowiska. Jej tezy są słuszne. Kapitalizm zaczyna upadać. Podejmuje rozpaczliwe kroki. Rozpętuje się histeria, której przejawem jest choćby nienawiść do Murzynów i komunistów. W wojsku poznaję całą siłę tego systemu. Jest w nim coś, co wzmacnia nienawiść. Jak mógłbym mieszkać w Ameryce? Nie miałbym wyboru, musiałbym być robotnikiem, który pracuje dla znieprawionego systemu. Nikt nie wie, co o tym myślę. Moje ideały są szczerze i chcę to zrobić. Nie ma w tym niczego abstrakcyjnego. Żeby na zawsze opuścić ten kraj, jestem gotowy na trudy i ból.

Tego wieczoru siedział samotnie w Queen Bee, myśląc, że za szybko poruszył tę najważniejszą sprawę. Nie robiła wrażenia zadowolonej, gdy jej o tym powiedział, i zrewanżowała mu się nowiną. Za dwa tygodnie jego jednostkę przerzucano na Formosę, do najnowszego punktu zapalnego. Chciała, żeby tymczasem zapomniał o ucieczce i spróbował zdobyć dostęp do tajnych dokumentów i zdjęć. Długo o tym mówiła. Mówiła o jego pracy, nie o życiu. Chciała, żeby dostarczył jej hasła taktyczne, kody dostępu, częstotliwości radiowe. Zdjęcia U-2.

Miał dostać za to pieniądze, chociaż zdawała sobie sprawę, że to nie pieniądze są motywem

jego działania. Powiedziała, że ich następne spotkanie odbędzie się w Yamato, niedaleko bazy, i wytłumaczyła, jak tam trafić. Z wprawą zapoznała go z obowiązującymi technikami i procedurami, podkreślając konieczność przestrzegania dyscypliny; niewykluczone, że była to aluzja do jego wymiętego ubrania i jednodniowego zarostu. Dodała, że podziwia Japończyków, bo Japończyk może poświęcić całe życie, żeby zrobić coś dobrze.

Miała pełne usta i pulchne ręce. Była zwodniczo dziewczęca, jakby tkwiło w niej kilka warstw czegoś podstępnego i szyderczego. Powiedział, że naukę rosyjskiego traktuje bardzo poważnie.

W Queen Bee zaczekał, aż Tammy skończy pracę, i spędził z nią noc w mieszkaniu, które dzieliła z dwiema siostrami. Podczas gdy siostry oglądały telewizję, oni uprawiali seks, trochę płochliwie. Zwinięty w kłębek w kącie pokoju, z głową w zagłębieniu ramienia kochanki, myślał o wielu rzeczach, o których doktor Braunfels nie wiedziała. Nie wiedziała, że od rozprawy przed sądem polowym cały czas dostawał służbę w kantynie. Służbę w kantynie, służbę wartowniczą, same gówna, wszystko oprócz służby na radarze. Nie wiedziała, że po drugiej rozprawie cofnięto mu zezwolenie na dostęp do tajnych informacji. Nie wiedziała nawet, że miał drugą rozprawę, ani drugą, ani pierwszą, nie wiedziała, jakie incydenty do nich doprowadziły. Nie wiedziała też jeszcze jednego: jak bardzo gotów był zaryzykować, żeby wykraść dokumenty z miejsc, do których nie miał dostępu.

Widząc jej gładką, okrągłą twarz, naśladowując jej akcent, powiedział do siebie w ciemności:

– Czyżby kolejna wpadka, Lee Oswaldzie?

W Atsugi ogarnęło go kinowe szaleństwo. Każdy film oglądał dwa razy, stronił od ludzi i dużo czasu spędzał w wojskowej bibliotece, ucząc się rosyjskich słówek.

A jeśli ona chce tylko wszystko ze mnie wycisnąć?

Spotkali się w mieszkaniu nad sklepem rowerowym. W korytarzu schła otwarta parasolka. Doktor Braunfels była w normalnym ubraniu i w płaszczu przeciwdeszczowym na ramionach. Uścisnęli sobie ręce jak znajomi ze szpitala. Z krótkimi, nierówno przystrzyżonymi włosami wyglądała o wiele za młodo i pomyślał, że nie można chyba na niej polegać, że jest to ktoś, kto nie potrafi żyć bez dwuznaczników, kto mówi jedno, a myśli drugie.

– Masz dla nas o wiele większą wartość, wypełniając swoje służbowe obowiązki i regularnie się ze mną spotykając – powiedziała. – Jedź tam, gdzie cię wyślą. Czemu nie? Chcemy, żebyś awansował. Awansujesz tutaj, nie w Moskwie czy Leningradzie.

– A jeśli zdecyduję się wyjechać?

– Jeszcze na ciebie nie pora.

– Nie mogliby mnie tam przeszkolić i odesłać z powrotem do domu?

– Już jesteś w domu.

Taki mały żart. Powiedział jej, że nie ma dokumentów. Możliwe, że dokumenty będą, w najbliższym czasie. Wszystko zależy. Tymczasem okazał swoją dobrą wolę, podając jej liczbę i typ samolotów w dywizjonie oraz hasła wywoławcze maszyn wlatujących i opuszczających strefy identyfikacyjne. Nie powiedział jej wszystkiego o U-2. Zdradził tylko kilka technicznych ogólników, obserwując jej reakcję. Dodał, że w bazie mówią, iż aparaty na pokładzie U-2 fotografują ziemię przez kilka szczelin.

Szerokość fotografowanego pasa ziemi?

Było mu przykro, ale tego nie wiedział. Spytała o nazwiska pilotów U-2. Chciała, żeby zdobył instrukcje obsługi i podręczniki serwisowe. Dał jej do zrozumienia, że dalsze informacje będą dostępne z czasem, że zależy to od wielu rzeczy.

Kategorycznie zażądał, żeby zaczęli uczyć się rosyjskiego. Przyniósł słownik angielsko-rosyjski. Na jego widok doktor Braunfels zapadła się głęboko w fotel. Powiedziała, żeby nigdy

więcej tego nie robił. Że wszystkie niezbędne książki przyniesie ona.

Siedzieli przy stole w słabym świetle i ćwiczili wymowę. Bardzo się starał i bardzo jej tym zaimponował. Powiedziała, że jeśli chce uczyć się sam, bez zwracania na siebie uwagi, pomoże mu w takim stopniu, w jakim będzie mogła. Zarażona jego chęciami i pilnością, chyba wbrew samej sobie opowiedziała mu trochę o rosyjskim jako języku.

Ucząc się z nią, artykułując nowe dźwięki, obserwując jej usta, powtarzając słowa i sylaby, słysząc, jak jego płaski głos nabiera faktury i wymiaru, niemal uwierzył, że zaczyna zmieniać się już tu i teraz, że otworzono przed nim drzwi do większej i głębszej wersji samego siebie. Rosyjski miał w sobie jakąś wielkość, niepowierzchnową uczciwość. Uważał, że jest dobrą nauczycielką, stanowczą i poważną, i wyraźnie czuł, że podczas nauki łączy ich mała, szczerą radość.

– Za tysiąc lat – powiedział – ludzie zajrzą do ksiązek historycznych i dowiedzą się, gdzie przeciągnięto linię, kto dokonał dobrego wyboru, a kto nie. Dynamika historii faworyzuje Związek Radziecki. To całkowicie oczywiste dla każdego, kto ma otwarty umysł i dorasta w Ameryce. Nie żebym ignorował wartości i tradycje. Jest faktem, że w przywiązaniu do wartości tkwi duży potencjał. Wszyscy chcą kochać Amerykę. Ale jak uczciwy człowiek może zapomnieć o tym, co widzi w codziennych kompromisach, które są jak miliony małych wojen?

Reitmeyer wysłuchał powitania, a potem niezdarne, wzbogacone gestami rąk dialogu między swoim dorywczym kumplem Oswaldem i kapralem Yaroslavskym. Uznał, że to dziwne, że dwóch żołnierzy piechoty morskiej spotyka się codziennie, żeby porozmawiać po rosyjsku. Drażniło go to. Źle na niego działało. A oni śmiali się z niektórych zwrotów, zwracali się do siebie per towarzyszu, zachowywali się tak, jakby był to ich mały, prywatny żart. Uważali, że to przekomiczne, tak to przynajmniej wyglądało. Siedem, osiem dni z rzędu. Tego idiotycznego, bezsensownego bełkotu. Tylko w Ameryce, jak powiadają. Ale my jesteśmy w Japonii, pomyślał, a na bajecznym Wschodzie każdy dzień jest dziwny.

Patrzył, jak Tammy maluje usta ołówkiem do brwi; tego roku malowały się tak japońskie nastolatki; ot, przelotna moda. Była młodsza od Mitsuko, ale nie za bardzo. Mitsuko zniknęła w tym zmiennym świecie, a Tammy mogła w każdej chwili pójść w jej ślady. Pozowała mu w zwiewnej bluzce i w rybaczkach. Ozzie już się nie krępował, gdy inni żołnierze widzieli go z tak dobrze ułożoną kobietą. Kumple z MACS-1 nie mogli tego zrozumieć.

Zabrała go do Baru dla Samotnych, knajpy, gdzie kelnerki miały na sobie kostiumy kąpielowe nasączone jakąś substancją chemiczną. Chodziło o to, żeby zapalić zapalniczkę, pocierając ją o gładki zadek przechodzącej obok stolika dziewczyny. Czterech czarnych szeregowców dostało na tym punkcie prawdziwego jobla. Rozbawieni wyli ze śmiechu, nie mogli się powstrzymać. Pochodzili z Południa. Byli chudzi, niezdarci i ślapstickowato komiczni, tacy, jakich się zwykle lubi, i na ich widok Ozzie pomyślał, co się stało z Bobbym Dupardem. Ta myśl zaciążyła na wieczorze jak fatum. Siedział, pił piwo i w smrodzie płonących zapalniczek prostymi zdaniem opowiadał Tammy o swojej przeszłości. Noc z życia Baru dla Samotnych.

Trzy dni później poczuł pieczenie podczas oddawania moczu. Pieczenie tam, w środku. Dwa dni później zauważył, że z tegoż organu sączy się gęsta wydzielina. W nocy poszedł do kibla, żeby dokładnie obejrzeć tę obrzydliwą, żółtawą ciecz. W laboratorium pobrali mu próbkę na wymaz i na badanie kultur bakteryjnych, dali mu dziewięćset tysięcy jednostek penicyliny – zastrzyki, domięśniowe, dostawał przez trzy dni – i przydzielili mu lżejszą pracę.

Ozzie miał trypra.

Pilot przyjeżdża karetką pogotowia pod obstawą uzbrojonych żołnierzy. Jest w białym hełmie

przytwierdzonym do hermetycznego kombinezonu i nie zwlekając, idzie do nieoznakowanego samolotu. Załoga naziemna i żołnierze wycofują się, gdy silnik zaczyna wydawać ten wysoki dźwięk, który zawsze przyciąga uwagę operatorów radaru; wychodzą wtedy leniwie z wieży i patrzą, jak ten czarny bandyta mknie po pasie. Wszystko kończy się niemal natychmiast, z tym przenikliwym, stale narastającym wizgiem. Dopóki maszyna nie osiągnie prędkości startowej, końce jej długich skrzydeł opierają się na zaopatrzonych w koła wspornikach. Chwilę później samolot jest już w powietrzu: wsporniki odpadają, a ci na dole próbują nadażyć za nim wzrokiem, gdy szybko i stromo pnie się w niebo, gdy wykonując ten wspaniały skok, wdziewa drugą skórę. Żołnierze gapią się w zasnutą mgiełką błękit, wykrzywiają twarze i mrużą oczy. Ale samolot już zniknął, jest już częścią wysokiego, spokojnego, płaskiego, jednolitego nieba, a jedynym śladem, że w ogóle był na ziemi, jest stek cichych przekleństw i szmer pełnych niedowierzania głosów.

Prędzej czy później pilot, kimkolwiek jest, bez względu na to, z jakiej jest bazy i jaką wykonuje misję, zaczyna myśleć o przedmiotach w zasobniku fotelowym. Woda, racje żywnościowe, flary, apteczka, nóż myśliwski i pistolet; igła z czubkiem powleczonym toksyną pewnego skorupiaka i ukryta w fałszywej srebrnej dolarówce. („Nie żebyśmy myśleli, że coś im powiecie, ale wolelibyśmy, żeby was nie przesłuchiowano”). Jest też ładunek wrażliwego cyklonu, który zetrze na proch aparaty fotograficzne i sprzęt elektroniczny w ileś sekund po tym, jak pilot uaktywni zapalnik i włoży stopy w obejmy katapultowanego fotela – oczywiście zakładając, że w ogóle do tego dojdzie, że któryś z tych manewrów będzie konieczny; to wielce nieprawdopodobne. („Wiecie, chłopcy, że jeśli coś pójdzie nie tak, podczas katapultowania się możecie stracić ręce i nogi, więc może byłoby lepiej, gdybyście załatwili to po cichu, jak przy śpiących dzieciach”). Prędzej czy później pilot zaczyna myśleć o najgorszym; nie może nic na to poradzić. Przeciągnięcie na dużej wysokości. Albo rakietka SA-2, która wybucha w pobliżu, uszkodzając statecznik. („Nie żeby te sukinsyny umiały zbudować coś, co tak wysoko zaleci”). I raptem stwierdza, że jest w stratosferze, że wędruje po niebie z zasobnikiem na plecach, próbując namówić własną rękę do pociągnięcia za uchwyt wyzwalacza. Na wysokości czterech i pół tysiąca metrów robi to automat: puf! i spomiędzy łopatek wystrzeliwuje w górę pomarańczowy pióropusz. Potem to już tylko kwestia godnego opadania. Spływa z bezkresnej bieli, porażony pięknem ziemi i potrzebą błagania o wybaczenie. Jest obcym w masce i spada. Dostrzega ludzi, rolników, dzieci biegnące w kierunku miejsca, gdzie zwiewa go wiatr. Są w grubych, odchylonych do tyłu czapkach. Jest na tyle nisko, że słyszy, jak do niego wołają, słyszy słowa kierowane i wydłużone przez kształt ziemi. Ziemia pachnie świeżością. Na Uralu jest wiosna; stwierdza, że przywilej oglądania tego widoku jest zachętą do szczerości. Że chce wyznać prawdę. Żyć innym życiem, z dala od tych wszystkich tajemnic, poczucia winy i ciężaru wydarzeń. O tym właśnie myśli pilot, kołysząc się lekko nad złotawobrazowymi polami, nad ziemią tak łagodną i przyjazną, że mogłaby być jego domem.

20 maja

Laurence Parmenter zarezerwował miejsce w samolocie na Farmę, tajną bazę szkoleniową CIA w Wirginii. Samolot latał tam codziennie, jako jednostka wojskowa, i korzystali z niego głównie pracownicy Agencji, którzy mieli tam do załatwienia jakąś krótką sprawę.

IZOLACJA – tak brzmiał jej oficjalny kryptonim. Nazwami miejsc i operacji posługiwano się w Agencji jak specjalnym językiem. Język ów nieustannie ewoluował, przechodząc na coraz głębsze poziomy, poziomy tajne, do których nikt spoza kadry nie miał dostępu – bardzo to Parmentera ciekawiło. Można by powiedzieć, że najściślejsze więzy łączyły w CIA tych, którzy mieli dostęp do list kodów i kryptonimów, którzy opracowywali klucze i diagrfy, którzy znali prawdziwe nazwy operacji. Camp Peary to inaczej Farma, Farma to IZOLACJA, a IZOLACJA miała na pewno jeszcze inną nazwę, nazwę gdzieś ukrytą, w jakimś sejfie czy podziemnym komputerze.

Pokazał żandarmowi zalaminowany identyfikator. Identyfikator był specjalnie zakodowany, żeby wprawne oko wartownika widziało, do jakich tajemnic jego właściciel ma dostęp. Po naganie przydzielono Parmentera do czegoś, co żartobliwie nazywano dyrektoriatem niewolników, do wydziału wsparcia tajnych służb, i wydano mu nowy identyfikator z mniejszą liczbą czerwonych literek na brzegach.

– Ile liter musisz jeszcze stracić, zanim zupełnie znikniesz? – spytała go kiedyś żona.

T.J. Mackey czekał za bramą. Był w wyprasowanym mundurze polowym i wyglądał jak wyniosły odźwierny w złotej liberii przed nowo otwartym hotelem. Po prostu nie chce, żeby zobaczyli go znajomi.

Zaprowadził Parmentera do strefy OSMO, ośrodka szkoleniowego dla młodszych oficerów, gdzie uczono ich wszystkiego, od sztuk walki poczynając, na technikach kontrwywiadowczych kończąc. Usiedli samotnie w jednym z czterech sektorów widowni, wznoszącej się amfiteatralnie nad położoną niżej areną. W piachu areny kotłowało się dwóch młodych mężczyzn. Wokół nich krążył zaafierowany instruktor, mówiąc językiem, którego Larry nie potrafił rozpoznać.

– Za wcześnie się to wszystko zaczęło – rzucił – ale ostatnio weszliśmy w fazę spokoju.

– Skontaktowałem się z Guyem Banisterem.

– Tym z Camp Street.

– Tak. Rozmawiał o Oswaldzie z szefem biura FBI w Dallas. Nareszcie dostał odpowiedź.

Oswald wyjechał stamtąd dwudziestego czwartego czy piątego kwietnia.

– Ma żonę, Rosjanę.

– Żona wyjechała z Dallas dziesiątego maja, z dzieckiem.

– I nikt nie wie dokąd.

– Otóż to.

– A więc musimy działać po omacku.

– Mówiłeś, że masz jakiś kontakt.

– George’a de Mohrenschildta. Ale on jest na Haiti. Poza tym nie chcę, żeby wiedział, jak bardzo nas ten Oswald interesuje.

– A jak bardzo nas interesuje?

– To dobry kandydat, i pod względem politycznym, i w ogóle. Win chce mieć snajpera z kwalifikacjami. Oswald służył w piechocie morskiej. Udało mi się zdobyć dostęp do wyników strzelań i innych akt.

– Umie strzelać?

– Właśnie, trochę to zagmatwane. Im dłużej przeglądam akta, tym bardziej jestem przekonany, że będziemy potrzebowali tłumacza. Ogólnie biorąc, był kiepskim strzelcem. Ale wygląda na to, że w dniu egzaminu przeszedł sam siebie. Wystrzelał dwieście dwanaście punktów, za co przysługuje odznaka Strzelca wyborowego. Ale zakwalifikowano go niżej. Więc albo wystrzelał mniej, albo klasyfikatorzy się pomylili.

– Albo oszukiwał.

– Powinniśmy porozmawiać o czymś jeszcze, chociaż powiedziałem Winowi, że to o wiele za wcześnie. O przypadkowych trafieniach.

– Chcecie, żeby wyglądało to realistycznie. Dużo kul z kilku kierunków.

– Win mówi, żeby strzelać w samochód, w jezdnię, żeby postrzelić ochroniarza. Tylko nie strzelać do nikogo w prezydenckiej limuzynie.

– Postrzelić ochroniarza.

– Postrzelić, nie zastrzelić.

– To nie jest kontrolowany eksperyment – odparł Mackey.

– Jeśli to w ogóle możliwe, spróbujecie zranić kogoś z samochodu obstawy. Na jego bocznych stopniach stoi zwykle dwóch agentów ochrony. To w sumie czterech, czterech dyndających na stopniach ludzi. Samochód jedzie z prędkością niecałych dwudziestu kilometrów na godzinę. Ledwie trzynaście, trzynaście i pół metra za limuzyną, dlatego jeśli oberwie któryś z agentów, sprawa będzie jak najbardziej wiarygodna i oczywista: trafiła go kula przeznaczona dla prezydenta.

– Gdzie to zrobimy?

– W Miami.

– Może być.

– Win tak chce, pod warunkiem że to w ogóle możliwe.

– To powinno być w Miami.

– Absolutnie.

– Zgoda.

– Prędzej czy później prezydent pojedzie na Florydę. Wskazują na to wszystkie polityczne znaki.

Na arenę weszło dwóch nowych. Mackey powiedział, że są z Wietnamu Południowego, że szkolą ich na agentów tajnej policji. Obcokrajowców uczęszczających na zajęcia na Farmie nazywano waletami. Według Mackeya kilku z nich – tych, którym powierzono szczególnie delikatne zadanie – ściągnięto do Stanów, stosując tak zastrzone środki bezpieczeństwa, że ludzie ci nie wiedzieli nawet, w jakim są kraju. Larry uważał, że to bujda. Spójrzcie tylko na te cholerne drzewa i od razu zobaczycie, że jesteście w Wirginii. Ale T-Jayowi tego nie powiedział. Na tematy żywotne dla jego interesów nie można było się z nim sprzeczać.

Obiecał Larry'emu, że pozostanie w ścisłym kontakcie z Guyem Banisterem. Jego agencja detektywistyczna była główną stacją kolejową kubańskiej przygody. Przejeżdżali przez nią wszyscy renegaci. Guy miał pomóc mu znaleźć zastępcę za chłopaka, który zniknął. Wysokiej klasy snajpera z zaopatrzeniem w celownik optyczny karabinem. Snajpera, który potrafiłby odstrzelić palec stojącemu na stopniach samochodu agentowi ochrony.

Gdy Parmenter już poszedł, T-Jay usiadł wygodniej i popatrzył na okładających się na arenie Wietnamczyków. Najgorętszą w tej chwili placówką był Sajgon. Tak mówiło się w bazie. Wkładali Kubę do trumny i nie miał nic przeciwko temu. Niech zapomną. Niech znajdą sobie nową zabawkę. Zamach w Miami wyrze tym potężniejsze wrażenie.

Kilka godzin później Mackey siedział w przyczepie kempingowej w lesie pod Williamsburgiem. Między drzewami zamigotało światło i zaraz potem dobiegł go klekot dobitego bel aira rocznik pięćdziesiąt siedem. Otworzył drzwi i patrzył, jak wysiadają, dwóch mężczyzn zeszywniałych po długiej podróży.

– W samą porę na kolację, tylko że kolacji nie ma – rzucił.

W nocnej głuszy jego głos zabrzmiał ostro i czysto.

– Może chociaż coś do picia – odparł Raymo. – *Un buchito*. Jedliśmy po drodze.

Drugi mężczyzna, Frank Vásquez, wziął koce i ubrania z tylnego siedzenia, a potem cofnął się, wyprostował, zrobił pół obrotu z zajętymi rękami, gwałtownie pchnął drzwi biodrem i domknął je tęgim kopniakiem. Podchodząc do przyczepy, Raymo lekko pokręcił głową: że też Frank traktuje w ten sposób wspianiały niegdyś samochód!

– Mam dużo kawy – odparł Mackey. – Cieszę się, że cię widzę. Jak leci?

– Ja też się cieszę. Kopę lat. Co u ciebie?

– Siemasz, T-Jay.

– Siemasz, Frank. Miałeś wyprostować sobie zęby.

– Nigdy tego nie robi – mruknął Raymo.

Objęli się, pokleпали po plecach, popotrącali się trochę ramionami; takie tam *abrazos*.

– Co słyhać?

– Ile to lat!

– Za dużo, przyjacielu, za dużo.

Stali przy drzwiach przyczepy, kiwali głowami, wymieniali spojrzenia i urwane półzdania. Wszystko miało taki czysty kształt, ich słowa brzmiały tak dobrze w tym lekkim, delikatnym powietrzu.

Mackey zrobił w przyczepie miejsce na ich rzeczy. Potem usiedli, żeby napić się kawy. Raymo, najgrubszy z nich, siedział przy składanym stoliku. Miał szerokie wąsy, był w czarnym kowbojskim kapeluszu, czarnym podkoszulku, spodniach od munduru polowego i w wojskowych butach. To był jego strój wypoczynkowy. Mackey bardzo chciał, żeby w to wszedł. Raymo nie potrafił zapalić zapalki, pójść na spacer z psem czy podrapać się w głowę, nie podsycając tej czynności skondensowaną energią wściekłości. Łączyła ich jedna i ta sama świadomość, chociaż nigdy o tym nie mówili: Bahía de Cochinos, Zatoka Świń, bitwa na Playa Girón – jakkolwiek to nazwać. Zdawało się, że energią i poczuciem celu emanuje nawet jego przysadzistość, jego nabite ciało. Na podkoszulku miał flaminga. Był jedynym człowiekiem, któremu T-Jay całkowicie ufał.

– Przez część kwietnia siedzieliśmy na plantacji.

– Zbieraliśmy pomarańcze na Florydzie – dodał Frank.

– Po dziesięć skrzynek w kontenerze. Zgadnij, ile to kilogramów.

– Spadł z drabiny.

– Mówię ci, stary, to ciężka robota.

– A potem? Potem pojechaliśmy do Live Oak na granicy z Georgią.

– Układaliśmy w sterty wielkie bele tytoniu – wyjaśnił Raymo. – Nazywają je płachtami.

Dupa nam odpadała ze zmęczenia.

Mackey wiedział, że chwytają się każdej możliwej pracy, nocnej, dziennej i dorywczej, że biorą zastępstwa, żeby tylko odłożyć pieniądze na rozkręcenie własnego interesu, warsztatu samochodowego albo małej firmy budowlanej.

– A potem zadzwoniła do nas moja żona z Miami – powiedział Frank. – No i od razu przyjechaliśmy.

Przejechali przez całą Georgię i obydwie Karoliny, żeby usłyszeć, co T-Jay ma im do

powiedzenia. Mogło chodzić tylko o Kubę. Nie skontaktowałyby się z nimi z żadnego innego powodu, a oni z żadnego innego powodu by tu nie przyjechali.

Vásquez siedział na łóżku. Miał smutną, pociągłą twarz i pasowałyby do ciemnego, kiszkowatego sklepiku na przedmieściach Małej Hawany. W dolnej szczęce miał dwa rzędy zębów, a może tylko jeden, bo rosły na chybił trafił, zygzakiem, pod różnymi kątami. Przez te zęby wyglądał jak święty biedaków. Brata i kuzyna stracił na Red Beach, kolejnego brata w strajku głodowym w więzieniu La Cabaña. Był nauczycielem na Kubie. A teraz, w chwilach wolnych od pracy, jeździł z Raymo do obozu szkoleniowego w Everglades z jedyną bronią, jaką mieli na spółkę, tak zwanym kubańskim winchesterem, złożonym z części trzech innych strzelb i części domowej roboty. Ćwiczyli tam z jedną z grup, a mieszkali w otwartej chacie z eukaliptusowych bali i dzikich pnączy. Raymo strzelał z winchestera, wspinał się po linie, sikał w wysoką trawę. Frank strzelał do tarczy, ale głównie po prostu był, stary, milczący kumpel, jak zwykle w przydużych spodniach i wyłożonej na spodnie koszuli bez rękawów w kolorze sepii.

Obydwaj byli kiedyś z Castro w górach. Wtedy, na początku.

– Jak żona i dzieci, Frank? Dobrze?

– Tak, w porządku.

– Masz troje, tak? A ty, Raymo? Ciągłe bez kobiety? Ta odpowiednia jeszcze się nie pokazała?

Byli jedynymi ludźmi, z którymi Mackey mógł tak rozmawiać, wymieniać długie, ceremonialne powitania, wypytywać o rodzinne nowiny i szczegóły życia. To było konieczne. Wiedział, że tamci tego oczekują, i z czasem to polubił. Musieli coś do siebie mówić. Łączył ich tylko jeden temat, lecz ten nie nadawał się do luźnej pogawędki.

No dobra. Opowiedział im trochę o operacji. Stali za nią niezwykle oddani ludzie. Chodziło o to, żeby obudzić w narodzie pełną świadomość niebezpieczeństw związanych z komunistyczną Kubą. Dirección General de Inteligencia zostanie zdemaskowana jako przestępcza organizacja, podejmująca radykalne działania wymierzone w ważne osobistości występujące przeciw Castro.

Powiedział, że chodzi o akcję z użyciem broni palnej, akcję, która ma rzucić podejrzenia na DGI. Chciał, żeby wzięli w niej udział, i zapoznał ich z niektórymi szczegółami operacyjnymi. Karabiny dużej mocy, wysoko usytuowane stanowiska strzeleckie, podrzucone dowody, fałszywy ślad, kozioł ofiarny. Każdy z nich dostanie pięćset dolarów miesięcznie, poczynając od teraz, i okrągłą sumkę po wykonaniu zadania. Stojący za tym ludzie, dodał, są byłymi pracownikami Agencji, szanowanymi weteranami, i głęboko wierzą w wolną Hawanę.

Nazwisk Everetta i Parmentera nie wymienił. Nie powiedział im, kto ma być celem zamachu ani gdzie do tego zamachu ma dojść. Szczegóły zamierzał dozować w miarę potrzeby. Nie powiedział im również, że mają spudłować.

Parmenterowie mieszkali w małym domku na skraju ceglanego chodnika w Georgetown. Chodnik wybrzuszył się i pomarszczył, a urokliwy niegdyś domek był teraz trochę zapuszczony, ot, mysi relikw, którego nikt nie zauważał.

To Beryl chciała tu mieszkać. Nie dla niej ta korporacyjna zbieranina z przedmieść, tak mówiła. Ostrożne rozmowy o zakupach przy drinku i kolacji z kolegami i ich załężnionymi żonami. Nie, chciała mieszkać w mieście. Półkoliste, witrażowe okna i kute żelazo. Bezpieczeństwo ciemnego domku, pełnego znajomych rzeczy, książek, dywanów i kurzu. Piwnica z winem dla Larry’ego, małeńkość i niezauważalność (jeśli takie słowo w ogóle istnieje). W niskich, długich, przestronnych domach z trawnikiem i wiatą na samochód było coś, co napawało ją duchowym lękiem.

Larry chodził po pokoikach z drinkiem w rękę. Był w wielkim pasiastym szlafroku. Beryl

siedziała przy biurku i wycinała dla przyjaciół wiadomości z gazet. Odkryła tę pasję niedawno, jak ktoś, kto w połowie życia stwierdza, że urodził się tylko po to, żeby pokazywać rasowe psy na wystawach. W porównaniu z tym nic, co zdarzyło się przedtem, nie ma żadnego znaczenia. Na biurku leżała sterta gazet z całego tygodnia. Wysyłała te wycinki wszystkim. Miała nagle tyle do wycinania.

– Posłuchaj tylko tego. Nie wiem, czy mam być zła, czy rozbawiona.

Odwróciła się do męża.

– Posłuchaj. CBS zabrania piosenkarzowi folkowemu, niejakiemu Bobowi Dylanowi, występu w *The Ed Sullivan Show*. To zbyt kontrowersyjne.

– Co w tym kontrowersyjnego?

– *Jego piosenka*. Talking John Birch Society Blues.

– To biały czy czarny? Biali nie powinni bawić się w bluesa.

– Ale oni nie chcą go wpuścić na antenę, wyobrażasz sobie?

– Dobra, zaraz się wkurzę. Daj mi dziesięć minut.

– Znam te objawy, staruszku.

– Jakie objawy?

– Takie, że chodzisz po domu, żłowiąc gin. Dobrze wiem, co to znaczy. Tęsknisz za Gwatemalą.

Niektórzy myśleli, że Beryl ma pieniądze. Było to jedno z fałszywych wrażeń, jakie wokół niej narastały. Bo tak naprawdę to miała mały warsztat ramiarski przy Wisconsin Avenue, który przynosił marginalny dochód: litografie, fotografie, rami. Inni myśleli, że jest twórcza. Że uprawia jedną z tych delikatniejszych sztuk, że szyje narzuty albo maluje akwarele. W jej wyglądzie i zachowaniu było coś, co ludzie uważali za niekonwencjonalne, swego rodzaju samotność w tłumie. Nosiła stonowane stroje. Drobną kobietą w niedbale ułożonych warstwach miękkich, stonowanych ubrań, na wpół zagrzebana w pastelach. Jakby się po cichu wycofywała, uciekając od jakiegoś strachu czy bólu. Kupowała mokasyny w sklepie fabrycznym, nigdy nie nosiła biżuterii, w ulubionych książkach trzymała zdjęcia matki. Ludzie myśleli, że jest spadkobierczynią potentata puszkowanych zup, która maluje marynistyczne obrazy z mewami. Jadła delikatne potrawy, mówiła cicho i seksownie, lekko matowym głosem. Była bardzo pociągająca, i to w wieku czterdziestu siedmiu lat. Wciąż miała w sobie to małe, kuszące coś. Rozkołysany, seksowny krok, mroczny głos. Oschłe, lecz przyjacielskie obelgi potrafiła rzucać ludziom prosto w twarz. Lekko kołysząc biodrami, wchodziła do pokoju i od razu czuło się, że coś wisi w powietrzu. Ludzie byli gotowi do śmiechu, zanim otworzyła usta.

To, że w mieszanym towarzystwie potrafiła przejechać się po Agencji, stojąc u boku uśmiechniętego męża, poczytywano za oznakę ich wyrafinowania.

I nie żeby mówiła na pokaz.

– Wcale nie żartuję. Podziwiam to, co zrobiliście w Gwatemali. Jeśli nie pod względem politycznym, to pod każdym innym. Obyło się prawie bez rozlewu krwi. Oczywiście, że to podziwiam.

– To była książkowa operacja.

– Naturalnie do interwencji by nie doszło, gdyby Gwatemalczyki nie odebrali ziemi należącej do United Fruit.

– A odebrali? Aha.

– Uwielbiam, kiedy mówisz „książkowa operacja”.

Tak. Było to również szczytowe osiągnięcie w jego karierze: uruchomienie rozgłośni radiowej, prowadzonej jakoby przez rebeliantów z gwatemalskiej dżungli. Tymczasem tak naprawdę nadawali ze stodoły w Hondurasie, a ich audycje miały wyrzeć nacisk na lewicowy

rząd i wzbudzić niepokój wśród ludności. Plotki, fałszywe meldunki z pola bitwy, bezsensowne hasła, płomienne przemówienia, rozkazy dla nieistniejących buntowników. Uczniowski projekt w strukturze rzeczywistości. Kilka audycji napisał sam, grając pod ludzką wyobraźnię: pola zasłane rozkładającymi się zwłokami, piloci uciekający za granicę wraz ze swymi myśliwcami. Prawdziwy pilot zrzucił laski dynamitu z okna cessny. Prawdziwa bomba wybuchła na placu defilad, wyrzucając w górę złowieszczy słup dymu. Rząd upadł dziewięć dni po tym, gdy podano, że na stolicę ciągną wojska inwazyjne w sile pięciu tysięcy żołnierzy. Owszem, żołnierze się tam w końcu pojawili, kilka ciężarówek i jedno wypchane stłoczonymi ludźmi kombi, w sumie stu pięćdziesięciu brudnych, obszarpanych rekrutów.

To było przed dziewięcioma laty. Potem przez jakiś czas pracował w przedsiębiorstwach holdingowych, legalnych firmach finansowanych i kontrolowanych przez CIA. Ilekroć Agencja chciała zrobić coś ciekawego w Kurdystanie czy Jemenie, występowała o zalegalizowanie nowej spółki w Delaware. Właśnie wtedy nawiązał kontakt z agentami, którzy kierowali wielkimi holdingami w najbardziej zapalnych punktach tej półkuli. Z kimś z United Fruit, z kimś z Kubańsko-Wenezuelskiego Trustu Naftowego (konkretnie mówiąc, z George'em de Mohrenschildtem). Banki handlowe, spółki cukrowe, handlarze bronią. Ciekawa zbieżność motywów i zasobów. Udziały w hotelach tu, udziały w hazardzie tam. Ludzie z bogatą przeszłością, niejednokrotnie karani. Stwierdził, że między interesami i wywiadem istnieje naturalna więź. I zdał sobie sprawę, że fasadowe firmy, które pomagał zakładać, mogą wytwarzać legalne zyski – co więcej, mogą być źródłem gigantycznych dochodów osobistych.

Znajomość z bogatymi i wpływowymi była ożywym doświadczeniem dla kogoś, kogo wychowano w wierze w charakterystyczną dla Amerykanów genialną umiejętność przeszkakiwania na coraz to nowe poziomy uprzywilejowania. Zrozumiał, że na bogacza się po prostu wyrasta. Agencja dysponowała olbrzymią ilością materiałów wywiadowczych z republik bananowych i teczkami na ich przywódców. Larry sprzedawał je w zamian za udział w obiecujących przedsięwzięciach. Długo siedział na Kubie, pośrednicząc w interesach między rządem Batisty i Stanami. Pomagał organizować badania geologiczne, sprzedawać ziemię pod zabudowę, załatwiać kontrakty na wiercenia i na dzierżawę kasyn. Pojechał do prowincji Oriente, żeby sprawdzić, do jakiego stopnia tamtejsi rebelianci zagrażają plantacjom trzciny cukrowej kontrolowanym przez amerykańskie firmy. Zagrażali, i to bardzo. Kiedy amerykańscy dyrektorzy opuścili swoje wielkie białe domy przy wysadzanych cienistymi palmami ulicach, kiedy kucharze i ogrodnicy poszli szukać nowej pracy, kiedy pouciekali ochroniarze i strażnicy, kiedy opanowano miejscowy posterunek wojskowy, cały majątek Laurence'a Parmentera pozostał w ziemi, w niezbadanych kubańskich terenach naftowych.

– Podziwiam twój szlafrok. Wyglądasz jak głęboko skupiony Orson Welles.

Stojący w drzwiach Larry uśmiechnął się w zadumie, słysząc znajomą płaską nutkę w głosie Beryl, lecz nie słysząc słów.

– Nie, poprawka. Powiem ci, jak wyglądasz. Wyglądasz jak jeden z przekupnych bojarów z *Iwana Groźnego*, ubranych w te pyszne, delikatne, zwierzęce skóry. Zrób mi drinka, żebym mogła dotrzymać ci towarzystwa. Powinniśmy dotrzymywać sobie towarzystwa.

Po rewolucji opracowano plan inwazji. Pomagał założyć Double-Check Corporation, fasadową firmę, która zajmowała się werbowaniem instruktorów lotniczych. Potem założyli Gibraltar Steamship, firmę, której oficjalnym dyrektorem został były urzędnik Departamentu Stanu i były szef United Fruit. On sam nie zawsze wiedział, gdzie kończyła się Agencja, a zaczynała korporacja. Byli tam ludzie, których łączyło małżeństwo i więzy krwi, byli dyrektorzy, którzy pracowali przedtem na wysokich stanowiskach w wywiadzie, i rządowi doradcy, którzy byli kiedyś dyrektorami firm. W społeczności tej widział lepszą wersję większego świata, gdzie

wszystkie rzeczy łączy senne poczucie wspólnoty. Tu plan inwazji był bardzo wyśrubowany. Ci ludzie wierzyli, że tworzą historię.

Gibraltar Steamship była przykrywką operacji propagandowych przeciwko Kubie. Wykorzystywali w nich Radio Łabędź, nadajnik ukryty w wielkiej przyczepie kempingowej na odległej karaibskiej wyspie. Wyspa Great Swan (Wielki Łabędź) powstała z ptasiego guana, które nawarstwiało się tam od setek lat. Trzy palmy kokosowe i dwudziestu ośmiu ludzi – wszyscy się zgadzali, że to urocze liczby, że nie ma to jak jałowe odludzie, związane z ich fachem trudy i próba dla ducha. Dla potrzeb inwazji Parmenter zastosował taktykę skutecznie wykorzystaną w Gwatemali. Zaszyfrowane meldunki z filmów szpiegowskich z lat czterdziestych. „Uwaga, Eduardo, księżyc jest czerwony”. Romantyczne obrazy miejscowej fauny. „Barakuda zasypia o zachodzie słońca”. „Rekin zostawia złocisty ślad”. Mackey powiedział mu potem, że kiedy siedział w tym pontonie i czekał na lądowanie na Blue Beach, ten bełkot doprowadzał go do szału. Pomniejszał znaczenie operacji, robił z niej, kurwa, operę komiczną z walczącymi żołnierzami w roli głównej.

Gdy nadawano meldunki, Larry był w Waszyngtonie, w sztabie dowódczym inwazji mieszczącym się w wynajętym budynku niedaleko pomnika Lincolna. Właśnie jadł rozmokłą papkę z papierowego talerza, gdy dotarła do nich wiadomość, że JFK nie zatwierdzi wsparcia lotniczego dla lądujących oddziałów. Początkowo nie mogli się z tym pogodzić. To było zbyt niewiarygodne, zbyt głupie i okrutne. Przez salę przeszedł pułkownik w stroju golfowym. Ludzie zaczęli wrzeszczeć na przełożonych, omal nie doszło do rękoczynów. Ktoś nachylił się nad koszem na śmieci, oparł ręce na kolanach i leniwie zwymiotował. Win Everett wrócił z Miami, napisał rezygnację, podarł ją i pojechał z powrotem, żeby być z przywódcami uchodźców, których zamknięto w koszarach na lotnisku Opa-Locka, żeby nie wygadali nikomu o inwazji. Czuł się jak strażnik prowadzonego na śmierć skazańca, pierwszy raz w tym tygodniu.

Nikt nie użył określenia „książkowa operacja”. Trzy dni później Radio Łabędź wciąż nadawało, kłamiąc porzuconym na bagnach Zapata żołnierzom, że pomoc jest w drodze. Larry spał na łóżku polowym w brudnym, zawszonym ubraniu, ale codziennie się golił. Golenie miało wpływ na jego morale, a wsparcia potrzebował wtedy każdego. Kilka tygodni wcześniej bardzo się zapożyczył, żeby po obniżonej cenie kupić akcje Francisco Sugar. Sugar, cukier – mówiło się tylko o cukrze. Kiedy odzyskamy plantacje, obiecywali ci wtajemniczeni, zyski będą oszałamiające.

- Ludzie uważają, że jesteśmy bardzo dziwnym małżeństwem – powiedziała Beryl.
- Dlaczego? Kto? Co w nas jest takie dziwne?
- Nic. Oprócz wszystkiego.
- Ludzie uważają, że jesteśmy interesujący. Takie mam wrażenie.
- Uważają, że jesteśmy dziwni. Że nic nas nie łączy. Że nie mamy żadnych praktycznych powodów do bycia razem. Że nigdy nie rozmawiamy o praktycznych rzeczach.
- Bo nie mamy dzieci. Nie jesteśmy rodzicami. To rodzice rozmawiają o praktycznych rzeczach. Mają ku temu powody.
- Z dziećmi czy bez, wierz mi, uważają, że jesteśmy dziwni.
- Nie sądzę. Ja uważam, że jesteśmy interesujący.
- Na swój sposób. Ale i dziwni. To na mnie się skupiają. Jestem tą najdziwniejszą.
- Nie lubię takich rozmów. Nie umiem ich prowadzić.
- To pewnie kiepski pomysł.
- To zmienimy temat.
- Chociaż, prawdę mówiąc, jesteś o wiele dziwniejszy ode mnie.
- Pod jakim względem? Nie jestem dziwny. Nie podoba mi się to.

– Dziwny jako mężczyzna. Jako ktoś, czyjego serca nigdy nie poznam. Serca i tkwiącej w nim prawdy.

– To poza moim zasięgiem, na szczęście.

– Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek mogła sobie wyobrazić, jak to jest być mężczyzną, z którym współżyję. Nawet po wielu, wielu latach.

– To zabawne. Myślałem, że to kobiety są tajemnicze.

– Nie, nie, nie, nie, nie. – Powiedziała to tak, jakby poprawiała przewrażliwione dziecko. – To jest mądrość, którą mężczyźni przekazują chłopcom latami i wiekami, to całe generacje wiedzy i doświadczenia. Ale to tylko kolejne kłamstewko Agencji.

Od chwili gdy i stycznia 1959 roku CIA podsłuchiwała komunikat radiowy, mówiący, że o drugiej nad ranem tyran Batista uciekł z kraju i że najwyższym przywódcą kubańskiej rewolucji jest doktor Fidel Castro Ruz, od tamtej chwili do tej, cztery i pół roku później, do chwili gdy w pasiastym szlafroku robił drinka dla żony, Larry Parmenter brał udział w kilku spiskach mających na celu odzyskanie Kuby. Nie poddawał się, jak mówiła Beryl. Lubiła mu przypominać, że nie jest mściwy, że nie ma silnych przekonań politycznych, nie nienawidzi Castro ani nie chce, żeby stała mu się fizyczna krzywda. Ba! Larry zasłynął z tego, że na miesiąc przed inwazją poszedł na przyjęcie przebrany za Fidela, z brodą, cygarem i w brązowym mundurze polowym. Wtedy wydawało się to zabawne.

Jednego nie lubił na pewno. Ludzi, z którymi od czasu do czasu musiał się spotykać, żeby odzyskać zamrożony na Kubie kapitał. Speców od hazardu, kasyn i hoteli, tych, którzy rutynowo przekupywali urzędników i wysyłali hordy kurierów z wypchanymi torbami z Bahamów do Międzynarodowego Banku Kredytowego w Genewie – ludzi, którzy z rozrzewnieniem wspominali miliony, jakie zgarniali kiedyś z hazardowych stołów w Hawanie. Nie chciał mieć nic wspólnego z tymi grubymi makaroniarzami.

Tego dnia przed południem do sekretariatu agencji detektywistycznej Guya Banistera w Nowym Orleanie wszedł młody mężczyzna. Delphine Roberts siedziała właśnie przy biurku, przepisując na maszynie uaktualnioną listę organizacji zajmujących się obroną praw obywatelskich. Mężczyzna – dzinsy z podwiniętymi mankietami, dwudniowy zarost na twarzy – stał i cierpliwie czekał. Delphine przestała pisać i odruchowo poprawiała tapirowane włosy; był to nerwowy nawyk, którego bardzo chciała się wyzbyc. Poprawiła włosy i wróciła do pisania; wiedziała, że mężczyzna ogląda kalendarz na ścianie, wmawiając sobie, że nikt nie każe mu czekać. Znała wszystkie style. Potrafiła przepisywać trudny tekst, jednocześnie obserwując klienta. Ten miał na ustach lekki uśmiech, jakby pragnął powiedzieć: oto jestem, ten, na którego czekaliście.

– Chciałbym złożyć podanie o pracę w waszej agencji.

Delphine stuknęła dalej.

– Macie tu chyba ludzi od tajnej roboty, takich, co obracają się wśród studentów czy chodzą na zebrania polityczne. Mówię o zbieraniu informacji. Chciałbym zostać tajnym agentem. Mam lewe papiery, sprawdzone. Służyłem w wojsku. Mieszkałem za granicą i poznałem mentalność komunistów.

Delphine nie była zdziwiona. Przychodziło tu bez zapowiedzi dużo prowokujących do myślenia typów. Camp Street 544: ten adres przyciągał wielu ludzi o barwnej przeszłości.

Znowu przestała pisać i podała mu formularz. Powiedział, że musi wracać do pracy, że pracuje w parzalni kawy tuż za rogiem, ale wypełni formularz i wróci rano. Potem zniknął.

David Ferrie wyszedł z małego pokoiku na zapleczu i swoim charakterystycznym, pełnym niedowierzania szeptem spytał:

- Kto to, u licha, był?
- Ma lewe papiery.
- Mamy formularze dla tajnych agentów?
- Nie, tylko zwykłe.
- Wzrost i waga.
- Chyba tak, nie wiem.
- Obłąd w rodzinie. Albo wymień choroby, na jakie chorowałeś.
- Dave, niech będzie, jak chcesz. Jestem bardzo, ale to bardzo zajęta.
- Jak można opisać chorobę na formularzu?

Ferrie wszedł do gabinetu Guya Banistera, akurat pustego, z oknem wychodzącym na ulicę, żeby rzucić okiem na młodzieńca, którego głos pobrzmiwał mu w uszach. Czyżby usłyszał w nim coś znajomego? Czy potrafiłby dopasować do niego ciało? Popatrzył na rojących się na ulicy ludzi. Pełno czarnych, pomyślał. Lecz ani śladu słodkogłosego chłopca, który chciał zostać szpiegiem.

W Fort Worth

Nawet jak wrócił, to zachowywał się jak wojskowy. Jego ojciec był kombatantem. Jego bracia też służyli. A mój brat był marynarzem. Nasza rodzina to rodzina wojskowych. Co miesiąc przysyłał mi pieniądze z żołdu, a kiedy dowiedział się, że się zraniłam, o czym napisałam mu w liście, złożył podanie o zwolnienie ze względu na sytuację rodzinną, ponieważ nie mogłam pracować i przez pół roku nie chcieli mi dać odszkodowania. Stacjonował wtedy w Kalifornii i zwolnili go wcześniej, żeby pomógł matce. A zraniłam się od słoika z cukierkami, co to spadł z półki i uderzył mnie tak mocno, że czterech lekarzy robiło mi prześwietlenie nosa i twarzy, poza tym straciłam dużo czasu na dojazdy i poniosłam koszty podróży, a sklep ciągle nie wypłaca mi odszkodowania. Jestem inwalidką, która nie może wyegzekwować swoich praw. Jak za mojego byłego męża Ekdahla, który zarabiał dziesięć tysięcy na rok, dostawał zwrot kosztów i załatwił wszystko tak, że nie miał się kto o mnie zatroszczyć.

Zapomniałam dodać, że Lee miał piękny głos i w wieku sześciu lat śpiewał w Covington w Luizjanie. Solo, w kościele luterańskim, *Cichą noc*, można to sprawdzić.

Tak więc wraca z wojska do domu i mówi, że będzie pracował na statku handlowym i przysyłał mi pieniądze. To była nasza jedyna rozmowa w ciągu tych trzech dni, kiedy to spał na polówce w kuchni, bo tylko tam było miejsce, rozmowa, w czasie której powiedział jeszcze: zrobiłem maturę, mam, na co ja, że po co ci matura do targania skrzyń na statku. Przez te trzy dni prawie nie było go w domu, a potem spakował torbę i wyjechał. Jeszcze potem dostałam od niego list z Nowego Orleanu, że ma bilet na statek do Europy. To dla mnie bardzo bolesne, wysoki sędzia. Bo w liście nie ma nic o statku handlowym. Nic o tym, że będzie pracował na tym okręcie do czasu, aż znajdę dla nas większe mieszkanie. Pisze tylko: „Mam bilet” Pisze: „Moje wartości różnią się od wartości Roberta czy Twoich”. Pisze: „Nie mówiłem Ci o moich planach, bobyś mnie nie zrozumiała”.

Moje życie jest ciągłą walką i to właśnie przez to wyjechał.

Pocztówka 3. Na pokładzie S/s „Marion Lykes” płynącego do Hawru. Podczas szesnastodniowego rejsu samotny dziwak nie ma prawie nic do powiedzenia trzem współpasażerom. Szare morze, wysokie fale, opuszczone posiłki. Mówi im, że jedzie na studia do Szwajcarii, ale nie wymienia nazwy uczelni ani kierunku studiów. Odmawia, kiedy jedna z pasażerek proponuje po przyjacielsku, że zrobi mu zdjęcie. Pasażerka, dość miła, jest żoną amerykańskiego podpułkownika na emeryturze. To raczej niemożliwe, żeby tu, na środku oceanu, mógł uniknąć pytań tej jasnookiej żołnierki. Najbardziej rozmawia ze współpasażerem z kajuty, chłopakiem tuż po szkole, który płynie do Francji, żeby uczyć się francuskiego. Pochodzi z Teksasu i w porównaniu z Lee jest tą bardziej lubianą wersją Teksasńczyka.

Na drogę, którą zmierza, ciągle pada cień jego własnego życia.

Obserwuje ich w mesie oficerskiej przy kolacji i chyba już wie, dlaczego są tacy zadowoleni z siebie. Wszyscy są Amerykanami i poczuli, że to ich łączy. Niemal promieniują samoświadomością. Zmierzają ku obcym lądom, są otoczeni i obsługiwani przez załogę złożoną częściowo z obcokrajowców i głównie ciemnoskórą, rozkoszują się swoją bezpośredniością i pewnością siebie, wartościami demokratycznymi, siłą moralną, sposobem, w jaki trzymają nóż i widelec, w jaki uśmiechają się w tym lśniącym przepychu, i właśnie dlatego nie zamierza z nimi jadać ani rozmawiać.

Spiralnie obrana mandarynka na białym talerzyku tuż przed nim. Lee myśli o dziewięciu miesiącach, jakie po powrocie z Japonii spędził w bazie lotniczej marynarki wojennej w El Toro w Kalifornii. Kontynuował tam naukę rosyjskiego, liznął trochę hiszpańskiego (do władzy doszedł właśnie Fidel Castro) i uknuł mały, zgrabny spisek, żeby się zakamuflować.

W wojskowej bibliotece znalazł katalog z nazwami zagranicznych wyższych uczelni. Wyszukał kilka mało znanych szkół i napisał podanie. College Alberta Schweitzera. Churwalden w Szwajcarii. Żeby wyjechać za granicę, musiał mieć dobry powód, ponieważ żołnierze piechoty morskiej zwolnieni ze służby czynnej pozostają przez dwa lata w rezerwie.

Na formularzu, w punkcie „Zainteresowania”, napisał: „Filozofia, psychologia, ideologia, futbol, koszykówka, tenis, zbieranie znaczków pocztowych”.

Plany zawodowe (jeśli kandydat takowe ma): „Zostać pisarzem i pisać opowiadania z życia współczesnej Ameryki”.

Stojąc na pokładzie, odkrywa, że przetaczające się powoli fale są w pewnym świetle zielone i matowe. Potem schodzi na dół, kładzie się na koi i słyszy potężne, leniwe skrzypienie statku, jakby wokół niego budził się do życia czyjś gigantyczny umysł. Cumy są to liny do cumowania statku.

W podaniu o przyjęcie na studia do College’u Alberta Schweitzera celowo wspomniął, że po drugim semestrze nauki zamierza pojechać na letni kurs organizowany przez uniwersytet w Turku w Finlandii.

Hidell skrada się na Wschód i jest coraz bliżej.

19 czerwca

Mary Frances zaparkowała pod dębem na okrągłym podjeździe przed gmachem College'u Edukacji, zwanym też Old Main. Cieszyła się, że gabinet Wina mieści się w najstarszym budynku na kampusie. W samym budynku najbardziej podobały jej się łukowate drzwi i wysokie na dwa piętra kolumny. Denton miało swoje tajemne uliczki. Czuło się tu leniwy bieg historii, ów stężały bezruch dawnej Ameryki, rzewny i niezmienny, widziało się dawne ślady, ślady dawnych idei i wartości wyryte w wapieniu i marmurze, w kamiennych zwojach na szczycie kolumn, we fryzach, które wyrzeźbiono z precyzją, z jaką sporządza się matrycę banknotu. Old Main, gmach sądu, domy o szerokich frontonach, domy z głębokimi, cienistymi werandami, drzewa, nazwane od drzew ulice – wszystko to sprawiało jej radość, kazało myśleć o szczęściu przeżywanym minuta po minucie dzięki temu, co widziała i słyszała. Szczęście to taka mała świadomość, to suma małych świadomości gromadzonych dzień po dniu, minuta po minucie, i Mary Frances właśnie go zaznaje, czuje je we włosach, na skórze i w sercu.

Suzanne siedzi obok matki. Rączki wzdłuż boków, wyprostowane chude, białe nóżki – udaje posłuszną córeczkę. Nie odzywają się do siebie.

Teraz można być szczęśliwym. Nie potrzeba do tego perspektywy czasu, jak twierdził Win, tłumacząc jej to z miną, którą nazywał „nieudaczny, lekko prawicujący profesor”. Szczęście nie wypływało z medytacji, nie zalewało nikogo jak leniwa poświata. Odczuwała je teraz, odnajdywała w nazwach otaczających ją rzeczy, w mydleńcach, dębach, w pochyłonych wiązach. Cieszyła się, że mieszka tu po Miami, Hawanie, Mexico City, Guatemala City, po domu wynajmowanym w południowo-wschodniej Wirginii (IZOLACJA), po zakurzonych uliczkach zabudowanych rzędami identycznych domów na wybrzeżu Karoliny (IZOLACJA-TROPIK).

Pojadą do restauracji przy South Locust na sałatkę z tych wielkich krewetek, na frytki i gorące bułeczki, a potem Win zaproponuje im lody u Lane'a.

Jaskrawogorące niebo.

Cisza w samochodzie, na rozgrzanych trawnikach.

Suzanne wstrzymuje oddech.

W swoim podziemnym gabinecie w Old Main Win Everett rozmawia przez telefon z Parmenterem.

– Skąd Mackey o tym wszystkim wie, skoro nie nawiązał kontaktu?

– Wszystko, co wie, wie od Banistera. Oswald się tam komuś zwierza.

– Mów.

– W styczniu zamawia w Los Angeles trzydziestkęósemkę z uciętą lufą. W marcu kupuje w Chicago włoski karabin z lunetką.

– Uzbrojony i niebezpieczny – rzucił cicho Win.

– I jeszcze coś. Gotowy? Rozdaje na ulicy prokubańskie ulotki. Dwa czy trzy dni temu wciskał je marynarzom schodzącym z lotniskowca.

Everett patrzy w dal.

– Jak to się ma do tego, że korzysta z pomieszczenia w budynku, gdzie mieści się ta agencja detektywistyczna, że pomieszczenie to jest dokładnie nad biurem Guya Banistera, głównym ośrodkiem organizacyjnym antycastrowskiej krucjaty w Luizjanie?

– Zupełnie do tego nie pasuje – odparł Parmenter.

– Cieszę się, że to mówisz. Myślałem już, że czegoś nie rozumiałem.

– Wiem tylko to, co mówi T-Jay. To znaczy: wiadomy obiekt wchodzi do sekretariatu agencji i mówi, że chciałby pracować jako tajniak. Banister przydziela mu pakamerę na górze. Ta mała, ciasna pakamera na szczotki staje się nowoorleańską siedzibą Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą. Obiekt wkłada białą koszulę i krawat, po czym wychodzi na ulicę z ulotkami.

Oswalda nazywali obiektem, a prezydenta Lansjerem, bo taki pseudonim nadały mu tajne służby. Nawyk. Żeby skrawki żalu i bólu były jak najmniejsze – bólu, który przywiera do wszystkich i do każdego. Myśl na późne popołudnie.

– Czy ja dobrze rozumiałem sekwencję wydarzeń? – mówi Win. – Obiekt wyjeżdża z Dallas. Znika z naszego życia i tracimy na zawsze jeden z najbardziej obiecujących elementów operacji.

– A potem pojawia się w tym jednym jedynym miejscu, w którym nigdy byśmy się go nie spodziewali.

– Wyrasta jak spod ziemi w Nowym Orleanie, w agencji Guya Banistera, i chce tam pracować jako tajny agent. Ten sam człowiek, który uciekł do tego pieprzonego Związku Sowieckiego, który w sprzedaży wysyłkowej kupił karabin, by potem strzelać z niego do generała Walkera. Wchodzi prosto do obozu wroga.

– Banister miał znaleźć kogoś na jego miejsce, Mackey go o to prosił. I co się dzieje? Nasz chłopak przychodzi do niego prosto z ulicy.

Everett poszperał w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

– Musisz się do niego zbliżyć – powiedział.

– O nie, tylko nie to.

– Posłuchaj, Larry.

– Ja też chcę uniknąć kontaktów osobistych, tak samo jak ty. Daj go Mackeyowi.

– Gdzie on teraz jest?

– O ile wiem, wciąż na Farmie.

– Dobrze. Posłuchaj. Zdobądź dla mnie próbkę jego pisma.

– Zaraz pogadam z T-Jayem.

Korytarz był pusty. Win wszedł schodami na parter. Za ladą – nikogo. Wszedł na dwór. Rok szkolny dobiegł już końca. Sunące powoli sylwetki ludzi w oddali, letni kursanci, pracownicy obsługi technicznej, spryskiwacze, nakładające się na siebie łukowate smugi wodnej mgły, leniwa jaskrawość zasnutej pajęczyną trawy.

Próbie morderstwa zawsze poprzedza prowokacja.

W maju 1961 roku opracował ściśle tajny okólnik dla zastępcy dyrektora do spraw planowania, który rozesłano wybranym członkom grupy planowania strategicznego Senior Study Effort. Okólnik omawiał filozoficzne aspekty zamachów na zagranicznych przywódców. Zawierał również fragment nieznanego zewnętrznemu światu psalterza. „Bezwarunkowo zlikwidować”. Napisał ten okólnik na stosownej maszynie i stosownym papierze.

Po drugie. Za pośrednictwem swoich kontaktów w Małej Hawanie zamieścił enigmatyczny artykuł w czasopiśmie dla uchodźców wydawanym w New Jersey. Powołując się na anonimowe źródła, opisał w nim operację przeprowadzoną w lipcu 1961 roku przez wywiad marynarki wojennej z amerykańskiej bazy wojskowej w Guantanamo na wschodnim wybrzeżu Kuby. Cała historia była oczywiście sfabrykowana, ale sam plan zlikwidowania Fidela Castro i jego brata Raula był jak najbardziej prawdziwy. Artykuł ten miał być znaleziony wśród rzeczy podejrzanego po nieudanym zamachu na życie prezydenta.

Po trzecie. Opracowywał projekt dotyczący notatek telefonicznych na kartkach notesu, jednego z tych używanych w wydziale służb technicznych. Esy-floresy, numery telefonów,

skróty nazw zaawansowanych trucizn wytwarzanych przez fachowców ze specjalnej sekcji tegoż wydziału, żartobliwie zwanej komitetem zmian zdrowotnych. Ktoś, kto uważnie prześledzi sekwencję tychże numerów, trafi przypadkowo na ścieżkę z kilkoma zwykłymi przystankami (kwaciarnia, supermarket) oraz z kilkoma przystankami niezwykłymi, takimi jak dom przywódcy kubańskich uchodźców w Miami, należący do mafii motel w Key Biscayne, jacht cumujący na przystani w Miami, gdzie mieszkał szef tamtejszej placówki CIA.

Ruszył w stronę samochodu.

Miejscowy koloryt, tło, powiązania, nad którymi śledczy będą musieli podumać. Pracował też nad innymi projektami, miał inne dokumenty, w tym autentyczne, nawiązujące do prób zamachów na życie Fidela Castro – zamachów, które osobiście nadzorował w fazie planowania. Materiały te miały trafić okrężną drogą do rąk dziennikarzy, członków różnych komisji, do każdego, kto mógłby je ujawnić – na tym polegało zadanie Parmentera. Kiedy ludzie dowiedzą się, że próba zamachu na prezydenta była kubańską odpowiedzią na wielokrotne próby zamachu na Fidela, próby organizowane przez amerykański wywiad, będziemy w połowie drogi do odzyskania wyspy.

Zobaczył je w samochodzie. Uśmiechnął się, przesłaniając ręką oczy. Podszedł do drzwi od strony pasażera. Na mokrej trawie błyszczały w słońcu miliony cekinów. Podszedł na palcach jeszcze bliżej i uśmiechnął się szeroko, czekając, aż Suzanne go zauważy.

Guy Banister siedział samotnie u Katza & Jammersa. Miał tam swój prywatny stołek w miejscu, gdzie kończyła się łukowata lada. Lubił siedzieć plecami do ściany i patrzeć na ulicę, na neonowe głowy podskakujące za sylwetką Falstaffa w wysokim oknie.

Lekarz zabronił mu pić. Banister pił. Nie pal. Banister palił. Rzuć tę agencję. Banister pracował jeszcze więcej, sporządzał jeszcze dłuższe listy, przerzucał broń, składał amunicję, kierował siecią miłych, schludnych chłopaczków, którzy szpiegowali na miejscowych uniwersytetach.

Dave Ferrie ciągle powtarzał, że w mózgu rośnie mu rak. Ale to właśnie on, Banister, miewał krótkie okresy utraty przytomności i zawroty głowy, to właśnie on, siedząc przy biurku, często obserwował swoją rękę, która trzęsa się tak, jakby należała do kogoś innego.

Miał sześćdziesiąt trzy lata, z czego dwadzieścia przepracował w biurze: był wielokrotnie odznaczonym agentem i chlał samotnie w barze.

Pod marynarką nosił oksydowanego colta na naboje kalibru 357 typu magnum. Uważał, że stara, solidna trzydziestkaósemka na standardową policyjną amunicję może po prostu nie sprostać sytuacji, w jakiej człowiek o tak wysokiej pozycji może znaleźć się o każdej porze nocy i dnia. Amen. Skrzące się połyskliwe, rudawobrazowo, dno szklanki. Dopił resztkę burbona i spojrzał na idącego ku niemu barmana.

– Dorwaliśmy faceta przed Biographem w Chicago, w lipcu trzydziestego czwartego, i zastrzeliliśmy go w zaułku trzy domy dalej.

– O kim teraz? – pyta barman; ma odstające uszy.

– O Johnie Dillingerze. O nim. No, nalej, kurwa.

– Z lodem czy bez?

– Słynny finał. Wielbiciele starego Dillingera mogliby ci powiedzieć, co wtedy w tym kinie grali.

– Dobra, już chwytam.

– *Manhattan Melodrama* z Clarkiem Gable'em.

Niewzruszony barman nalał mu burbona.

– Kiedy w pobliżu kina zabijają kogoś słynnego, wypada wiedzieć, co grają.

- Niewątpliwie, panie Banister.
- To jest, kurwa, historia z prawdziwym rozmachem.

Przerzucał amunicję na archipelag, bo mieli bombardować rafinerie, mieli lądować w Zatoce Świń. W biurze było tego tyle, że kazał Ferriemu zabrać trochę do domu. Ferrie wziął miny, miał w kuchni stertę min. Dziesiątki przeróżnych frakcji napierało na kolejną inwazję, więc prędzej czy później coś musiało się zdarzyć. Rząd o tym wiedział. Naloty i konfiskaty były powszechne. Wszystko stało na głowie.

Zobaczył Oswalda przechodzącego za oknem w drodze z William Reily Coffee Company. Kolejna głowa podskakująca w szerokich prądach Nowego Orleanu.

Zaczyna trząść mu się ręka. Ręka nie ma z nim nic wspólnego.

Pracował jeszcze dłużej, sporządzał jeszcze dłuższe listy. Jego ludzie cały czas znosili mu nowe nazwiska. Robił listy wyrotowców, lewicujących profesorów, dziwnie głosujących kongresmanów. Robił listy czarnuchów, listy ich wielbicieli, listy czarnuchów, którzy posiadali broń, Murzynek w ciąży, Murzynów o jasnej skórze, listy czarnuchów pożenionych z białymi. Czarnego nie można sfotografować. Nigdy nie widział dobrego, wyraźnego zdjęcia Murzyna. Taka ich natura: nie emitują światła.

W „Times-Picayune” roilo się od artykułów na temat programu praw obywatelskich Kennedy’ego. Kennedy wychodził na zdjęciach, jak trzeba. Po to był. Człowiek, który posiadał jakieś tajemnice, emituje światło.

Oddaliśmy im Europę Wschodnią. Oddaliśmy Chiny. Oddaliśmy Kubę, wyspę leżącą ledwie sto czterdzieści parę kilometrów od wybrzeży Stanów. Jesteśmy gotowi oddać im południowo-wschodnią Azję. A potem oddamy im białą Amerykę. Oddamy ją czarnuchom. W tych wszystkich marszach i strajkach okupacyjnych nie znosił jednego. Chwili, kiedy biali zaczęli śpiewać. Całą imprezę trafia wtedy szlag. I wszyscy paskudnie się czują.

Przywołał barmana.

- Wiesz, że ten Kennedy jeździ z dziesięcioma czy piętnastoma sobowtórami? Wiesz?
- Nie.
- Nigdy o tym nie słyszałeś?
- Nie, nigdy.
- Ma sobowtórów.
- Identycznych jak on?
- Około piętnastu. Jak gdzieś jedzie, zawsze jadą z nim. Ciągłe są, kurwa, w pogotowiu. A wiesz, po co to robi? Dla zmylenia przeciwnika. Bo dobrze wie, że wkurzył wielu ludzi.

Był stary jak świat. Dwadzieścia lat w biurze, a potem w policji, gdzie był wielkim dygnitarzem, dopóki nie wygarnął z pistoletu w sufit jakiegoś baru dla turystów.

Dopił drinka i wstał.

Wróg publiczny numer jeden. Upalna lipcowa noc. Dopadliśmy go w uliczce za kinem.

Biuro było tuż obok, ale nie korzystał z wejścia od Camp Street, bo właśnie tam będą czekali, żeby go rozwalić, kiedy nadejdzie pora, dzisiaj, jutro, za dnia czy w nocy. Wszedł bocznymi drzwiami, tymi od Lafayette, i noga za nogą, poczłapał na pierwsze piętro.

Delphine siedziała przy biurku w sekretariacie. Posłała mu to wzdęte spojrzenie typu „wiem, że piłeś”. Mając taką kochankę, nie potrzebował żony.

- Musisz o czymś wiedzieć, i to koniecznie – powiedziała.
- Może już wiem.
- Tego nie wiesz.

Usiadł na winylowej sofie – według Ferriego wydzielala substancje rakotwórcze – i niespiesznie wyjął z kieszeni papierosa. Przypalił go zapalniczką Zippo, którą nosił przy sobie

przez całą wojnę i która wciąż działała doskonale, z głośnym łuszczeniem i wielkim rozbłyskiem ognia.

– Chodzi o tego Lwa czy jak mu tam, o tego z góry. Tego, który siedzi w tej pustej pakamerze.

– O Oswalda.

– Poszłam tam po lunchu, żeby poszukać kilku teczek z aktami, które wzięły i zniknęły. Pusto, stół, na stole ulotki. A na ulotkach? Ręce precz od Kuby. Grajmy z Kubą uczciwie. Dokładnie nad naszymi głowami leży sterta prokubańskich agitek.

Guy Banister zakręcił młynką ręką, w której trzymał papierosa.

– Mów dalej – rzucił z błyskiem rozbawienia w oczach. – Co jeszcze?

– To nie są żarty, Guy. W tej pakamerze leży stos podburzających materiałów.

– Przypilnuj, żeby nie wstały i nie zeszły na dół. Nie chcę ich tu widzieć. On robi swoje, my swoje. Na jedno wychodzi.

– Wiedziałeś o tych agitkach.

– Zobaczymy, co z tego wszystkiego wyniknie.

– A co wiesz o nim?

– W sumie niewiele. Pracuje głównie z Ferriem. To on go polecił. To jego projekt.

– Ciekawe, co to znaczy.

Banister uśmiechnął się i wstał. Położył papierosa na popielniczce. Potem stanął za krzesłem Delphine i zaczął masować jej ramiona i kark. Na biurku leżał najświeższy numer „On Target”, biuletynu minutemanów. Jego uwagę przykuło wyróżnione kursywą zdanie: „Nawet teraz na twoim karku krzyżują się nitki celownika”. Coś wisiało w powietrzu. Są siły, których obecność ludzie wyczuwają w tym samym momencie historii. Na skórze, czubkami palców.

– A ten, który dzwonił dziś rano? – spytała Delphine. – Był jakiś taki... nieobecny, dosłownie i w przenośni.

– Wysłałaś mu pięćdziesiąt dolarów?

– Tak, jak kazałaś.

– To człowiek Mackeya. Nie znam go. Powiedziałem mu, jak go złapać.

Musnęła ręką włosy, zerkając na matową szybę w drzwiach.

– Czy zobaczę wieczorem mojego szpiega?

Ponad jej ramieniem sięgnął po papierosa.

– Przed wyjściem załóż nową teczkę – odparł. – Komitet Rzetelnego Postępowania z Kubą. Weź taką ładną, z różowymi okładkami.

– I co mam do niej wkładać?

– Kiedy założysz teczkę, materiały zaczną spływać same, to tylko kwestia czasu. Notatki, listy, zdjęcia, plotki. Wszystkie skrawki papieru, wszystkie szepty tego świata, które ożywają dopiero wtedy, kiedy ktoś zaczyna je zbierać. One tylko na ciebie czekają, Delphine.

Tej chłodnej nocy Wayne Elko, bezrobotny czyściciel basenów, siedział na długiej ławce w poczekalni Union Station w Denver.

Stwierdził, że ostatnio ciągle dokądś przyjeżdża albo skądś wyjeżdża. Że nigdy nie zatrzymuje się nigdzie na dłużej. Że nie ma go ani tu, ani tam. Filozoficzny problem.

Tuż obok leżał na ławce brązowy plecak i duża reklamówka z jakiegoś supermarketu na Wybrzeżu. Całe swoje materialne życie nosił w tych dwóch dobitych torbach.

Był *desperado*. Określenie to pochodziło z prawdziwego amerykańskiego pogranicza, tego sprzed stu lat. Za dwadzieścia dolarów mógł „podkręcić” każdy licznik, cofnąć go o trzydzieści tysięcy kilometrów. Zajmowało mu to kwadrans. Jeśli ktoś chciał zgarnąć odszkodowanie z ubezpieczenia, on za stówę mógł podłożyć ładunek plastiku w samochodzie i wysadzić go w

powietrze. Z tym że prawdopodobnie zrobiliby to za friko. Dla samej przyjemności naukowego eksperymentowania.

W wysokich, łukowatych oknach zbierało się pierwsze światło dnia. Ławki miały dziewięć metrów długości, wysokie, rzeźbione oparcia i były ładnie wypolerowane. Spod sufitu zwisały olbrzymie żyrandole. W poczekalni było pusto, nie licząc dwóch czy trzech stałych bywalców, dwóch czy trzech mętnych typów, których widywał na każdym dworcu i którzy mieszkali w ścianach, jak jaszczurki. Cisza, łukowate okna, drewniane ławki i żyrandole – skojarzyło mu się to z kościołem, z kościołem, do którego przyjeżdża się pociągiem, żeby z kłębow przesyconej hałasem pary przejść do pustej sali, gdzie można oddać się najcichszym przemyśleniom.

Zasnął, ale spał tylko dziesięć minut, bo jakiś gliniarz dzielił go pałką w kolano. Zadudniło tak, jakby był zrobiony z wydrążonego w środku drewna. Witajcie w Górach Skalistych.

Wstał, zabrał swoje rzeczy, przeszedł na drugą stronę ulicy i natychmiast zasnął na betonowej rampie jakiegoś magazynu. Tym razem obudziły go ciężarówki. Położył trochę między wielkimi chłodniami, po przecinających się na bruku starych torach. Na skrzyżowaniu Dwudziestej i Blake zobaczył mężczyznę, który mył śmieciarkę. Za drutem kolczastym mieli tam ze sto samochodowych wraków, a na każdym metrze kwadratowym ziemi leżało tysiąc błyszczących kawałków szkła. Szklana dzielnica Denver. Na rogu Dwudziestej i Larimer zobaczył kilku chwiejnie idących mężczyzn. Drobnie pijaczki, ranne ptaszki na przechadzce. Misja kościoła baptystów. Pożyczki. Parę kroków dalej upadł na twarz facet w kapeluszu rodem z *Szalonego Guggenheima* – może Indianin, Meksykanin albo jakiś mieszaniec, któż to wie – burcząc pod nosem przekleństwa w zmyślonym języku. Przypomnieli mu się ci z Everglades i z No Name Key, gdzie szkolił się z brygadą Interpenu, Międzykontynentalnych Sił Penetracyjnych. Wszyscy ci, którzy walczyli ramię w ramię z Fidelem, a potem przeszli na drugą stronę barykady. Ich pociemniałe z gniewu twarze. Fidel zdradza rewolucję.

W ciągle zmieniającym się składzie wszelkiej maści komandosów awanturników mieszkał w bursie przy Czwartej Południowo-Wschodniej w Miami. Całymi tygodniami ćwiczyli na mangrowych bagniskach i robili wypady na Kubę w dziesięcioipółmetrowej długości desantowych łodziach motorowych, głównie po to, żeby wysadzić tam agentów i postrzelać do sylwetek ludzi na brzegu. Ale zwykle siedzieli w domu, czyszcząc karabiny maszynowe na podwórzu. Instruktorzy dżudo, kapitanowie holowników, bezdomni Kubańczycy, byli żołnierze wojsk powietrznodesantowych, tacy jak on, najemnicy z wojen w Afryce Zachodniej czy na Malajach, z wojen, o których nikt nigdy nie słyszał. Ludzie prosto z jego ulubionego filmu *Siedmiu samurajów*, wojownicy bez pana, którzy skrzyknęli się, żeby bronić wioski przed grabieżcami, żeby odbić ich kraj z rąk wroga, którzy zrobili to wszystko tylko po to, żeby ich w końcu zdradzono. Najpierw nadleciały samoloty marynarki wojennej, pstrykając im zdjęcia na bagnach No Name Key. Potem, dzięki uprzejmości szeryfa hrabstwa Dade, pięciu pilotów zgarnięto za włóczęgostwo. Jeszcze potem nalot przeprowadzili celnicy, aresztując dwunastu z nich, w tym jego, w chwili gdy uzbrojeni, z pomalowanymi twarzami i w panterkach, wyruszyli na Kubę łodzią motorową z podwójnym silnikiem.

JFK dogadał się z Sowietami i mieli zostawić Fidela w spokoju. Nieprawdopodobne. Ten sam człowiek, na którego głosowałby, gdyby chciało mu się zarejestrować. Wierzył w Amerykę, wierzył w lojalność, wierzył w góry i strumienie. Wszystko to było ze sobą związane.

Znalazł budkę telefoniczną i na koszt abonenta zadzwonił do Nowego Orleanu, pod numer, który przed rokiem dostał od T.J. Mackeya. Kobiecie, która odebrała, powiedział, że chce rozmawiać z Guyem Banisterem.

– Mówi Wayne Elko. Wyrzuciło mnie na brzeg w Denver. Niech pan powtórzy T-Jayowi, że szukam pracy.

Win Everett pochylał się nad stołem roboczym w piwnicy. Na stole leżały i stały narzędzia, głównie domowe, małe i tanie; narzędzia do cięcia, przezroczyste nakładki, różnego rodzaju kleje i klajstry, miękka gumka i żelazko.

Tworząc człowieka za pomocą nożyczek i taśmy klejącej, czuł się cudownie pobudzony i pewny siebie.

Jego snajper wychynie z gąszczu fałszywych nazwisk. Śledczy znajdą podanie o skrytkę pocztową, zaświadczenie odbycia służby wojskowej w Korpusie Piechoty Morskiej, kartę ubezpieczenia społecznego, wnioski o paszport, prawo jazdy, skradzioną kartę kredytową i kilka innych dokumentów na dwa, trzy różne nazwiska, których ślad doprowadzi w końcu do kubańskiego wywiadu.

Pracował nad kartą Diners Club, usuwając wacikiem nasączonym żywicą poliestrową tusz z wypukłych literek. Z radia na półce płynęła kojąca muzyka. Przytknął kartę do żelazka, powoli je rozgrzewając, żeby spłaszczyć litery. Potem wyrównał żyłką pozostałe wybrzuszenia i występy. Na koniec zamierzał rozgrzać kartę jeszcze bardziej, żeby nabić na nią nowe nazwisko i numer.

Na początku kariery zawodowej podłapał wiele mętnych, acz przydatnych umiejętności. Przedtem uczył w kilku college'ach humanistycznych na Środkowym Zachodzie, w takich miejscach jak Franklin w Indianie, gdzie spostrzegawczy koledzy, w taki czy inny sposób związani z CIA, zwerbowali go i wysłali na tajne przeszkolenie. Pomysł natychmiast przypadł mu do gustu; był lekarstwem na narastający w nim niepokój, wzmógł przekonanie, że musi zaryzykować coś ważnego, stawić czoło moralnemu samozadowoleniu, zanim uzna, że już się zrealizował. Niebawem zaczął pobierać przydatne lekcje od fachowców z Flaps & Seals, wydziału kopert i stempli, ucząc się otwierania listów w taki sposób, żeby nie dowiedział się o tym adresat; od czasu do czasu przypominały mu się wtedy senne popołudnia na uczelni we Franklin w Indianie. Po kilku latach w Hawanie i Ameryce Środkowej, wliczając w to okres służby na stanowisku szefa placówki w Guatemala City, został jednym z kilkunastu ludzi przydzielonych do szkolenia brygady kubańskich uchodźców. Potem żył w ciągłym pośpiechu. Podwodna minierka w Portoryko i Karolinie Północnej, manewry wojsk powietrznodesantowych pod Phoenix, organizowanie grup dywersyjnych w Nikaragui, w Miami i na Key West.

Miał teraz bystry umysł, w pełni nad wszystkim panował, już od dawna nie czuł się tak dobrze.

Następny będzie notes z adresami. Poważna operacja. Mając próbki jego pisma, naniesie na te maleńkie strony tak dużą ilość śladów, fałszywych tropów, tak dużo rojnego życia i mrocznych tajemnic, prawdziwych i sfabrykowanych, że prowadzący dochodzenie będą ślęczyć nad nimi miesiącami.

Otworzył buteleczkę kleju uniwersalnego Elmer's Glue-All i z arkusza nieprzezroczystego papieru wyciął nożykiem pasek na nowy podpis. Sprawdził, czy jego długość i szerokość pasują do miejsca na rewersie karty. Potem nałożył na niego równą warstwę kleju i przycisnął go lekko do karty. Czekał, aż klej wyschnie, słuchał radia.

Tak, potem ciągle się spieszył. Fort Gulick w strefie kanału. Baza Trax w Gwatemali. A teraz wszystko trochę przycichło. Miał czas na czytanie książek, które zawsze chciał przeczytać.

Pora na fałszywe nazwiska. Bardzo lubił je wymyślać. Nadmiar kleju starł z karty szkolną gumką Suzanne. Potem wyłączył radio, zgasił światło i wszedł na stare drewniane schody.

Snajper wychynie zza malowniczej gazy. Sprawa musi robić wrażenie przypadkowej i tajemniczej. Tylko wtedy uwierzą, że to wszystko prawda.

Sprawdził frontowe drzwi. Mijały dni. Znowu pora spać. Ciągle chodził spać. Pogasił światła, sprawdził tylne drzwi, zajrzał do duchówki. Co znaczyło, że wszystko jest dobrze.

Operacja ta będzie kiedyś przedmiotem studiów najściślejszego grona kierowniczego Langley

i Pentagonu.

Zgasił światło w kuchni. Wszedł na schody i nagle coś kazało mu sprawdzić duchówkę jeszcze raz, chociaż był pewien, że jest wyłączona. Zadziw ich. Stwórz serię przypadków tak dziwnych, że będą musieli w nie uwierzyć. Stwórz samotność tętniącą gwałtownymi żądzami. Stwórz takiego właśnie człowieka. Aresztowanie, fałszywe nazwisko, skradziona karta kredytowa. Polowanie na ofiarę może być sposobem wypełniania samotności, splataniem jej w sieć, strukturę powiązań. Desperaci szukają dla swej samotności celu i przeznaczenia.

Duchówka była wyłączona. Zmusił się, żeby to zarejestrować. Potem ruszył na górę, słysząc ciche dźwięki muzyki z radia w sypialni.

Takiego właśnie człowieka. Człowieka, który obserwuje sam siebie, który żyje w losowo wybranej przestrzeni. Jeśli światem jest miejsce, gdzie ukrywamy się przed samym sobą, co robimy, kiedy świat ten przestaje być dostępny? Wymyślamy fałszywe nazwisko, wymyślamy cel, kupujemy broń w sprzedaży wysyłkowej.

Lansjer jedzie do Honolulu.

Na jednym poziomie funkcjonował dobrze. Był czujny, miał cudownie lotny umysł, nad wszystkim panował. Teraz kolej na notes z adresami. Muszą spektakularnie spudłować.

Spiker ICDNT powiedział, że złożony z przedstawicieli ośmiu państw komitet Organizacji Państw Amerykańskich oskarżył Kubę o wspieranie marksistowskiej działalności wywrotowej. Ta wyspa jest ośrodkiem szkoleniowym dla agentów. Rząd rozpoczął nową fazę podsycania przemocy i niepokojów społecznych w Ameryce Łacińskiej.

Nikt nie musiał mu o tym przypominać. Żaden spiker nie musiał mu mówić, co się stało z Kubą. To była walka bez słów. Wypełniały go cichy gniew i determinacja. Nie chciał towarzystwa. Im więcej tych, którzy wierzyli tak jak on, tym mniej czysty był jego gniew. W kraju roiło się od rozwrzeszczanych głupców, którzy ten gniew bezczęścili.

Włożył piżamę. Zdawało się, że chodzi w niej teraz cały czas. Nie minęła jeszcze połowa dnia, a on znowu się kładł. Mary Frances już spała. Wyłączył radio, zgasił lampkę. A potem przemówił w myśli do siły, która była gdzieś tam, do rządzącej niebem mocy, do nieskończonych spiral wodoru, do stref wiecznej nocy, do wszystkich dusz. Powiedział po prostu: „Proszę, niechaj śpię, nie śniąc”.

Sen sprowadzał koszmary, których nie umiał sobie wytłumaczyć.

W Moskwie

Otworzył oczy w wielkim pokoju. Wysokie ściany, stare pluszowe fotele, trącający nieświeżym zapaszkiem gruby dywan. Wstał z łóżka i podszedł do okna. Spieszący dokądś ludzie, długie kolejki na przystankach autobusowych. Umył się i ogolił. Włożył białą koszulę, szare flanelowe spodnie, ciemny wąski krawat, brązowy kaszmirowy sweter i na bosaka znowu podszedł do okna. Moskwianie, pomyślał. Po chwili włożył skarpety, porządne buty i flanelową marynarkę. Spojrzał do lustra w połączonych ramach. Potem usiadł w starym fotelu w pokoju z firankami i z namaszczeniem założył nogę na nogę. Teraz przynależał do historii.

W swoim Dzienniku Historycznym zrelacjonuje później wszystkie kolejne dni, tygodnie i miesiące. Linijki tekstu, napisanego głównie drukowanymi literami, błędzą i snują się ukośnie po całej stronie. Strona jest gęsta od słów, od góry po sam dół, od lewej do prawej, słów powykreślanych, zamazanych, zlewających się ze sobą i poprawianych, od wstawek, nagłych przeskoków do zwykłego pisma, od fragmentów, którym brak tchu, i od takich, które emanują dziwnym spokojem.

Przewodniczce Inturistu, młodej kobiecie imieniem Rimma, powiedział, że chce wystąpić o rosyjskie obywatelstwo.

Jest zdumiona, ale zgadza się mi pomóc. Wypytuje o mnie i o powody, dla których chcę to zrobić. Wyjaśniam, że jestem komunistą etc. Jest uprzejma i życz., ale i trochę skrepowana. Próbuje zachowywać się przyjacielsko. Współczuje mi, bo nigdy kogoś takiego nie spotkała.

Na dwudzieste urodziny, dwa dni po przyjeździe, Rimma dała mu w prezencie powieść Dostojewskiego, a na pierwszej stronie napisała: „Gratulacje! Niechaj spełnią się Wasze marzenia!”

Potem wszystko potoczyło się szybko. Nie miał czasu zastanowić się, co to znaczy, zdać się na stare poglądy i zapatrywania. Tajemnica, którą jako żołnierz piechoty morskiej ukrywał przez ponad rok, plan ucieczki, była dotąd jego najpotężniejszą wiedzą. I teraz, siedząc w tym gabinecie, próbował wyjaśnić jakiemuś łysemu urzędasowi, czym jest dla niego możliwość zamieszkania w Związku Radzieckim, centrum światowej walki.

Łysielec spojrzał ponad jego ramieniem na zamknięte drzwi.

– Związek Radziecki jest wspaniały tylko w literaturze – odparł. – Wracaj do domu, przyjacielu, życzę ci wszystkiego najlepszego.

I wcale nie żartował.

Ośłupiały, po raz kolejny powtarzam swoje, a on na to, że sprawdzi i da mi znać.

Dali mu znać jeszcze tego samego dnia. Ważność wizy Lee H. Oswalda wygasa o dwudziestą. Miał dwie godziny na opuszczenie kraju. Zdawało się, że milicjant, który zadzwonił do niego z tą wiadomością, nie wie o rozmowie z łysielcem od paszportów. Lee próbował mu wytłumaczyć, że łysielec nie wyznaczył mu żadnego terminu, że jego zdaniem była nadzieja na przedłużenie wizy. Tylko za nic nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska ani nazwy wydziału Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie z nim rozmawiał. Zaczął nawet opisywać jego gabinet, jego ubranie. Zalała go fala rozpacz. Ten z milicji nie rozumiał, o co mu chodzi.

To właśnie ta nijakość czy jałowość była źródłem przerażenia. Ludzie nie odróżniali go od

innych. Musiała istnieć jakaś sztuczka, której nie opanował, sztuczka, która łatwo wszystko naprawi. Inni ją znali, on nie. Inni jakoś dawali sobie radę, on nie. Pokonał taki szmat drogi, zupełnie sam, bez niczyjej pomocy. Hawr, Southampton, Londyn, Helsinki, a potem pociągiem przez radziecką granicę. Snuł plany, układał sobie nowe życie, tymczasem nikt nie chciał zrozumieć, kim tak naprawdę jest. Zerem w systemie. Siedział przy oknie, patrząc na otwartą, częściowo tylko rozpakowaną walizkę na półce po drugiej stronie pokoju.

Był obcokrajowcem. Niezadowolenie nic tu nie dawało. Rozgoryczenie nie miało żadnego zastosowania. To amerykański wymysł, z którego nie miał tu żadnego pożytku. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak bardzo niebezpiecznym krokiem był wyjazd z kraju. Walczył z własną świadomością. Nie znosił wiedzieć czegoś, czego wiedzieć nie chciał. Otworzył drzwi i wyrzwał na korytarz. Kobieta wydająca klucze siedziała przy małym biurku koło windy. Spojrzała na niego. Cofnął się do pokoju.

7.00 wieczorem. Postanowiłem z tym skończyć. Włożę rękę pod zimną wodę, żeby złagodzić ból.

Podwinął rękaw, stanął przed umywalką. Zabrał rękę spod kranu tylko na chwilę, żeby oprzeć nową żyłkę o futerał maszyny do golenia. Do wanny leciała ciepła woda.

Hidell przygotowuje się na spotkanie ze Stwórcą, ha, ha!

Czy było w tym coś śmiesznego? Chyba nie. Zawsze próbowali wypędzić go skądś, skąd nie chciał odchodzić. Zimna woda złagodzi ból. To krok numer jeden. Ciepła przyspieszy wypływ krwi. To krok numer dwa. Wystarczy tylko musnąć skórę ostrzem. Firma Gillette sponsoruje w telewizji zawody o mistrzostwo USA – mają gadającą papugę. Wolną ręką poluźnił krawat.

Moje największe marzenia legły w gruzach.

Wyobraził sobie, jak o ósmej przychodzi Rimma i znajduje go martwego. Jej gorączkowe telefony pod domowy numer różnych urzędników. Patrzył, jak woda wypełnia wannę. Musiała ją wypełnić? Przecież nie zamierzał do niej wchodzić, prawda? Wystarczy włożyć rękę. Sowieccy urzędnicy dzwonią do amerykańskich. Zawsze był outsiderem, zawsze musiał się przystosowywać. Zakręcił kran z zimną wodą, wziął żyłkę i usiadł na podłodze przy wannie.

A potem podciąłem sobie żyły na lewej ręce.

Tylko dlaczego to takie zabawne? Dlaczego obserwował siebie bez jęku czy płaczu? Z pedantycznego rozcięcia popłynęły pierwsze krople krwi. Nie przyjechał tu, żeby uciec od stresów. Nie uciekał od problemów małżeńskich. Miał silne przekonania i duże doświadczenie. Przełożył rękę przez brzeg wanny.

Patrzę, jak wypływa ze mnie życie, a gdzieś na górze grają skrzypce.

W czym tu mierzą długość rany? W centymetrach? Pospieszne telefony do Teksasu. To ja, mam. Leżę w kałuży krwi w hotelu Berlin. Popatrzył na różowiejącą wodę. Zrobiłem kurs Berlitz. Mój rosyjski jest wciąż kiepski, ale będę uczył się jeszcze więcej. Nie odpowiem na pytania dotyczące mojej rodziny, ale opublikujcie to: emigracja nie jest łatwa. Nie polecam jej każdemu. Emigracja to przyjazd do obcego kraju, to bycie wiecznym outsiderem, konieczność ciągłego przystosowywania się. Nie jestem idealistą totalnym. Miałem okazję obserwować amerykańskie wojsko w akcji. Gdybyście widzieli bazę marynarki wojennej w Subic Bay,

wiedzielibyście, o czym mówię. Wojenne maszyny po sam horyzont. Wyzyskiwane narody. Na chwilę zamknął oczy i oparł głowę o brzeg wanny. Zwiotczej. Niech robią, co chcą.

I myślę sobie tak: „Jak łatwo jest umierać”.

Chciałbym przedstawić swoją wersję wydarzeń. Chciałbym, żeby Amerykanie mieli o czym myśleć. Wiedział, gdzie jest, oczyma wyobraźni widział, jak siedzi na wyłożonej kafelkami podłodze, ale patrzył na to wszystko jakby z oddali.

i „Słodka śmierć” (do skrzypiec)

Ogarnęła go senność. Fałszywy spokój. Coś fałszywego. Poczul się jak dziecko w wyłożonym białymi kafelkami świetle skaleczeń, plastrów i wody do kąpieli, trochę odurzone aromatami, cierpkimi zapachami, szczypaniem jodiny, olejku bajowego Ekdahla. Świat w świetle. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Teraz niechaj inni dokonują wyborów. Czuł, że czas dobiega kresu. Że gdy krwawiąc, zsuwa się za krawędź jedyne go znanego zwykłym ludziom wymiaru, w powietrzu wisi coś szyderczego.

Ministerstwo Zdrowia ZSRR

POWTÓRNY PRZEŁOM W CHOROBY PO NAWROCIE

21 października. Pacjent został przywieziony karetką pogotowia do izby przyjęć szpitala Botkina i skierowany do budynku nr 26. Rana cięta lewego nadgarstka, próba samobójcza. Podczas zabiegu założono 4 szwy i opatrzone ranę bandażem. Pacjent przyjechał z USA 16 października jako turysta. Ukończył wyższą uczelnię techniczną; jest radiotechnologiem i radioelektronikiem. Nie ma rodziców. Twierdzi, że nie chce wracać do USA.

Położyli go z wariatami. Koszmarne jedzenie, wpatrzone w niego czujne, łagodne oczy. Towarzystwa dotrzymywała mu Rimma, dzięki której przenieśli go na normalny oddział. Z kieszeni płaszczka wyjęła słoik bez nalepki i kazała mu pić, tylko powoli. Wódka z sokiem ogórkowym. Na zdrowie, powiedziała.

Gdy został wypisany, zaprowadziła go do wydziału wiz i rejestracji. Rozmawiał z czterema urzędnikami na temat obywatelstwa. Nigdy o nim nie słyszeli. Nie wiedzieli o rozmowach z innymi urzędnikami. Ostrzegli go, że na odpowiedź będzie musiał trochę zaczekać.

Spędził trzy dni w nowym hotelu, w Metropolu. Była to pierwsza z wielu samotnych, milczących chwil, jakie Lee H. Oswald miał przeżyć w trakcie dwuipółrocznego pobytu w ZSRR.

Przechodził korytarzami, mijając po drodze olbrzymie portrety bohaterów Związku Radzieckiego. Brał klucz od dyżurnej piętra, tej z warkoczami. Wdychał zapach polityry i papierosowego dymu.

W pokoju siadał w wytwornym fotelu pod żyrandolem. Siedział i patrzył na kominkowy zegar. Z pierwszego hotelu przysłano mu jego zegarek, sygnet, pieniądze i walizkę, wszystko starannie zapakowane. Nietknięte. Nie brakowało ani jednej kopiejki. Naszkicował w notesie plan Moskwy z Kremlm pośrodku. Trzeciego dnia zjadł tylko jeden posiłek. Siedział przy telefonie i czekał, aż zadzwoni do niego jakiś urzędnik. Próbował czytać Dostojewskiego. Słyszał, jak za drzwiami przechodzą turyści, rozmawiając o widokach, przepięknych stacjach metra, zadziwiających posągach z brązu i marmuru. Na końcu korytarza też stał posąg. Nagi, naturalnej wielkości. Język był bardzo trudny. Pomyślał, że lepiej pójdzie mu z Dostojewskim.

31 października. Łapię taksówkę i mówię: „Do ambasady amerykańskiej”.

Recepcjonistka kazała mu wpisać się do księgi gości. Odparł, że przyszedł zrzec się obywatelstwa. Ach, tak. Zaprowadziła go do konsula. Usiadł w fotelu po lewej stronie biurka. Założył nogę na nogę, tak rzeczowo.

– Jestem marksistą – zaczął.

Konsul poprawił okulary.

– Wiem, co chce pan powiedzieć. Niech pan to jeszcze przemyśli. Porozmawiamy, jak pan wróci.

– Chcę zrzec się obywatelstwa i jestem gotowy podpisać wszystkie niezbędne dokumenty.

Konsul na to, że przygotowanie dokumentów potrwa. Miał minę w rodzaju „kim ty właściwie jesteś?”.

– Służąc w wojsku jako operator radaru, wszedłem w posiadanie tajemnic wojskowych, które, jak tylko zostanę obywatelem Związku Radzieckiego, zamierzam przekazać tutejszym władzom.

Tym przykuł jego uwagę. Ujrzał tę scenę w wersji z przyszłości. Trzy dni sam na sam z sobą. To utwierdziło go w przekonaniu, że dotarł do punktu bez powrotu. Stalin nazywał się Dżugaszwili. Kreml znaczy „cytadela”

Wychodzę z ambasady jak na skrzydłach. Jestem pewien, że po tej demonstracji wiary Rosjanie mnie zaakceptują.

Nie wychodził z pokoju. Miał straszną biegunkę, więc prawie nic nie jadł, żywiąc się tylko zupą. Siedział w pluszowym fotelu nieogolony, prawie doszczętnie splukany, w koszuli i krawacie, i tak prawie przez dwa tygodnie.

Przenieśli go do innego pokoju, mniejszego, skromnego, takiego bez łazienki, i kazali mu płacić tylko trzy dolary dziennie, bo na pewno wiedzieli, że nie stać go już na stawki Inturistu.

W notatniku do stenografowania napisał swoje nazwisko rosyjskimi literami.

Dni zupełnej samotności.

Spadł pierwszy śnieg. Osiem godzin dziennie Lee uczył się rosyjskiego z samouczka, całkiem sporo. Posiłki jadł w pokoju; zalegał z opłatami; spodziewał się odwiedzin kierownika hotelu.

Nie przyszedł nikt.

Pojechał do wydziału wiz i rejestracji. Powiedział im, że był w amerykańskiej ambasadzie, że chce zostać obywatelem Związku Radzieckiego. Chyba nie wiedzieli, co z nim zrobić.

Jakiś chłopiec na ulicy wyczuł w nim Amerykanina i poprosił go o gumę do żucia. Mróz. Barczysta kobieta odgarniająca śnieg. Po raz pierwszy uderzył go ogrom wirujących wokół tajemnic. Utknął w samym środku wielkiej tajemnicy. Otaczał go obcy umysł, nieskończony świat zimna i śniegu.

Lenin i Stalin leżeli obok siebie w pomarańczowej poświacie u stóp kamiennych schodów. Było to jedno z nielicznych miejsc, które odwiedził.

Zostało mu tylko dwadzieścia osiem dolarów.

W notatniku napisał po rosyjsku: „Ja mam, on ma, ona ma, wy macie, my mamy, oni mają”.

Nazajutrz przed siódmą rano do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Obserwował ich, stojąc na bosaka we flanelowych spodniach i górze od piżamy. Dziadek Mróz i jego chochlik pomocnik? Chyba nie. Pokój należał teraz do nich. Nie wiedział, dlaczego stało się to tak szybko, ale poczuł

się nagle jak intruz, jak nieporadny turysta. To przez niego musieli tak wcześnie wstać.

Byli ubrani inaczej niż ci, których dotąd widywał. Na pewno nie pracowali w Inturiście i nie chodzili po ludziach, inkasując zaległe płatności. Jeden, ten w czarnej kurtce samochodowej i ciemnych okularach, wyglądał jak gangster z *Late Show*. Drugi, starszy i powoli łysiejący, był w wysokich butach.

To właśnie ten drugi gestem ręki wskazał mu łóżko. Przedstawił się jako Kirylenko.

– Lee H. Oswald – odparł Lee.

Tamten uśmiechnął się lekko i kiwnął głową. Potem, nie zdejmując palta, usiadł w fotelu, z prawą ręką między kolanami.

Wtedy Lee oświadczył:

– Mój paszport jest w ambasadzie amerykańskiej. Zwróciłem go, żeby dać do zrozumienia, że nie chcę już być obywatelem amerykańskim. Powiedziałem im to prosto z mostu.

Mężczyzna znowu pokiwał głową, przymykając oczy.

– Czy wie pan, jaką organizację reprezentuję?

Oswald uśmiechnął się niepewnie.

– Komitet Bezpieczeństwa Państwowego. Zdaje się, że próbował pan się z nami skontaktować. Być może nieświadomie. Jak pan zapewne wie, podchodzimy do takich prób nieufnie. To taki nerwowy nawyk. Przy odrobinie szczęścia kiedyś się go wyzbędziemy.

Kirylenko miał jasnoniebieskie oczy, srebrzysty zarost na policzkach i obwisłą szczękę. Był krępy i trochę sapał. Krępy i chyba przebiegły, co Oswald wziął za przejaw swego rodzaju życzliwości. Zdawało się, że często mówi do siebie, jak mężczyzna w średnim wieku, który prowadząc lekką rozmowę z dzieckiem, chce się trochę rozerwać, a przy okazji zabawić i dziecko.

– Niech pan mi powie... Jak się pan czuje?

– Przez jakiś czas miałem biegunkę.

Kiwnięcie głową.

– Dobrze tu panu? Czy może był to błąd. I chce pan wracać do domu.

– Już nic mi nie dolega. Jestem bardzo szczęśliwy. Wszystko się wyjaśniło.

– Jeśli dobrze rozumiem, chce pan tu zostać.

– I przyjąć obywatelstwo waszego kraju.

– Ma pan tu przyjaciół.

– Nie, żadnego.

– W Ameryce zostawił pan rodzinę.

– Tylko matkę.

– Kocha ją pan?

– Nie chcę utrzymywać z nią kontaktu.

– A siostry? Bracia?

– Nie rozumiem motywów mojego postępowania. Mam dwóch braci.

– A żona? Pan żonaty?

– Nie, i nie mam dzieci.

Kirylenko nachylił się ku niemu.

– A dziewczyna? Młoda, taka, o której myśli pan, leżąc w łóżku.

– Nie zostawiłem tam nikogo. I z nikim się nie pokłóciłem.

– Niech pan mi powie. Dlaczego podciął pan sobie żyły?

– Byłem rozczarowany. Nie chcieli pozwolić mi zostać.

Kiwnięcie głową.

– Czy czuł pan, że pan umiera? Ale tak naprawdę. Pytam z czystej ciekawości.

– Chciałem, żeby zdecydował o tym ktoś inny. Nie miałem na to wpływu.

Kirylenko kiwnął głową i przymknął oczy.

– Ma pan pieniądze czy przysła je panu z domu?

– Prawie nic mi nie zostało.

– A dobre, ciepłe ubranie? Ma pan zimowe buty?

– Wszystko sprowadza się do tego, czy pozwolicie mi zostać. Chcę pracować. Przeszedłem specjalne przeszkolenie.

Kirylenko puścił to mimo uszu.

– Gdzie chciałby pan pracować? Kto miałby pana zatrudnić?

– Miałem nadzieję, że państwo. Mogę pracować gdziekolwiek. Pracować i uczyć się. Chciałbym studiować.

– Tak się zastanawiam. Czy wierzy pan w Boga?

– Nie.

Uśmiech.

– Ani trochę? Tylko do mojej wiadomości.

– Uważam, że to przesąd. Że ludzie budują życie na całkowitym fałszu.

– O ile się nie mylę, wykreślił pan w paszporcie nazwę swego rodzinnego miasta. Dlaczego?

– Bo już dla mnie nie istnieje. Poza tym nie chciałem, żeby się skontaktowali z moimi krewnymi. Zresztą ci z prasy i tak to zrobili. Ale nie odbierałem ich telefonów ani nie odpowiadałem na telegramy.

– Dlaczego powiedział pan w ambasadzie, że zdradzi pan nam tajemnice wojskowe?

– Żeby musieli przyjąć moje zrzeczenie się.

– I przyjęli?

– Powiedzieli, że dziś sobota i że wcześniej zamykają.

– Pechowy dzień.

– Powiedzieli: „Niech pan przyjdzie jeszcze raz, zrobimy co w naszej mocy”.

– Chyba podoba mi się ta rozmowa.

– Nie poszedłem, nie dałem im tej satysfakcji. Napisałem do nich list.

– A te tajemnice, które pan ze sobą przywiózł?

– Służyłem w Atsugi.

Kiwnięcie głową.

– To nasza japońska baza.

– O tym porozmawiamy później. Ciekawi mnie tylko, czy te tajemnice nie są już bezużyteczne, skoro uprzedził ich pan o zdradzie.

Ta ostatnia uwaga była skierowana do tego drugiego, który opierał się o futrynę, paląc papierosa. Ot, taka mała dydaktyczna dygresja. Kirylenko znowu się nachylił.

– Proszę mi powiedzieć. Rana dobrze się goi?

– Tak.

– Wytrzyma pan w tym zimnie? Nie doskwiera panu?

– Przyzwyczajam się.

– A jedzenie? Je pan hotelowe? Chyba niezłe, prawda?

– Nie smakowało mi tylko szpitalne. W żadnym szpitalu nie smakuje.

Zerknął w dół, żeby sprawdzić, czy ze spodni nie wystaje mu piżama. Tak się spieszył, by otworzyć drzwi, że włożył spodnie na piżamę.

– A Rosjanie? Ciekawe, co pan o nas myśli.

Lee odchrząknął. Ucieszył się z tego pytania. Spodziewał się, że mu je zadadzą, i był mniej więcej przygotowany do odpowiedzi. Kirylenko cierpliwie czekał i zdawało się, że dobrze się

bawi, jakby doskonale wiedział, o czym Oswald myśli.

A on myślał tak: To człowiek, któremu mogę całkowicie zaufać.

W oddali strzelały w górę wielkie słupy dymu, olbrzymie pióropusze zastygłe na błękitnym, zlodowaciałym niebie. Siedział z Kirylenką na tylnym siedzeniu czarnej wołgi. Miasto było ciche i białe, jak ze snu. Wypatrywał znajomych gmachów, chcąc się zorientować, ile przejechali, ale po tym, jak zobaczył główną wieżę Uniwersytetu Moskiewskiego, nic nie wyglądało już znajomo i niczego nie mógł sobie z niczym skojarzyć. Oczyma wyobraźni widział, jak opowiada o tej przejażdżce komuś, kto przypominał Roberta Sproula, kumpla z nowoorleańskiego ogólniaka.

To właśnie Eisenhower i Nixon zamordowali Rosenbergów.

Pokój miał cztery i pół metra długości i trzy sześćdziesiąt szerokości. Stał w nim niepomalowany stół, żelazne łóżko i komoda w oddzielonej zasłoną niszy. W ciemnym korytarzu była umywalka, a za nią toaleta i mała kuchnia. Kirylenko powiedział coś do swego kolegi. Ten wyszedł i po chwili wrócił z niskim krzesłem, które postawił przy stole. Dali Oswaldowi kwestionariusz osobowy, potem kolejny, w którym miał wyjaśnić powody ucieczki z kraju, a potem jeszcze jeden, żeby opisał przebieg służby wojskowej. Pisał cały dzień, chętnie, wykraczając poza zakres pytań, bazgrołąc na marginesach i z tyłu każdej kartki. Krzesło było za niskie, więc często wstawał i długo pisał na stojąco.

Wieczorem odbył krótką rozmowę z Kirylenką. O Hemingwayu. Tym razem to Kirylenko siedział na łóżku, wciąż w obszernym palcie, i to on cytował Hemingwaya.

– Kiedyś – powiedział Oswald – kiedy już się tu urzędzę i będę studiował, chcę pisać opowiadania z życia współczesnej Ameryki. Dużo widziałem. Milczałem i obserwowałem. Przywiódło mnie tu to, co widziałem w Stanach, i marksistowska literatura. Wasz kraj zawsze był moim krajem.

– Chciałbym zobaczyć kiedyś Michigan. Tylko ze względu na Hemingwaya.

– Tam jest dużo lasów.

– Kiedy czytam Hemingwaya, robię się głodny – mówił Kirylenko. – I wcale nie musi pisać o jedzeniu. To ten jego styl tak na mnie działa. Kiedy go czytam, zawsze mam olbrzymi apetyt.

Oswald uśmiechnął się na tę myśl.

– Jeśli w ogóle jest geniuszem, jego geniusz na pewno polega właśnie na tym. Że pisze o błocie i śmierci, a ja robię się głodny. Był pan kiedyś w Michigan?

– Jeździłem tam, gdzie mi kazano – odparł Lee.

W słabym świetle Kirylenko robił wrażenie zmęczonego. Buty miał białe od soli. Wstał, wyjął z kieszeni czapkę z piżmaków i trzepnął nią w otwartą dłoń wolnej ręki.

– Tematy są bardzo rozległe i jest ich dużo. Dlatego chciałbym, żebyś mówił mi po imieniu: Alek.

Rano rozmawiali o Atsugi. Oswald opisał mu przebieg czterogodzinnej służby pod kopułą radaru. Procedury, terminologia – Alek żądał szczegółów, nazwisk oficerów i żołnierzy, chciał wiedzieć, jak wyglądało to pomieszczenie. Lee opisał mu stosowane w bazie środki bezpieczeństwa, rodzaje sprzętu do pomiaru wysokości. Alek notował, a ilekroć Oswald nie mógł sobie czegoś przypomnieć albo nie był czegoś pewien, patrzył w okno.

Na rozmowę o U-2 przyszło dwóch nowych. Samolot meteorologiczny, rzucił jeden z nich ze śmiertelną powagą. Przyprawdzili stenotypistę. Wypytywali o nazwiska pilotów, o szczegóły startu i lądowania. Nie byli przyjacielscy. Stenotypista był stary i miał w klapie jakąś rozetkę.

Kiedy Oswald nie znał odpowiedzi na pytanie, natychmiast tę odpowiedź zmyślał albo próbował się ukryć w rozbuchanej podnieceniem składni. Alek chyba go rozumiał. Komunikowali się poza zasięgiem tamtych, milcząco, bez gestów czy spojrzeń.

Nazwisko pilota, choćby tylko jednego. Nazwisko mechanika czy wartownika.

Nachylali się ku niemu cali poważni. Opisał im, co się działo, kiedy załoga radaru otrzymywała pytanie o prędkość i kierunek wiatru na wysokości dwudziestu czterech, dwudziestu siedmiu tysięcy metrów. Opisał im brzmienie głosu „stamtąd”, głosu zgęstniałego, rozszczępionego, przytłumionego, rozdzielonego na sylaby, jak na lekcji fizyki czy na seansie spirytystycznym. Tamci ciągle drążyli, wypytywali o fakty, o nazwiska. Same pytania, coraz więcej pytań. O prędkość przelotową, o zasięg, o sprzęt zagłuszający radary. Było mu przykro, ale tego nie wiedział.

Alek oświadczył, że będą kontynuowali rano. Lee wypatrywał jakiegoś znaku. Jak mi idzie? Pozwolą mi zostać, powierzą konkretne obowiązki, pozwolą studiować ekonomię polityczną?

– Kiedy leżę w łóżku, strzyka mnie w kolanie – rzucił Kirylenko. – Myślisz, że to ze starości?

Na wszystko jest pora, chyba to chciał mu powiedzieć. Pora na przypomnienie sobie najbardziej ulotnych chwil, na zmianę zeznań, na zmianę zdania. Jesteśmy tu, żeby pomóc ci ułożyć wątki twego życia.

Wiele dni poświęcili na omówienie początkowego okresu służby, jeszcze więcej na U-2 i Atsugi, dzieląc każdy temat na detale, detale na poddetale. Wreszcie przeszli do MACS-9, jego jednostki radarowej w Kalifornii.

Na scenę wydarzeń wkraczał z hukiem Castro. Oswald chciał jechać na Kubę i szkolić tam młodych rekrutów. Był wykwalifikowanym technikiem i żołnierzem, sympatyzował z Fidelem.

Prenumerował rosyjskojęzyczną gazetę i socjalistyczne czasopismo. Na ich pytania odpowiadał *da i niet*, co bardzo ich wkurzało. Oswaldowicz, tak go nazywali.

Powtórzył Alekowi pogłoski, że wywiad marynarki wojennej szkoli fałszywych uciekinierów politycznych, że przerzuca ich potem do państw bloku wschodniego, starannie wybranych ludzi udających ofiary amerykańskiego systemu, ludzi samotnych i podatnych na wpływy, chętnych do życia w nowych warunkach.

Program ten zainicjowano dokładnie wtedy, gdy zaczął planować wyjazd. Stworzono go pod jego kątem. Na wpuć oczekiwał, że lada dzień przyjdą do niego ci z wywiadu marynarki. Musieli wiedzieć o jego prosovietkich wypowiedziach i o tej rosyjskiej gazecie. Zamierzał im powiedzieć, że próbuje nawiązać kontakt na własną rękę. A gdyby jeszcze go wyszkolili, byłby prawdziwym uciekinierem politycznym udającym uciekiniera fałszywego, który z kolei udawał prawdziwego. Ha, ha.

Alek siedział po drugiej stronie stołu, potrząsając słonymi orzeszkami w zamkniętej dłoni. Wspomnił, że przywiozł mu telewizor. Oswald był zaskoczony, że nadawanie programu zaczynają tu dopiero o szóstej wieczorem. Była to jedna z najdziwniejszych rzeczy, jakie słyszał po tej stronie oceanu.

Przyszedł strażnik. Przychodził codziennie przed wyjściem Aleka. Ten ostatni nawet mu go nie przedstawił i zdawało się, że go nie zauważa. Strażnik siedział zwykle przy umywalce w korytarzu, z czapką na kolanie.

Były rzeczy, których Lee nie zdradził, jak choćby szczegóły budowy dopiero co wprowadzonego systemu radarowego MPS-16. Uznał, że teraz, gdy już zdezerterował, amerykańska armia i tak będzie musiała wydać miliardy na jego zmianę. Z jakże dziwną łatwością przychodziło mu decydowanie o ludziach i wydarzeniach.

Nie powiedział również czegoś, co dotyczyło programu fałszywych uciekinierów. Gdy nikt się z nim nie skontaktował, Ozzie postanowił przystąpić do egzaminu kwalifikacyjnego z obcego języka. Z rosyjskiego. Żeby po prostu sprawdzić, czy go zauważą.

Dostał P, od Poor: słabo, czyli niedostatecznie.

Przyszli go zbadać lekarz i pielęgniarka. Osluchali mu serce, poświecili w oczy latarką. Zważyli go, zmierzili, pobrali mocz i krew. Potem przyjechało trzech innych, którzy zaprowadzili go do betonowego bloku pół godziny jazdy od hotelu. Wszedł do nowoczesnie urządzonego mieszkania. Kazali mu opróżnić kieszenie. Potem posadzili go na krześle przed konsolą z przesuwającą się taśmą do wykresów, z pisakami, pokrętkami, przełącznikami i tak dalej. Kazali mu postawić stopy płasko na podłodze. Do rąk, piersi i ramion Oswaldowicza podłączyli gęszcz rurki i przewodów. Jeden z mężczyzn usiadł naprzeciwko. Czy nazywa się pan tak i tak? Czy kiedykolwiek używał pan innego nazwiska? Czy pańskim ulubionym kolorem jest niebieski? Czy jest pan agentem amerykańskiego wywiadu? Czy kontaktuje się pan potajemnie z kimś, kto mieszka w tym kraju? Czy pańskie włosy są brązowe? Czy przysłano tu pana celem zorganizowania zamachu na jakąś osobę lub osoby? Czy jest pan żonaty? Czy jest pan homoseksualistą? Czy pan pali lub pije?

Wszystko ze śmiertelną powagą.

Ani śladu Aleka. Gdy wstał, wyplątali go z tych rurek i odłączyli od konsoli. Bez Aleka czuł się opuszczony i w głębi serca podejrzewał, że straszliwie zawalił na badaniu.

Powiedział im, że Alek obiecał mu telewizor.

Ktoś przyniósł jego rzeczy. W nowym mieszkaniu spędził trzy dni. Poddali go testowi na inteligencję, testowi zdolności, badaniu osobowości, testom na znajomość angielskiego i podstaw matematyki, testom na rozróżnianie wzorów i kształtów.

Śniło mu się, że wchodzi do domu przy Ewing Street w Fort Worth, z włosami mokrymi po kąpieli w Y.

Lenin i Stalin w pomarańczowej poświacie. Morze Kaspijskie, największe jezioro świata, leży na pograniczu Europy i Azji. Kreml znaczy „cytadela”.

Opowiada o swoim pobycie mężczyźnie w garniturze i krawacie, w strzeżonym mieszkaniu gdzieś w Moskwie. Może to Richard Carlson występujący w telewizji jako Herb Philbrick.

I Led Three Lives. Może to ktoś z amerykańskiej ambasady, drugi sekretarz, konsul czy jak mu tam – poprawia okulary i słucha z zainteresowaniem opowieści byłego żołnierza piechoty morskiej, który zinfiltrował aparat sowieckiego wywiadu w ramach programu fałszywych uciekinierów politycznych, prowadzonego przez wywiad marynarki wojennej.

Kirylenko stał na wyłożonej parkietem podłodze w swoim odosobnionym gabinecie w Pierwszym Wydziale Siódmego Departamentu Drugiego Dyrektoriatu Głównego w siedzibie KGB, czyli Centrum, przy placu Dzierżyńskiego 2, w potężnym, bogato zdobionym kamiennym gmachu, składającym się ze starego budynku, oryginalnego, z powojennej dobudówki, z więzienia, czyli słynnej z masowych mordów Łubianki, oraz z szeregu innych, mniejszych przybudówek tudzież dziedzińca widocznego przez zakratowane lub przesłonięte grubą siatką okna. Lubił myśleć na stojąco.

Miłe w Centrum było to, że w budynku 12 po drugiej stronie placu mogli kupić tani kawior, łososia, J&B i Johnny’ego Walkera po dolarze za butelkę. Niemiła była natomiast ciężka świadomość stalinowskiego terroru. Kirylenko nie znosił też fotela, który mu dali, nowoczesnego wygibas, który za starym drewnianym biurkiem wyglądał wprost idiotycznie.

Tym lepszy powód, żeby sobie postać. Ręce trzymał za plecami, palce lewej zaciskając na nadgarstku prawej. Myślał o tym młodym Amerykaninie, o Lee H. Oswaldzie. Oswald był nauczka, że sprawy łatwe nigdy nie są łatwe. Przypomniały mu się klasyczne aksjomaty z dawnych lat nauki geometrii i arytmetyki. Ze smutkiem dowiedział się wówczas, że owe pewniki, „pewniki niezbędne” chwieją się i załamują, gdy poddać je dokładnej analizie. Tu nie

ma płaszczyzn. Żyjemy w zakrzywionej przestrzeni.

Polubił tego chłopaka. Ta naga ambicja w jego oczach. Lee próbował zmierzyć się ze światem. Z faktami, słowami, z historycznymi ideałami. Walczył z losem, tak, otóż to, jak ktoś z socjalnego wszechświata Marksa. Szczerze wierzył w szczytne zasady i cele, chociaż brakowało mu jeszcze umiejętności perspektywicznego myślenia.

W wieku dwudziestu lat wie się jedynie tyle, że ma się dwadzieścia lat. Cała reszta tonie w kłębiącej się wokół tego faktu mgle.

Poderżnął sobie żyły, aby zostać w Rosji.

Że idealisci są nieprzewidywalni, to oczywiste. Zwodzeni wmawianymi sobie kłamstwami, z dnia na dzień mogą popaść w rozgoryczenie. Ci, którzy zdradzają z powodów praktycznych, są łatwiejsi do opanowania i kontrolowania. Pieniądze, seks, frustracja, niechęć, próżność. Rozumiemy i współczujemy. Czasem sami omal temu ulegamy.

Obserwowali go już od Helsinek, gdzie zamieszkał w hotelu Torni, a niedługo potem przeprowadził się do tańszego hotelu Klaus Kurki, gdzie wystąpił o wizę w radzieckim konsulacie i gdzie podczas rozmowy z urzędnikiem mimochodem rzucił, że jest byłym żołnierzem amerykańskiej piechoty morskiej, wysokiej klasy elektronikiem i specjalistą od radarów.

Potencjalny azylant. Ale niezbyt pewny siebie. Taki, który nie wie, jak się do tego wziąć.

Ułatwili mu sprawę i w czterdzieści osiem godzin dali mu wizę.

Przewodniczka Inturistu, Rimma Szyrokowa, zapisywała jego najbardziej interesujące uwagi i wysyłała je do Czwartego Wydziału Siódmego Departamentu, skąd trafiały do Kirylenki. Alek czekał, pozwalając, żeby urzędnicy niższego szczebla porządnie namieszali, każąc chłopakowi krążyć nerwowo po hotelowym pokoju; potem przeniósł go do tańszego hotelu i znowu czekał, czekał i czekał.

W amerykańskiej ambasadzie zainstalowali sto trzydzieści urządzeń podsłuchowych. W swoim sejfie Alek trzymał stenogram rozmowy, w której Oswald ostrzegwał konsula, że zamierza przekazać Rosjanom tajemnice wojskowe. Dzięki wysiłkom urzędnika z sekcji konsularnej zdobyli zdjęcie jego paszportu oraz kopię poufnego telegramu z ambasady do Departamentu Stanu na temat jego oświadczenia.

GŁÓWNY POWÓD: „JESTEM MARKSISTĄ”.

POSTAWA: AROGANCKA, AGRESYWNA.

Niby łatwy przypadek, chociaż z drugiej strony, zastanawiał się, jak ten prokomunista poradził sobie w wojsku. Może zwerbował go amerykański wywiad? Bo czy nie chcieliby wykorzystać jego politycznych sympatii do zbierania informacji o ludziach, z którymi będzie się spotykał, o metodach werbunkowych I<GB, o metodach szkolenia agentów? W odpowiednim czasie mogliby go obrócić, a wtedy wszystko by im wyśpiewał, tak samo jak nam.

Czy Matuszka Rosja go potrzebuje? Był pożyteczny jako operator radaru w amerykańskiej bazie wojskowej. Co my tu z nim zrobimy? Wysłać go na Kutuzowski Prospekt, wyszkolić, porządnie wykształcić na dziełach Marksa i Lenina, nauczyć mikrofotografii i tajnego pisma, języków, rosyjskiego i angielskiego, przebudować go, dać mu nową tożsamość i odesłać cichcem na Zachód? Czy to w ogóle możliwe?

Tego właśnie chcą, prawda? Ci, którzy żyją w swoich wewnętrznych zakamarkach, z kłapkami i przepaskami na oczach. Chcą drugiej, bezpieczniejszej tożsamości. Nauczcie nas żyć, mówią, żyć jako ktoś inny.

Przyszły wyniki: zaliczył tylko badanie moczu. Miał symptomy emocjonalnego rozchwiania.

Miał dysleksję. Tendencję do nieobliczalnych zachowań. W testach naukowych wypadł stosunkowo dobrze, w większości innych słabo. Wyniki badań na wariografie były dość mętne, ale te niemal zawsze były mętne. „Niejednoznaczne ze względu na wiele różnych czynników”. Może po prostu się bał.

Najprostszym rozwiązaniem byłoby odesłać go do domu, ale co z kontyngentem? Ciągłe wywierano na nich nacisk: zwerbować określoną liczbę imigrantów i wycisnąć z nich jak najwięcej najpiękniejszych informacji (albo stworzyć je samemu). Fundamentalne znaczenie miała sprawa U-2, dane, którym Alek nie do końca dowierzał. Dwadzieścia cztery tysiące metrów? Dwadzieścia siedem tysięcy? Nic tak wysoko nie lata. Na wysokości dwudziestu siedmiu tysięcy metrów widzi się świetlistobiałe aureole nad duszami tych, co poszli do nieba. Ci, którzy go wtedy przesłuchiwali, byli z GRU, wywiadu wojskowego, i dotąd nie wydali jeszcze opinii na temat wiarygodności tych danych. Ale co mogli powiedzieć? Skoro chłopak nie rozróżniał liter, równie dobrze mógł nie rozróżniać liczb.

Alek usiadł w rozłożystym fotelu.

Sporo niebezpieczeństw przyłgnęło do tego szczuplutkiego Lee H. Oswalda, niewinnego chłopca, który dotarł do zewnętrznych kręgów Centrum, zmuszając mędrców do spekulacji. Czy Amerykanie śledzą jego postępy? Czy pozwoliliby, żeby wpadł w nasze ręce, wiedząc, że zna ważne tajemnice wojskowe? Kluczem jest Atsugi. Z Siódmego Departamentu Pierwszego Dyrektoriatu Głównego (Japonia, Indie etc.) wyciągnął meldunki Hanny Braunfels. W pewnym sensie już teraz posunęliśmy się z nim za daleko, zdradziliśmy za dużo metod. Niewykluczone, że mimo tych wszystkich testów i przesłuchań wiemy o nim mniej niż on o nas. A w Pentagonie tylko czekają, żeby zrobić mu pranie mózgu.

Alekowi płacono za to, że doprowadzał do szaleństwa sam siebie.

Badania potwierdziły jedno: że Lee nie nadaje się na agenta. Agent to samokontrola, odwaga, to siła woli. Tymczasem w głowie Lee ktoś grał w ping-ponga. Mimo to Alek go lubił, dlatego postanowił załatwić mu coś przyzwoitego. Koniecznie daleko od Moskwy. Gdzieś, gdzie nie ma zagranicznych dziennikarzy, gdzie nie będą mogli wykorzystać go do celów propagandowych. Da mu ładne mieszkanie, dobrze płatną pracę, zapewni czułe wsparcie w imieniu Czerwonego Krzyża – zachętę do pozostania w kraju. Miał wszelkie podstawy ku temu, by wierzyć, że z czasem Lee H. Oswald otrzyma rosyjskie obywatelstwo, że stanie się prawdziwym marksistą i zadowolonym z życia robotnikiem, że będzie chodził na wykłady i na zbiorową gimnastykę, że się dostosuje i znajdzie swoje miejsce w historii, geografii czy tam, gdzie tego miejsca szuka. Że wyrośnie na oddanego sprawie Oswaldowicza.

Mimo to doradzi utrzymanie obserwacji. Do odwołania, bez względu na to, dokąd go wyślą.

Lee nie był pewien, czy już z tym urzędnikiem nie rozmawiał. Było ich tak wielu, a wszyscy w takich samych ciemnych garniturach.

Urzędnik powiedział mu, że na obywatelstwo jeszcze za wcześnie. Że zamiast obywatelstwa dadzą mu dokumenty bezpaństwowca, zaświadczenie numer 311 479. Bardzo ładny papierek, chociaż nie obywatelstwo.

Powiedział mu również, że wysyłają go do Mińska. Wymówił tę nazwę z druzgoczącą wyrazistością, jakby boleśnie dzwoniły mu zęby.

Oswald pozwolił sobie na mały żart.

– To gdzieś na Syberii?

Urzędnik roześmiał się, uścisnął mu rękę, mocno poklepał go po plecach i wysłał na śnieg.

Czerwony Krzyż wręczył mu nazajutrz pięć tysięcy rubli, co omal nie zważyło go z nóg.

Dwa dni później świeżo ogolony Lee H. Oswald wyruszył pociągiem do Mińska. Siedem

godzin jazdy za Moskwą zdrzemnął się na drewnianej ławce, na której położył wypożyczony materac i poduszkę. Spał dwadzieścia minut, potem zjadł zapiekankę z mięsem i wypił herbatę. Nie pamiętał, żeby jakiś posiłek bardziej mu smakował. Za oknem ciągnęły się lasy, ciche i białe w rosyjskim zmierzchu.

2 lipca

David Ferrie jechał ramblerem na południe, mijając po drodze fabryki chemiczne z pióropuszem czerwonożółtych spalin nad kominami. Nieco dalej, na bagnach, stały na palach chatki poławiaczy ostrego, szeroko rozrzucone i jakby wystraszone. Wreszcie dotarł do miejsca zwanego Wading Point, wiejskiego azylu Carmine Latty. Minął znak „droga bez przejazdu”, znak „zakaz wstępu” pomachał trzem mężczyznom konferującym na trawniku i skręcił w drogę gruntową. W Wading Point zawsze ktoś z kimś konferował. W drzwiach budynku gospodarczego albo w ciasnym volkswagenie czyjegoś siostrzeńca na zrytej koleinami drodze. Zwykle było ich czterech, czterech roślących mężczyzn, pochłoniętych poważną rozmową.

Ta lekko przygarbiona postawa, te rytmiczne gesty, te zaciśnięte zęby, ten szacunek, ta typowa dla każdej grupy oszczędność, atmosfera oficjalnej wyłączności, te pochylone ku środkowi kręgi ciała.

Gestalt poważnej rozmowy – Ferrie dobrze to znał. Studiował korespondencyjnie psychologię, korespondował z włoskimi mistrzami. Było to na długo przed tym, jak ci z Eastern Airlines wyrzucili go z pracy za niemoralne czyny i kłamliwe oświadczenie na temat wykształcenia medycznego. Jakby tytuł naukowy mógł rozwiązać zagadkę Towarzysza Raka. Odebrali mu mundur raz na zawsze.

Skręcił w stronę podmokłej dolinki, gdzie Carmine lubił wypoczywać z chłopakami. Czterech z nich piekło barana na rożnie za chatą naruszoną zębem czasu do tego stopnia, że już dawno straciła swój wiejski urok i miała teraz pełno jaskółczych gniazd pod okapem. Zaparkował w cieniu i wszedł do środka. Na sofie, ze szklanką w rękę, siedział siwowłosy mężczyzna, jasnooki, żylasty i stareńki jak świat. Kruchy i pocętkowany starczymi plamami, wyglądał jak podstępny, wymizerowany książę z portretu. W jego obecności ogarniał go czasem pełen szacunku podziw, tak całkowity i skończony, że on, Ferrie, stawał się wtedy częścią jego świadomości i postrzegał wszystko jego oczyma, że odbierał to tak jak Carmine Latta, świat, ten pokój, dynamikę władzy. Dosłownie wszystko.

Carmine kontrolował automaty do gry. Carmine ściągał haracz od wszystkich prostytutek stąd aż po Bossier City, gdzie można było złapać trypra, oparłszy się o słup ulicznej latarni. Kontrolował kasyna, punkty przyjmowania zakładów, kontrolował handel narkotykami. Przed Fidelem należała do niego jedna trzecia kubańskich prochów. Teraz miał flotyllę kutrów do połowu krewetek, które dostarczały towar z Ameryki Środkowej. W sumie wyciągał z tego miliard dolarów rocznie. Miał motele, banki, szafy grające, automaty do sprzedaży napojów, stocznie, szyby naftowe, miał autobusy spacerowe. W jego łoży na wyścigach pili burbona stanowi oficjele. Powiadano, że we wrześniu 1960 roku dał Nixonowi pół miliona na kampanię wyborczą. To się nazywa kopertówka.

– Mój przyjaciel David W. Ferrie. Od czego jest to „W”?

– Od „wolę burbona” – odparł Ferrie.

Carmine roześmiał się i wskazał barek. Tym trzecim w pokoju był Tony Astorina, szofer, ochroniarz i dorywczy kurier, którego z nieznanymi powodów nazywano Klawiszem. Właśnie prowadzili ponurą rozmowę o prokuratorze generalnym. Ilekroć Carmine siadał, choćby tylko na dziesięć minut, natychmiast zaczynał mówić o Robercie Kennedym. Miał na jego punkcie obsesję. Czuł do niego urazę. Uraza ta momentalnie ożywała w jego oczach, była jak furia, lecz furia subtelna, wyrafinowana, starannie ukształtowana, i wyglądało to tak, jakby w tej starej,

pociągłej twarzy krył się jeszcze jeden misterny sekret czy surowe wyrachowanie.

– Chcę przez to powiedzieć – mówił Astorina – że korzenie tego wszystkiego tkwią na Kubie. Wystarczy się tylko rozejrzeć. Departament Sprawiedliwości, te ich naciski. Gdyby nasi chłopcy zdjęli Fidela, kiedy mieli go zdjąć, byłibyśmy w zupełnie innej sytuacji.

– To tylko pół prawdy – odparł Carmine. – Z odzyskaną Kubą mielibyśmy większą swobodę działania. Można by wykorzystać ją jako zawór bezpieczeństwa, do załagodzenia sytuacji tutaj, w Stanach. Ale co z tego, skoro nikt nie poświęcił Fidelowi uwagi. Nie byliśmy zbyt szczerzy.

Roześmiali się.

– Usunięcie Castro było marzeniem CIA. Ci z Florydy po prostu ich za sobą pociągnęli. Chcieli mieć z głowy prokuratorów. Zawsze mogli powiedzieć, że służą sprawie swojego kraju. I podziałało. CIA cały czas ich wspierała.

– Ciągle powtarzam, że wszystko zaczęło się od Kuby.

– Zgoda, ale my jesteśmy realistami. Nie robimy sztuczek z lustrami i podwójnym dnem. To nie w naszym stylu.

Ferrie nie zdziwił się, że rozmawiają o tych delikatnych sprawach w jego obecności. Robił dla Carmine rozeznanie w kwestiach prawniczych i sporo wiedział o jego majątku tudzież operacjach. Znał również odpowiedź na niektóre drażliwe pytania.

Dlaczego Carmine nienawidził Bobby'ego Kennedy'ego w sposób tak osobisty, tak bardzo, że aż słyhać to było w jego trzeszczącym z bostońska głosie?

Jest początek 1961 roku. Carmine wychodzi ze swego skromnego domu pod Nowym Orleanem i widzi, że śledzi go FBI. Śledzą jego samochód, jedzą lunch przy sąsiednim stoliku, fotografują go w drodze z biura i do biura, robią mu zdjęcie w kinie w Gretna. To początek wielkiej kampanii, początek inwigilacji totalnej, to rozkaz prokuratora generalnego. W marcu jadą z nim do Las Vegas, fotografują go w hotelach i kasynach, wracają z nim do Nowego Orleanu, biwakują przed jego domem, robią zdjęcia członkom jego rodziny, sąsiadom, listonoszowi, chłopakowi ze spożywczego. W kwietniu idą do kościoła z jego żoną i siostrzenicą, bawią się z jego prawnuczką w supermarkecie, filmują pogrzeb jego siostry. To jego osobista Zatoka Świń, która zbiega się w czasie z tą prawdziwą i bardziej znaną. Ale od czasu do czasu robi się głośno i o nim. Na jego ulicę przychodzą turyści, żeby popatrzeć, jak obserwuje go FBI. Tworzą się korki, dochodzi do utarczek z ochroniarzami. Trwa to prawie rok. FBI łazi za nim bezczelnie w dzień i w nocy. Systematycznie poniżają go na oczach rodziny, na oczach sąsiadów i współpracowników. Ten mały sukinsyn Bobby pociąga za wszystkie sznurki.

– CIA wymyśla jedną egzotyczną truciznę po drugiej – powiedział Carmine. – Wszystkie kończą w kiblach południowej Florydy.

– Ale jeśli chcemy wykończyć Castro...

– Tu chodzi o jedno: czy to wykonalne, czy nie. Inaczej to głupiego robota i my się na nią nie piszemy. – Spojrzał na swoją szklanę. – Jest jeszcze inna teoria, która wyjaśnia, dlaczego Castro wciąż żyje. Dogadał się z nim jeden z naszych, z Florydy.

Astorina stał przy ścianie po drugiej stronie pokoju. Ferrie widział w nim resztki dawnej świetności. Tony należał do tych znerwicowanych, elegancko ubranych facetów, którzy budzą się w wieku czterdziestu lat i stwierdzają, że ich uroda mocno przywiedła, że mają żonę, troje dzieci i chorą wątrobę, że ich młodzieńczy urok i szczęście zginęły między fałdami tłuszczu. Przebił się na szczyt z samego dołu, z sali gier na hawańskiej riwierze. I żeby stanąć tu, gdzie stał teraz, na pewno pozostawił za sobą kilka trupów.

– A propos Kuby – powiedział. – Dwa tygodnie temu śniło mi się, że jestem na dachu Capri i pływam w basenie z Jackiem Rubym. Nazajutrz idę sobie Bourbon Street i kogo, kurwa, widzę? I mówić tu o przypadkach!

– Nie wiemy, jak to nazwać, więc nazywamy to przypadkiem – wtrącił Ferrie. – Sprawa sięga głębiej. Jesteś hazardzistą. Masz przecucie co do jakiegoś konia, jakiegoś rozdania. I wygrywasz. Rządzi tym ukryta zasada. W każdym procesie tkwi jego wynik. I czasem udaje nam się ten wynik przewidzieć. Widzimy go, znamy. Ja też wpadam czasem na Ruby’ego. Co on robił w Nowym Orleanie?

– Zakupy dla tancerek. Ślini się na widok takiej jednej z Sho-Bar.

– Kiedyś rozrzucałem ulotki z samolotu nad Keys. Zaraz po tym, jak Castro doszedł do władzy. I parę razy widziałem go w Miami.

– Zrobił tam sobie krótki postój.

– Woził forszę, broń albo jeszcze coś innego.

– Wykupywał ludzi z kubańskich więzień.

Ferrie pił whisky z wodą, tak samo jak Carmine. I uważnie go obserwował. Jednocześnie potrzasał szklankami, grzechocząc kostkami lodu. Carmine miał smukłe, długie dłonie. I kępki śnieżnobiałych włosów w uszach. Zza okna dolatywał zapach piekącego się barana.

– Pamiętam – powiedział Tony Klawisz – jakieś sześć, siedem miesięcy temu widziałem w czasopiśmie zdjęcie. Działo przeciwlotnicze na kubańskiej riwierze. Okopane na środku ulicy. Dużo się tam od naszych czasów zmieniło. Kurczę, całe miasto do oskubania, jak krzak porzeczek.

– Cały kraj – dodał Carmine.

– Kurwa, w Hawanie było wtedy jak w raj. Złote listki na ścianach kasyna. Piękne. Piękne żyrandole, kobiety w brylantach i norkach. Krupierzy w smokingach. Gości witali kamerdynerzy, też w smokingach. Dwadzieścia pięć tysięcy za licencję na prowadzenie kasyna, jak za darmo, i dwadzieścia procent zysków. Batista dostawał swoją kopertę i wszyscy byli zadowoleni. Kubańczycy kręcili kołem. My obstawialiśmy blackjacka i crapsa. A te, jak im tam, te brokaty, te zasłony, kurwa! Gdzie tu znajdziesz kasyno z krupierami w smokingach? No i w mieście coś się działo. Walki kogutów, *jai alai*. Na wyścigach grało się w ruletę w przerwach między biegami. Gdzie się to wszystko podziało?

– Kennedy powinien był to rozpirzyć, kiedy była okazja – powiedział Ferrie.

– Rozpirzysz Kubę, ściągniesz sobie na łeb Ruskich.

– Przygotowałem już nawet gumową pościel. Wieczność z zupą w puszcze. Podoba mi się pomysł mieszkania w schronie. Idziesz do lasu i kopiesz latrynę. System kanalizacyjny jest rodzajem państwa dobrobytu. Państwowym kanałem do morza. Chciałbym, żeby ludzie byli niezależni. Żeby kopali latryny w lesie, na milionach podwórek. Każdy byłby odpowiedzialny za własne gówno.

Carmine zakołysał się na sofie. Zagrzechotały kostki lodu. Ferrie wiedział, że może go rozbawić, kiedy tylko zechce. Zawsze potrafił wyczuć moment, zawsze umiał go podejść. A to dlatego, że postrzegał świat tak samo jak on.

– Muszę powiedzieć jedno – rzucił Tony. – Nie mam nic do prezydenta. To ten sukinsyn Bobby przegina. Dobra, rozumiem. Oni mają swoją robotę, my swoją. Ale on traktuje to jak sprawę osobistą, on przekracza granicę.

– Obydwał ją przekroczyli – odparł Carmine. – Prezydent też, kiedy rozpuścił wiadomość, że chce zlikwidować Castro. Coś wam powiem.

– No?

– Powiem wam coś, o czym zawsze powinniście pamiętać. Jeśli ktoś załazi wam za skórę, załazi, załazi i załazi, jeśli jest to ktoś ambitny, żądny nowej władzy, trzeba od razu zaatakować samą górę.

– To znaczy: załatwić sprawę na najwyższym szczeblu.

- Bo właśnie tam wszystko wymyka im się z rąk.
- Innymi słowy, pominąć niższe.
- Oczyszczyć ten najwyższy.
- Obetniesz łeb, ogon przestaje merdać.

Ferrie uwielbiał przysłowia. Uwielbiał tonąć w aurze drugiego człowieka. Potężna aura, taka jak na przykład Carmine, to stan przebudzenia. Carmine był jak król z bajki: spojrzy na kogoś i odmienia jego życie; powie jedno słowo i odmienia czyjeś życie. Opierając się na wojującym antykomunizmie, Ferrie opracował nową teologię. Był kiedyś mistrzem hipnotyzmu. Uczył się języków, studiował teorie polityczne, doskonale znał się na chorobach, był wykwalifikowanym pilotem. Ale wszystko to bladło w obecności człowieka takiego jak Carmine Latta.

Carmine utrzymywał dywizję prawników gotowych wydać miliony na zablokowanie nieustannych ataków rządu. Miał do dyspozycji specjalistów od defraudacji, od przeszkadzania wymiarowi sprawiedliwości, od tysięcy upierdliwych szczegółów. Na jego polecenie Ferrie badał możliwości zastawów podatkowych. Tłumaczyli się za niego wysocy urzędnicy stanowi i prezesi banków. Carmine i jego chłopcy byli największymi biznesmenami w stanie. Carmine miał towarzystwa finansowe, stacje benzynowe, bary, restauracje, osiedla mieszkaniowe, flotylle taksówek i ciężarówek. Miał człowieka, który prał jego pieniądze w pachnącym płynie do zmywania naczyń, żeby zabić wszystkie zarazki.

Weszli w korytarz z szeregiem drzwi do skromnie urządzonej pokojów, Ferrie i Tony. Na podłodze ostatniego z pomieszczeń stała wysoka zasznurowana torba. Widać było na niej kanciaste wybrzuszenia. Pliki banknotów, dar Carmine dla sprawy. Guy Banister zawsze pilnował, żeby przywódcy uchodźców wiedzieli, od kogo dostają pieniądze na broń i amunicję. Tym sposobem Latta chciał zapewnić sobie koncesję na hazard po upadku Fidela.

Wróciwszy do saloniku, Ferrie powiedział:

- Zawiozę to prosto na Camp Street. Będą bardzo zadowoleni, bardzo wdzięczni. Wszyscy, od najwyższego do najniższego szczebla.
- Oby ten dzień nadszedł jak najszybciej – odrzekł cicho Carmine. – Chcemy tylko odebrać im to, co nasze.

Ferrie uważał, że Latta ma w sobie coś z geniusza. Urodził się w połowie lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku jako syn Włocha i Persyjki, na morzu, pod znakiem Byka. To potężna mieszanina żywiołów. Ferrie podziwiał ludzi spod znaku Byka. Byli hojni, wierni, tolerancyjni i mieli zadatki na królów.

Zaniósł torbę do samochodu. Pomachał ochroniarzom i wjechał na główną drogę. Astrologia jest językiem nocnego nieba, nauką badającą aspekt i położenie gwiazd, prawdą na obrzeżu ludzkich spraw.

Raymo zwinął chustę i zawiązał ją na szyi owczarka niemieckiego. Co za koszmarny upał! Miał pokój w małym, ozdobionym stiukami i najeżonym antenami domu. Niedaleko kamienicy przy Siódmej Północno-Zachodniej, gdzie podczas pobytu w Miami mieszkał Castro, który przyjechał tu zbierać fundusze i werbować rewolucjonistów.

Pogłaskał psa, szepnął mu coś do jedwabistego ucha. Potem zapiął smycz i wyszedł na schody.

Ruszył na południe, w stronę Calle Ocho, głównej ulicy Małej Hawany. Do płotów podbiegały psy, żeby poszperać na Kapitana. Mnóstwo złych psów, mnóstwo samochodów z bogato zdobionymi maskami, jedynymi rzeczami, na które warto było oszczędzać. Mnóstwo starych, wrosniętych w asfalt wozów. I kundli, które pędziły wzdłuż płotów, ujadając w jaskrawym upale. Kapitan szedł przed siebie, stary i wyniosły.

Raymo skręcił w lewo, w Calle Ocho. Minął kilka sklepów jubilerskich i kilka piekarni z różowo-białymi tortami ślubnymi w każdym oknie. W małym narożnym parku tłoczyło się stu mężczyzn, grając w karty i domino. Miał dużo czasu. Kupił trochę owoców. Co pół przecznicy przystawał, żeby zamienić z kimś kilka słów. Na ulicy panował spory ruch. Stojący grupkami mężczyźni, chodzące po sklepach kobiety. I jak tu w tej do cna kubańskiej dzielnicy wykryć szpiclów Fidela?

Wayne Elko snuł się pod karłowatymi palmami na Flager Street. Był w białych od morskiej soli spadochroniarskich butach i miał ochotę na piwo Schlitz. Kiepski pomysł, Wayne. Od prawie dwóch tygodni włóczył się po Florydzie, szukając T-Jaya. Jako niewykwalifikowany robotnik i naganiacz przez trzy dni pracował w wesołym miasteczku Jerry'ego Lepke. Mieli tam pudło z mieczami, drabinę z mieczy, połykacza ognia, dwugłowe dziecko i kobietę-węża z aparatem korekcyjnym na zębach. Zadzwoił do kilkunastu znajomych z ruchu. W końcu przysłali mu wiadomość do salonu samochodowego Elliot Berstein Chevrolet w Miami, gdzie zastępca kierownika, antycastrowski partyzant, pozwolił mu spać w starej impali.

Nie spóźnij się, Wayne. Na Calle Ocho dostrzegł człowieka, którego szukał. Ramon Benitez. Stał na rogu ze starym psem. Wayne znał go z dawnych czasów, kiedy to pod okiem sennych dzieci uchodźcy ćwiczyli musztrę na trawnikach przed domami.

Uścisnęli sobie ręce i tak dalej.

Wayne pomyślał: twardy *hombre* z niego. Ruszyli przed siebie. Kubańskie domy zaczynały ustępować tu miejsca podmiejskim budynkom w stylu amerykańskim. Małym, słonecznym domkom na trawniku jak z pocztówki. Półtorej ulicy dalej weszli do jednego z nich, piętrowego. Gdzieś w głębi grało radio. Weszli, wyszli bocznymi drzwiami i usiedli przy drewnianym stole na małym betonowym patio z figurą świętej Barbary pośrodku.

– To dom Franka – wyjaśnił Raymo.

Włochate ramiona. Jeden z tych krępych, napakowanych typów, do których nie dotrzesz zwykłą perswazją. Myśli tylko o dwóch czy trzech rzeczach i ma swoje zdanie na temat każdej z nich. Wayne nie wiedział, kim jest Frank.

– A więc ciągle coś się dzieje – powiedział. – Mam znajomka w salonie Chevroleta. Robi bomby napalmowe w piwnicy, z benzyny i szamponu dla dzieci. Śpię w samochodzie na ich parkingu. Jako nieoficjalny stróż.

– T-Jay chce, żebyś pobył tu parę dni.

– Szukałem go.

– Jest bardzo zajęty – odparł bez przekonania Raymo.

Pies leżał, dysząc, w cieniu.

Frank Vásquez przyszedł z żoną, dwojgiem dzieci i jakimś jedzeniem. Żona i dzieci przyglądały się ukradkiem gościowi. Wayne czekał, aż ktoś z nich powie: *Mi casa es suya*. Był wyrobiony towarzysko, jak ci ze Starego Świata. Ale oni wślizgnęli się chyłkiem do domu i jego uśmiech zawisł w powietrzu jak szmata na kiju.

Jedli we trzech w południowym upale, wśród brzęczenia owadów. Wayne nie mógł ich rozgryźć, wyczytać z nich niczego konkretnego. Ale im mniej mówili, tym bardziej było oczywiste, że kroi się coś dużego kalibru. Posiłek upływał w atmosferze tak wielkiej powagi, przesyconej latynoską surowością zachowań i taktem, że od razu się domyślił, iż nie chodzi o zwykły wypad na kubańskie wybrzeże, gdzie tyle razy bywał z komandosami z pensjonatu.

Opowiedział im o akcjach, w których uczestniczył. Cudowny burdel. Te szkwały, te kubańskie kanonierki, te policyjne motorówki. I T-Jay, nie wiadomo skąd; nie wiedzieli nawet, czy jest z Agencji, czy nie. Przyjechał nauczyć ich strzelać i walczyć nocą. A potrzebowali wtedy każdego wsparcia, nawet najmniejszego.

Po szkoleniu w Interpenie Wayne wciąż żył szaleńczym, rozwrzeszczanym tempem dawnych dni. Podsumowywał młodość. Ale wszystko wskazywało na to, że ta sprawa jest zupełnie inna. Że to coś mrocznego i poważnego. Wystarczyło spojrzeć na Franka Vásqueza. Te smutne oczy, ta smętna mina, ta powaga. Miał mało do powiedzenia, nie licząc wspomnień o cierpieniach jego rodziny, które streścił krótko i oschle, jak film dokumentalny z wojny sprzed stu lat.

I nagle Wayne pomyślał – olśnienie przyszło z błyskiem i hukiem – że wszystko to razem do złudzenia przypomina *Siedmiu samurajów*. Film, w którym wieśniacy werbują niezależnych wojowników do niebezpiecznej misji. W którym banici ratują bezbronnych. Wymachując tymi mieczami z rękojeścią na dwie ręce.

Win Everett siedział w gabinecie na opustoszałym kampusie Teksaskiego Uniwersytetu dla Kobiet. Na dworze świeciło słońce i panował upał, dlatego cieszył się, że może korzystać z tego mrocznego, podziemnego ustronia. Tu mógł cierpliwie pracować nad swoim rozgoryczeniem, doskonaląc je i dopieszczając. Wracał do tego co jakiś czas jak do jakiejś legendy z młodości, jak do złotych chwil na boisku futbolowym czy na zamrzniętym stawie, do czegoś o proporcjach tak doskonałych, że mógł o tym zapomnieć tylko kosztem odczucia bolesnej straty.

Przychodził tu, ilekroć Mary Frances i Suzanne nie było w domu. W sumie nie przeszkadzało mu, że jest sam. Miejsce to doskonale nadawało się do siedzenia i myślenia, do poszukiwania posępnej sprawiedliwości we wspomnieniach o tym, co mu zrobili – do destylowania i cyzelowania, do wyostrowania poczucia przeszłości. Jarzeniówki buczały i mrugały. Zrobiło się ciepło, więc zdjął marynarkę, starannie złożył ją wzdłuż, potem na pół i rzucił delikatnie na szafkę.

Nie można było dłużej przymykać oczu na fakt, że Lee Oswald funkcjonował niezależnie od struktur ich spisku.

T-Jay otworzył wytrychem zamek w drzwiach mieszkania przy Magazine Street 4907 w Nowym Orleanie. Stało się to konieczne, gdy stwierdził, że w agencji Guya Banistera nie ma próbek jego pisma. Akta Oswalda zawierały tylko jeden dokument, formularz podania o pracę, wypełniony drukowanymi literami i niepodpisany.

Lee H. Oswald istniał naprawdę, i to jeszcze jak. To, czego Mackey dowiedział się o nim podczas krótkiej wizyty w jego mieszkaniu, sprawiło, że Everett stracił grunt pod nogami. Że ogarnęła go dziwna panika, że mignął mu przed oczyma fragment fikcji, którą sam stworzył, fikcji przedwcześnie ożywionej.

O broni już wiedział. Mackey potwierdził, że Oswald ma rewolwer, trzydziestkęósemkę. I karabin z celownikiem optycznym.

O ulotkach też wiedział. Oswald rozdawał je na ulicy. „Ręce precz od Kuby!”

Była tam również jego korespondencja z przewodniczącym Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą.

Wszędzie wałała się socjalistyczna literatura. Przemówienia Fidela Castro. Broszurka z jego słowami na okładce: „Rewolucja musi być szkołą nieskrępowanej myśli”. Egzemplarze „Militanta” i „Workera” Broszurka zatytułowana *Amerykańska rewolucja. Ideologia i rewolucja* Jeana Paula Sartre’a. Książki i pamflety po rosyjsku. Karty tekturowe – pomoc dydaktyczna – z rosyjskimi literami. Album ze znaczkami. I ręcznie spisany dwunastostronicowy Dziennik Historyczny.

Były też listy od działaczy Socjalistycznej Partii Robotniczej.

Powieść *Idiota* po rosyjsku.

Pamflet *Zbrodnie przeciw Kubie*. Na wewnętrznej stronie okładki Mackey znalazł stempel z adresem: Camp Street 544.

Była karta powołania na nazwisko Lee H. Oswald. Świadczenie szczepienia z pieczęcią doktora A.J. Hideela. I zaświadczenie o odbyciu służby wojskowej w amerykańskiej piechocie morskiej na nazwisko Aleka Jamesa Hidella.

Były formularze podpisane takimi nazwiskami jak Osborne, Leslie Oswald i Aleksiej Oswald.

Była legitymacja członkowska Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą, wystawiona przez sekcję nowoorleańską. Lee H. Oswald był członkiem. A.J. Hidell przewodniczącym. Mackey twierdził, że podpisy się różniły.

Na ścianie wisiało przyklejone taśmą zdjęcie Fidela, wycięte z jakiegoś czasopisma.

No i wreszcie sam pokój. Większość tych rzeczy Mackey znalazł w przylegającym do niego składziku, małym, ciemnym, zapuszczonym, pełnym desperacji i karaluchów paradujących po listwach przypodłogowych. Była to idealna kryjówka dla zamachowca.

Everett chciał tylko próbki pisma, jakiegoś zdjęcia. Mając próbkę i zdjęcie, mógłby ruszyć z ilustrowaną historią obiektu, zaczynając od fałszywego nazwiska. Nie mógł się już doczekać, kiedy je wymyśli, odpowiednie nazwisko, tylko nazwisko, słowną fakturę czasu, jaki wędrowiec spędził na tej ziemi.

Ale Oswald już nazwiska miał. Swoje własne. Różne. Miał fałszywe dokumenty. W takim razie po co on, Everett, bawił się w piwnicy nożyczkami i klejem? Oswald stosował własne metody kopiowania, używał własnych narzędzi. Aparatu fotograficznego, matowego barwnika, retuszowanych negatywów, maszyny do pisania i gumowych stempli. Tak powiedział mu Mackey.

Mówił też, że to partanina. Ale Everett nie zamierzał obarczać Oswalda winą za błędy techniczne (Hidell, Hideel). Problem był znacznie głębszy. Po co mu to wszystko było, te podrobione dokumenty i ten minox na dnie szafy?

Podniósł na chwilę ręce, żeby koszula odkleiła się od wilgotnej skóry. Poszukał papierosów. Zdawało się, że ostatnio poświęca więcej czasu na pytania niż na działanie, że jeszcze więcej niż pytań jest w tych dniach rozgoryczenia. A z rozgoryczeniem jest tak, że można nad nim popracować, wydestylować z niego gniew i urazę. Doświadczenie to tchnie obietnicą doskonałości.

Lansjer wrócił z Berlina.

Wszystko sprowadzało się do czystej urazy, do tego dłubania i cyzelowania. Do tego, jak bardzo stłamsili jego poczucie wartości własnej. Do kwestii pomiaru. Do kwestii tego, co mu zrobili. Do siedzenia w tym gabinecie i podsycania gniewu.

Ostatnią rzeczą, jaką zauważył Mackey przed wyjściem z mieszkania, była powieść z Jamesem Bondem, leżąca na stoliku przy drzwiach.

Nicholas Branch ma niepublikowane dokumenty państwowe, wyniki badań na wariografie, zapisy rozmów z policyjnego radia z 22 listopada. Ma retuszowane zdjęcia, plany domów, amatorskie filmy, biografie, bibliografie, listy, plotki, miraże i sny. To gabinet snów, gabinet, w którym dopiero po wielu latach zrozumiał, że tematem jego analiz nie jest polityka ani zbrodnia, tylko ludzie z małych pokojów.

Czy teraz on też do nich należy? Sfrustrowany, zaklinowany, poszukujący wyjścia, czegoś, co połączyłoby go ze światem zewnętrznym. Po Oswaldzie Amerykanie nie muszą już żyć w cichej desperacji. Występujesz o kartę kredytową, kupujesz pistolet, przejeżdżasz przez miasto, przez przedmieścia, chodzisz po wielkich centrach handlowych i anonimowy, zupełnie anonimowy, szukasz okazji do strzału w pierwszą pustą, nalaną gębę, jaką spotkasz, i strzelasz tylko po to, by uprzytomnić ludziom, że jest tu ktoś, kto czyta gazety.

Branch utknął na dobre. Porzucił swoje życie, żeby zrozumieć tę jedną jedyną chwilę w

Dallas, te siedem sekund, które przetrąciły kręgosłup amerykańskiemu stuleciu. Ma wyniki badań patologicznych, wyniki analizy neutronowej. Ma oczywiście raport komisji Warrena, dwadzieścia sześć tomów zeznań i dowodów rzeczowych, miliony słów. Powieść gigant, którą napisałby James Joyce, gdyby tylko przeniósł się do Iowa City i dożył stu lat.

Jest tu wszystko. Świadczenia chrztu, cenzurki szkolne, pocztówki, pozwy rozwodowe, unieważnione czeki, karty kontroli, zwroty podatku, spisy nieruchomości, pooperacyjne prześwietlenia, zdjęcia sznurka z supłami, tysiące stron zeznań, głosy pobrzmiwające w starych gmachach sądowych, cały ten niewiarygodnie wielki zbiór ludzkich wypowiedzi. Zabłąkany w składni i gramatyce, leży na kartkach tak płasko, wisi w powietrzu tak nieruchomo, że jest jak rozbrzygz umysłu, jak poezja ludzkiego życia, zabłoconego i ociekającego słowami.

Dokumenty. Jest tu karta dentystyczna matki Jacka Ruby'ego z 15 stycznia 1938 roku. Jest zdjęcie trzech włosów łonowych Lee H. Oswalda. W innym miejscu raportu (u Warrena wszystko jest w innym miejscu) zamieszczono ich szczegółowy opis. Łuski są średniej wielkości. Nasada wolna od barwnika.

Branch nie wie, jak do tego podejść. Chce wierzyć, że te włosy są ważne. Rzeczą niezwykle istotną dla jego obsesyjnego poczucia odpowiedzialności jest to, że wszystko w tym pokoju wymaga starannego przeanalizowania. Że wszystko tu przynależy, wszystko do siebie pasuje, mamrotanie świadków, zdjęcia nierozpoznawalnych dokumentów, żalosne rzeczy osobiste, rzeczy zebrane tuż przed śmiercią: stare buty, góra od pizamy, listy z Rosji. Wszystko to razem tworzy jedną całość, zrujnowane miasto błahostek, gdzie ludzie odczuwają prawdziwy ból. Pamiętajcie, że jest to Joyce'owska Księga Ameryki, powieść, w której niczego nie pominięto.

Raport Warrena ma tyle wad, że Branch już dawno o nim zapomniał. Tymczasem jest to dokument bolesnych przeżyć i chaosu, zbyt ważny, by go wyszydzić czy zignorować. Prześladuje go te dwadzieścia sześć tomów. Mężczyźni i kobiety wypływają w notatkach służbowych FBI, wędrują przez kilkanaście stron, a potem znikają: kelnerki, prostytutki, ludzie, którzy potrafią czytać w cudzych myślach, kierownicy moteli, właściciele strzelnic. Ich historie wiszą w powietrzu, krótkie, na swój sposób doskonale, niedokończone.

RICHARD RHOADS i JAMES WOODARD upili się wieczorem i WOODARD powiedział, że on i JACK będą przerzucali broń na Kubę. JAMES WOODARD miał strzelbę i karabin, być może i pistolet. DOLORES oświadczyła, że nie widziała u JACKA broni. Dodała, że miał w garażu kilka pudeł i kufrów, jednak ISABEL zeznała, że w pudełach tych i kufrach były jej futra, które ze względu na dużą wilgotność zniszczyła pleśń.

Zdjęcia. Wiele zepsutych, prześwietlonych, wyblakłych ze starości i, wbrew oszczędnyemu podpisom, zamazanych i jakby poruszonych, chociaż fotografowane obiekty były stabilne i zupełnie zwyczajne. „Karnisze znalezione na półce w garażu Ruth Paine”. No i proszę, są karnisze. Ni mniej, ni więcej, tylko karnisze. Jednakże Branch czuje, że w zdjęciach tych tkwi jakiś dziwny żal. Dlaczego tak bardzo go niepokoją, dlaczego napęniają go smutkiem? Nijakie, wyblakłe, sprane czasem, zawieszane w rozbitej na szczegóły kwintesencji tej czy innej epoki, niczego nietłumaczące, niczego niewyjaśniające i samotne. Czy zdjęcie może być samotne?

Ten smutek przykuwa go do fotela, ten smutek każe mu wytrzeszczać oczy. Czuje atmosferę tych wszystkich pustych miejsc, po raz kolejny powraca do zdjęć stołówki na pierwszym piętrze Teksaskiej Składnicy Książek. Pokoje, garaże, ulice, które opróżniono, żeby zrobić oficjalne zdjęcia. Teraz tkwią w zdjęciowym niebycie i już nigdy się nie zapełnią. Banister czuje obecność dusz tych, którzy byli tam i odeszli. Czuje smutek w przedmiotach, w magazynowych kartonach i w zakrwawionym ubraniu. Oddycha samotnością. Czuje obecność zmarłych w pokoju.

W czerwcu 1964 roku W. Guy Banister, były agent FBI, specjalista od antykomunistycznego

wywiadu, zostaje znaleziony martwy w swoim nowoorleańskim mieszkaniu. W szufladzie stolika nocnego leży magnum 375 z jego monogramem. Stwierdzono atak serca.

W sierpniu 1966 przed supermarketem El Mundo Bestway przy West Flager Street w Miami znaleziono Franka Vásqueza. Zginął od trzech strzałów w głowę. Policyjne raporty wspominają o niesnaskach między lokalnymi antycastrowskimi frakcjami. I o kłótni w klubie wcześniej tego samego wieczoru. Nikogo nie aresztowano.

Dziesięć lat później, dokładnie co do dnia i też w Miami, policja znajduje rozkładające się zwłoki Filippa Sacco *alias* Johna Rosellego, postaci ze świata przestępczego, człowieka, który zeznawał przed komisją senacką badającą próby zamachu na Fidela Castro, organizowane wspólnie przez CIA i mafię. Jego ciało pływa w beczce po oleju w wodach Dumbfoundling Bay. Ma obcięte nogi. Nikogo nie aresztowano.

Branch siedzi i patrzy.

Agencja wypłaca mu emeryturę zgodnie z tabelą i okresowo zwiększa jej wysokość ze względu na rosnące koszty utrzymania. Zapłacili za tę dobudówkę, za ten pokój, za pokój dokumentów i wyblakłych fotografii. Zapłacili za zabezpieczenie przeciwpożarowe. Za komputer, którego używa do przeglądania danych. Branch czuje się zakłopotany, przedstawiając im zestawienia kosztów własnych, i często je zaniża.

Większość posiłków jada tutaj, robiąc miejsce na biurku, czytając podczas jedzenia. Zasypia w fotelu, budzi się gwałtownie i przez chwilę boi się poruszyć. Wszędzie papier.

Wczesnym wieczorem siedzieli na trybunach, patrząc, jak kilku starszych panów gra w softball. Panowie byli w białych koszulkach z krótkimi rękawami, długich białych spodniach, czarnych muszkach, czapczkach baseballowych i w białych sportowych butach. Raymowi najbardziej podobały się muszki. Uważał, że są fantastyczne, że to taki doskonały amerykański akcent.

Frank siedział rząd wyżej i trochę z boku, pijąc oranżadę.

– Ciągle myślę o górach – powiedział.

– Ciągle o górach. Popatrz lepiej na tego na pierwszej bazie. Dają głowę, że facet ma siedemdziesiąt pięć lat. I wciąż potrafi niezłe zatańczyć.

Ale Raymo też myślał o górach. Był z Castro w Ruchu 26 Lipca, w tej armii wygłodzonych brodaczy. Fidel był wtedy magiczną postacią. Nie ulegało wątpliwości, że biła z niego jakaś siła czy charyzma. Wysoki, silny, długowłose, obrośnięty brudem, mieszał teorię z wulgarną gadką, wszystko wyjaśniał, wszędzie był, rozmawiał z żołnierzami, wieśniakami, a nawet z dziećmi. Rewolucja stała się dzięki niemu czymś, co poczuli całym ciałem. Ta idea, te świszczące słowa, to pulsowanie zmysłów. Był jak Chrystus w wojskowych buciorach: głosił kazania, dokądkolwiek pojechał, a swoje prawdziwe nazwisko zdradził *campesinos* dopiero w najbardziej krytycznym i dramatycznym momencie.

– Było koszmarnie – powiedział Frank. – Te choroby, ten głód, ten deszcz. Ale i dlatego, że nie byłem pewien, czemu to robię. Kiedy pomyślę o górach, przypominam sobie głównie to, że w głowie miałem sieczkę. Ciągnęło mnie w dwie strony naraz. Ciężko mi było.

Mówił szczerze. Zawsze był trochę *gusano* i ukradkiem podziwiał Batistę. Teraz wszyscy oni byli *gusanos*, antycastrowskimi gnidami, jak powiedzieliby komuniści. Ale Frank zawsze był na wpół gnidą, na wpół *batistiano*, nawet kiedy walczył u boku Fidela.

Castro lubił wspominać pierwsze dni powstania, dni, kiedy jeszcze nie było z nimi Franka i Rayma. Sierra Maestra: dwunastu ludzi i jednaście karabinów. Dzisiaj Raymo wiedział, że to nie tylko Ruch 26 Lipca obalił reżim. Że od pierwszych chwil Fidel wciskał im kit o rewolucji, żeby szybciej przejąć władzę, żeby zostać przywódcą totalnym.

Stojący na trzeciej bazie džentelmen przykucnął i pochylił się z szeroko rozłożonymi ramionami. Pałkarz posłał piłkę na lewe przedpole i jego kumple aż powstawali z miejsc. Słońce skryło się w gąszczu palm za ogrodzeniem po prawej stronie boiska.

- Teraz myślę o górach częściej niż kiedyś – rzucił Frank.
- Boś głupi.
- Ale o inwazji nie myślę.
- Kto by chciał myśleć o jednym czy drugim? Poza tym wasz desantowiec poszedł na dno.
- Osiadł na mieliźnie. Mimo to nie straciliśmy ducha.
- Głupi do samego końca. Widziałem z plaży, jak rufa idzie pod wodę.
- Ale ciągle mieliśmy nadzieję.
- Nic dziwnego, że myślisz o górach. W górach zwyciężaliśmy.

Frank podał mu butelkę z paroma łykami oranżady. Starsi panowie wybijali piłkę z drugiej bazy, poważniejsi, bardziej skupieni niż młodzi chłopcy, w wieku siedemdziesięciu pięciu lat wciąż mechanicznie poprawni, no i w muszkach. Opowiadając o przebiegu tej czy innej operacji, Fidel zawsze używał baseballowego języka. Weźmiemy ich w kleszcze. Odetniemy ich. Zeszli na dół i ruszyli w stronę samochodu. Kapitan leżał wyciągnięty na tylnym siedzeniu jak kradzione futro.

Raymo odwiózł kumpla do domu. Frank cały czas myśli o górach. No pewnie. Siedział tam dwadzieścia trzy dni. Przez dwadzieścia trzy dni jęczał, a kiedy skończył odmawiać litanię skarg, wrócił do szkoły, żeby dalej uczyć. Uczyć dzieci mężczyzn, którzy ścinał trzcinę dla cukrowych bossów, dzieci, które czyściły i pakowały ją za darmo.

Raymo mieszkał między Miami River i stadionem Orange Bowl. Zaparkował, zaprowadził psa do hydrantu, wszedł do domu. Koszmarny upał. Pierwszą rzeczą, jaką usłyszał, był jęk mostu na Dwunastej Północno-Zachodniej. Odgłos nieco donośniejszy niż naturalne odgłosy świata, odgłos, jaki wydaje ktoś, kto myśli samotnie w pokoju.

Reżimowi żołnierze bali się gór. Góry oznaczały dla nich śmierć. Ale on nie umarłby tam nawet za sto lat, nie było szans.

W górach był nietykalny, tłusty i śmierdzący, nawet podczas ostatniej ofensywy, kiedy ziemię i powietrze paliły fale napalmu. W duchu wszyscy byli nietykalni. Przecież o to chodziło.

Leżał na łóżku i myślał.

Marsz na Hawanę trwał coś około pięciu dni. Powitano ich z podziwem, na jaki zasługują bohaterowie książek. Oczyszczyć kraj, takie niosło się hasło. Widział kilka egzekucji. Egzekucji gwałcicieli, reżimowych oprawców, tych, którzy wbijali ludziom gwoździe w głowę. Proszono ich grzecznie, żeby stanęli na brzegu głębokiego do kolan dołu. Kończyli różnie. Na boku, na plecach, z wyrzuconą w bok ręką, z ręką podwiniętą, ale śmierć zawsze ich zaskakiwała, zawsze umierali głęboko zadziwieni.

Potem przyszli komuniści. Pojawili się w związkach zawodowych i wiejskich komitetach. Castro ich zalegalizował. Stojące w kontenerach migi czekały, aż kubańscy piloci nauczą się nimi latać. Myślcie kolektywnie! – nawoływano. Jednostka musi zniknąć.

Castro mówił o jednej rewolucji, dał nam drugą. Niektóre dziedziny były zarezerwowane wyłącznie dla innych i Kubańczycy nie mieli tam wstępu. Gdziekolwiek się spojrzęło, wszędzie kręcili się ruscy i czescy technicy i ekipy ruskich inżynierów budowlanych. W nocy na szosie studenci przeciwni nowemu reżimowi widzieli wielkie ciężarówki z długimi obiektami na przyczepach, obiektami przykrytymi brezentem, takimi określonego kształtu. Zgryźliwie żartowano, że ktoś handluje palmami na czarnym rynku. Obiektami pod brezentem były sowieckie rakiety SA-2, pierwsze, które dotarły na Kubę, żeby bronić kubańskiego nieba przed latającymi na dużej wysokości samolotami szpiegowskimi.

Raymo siedział wtedy w więzieniu La Cabana, on, weteran Zatoki Świń. Tak, tak, nasz brodaty bohater jest zwykłą gnidą. Dziedziniec otaczały stare składziki, magazyny i galerie ze skrzyżowanymi lufami armat na sklepieniu. Urządzono tam cele. Dzielił jedną z nich z byłymi partyzantami Fidela, oficerami Batisty, z robotnikami, radykałami, związkowcami, przywódcami studenckimi, z ludźmi, których kiedyś torturował stary reżim, a których teraz torturował nowy. Wprost doskonała kubańska mieszanka. Czekał, aż wyciągnie go stamtąd John. F. Kennedy.

Bywało, że jednej nocy słyszeli odgłosy dziesięciu egzekucji. Raz widział szczupłego mężczyznę, który w świetle reflektora stał przed workami z piaskiem. Był w białych butach, czarnej koszuli i teksańskiej krawatce, a na głowie miał ładną panamę. Tak się spieszyli, żeby go rozstrzelać, że nie dali mu nawet więziennych drelichów, nie wspominając już o tym, że zapomnieli go przesłuchać, a potem postawić przed sądem. Gdy wystrzelili, panama poszybowała w górę. Wysoko jak kapelusz z komiksu. Jednostka musi zniknąć.

Kolejny samochód wjechał na żelazną kratownicę w połowie mostu i cichy jęk przybrał na sile.

Chciał wierzyć, że już nie siedzi. Jemu, byłemu partyzantowi i weteranowi z Sierra Maestra i Playa Girón, kazano wysłuchiwać niekończących się kłótni między Castro i Kennedym, sprzeczek, które miały ustalić, gdzie ma mieszkać, co jeść i z kim rozmawiać. W Oriente był wykwalifikowanym robotnikiem, mechanikiem w amerykańskiej kopalni niklu, i to właśnie tam od studentów, którzy z takim przekonaniem rozprawiali o sprawiedliwości dla mas, dowiedział się o Ruchu 26 Lipca. A teraz stoi na drabinie, zbiera owoce i czeka, aż ci najwyżsi powiedzą mu, dokąd ma pójść. Te ich wizje, ta bohaterska postawa – obydwaj są naznaczeni piętnem wielkości. Jeden jest cieniem drugiego, jego zmorą. Jeden kupuje to, co ten drugi mu sprzedaje. Zaraz po tym, jak USA zapłaciły pięćdziesiąt trzy miliony dolarów rządowi Castro, zwolniono z więzienia tysiąc stu żołnierzy z brygady szturmowej. Stanął na linii bocznej boiska Orange Bowl, trzy ulice od tego śmierdzącego łóżka, po raz wtóry wysłuchał przysięgi i po raz wtóry zalała go fala pustki. Od tamtej chwili minęło pół roku. Ale nie czuł się wolny. Szkolenie wśród dzikich traw Everglades. Wolności zaznał tylko tam, tylko raz.

I wciąż nie mógł zapomnieć, jak panama tego szczupłego mężczyzny poszybowała do góry. Ten ciężki, głuchy stukot, ta nagła zniewaga. Myślisz, że widziałeś już wszystkie rodzaje przemocy, że już nic cię nie zaskoczy, a tu proszę, widzisz coś zupełnie niewyobrażalnego. Z jaką siłą muszą uderzać kule, skoro przebiwszy komuś pierś, potrafią jeszcze wyrzucić jego kapelusz ponad metr w górę? Była to lekcja kinetyki i przypomnienie, że nie można być zbyt pewnym siebie.

W Mińsku

Do fabryki miał osiem minut piechotą. Był młodszym ustawiaczem, to znaczy robotnikiem niewykwalifikowanym. Fabryka zajmowała działkę wielkości dziesięciu hektarów, zatrudniała pięciuset ludzi i produkowała radia i telewizory.

Pierwszego dnia wręczył dyrektorowi swoją ręcznie napisaną autobiografię. „Moi rodzice nie żyją. Nie mam braci ani sióstr”.

Dyrektor powitał obywatela Oswalda.

Punktualnie o ósmej dyżurny zadzwonił dzwonkiem. Zgrzyt metalu o metal. Piły tnące żelazne sztaby. Lee nie zdawał sobie sprawy, ile piskliwej furii potrzeba do wyprodukowania zwykłego radia.

I cały czas masówki. Na robotników patrzył z góry Lenin z wielkiego portretu. Piętnaście masówek miesięcznie, wszystkie po pracy, plus obowiązkowa gimnastyka.

Chodził z dziewczynami do opery i zwiedzał. W tym przemysłowym mieście było sporo imponujących budowli, w tym kilka śmiesznych, a przynajmniej tak uważał. Gmach związków zawodowych miał grecką fasadę, ale na fasadzie wyrzeźbiono murarza, mierniczego, kulmiotkę i mężczyznę w dwurzędowym garniturze z teczką w ręku.

Jadł na stojąco smażoną kapustę w barach.

W Radzie Narodowości, jednej z dwóch izb Rady Najwyższej, każdą republikę autonomiczną reprezentuje jedenastu deputowanych. *Sowiet* znaczy „rada”.

Szybko uczę się rosyjskiego.

W mieszkaniu na trzecim piętrze miał kuchnię i łazienkę. Spał na rozkładanej sofie. Miał też własny balkon z widokiem na szerokie zakole przepływającej przez Mińsk rzeki. Piątego dnia każdego miesiąca dostawał pieniądze z Czerwonego Krzyża.

Na balkonie czytał i pisał po rosyjsku w notatniku do stenografowania. „Dziękuję. Rzeczowniki rodzaju nijakiego zakończone na *o* przybierają końcówkę *a*”. Przepisał też słowa popularnej piosenki.

Kościelne wieże w oddali.

Miał dużo pieniędzy. Był kimś interesującym, Amerykaninem, obcym z przeszłością. Ameryka była tu tylko tematem plotek, świetlistą krainą, w której istnienie nikt tak do końca nie wierzył, dlatego chętnie słuchali jego opowieści.

A potem, pierwszego maja, w Święto Pracy, nad Swierdłowskim na Uralu miało miejsce to wstrząsające wydarzenie.

Winda, w windzie klatka, w klatce więzień. Nie dochodzi tu światło, nie dochodzą dźwięki. To rodzaj nagiej świadomości, której teraz nie potrzebuje. Nieregularne tętno. Pieczenie w prawej nodze. Wyczerpanie, silny ból głowy i gwizd w uszach.

Poprowadzili go korytarzem. Czterech, w tym dwóch w mundurach. Wyczuwał ich ponurą satysfakcję, wyczuwał w powietrzu coś chwalebne, stare krzywdy, które nareszcie wyrównano. Już by lądował, mniej więcej o tej porze, na wybrzeżu fiordu w Norwegii.

Mały pokój. Pora się rozebrać. Znowu. Zdjąć kombinezon, zdjąć kombinezon ciśnieniowy i kalessony, stanąć nieruchomo, teraz skłon w przód, pokaż, co tam masz, włóż te spodnie, włóż

koszulę – i tak przez całe popołudnie. Potem zaprowadzili go gdzie indziej i musiał powtórzyć to od początku.

Wiedział, że jest na Łubiance, w śródmieściu Moskwy, w więzieniu politycznym KGB. Może to już ostatnia rewizja osobista.

Dali mu nowe ubranie, z o trzy rozmiary za dużym dwurzędowym garniturem włącznie, i zaprowadzili go do sali przesłuchań, gdzie czekało dwunastu ludzi, w tym trzech w mundurach, dwóch majorów i pułkownik. Nie dostrzegł nigdzie ani jednego magnetofonu. Obok więźnia siedział tłumacz. Stenotypista, za stary, żeby zapisać cokolwiek poza imieniem, nazwiskiem i narodowością, siedział na końcu długiego stołu. W kłapie miał rozetkę.

Na widok tyłu poważnych twarzy więzień lekko skłonił głowę. Twarze ludzi na wysokich stanowiskach w służbie bezpieczeństwa. Patrzący na niego sceptycznie, chociaż nie powiedział jeszcze ani słowa. Po czterech latach lotów nad Związkiem Radzieckim nieoznakowanymi samolotami wpadł w ich ręce amerykański pirat. Nareszcie. Może myśleli, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Więzień wybiegł myślą w przyszłość, do życia na ziemniakach i kapuśniaku. Być może życia bardzo krótkiego. Bo przecież mogą go rozstrzelać na dziedzińcu, przy stłumionym warczeniu werbli, jak na filmie.

Ten jaskrawy rozbłysk na niebie, to gwałtowne szarpnięcie, jak w samochodzie, w który podczas dużego ruchu uderzył z tyłu inny samochód.

Rozpoczęła się długa noc pytań. Nazwisko, narodowość, typ samolotu, rodzaj misji, wysokość, wysokość i jeszcze raz wysokość. Kłopot z kłamaniem polega na tym, że trzeba zapamiętać to, co się powiedziało, żeby nie wpaść, gdy ponownie spytają o to samo. Mówił głównie prawdę. Chciał mówić prawdę. Chciał się im przypodobać. Kilka sprytnych kłamstewek tu i tam – gdyby tak jeszcze wiedział, które dane ma chronić. Był tylko pilotem. I właśnie to próbował im wytłumaczyć. Był cywilnym pracownikiem. Rejestrował odczyty instrumentów, zboczył z kursu, naniósł poprawkę, wrócił na kurs. Był zwykłym chłopakiem z górskiej Wirginii. Nie palił, nie pił, niczego nie żuł. W piątej klasie zrobił dla nauczyciela samolot z pudełka po cygarach.

Powiedział im, że leciał na wysokości dwudziestu tysięcy czterystu metrów.

Po oględzinach wraku maszyny mieli spytać go o mechanizm samoniszcący, którego nie uruchomił w obawie, że nie zdąży opuścić kabiny. Żałosne. Mieli go również spytać o igłę z trucizną, którą zabrali mu już w Swierdłowsku, wiele godzin wcześniej. Tak, więzień był trochę zażenowany. Przecież miał nie żyć. Kilka ważnych osobistości bardzo się zdziwi, dowiedziawszy się, że pilot wciąż żyje. Wydali miliony dolarów, żeby zapewnić mu wygodną śmierć.

Po przesłuchaniu dostał kolejne ubranie, zaprowadzili go do kolejnego pokoju, kazali opuścić spodnie i zrobili mu zastrzyk, po którym, jak myślał, miał zasnąć albo zacząć mówić prawdę.

Wyszli, minęli stanowisko dowódcy sekcji i zaprowadzili go do dwupiętrowego bloku z celami. Jego cela miała cztery i pół metra długości, dwa i pół metra szerokości i była zaopatrzona w grube, dębowe drzwi ze stalowymi sztabami. Stały w niej żelazne łóżko, stolik i krzesło, a w ścianie było podwójne okno wzmocnione metalową siatką. Kiedy został sam, usłyszał bicie kremłowskiego zegara. Wiadomość o zaginięciu U-2 zaczynała się już pewnie rozchodzić. Bodo, Incirlik, Peszawar, Wiesbaden, Langley, Waszyngton, Camp David. Na swój sposób było to nawet podniecające. Kiedy rozbierał się po raz piąty czy szósty tego niekończącego się, nużącego i chaotycznego dnia, zauważył, że w drzwiach jest judasz.

Wpadł w odwrócony korkociąg, z pyskiem maszyny w górze, trochę jak we śnie, w którym nie można wykonać najmniejszego ruchu.

Nazajutrz, zamiast go wypytywać i torturować, wysłali go na wycieczkę po Moskwie.

Aleksiej Kirylenko był obecny na drugim przesłuchaniu. Na stole przed nim leżał zestaw filtrów do laiki. W sali siedziało dziesięciu mężczyzn. Posypały się pytania. Więzień Gary Powers to mówił prawdę, to kłamał, tak pół na pół.

Nie, nigdy dotąd nie latał nad terytorium Związku Radzieckiego.

Nie, CIA nie dała mu *listy tajnych agentów*, z którymi mógłby się tu skontaktować.

Nie, nigdy nie stacjonował w Atsugi.

„A samolot?”

Tak, kiedyś stamtąd startował.

Ostrzygli go na wieśniaka. Do twarzy mu, pomyślał Alek. Miał dużą, kwadratową głowę, wyraziste rysy twarzy i zaniepokojoną minę wiejskiego kmiotka, który przechodzi w mieście przez ulicę.

Nie, nie przyszło mu do głowy, że naruszając przestrzeń powietrzną Związku Radzieckiego, mógłby zaprzepaścić szansę na zbliżające się spotkanie na szczycie.

W Centrum uważano, że Chruszczów ujawni, iż Francis Gary Powers wciąż żyje i jest w niewoli, dopiero wtedy, kiedy amerykańska prasa przedstawi swoją wersję wydarzeń, wersję najpewniej żalostną i pełną nadziei. (Nieuzbrojony samolot meteorologiczny zaginął w okolicy jeziora Wan w Turcji zaraz po tym, jak pilot zgłosił awarię systemu tlenowego). W miarę potrzeby dodadzą lub odejmą trochę szczegółów, ale, tak czy inaczej, na pewno liczą na to, że pilot nie żyje.

A wtedy pierwszy sekretarz wejdzie na trybunę w Wielkiej Sali, w garniturze ze skromną kieszonką medali na piersi, i ogłosi interesującą nowinę, którą zilustruje zdjęciami i odpowiednimi gestami. Jego głos będzie się niósł jak salwa nad głowami delegatów, członków prezydium, dyplomatów i przedstawicieli międzynarodowej prasy.

Towarzysze, zacznie. Muszę zdradzić wam pewien sekret. Szeroki uśmiech, ręka w górę, ręka w dół, jakby rąbał mięso. Mamy pilota tego niewinnego samolotu meteorologicznego, o którym się tyle ostatnio mówi. Mamy szczątki maszyny. Zestrzelonej dwa tysiące kilometrów w głąb terytorium Związku Radzieckiego. Tego cienia na niebie. Którego przysłali tu, żeby fotografował nasze obiekty wojskowe i przemysłowe. Mamy aparat fotograficzny i zwoje taśmy filmowej. Będzie tymi zdjęciami wymachiwał, będzie szydził, że samolot ten miał jakoby pobierać próbki powietrza. Tak, tak, Francis Gary Powers żyje, jest cały i zdrowy, mimo urządzenia samoniszczącego, mimo trucizny, która miała go zabić, mimo zaopatrzonego w tłumik pistoletu i długiego noża. Przerwa na łyk wody. Siedem tysięcy rubli w rosyjskiej walucie. Przysłali go z tak daleka, żeby wymienił stare ruble na nowe?

Śmiech i aplauz.

Alek nie mógł się już doczekać tego przedstawienia. Za dwa tygodnie miało odbyć się w Paryżu spotkanie na szczycie. Moralne przywództwo Eisenhowera spłynęło z głównym w kiblu.

Ale przesłuchania ciągnęły się godzinami, a potem dniami, i więzień zaczął czuć się nieswojo. Ci w mundurach, ci z GRU, ciągle powracali do pytań o pułap lotu. Czyżby nie wiedzieli, na jakiej wysokości leciał, kiedy go zestrzelili? Czyżby trafił go zbłąkany pocisk? A może zgasł mu silnik? Może zanurkował, żeby ponownie go odpalić, i właśnie wtedy go trafili? Krążyły plotki, że wcale go nie trafili. Czy możliwe, żeby to był sabotaż CIA, która chciała storpedować paryski szczyt?

Francis Gary Powers uparcie powtarzał, że gdy poczuł silny wstrząs i ujrzał jaskrawy rozbłysk, leciał na maksymalnej wysokości. Na dwudziestu tysiącach czterystu metrach. Ci z GRU uważali, że kłamie. Uważali, że U-2 może wzbić się znacznie wyżej, i wiedzieli, że rosyjskie pociski tak wysoko nie dolecą.

Ale dlaczego tak myśleli?

Bo Oswald im powiedział? Na pewno mieli ku temu mocne podstawy, informacje z innego źródła. Tak czy inaczej, sprawa Powersa wzmocniła jego wiarygodność. Lee musiał mieć rację co do prawdziwych możliwości U-2. Poza tym był jedyną osobą w Związku Radzieckim, która znała tę maszynę od strony praktycznej, która była Amerykaninem jak Powers, która po zdradliwej intonacji i wymowie mogła stwierdzić, czy rodak kłamie, czy nie, która mogła ocenić wartość tego, co mówił o załodze naziemnej, o systemie bezpieczeństwa bazy, i tak dalej.

W umyśle Kirylenki Lee H. Oswald stawał się powoli Chaplinowską postacią, ślizgającą się po obrzeżu wydarzeń wielkich i niebezpiecznych.

Nieświadomie lub częściowo świadomie, wiedząc o tym, lecz o tym nie mówiąc, chłopak ten potrafił rozpętywać chaos, doprowadzać do klęsk, których zdawał się nie zauważać, przetykać swoje życie zagadkami i robić z nich durniów.

Alek nigdy nie był w Stanach Zjednoczonych. Wszystko to, czego się o tym kraju dowiedział, utwierdziło go w przekonaniu, że w USA żyją ludzie impulsywni, płytki i pewni siebie. W porównaniu z tym, co mamy u nas, z tą rozległą skarbnicą trwającej w duszach ludzi historii, to żłobek kultury, wystraszony, zaśliniony i roztargniony.

Dzięki papierosom czuł się patriotą. Po sześciu latach skubania różnych świństw znowu zaczął palić.

A Oswald przynajmniej wyglądał jak Amerykanin. Prędzej czy później Francis Gary Powers zasiądzie na ławie oskarżonych w obwieszonej żyrandolami Sali Komunizmu. On, w tej swojej głupiej fryzurze, w komicznie przydużym lub komicznie przymałym garniturze, wyglądający jak bałkański drwal.

Do Moskwy obywatel Oswald przyjechał w czarnym krawacie, kaszmirowym swetrze i szarym flanelowym garniturze. Miło było tu wrócić.

Wprowadzili go na salę dziesięć minut po rozpoczęciu rozprawy. Usiadł przy ścianie, cztery i pół metra za oskarżonym, obok funkcjonariusza KGB po cywilnemu. Miał notatnik i ołówek.

Oczywiście mówiło się o tym wszędzie, bo wiadomość zdominowała prasę i radio. U-2, największa sensacja od lat. Ogłuszająca wrzawa słusznych radzieckich głosów, historyczne kłamstwa Amerykanów, nadwerężone stosunki dyplomatyczne. Słuchał Gary'ego Powersa, który próbował odpowiadać na pytania Romana Rudenki, jednego z prokuratorów oskarżających nazistowskich zbrodniarzy wojennych na procesie norymberskim. Pomyślał, że prokurator od nazistów to trochę zbyt dramatyczne jak dla kogoś takiego jak Francis Gary Powers. Bo Powers mówił jak zwykły facet. Jak syn górnika z jakiegoś zadupia. Płacili mu, żeby latał, i tyle.

Przez bite trzy godziny gapił się na tył jego głowy.

Potem poszedł do Pawilonu Szachowego w parku Gorkiego, żeby obejrzeć zniszczony kadłub i ogon samolotu. Na środku sali stały skrzydła. Podpisane przyznanie się do winy, zestaw ratunkowy pilota i jego rzeczy osobiste leżały w szklanych gablotach. Pod tabliczką z napisem POWERS FRANCIS GARY PILOT ZESTRZELONEGO SAMOLOTU ułożono jego zdjęcia. Tłum zwiedzających był w świątecznym nastroju. Oswald zastanawiał się, czy Powers gra w szachy. Gdyby Alek wpuścił go do celi i pozwolił mu zagrać z Francisem Garym Powersem, byłby to z jego strony bardzo miły gest.

W towarzystwie tajniaka wrócił na Łubiankę. Alek i umundurowany strażnik zaprowadzili go do więziennego bloku. Na podłodze leżała wykładzina. Cella Powersa znajdowała się na najniższym poziomie. Strażnik odchylił kłapkę judasza. Oswald zajrzał do środka. Więzień siedział przy stoliku, rysując linie na kawałku papieru. Może robił kalendarz. Ludzie w małych pokoikach, ludzie odizolowani. Cella stanem podstawowym. Wsadzają cię tam i zamykają drzwi na klucz. To tak proste, że wręcz genialne. Ostateczny kształt otaczających nas sił. Dwa

czterdzieści na cztery i pół.

Powers miał w sobie coś łagodnego. W wojsku Oswald mógłby się z nim dogadać. Więzień podniósł głowę i spojrzał prosto na Judasza, jakby wyczuł, że ktoś go obserwuje. Płacono mu za to, żeby latał i zabił się, gdyby coś poszło nie tak. Cóż, nie zawsze wypełniamy rozkazy, prawda? Niektóre wymagają przemyślenia, ha, ha. Lee miał ochotę zawołać przez drzwi: Bardzo dobrze, Powers, dobrze zrobiłeś! Nie słuchaj ich! Więzień był w koszuli w kratę. Machnięciem ręki odpędził muchę i wrócił do swego zajęcia. Strasznie się nad tymi liniami mozolił. Pluton egzekucyjny – jak to jest po rosyjsku?

Usiedli samotnie w sali przesłuchań, gdzie zalatywało niemytą popielniczką.

– Pokazaliśmy ci go z możliwie najmniejszej odległości – zaczął Alek. – Powiedz. Wydaje się ci znajomy?

– Nie.

– Nie widziałeś go w Atsugi?

– Byli wtedy w hełmach z przesłonami. Cały czas otaczali ich uzbrojeni strażnicy. Nigdy się żadnemu za dobrze nie przyjrzałem.

– Może znasz go z jakiegoś baru. Z nocnego klubu.

– Zupełnie go sobie nie przypominam.

– Wiedziałeś, że startowali z Peszawaru?

– Gdzie to jest?

– W Pakistanie. On też stamtąd wystartował.

– Nie, nie wiedziałem.

– Powers naopowiadał nam dużo kłamstw. Co o tym myślisz?

– Jest zdezorientowany. Moim zdaniem mówi głównie prawdę. Chce przeżyć.

– Twierdzi, że maksymalna wysokość to dwadzieścia tysięcy czterysta metrów. Ty twierdzisz, że dwadzieścia cztery, dwadzieścia siedem tysięcy metrów.

– Mogłem się mylić.

– Nie sądzę.

– Ale mogłem.

– Byłeś bardzo pewny siebie. Opisałeś nam głos pilota. Nie myliłeś się, są podstawy, żeby tak sądzić.

– Dwadzieścia cztery tysiące metrów to cholernie wysoko. Może powiedział dwadzieścia tysięcy czterysta, a ja usłyszałem, że dwadzieścia cztery tysiące. Moim zdaniem Powers nie kłamie, to nie ten typ.

– To znaczy jaki typ?

– Z gruntu szczerzy i uczciwy. Chętny do współpracy. Co z nim będzie?

– Trudno powiedzieć, za wcześnie.

– Pójdzie pod sąd?

– To niemal pewne.

– Rozstrzelają go?

– Nie wiem.

– Postawią go przed plutonem egzekucyjnym, tak?

– Nie można tak zakładać.

– Ale tak się tu robi, prawda? Rozstrzeliwuje się ich.

Uśmiech.

– Znacznie rzadziej niż kiedyś.

– Pozwólcie mi z nim pogadać.

– Kiepski pomysł.

– Mógłbym zrobić mu wykład na temat zalet życia w Związku Radzieckim. Na temat produkcji radioodbiorników dla mas.

– Masy potrzebują radioodbiorników, żeby przestać być masami.

– Ostatnio często o czymś myślę. – Lee zrobił pauzę, żeby jego słowa zabrzmiały dramatyczniej. – Chcę studiować na Uniwersytecie Przyjaźni Narodów imienia Patrice'a Lumumby.

– To na pewno wspaniała uczelnia. Ale tak się składa, że jest w Moskwie, a na przenosiny do Moskwy jeszcze nie pora.

– Alek, jak ja się mam doskonalić? Chcę studiować. Praca w fabryce jest nudna, reżim tam jak w wojsku. Te masówki, te agitki. Ciągłe to samo. Wszystko smakuje tak samo. W gazetach też piszą to samo.

– Dobrze, powiem tyle: pomyślimy o dalszej nauce dla Lee H. Oswalda.

– Będę czekał na wiadomość. Wszystko od tego zależy.

– Powiedz, czy Francis Gary Powers to według ciebie typowy Amerykanin? Pytam ot tak, z czystej ciekawości.

Lee zauważył, że mówiąc o więźniu, wszyscy używają jego pełnego imienia i nazwiska. Radziecka prasa, miejscowa telewizja, BBC, Głos Ameryki, śledczy, i tak dalej. Robisz coś głośnego i od razu naznaczają cię drugim imieniem, imieniem, którego zwykle się nie używa. Jesteś oficjalnie nacechowany, jesteś rozdziałem w księdze wyobraźni państwa. Francis Gary Powers. Wystarczyło kilka dni i nazwisko to nabrało głębszego znaczenia, stało się synonimem zgubnego w skutkach wypadku. Już teraz brzmiało historycznie.

– Powiedziałbym tak: to człowiek szczerzy, uczciwy i pracowity, który znalazł się pod miażdżącą presją z przeciwnego kierunku. Pod tym względem jest chyba typowy.

Powiedział to po rosyjsku i zauważył, że Alek jest pod wrażeniem.

Z Dziennika Historycznego.

Moja jesień, strach przed kolejną rosyjską zimą topnieje we wspaniałych złocistościach i czerwieniach białoruskich śliw, brzoskwiń, moreli i czereśni, których tego roku prawdziwa tu obfitość. Jestem opalony na brąz i objadam się owocami. moje dwódzieste pierwsze urodziny: Róża i Paweł na małym przyjęciu u Elli, bardzo ładnej rosyjskiej Żydówki, z którą ostatnio chodzę; też pracuje w mojej fabryce.

Zima coraz bliżej. Chociaż udało mi się zdobyć względy Ennatachiny, dziewczyny z Rygi, ogarnia mnie coraz większa samotność.

Nowy Rok spędzam u Elli Germain. Chyba się w niej zakochałem. Odrzuca moje co bardziej niegodne zaloty.

Po miłym spacerze za renkę do kina wracamy do domu i oświadczam się jej na progu. Ona waha się i odmawia; moja miłość jest szczerą, ale ona mnie nie kocha. (Jestem zbyt wstrząśnięty, żeby wogule myśleć!) Jestem zrospaczony!

Rozmawiał z przyjaciółmi o Kubie i zaskoczony stwierdził, że temat ten wcale ich nie pasjonuje. Jego zaś momentalnie rozgrzewał. Poza tym nieustannie poruszano go w anglojęzycznym „Workerze” w rosyjskim radiu i w BBC. Mikojan podpisuje układ handlowy z Che Guevarą. Rosja wysyła ciężką broń. Ike zrywa stosunki dyplomatyczne.

Czekolada była droga. A Rosjanie uwielbiali słodczyce. Przed miejscową cukiernią zawsze

kłębił się tłum. Życie składało się z drobnostek. Z czekolady, z adaptera i kanapki z automatu.

Znajomym nie bardzo odpowiadało jego imię. Wypowiadając je, czuli się nieswojo. Lee. Brzmiało jak chińskie i po prostu źle leżało na języku.

Powiedział, żeby mówili mu Alek.

Pocztówka 4. Waszyngton. Jest 21 stycznia 1961 roku, dzień po zaprzysiężeniu Johna F. Kennedy ego – Marguerite Oswald stoi na Union Station, rozglądając się za telefonem. Spędziła trzy dni i dwie noce w pociągu z Fort Worth. Żeby kupić bilet, pożyczyła pieniądze pod zastaw polisy ubezpieczeniowej, do cna wyczyściła konto bankowe, żeby kupić buty, i przez całą drogę musiała siedzieć, bo nie wystarczyło jej na kuszetkę. Jest zła, zmęczona i sfrustrowana. Listy do jej kongresmana pozostały bez odpowiedzi. Telefony do miejscowej placówki FBI też. Telegramy do Departamentu Stanu. Listy i telefony do Międzynarodowego Komitetu Pomocy. Departament Stanu rozmawia z Komitetem, ale nikt nie chce rozmawiać z nią. Czy to naprawdę takie dziwne, że Marguerite używa słowa „spisek”? Przecież próbuje tylko przedrzeć się przez gąszcz problemów, których w ogóle nie powinno być.

Centrala Białego Domu mówi jej, że prezydent jest na konferencji.

Marguerite wrzuca do automatu kolejną monetę.

Centrala Departamentu Stanu mówi, że sekretarza Ruska w tej chwili nie ma, ale że postarają się zrobić dla niej wszystko co w ich mocy, i tak dalej, i tak dalej. Telefonistką jest Murzynka, a Marguerite dorastała w dzielnicy murzyńskiej w Nowym Orleanie, mieszkała na Philip Street, bawiła się z murzyńskimi dziećmi, dlatego po długich namowach tamta wreszcie łączy ją z kimś, kto siedzi chyba w gabinecie, a nie w centrali. Siedzi w charakterystycznej ciszy, mówi, że jest doradcą, i grzecznie pyta, w czym problem.

– Przyjechałam tu w związku z moim synem, który zaginął w Rosji.

Mówi mu, że nie należy do rozslochanych matek, ale właśnie wychodzi z choroby i nie wie nawet, czy jej syn żyje, czy nie. Jest gdzieś za granicą, jest agentem naszego amerykańskiego rządu. Syn ma prawo podejmować własne decyzje, mówi, ale jest całkiem możliwe, że nie może się stamtąd wydostać, bo rząd pozostawił go samemu sobie.

Tamten na to, że zapowiadają straszną śnieżycę i że kazano im wcześniej wyjść.

Marguerite wietrzy jakąś znowę.

I mówi:

– Nie przeżyję na tym świecie, dopóki nie uwierzę w amerykański styl życia i w to, że zawsze można zacząć wszystko od początku. Muszę to rozgryźć, poczynając od chwili, gdy w wieku szesnastu lat postanowił wstąpić do piechoty morskiej, o co często się sprzecaliśmy, kiedy mieszkaliśmy w Dzielnicy Francuskiej.

I dodaje:

– Dzień w dzień i noc w noc czytał regulamin Roberta. Znał go na pamięć. A teraz od ponad roku się nie odzywa i jestem przekonana, że nie całkiem z własnej woli, bez względu na to, jakim jest agentem. Przyjechałam, żeby ustalić, gdzie jest.

Doradca z Departamentu Stanu mówi, że w związku ze śnieżycą wszyscy już wychodzą. Śnieżycy jest coraz bliżej. Radio podaje, że może się rozpętać lada chwila.

Marina uwielbiała słuchać angielszczyzny. To było takie podniecające, coś jak przygoda. Nie wiedziała nawet, że w Mińsku mieszka jakiś Amerykanin. To było wprost niezwykle. Rosjanie zawsze mieli kręcka na punkcie Ameryki.

Tańczyła z Alekiem na wielkim parkiecie w Pałacu Kultury. Miły i elegancko ubrany, powiedział jej, że w brokatowej sukni i z zaczesanymi do góry włosami wygląda prześlicznie. Po

angielsku rozmawiał z paroma kolegami, ale z nią tylko po rosyjsku oczywiście. Rzadko kiedy słyszała kogoś mówiącego po angielsku. Zupełnie nie знаła tego języka, nie licząc piosenek czy słów takich jak Tarzan czy *spam*, czyli „mielonka”.

Wujek Ilja mawiał, że zjawiła się w Mińsku niczym zsuwający się z dachu śnieg. Była sierotą, dzieckiem z nieprawego łoża, i ciągnęło ją do ludzi, którzy byli inni. Powiedział Amerykaninowi, że w jej głowie zawsze powiewa wiaterek.

Z Alekiem widywała się często. Błyszczeli razem w ośrodku wydarzeń. Niektóre rzeczy stawały się ich rzeczami. Jak choćby pewna ławka w pewnym parku, gdzie grali szachiści. Rzeczy zupełnie zwykłe, pospolite. Zakochali się w sobie jak wszyscy młodzi. Pochodzili z różnych światów, z całkowicie różnych kultur, lecz Marina wierzyła, że połączyło ich przeznaczenie. Jej serce zaczęło bić innym rytmem.

Schlebiali sobie, byli dla siebie kimś wyjątkowym i cudownym. W kłamstwo to wierzy każda dziewczętnastolatka, a właśnie tyle lat miała Marina, gdy poznała tego nieoczekiwanego człowieka.

Dała kosza Anatolowi, który wyglądał jak aktor filmowy, dała kosza Saszy, który był pod każdym względem cudowny i dlatego nie dla niej.

Alek miał urocze mieszkanko i słuchał płyt z muzyką Czajkowskiego. Zabrał ją na przejażdżkę łódką po Jeziorze Młodzieży. Byli tacy sami jak wszyscy inni, zupełnie zwyczajni, i mówili to, co mówią inni. Każdy fakt z ich życia był faktem bezcennym. Jako noworodek Marina ważyła nieco ponad kilogram. Alek nie mógł wyjść z podziwu. To był taki mały, prywatny urok, coś bardzo mu drogiego. Złożył ręce, próbując odgadnąć nimi kształt kilograma bezcennego życia. Miała niebieskie oczy. W dzieciństwie nazywano ją Spiczką, czyli Zapalką, ponieważ była chudziutka i łatwo się do wszystkiego zapalała. Opowiadali to sobie jak historie z księgi, która codziennie się zmienia, kierując ich miłość ku wieczności.

Powiedział jej, że jego matka nie żyje.

Rozmawiali o wszystkim, o słońcu i księżycu, o musze na szybie. Gdy wiał mroźny wiatr, Lee krył się za drzwiami. Nad rzeką zawsze tak wiało.

Byli naznaczeni przez los, los kazał im się pobrać, więc tuż przed nadejściem wiosny, ledwie półtora miesiąca po tym, jak się poznali, poszli do urzędu stanu cywilnego. Alek dał jej bukietik pierwszych narcyzów, a ona miała na sobie krótką białą sukienkę w żdźbła trawy. Tej nocy podziękował jej słodko za to, że była dziewczicą.

Pracowała w szpitalnej aptece i kiedy wracała do domu, on prał albo zmywał podłogę. Nie pozwalał jej prac swego roboczego ubrania. Wstydział się brudu i potu i nie lubił myśleć o sobie jak o fabrycznym wyrobniku, pracowniku fizycznym skazanym na wykonywanie wciąż tych samych monottonnych czynności.

Co wieczór o dziesiątej słuchał Głosu Ameryki.

Mieli podobne blizny na ramionach, on na lewym, ona na prawym, obydwójce tuż pod łokciem, takiej samej wielkości i kształtu. Przeznaczenie, lustrzane odbicie losu. Powiedział jej, że to od rany na polu walki, odniesionej w Indonezji podczas operacji przeciwko komunistom. O tej drugiej bliźnie, tej na nadgarstku, opowiadać nie chciał.

Był sierotą tak samo jak ona, outsiderem, to dobrze, ale poza tym nie wiedziała, kim ten Alek właściwie jest. Widziała go jakby z oddali. Bo nigdy tak w pełni nie istniał. Był tym drugim, osobą, z którą mieszkała, Amerykaninem, który powiedział jej, że ma dwadzieścia cztery lata, a który według stempla na pozwoleniu na pobyt stały miał lat dwadzieścia jeden.

Dopiero kilka tygodni później dowiedziała się, że jego matka żyje.

Chłopcy z fabryki powiedzieli jej, że w porządku z niego gość, tylko że zawsze jest skryty, taki na uboczu, że się nie udziela, że nie ma rosyjskiej duszy i temperamentu, że, innymi słowy,

nie ma serca na dłoni.

W dniu ich ślubu Castro dostał Pokojową Nagrodę Leninowską. Było to dwa tygodnie po Zatoce Świń.

W notatniku wypisał hiszpańskie liczebniki od jednego do siedemnastu, opuszczając pięć i sześć.

– A te inne dziewczyny, z którymi się tu spotykałem. Dlaczego chciały ze mną chodzić tak jak ty?

– Nie wiem – odparła.

– Bo jestem Amerykaninem. To zabawne. Wyjechałem z kraju, żeby zaprotestować przeciw tamtejszym warunkom życia, i dla wszystkich jestem tu typowym Amerykaninem. Ale powiem ci coś. Kiedy oświadczyłem się Elli, tej dziewczynie z fabryki, z miejsca dała mi kosza z tego samego powodu, dla którego zgodziła się ze mną chodzić. Bo jestem Amerykaninem. Bo prędzej czy później aresztowaliby mnie za szpiegostwo, tak powiedziała. Jej rodzina myśli, że jestem szpiegiem. Ona pewnie też. W Rosji panuje strach przed zwykłym życiem. Widziałem ją wczoraj. Jest gruba jak beczka.

To ciekawe, myślała Marina, że Lee tyle pisze w tych dużych, nowych notatnikach. I co to za zdjęcia trzyma na górnej półce w szafie, tam za walizkami? Co to za rysunek, który wygląda jak plan jego fabryki?

Powiedział jej, że spisuje wrażenia z pobytu w Rosji.

A to coś na ścianie? Ta mała rzecz nad łóżkiem, która do niczego nie służy. Czyżby ktoś nas podsłuchiwał?

Nawet teraz, po śmierci Stalina, nie była pewna, komu ufać. Wujek Ilja był pułkownikiem w MSW. W mundurze wyglądał jak malowany bohater Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Alek chciał, żeby dowiedziała się wszystkiego o jego stanowisku, zarobkach, obowiązkach. Wiedziała, że wujek ma coś wspólnego z przemysłem drzewnym. Że to ważne stanowisko, ale zupełnie niezwiązane ze szpiegami czy ze szpiegami, którzy szpiegują innych szpiegów. Był naczelnikiem wydziału drzewnego czy kimś takim. Takie miała wrażenie.

Alek kazał jej dowiedzieć się czegoś więcej. Do tych jego szkiców o Rosji.

Czasem wypożyczał łódkę i dryfował w niej samotnie przed ich domem. Wołał ją wtedy, wykrzykiwał na wietrze jej imię, dopóki nie wyszła na balkon i mu nie pomachała. On też jej machał, jak dziecko, radośnie i z głębokim zachwytem. Zdawało się, że stoi w tej łódce i mówi: „Spójrzcie na nas. Jesteśmy cudem, jakże oczywistym i prawdziwym”.

Dwa lata wcześniej mieszkała w Leningradzie i będąc w Mińsku na wakacyjnej wycieczce, widziała ładny blok z balkonami z widokiem na rzekę. Jeden z nich jarzył się kwiatami i pomyślała wtedy, jak uroczym byłoby tam zamieszkać. Była pewna, że właśnie na tym balkonie teraz stoi, na balkonie jej i Aleka, że z tego właśnie balkonu do niego macha.

Przeznaczenie góruje nad faktami i wydarzeniami. Jest czymś pozazmysłowym, czymś, w co wierzymy, odsunąwszy Boga.

Niektórzy w niego nie wierzą, mimo to malują jaja na Wielkanoc, ot tak, dla urozmaicenia.

Pocztówka 5. Rozkładówka. „Sceny z Mińska” Oswald na zdjęciu przed pomnikiem Zwycięstwa, w Pałacu Kultury i na placu Stalina. Jest nawet wesoły, uśmiecha się do aparatu, ale prawda jest taka, że nie ma się już z czego cieszyć.

Chciał studiować na Uniwersytecie Przyjaźni Narodów imienia Patrice’a Lumumby, ale jego podanie zostało odrzucone. Bardzo to przeżywa. Czuje się mały i bezwartościowy. Przewodniczący studenckiego komitetu uczelnianego pisze, że uczelnię założono wyłącznie po to, żeby mogła kształcić się w niej młodzież z najbiedniejszych krajów Azji, Afryki i Ameryki

Łacińskiej. Jak mogą myśleć, że jestem bogaty i uprzywilejowany? – zastanawia się Lee. Znowu te głupie wyobrażenia o życiu w USA.

Co jeszcze? Ano to, że napisał do amerykańskiej ambasady w Moskwie z prośbą o zwrot paszportu. Trochę się tym denerwuje, bo przecież rzucił im tym paszportem w twarz, praktycznie zmusił ich, żeby mu go odebrali, a potem dodał coś, czego teraz żałował, coś o tajemnicach wojskowych. Postawiliby go przed sądem, gdyby wrócił do kraju?

Co jeszcze? Na ścianie w ich mieszkaniu jest takie małe coś i nie jest to na pewno ani gniazdko elektryczne, ani wyłącznik światła, ani nic do wieszania obrazków. Mało tego. Na swojej ulicy ciągle widzi samochód z napisem „Nauka jazdy” może urządzają tu końcowy egzamin, z tym że w samochodzie zawsze jest tylko kierowca.

Obserwują go, bo myślą, że jest fałszywym uciekinierem, którego nasłało na nich Biuro Wywiadu Marynarki Wojennej. Ci z Biura pewnie tylko czekają, aż wróci, żeby go o wszystko wypytać.

Wie, wie na pewno, że ktoś przechwytyje jego listy, bo kiedy tylko napisał do ambasady, miesięczne przekazy z tak zwanego Czerwonego Krzyża nagle przestały przychodzić, co zmniejszyło jego dochody o połowę. Tam, w Moskwie, wziął te pieniądze, ponieważ był głodny i splukany, ponieważ na ziemi leżał śnieg. Nie chciał nawet myśleć, skąd tak naprawdę pochodzą. Płacili mu za to, że uciekł ze Stanów, że opowiedział im o swojej służbie wojskowej. A teraz zachciało mu się wracać, więc źródółko wyschło.

Ani śladu Aleka. Ani słowa. Kompletne cisza.

Może to już wszystko, Alek. Może to już koniec. Co tam na niego macie, przyciśnijcie go. Tymczasem ja chcę tylko studiować.

Żona wciąż nie wie, że chce wrócić do USA.

Erich, jego znajomy, przedstawia go kubańskim studentom i Lee lubi z nimi rozmawiać, narzekać wraz z nimi na ponury Mińsk. Kubańscy są utalentowani i pełni polotu. Lee dochodzi do wniosku, że w sprawie Kuby panuje pełna zgodność. Kuba to chłopiec do bicia. Rosjanie wykorzystują partię do własnych interesów. Partia jest tu narzędziem do zdobywania dóbr materialnych.

Fotografują go jeszcze raz, w ciemnych okularach.

Niedaleko ich bloku, na terenie otoczonym drutem kolczastym i patrolowanym przez uzbrojonych strażników z warczącymi psami, był stu pięćdziesięciometrowej wysokości maszt radiowy. Nieco dalej stały dwie niższe wieże, też dobrze strzeżone. Były to maszty nadajników, które miały zagłuszać audycje nadawane z Monachium i innych miast na Zachodzie.

Oczyma wyobraźni widział, jak pisze artykuł do czasopism takich jak „Life” czy „Look” wspomnienia byłego żołnierza piechoty morskiej, który dotarł do samego serca Związku Radzieckiego i widział, jak tam żyją, który widział, jak Rosją rządzi strach. Czekolada jest tu cztery razy droższa niż w USA. Za ludzi decydują inni, jednostka nie ma tu żadnego, najmniejszego nawet wyboru.

Obfotografował lotnisko, gmach politechniki i budynek wojskowy, ot tak, żeby po prostu mieć zdjęcia, żeby zachować je na później.

„To naprawdę bardzo kuriozalny widok – napisze potem w Dzienniku. – Widok miejscowego aparatczyka wygłaszającego kazanie polityczne do grupy prostych, krzepkich robotników, których w jakimś dziwnym procesie zmieniono w kamień. Zmieniono w kamień wszystkich z wyjątkiem komunistów o hardych twarzach i czujnych, rozstrzelanych oczach, którymi wypatrują

każdej okazji, żeby zbić kapitał na nieuwadze robotników”

„Life” i „Look” – widział siebie w recepcji, z maszynopisem w skórzanej teczce na kolanach. Jak się ta skóra nazywa? Marokin?

Erich zaczyna uczyć go niemieckiego.

Kiedy Marina powiedziała mu, że jest w ciąży, pomyślał, że życie nareszcie nabrało sensu. Odezwwał się w nim ojciec. Miał teraz swoje miejsce, miał obowiązki. Ta kobieta dawała mu szczęście, o jakiego istnieniu nawet nie wiedział. Marina Prusakowa, waga urodzeniowa nieco ponad kilogram, z Archangielska nad Morzem Białym, pół świata od Nowego Orleanu. Ujął jej twarz w dłonie. Szczupłutka, jasnowłosa dziewczyna. Pełne usta, długa szyja, błękitnooka kwaciareczka, jego blady, wąty narcyz. Niechaj dziecko wygląda tak jak ona, niechaj ma nawet jej smutne, zakrzywione do dołu usta, jej ogniste w gniewie oczy. Zatańczył z nią po pokoju, obiecał, że zajmie się nią lepiej niż ktokolwiek kiedykolwiek dotąd. Będzie jego dzieciątkiem, dopóki nie urodzi się to prawdziwe.

Opowiadał jej, że sklepy w Ameryce są niewiarygodnie dobrze zaopatrzone, pełne niesamowitych rzeczy. Jeśli miało się dziecko, wystarczyło tylko pójść do najbliższego domu towarowego. Są tam całe działy z artykułami dla dzieci. Całe sklepy. Nigdy w życiu nie widziałaś takich zabawek.

Wrócił do domu przed nią i właśnie zmywał naczynia ze śniadania. Usłyszał, jak wchodzi na ostatnie półpiętro, z dnia na dzień bardziej ociężała. Miała w siatce lody i chałwę.

– Chcą usunąć Stalina – powiedziała. – Plac jest ogrodzony, właśnie tamtędy szłam.

– Będą musieli wysadzić go dynamitem.

– Obalą go łańcuchami.

Odłożyła siatkę, usiadła przy kuchennym stole tuż za nim i zapaliła papierosa.

– Jest za wielki – odparł. – Będą wysadzać.

– Za dużo ich jeszcze stoi. Ściągną go łańcuchami i gdzieś zawleką. W nocy, żeby nikt się nie zorientował.

– I tak już wszyscy wiedzą. Plac jest ogrodzony. Zgaś tego papierosa.

– Ostatnio palę dużo, dużo mniej.

– To niezdrowo dla dziecka. Nie, nie, nie.

– Nie palę tak dużo.

– Ukrywasz papierosy, wszędzie. Znajduję je w każdym zakamarku. To bardzo niezdrowo dla dziecka.

– Już prawie nie palę. Dzisiaj wypaliłam dwa. Co z tymi wizami?

– Napisałem wszędzie, gdzie się dało. Do ministerstw, do departamentów, wszędzie. To beznadziejni ludzie. Czytają moje listy, więc skarżę się w nich bratu na tę ich beznadziejną biurokrację.

– Pisziesz do niego i do nich. Dwa listy, jeden znaczek.

– Zaoszczędzimy fortunę.

– Gdzie jest właściwie ten Teksas?

Lee obmył w letniej wodzie dzbanek do kawy.

– Tam, gdzie mieszka generał Walker. Szef wszystkich ultrapravicowych grup nienawiści w Ameryce. W dzisiejszym „Workerze” jest artykuł. GENERAL WALKER CHCE BYĆ DRUGIM FÜHREREM. Zrezygnował ze stanowiska w wojsku, żeby nie mieć żadnych ograniczeń, kiedy spróbuje dokonać pravicowego przewrotu.

- Czy powinnam uczyć się już angielskiego?
- Później, po powrocie.

Te noce i dni były dla niego prawdziwym olśnieniem. Okazało się, że jest domatorem, że w domu jest najszczęśliwszy, że lubi zmywać naczynia i rozmawiać z żoną o tapetach. To było cudowne odkrycie. Szansa na ocalenie przed pewną zgubą. Tak bezpiecznie było w tych pokojach z Mariną, z którą zawsze mógł porozmawiać, której mógł dotknąć, w pokojach, gdzie Rosja nie była tak wielka i tajemnicza. Tyle gniewu wyparowało z niego, gdy siedział przy lampie i czytał o polityce i gospodarce, gdy tuż obok była żona w luźnej sukience ciężowej, gdy w rzece skrzyły się uliczne światła.

Tej nocy słyszeli przez sen głuchy grzmot. Dwa, trzy, cztery dudniące wybuchy, jakby obudziła się jakaś drzemiąca w niebie siła, obudziła się i przetoczyła przez noc. Lee leżał nieruchomo z otwartymi oczami i czekał, aż Marina się odezwie, wiedząc, co powie, słowo po słowie.

- Alek, co to było?
- Doszedł ich ostatni pomruk grzmotu.
- Wysadzają w powietrze pomnik waszego wodza.

Kadrowy Tyszkiewicz oznajmił obywatelowi Oswaldowi, że jego wyniki pracy są niezadowolające. Że obywatel Oswald nie wykazuje inicjatywy. Że obrusza się na pomocne wskazówki brygadzysty. Że jako ustawiacz nie zachowuje należytej ostrożności.

Dodał, że pisze na niego raport. Że wszystko to w nim wyłuszczy z adnotacją, że obywatel Oswald nie udziela się w fabrycznym życiu towarzyskim.

Ani śladu Aleka. Ani słowa. Ani jednego znaku, który wskazywałby, że Alek wie, iż Oswald w ogóle żyje.

Znalazła go matka. W liście napisała, że został karnie wydalony z Korpusu Piechoty Morskiej.

Lee z kolei napisał do brata, pytając, czy rząd zamierza przedsięwziąć przeciwko niemu jakieś kroki.

Napisał do ambasady amerykańskiej, prosząc o pożyczkę, żeby mógł wrócić z rodziną do kraju.

Napisał też do matki i poprosił, żeby poświadczyła pod przysięgą za Marinę.

Napisał do senatora Johna Towera z Teksasu i do Międzynarodowego Komitetu Pomocy.

Cały ten papierkowy proces, niekończący się labirynt systemu, wszystkie te dokumenty w trzech kopiach – mozolna praca, jaką musiał włożyć w ich odcyfrowanie i wypełnienie.

Napisał do Johna B. Connally'ego Juniora, bo myślał, że Connally jest sekretarzem marynarki wojennej. Tak naprawdę był gubernatorem Teksasu.

Przyszła Marina z broszurowym wydaniem książki doktora Spocka, które przysłała jej przyjaciółka z Anglii. Usiadła obok i zaczął jej tłumaczyć fragmenty na rosyjski. Powiedziała, że rodzenie jest kobietą tajemnicą, jak coś, co dzieje się na dnie oceanu, w przyćmionym świetle i w cichej wodzie, jedyną tajemnicą, której nie rozwiąże nawet ktoś, kto zna biologię.

Doktor Spock napisał: „Nie bój się swego dziecka. Rodzi się ono jako istota rozsądna i przyjazna”.

Marina patrzyła na niego, gdy to tłumaczył. I po raz pierwszy zdawała się pytać: Co to za kraj ta Ameryka?

Wrócił do swego listu. Czy mógł powiedzieć sekretarzowi, że był fałszywym uciekinierem? Chciał naprawić krzywdę, jaką wyrządzono jemu i jego rodzinie. Znał swoje prawa. Chciał, żeby przyjęto go z powrotem do wojska albo zwolniono ze służby z jednoczesnym zachowaniem

wszystkich zasług. Ale biorąc pod uwagę to, że nieustannie przechwytywano jego listy, czy mógł napisać, że wywiad marynarki wojennej wysłał go do ZSRR, że kazał mu tu żyć życiem zwykłego robotnika, obserwować funkcjonowanie systemu, fotografować rejony o wartości strategicznej i prowadzić codzienne, szczegółowe zapiski?

Już widział, jak siedzi pod frędzlistą flagą w jego gabinecie, jak rozmawia z tym przyjaznym Teksańczykiem o uczciwych oczach i kwadratowej szczęce.

Świt. Budzi mnie Marina. Nadeszła jej pora.

Doświadczenie to miało swoją formę, poczucie uświęconej przez pokolenia tradycji, jakby był własnym ojcem, który stoi w słabo oświetlonym korytarzu, czekając na syna. Na Roberta Oswalda. Drugi syn miał się urodzić dopiero dwa miesiące po jego śmierci.

Natychmiast napisał do brata.

Mam córkę, June Marinę Oswald, 3,28 kg – urodziła się 15 lutego 1962 o dziesiątej rano. I co ty na to?!

No, ale ty ciągle mnie wyprzedzasz, chociaż próbuję cię dogonić. Ha, ha.

Co u ciebie? Słyszałem w głosie ameryki, że zwolnili tego Powersa od U-2. Dla was to pewnie wielka nowina. Kiedy widziałem go w Moskwie, wyglądał na miłego, bystrego faceta, typowego amerykańczyka.

Kiedy Marina była w szpitalu, położył drugą warstwę farby na starą kołyskę. Odkurzył i wyszorował całe mieszkanie, wszystko poprał, wyprasował jej bluzki i spódnice. Te urzędasy zaparły się, żeby córka miała dwa imiona i żeby to drugie pochodziło od pierwszego imienia ojca. Postawił kołyskę obok łóżka i noc w noc spał ledwie centymetry od swojej June Lee.

Wciąż jako dyslektyczny i trochę już zdesperowany bezpaństwowiec, wstał w środku pewnej wiosennej nocy i zaczął pisać Dziennik Historyczny.

Napisał go w dwóch podejściach, robiąc o czwartej przerwę na kawę. Chciał wytłumaczyć się przed potomnością. Ludzie mieli kiedyś przeczytać te słowa i zrozumieć obawy i dążenia człowieka, który chciał tylko naocznie sprawdzić, jak wygląda socjalizm.

Dziennik był pożegnaniem z Rosją. Oficjalnym końcem ważnego rozdziału jego życia. Wartościował rosyjskie doświadczenie, ponieważ spisywanie każdej historii nadaje wydarzeniom formę i kształt.

Pisząc drukowanymi literami, wyobrażał sobie, jak go ludzie czytają – ludzie wzruszeni jego samotnością i rozczarowaniem, a nawet koszmarnymi błędami ortograficznymi i chaosem dziecinnej kompozycji. Niechaj dostrzegą w Dzienniku jego walkę i poniżenie, wysiłek, jaki musiał wkładać w ułożenie prostego zdania. Gęsto zapisane strony, strony poplamione i niecierpliwe – prawdziwy obraz stanu jego umysłu, jego gniewu i frustracji: wiedzieć coś i nie potrafić tego dobrze ująć.

Zaczął od pierwszego dnia, od jesieni 1959 roku, od razu skacząc na głęboką wodę i pisząc z dziecięcym rozgorączkowaniem, w którym na wpół sny, sny spływające kolorami, były stanem czystszej wiedzy. Gdy głosem Hidella, teatralnie i z autoironią, pisał o swojej próbie samobójczej, czuł, jak raz po raz eksplodują w nim małe ładunki podniecenia. Bo ten głos był głosem prawdziwym i tylko nim mógł opisać ów epizod. Słyszał go już wtedy, patrząc, jak jego krew miesza się z wodą w wannie (*gdzieś na górze grają skrzypce*), dlatego bez namysłu wykorzystał go i teraz, pocąc się w piżamie przy kuchennym stole.

I zawsze ten mózół, ten kompozycyjny chaos. Nie potrafił znaleźć żadnego porządku na płaszczyźnie usianej malutkimi symbolami. Widział je jak z zamglonej dali. Nie dostrzegał dobrze czegoś, co zwie się pojedynczym wyrazem. Wyraz jest wizerunkiem słowa. Tymczasem on widział jedynie odstępy, niekompletne zarysy i próbował domyślić się reszty.

Usiłował sylabizować fonetycznie, na oślep. Ale język oszukiwał go swoją nielogicznością. Lee bezsilny patrzył, jak zdania się rozpadają, i nie potrafił temu zapobiec. Natura rzeczy miała pozostać nieuchwytna. Rzeczy umykały jego percepcji. Nie potrafił zatrzymać uciekającego świata.

Wszędzie przeszkody. Wszędzie napotykał mur własnej niedoskonałości. Był wybrakowany, ograniczony, ciągle musiał szukać odpowiednich słów. Dużo wiedział. Nie żeby nie wiedział.

Wyszedł z kawą na balkon. Wiał wiatr i wilgotna od potu piżama przywarła do ciała. Przewrócone na bok „N” staje się „Z”

Nawet w pośpiechu, z jakim zapełniał te strony, pamiętał, żeby nie wspominać na nich o sprawach, które tamci mogliby wykorzystać jako argumenty prawne po jego powrocie do Stanów. Tak, dziennik był do pewnego stopnia wyrachowany, jednak Lee wierzył, że jest to dokument z gruntu prawdziwy. Prawdziwa była panika, głos rozczarowania i straty.

Wiedział, że są w nim rozbieżności i pomyłki w datach. Ale nikt nie miał prawa oczekiwać, że po tak długim czasie będzie je dobrze pamiętał, nikt się nimi nie interesował, nikt nie będzie czytał tego dla nazwisk, dat czy ortografii.

Niechaj dostrzegą w tym walkę.

Mocno wierzył, że jego życie zmieni się kiedyś tak bardzo, iż ludzie będą studiowali ten dziennik w poszukiwaniu klucza do serca i umysłu człowieka, który go napisał.

– Po raz ostatni odetchnąć powietrzem Rosji. Alek, to będzie straszne.

– Twoje przyjaciółki już ci zazdroszczą.

– Na dworcu będzie tak smutno, że nie wiem, jak to wytrzymam. Nasi najlepsi przyjaciele na peronie. Nikt nie uwierzy, że naprawdę wyjeżdżam. Wujek i ciocia będą tacy nieszczęśliwi. „Marinoczka, to jest jak wyprawa w kosmos”. Nie mogę o tym myśleć.

– Dają głowę, że będą płakali z zazdrości.

– Chciałabym, żeby rzucali kwiatami, kiedy pociąg ruszy. Żeby wszędzie unosiły się białe płatki narcyzów. W powietrzu musi być pełno kwiecica.

Wybiegała wyobraźnią naprzód. Dworzec, granica, okręt. Ale dalej wybiec nie umiała. Nie potrafiła ogarnąć umysłem niczego, co wyglądałoby jak ich przyszły dom.

Mąż siedział przy kuchennym stole i pisał.

Napisał *Kolektyw*, szczegółowy, ponad czterdziestostronicowy esej o życiu w Rosji, o życiu w Mińsku, o żelaznej dyscyplinie w fabryce. Sporządzał statystyki i zadawał Marinie setki pytań o ceny żywności, zwyczaje i tak dalej. Chciał przeanalizować temat kontroli, dominacji partii nad wszystkimi aspektami życia w Związku Radzieckim.

Napisał *Nową erę*, krótki opis zburzenia pomnika Stalina w Mińsku.

Robił notatki do eseju o „mordowaniu historii” o straszliwym marszu sowieckiego komunizmu. O deportacjach, masowych eksterminacjach, o prostytuowaniu się kultury i sztuki, o „celowych ograniczeniach diety żywieniowej w zaniedbanym konsumpcyjnie społeczeństwie”.

Wyjeżdżając, Marina płakała. Na wpół ukryty w tłumie, obserwował ich jakiś mężczyzna. Czy to jej były chłopiec, Anatol, z wiecznie rozwichrzonymi jasnymi włosami, który kiedyś się jej oświadczył i który całował tak, że kręciło się w głowie, czy może KGB?

Gdy dojeżdżali do polskiej granicy, Lee wyjął swoje bruliony, eseje i zapiski i zaczął wpychać je do spodni i pod koszulę. Krocze miał absurdalnie wymoszczone papierem. Do przedziału

weszło dwóch rosyjskich celników i Marina skierowała ich uwagę na dziecko. Celnicy pobieżnie przeszukali bagaż i życzyli szczęścia.

Na pokładzie M/s „Maasdam” Lee pisał dalej. Od Rotterdamu do Nowego Jorku. Pisał przemówienia, które mógłby kiedyś wygłosić jako ktoś, kto przez długi czas żył zarówno w kapitalizmie, jak i w komunizmie.

Napisał wstęp do *Kolektywu*.

Napisał szkic zatytułowany *O autorze*. Autor jest synem pracownika firmy ubezpieczeniowej, którego przedwczesna śmierć „spotęgowała dalekosiężne i silne ciągoty do niezależności wywołane przez biedę”.

Kobiety na statku były Amerykankami i Europejkami, nowoczesnymi i kolorowo ubranymi. W ich towarzystwie Marina wyglądała jak mała dziewczynka, drobna, zaniedbana, taszcząca dziecko w topornym rosyjskim beciku. Mieli kabinę trzeciej klasy i cały czas tam siedziała. Wychodziła tylko na posiłki.

– Czy powinnam już uczyć się angielskiego? – pytała.

Wczesnym rankiem 13 czerwca – czerwiec to June, a właśnie tak miała na imię ich córka – Lee wyszedł na pokład, żeby popatrzeć, jak z morza wynurza się południowy kraniec Manhattanu, łuk stłoczonych we mgle szerokich budowli. Widział to, co oglądał Lew Trocki pod koniec swego drugiego wygnania w 1917 roku: zarys Nowego Świata. Mieszkając w Rosji, prawie o nim nie myślał. Ale teraz wyczuwał obecność jego ducha. Trocki szukał schronienia. Wyrzucony z Europy. Ścigany przez tajną policję. Wpłynął na Wall Street zardzewiałym hiszpańskim parowcem.

Lee bał się, że na nabrzeżu Hobokena będzie czekać na niego policja. Oto uciekinier z żoną dziadówką i zabiedzonym dzieckiem. Był na to przygotowany: miał dwa zestawy odpowiedzi, które napisał i których nauczył się na pamięć w okrętowej bibliotece. Jeśli wyczuje, że wpuszczą go do kraju jak zwykłego, niewinnego podróżnika, udzieli odpowiedzi przyjaznych i neutralnych politycznie. Ale jeśli władze będą wrogo nastawione, jeśli spróbują przyprzeć go do muru, jeśli dysponują informacjami na temat tego, co robił w Moskwie, zareaguje z przekorą i pogardą. Podkreśli, że ma prawo do swoich przekonań. Wytrzyma ich atak, wyszydzi ich, spojrzy im prosto w te kaprawe, policyjne oczka i powie, co o nich myśli.

Przez portowy świt płynął holownik; pojawiły się mosty i pirsy, światła na autostradzie wzdłuż rzeki Hudson.

Gdyby tylko udało im się dotrzeć do Teksasu, wszystko byłoby dobrze.

Część druga

Ktoś będzie mnie musiał poskładać...

Jack Ruby
z zeznania

15 lipca

Umiiała znikać. Można było być z nią w pokoju sam na sam i zapomnieć, że tu jest. Zapadała w bezruch, wtapiała się w rzeczy. T-Jay lubił sobie wyobrazać, że jest to umiejętność, którą doskonaliła od lat.

Stała przy oknie, jedząc winogrona z rozerwanej z boku papierowej torebki. Norfolk leżało za granicą. Przyjeżdżali tu rekruci z Farmy, żeby ćwiczyć się w mrocznych sztukach walki. Włamania, martwe skrytki kontaktowe, śledzenie, audiopenetracja. Newport News i Richmond też leżały za granicą. Baltimore nie zawsze, raz tak, raz tak. Ale T-Jay nie przyjechał tu, żeby nadzorować włamania i wystawiać rekrutom stopnie.

Siedząc na łóżku, dziewczyna rozdawała karty do pokera i grała sama ze sobą, na cztery ręce. Powiedziała, że pochodzi z Formosy, i wyglądała na tyle młodo, że mogłaby być sierotą wojenną z ogłoszeń publicznych. Trzeci raz odwiedzał ten kiszkowaty pokój. Miała na sobie podkoszulek z napisem „USS «Dickson»”, chociaż nie zauważył, kiedy go włożyła. Jej nagość nie raziła, była tak naturalna, że aż bezwiedna. Można by pomyśleć, że ta dziewczyna nigdy się nie ubierała.

Trzasnęła czasopismem w ścianę, próbując zabić muchę. Kilka sekund później znowu o niej zapomniał.

Nad każdą tajemnicą krąży widmo zdrady. Prędzej czy później ktoś osiąga taki stan, że chce powiedzieć to, co wie. Mackey nie ufał Parmenterowi. Takich jak Parmenter było tysiące. Naprawdę zależy im tylko na pełnym brzuchu. Frankowi Vázquezowi też nie ufał. Przed inwazją Frank szpiegował na jego rozkaz swoich rodaków uchodźców. Trudno go było rozgryźć. Miał serce *chivato*, małego donosiciela o gębie beczącego kozła, ale gdy już kogoś sobie upatrzył, potrafił być bardzo zdecydowany. Mackey nie ufał i Davidowi Ferriemu.

Ferrie wiedział, że to Guy Banister dostarcza potrzebną do operacji broń. Prawdopodobnie wiedział też, że Banister ma przetrzącać gangsterskie pieniądze z Nowego Orleanu, gotówkę na utrzymanie grupy snajperów. Im większa tajemnica, tym większe zagrożenie, przynajmniej z kimś takim jak Ferrie. Poza tym trzeba było zwerbować jeszcze kilku. Któryś z nich prędzej czy później znajdzie się w tym punkcie i zdradzi. Wiedział, jak myślą ludzie, którzy uczestniczą w spiskach uknutych przez innych. Oni po prostu chcą się zdradzić, zdradzić się szeptem przed kimś, kto stoi w cieniu.

Przysunął krzesło bliżej łóżka i zagrał z nią w pokera. Tylko skąd to wrażenie, że psuje jej zabawę? Miała krótko ostrzyżone włosy, wąskie biodra i niedbały, niemal lekceważący sposób bycia, coś w rodzaju cielesnego slangu, czym próbowała pewnie naśladować miejscowy styl. Chodziła jak dziewczyna z wózkiem w supermarkecie.

- Nauczę cię grać w remika. We dwoje lepiej się gra.
- Po co? Wracasz tu?
- Może.
- A może nie.
- Może i nie.
- Więc po co mi remik?

Podobało mu się, że kurwy są takie głębokie. Szanował je. Były bardzo bystre i szybkie – tak jak to, co robiły – i czasami miał wrażenie, że potrafią powiedzieć o nim coś, czego sam o sobie nie wiedział. Miały dostęp do nagich faktów. Był przy nich ostrożny i pełen szacunku.

Wzięła go za rękę i przytknęła dłoń do swojej dłoni. Początkowo nie zrozumiał, o co jej

chodzi. I nagle zdał sobie sprawę, że dziewczyna porównuje ich wielkość. Roześmiała się, widząc różnicę.

– Co cię tak bawi?

Odparła, że jego ręka, że jest zabawna.

– Dlaczego akurat moja? – spytał. – Dlaczego nie twoja? Jeśli różnica jest aż tak duża, może to ty jesteś śmieszna, nie ja.

– Nie, to ty jesteś śmieszny – odrzekła Lu Wan.

Potem porównała ich lewe ręce i opadła na łóżko, zanosząc się śmiechem. Może myślała, że są przedstawicielami dwóch różnych gatunków. Że jeden z nich – i na pewno nie ona – jest gatunkiem egzotycznym.

Piwo zrobiło się ciepłe. Potrząsnął butelką i spojrzał na Lu Wan.

– Sklepy już zamknięte – powiedziała.

To Everett zrobił pierwszy krok. Wrócił do odważnego niegdyś planu zorganizowania zamachu na Fidela Castro, przeanalizował go i stwierdził, że jest prymitywny i nierealistyczny. Przedsięwzięcia środki zaradcze i zaproponował wprowadzenie zmian, dzięki którym pomysł nabrał sensu na wszystkich poziomach. Tym, kogo tak naprawdę chcemy dopaść, jest JFK. Mackey chylił przed Everettem czoło. Był to człowiek skomplikowany i pełen pasji i umiał myśleć ekonomicznie. I w Langley, i w Miami wciąż pracowano nad planami zlikwidowania Castro. Powstało coś w rodzaju przemysłu, jak produkcja pulpy drzewnej albo butów. Everett dostrzegł logikę w tym, że trzeba załatwić to tutaj, u siebie. Myśl ta miała w sobie moc i głębię. Win nie chciał oczywiście zabijać Kennedy'ego w dosłownym tego słowa znaczeniu. Chciał tylko, żeby na ulicy padły strzały. Chciał, żeby z chirurgiczną precyzją spudłowali.

Drugi krok zrobił Mackey. Zaraz po tym, jak poznał plan Everetta, dwa lata po Zatoce Świń, jadąc samotnie w kierunku granicy z Luizjaną, w łagodnym wieczornym świetle, z ciemnymi okularami na desce rozdzielczej samochodu. Musieli zrobić jeszcze jeden krok. Obsesja Everetta ginęła w szczegółach technicznych. Plan był zbyt zawily, zbyt głęboki. Win chciał zbudować niekończący się labirynt. Jego plan był za bardzo wyrozumowany, zbyt skoncentrowany na samym sobie. Brakowało w nim pasji i uczucia. Musieli pójść na całość. Prawdziwym objawieniem było dla niego to, że w chwili, gdy czując podmuch powietrza uderzającego w maskę samochodu, zrozumiał, co trzeba zrobić, zalała go fala cholernie dziwnego współczucia dla pana prezydenta Jacka.

W lodówce był sok owocowy. Wypił trochę i podał jej butelkę. Lu Wan wytarła usta ręką, wypila i wytarła usta jeszcze raz. Na rzece zajączkał okrętowy buczonek. T-Jay odstawił butelkę, ona ściągnęła podkoszulek. Oparł kolano o łóżko, patrząc, jak Lu Wan niepostrzeżenie zmienia skórę. Jak znikają wszelkie ślady jej osobowości. Nie znał kobiety, która umiała tak kompletnie wtopić się w swoje własne ciało. Bo jej ciało potrafiło zmieniać kształt, zwijać się w kulkę, zrobić z seksu małą tajemnicę złożoną ze słonecznej poświaty i cienia. Rękę trzymał na nodze łóżka. Pieprzyli się na jakimś czasopiśmie i przywarło do niej kilka głośno szeleszczących kartek.

Stopniowo, poprzez małżeństwo, jako ktoś w rodzaju wędrownego członka organizacji paramilitarnej i dlatego, że wypadł z oficjalnych łask, stał się człowiekiem bez stałego adresu. Można by pomyśleć, że jest to powód do najgłębszej rozpacz. Dobijał czterdziestki, nie miał żadnych zobowiązań, nie miał nic, czym mógłby się pochwalić w tej pełnej ryzyka chwili. Mimo to, proszę: odpalał silnik samochodu przed długą podróżą na południe, dziwnie zadowolony, czując się tak, jakby posiadał nad wszystkimi przewagę. Miał też przed oczyma obraz Kennedy'ego i nikt nie wiedział nawet, że tu jest, on, człowiek, któremu płacono kiedyś za uczenie podstaw zabijania.

Win Everett siedział w pokoju córki, słuchając, jak mała czyta z książeczki ze składanymi domkami i drzewkami. Te czytelniane nasiadówki Mary Frances zostawiała dla niego. Denerwowało ją, że Suzanne czyta jak aktorka, bo uważała, że powinna po prostu czytać, a nie grać. Natomiast on śledził każde wypowiedziane przez córkę słowo. Jego twarz zmieniała się wraz z jej twarzą, wraz z coraz to innymi emocjami i rolami.

To niesamowite, jak te bajki na niego działały: przypominał sobie przy nich, jak to jest znowu być dzieckiem. Stwierdził, że może zatracić się w brzmieniu jej głosu. Sondował jej twarz, wierząc, że jest w stanie zobaczyć to co ona, linijka po linijce tej ponurej, złowieszczej bajki. Jaśniały mu oczy. Odczuwał radość tak wielką, że można by ją zmierzyć językiem anielskich rozkazów, językiem dominacji i mocy. Byli sami w pokoju, który sam w sobie też był sam, w pokoju, który zawisł nad światem.

Potem usiadł na dole i zaczął przeglądać czasopisma. Zdawał sobie sprawę, że odciął się od frontu operacji. Z Mackeyem rozmawiał za pośrednictwem Parmentera. Wraz z Parmenterem wysłał Mackeya na Camp Street 544, żeby sprawdzić, co się tam dzieje. Miał opory przed wykorzystaniem Oswalda. Chciał wiedzieć jedynie to, co musiał. Za bardzo oddalił się od pozostałych. Czyżby uznał, że jego plan zostanie zrealizowany środkami nie z tego świata? Popełnił ten sam błąd, jaki popełnili członkowie Senior Study Effort przed inwazją na Kubę. Nie wiedział, czy zdoła się z tego wycofać. Podświadomie chciał stracić nad tym wszystkim kontrolę. Uciec od strachu i złych przeczuc.

Spiski kierują się własną logiką. I zwykle kończą się czyjąś śmiercią; taką mają tendencję. Uważał, że idea śmierci jest wpleciona w naturę każdego z nich. W fabułę bajki też, nie wspominając już o intrydze, jaką jest zbrojny spisek. A im szczelniejszy spisek, tym bardziej prawdopodobne, że zakończy się czyjąś śmiercią. Fabuła natomiast jest sposobem na usunięcie śmierci poza karty książki, na jej okiełznanie, powstrzymanie. Starożytni rozgrywali pozorowane bitwy na podobieństwo ścierających się ze sobą burz, żeby mniej bać się bogów, którzy walczyli ze sobą w niebie. Niepokoiła go śmiertelna logika ich spisku. Wyraźnie podkreślił, że snajperzy mają postrzelić agenta ochrony, że mają go tylko powierzchownie ranić. Ale nie, to nie zbłąkanej kuli czy przypadkowej śmierci się bał. Bał się czegoś bardziej zdradliwego. Miał przeczucie, że wyczerpawszy wszystkie możliwości i sięgnąwszy granic, scenariusz spisku stworzy własne logiczne zakończenie.

Lansjer jedzie do Miami.

Przed drzwiami przeszła Mary Frances. Puściła wodę w kuchni. Potem usłyszał, jak szuka czegoś na schodach. Jeszcze potem włączyła radio. Zaraz przejdzie pod oknem, z konewką w ręku. Konewka była stara, poszarzała i pełna wgnieceń, a on czekał, aż żona wyjdzie z nią na ganek. Wytężył słuch. Wciąż była w kuchni. Wszystko w porządku. Dopóki wiedział, gdzie jest. Musiała być blisko, a on musiał wiedzieć, że tam jest. To były dwie wewnętrzne zasady.

Usłyszał znajomy głos w kuchennym radiu, głos z dawnych czasów – nie pamiętał nazwiska, wiedział tylko, że jest to ktoś sławny, że go zna, że w tle zawsze towarzyszył mu śmiech, i wytężywszy słuch, zastygł bez ruchu porażony złożonością odczuć, jaką niósł ze sobą ten głos z innej epoki, miękkki i wstrząsający, króciutki dowcip, który wzbudza stare wspomnienia.

Przewrócił kartkę.

Daty prezydenckiej podróży jeszcze nie ustalono. Ale Parmenter twierdził, że Kennedy na pewno pojedzie. Że chce jechać na Florydę, ponieważ w 1960 roku stan ten głosował na republikanów i ponieważ całe Południe wścieka się na niego za program praw obywatelskich. Cape Canaveral, Tampa, Miami. W Miami przejedzie ulicą kawalkada.

Mary Frances stanęła w drzwiach, w gumowych rękawiczkach i ze szczotką ryżową w ręku.

– Zauważyłeś ostatnio coś dziwnego? Sama nie wiem.

- Niby co?
- Suzanne. Ale to pewnie nic takiego.
- To do ciebie niepodobne.
- Takie zamartwianie się czymś na wyrost.
- Wszystko w porządku. Nic jej nie jest. To zdrowe dziecko.
- Z niezdrowymi odruchami.
- To znaczy?
- Nie wiem. Ale ostatnio.
- Co ostatnio?
- Wszędzie chodzi z tą Missy Tyler. Bywa, że praktycznie się przede mną ukrywają. Nie wiem, ale ostatnio jest tak zaaferowana, tak skryta, że zaczynam się martwić, czy nie ma w tym czegoś niezdrowego.
- Missy to ten mały, chudy rudzielec.
- Jest adoptowana. Chowają się po kątach i coś tam szepczą, tak z powagą. Ilekroć tu przychodzi, zmienia się nastrój. Jakbyśmy mieszkali w nawiedzonym domu. Zakrada się jakiś lęk. Coś chodzi po korytarzach. To chyba ja. Jestem tutaj bardzo podejrzana. Na mój widok obie natychmiast milkną.
- Mają swój własny mały świat. Suzanne jest marzycielska.
- Słucha Weirda Bearda, tego dyskdzokeja z Dallas.
- Co puszcza?
- Prowadzi listę przebojów. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, co mówi między piosenkami.
- Na przykład.
- To nie do powtórzenia. Jakby chciał powiedzieć: oto ja, oto jestem, i takie tam. To zupełnie inny język. Nie można jej wtedy oderwać od radia.
- A na Marsie żyją małe zielone ludziki.
- Wiem, to do mnie niepodobne. Ale zwykle nie martwię się bez powodu.
- Czytała mi przez czterdzieści minut non stop. To było niezwykle, niezwykle.
- „Tatusiu, jeszcze trochę, jeszcze trochę”.
- Przerzucałaś w tych rękawicach pluton?
- „Tatusiu, tatusiu, tak cię proszę”.

Poszedł na górę powoli i po cichu, jak to on. Miami miałyby swoją wymowę, swój wydźwięk. Miasto uchodźców, miasto niezagojonych ran. Prezydent chce przejechać ulicami otwartą limuzyną, ponieważ sondaże wskazują, że z każdą chwilą traci popularność. Chce pokazać się wśród tłumów w niebieskim lincolnie, z motocyklistami po bokach, z agentami ochrony w ciemnych okularach na stopniach wozu obstawy. Wstaje, żeby pomachać ludziom ręką. Żeby to wszystko uwiarygodnić, trzeba koniecznie postrzelić kogoś z tłumu albo któregoś z tych w okularach. Tym sposobem udowodnimy im, że to nie teatr. Starożytni jednoczyli się z naturą, naśladowując gwałtowne burze i nawałnice. Zjednoczenie z naturą to nasza najstarsza sztuczka. Myśl na dobranoc.

Konewka była zapiaszczona i miała brzydki, zadarty do góry dziobek.

Gdy zjrzał do sypialni, Suzanne jeszcze nie spała. U stóp łóżka leżała szmaciano-plastikowa zabawka, futbolista, którego nazwali Willie Wonder, taki w wypolerowanych na błysk spodniach i z ochraniaczami na ramionach. Win przekreślił kluczyk na jego plecach i Willie ruszył biegiem na drugi koniec łóżkowego boiska. Win relacjonował to podekscytowanym głosem, opisując, jak futbolista omija obrońców i blokujących, dodając ryk tłumów na trybunach i zaliczając mu przyłożenie, gdy ludzik upadł na poduszkę. Zdawało się, że fala zalewającej Suzanne radości powstaje w jej stopach, że sunie do góry aż do oczu, że powiększa je i rozjaśnia.

Gdyby tylko potrafił zaskakiwać ją tak dalej, miałaby powód, żeby kochać go wiecznie.

Mackey wjechał na zwodzony most na Miami River. Opony zajęczały na żelaznej kratownicy. W górę rzeki płynął w ciemności biały słup, mała tajemnica wdzięku i niewidzialności. Dwie przecznice za mostem zobaczył na zderzaku pierwszą nalepkę z napisem *Volveremos*. Puste ulice. Lepiące się do kierownicy ręce.

Zaparkował w bocznej uliczce, skręcił za róg i ruszył w stronę wielkiego parkingu. Odnalezienie Wayne'a Elko, głupio rozwalonego na tylnym siedzeniu czerwonej impali, zajęło mu dziesięć minut. Dach był opuszczony i Wayne gapił się w niebo.

– Jakim cudem tak łatwo tu wszedłem?

– T-Jay.

– Podobno robisz tu za stróża.

– Skąd się tu wziąłeś?

– Przejechałem półtora tysiąca kilometrów, żeby się z tobą zobaczyć.

– Już myślałem, że cię nie znajdę.

Mackey oparł się o samochód i spojrzał w stronę ulicy, jakby widok bosego, leżącego w barłogu Wayne'a był trochę za ponury na tę porę.

– Widziałem Rayma i tego jak mu tam. Szkolili nas razem w Everglades. Roi się tam od tych z Alpha 66. Trochę z nimi ćwiczyliśmy. Ani razu nie odwróciłem się do nich plecami, chyba że kiedy sikałem.

– Alpha nie będzie się nam naprzykrzać. Od dawna mam wśród nich dobre kontakty.

– Robisz w Agencji czy co?

– Już nie. Opchnąłem moją przyczepkę za parę dolców i przyjechałem. Jak nas teraz nazywają? Emerytami?

– Ćwiczymy z gównem, nie z bronią.

– Broń będzie.

– Gwiazdy są tam, kurwa, fantastyczne. Kocham Everglades za bezchmurne noce. To zupełnie inny świat. I te pikujące jastrzębie. Mógłbym pojechać tam jeszcze raz. Od spania w samochodzie boli mnie krzyż.

– Niedługo będą pieniądze. Mamy zaprzyjaźnionego sponsora.

– Kiedy służyłem w Interpenie, mieliśmy kasę na hotel i kasyno.

– Facet jest z Nowego Orleanu.

Mackey nie ufał Guyowi Banisterowi. Ten niegdyś zdolny człowiek stał się wybuchowy i chwiejny w swej nienawiści. Dostarczał pieniądze i broń, ale na pewno nie wesprze ich w ciemno. Mackey będzie musiał mu powiedzieć, kim jest cel, albo ten cel wymyślić. Tak czy inaczej, groziła mu zdrada. Guy działał na rzecz stu spraw i należał do stu różnych organizacji politycznych. Miał wpływy na lewo i prawo. Nierozsądnie byłoby oczekiwać, że ktoś taki będzie śledził rozwój wydarzeń z założonymi rękami. Na pewno zechce wziąć w nich aktywny udział. Mógłby uwolnić siły, które zagroziłyby zwartości systemu, jaki Mackey chciał stworzyć.

Nie ufał też Wayne'owi Elko. Nie żeby Wayne mógł świadomie zdradzić. Chodziło o jego temperament, nieprzewidywalność. Wayne miał dar do wielkich nawałek. Poza tym łatwo wpadał we wściekłość. Miał w sobie coś ze zmił. Pociągając zapadły policzek, mówił, gadał bez ładu i składu i nagle się obrażał. A należał do tych, co obrażają się na poważnie. Był kościsty, patykowaty. No i te jego starcze, wytrzeszczone oczy. To przekonanie, że przynależy do kasty wojowników. Mackey czuł, że na jego rozkaz Wayne zrobi wszystko, pod warunkiem że będzie to coś, co uzna za ostateczne wyzwanie.

– Mieliśmy tam trochę broni krótkiej – powiedział. – Kazali mi strzelać z pistoletu do

ruchomego celu. O ile pamiętam, to ty tak chciałeś.

Wykonując swoją misję, Wayne na pewno nie znajdzie się w pobliżu prezydenta. Chociaż zwykle pracował na bliski zasięg. Najważniejsze to dopasować człowieka do zadania. Wayne był typem zabójcy intymnego.

W Fort Worth

Nosiła szorty jak każda amerykańska gospodyni domowa. Początkowo myślała, że to tylko sen, to, że może chodzić po ulicach z gołymi nogami, krótko ściętymi włosami i oglądać te wszystkie wystawy. Widziała na nich rzeczy, które w Rosji mógł kupić jedynie ktoś nieskończenie bogaty, ktoś, kto ma szafę wypchaną pieniędzmi. Wiedziała, że żyje za krótko, żeby cokolwiek porównywać, poza tym Rosja straszliwie ucierpiała podczas wojny, ale nie mogła nie widzieć tych wszystkich mebli, tych rzędów półek zavalonych ubraniami, nie mogła się temu nie dziwić.

Mieli bardzo mało pieniędzy, byli praktycznie bez grosza. Ale radość sprawiało jej samo to, że może przejść się między półkami w Safewayu niedaleko domu Roberta. Te torby z mrożonkami. Te kolory, ta obfitość.

Pewnego wieczoru, wróciwszy do domu po całym dniu poszukiwania pracy, Lee wpadł w gniew. Powiedział, że żona amerykańszczyje mu w rekordowym tempie.

Byli jak inni ludzie, ludzie po raz drugi rozpoczynający życie. Jeśli się kłócili, to tylko dlatego, że tu, w Ameryce, był zupełnie inny, że tylko tak potrafił kochać.

Neony były prawdziwym objawieniem, te wesołe światła w oknach i nad zadaszonym wejściem do kina.

Pewnego wieczoru, na spacerze, przechodzili przed domem towarowym i gdy Marina spojrzała w okno wystawowe, zobaczyła coś niezwykłego, coś tak dziwnego, że musiała przystanąć i popatrzeć jeszcze raz, że musiała mocno chwycić męża za rękę. Poczula się, jakby ktoś przewrócił świat na lewą stronę. Na ekranie telewizora widzieli samych siebie. Była w telewizji. Lee też, bo stał tuż obok niej z June na rękach. Popatrzyła na nich na żywo, potem znowu przeniosła wzrok na ekran. Widziała, jak Lee mości córkę w zagłębieniu ramienia, widziała przechodzących w tle ludzi. Obejrzała się, żeby na nich popatrzeć, sprawdzić, czy na pewno są to ludzie z telewizora. Wiedziała, że tak, mimo to musiała spojrzeć. Nie przypuszczała, że coś takiego może się kiedykolwiek zdarzyć. Wyszła z kadru i zaraz wróciła. Popatrzyła na Lee i June na ekranie telewizora, a potem popatrzyła na nich tak normalnie. Znowu wyszła z kadru, znowu wróciła, znowu wyszła i znowu wróciła. Zdumiewało ją, że za każdym razem jest w telewizji.

Lee stał przed domem Roberta i patrzył na idącą ku niemu matkę. Robiła wrażenie niższej, okrągłej, miała siwe włosy i upinała je teraz w kok. Pracowała jako pielęgniarka i przyszła cała na białe, w czepku i okularach w ciemnych oprawkach. Był to oficjalny uniform macierzyństwa i wyglądała w nim jak spadający z nieba anioł, który sieje przerażenie i budzi wspomnienia.

Objęła go z płaczem. Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu w oczy. W zwięzającej się ku dołowi szczęce i rzednących włosach szukała straconego syna. Jej miłość i ból wprawiły go w zakłopotanie. Uczucia i więzy krwi. Litość walczyła w nim z żalem.

Powiedziała, że pisze książkę o jego ucieczce.

Jednego dnia mieszkali z Robertem, następnego już z matką. Nie wiedział, jak to się stało. Wynajmowała mieszkanie na tyle duże, że się tam pomieścili, chociaż ona musiała spać w saloniku. Łóżko w saloniku – jakby znowu był małym dzieckiem, i pewnej nocy, kiedy Marina i June już zasnęły, długo ze sobą rozmawiali, matka i syn.

– Nie wygląda na Rosjankę.

– Ale nią jest, mammo.

– I jest śliczna.

– Podziwia cię. Mówi, że tak tu czysto i porządnie. Że podobają się jej twoje miękkie włosy. Ale tej książki to nie pisz.

– Pojechałam spotkać się z prezydentem Kennedym. Wszystko posprawdzałam, zrobiłam rozeznanie. Uciekłeś, ale znalazłam wiele okoliczności łągodzących.

– Mammo, nie będziesz nic pisała.

– To moje życie i musiałam nim żyć, nie wiedząc nawet, czy żyjesz. O tym, co moje, mogę napisać.

– Ona ma krewnych, narazisz ich na niebezpieczeństwo.

– Na niebezpieczeństwo. Ale dałeś dziesięć dolarów maszynistce, żeby przepisała twoją.

– To zupełnie inna książka.

– Ale o Rosji, o niegodziwościach tego systemu.

– To zupełnie co innego. Zatyłowałam ją *Kolektyw*. Piszę w niej o warunkach życia i pracy. Pozmieniam nazwiska, żeby nikt z tych ludzi nie ucierpiał. Tylko nie pomyśl, że nie doceniamy tego, że kupiłaś ubranka dla dziecka, że gotujesz, że nas karmisz, i w ogóle.

– Dałam ci dziesięć dolarów, a ty dałeś je maszynistce.

– Ta książka zawiera moje spostrzeżenia, mammo. Mam dług w Departamencie Stanu, bo pożyczyłem od nich na powrót do domu. Robert zapłacił za nasz przelot z Nowego Jorku. Szukam tylko sposobów na spłacenie długów.

– Mam prawo napisać książkę – odparła. – Prezydenta wtedy nie było, ale podczas tej śnieżycy rozmawiałam z kimś z rządu i ten ktoś obiecał mi, że zajmą się tą sprawą.

– To tylko artykuł, nie książka. Maszynistka przepisuje moje notatki. Jest ich bardzo dużo.

– Ile stron przepisała?

– Dziesięć. Na tyle mi starczyło.

– Dolar za stronę to rozbój na prostej drodze.

– Przeszmugłowałam te notatki przez rosyjską granicę, pod koszulą.

– Marina oglądała ze mną film z Gregorym Peckiem i wiedziała, kto to jest.

– No to co? Wszędzie go znają.

– Żeby rozmawiać, musimy korzystać ze słownika.

– Pomału się nauczy.

– Myślę, że rozumie dużo więcej, niż się nam wydaje.

Znalazł pracę jako blacharz; brud, harówka, długi dzień pracy, niskie zarobki. Przeprowadzili się do własnego mieszkania w połówce drewnianego, umeblowanego bungalowu naprzeciwko parkingu dla ciężarówek i ramp przeładunkowych Montgomery Ward, tych od hurtowni i sprzedaży wysyłkowej. Marina robiła zakupy w sklepie detalicznym. Chodziła między półkami. Opowiadała mężowi, jak tam chłodno i spokojnie, że gra muzyka.

Na ich ulicy stały same bungalowy. Wszyscy nazywali ją Mercedes Street. W agencji wynajmu mówili Mercedes Street. Na planie miasta Lee też tak napisali. Ale na stojącym na skrzyżowaniu słupie była tabliczka z napisem „Mercedes Avenue”.

Siedział na betonowych schodach obok małej juki i przeglądał rosyjskie czasopisma.

Przyszła matka z krzeselkiem dla dziecka. Przyszła z naczyniami. Powiedział jej, że nie chce od nikogo jałmużny. Przyniosła papużkę w klatce. Tę samą papużkę w tej samej klatce, którą dał jej w Nowym Orleanie, kiedy pracował jako goniec.

Ciągle prześladował go cień dawnego życia.

– Dość tego – powiedział żonie. – Nie otwieraj drzwi.

- Jak bym mogła? Przecież to twoja matka. Jest dla nas dobra.
- Nie otwieraj. Bo niedługo się tu wprowadzi. Nie wolno jej wpuszczać. Przychodzi tu z aparatem i robi zdjęcia naszej córce.
- Jest jej babką.
- To wstęp do przeprowadzki.
- Alek, to tylko zdjęcie.
- Zawsze umiała się wkręcić. A teraz wkręca się ukradkiem do naszego domu.
- Nie chcesz, żeby tu przychodziła, jednocześnie za każdym razem ją wykorzystujesz.
- Po to są matki.
- To okrutne, Alek.
- Tylko żartuję, i przestań mnie tak nazywać. To nie jest kraj Aleka. June to nie Junka. Ludzie pomyślą, że nie znasz imion członków własnej rodziny.
- Kiedy podnosisz na nią głos, nie wygląda to tak, jakbyś żartował.
- To są amerykańskie żarty, musisz nauczyć się je rozpoznawać. Tak ze sobą rozmawiamy.
- Przez całe życie ciężko pracowała.
- Powiedziała ci to ze słownikiem. Ty i mamoczka.
- Wiem. To dla mnie zupełnie oczywiste.
- Zupełnie oczywiste to tylko połowa tej historii.
- A jaka jest druga połowa?

Uderzył ją w twarz. Otwartą dłonią i tak mocno, że zatoczyła się na kuchenkę. Stała tam skulona, z ręką podniesioną w geście kompletnego zaskoczenia.

Jakiś mężczyzna zagadał do niego przez siatkę w drzwiach. Lee przyjrzał się jego nalanej twarzy, która wystawała znad rzędu legitymacji, które trzymał pod podbródkiem. Donald Freitag. Federalne Biuro Śledcze. Ciemne oczy i popołudniowy zarost. Uzgodnili, że porozmawiają w samochodzie.

Za kierownicą czekał ten drugi, agent Mooney. Agent Freitag usiadł z przodu. Lee z tyłu, nie zamykając drzwi. FBI. Federalni. Fedzie – takie słowo przyszło mu do głowy. Była pora kolacji, panował upał.

- Chcielibyśmy pogadać o pańskim pobycie w Związku Sowieckim – zaczął agent Freitag. – I o tym, kto się z panem kontaktował po powrocie.
- Chcicie wiedzieć, czy mam jakieś poufne wiadomości.
- Zgadza się.
- Montuję wentylatory. To nie jest tajna praca.
- Zdziwiłby się pan, dla ilu ludzi pańskie nazwisko jest nazwiskiem zdrajcy i sprzedawczyka.
- Oświadczam panom, że przedstawiciele sowieckich władz nie wypytywali mnie o przebieg mojej służby wojskowej. Dobrowolnie też nic im nie powiedziałem.
- Po co pojechał pan do Związku Sowieckiego?
- Nie chcę wracać do przeszłości. Po prostu pojechałem.
- Daleka wyprawa.
- Nie muszę się przed wami tłumaczyć.
- Czy jest pan członkiem Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych?
- Nie.

Agent Mooney robił notatki.

- Czy zechce pan poddać się badaniu na wariografie?
- Nie. Kto wam powiedział, gdzie mnie szukać?
- To nie było takie trudne.
- Ale kto?

- Rozmawialiśmy z pańskim bratem.
- I powiedział wam, gdzie mieszkam.
- Zgadza się – odparł z satysfakcją Freitag. Nad jego górną wargą lśniły kropelki potu.
- Zamierzacie mnie śledzić?
- Nawet gdybyśmy zamierzali, myśli pan, że bym pana uprzedził?
- W Rosji mnie śledzono.
- Myślałem, że w Rosji wszystkich śledzą.

Agent Mooney roześmiał się cicho i podskoczyła mu głowa.

- Żona czeka na mnie z kolacją – powiedział Lee.

– Jakim cudem udało się panu ją stamtąd wydostać? Oni nie wypuszczają ludzi ot tak, na prośbę.

- Z nikim się w tej sprawie nie układałem.

Poruszyli kilka tematów. Potem Freitag dał partnerowi ledwo dostrzegalny znak i ten odłożył notes i długopis. Pauza. Wyczuwalna zmiana nastroju.

– Chodzi nam głównie o to, że gdyby ktoś spróbował się z panem skontaktować, chcielibyśmy o tym natychmiast wiedzieć.

- Chcielibyście, żebym dał wam znać.

– Jeśli ktoś przejawia zainteresowanie marksizmem czy komunizmem, prosimy go o współpracę.

- To znaczy, że próbujecie zwerbować mnie jako informatora. Tak?

- Prosimy pana o współpracę.

- A więc jeśli ktoś się ze mną skontaktuje...

- Właśnie.

- Mam poinformować Biuro.

- Zgadza się.

Powiedział, że to przemyśli. Wysiadł i zamknął drzwiczki. Przechodząc na drugą stronę ulicy, zerknął na tablicę rejestracyjną. W domu zapisał numer w notatniku wraz z nazwiskiem agenta Freitaga. Potem odszukał w książce telefonicznej numer placówki FBI w Fort Worth i zapisał go pod jego nazwiskiem i numerem rejestracyjnym samochodu tylko po to, żeby zapisać, żeby powiększyć swoje archiwum.

Marina zawołała go na kolację.

Siedział w kącie wielkiej sali i patrzył, jak jedzą i rozmawiają. Rozmowom towarzyszył odgłos zucia. Kłębili się, mijali i kotłowali, Rosjanie, Estończycy, Litwini, Gruzini i Ormianie. Wieczór emigrantów, dwudziestu czy trzydziestu rodzin z okolic Fort Worth, ludzi mówiących po angielsku, rosyjsku i po francusku, nieustannie porównujących swoją przeszłość i wykształcenie. Na kolanach miał June.

Podczas tych wieczorów Marina zawsze wyglądała najładniej. Ludzie ją otaczali, wypytywali o nowiny. Przyjechała tu niedawno, podczas gdy inni mieszkali w Stanach od dziesięcioleci, od trzydziestu, a niektórzy nawet od czterdziestu lat. Starej gwardii imponowała swoją czystą ruszczyzną. Była drobna i delikatna; wyobrażali sobie, że każda Rosjanka jest jak kulomiotka, że ma potężne mięśnie, metr osiemdziesiąt wzrostu i że pracuje w wytwórni cegieł. Stała, paląc papierosa i popijając wino. Była w ubraniu, które od nich dostała. Dali jej kilka sukienek, pończochy i wygodne buty. Książka, której nie mógł przepisać na maszynie, bo nie miał pieniędzy, leżała w zapinanej na klamerkę kopercie w szafie – książka, a raczej zapiski, notatki na kawałkach papieru, zwykłego i pakowego – tymczasem oni dawali jej pieniądze na dentystę i pończochy. Pieniądz jest miarą wszystkiego. Całe życie poświęcają na gromadzenie rzeczy

materialnych i nazywają to polityką.

Patrzył, jak ściskają sobie ręce, jak się obejmują. Poskarżyli się jej, że nie przywitał się z nimi jak człowiek. Brali go za sowieckiego szpiega. Każdy, kto po powrocie z Rosji nie podzielał ich poglądów, był dla nich szpiegiem. A sami wierzyli w cadillaki i klimatyzację.

Dali mu parę koszul, które zwrócił.

Kilkoro z nich przychodziło teraz do jego domu, żeby zabrać Marinę do dentysty czy supermarketu. Żeby pokazać jej, jak robi się zakupy. Tu są odżywki dla niemowląt. A tu szwajcarski ser. Książki z biblioteki trzymał na stoliku przy drzwiach, gdzie wchodząc i wychodząc, musieli je zauważyć. Książki o Leninie i Trockim, no i czasopisma, „Militant” i „Worker” Niech wiedzą, kim jest. Ilekroć mówił o Rosji, słuchali go tylko wtedy, gdy mówił o niej źle. Skupiali się na tym co złe.

Usiadł koło niego George. Mógł rozmawiać tylko z nim, z Georgeem de Mohrenschildtem. Wysokim, ciepłym, pewnym siebie i pełnym wigoru mężczyzną, który smakował każdą rozmowę i mówił głosem, który otaczał go jak spokojny dzień.

– Wiesz, nie powiedziałaś mi praktycznie niczego o Mińsku.

– To niezbyt ciekawe miasto.

– Dla mnie ciekawe, bo mieszkałem tam jako dziecko. Za cara mój ojciec był marszałkiem szlachty prowincji mińskiej. Nie żebym z uporem wracał do tych bzdur. Ale pochodzę z bałtyckiej szlachty i niektóre z moich żon mnie za to uwielbiały.

– W Mińsku bywało, że musieliśmy stać w kolejce nawet po warzywa.

– Wolisz Teksas?

– Nie. To Marina woli Teksas.

– Chcesz wiedzieć, co to jest Dallas? Dallas to miasto, które dowodzi, że Bóg naprawdę umarł. Spójrz na tych ludzi, w większości zresztą cudownych, ale ludzie ci przyjeżdżają tu z wyboru i z wyboru wpadają w to puste, ponure, prawicowe środowisko. To tutejsza polityka tak ich przyciąga. Zantykomunizujemy to, zantykomunizujemy tamto. Zgoda, nacierpieli się, niektórzy strasznie. Znasz mój stosunek do marksizmu. Powiem ci szczerze, że słowo to i temat mnie nudzą. Trudno mi znaleźć coś bardziej nudnego. Ale obydwaj dobrze wiemy, że Związek Sowiecki wzbudza ciągły niepokój. Godzimy się z tym i godzimy się z realiami. Dla starej gwardii takiego kraju po prostu nie ma. Taki kraj nie istnieje. Jest ciemną plamą na mapie.

George – pięćdziesiąt kilka lat, wciąż ciemne włosy i szerokie bary – był nafciarzem, inżynierem czy kimś takim. W rozmowie z nim Lee lubił przechodzić z angielskiego na rosyjski. Jego żarty i kpiny go nie drażniły, słuchał nawet jego rad. Bo George umiał udzielać rad w taki sposób, że nie miało się wrażenia, iż chce, żeby mu potem przez tydzień dziękować.

– Marina mówi, że masz dużo notatek z Mińska. Notatek i czegoś jeszcze, ale nie zrozumiałem czego. Wrażen z pobytu w mieście czy czegoś w tym rodzaju.

– Mam wszystko to, czego dowiedziałem się z radia, oraz całą strukturę ich życia i pracy.

Jakaś kobieta wzięła June na ręce i zaczęła wydawać takie same odgłosy jak krewni Mariny, którzy potrząsali małą i coś tam do niej bełkotali.

– Wiesz – powiedział George – siedzę tu, patrzę na to cudowne maleństwo i nic na to nie poradzę, ale twoja córka wygląda jak Chruszczów. Jak mały Chruszczów o wielkiej łysej głowie i wąskich oczkach.

– Wolalbyś, żeby wyglądała jak Kennedy.

– Podziwiam Kennedy’ego. Moim zdaniem ten człowiek dobrze służy krajowi.

– Żeby wyglądała jak Jacqueline Kennedy.

– Jego żona też. Tak, i Jacqueline. Poznałem ją na Long Island, kiedy była małą dziewczynką. Urocze stworzenie. Chociaż, z drugiej strony, akurat ten prezydent jest w sprawach kobiet

libertynem. Nie żebym uważał, że to wada. Jestem ostatni z tych, którzy mieliby do tego prawo. Ale powiem ci coś o kobietach. Są takie, które kochają cię za twoje słabości. Właśnie za wady. A to, przyjacielu, oznacza kłopoty.

Lee stwierdził, że znowu ma na rękach June.

– Najważniejsze jest to – odparł – co Kennedy robi dla praw obywatelskich. Zaczął fatalnie, od klęski w Zatoce Świń. Ale chyba się czegoś nauczył.

– Zmienił się.

– Widziałem, jak nasi murzyńscy lekkoatleci zbierali dla kraju najwyższe laury, a potem wracali do domu.

– To, że siedzę w pokoju, gdzie nie ma ani jednego Murzyna, jest dla mnie poniżające – wtrącił George.

– Żeby stawić czoło ślepej nienawiści i dyskryminacji.

– Kennedy próbuje to zmienić. Robi to boleśnie wolno, ale robi. To poniżające, że nie mogę zaprzyjaźnić się z Murzynem bez konsekwencji wśród przyjaciół czy w pracy. Mieszkam w University Park. To miasto wydzielone. Jeśli próbuje się do nas wprowadzić murzyńska rodzina, władze miasta wykupują dom za dwu-, a nawet trzykrotnie wyższą cenę. I rodzina znika, do widzenia. Prawdziwe czary.

– A spójrz tylko, ilu Kennedy ma tu przeciwników.

– Szerzą się jak zaraza. Młode matrony opowiadają o nim złośliwe dowcipy. W ich oczach płonie dziwny ogień. To oczywiste, że pragną jego śmierci.

George przeszedł na drugą stronę sali, żeby objąć na powitanie starszego mężczyznę i kobietę. Lee uśmiechnął się na ten widok. Patrzył na ludzi, którzy z talerzami w ręku przebijali się przez tłum. Ktoś poczęstował Marinę papierosem z czarno-białej papierośnicy. Lee miał swoje archiwum. Napisał do pewnego mało znanego wydawnictwa z prośbą o przysłanie broszurki za dwadzieścia pięć centów: *Nauki Lwa Trockiego*. Odpisali, że nakład jest wyczerpany. Ale przynajmniej odpisali. Zachował ten list. Chodzi właśnie o to, że w ogóle chcieli odpisać. Tym sposobem zapoczątkował swoje archiwum.

Marina nigdy nie odmawiała papierosa.

Zamierzał napisać do Socjalistycznej Partii Pracy z prośbą o informację na temat ich celów i polityki. Trocki to czysta forma. Wysłać list i otrzymać pocztą te mało znane materiały – sprawiało mu to satysfakcję. Był to kanał łączności z życzliwymi duszami, z tajemnicą i władzą. Mógł dzięki niemu sięgnąć daleko poza życie w bungalowie i pracę w spawalni.

Należy do tych, co nigdy nie odmawiają. Przyjmowanie podarunków ją kręci. Weźmie papierosy, pieniądze, spinacze do papieru, znaczki pocztowe, wszystko to, co zechcą jej dać. To typ kobiety, która promienieje na widok najdrobniejszego podarku.

Trocki nazywał się Bronstein.

Pół bungalowu na niebrukowanej ulicy. Spał obok June, wachlując ją czasopismem w środku nocy.

Po powrocie George zrobił coś ciekawego. Przesunął krzesło i usiadł naprzeciwko niego, tyłem do sali. W butonierce miał złożoną w szpic chustkę. Był w brązowym krawacie.

– Chodzi mi o to, że chciałbym te materiały przejrzeć, niezależnie od ich stanu, ponieważ dotyczą Mińska, a mnie Mińsk interesuje.

– Mińska i tamtejszego systemu. Historycznych idei, które ten system wypacza.

– Świetnie, cudownie, musisz mi je pokazać.

– Jeszcze nie wszystko przepisałem.

– Nie przepisałeś. Każę przepisać. To najmniejsze zmartwienie.

– *Kolektyw*, taki ma tytuł. Przeprowadziłem poważne badania. Czytałem czasopisma i

przeanalizowałem cały ich system gospodarczy.

– Masz coś jeszcze? Chciałbym obejrzeć, co się da. Nawet najbardziej niewinne spostrzeżenia. Jak się tam ubierają. Wszystko.

– Po co?

– Dobrze, powiem ci po co. To bardzo proste. Ostatnimi laty wielokrotnie wypytywano mnie o moje zagraniczne podróże. Innymi słowy: panie de Mohrenschildt, był pan tu i tu, a my chcielibyśmy wiedzieć, co pan tam widział, kogo spotkał, jaki jest plan fabryki, którą pan zwiedził, i tak dalej. To rutynowy wywiad, dlatego tysiące podróżnych mówi corocznie: dobrze, oto co tam widziałem. Nazywa się to wydział kontaktów wewnętrznych i pracuje tam ktoś, kto prosił mnie, ktoś z CIA, żebym porozmawiał z tobą zupełnie nieoficjalnie, jak przyjaciel z przyjacielem, co właśnie robię. Miły człowiek, rozsądny, i w ogóle. Ciągłe jestem w podróży, zawsze wracam, a kiedy wracam, przed domem czeka na mnie pan Collings i ucinamy sobie nieoficjalną pogawędkę przy kieliszeczku. W podróży sporządzam notatki, które chętnie mu przekazuję, tak jak przekazywałem moje spostrzeżenia ludziom z Departamentu Stanu, bo, widzisz, ja zawsze przybieram barwy otoczenia, w którym w danym momencie mieszkam i pracuję, taką mam filozofię. Każdy kraj to dla mnie interes. Przenoszę się z jednego do drugiego zależnie od sposobności. W Jugosławii nauczyłem się chorwackiego. Na Haiti tamtejszej odmiany francuskiego. Tym sposobem udaje mi się przetrwać, mnie, człowiekowi, który przeżył rewolucję, wojnę światową i tak dalej. Zawsze chętnie współpracuję. Przybieram barwy otoczenia. Daję im poznać, że nie jestem wrogiem. To niezbędny gest. Nie chcę, żeby ktoś mnie szykanował. Innymi słowy: oto mój plan podróży, oto moje notatki, oto spostrzeżenia. Napijmy się i zostanmy przyjaciółmi.

– Jeszcze nie wszystko przepisałem.

– Daj spokój. Mam firmę konsultingową, papier, ołówki i maszynistkę. Oczywiście dam ci kopię i zwrócę notatki.

– Jedną mnie, drugą temu Collingsowi.

– To zrozumiałe. Oni zbierają i analizują materiały. Dla kogoś w twojej sytuacji współpraca może być pomocna. Bo spójrzmy prawdzie w oczy: twoja sytuacja jest nieciekawa. Gdybym był na miejscu Collingsa i gdybym stwierdził, że ktoś, komu przydałaby się lepiej płatna praca, chce ze mną współpracować, byłbym skłonny wykonać telefon. To normalne i często spotykane.

Lee podrzucił małą na kolanie, żeby ją uciszyć.

– Chciałbym też to wydać, mój *Kolektyw*.

– Odradzałbym. Powiedziałbym, że to nieodpowiednia pora. Najpierw to przeczytajmy. Potem porozmawiamy o publikacji. Gwarantuję, że w ten czy inny sposób zostanie ci to zrekompensowane. Ci ludzie znają tysiące sposobów. To zdumiewające. Jak myślisz, dlaczego wpuścili cię do kraju? Kiedy ktoś ucieka z powodów politycznych, jego nazwisko trafia na listę obserwacyjną FBI. FBI zakłada mu kartę. Tymczasem zwrócono ci paszport. Wpuszczono Marinę. Udzielono ci pożyczki i wpuszczono.

– Cały czas mieli mnie na oku.

– I nadal mają. Jesteś interesującym obiektem. Jestem przekonany, że bardzo by chcieli porozmawiać z tobą o twoich kontaktach w Związku Radzieckim. Pogawędzimy gdzieś spokojnie, na osobności, tylko we dwóch, bo tutaj podsłuchuje nas twoja córka.

George roześmiał się. Roześmiali się obydwaj.

Najpierw Freitag i jego partner, teraz Collings. Obleźli go jak mrówki skórę melona.

Spojrzał na Marinę. Stała lekko pochylona i uważnie kogoś słuchała. Nawet w upale i w dymie wyglądała świeżo jak wysmagana wiatrem. Chciał jej powiedzieć: nigdy nie kochaj mnie za moje słabości. Nigdy nie czuj się winna. Nigdy nie myśl, że to przez ciebie, bo to przeze mnie.

Zawsze przeze mnie.

Uderzył ją otwartą dłonią w skroń, a ona niezdarnie się na niego zamachnęła. Usiadł i rozłożył czasopismo. Nawet nie patrząc, wiedziała, że przewraca kartki. Miała ochotę czymś w niego rzucić. Chwyciła kartkę papieru, zwinęła ją w kulkę i cisnęła. Kulka odbiła się od jego ramienia, ale nie zareagował. Usiadła przy stole i patrząc na niego, zjadła trochę resztek z kolacji. Przeszywała go wzrokiem. Chciała, żeby poczuł się nieswojo, żeby trudno mu było czytać. Czowała się głupio, że rzuciła w niego kawałkiem papieru.

– Koniec z papierosami – powiedział. – Nie chcę, żebyś paliła. Nigdy. I kropka.

– A jeśli raz na jakiś czas zechcę zapalić?

– To niezdrowe dla dziecka. Bardzo, bardzo niezdrowe. Nie mogłaś napuścić wody do wanny? Czy za dużo wymagam, spodziewając się, że kiedy spocony, po całym dniu pracy w hałasie, wracam do domu, będzie czekała na mnie ciepła kąpiel?

– Nie palę dużo. Palę rozsądnie.

– Leniwa, leniwa z ciebie dziewczucha.

– Gotuję obiad. Szoruję podłogę na kolanach.

– To ja szoruję na kolanach.

Trzasnął czasopismem w ścianę. Dziecko się rozplakało. Wstał i podszedł do Mariny.

– To ja szoruję na kolanach – powtórzył.

Uderzył ją w twarz. Siedziała na krześle nad resztkami jedzenia na talerzu.

– To ja szoruję na kolanach.

Zasłoniła się. Uderzył ją jeszcze raz. Potem usiadł w fotelu i wziął książkę. Marina wstawiła talerz do zlewu, nie zgarnawszy resztek do kubelka. Niech on to zrobi. I zrobi. Po każdej awanturze zawsze walało się coś, co potem sprzątał.

– Opowiadasz tym swoim Rosjanom, jak żyjemy, jak się kochamy, opowiadasz o naszym prywatnym życiu.

– Przyjaciele tak się porozumiewają – odparła.

– Wszystko jest dla ciebie publiczne.

– Ufam im i wiem, że mnie zrozumieją. Z kim jeszcze rozmawiam? Potrzebuję ich.

– Nie musisz opowiadać im o naszym prywatnym życiu. Nie chcę, żeby tu przychodzili. Nie wpuszczaj ich.

– Nie wpuszczaj matki, nie wpuszczaj przyjaciół.

– Mój własny brat doniósł na mnie do FBI.

– Nasz adres to żadna tajemnica. Cóż takiego im powiedział? Ludzie wiedzą, gdzie mieszkamy. Nie możemy się tu ukrywać.

Czytał książkę. Odkręciła kran i patrzyła, jak woda wiruje w otworze odpływowym. Dziecko płakało.

– Lubisz wino – rzucił w pustkę.

– Naucz mnie angielskiego.

– Czekasz, aż ci doleją.

– Nigdy cię nie kochałam. Żal mi było obcokrajowca.

– A w przerwach papierosy.

– Opowiadam przyjaciółkom, jak mnie bijesz. Nie bije mnie mocno. Po prostu mam delikatną skórę. Dlatego widać ślady.

Stała przy zlewie tyłem do pokoju. Usłyszała, jak wstaje i podchodzi. Wzięła gąbkę i zaczęła wycierać brzeg zlewu. Uderzył ją w policzek. Stał przez chwilę, zastanawiając się, czy to wystarczy, czy nie. Potem usiadł, a ona zmoczyła gąbkę i starła plamę na blacie.

Po drugiej stronie ulicy coś rozładowywali. Słyszała warkot silników i głosy ludzi. Zjadła jeszcze trochę resztek z kolacji i zmyła parapet za zlewem.

– Mówię im, że o mnie dba. Że lekko bije. Mam jasną cerę, dlatego tak źle to wygląda.

Podszedł do niej i zaczął okładać ją po ramionach. Zakręciła kran. Bił wysoko, otwartymi dłońmi.

– Mówię, że to nie jego wina, to tylko moja skóra tak łatwo sinieje.

Ośloniła głowę rękami. Bił ją i bił, jakby była to jakaś dziecięca zabawa w rodzaju „klepnij mnie w ramię” Bił rytmicznie, raz prawą ręką, raz lewą. Cicho i spokojnie, raz i dwa, oddychając przez nos. Czowała, ile kosztuje go to wysiłku.

Leżała po ciemku i myślała o kartce papieru, którą zwinęła w kulkę i rzuciła. To była lekcja numer siedem. Pewien starszy pan z rosyjskiej kolonii przysyłał jej te kartki, żeby uczyła się angielskiego. Na górze pierwszej strony napisał dużymi, bardzo dużymi literami: „Mam na imię Marina”. Po rosyjsku. Pod spodem miała napisać to po angielsku. Lekcja druga: „Mieszkam w Fort Worth”. Lekcja trzecia: „Zakupy spożywcze robimy we wtorek”. Każda lekcja była na osobnej stronie. Wysyłała mu pocztą to, co napisała, on to poprawiał i odsyłał wraz z nowymi kartkami. A teraz lekcja numer siedem jest pomięta i będzie się zastanawiał, jak to się stało.

Lee wyszedł z łazienki. Położył się bardzo ostrożnie, żeby jej nie obudzić, gdyby już spała. Oczywiście leżała plecami do niego.

Znowu pomyślała o Holandii. Nie wiedziała, skąd się wzięło to myślenie o Holandii, bo myślała tak dopiero od niedawna, o podróży pociągiem przez Europę, o swoim zdziwieniu, gdy zobaczyła holenderskie wsie i usłyszała bicie kościelnych dzwonów. Był to chyba najczystszy kraj na świecie, wprost niewiarygodnie czysty, z przytulnymi domkami, z nieskazitelnie czystymi ulicami i idealnie prostymi ogrodzeniami na łąkach.

Nie chciała, żeby dziecko ją ssało, kiedy jest zdenerwowana.

Myślała, że będą wiedli życie pod każdym względem zwyczajne. Złożone ze zwykłych chwil. Mieli takie same blizny na rękę, co oznaczało, że są napiętnowani przez los, że musieli się spotkać i w sobie zakochać.

Myślała o tym, jak chodzi między półkami w Montgomery Ward. Jak uciekając z upału, wchodzi tam przy dźwiękach muzyki z głośników i brzęczeniu dzwoneczków. Wypolerowane podłogi. Niesamowicie długie przejścia, a po obu ich stronach kosmetyki w gablotkach, lady pełne błyszczących torebek, suknie w sąsiednich salach. I wszędzie te piękne zapachy.

Chciał pójść na studia wieczorowe, na ekonomię polityczną. Ale musiał zarabiać na utrzymanie, to przeszkadzało.

Widziała go z oddali nawet wtedy, gdy ją bił. Nigdy go tak w pełni nie było.

Mamoczka przyniosła jej skromne szorty, takie plisowane, z głębokimi kieszeniami. Rzecz gustu.

Wiedziała, że Lee próbuje wyczuć, śpi już czy nie. Że chce coś powiedzieć albo nachylić się i jej dotknąć. Pewnie jej dotknie, podeprze się łokciem i dotknie biodra lekko zakrzywionymi palcami. Wyczuwała jego żądzę jak podmuch wiatru w ciemności. Był podniecony, na pewno. Czekał, zastanawiając się, czy to już ta chwila. Jest jego żoną, a on się zastanawia.

Znowu pomyślała o Holandii.

O lądowaniu w Nowym Orleanie. O tej jednej nocy w hotelu pośród neonowych kaskad. Pośród neonowych rzek i jezior.

To ktoś, kogo widzi się z oddali.

Te zapachy. Te niezwykle czyste podłogi. Stała wśród telewizorów. Oglądała telewizję prawie do południa, pięć różnych programów jeden obok drugiego. Chodziła przejściami. Było chłodno i

spokojnie. Nikt nikogo nie zagadywał, chyba że zadało się pytanie albo chciało się coś kupić, a ona nie mogła zrobić ani jednego, ani drugiego.

Wyszedł poszukać czegoś do jedzenia i kiedy została sama z dzieckiem, tam, w Nowym Jorku, w tym starym hoteliku, wzięła myjkę i przetręła brudne żaluzje.

Wyczuła, że zamierza jej dotknąć, że waha się po tym biciu i po tym, co sobie powiedzieli.

Połączył ich los, lecz nie była pewna, kim on jest. Nie była tego pewna, dzieląc z nim łazienkę. Kochając się z nim, nie wiedziała, z kim się kocha.

Kiedy nauczy się angielskiego, Lee przestanie być taki nieobecny. Na pewno.

Zakupy spożywcze robimy we wtorek.

Kochali się, bo w końcu się kochali, czule i ze szczerym przebaczeniem.

Na ścianie jednego z sąsiednich domów wisiał krzywo plakat. WATYKAN JEST WSZETECZNIĄ OBJAWIENIA.

Lee przetłumaczył jej to na rosyjski.

Marguerite była spokojna. Stała przy desce do prasowania, sunąc żelazkiem po bluzce od pielęgniarzkiego mundurka. Stała twarzą do pokoju, do sofy ze stertą jaskrawych poduszek, dwóch wygodnych foteli, biurka, telewizora i ozdobnego stojaka z bluszczem wypełzającym z długiej doniczki. Prasowała mundurek przy każdej okazji, żeby zawsze był świeży i trochę sztywny. Dzięki poczcie pantoflowej pracowała też u innych, w kilku najlepszych domach w Fort Worth, opiekując się dziećmi bogatych.

I wspomniałam tej kobiecie, że za dwa tygodnie są jego urodziny, a on nie ma nawet ubrania roboczego, a ona na to: „Pani Oswald, jakiej on jest budowy?” I okazało się, że prawie takiej samej jak jej mąż. Więc wyjęła spodnie, których mąż już nie potrzebował, takie mocno znoszone, i kazała mi za nie zapłacić dziesięć dolarów. Co za kobieta! Przecież wie, że ciężko pracuję, wie, że jesteście młodym małżeństwem i rozpoczynacie życie w nowym kraju. Tak to jest z bogaczami w Fort Worth: każą pielęgniarce płacić za używane ubranie. Dzisiaj mówię o tym spokojnie, wysoki sędzie, ale ta sprawa tkwi we mnie jak zadra, bo jest to kolejny przykład czegoś nienormalnego. Ponieważ jak tylko spojrzałam mu w twarz, od razu zobaczyłam, że jest innym dzieckiem. I od razu pomyślałam: Co oni mu tam zrobili? Bo jego skóra nie była już jasna i gładka jak kiedyś. Bo miał ściągniętą twarz, taką piaskowoszarą. Bo ni stąd, ni zowąd zaczęły mu się kręcić włosy. Bo zaczęły wychodzić i, jak sam mówił, z gęstych zrobiły się tak rzadkie, zwłaszcza tu, z przodu, że aż widać było gołą skórę. Kazaliśmy mu pochylić głowę, Robert i ja, i w jasnym świetle widać było goły placek na czubku. Panie sędzio, mężczyźni z naszej rodziny zawsze mieli gęste włosy, a przecież to jeszcze dziecko. Powiedział, że to z rosyjskiego zimna. A ja myślę, że ma tak po kuracji wstrząsowej. Taki wyciągnęłam wniosek, bo był agentem naszego rządu i zaginął na cały rok. Jest na to wiele dowodów, choćby ten incydent, kiedy siedziałyśmy, oglądając telewizję, w mieszkaniu przy Siódmej Zachodniej, zaraz po tym, jak wróciła do domu z tą halką do kankana i pończochami, które Lee kupił za kilka dolarów od Roberta i ode mnie, więc kiedy tak siedziałyśmy i oglądałyśmy, ona nagle mówi: „Mamo, to Gregory Peck” a ja patrzę na ekran i widzę Gregory’ego Pecka na koniu. Stąd moje podejrzenia, bo czy dziewczyna stamtąd znałaby gwiazdorów filmowych? Moim zdaniem trzeba to dokładnie zbadać. Wiem, że nie byłam za granicą, ale jak pomyślę o Mińsku i o tym lodowatym zimnie, to czy mają tam czasopisma filmowe? Czy mają tam kina, w których grają amerykańskie westerny? Zawsze mówię bez ogródek, a ten incydent dobrze ilustruje to, co chcę powiedzieć. Kim ta dziewczyna jest i co tu robi? Czy aby nie przeszkolono jej, żeby nie pokazywała po sobie, że wie więcej, niż wszyscy myślą? Pytałam Lee, czy jest szczęśliwy, czy żona dobrze prowadzi dom, bo ona ma wielu

przyjaciół o ustalonej pozycji, Rosjan z samochodami i domami, którzy publicznie się wtrącają. Którzy nie dają jej spokoju. Ta dziewczyna miała przed oczami taki czy inny obraz Ameryki, a oni najwidoczniej uważają, że nie może się teraz rozczarować. Dzisiaj mówię o tym spokojnie, ale to właśnie ja kupiłam jej trochę dłuższe szorty. Skłamałabym przed Bogiem, gdybym powiedziała, że przestałam przynosić im rzeczy po tym, jak mi zabronił, ale to były tylko szorty i papużka, papużka tylko tak dla koloru, bo była jaskrawozielona i chciałam, żeby rozjaśniła im nowy dom.

A on ją wypuścił, panie sędzio. Otworzył klatkę i wypuścił. On, chłopiec, który uwielbiał zwierzęta.

Ale co do szortów to: „Nie, mam, nieładne”. Ja na to: „Marino, jesteś mężatką, to nie wypada, żebyś nosiła takie jak młodsze dziewczęta”. Ale nie, ona ciągle swoje: „Nie, mam, niedobre”. I chcę mocno podkreślić, że rzadko bywała w domu. I że on pracował. I że sama widziałam, jak wróciwszy z pracy, nie miał kolacji na stole. A oni nie mają pokojówki, która podałaby mu coś do zjedzenia. Nasza rodzina dużo przeszła, żeby być razem. Jego tatuś zbierał składki ubezpieczeniowe do samego końca, do chwili, kiedy skonał, kosząc trawę w tym wściekłym upale. Od tamtej pory zawsze jesteśmy razem, zawsze Marguerite i Lee.

Jesteś taki a taki, rodzina zaś oczekuje, że będziesz inny. Wykrzywiają cię. Masz brata, który ma dobrą pracę, miłą żonę i miłe dzieci, a oni chcą, żebyś był kimś, kogo będą mogli rozpoznać. I matkę, która chwyta cię, łkając, za ręce. Tkwisz w pułapce ich umysłów. Kształtują cię i dopasowują. Uciekasz, żeby być normalnym.

Była niedziela i stał w pustym holu Republic National Bank Building w Dallas. Wszędzie brązowy marmur. Czekał na George'a de Mohrenschildta. Spotykał się z nim już drugi raz. Był w czystej białej koszuli i spodniach z szorstkiego materiału, które kupił w państwowym sklepie w Mińsku.

George miał pęk kluczy. Zabrzęczał nimi na powitanie i poszli do wind. Wjechali na piętnaste piętro i ruszyli przed siebie pustym korytarzem. Powietrze, ciężkie i gęste, wypełniał zapach wykładziny, zapach bliskości. George był w szortach do tenisa i koszulce ze znacznikiem krokodyla. Miał spory gabinet z dyplomami na ścianie.

- Czytałeś o tym świrniętym generale.
- Dowiedziałem się o nim dopiero po powrocie z Rosji.
- Teraz zaangażował się w sprawę Kuby. Siadaj. Mam twoje papiery.
- Wyraża tylko odczucia większości ludzi. To, co Walker mówi i robi, to biała Ameryka.
- Wycelowali w nas rakiety, które mogą wszystko zniszczyć, a my otwieramy gazetę i widzimy tego człowieka.
- Missisipi, Kuba: jest wszędzie, gdzie dostrzeże sposobność.
- Teraz przerzuca się na Kubę. I się przerzuci. Zobaczysz.
- Wypytyują o moje listy.
- To znaczy?
- Inspektor pocztowy rozmawiał z właścicielem mieszkania i pytał go, jaką dostaję korespondencję.
- A jaką dostajesz?
- Niektórzy powiedzieliby, że wywrotową.
- Po co ty to czytasz? To nudne jak flaki z olejem. Znam te materiały i bez czytania. Kwintesencja nudy.
- Dobierają się do mnie ze wszystkich stron – odparł Lee, śmiejąc się cicho przez nos.

George dał mu kopię tego, co przepisał od ich ostatniej rozmowy. Zwrócił też oryginał, ręcznie zapisane kartki, kawałki papieru, luźne notatki, zapiski autobiograficzne, notatki do przemówień.

– Nie zawiodłem się, Lee. To solidna robota, zwłaszcza ten esej. Myślę, że masz duże szanse na przeprowadzkę do Dallas i na dobrą pracę, na coś bardziej odpowiedniego. Będiesz wpadał do mnie do domu. Zamieszkaś gdzieś blisko, żeby łatwiej było się spotykać. Opowiem ci bardzo ciekawe rzeczy o moim domu. Mieszkam niecałe trzy kilometry od generała Walkera.

George wycelował w niego palcem i odwiódł kciuk.

Otworzyły się drzwi i wszedł wysoki mężczyzna o krótko ostrzyżonych siwych włosach. Mocno opalony, w brązowym garniturze i niebieskiej koszuli – to musiał być Marion Collings. George dokonał prezentacji. Collings był szczupły, zwinny i sprawny fizycznie, jakby mimo swego wieku chciał dać wszystkim do zrozumienia, że i tak ich przeżyje.

George wyszedł.

– Ten pański esej – zaczął Collings. – Bardzo imponujący, bardzo szczegółowy. Dziękuję, że pozwolił pan nam go przeczytać. Dostrzegł pan rzeczy, które zauważyłby tylko wyszkolony obserwator. Dużo ciekawych faktów o fabryce radiodbiorników i o tamtejszych robotnikach. Dobra kompozycja, ciekawe spojrzenie na zależności społeczne. Świetny początek. Mamy coś konkretnego, jest od czego zaczynać.

– Powiedziałem George’owi wszystko to, czego nie napisałem w *Kolektywie*, a co jeszcze pamiętam.

– Tak, mieliśmy z George’em małą nasiadówkę. Razi mnie tylko jedna wielka opustka.

– Jaka?

– Lee, jeśli można: to po prostu nieprawdopodobne, że przez ponad dwa i pół roku, kiedy mieszkał pan w Związku Sowieckim jako uciekinier polityczny, ani razu nie kontaktowało się z panem KGB.

– Miałem rozmowę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, żeby dostać ostateczne pozwolenie na wyjazd.

– A kto dał panu zgodę na wjazd? W Helsinkach złożył pan wniosek o wizę i dostał ją pan w dwa dni. Normalnie trwa to tydzień. Wiemy, że sowieckim konsulem w Helsinkach był wtedy oficer KGB.

– Może i wiecie, ale ja nie wiedziałem. Oni są wszędzie. Co nie znaczy, że się w coś wdałem. Pojechałem tam szukać lepszego życia.

– Lee, jeśli można: kiedy dowiedzieliśmy się, że chce pan wrócić, postaraliśmy się to panu ułatwić. Jest pan ciekawym człowiekiem. Przez długi czas mieszkał pan w samym sercu Związku Sowieckiego. Chcemy nawiązać z panem współpracę. Jesteśmy pragmatyczni. Nie obchodzi nas, jakie związki łączyły pana z Drugim Dyrektoriatem Głównym. Miał pan romans, romans dobiegł końca. I dobrze. To się często zdarza. My chcemy tylko, żeby dostarczył nam pan szczegółów. Nie jesteśmy FBI. Nie ścigamy nikogo z zemsty, nie aresztujemy ani nie stawiamy przed sądem. Chcemy tylko nawiązać współpracę. Obustronnie korzystną wymianę informacji. Zgoda?

– Czy FBI mnie śledzi?

– Nie wiem – odparł Collings. – Skąd miałbym wiedzieć?

Jakby spytał go o temperaturę topnienia tytanu.

– Niech pan posłucha, to proste. Chcemy wiedzieć, jak z panem pogrywali. Kogo pan tam widywał, gdzie ich pan widywał, co mówili. Nie musimy rozmawiać o tym akurat teraz. Celowo odczekaliśmy kilka tygodni, żeby pana przesłuchać. Nie chcemy przypierać pana do muru. Ucieczka, rozczarowanie, stres: wszystko to rozumiemy. Pański esej dowodzi, że doskonale pan wie, co warto zarejestrować. Proszę mnie dobrze zrozumieć: nie chcemy pańskich wyznań ani

przepraszam. Nie takie mamy zamiary.

Collings przysiadł na brzegu biurka.

– Fakt pozostaje niewinnym faktem, dopóki ktoś się nim nie zainteresuje. Wtedy staje się informacją wywiadowczą. Siedzimy w czterdziestopiętrowym wieżowcu z elewacją z lekkiego, tłoczonego aluminium. I co z tego? Otóż to, że w określonym czasie ten nieciekawy fakt może mieć dla kogoś duże znaczenie. Starzec jedzący brzoskwinie: to też cenna informacja, jeśli jest sierpień, jeśli starzec ten mieszka na Ukrainie i jeśli jest pan turystą z aparatem fotograficznym. Tak przy okazji, w każdej chwili mogę załatwić dla pana minoxa. Wywiad cywilny zajmuje u nas ważne miejsce. Na przykład George. George dostarcza nam materiały, które natychmiast analizujemy i rozsyłamy do innych agencji.

Lee milczał.

– Mogę mówić do pana po imieniu?

– Dobrze.

– Lee, nie ukończył pan szkoły średniej, tylko jej odpowiednik. Nie ma pan wyższego wykształcenia. Karnie usunięto pana z wojska. Spędził pan prawie trzy lata w ZSRR, co może być albo trzyletnią przerwą w stażu pracy, albo trzyletnim pobytem w ZSRR. Niech pan wybiera. Widzi pan, wystarczy, że podniosę tę słuchawkę, i dostanie pan pracę tutaj, w Dallas, pracę tajną i ciekawą, w której nauczyłyby się pan dobrego zawodu, chociaż zaczęłyby pan od samego dołu.

Stał przy biurku ładnie opalony, uczciwie i równomiernie, i tak krzepki, że gdyby tylko strzelił palcami, spadłby obraz ze ściany.

– Gwarantuję, że się pan nadaje i że zaczęłyby pan już za kilka dni. Dobrze. A teraz proszę mi powiedzieć, co mam zrobić.

Minox to słynny aparat szpiegowski. Hidell widywał tę nazwę w książkach.

W pustą niedzielę szedł przez opustoszałe śródmieście Dallas w jaskrawym blasku i upale. Odczuwał samotność, do czego nie znosił się przyznawać, odczuwał większe wyobcowanie niż w Rosji, snuł jeszcze dziwniejsze marzenia, palił go ten śmiertelnie biały blask. Pragnął odegrać jakąś rolę, pragnął dać się jej porwać, choć raz zrobić coś, co by go nie rozczarowało. Szedł w cieniu wieżowców firm ubezpieczeniowych i banków. Uznał, że jedynym sposobem na wyjście z odosobnienia jest osiągnięcie stanu, w którym nic nie oddzielałoby go już od prawdziwej walki, jaka się wszędzie toczy. Chwila, w której ten stan osiągamy, zwie się historią.

12 sierpnia

Brenda Jean Sensibaugh, znana w branży jako Baby LaGrand, siedziała przed lustrem w garderobie Karuzeli, smarując maścią pryszcz na policzku. Na wąskiej toalecie, biegnącej wzdłuż całej ściany i podtrzymującej cztery nieoprawione lustra, wałały się szczotki do włosów, papierowe kubki po kawie, przyborniki do makijażu, czasopisma ilustrowane, pianki i lakiery do włosów, chusteczki higieniczne oraz kilka termosów. Brenda miała na sobie szlafrok siostry.

W KRLD leciała *Life Line*, patriotyczny show, w którym kwékano i narzekano na państwowe wydatki.

Żeby dobrze posmarować pryszcz, Brenda musiała nadać policzek, wypchnąć go językiem, dlatego trudno jej było mówić. Rozmawiała z dziewczyną przy sąsiednim lustrze, Lynette Batistone, która wyglądała jak nastolatka po ogólniaku.

– Może da ci zaliczkę – mówiła. – Tylko zanim go poprosisz, sprawdź, czy jest w dobrym humorze.

– Słyszałam o tych jego zaliczkach – odparła Lynette.

– To cały Jack. Innymi słowy, zawsze oczekuje rezultatów. Z kim o nim rozmawiałaś, skarbie?

– Molly Bright mi mówiła.

– Nie słuchaj jej. Chodzi o to, że Jack lubi gadać i gadając, robi osobiste uwagi. To gaduła nad gadułami, światowy rekordzista. Ale nie żebyś musiała od razu uciekać z klubu.

– Z tego, co słyszałam, to wiesz. Ale tak między nami.

– Ale co?

– To, że podobno grozi dziewczynom. „Ty głupia cipo” mówi, „zrzucę cię z tych, kurwa, schodów”.

– Zgoda, skarbie, ale tu nie biuro. Cóż znaczy kilka przekleństw?

– I cały czas wrzeszczy.

– Ale nigdy nie podniesie na ciebie ręki.

– Molly Bright chciała zastąpić Blaze, i co? I rozpętało się piekło.

– Ciągłe Molly i Molly. Powiem ci coś o Molly. Gdyby kłamstwo było muzyką, ona byłaby orkiestrą dętą. Potrzebujesz pieniędzy, idź do Jacka. Tylko pamiętaj, powiedz, że to najedzenie. Reaguje na wszystko, co ma związek z jedzeniem.

Lynette była w kostiumie kowbojskim, z batem i rewolwerem o długiej lufie. Brenda uważała, że dziewczyna ma talent, ale że okropne z niej bezguście. To, co robiła, nie było nawet striptizem. To było zwykłe świntuszenie, prowokacyjne wygibasy, i w ogóle.

– W Nowym Orleanie mówili, że ten Jack robi karierę.

– Ma drugi klub.

– Tak słyszałam.

– W Vegas. Ale czy robi karierę, to nie wiem. Musiałabym pomyśleć.

– Co to za psy? Wszędzie ich pełno.

– Nazywa je swoją rodziną. Mieszkają w klubie, z wyjątkiem tego, którego zabiera do domu.

– Trzyma je do obrony?

– Nie wiem, czego miałyby tu bronić, no, chyba że nas, striptizerek.

– Muszę siku – powiedziała Lynette.

– I jeszcze jedno: Jack na pewno spyta cię, czy wygląda na pedała. „Myślisz, że jestem

pedałem, Lynette? Czy ja wyglądam na pedała? Poważnie, powiedz, masz doświadczenie, czy ja wyglądam na pedała?” Daje głowę, że cię spyta. „Zdziwiłabyś się, gdyby ktoś ci powiedział, że jestem pedałem? Czy ja mówię jak pedał, który próbuje się kamuflować, czy co?”

- I co mam mu odpowiedzieć? – spytała Lynette.
- Wszystko jedno. On już tak ma.

Pięćdziesięciodwuletni Jack Ruby, brzuchaty, łysiejący, o niedźwiedziowatej piersi i ramionach, szedł Commerce Street w stronę klubu, mając przy sobie trzy tysiące dolarów gotówką, nabity rewolwer, fiolkę preludinu i wezwanie do sądu dla rozpoznania drobnych roszczeń za próbę zapłacenia czekiem bez pokrycia w domu towarowym.

Klub, garderoba.

– Cicho – rzucił do Brendy. – Chcę tego posłuchać.

Przez radio wciąż leciała *Life Line*. Komentarz na temat bohaterstwa i tego, jak szybko odeszło w zapomnienie.

„Nie tak dawno – mówił komentator – trzydziestu pięciu młodych, inteligentnych studentów jednego z amerykańskich uniwersytetów spytano na zajęciach z historii, co to jest Guadalcanal. Jedenastu z nich nic o tym nie słyszało. Tymczasem przez trzy tysiące lat historii wojskowości nie zdarzyło się nic, co byłoby piękniejszym przykładem heroizmu, heroizmu w stu procentach amerykańskiego, tak prawdziwie amerykańskiego, jak prawdziwa była drewniana chata na pograniczu czy otwarta preria. Ale dzisiaj się o tym nie słyszy. Sto razy więcej mówi się o Dniu Narodów Zjednoczonych”.

Jack był w ciemnym garniturze, białej koszuli, białym jedwabnym krawacie i trzymał w ręku filcowy kapelusz z zaginany rondem, który przydawał mu wyrazistości, ostrości i dosadności, jak detektywowi w trakcie wykonywania zadania.

– Uwielbiam to – powiedział. – Kiedy mówią o naszym kraju, coś we mnie wzbiera. Szkoda, że nie widziałas mnie, gdy umarł Franklin Delano, gdy ogłosili to przez radio: płakałem jak dziecko. A gdzie moja kowbojka?

- Robi siusiu.
 - Co ona się tak napaliła? Nie wiem, co robić. Boję się, że odbiorą mi licencję.
 - To tylko striptiz – odparła Brenda.
 - Na Bourbon Street przyciągała tłumy. Ale tutaj, nie wiem, jak zdejmie te stringi, mogą uznać, że posunęła się za daleko.
 - Goni za reklamą.
 - Mógłbym kazać jej włożyć inne gatki.
 - Inne też by zdjęła.
 - W Dallas nie można pokazywać włosów na cipce. Zamkną mi klub.
 - Jest bardzo młoda.
 - Dlatego przyciąga tłumy. Czuję na karku oddech konkurencji.
 - To dlatego płacisz jej więcej niż nam?
- Zaskoczony Jack odchylił się do tyłu.
- Ja? Co ty gadasz?
 - Płacisz jej dwa razy więcej.
 - Brenda, przysięgam, pierwszy raz o tym słyszę. To jakaś bzdura.
 - Płacisz więcej, a potem narzekasz, że zamkną ci klub.
 - Daję jej premię z nadwyżek, żeby przyciągała klientów. Klienci to teraz dla mnie skarb.
 - Wmówiłeś sobie, że konkurencja próbuje wygryźć cię z interesu. To tylko konkurencja, próbują zarabiać na życie, jak my wszyscy.

- Pieprz się, dobra?
 - Wzajemnie, panie Ruby.
 - Jestem tylko właścicielem tego interesu i muszę tu siedzieć.
 - Otóż to.
 - I słuchać.
 - Tak, tak, nie mają nic lepszego do roboty niż dopaść Jacka. Największego machera i szulera w branży.
 - Podaj mi chusteczkę.
 - I jeszcze coś. Skoro już zaczęłam. Zawsze jesteś jakiś taki nieobecny. Jakbyś gadał sam ze sobą. Nie słuchasz, co do ciebie mówią.
 - Nie wiesz, jak głęboko zależli mi za skórę.
 - I dlatego całymi nocami tak wrzeszczysz.
 - Mam psy i...
 - A miej sobie, proszę bardzo.
 - Nie wiesz, co przeszedłem, ciągle prześladuje mnie przeszłość. Moja matka, Bóg mi świadkiem, że to prawdziwa historia, przeżyła trzydzieści lat, twierdząc, że ma ość w gardle. Na okrągło o tym mówiła. Lekarze, kliniki przez całe lata badali ją i szukali tej cholernej ości. W końcu poszła na operację. W gardle nie miała nic, absolutnie nic, na sto procent. Wraca do domu ze szpitala. I znowu ma ość w gardle.
 - To tylko kobieta i matka.
 - Trzydzieści lat, bracia, siostry i ta ość. Nieważne, to jeszcze nic. Chcę tylko, żebyś lepiej mnie zrozumiała. Ojciec był cały czas pijany. Ale teraz mam gdzieś to, co zrobili mnie i sobie nawzajem. Ja nie z tych, co chowają urazę. Kocham ich i szanuję, bo dużo na tym świecie wycierpieli. Dlatego daj już spokój, wszystko mi jedno, idź już.
 - Nie ożeniłeś się. Dlaczego?
 - Bo w głębi serca jestem flejtuchem.
 - Dbasz o wygląd, jesteś schludny i dobrze się ubierasz.
 - W głębi serca, Brenda. W głębi serca mam koszmarne chaos.
- Słyszeli, jak konferansjer opowiada kawały na scenie. Jack nachylił się w stronę radia.
- Uwielbiam to patriotyczne uczucie, które ogarnia mnie, kiedy słyszę takie rzeczy. Całym sercem jestem wtedy za ojczyznę. Bo komu i czemu tu jeszcze ufać? Własny głos mnie czasem zawodzi. Nie potrafię zapanować nad swoim własnym wewnętrznym głosem. Przez ten niewiarygodny stres.
 - Wszyscy się stresują. My też. Każesz nam harować przez siedem dni w tygodniu.
 - Powoli z tego wychodzę, połowa drogi za mną.
 - Dlaczego nie ożenisz się z kowbojką? Naprostuje ci życie.
 - W Nowym Orleanie słynie z tego, że dobrze się pieprzy, ale nie robi nic wbrew naturze.
- Krzyk za rogiem korytarza. Ktoś do Jacka. Jack dotknął jej ramienia i wyszedł. Do biura miał sześć kroków, a tam, na sofie, z jednym z jego psów, czekał Jack Karlinsky.
- To moja jamniczka Sheba – powiedział Ruby. – Zejdź, skarbie.
- Karlinsky miał sześćdziesiąt kilka lat i był konsultantem inwestycyjnym bez biura, bez służbowego telefonu, bez pracowników i bez klientów. W swoim dwudziestopokojowym domu na przedmieściach Dallas miał reflektor przeciwmgielny ze Straży Przybrzeżnej. I światło przez całą noc omiałało posiadłość.
- Słyszałeś?
 - Spokojnie, Jack. Dlatego przyszedłem. Żeby omówić warunki.
 - Są ludzie, którzy wstawią się za mną przez wzgląd na długą znajomość. Rozmawiałem przez

telefon z Tonym Astoriną.

- Wiem, że masz znajomości – odparł Karlinsky. – Ale znajomości to nie to samo co znajomi.
- A Kuba to co? Nic?
- Wiem, że kilka razy tam jeździłeś.
- I to wtedy, kiedy trąbiła o tym cała prasa.
- Ale pracowałeś też dla FBI – zauważył Karlinsky.
- Odbiło ci? Chyba się przesłyszałem.
- Daj spokój, Jack. Zgłosiłeś się do nich na ochotnika w marcu pięćdziesiątego dziewiątego.

Założyli ci teczkę.

- Jack, dobrze wiesz, że...
- Kandydata na informatora. Donosiłeś trochę tu, trochę tam.
- Bo chciałem się zabezpieczyć na wypadek, gdyby coś przeciwko mnie mieli, żebym mógł powiedzieć: patrzcie.

– Jack, osobiście mam to gdzieś. Wiem, że znają cię w Dallas i w Nowym Orleanie. W Dallas siedzisz praktycznie cały czas.

– Znam ludzi jeszcze ze starych chicagowskich czasów i jestem z tego bardziej dumny niż z czegokolwiek innego. Newberry Street, Morgan Street, te wózki, gangi.

– Wszyscy lubimy wspomnienia z Chicago. Myślisz, że się tu urodziłem? Tutaj nikt się nie rodzi. Wszyscy mamy sentyment do starego Chicago, do ulicznego życia, do tych szalonych czasów. Ale mówimy teraz o bardzo dużej pożyczce, a chłopcy są wybredni i nie każdemu dają pieniądze.

Jack podszedł do biurka.

– Popatrz, zastawy podatkowe, propozycje ofert kompromisowych. Gonią mnie za akcyzę. Oni mnie dobijają, Jack. Moje akta są już pewnie takie grube. Płacę im mało, ale regularnie, strumyczkiem. Po dwieście, po dwieście pięćdziesiąt dolarów. Żeby im pokazać, że mi zależy. Ganiam jak chłopiec na posyłki. Ale co z tego, skoro tylko samemu urzędowi skarbowemu wiszę czterdzieści cztery tysiące, skoro mam na głowie związki zawodowe, które chcą, żebym zmniejszył limit godzin pracy dla dziewczyn, skoro konkurencja, tuż obok, po sąsiedzku, zarzyna mnie tym amatorskim striptizem i skoro mam tu tę kowbojkę z Nowego Orleanu, przez którą zamkną mi klub, bo dziewczyna ściąga majtki na scenie.

Z głębi gardła Jacka Karlinsky ego dobiegł śmiech, lecz jego twarz pozostała nieruchoma jak kamień. Zawsze się tak śmiał. Był ubrany w sportową marynarkę, golf i palił długie, cienkie cygaro. Ruby zerknął na jego buty i fryzurę. Rozповідаł na prawo i lewo, że ciągle uczy się żyć.

– Kazałem mojemu prawnikowi się z nimi dogadać: osiem centów za dolara.

– Jack, powiedzą ci...

– Wiem.

– To nie jest propozycja, do jakiej by się palili.

– Muszę coś zdecydować.

– Musisz zdecydować, komu chcesz wisieć pieniądze. To nie są drobne, które znajduje się na ulicy. Opracowałem tę umowę, ale wcale mi się nie podoba, bo wychodzi na to, że jestem wrednym lichwiarzem, który zdiera pięć procent tygodniowo. Mówimy o pożyczce w wysokości czterdziestu tysięcy dolarów, Jack. O prowizji w wysokości tysiąca dolarów tygodniowo.

– Co daje w sumie dziewięćdziesiąt dwa tysiące dolarów rocznie.

– Albo będziesz dalej płacił prowizję.

– Dopóki jaja mi nie odpadną.

– Otóż to.

– A powiedz mi coś. Co będzie, jeśli nie zapłacę prowizji za jeden tydzień?

– Jeden tydzień odpuszczają. Na pewno nie palną ci w łeb. Po prostu odpuszczają.

– A dwa tygodnie, trzy?

– W takim przypadku zazwyczaj bierze się drugą pożyczkę. Ale to zły pomysł, bo daliby ci mniej pieniędzy, a jednocześnie cały czas musiałbyś płacić prowizję od pierwotnej kwoty. Jack, tak szczerze, chcesz mojej rady?

– No?

– Nie pożyczaj. Z tym, co tu masz, nie dasz rady spłacić prowizji. Wpadniesz w bagno.

– To moje bagno.

– Bagno tak, ale nie pieniądze.

– A powiedzmy, że nie będę płacił przez pięć, sześć tygodni?

– Jeśli spluczesz się do nitki, po prostu zatrzymają zegar. Powiedzą: spłać samą pożyczkę i zapomnij o odsetkach. Innymi słowy: znamy faceta i godzimy się na część udziałów w jego firmie plus to, co od nas pożyczył. Na pewno nie wysadzą ci klubu w powietrze.

– Ale przejmą mój interes.

– To jest pole bitwy, Jack.

– A jeśli nie dam rady spłacić kwoty głównej?

– Jack, właśnie o tym mówię: sprawdź, czy nie da się załatwić tego inaczej.

– Bank dałby mi coś na krechę. Oni nie dadzą nawet dziesięciu centów.

– Pomyśl o przyjaciółach, o krewnych. Weź współnika.

– Ze współnikiem nie mógłbym pracować. A pomocnika już mam. Moja siostra prowadzi klub w Vegas. Cały czas się żremy.

– Jesteś trochę nierozsądny. Musisz zrozumieć najważniejszą rzecz. Nie jesteś odpowiednio ustosunkowany, Jack. Jesteś kiepsko ustawiony. Dotarło?

Na scenie zawarczały werble.

– Dobra. Powiedzmy, że zgodzę się na pięćset tygodniowo przez rok, licząc na to, że te wszystkie zjazdy i konwencje podwyższą mi obroty.

– Jack, opracowałem poważną umowę.

– Posłuchaj, idź i przekaż im to. Wspomnij, że często gadam z Tonym Klawiszem. Mówią, że facet jest w dobrych układach z Carmine Lattą.

– Carmine nie jest lichwiarzem.

– Jack, powiedz im tylko, że Tony Astorina mnie zna.

Karlinsky patrzył na niego. Jakby liczył w duchu do dziesięciu. Potem powiedział, że zrobi to, o co Jack go prosi. Miał głęboki, łagodny i rozsądny głos, w tej chwili tubalny, miał dom z olbrzymim reflektorem, basen z turkusową wodą, cztery córki i syna, i Jack Ruby zastanawiał się przez chwilę, czy tego właśnie trzeba, żeby być niepokonanym.

W drzwiach uścisnęli sobie ręce, lecz nagle Karlinsky cofnął się o krok, jakby chciał podzielić się z nim radosnym sekretem.

– Ta marynarka jest z moheru. Spójrz.

Potem stanęli na szczycie wąskich schodów prowadzących na ulicę. Jeszcze raz uścisnęli sobie ręce. Na scenie beczał saksofon. Dla lepszych perspektyw na przyszłość Jack wziął w barze tabletkę preludiu i popił ją szklanką wody. Potem wszedł między stoliki, żeby pogadać z ludźmi. Jaki sens prowadzić klub, jeśli nie można robić?

Kolacja była cicha, z koncertem klawesynowym na stereo i serią krótkich rozmów. Beryl patrzyła, jak mąż podnosi kieliszek do ust. Larry nie pił wina. On je żuł. Żeby rozkoszować się

jego tonacją – wytrawnością czy wilgotnością. Właśnie tak budujemy cywilizację, mawiał. Żujemy wino.

– Nie robisz wrażenia szczęśliwego – powiedziała. – Już od jakiegoś czasu. Chcę, żebyś znowu był szczęśliwy. Powiedz coś zabawnego.

– To ty jesteś zabawna.

– Zawsze jestem zabawna, dziwna, maleńka. Chciałabym, żebyś przejął jedną z tych niewdzięcznych ról.

Przez kilka chwil jedli w milczeniu.

– Pamiętasz tę panikę z raketami? – rzucił. – Mniej więcej dziesięć miesięcy temu U-2 sfotografowały stanowiska rakietowe na Kubie. Zgadnij, co dzieje się tam teraz. Odkryły coś nowego.

– Czy na pewno muszę o tym wiedzieć?

– Ekipa sowieckich geologów znalazła wielkie pole naftowe. Dokładnie tam, gdzie zgodnie z kontraktem moi ludzie mieli prowadzić wiercenia. W zeszłym tygodniu widziałem zdjęcia i były tak wyraźne, że rozpoznałem ten teren. Byłem tam. Stałem. Odwiedzałem te miejsca. Prowadziliśmy tam badania zasobów mineralnych. Mieliśmy duże pieniądze.

– Twoja nafta. Twoje pole.

– Nasze. I lepiej, że nasze niż ruskie. Dobrze wiesz, co oni zrobią z tą wyspą. Wyspą z niej całą krew, i to na żywca.

– Nie wątpię. Ale czasami trudno jest żyć z kimś, kto nigdy, przenigdy sobie nie odpuści.

– Masz rację, ja nie odpuszczę.

Zostawili to na jakiś czas. Beryl wstała i przełożyła płytę. Mocno padało i przed oczyma mignął jej ktoś biegnący ulicą.

– Wyjaśnię ci, co to jest obsesja – powiedział.

– Och, tak, koniecznie.

– Gruntownie ten temat przeanalizowałem.

– Na pewno.

– Eliminowanie obsesji jest zadaniem służb wywiadowczych. Jedną z obsesji jest Kuba. Drażni nas bardziej niż Rosja. Trudniej ją wyeliminować. Wywołuje większe spustoszenie w psychice. A naszym zadaniem jest usunąć to psychiczne zagrożenie, dowiedzieć się wszystkiego o Castro, rozszyfrować jego zamiary i podkopać fundamenty jego instytucji do tego stopnia, że straci moc kształtowania naszego sposobu myślenia, przestanie wpływać na to, jak śpimy.

– Nie rozumiem chyba, dlaczego akurat Kuba. Bo czy ja cokolwiek o tej wyspie wiem? Czy leży w Indiach Zachodnich, czy mówi się tam po hiszpańsku, czy mieszkają tam czarni, Mulaci, Latynosi, Kreole, a może Chińczycy? Dlaczego uważamy, że należy do nas?

– Nie chodzi o to, czy do nas należy, czy nie. Chodzi o coś, co tak pięknie funkcjonowało, o prywatne inwestycje, dzięki którym kraj ten miał szansę awansować i zdążył zrobić już znaczne postępy w dziedzinie dystrybucji, produkcji, likwidacji analfabetyzmu, w organizacji służb socjalnych: każdy uczeń szkoły średniej potrafi dowieść, że wady i nadużycia reżimu Batisty można było wyeliminować bez rewolucji i bez przyłączenia się do obozu komunistycznego.

Znowu zamilkli. Siła jego uczuć kazała jej przestać mówić. W niewiele rzeczy tak mocno wierzył. Czowała, że się w środku kurczy, czowała tę znajomą, żalostną gotowość do cichej rezygnacji. Ale o co tu się sprzeczać? Nie знаła tematu. Znała świat z wycinków prasowych i podpisów pod zdjęciami, świat dziwaczejący, ten z szerokich na kolumnę wycinków prasowych, które wysyłała do przyjaciół. Jedynym schronieniem była ironia. Skoro miano jej nie zauważać, po co się kłócić?

– Ale pod innymi względami jest lepiej – powiedział. – Pewne rzeczy bynajmniej mnie nie

smucą. Wracam do pracy; to coś w rodzaju zawodowego come backu. Podobno chcą mnie przenieść do wydziału finansowego. Na placówkę w Buenos Aires. Oczywiście bez żadnych dyskusji. Będę pracował na rynku pieniężnym, żebyśmy mieli pod ręką obcą walutę na pewne operacje.

– Czy Buenos Aires to jakieś... złote jajo?

– Nie wiem, jak stoją ceny nabiału, ale dobrze chociaż, że dali mi szansę. Agencja rozumie. To zdumiewające, jak dobrze nas rozumie. Dlatego dla niektórych CIA nie ma nic wspólnego z pracą, z instytucjami czy rządami. Jesteśmy po prostu cholernie wdzięczni za ich wyrozumiałość i zaufanie. Agencja jest zawsze skłonna przyjrzeć się człowiekowi w innym świetle. Taki jest charakter tej branży. Są cienie, jest i nowe światło. Im więcej dwuznaczności, tym bardziej wierzymy, tym bardziej ufamy, tym ciaśniej zwieramy szyki.

To niezwykle, jak często o tym mówił. Agencja była dla niego jedynym niewyczerpanym tematem. Centralna Agencja Wywiadowcza. W oczach Beryl był to najlepiej zorganizowany kościół w świecie chrześcijańskim, kościół, którego misja polegała na tym, że gromadził i przechowywał wszystko to, co zostało powiedziane, następnie zmniejszał to do maleńkiego punkciku i nazywał ten punkcik Bogiem. Ona musiała żyć w małych zakurzonych pokojach, pokojach bezpiecznie odizolowanych, poza zasięgiem przyprawiających o zawrót głowy spraw, z dala od upału, światła i dziwnych miejsc, natomiast on nie mógł obejść się bez azylu w wielkiej nawie Agencji. Uważał, że ludzkich motywacji i potrzeb nigdy się tak do końca nie pozna. Bo zawsze jest kolejna warstwa, kolejna tajemnica, bo serce potrafi knuć spiski tak złożone i sekretne, że można je wziąć tylko za głębszy rodzaj prawdy.

W wazoniku na stole stały zawilce. Zadzwoił telefon i Beryl podeszła do biurka, żeby odebrać. Usłyszawszy głos kogoś, kto przedstawił się jako Thomas Stainback, zorientowała się, że Larry będzie rozmawiał z nim na gorze. Po prostu stanęła w drzwiach saloniku. Gdy ją zobaczył, wstał od stołu. Zaczekała, aż wejdzie do pokoju gościnnego i podniesie słuchawkę, delikatnie odłożyła swoją i wróciła, żeby podjąć kawę.

Parmenter powiedział:

– Jestem – i zamilkł, czekając, aż Everett zada pierwsze pytanie.

– Co wiadomo o harmonogramie?

– Wygląda na to, że w połowie listopada.

– A więc mamy czas. Ciekawi mnie, co robi teraz Mackey.

– Wie, że obstawiamy Miami. Ale nie powiedziałem mu kiedy.

– To natychmiast powiedz.

– Nie mogę go znaleźć.

Pauza.

– Przenieśli go?

– Ostrożnie sprawdziłem. Nie ma go na Farmie ani nigdzie indziej, gdzie, logicznie rzecz biorąc, powinien być. Przepadł bez śladu. Wygląda na to, że przywarował.

– Przenieśli go – powtórzył Everett.

– Sprawdzalem, Win. Bardzo dokładnie. Nie powierzono mu żadnego tajnego zadania. Miał szkolić rekrutów, ale nie szkoli.

– Czy to znaczy, że zrezygnował? Nie możemy bez niego działać.

– Przygotowuje się. To wszystko. Da znać.

– Nie może tak po prostu odejść.

– Odezwie się. Dobrze wiesz, że to pewniak.

– Mam złe przecucia.

– Przygotowuje się. Któręś ranka wsiądę do samochodu i będzie tam siedział. Chce tego tak

samo jak my.

- Od kilku tygodni mam uczucie, że coś jest nie tak.
- Wszystko jest tak. Miasto, pora, przygotowania. Mackey to pewniak.
- Wierzę w przecucia.

Larry odłożył słuchawkę. Gdy zszedł na dół, Beryl siedziała przy stole z kawą i nożyczkami. Kieliszki i talerze były przykryte gazetami.

Przestał komentować jej dziwactwo. Uważała, że wysyłanie znajomym wycinków prasowych jest całkowicie normalnym sposobem korespondowania. Można było wyciąć tysiące rzeczy, a wszystkie mówiły coś o jej odczuciach. Patrzył, jak czyta i wycina. Była w okularach i z determinacją szczekała nożyczkami. Uważała, że wycinki są osobistą formą ekspresji. Że żaden list do przyjaciółki nie będzie bardziej intymny i wymowny niż artykuł o zbrodni czy gwałtownej napaści, o jakimś szaleńcu, o zamachu bombowym na dom Murzyna, o buddyjskim mnichu, który się podpałił. Bo to właśnie te rzeczy mówią nam, jak żyjemy.

Baby LeGrand stała na końcu wybiegu – ugięte kolana, ręce na karku – i gwałtownie wyrzucając biodra w rytm bębnow, wodziła oczami po sali, po sylwetkach ludzi w przyćmionym świetle, ludzi, których potrafiła rozgryźć w sekundę: och, ci marynarze i studenci, ci sami co zwykle, ta kelnerka z flaszką dla jakiegoś pijaczyny, ten chłopaczek w obcisłej koszuli, na którego widok tężeją jej sutki. Powoli przeciągnęła szarfę między nogami. Otaksowała spojrzeniem gliniarzy po służbie, którzy siedzieli przy stoliku, żłopiać tanie piwo. Popatrzyła na chłopaka, który pracował tu dorywczo, robiąc klientom polaroidowe zdjęcia; Jack rozdawał je potem na pamiątkę. Mężczyźni w garniturach i krawatach, biznesmeni w podróży służbowej, chłopcy, którzy przychodzą tu z dziewczynami, żeby zatańczyć między stolikami twista. Brenda zna tych od twista. Woli młodszych gliniarzy, ale muszą mieć niebieskie oczy. Zna każdą, najmniejszą nawet płamę po pomidorach na najwęższym krawacie, ponieważ serwują tu tylko pizzę, którą kupują w pizzerii na rogu, a potem wstawiają do podgrzewacza. Bębniarz przyspiesza i marynarze wrzeszczą: śmiało, śmiało, dalej! Brenda macha szarfą w dymie i kurzu, szuka przy barze mętów, których Jack sprasza tu z ulicy, wyrzuconych z pracy i włóczęgów, którym zawsze współczuje. W klubie są i hazardziści, są Sycylijczycy, są ci, którzy ściągają haracz od właścicieli automatów, ludzie zwykle gwałtowni, którzy stoją teraz sztywno z tyłu sali. Karuzela w pięciosekundowej migawce, no i turyści z Topeki. Krzyczą: dawaj, dawaj, śmiało! Krzyczą, bo chcą mieć tę szarfę. Chcą ten kawałek jedwabiu, który przeciągnęła między nogami. Przyszli tu, żeby skąpać się w blasku ciała lunatyczki, dziewczyny, która obudziła się nago w pulsującym tłumie. Tak to zawsze wygląda, przynajmniej dla niej. W środku nocy dostaje ataku, jakby opętały ją demony, i budzi się nago w innym śnie, gdzie macają ją obcy mężczyźni. A czy ktoś tu zna tę głupią prawdę? Baby L. chce być pośredniczką w handlu nieruchomościami, chce odwiedzać ludzi samochodem pomalowanym na kolor drewna. Nagradzana pośredniczką w kostiumie barwy paproci. Ale teraz pieprzy się ze światłem na oczach tłumu, w kroplach potu z brzucha i ud, teraz wymachuje do rytmu kitkami na sutkach.

Zrobiła swój słynny numer z piersiami – lewą zakręciła w lewą, prawą w prawą stronę – i szybko zeszła z wybiegu.

Potem wzięła prysznic, owinęła się ręcznikiem, usiadła w garderobie i zapaliła. W tym momencie papieros był najczystsza przyjemnością, jaką знаła.

Przed sąsiednim lustrem siedziała przebrana już Lynette. Ukryła twarz w „Lifie”.

– Gdybym miała chociaż odrobinę rozsądku – powiedziała Brenda – wzięłabym co moje i po prostu związała. Mam siedmioletniego synka i czteroletnią córeczkę i przez pół dnia jestem zbyt zmęczona, żeby się z nimi przywitać.

Lynette przewróciła kartkę.

– Powiem ci, że ten Bobby Kennedy bardzo mi pasuje. Doprowadzałby mnie do szaleństwa. Ma w oczach takie chochliki. Dziesięć minut z Bobbym i straciłabym głowę.

– Na mnie w ogóle nie działa.

– Odpłynęłabym przy nim do krainy wiecznej szczęśliwości.

– A gdzie to jest, Lynette?

– Te chochliki są takie złośliwe, ale on chyba o tym nie wie, co?

– Chyba wie – odparła Brenda. – Ja tam wolę jego brata. Byłby lepszy w łóżku. Lubię dobrze zbudowanych kochanków. Od cherlaków trzymam się z daleka.

– Bobby jest zbudowany jak sportowiec.

– Prezydent to dojrzały mężczyzna, umiałby postępować z takimi jak my. Nie żebym chciała wiązać się z kimś na stałe.

– Musiałabyś się wytapirować jak Jackie.

– Nie tylko to bym musiała.

– Za to masz ładne cycki.

– Ciii... To moja pięta achillesowa. Duże cycki, duży kłopot.

– Co on właściwie robi, ten prokurator generalny?

– Żartujesz? To najważniejszy smutas.

– Smutas czy kutas?

– Smutas, gliniarz, kutas, na jedno wychodzi.

W sali wybuchło jakieś zamieszanie. Dobiegały stamtąd podniesione głosy i brzęk tłuczonego szkła. Lynette przewróciła kartkę.

– Wierzysz, że są tacy, co to jak im powiesz, kiedy się urodziłaś, ale tak dokładnie, godzinę, minutę i w ogóle, to przepowiedzą ci przyszłość?

– Coś tu śmierdzi, jak mówi stara maksyma – odparła Brenda.

Zamieszanie przybrało na sile. Takie coś czuje się przez ściany. Brenda włożyła szlafrok, wyszła na korytarz i zajrzała do sali. Między barem a wyjściem zobaczyła kłębowisko ciał i rąk, trzech czy czterech facetów, z Jackiem włącznie, którzy tłukli kogoś, kto wyglądał tak, jakby poczesał się petardami. Jack chciał zrzucić go ze schodów. Pozostali próbowali do tego nie dopuścić, uważając, że przegina. Z tego rozedrganego kłębowiska wyrwał się po chwili ich fotograf, wyrwał się i stanął z boku, potrząsając ręką, jakby ktoś go ugryzł.

– Co się dzieje? – spytała Brenda.

– Facet chwycił za tyłek kelnerkę. No wiesz, pomacał ją, jak przechodziła.

– I karzemy to śmiercią?

– Wiesz, jak Jack na to reaguje. Dostał szalu.

Ruby wyciągnął tamtego z tłumu i we dwóch szybko zbiegli wąskimi schodami na dół, praktycznie nie panując nad nogami, odbijając się od poręczy, niemal wypadając na ulicę.

Ci z baru ruszyli za nimi, z wrzaskiem, gęsiego. Brenda zaciągnęła się głęboko dymem i wróciła do garderoby, żeby dokończyć rozmowę.

Na ulicy Jack przewrócił faceta na ziemię. Zaczął go kopać, pedantycznie, jakby chciał strząsnąć z buta psie gówno. Tamten odbiegł na czworakach trochę dalej, wstał i puścił się pędem przez ulicę, roztrącając kolejkę przed sąsiednim klubem, gdzie trwał pokaz amatorskiego striptizu. Jack pognał za nim, on i pięciu czy sześciu innych z Karuzeli. Facet był dużo szybszy, ale w połowie ulicy przystanął i odwrócił się gotowy do walki. Zupełnie bez sensu, bo tylko jeszcze bardziej rozwścieczył Jacka, który nie zwalniając kroku, po prostu go staranował, powalił impetem rozpędzonego ciała. Kopnął go dwa razy, a wtedy zaatakowany chwycił go za kostkę i jak w zwolnionym tempie przewrócił na jezdnię, po czym zaczął się czołgać w stronę znaku

drogowego. Jack ukląkł i złapał gościa za nogę, nie chcąc, żeby tam dotarł. Ktoś z tłumu próbował rozewrzeć mu palce, ktoś próbował go uspokoić. Ale tamten nie dawał za wygraną i wciąż pełznął do tego znaku. Wyraźnie chciał tym coś udowodnić. Gdyby tylko zdołał tam dotrzeć. Dwóch z Karuzeli rozdzieliło ich, ale tuż przedtem Jack zdążył przykopać mu dwa razy w zębra. Facet wstał i uciekł wzrokiem w bok. Miał rozpięte spodnie. Jack grzmotnął go w głowę ponad ramionami tych z Karuzeli, a wówczas gość odszedł, stanął na środku jezdni i stał tak między omijającymi go samochodami. Poprawił ubranie. Stał tam i stał. Nie patrzył na ludzi na chodniku, ciężko dysząc po biegu i bójce.

Jack zawrócił. Doszedłszy do stojących w kolejce przed sąsiednim klubem, zaczął ścisnąć im ręce i rozdawać reklamówki z godzinami otwarcia Karuzeli. Potem wsiadł do swego oldsa i pojechał się przewietrzyć.

Jego samochód był slumsem na kołach. Psy przegryzły maty i pokrowce. Wyżarły wyściółkę na tylnym siedzeniu, odsłaniając sprężyny. Na szybach były ślady łap. Na tylnym siedzeniu walało się osiem pustych kartonów, zgniecionych i powciskanych w załomy kanapy. Ilekroć skręcał albo się zatrzymywał, po podłodze turlały się słoiki z dietetycznym jedzeniem. Na desce rozdzielczej leżało kilkaset dolarów owiniętych w poplamiony krwią papier po kotletach jagnięcych. W schowku na mapy miał zapasową fiolkę preludeinu, czepek kąpielowy, kilka niezapłaconych mandatów, kilka notesów z adresami, kilka kondomów luzem, mosiężny kastet i program telewizyjny.

Włączył KLIF, żeby posłuchać Weirda Bearda. Znajomy głos dyskdżokeja uspokajał go.

Objechał śródmieście Dallas. Czasem muszę przyłać jakiemuś rozrabiacie. Jak zaczniesz kulić się przed takim ze strachu, już po tobie. Wymacał przez marynarkę swoją trzydziestkęósemkę, którą schował do torby ze Stanowego Banku Handlowego wraz z trzema tysiącami dolarów z ostatnich wpływów, zwiniętymi w rulon i ściśniętymi różową gumką.

To pewnie przez rozmowę z Jackiem Karlinskim wkurzył się na faceta, który pomacał tę jak jej tam. Musiał zdobyć pieniądze. Nie miał innego źródła. Wszędzie długi, wszyscy go nękają. Nawet gdyby dostał jutro te czterdzieści tysięcy, nie rozwiązałyby wszystkich problemów. Musiał rozwinąć interes. Miał na głowie tych związkowców od dziewczyn. Pewien stary lichwiarz z Zachodniego Wybrzeża odmówił mu pożyczki, a teraz Karlinsky szedł w jego ślady.

Moherowa marynarka. Szkoda, że nie kupiłeś dwóch. Na jedną byś srał, drugą przykrywałbyś gównem.

Miał nagrany interes z maszyną, która, jak wrzucisz do niej żeton, to umyje klientowi samochód. Jego brat Sam jedną taką sprzedał i uważał, że toto ma przyszłość. Pewnie nic z tego nie wyjdzie, ale mogło wyjść. Próbował różnych interesów z pozostałymi braćmi, próbował wszystkiego, od sprzedaży solniczek i pieprzniczek poczynając, na sprzedaży zgrabnych popiersi FDR kończąc. Sprzedawał sztuczną biżuterię, oprzyrządowanie do maszyn do szycia, lekarstwa na artretyzm, od Chicago aż po San Francisco.

Trzydzieści lat z ością w gardle.

„Wiem, co myślicie – mówił Weird Beard. – Myślicie, że zmyślam. Nie, nie zmyślam. Jeśli to, co mówię, do was dociera, to musi być prawda. My nie jesteśmy zmyśleni. Chcę pozostawić was dzisiaj z pewnym pytaniem. Kto jest zmyślony, a komu kazano notować? Siedzicie tam w środku nocy i potajemnie słuchacie, a słuchacie potajemnie dlatego, że nie wiecie, komu zaufać, że ufacie tylko mnie. Jesteśmy tymi, którzy nie są nimi. To wąskie pasmo radiowe jest waszą drogą. Nie zmyślam. Na świecie są tylko dwa rodzaje rzeczy. Rzeczy prawdziwe. I rzeczy prawdziwsze od tych prawdziwych. Ta prywatna uliczka jest nam potrzebna, żebyśmy mogli się spotykać. Bo to jest nasze wielkie NBI, Nie Bądź INNY. Dotarło? Dobrze mnie zrozumieliście? Jesteśmy małutkami, podstępnyimi sekrecikami, które tamci próbują odkryć. Myślicie, że zmyślam? Nie.

Weird Beard powiada: jedzcie płatki widelcem. Odrabiajcie pracę domową po ciemku. I ufajcie swojemu radiu bardziej niż matce”.

Jack nie miał zielonego pojęcia, o czym facet gada. Z trudem przełknął tabletkę preludinu. Preludin przyspieszał decyzję.

Pojechał do Ritz Delicatessen i zaparkował na ulicy. Otworzył bagażnik i wrzucił tam ciężką torebkę z pieniędzmi i rewolwerem, żeby potem o tym nie zapomnieć. Bagażnik był trochę przepełniony, bo leżały w nim hantle, obciążniki do hantli, letni garnitur, puszka farby, rolka papieru toaletowego, psie zabawki i żarcie, kabura od rewolweru, but golfowy z jednodolarowym banknotem w środku i około stu błyszczących zdjęć kowbojki Randi Ryder, które przywiózł z Nowego Orleanu. Można powiedzieć, że to moje życie, bo w domu nie jest porządniej.

Wszedł do sklepu i zamówił wszystko z podwójną musztardą i podwójnym majonezem, w sumie dwanaście kanapek. Z rostbefem, z peklowaną wołowiną, z plastrem indyka, z ozorkami, a do tego kiszzone ogórki, surówkę z białej kapusty z dodatkiem majonezu, pickle, sałatkę z ziemniaków, czereśniowy napój gazowany, napój imbirowy i tak dalej. Poprosił sprzedawcę, żeby kanapki były specjalne, bo jadą na komendę.

Wrócił do samochodu. Nasi gliniarze zasługują na najlepsze, bo ilekroć wychodzą na ulicę, narażają życie. To miasto zabójców. Bum. Musiał pamiętać, żeby wpaść potem do klubu po Shebę, kasę i kapelusz. Nie lubił chodzić bez kapelusza, bo widać mu było łysinę. Był w trakcie kuracji, która miała wzmocnić mu włosy, i czuł, że jest lepiej, chociaż z drugiej strony wątpił, czy będzie całkiem dobrze.

Jechał w kierunku Police and Courts Building, gmachu policyjno-sądowego, czując ostre szczypanie w kolanie, które podchodziło nogawką coraz wyżej i wyżej. Piękna, soczysta rana cięta. Taka bójka pochłania człowieka do tego stopnia, że nie wie nawet, że od godziny krwawi. Podwinął nogawkę za kolano. Nikt poważny go nie dofinansuje, bo stawiał kielicha ludziom, którzy się nie liczyli, i sprowadzał psy z ulicy. Wysiadł, opuścił nogawkę i zygzakując między wysokimi kolumnami, wszedł do starej części gmachu.

Z pudłem pełnym kanapek i napojów wjechał windą na drugie piętro, myśląc, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, już do końca będzie prowadził interes z własnej kieszeni, jeśli w ogóle mu na to pozwolą, jeśli nie zrobią z niego kompletnego zera. Wysiadł i ruszył korytarzem do wydziału przestępstw młodocianych. Czuł, jak krew ścieka mu do buta. Ale na widok tych starannie ogolonych, tych umundurowanych policjantów miał ochotę powiedzieć: nigdy w życiu z niczego nie byłem tak dumny jak z tego, że przyjaźnię się z policją w tym najbardziej proamerykańskim mieście świata.

Rabin często mu powtarzał: „Nie roztkliwiaj się tak”.

W Dallas

O północy Lee Oswald siedział w pralni ekspresowej Sleight's Speed Wash, czekając, aż wyschnie mu ubranie, i czytając H.G. Wellsa. W pralni był jeszcze jeden klient, przerażający grubas w kapciach, które rozciął, żeby zrobić więcej miejsca dla spuchniętych stóp. W powietrzu unosił się kwaskowaty odór. Lee obgryzał skórkę przy paznokciu, pochylając się nad pierwszym tomem *Historii świata*, leżącym na kolanach.

Mieszkał teraz to razem z Mariną i dzieckiem, to osobno.

Wszedł nocny cieć, chudy Murzyn, i ze śpiewną intonacją powiedział:

– Zamykamy, zamykamy, pora do domu. – W czerwonym plecionym koszu niósł prześcieradła.

Grubas wstał i podszedł do suszarki, żeby wyjąć ubranie. Lee obgryzał kciuk i czytał dalej, złożony wpół nad książką. Grubas wykuśtykał z pralni.

Minęły trzy minuty. Suszarka się zatrzymała. Lee wciąż siedział z twarzą w książce. Wiedział, że cieć gapi się na niego z odległości czterech i pół metra. Przewrócił kartkę, żeby doczytać do końca rozdziału na dole następnej strony. Czytał powoli, mocno skupiony, żeby zrozumieć małą, nagą prawdę ukrytą w sylabach.

– Hej, panie kolego, zacznam tracić cierpliwość.

Grecy i Persowie. Lee podniósł wzrok. Cieć miał obwisłą dolną wargę, rdzawą cerę, piegowate policzki, długie jak u mały ręce i Lee pomyślał: Japonia, chociaż nie potrafił skojarzyć go sobie z żadnym nazwiskiem czy okolicznościami. Chwilę później już wiedział. To był Bobby Dupard, kumpel spod celi w Atsugi.

Trochę trwało, zanim Dupard go sobie przypomniał. Patrzył na niego i patrzył, ogarniając wzrokiem rzędniejące od strony przedziałka włosy, wymizierowaną twarz, trzydniowy zarost, rozprutą pod kołnierzykiem koszulę, ogarniając bardzo dużo, bo ponad cztery lata wieku w pełni męskiego, lata wygnania i ciężkich czasów. Ozzie Królik. Wreszcie go sobie przypomniał, czego odbiciem był złożony wyraz jego twarzy.

– To dlatego, że nie przyglądałem się już białym. I chwilę trwa, zanim skojarzę sobie, z kim gadam.

Nie rozmawiali o Japonii. Rozmawiali o Zachodnim Dallas, o osiedlu złożonym z setek stojących rzędami domów między rzeką Trinity i Singleton Boulevard, gdzie Bobby mieszkał z siostrą i trojgiem jej małych dzieci. Nazywali to osiedlem parkowym. Było ogrodzone, odizolowane od miasta, miało rozbebeszoną kanalizację i zalane błotem trawniki. Dupard pracował w pralni od siódmej rano do północy przez sześć dni w tygodniu. Dwa razy tygodniowo chodził na kurs rysunku technicznego dla mechaników w Crozier Technical High School w śródmieściu. Czasami pracował od południa do czwartej rano jako mieszacz w piekarni, gdzie zastępował chorych albo tych, co nie przyszli na zmianę. Wtedy wracał do domu w białym od mąki ubraniu. Jego matka już nie żyła. Ojciec mieszkał w innej części osiedla. Bobby nie wiedział gdzie. Ale prawie codziennie widywał go z autobusu numer 52 przed warsztatem pomocy drogowej, gdzie jego stary pociągał whisky z puszek. Sikacz o nazwie Big Cat. Wiedział, że ojciec nie rozpoznałby go nawet wtedy, gdyby on podszedł się przywitać. Gadałby z nim tak jak z tymi, którym mówił, że rozmawia z Bogiem.

Takie właśnie było Zachodnie Dallas. Dym z huty ołowiu. Życie staccato.

Bobby miał teraz delikatny meszek na podbródku. W jego oczach nie było już tego szybkiego

jak rtec strachu. Patrzył na Lee z rozmyslem, chlodno i przenikliwie, oceniajac jego uwagi powolnym skinieniem glowy.

Lee wyznal mu, ze zszedl do podziemia. Ze bez slowa wyjasnienia porzucil prace. Ze bez slowa wyprowadzil sie z ostatniego mieszkania. Ze zamiast stalego adresu ma teraz skrytke pocztowa. Ze jego brat nie wie, gdzie go szukac; matka myslala, ze wciaz mieszka w Fort Worth. Ze z powodu nieporozumien zona przeprowadzila sie do przyjaciol. Ze on, Lee, pracuje w firmie graficznej. Nie wspomniat o tajnym charakterze swojej drugiej, dorywczej pracy. Nie wspomniat o Marionie Collingsie. Collings, za posrednictwem George'a de Mohrenschildta, wciaz domagal sie od niego szczegolow jego wspolpracy z aparatem bezpieczenstwa ZSRR. Lee go unikal. Unikal kontaktow z wladzami pocztowymi. Ukrywal sie przed federalnymi. Na kazdym formularzu, ktory musial wypelnic, podawal falszywy adres. Po godzinach robil plakaty i wysylal je tym z Socjalistycznej Partii Pracy. W worku marynarskim na dnie szafy mial aparat szpiegowski.

Nie wyjasnil mu tez, o co poszlo z Marina, nie przyznal, ze bardzo za nia tescni, ze jej potrzebuje, ze wprawia go to w jeszcze wiekszy gniew, ze probuje z tym walczyć, ze jest to kolejne podstepne uczucie, ktorego nie potrafi przewyciężyć.

Dajmy sobie spokój z Japonią. Bobby mowil o Poludniu, o policji, o psach i podpaleniach domow, o integracji rasowej w starym, dobrym Missisipi. Gadali o tym prawie codziennie: w telewizji pokazywali rozwscieczonych segregacjonistow, tummy Murzynow skulonych pod naporem oddzialow prewencyjnych policji, Murzynow powalonych i lezacych w kupie na ziemi. Demonstrantow, ktorych bito w twarz i obrzucano kamieniami. Ktos pada, a wtedy bialasy doskakuja do niego i z kopa. I ci gliniarze z drewnianymi palkami: trzymaja je za oba konce i mocno wykrcaja. Spojrz tylko na ich oczy. Spojrz na strazakow, ktoryzy wyskakuja z wozow. Odkrcaja wode w sikawkach i jakby rozpetalo sie pieklo, bo wszyscy nagle fikaja kozla.

Na calym osiedlu byly prowizoryczne ruszty, dwudziestopieciolitrowe beczki po ropie, przeciete wzdluz na pol i brzuchem do dolu ustawione na metalowych nogach – bucha dym, w telewizji sikaja sikawki.

W dwunastu suszarkach Loadstara z gluchym dudnieniem wirowalo ubranie.

– Po mojemu – mowil Bobby – ten system robi wszystko, zeby upokorzyc czarnych. Zeby musieli chlac tanie winsko i kombinowac za pare centow. Tak to sobie zaplanowali. Powiem ci, do czego doszedlem, Ozzie. Kiedy czytam kronike kryminalna w gazecie, patrze na nazwisko przestepcy, zeby zobaczyc, czy to czarny, czy biały. Jak widze, ze czarny, patrze i mowie: Smialo, bracie, tak trzymac. Bo co nam jeszcze zostalo oprócz nienawisci?

Powiedzial:

– Nie zamierzam zmeczyć bialych tym, ze potrafię dluzej cierpiec.

I powiedzial:

– Probuję nauczyc sie zawodu, zeby nie zwariowac.

Siedzieli tam i rozmawiali do drugiej nad ranem. Dwa dni pozniej rozmawiali znowu, kiedy Bobby zaladowywal pralki i skladal rzeczy tych, ktoryzy zostawili je do uprania. Nazajutrz Lee wyrwal sie z pracy troche wczesniej, zaczekal na niego przed gmachem, gdzie odbywal sie kurs, i pojechali razem do Oak Cliff, gdzie byla pralnia, domy z mieszkaniami do wynajecia, gdzie mieszkal Lee i gdzie w wysokiej trawie rdzewialy wraki samochodow. Zjedli na spolke pudelko paczkow i znowu rozmawiali. Lee mieszkal przy Elsbeth Street, ledwie sześć ulic od pralni, wiec wieczorem tego samego dnia, przy wirujacych maszynach i nielicznych nocnych klientach, ktoryzy wrzucali garściami ubrania do spienionych mydlin, rozmawiali tam aż do zamknecia, o polityce, dyskryminacji rasowej i o Kubie.

Nazajutrz przyszedl im do glowy pewien pomysl. Generał Walker – wpakujmy mu kulę w leb.

Marina stała, kołysząc dziecko na rękach. Na jej powrót wysprzątał mieszkanie. Ucieszył się, kiedy ją zobaczył. Wziął June na ręce i przekrzywiając głowę to w lewo, to w prawo, przemawiał do niej niby po japońsku. Bardzo je rozśmieszył.

Zaczął analizować rozkład jazdy autobusów. Autobus z Preston Hollow, numer 36, zatrzymywał się półtorej ulicy od domu generała. Lee przeszedł przed tym domem i stwierdził, że stoi daleko od ulicy, tuż nad Turtle Creek, w kępie bujnych wiązów i topól, w cichym, spokojnym zakątku. Już samo to, że szedł tą ulicą, sprawiało, że czuł się nietykalny. Zapamiętał numer rejestracyjny samochodu na podjeździe i zapisał go w notatniku. Notował czasy przejazdów, odległości, notował inne spostrzeżenia.

Spytała go, czy będzie ją teraz uczył angielskiego.

Wysłał do Seaport Traders 29,95 dolara za trzydziestkęósemkę, rewolwer ze skróconą lufą. Za smitha & wesson, znanego jako dwucalowe komando. Na formularzu zamówienia podał nazwisko A.J. Hidell i adres: skrytka pocztowa 2915, Dallas, Teksas.

Nazajutrz poszedł na zajęcia z maszynopisania. Był to jego pierwszy dzień, więc usiadł w ostatniej ławce i z nikim nie rozmawiając, zaczął się przyglądać klawiszom maszyny. Kompletna chińszczyzna. Wkręcił papier i położył palce na klawiszach, próbując zrozumieć, dlaczego litery rozmieszczono tak, a nie inaczej. Obraz poniżenia. Dziewięć dolarów wpisowego. George powiedział, że jeśli nauczy się pisać na maszynie, dostanie kiedyś lepszą pracę.

Był koniec stycznia 1963 roku.

Stał w ciemni z kursantem nazwiskiem Dale Fitzke. Dale był kaleką i chodził w bucie ortopedycznym. Kuśtykał, miał delikatną, regularną, niewiarygodnie gładką twarz i wyglądał jak dwunastolatek.

Stali ramię przy ramieniu nad kuwetami. Ludzie wchodzili i wychodzili, przeciskali się tuż za nimi. Światło było przyćmione i czerwone – radioaktywny pokój.

– Jaki ty jesteś? – spytał Dale. – Bo ja jestem dziwak. Rodzina nareszcie przestała oczekiwać po mnie czegoś wielkiego.

– I czego teraz oczekuje?

– Wstrzymuje oddech, tak z podtekstem seksualnym, wiesz. Co ci się najbardziej podoba w tej ciemni? Tak wyglądał mój pokój, kiedy miałem gorączkę. Dziecięce gorączki były wspaniałe. Miewałem strasznie wysokie, fantastyczne. Co myślisz o tej pracy?

– Podoba mi się. W porównaniu z innymi jest ciekawa.

– Bo ja mam wrażenie, że oprócz tych różnych różniastych zleceń robią tu coś jeszcze. Na przykład. Podać ci przykład?

– No? – rzucił Lee.

– Kazali mi trzymać się z daleka od stołów do składania. Nie wolno. Nie patrzeć.

– Można patrzeć. Nikt ci nie zabroni. Ja patrzę cały czas.

– Ja też – odparł Dale z podnieceniem w głosie. – Powiem ci, co widziałem, a ty powiesz, co ty widziałeś.

– Mają tam listy z Wojskowego Serwisu Kartograficznego.

– Jakie listy?

– Z nazwami miast.

– Też je widziałem. Na paskach papieru długości siedmiu i pół centymetra.

– Niektóre są napisane cyrylicą. Po rosyjsku. Do map celów w Rosji.

Obydwaj mówili szeptem.

– Jak obiecasz, że nikomu nie powiesz, powiem ci, co podsłuchałem – szeptał Dale. – Kreslą te mapy na podstawie zdjęć. I to właśnie te zdjęcia są tajne. Robi je U-2.

Światło – upiorny neonowy róż.

– Super jest znać jakąś tajemnicę, nie? Uwielbiam wymieniać się z kimś takimi fascynującymi rzeczami. Ty powiesz mnie, ja powiem tobie. U-2. Kiedy pierwszy raz o nim usłyszałem, chyba jeszcze za Eisenhowera, myślałem, że mówią: „ty też”, jak „ja też”, „ty też”.

Była sobota i mieli tu siedzieć półtorej godziny. Lee przychodził w soboty, kiedy tylko mógł, bo wiedział, że jak tylko dowie się o tym Marion Collings, robotę szlag trafi.

– A ci ludzie? – spytał Dale. – Podobają ci się? Widziałem, jak czytałeś rosyjskie czasopismo. Niektórzy to komentowali. Oni są przyjacielscy, ale tylko do pewnego stopnia. Nie żeby obchodziło mnie, co kto czyta. Pamiętasz, jak byłeś mały i pocieś się pod kocem? Pamiętasz, jak to jest? Gorączka to taki sekret. Jakby wpaść do głębokiej dziury, gdzie nikt nie może cię dosięgnąć, ale nie czujesz wtedy ani strachu, ani bólu, bo nie czujesz nawet samego siebie. Uwielbiam kąpać się w pocie.

– Kiedy byłem mały, miałem operację ucha. Wciąż pamiętam, co mi się śniło, kiedy włożyli mi tę maskę.

– Ja miałem aż cztery operacje! Uwielbiałem, kiedy mnie usypiali!

Dale wymachiwał rękami w czerwonej poświacie i z dłoni skapywał mu wywoływacz.

– Ty jesteś inteligentny? Słyszałem kiedyś, jak matka mówi: „Tom, on nigdy nie będzie inteligentny”. Rozmawiała wtedy z Tomem, moim bratem. Podczas kolacji powtórzyłem to ze sto razy.

Tajemniczy U-2 powędrował za nim z Japonii do Rosji, a teraz był tutaj, w Dallas. Lee wciąż pamiętał, jak ta maszyna lądowała, jak wdzięcznie spływała na ziemię, lekka jak piórko, zależna od wiatru, na wietrze żeglująca. Tak mu się wtedy wydawało. I to skrzekliwe buczenie zepsutego głośnika, ten przerywany głos pilota. Słyszał go czasem na pograniczu jawy i mglistego snu.

– Ja posłucham – mówił Dale Fitzke – i ty posłuchasz. Spotkamy się tu i pogadamy.

Kurs maszynopisania odbywał się w Crozier, w tym samym ogólniaku, gdzie na kurs chodził Dupard, więc kiedy tylko mogli, spotykali się w pustej klasie, żeby zgrać daty i godziny. Rozmawiali o strategii i filozofii, czekali na zamówiony rewolwer.

– Myślisz, że to przypadek, że ten Walker zamieszkał w Dallas? – mówił Bobby. – Gdzie ty żyjesz, człowieku? Zamieszkał tu, bo Dallas to siedlisko wściekłości i nienawiści. To miasto z jego wyobraźni.

– Czytałeś dzisiejszą gazetę? Wyjeżdża, jedzie w trasę. Będzie przemawiał w dwudziestu dziewięciu miastach. Wróci dopiero w kwietniu.

– W trasę? Żeby zachęcać białych do mordowania Murzynów?

– Operacja „Midnight Ride” Niebezpieczeństwa komunizmu w kraju i za granicą. Będzie gadał tylko o Kubie. Uwielbia atakować Kubę. Jeśli już mamy czekać do kwietnia, trzeba to wykorzystać. Załatwmy go siedemnastego. W drugą rocznicę Zatoki Świń.

– Kto będzie strzelał?

– Ja – odparł Oswald.

– Jesteś tego pewien?

– Zrobię to.

– Jeśli siedemnastego, to muszę sprawdzić, czy nie mam zajęć.

– Jak to?

– Nie wiem, czy warto się urywać.

– Muszę mieć współnika, Bobby. Nie mogę tam wejść i po prostu go zastrzelić. Dom stoi w głębi posesji. Jest tam taka alejka. I chyba będziemy potrzebowali samochodu.

– Samochód mogę załatwić. Zawsze można pożyczyć. Ale nie znam się na ucieczkach. Najważniejsze to go dopaść. Ten człowiek musi poczuć smak własnej krwi.

– W rosyjskim jest takie określenie na zamach z rozlewem krwi. *Mokroje dzieło*. Mokra robota. Tak załatwili Trockiego, szpikulcem do lodu.

– Wszystko jedno czym, abyśmy tylko go dorwali – odparł Bobby.

Przeprowadzili się trochę dalej, na Neely Street, do kolejnego umeblowanego mieszkania, dwóch pokoiów z betonowym gankiem i balkonem z koślawymi słupkami. Mogliby wystawić tam skrzynki z kwiatami i udawać, że to Mińsk. Był tam również dodatkowy pokój wielkości garderoby, gdzie Lee robił swoje notatki, przechowywał korespondencję i zapiski.

Rzeczy przewieźli wózkiem spacerowym June. Zrobili sześć czy siedem kursów, naczynia kuchenne, ubranka, listy z Rosji. Ostatni kurs zrobił sam, włożywszy przedtem jak najwięcej ubrań, żeby nie obracać po raz ósmy.

Do pokoiku można było wejść i z salonu, i prosto ze schodów przeciwpożarowych. Drzwi zamykały się na klucz od wewnątrz, i jedno, i drugie. Tak więc mieli tam takie hermetyczne pomieszczenie, niby część budynku, jednocześnie coś, co do budynku nie należało. Nazywał je gabinetem. Wcisnął tam stolik pod lampę i krzesło i wziął się do opracowywania planu uśmiercenia generała Walkera.

Zaczął od zdjęć jego domu. Do autobusu zabierał ze sobą lustrzanekę, którą ukrywał w papierowej torbie. Sfotografował kratowany płot za domem i alejkę wychodzącą z parkingu przed kościołem mormonów przy Avondale Street. Sfotografował tory kolejowe, gdzie w razie potrzeby mógłby ukryć broń.

W świecie istnieje drugi świat.

W notatkach szczegółowo opisał położenie okien z tyłu domu. Przystudiował plan Dallas. Dopieścił fałszywe dokumenty, które sporządził po godzinach pracy. Kiedy na pocztę przyjdzie rewolwer Hidella, odbierze go na dokumenty tegoż właśnie Hidella. Wypełnił je na maszynie podczas zajęć.

Dobrze było wiedzieć, że Dupard go popiera. Dupard uciśniony. Był siłą napędową historii, symbolem zwartego frontu przeciwko tym ze skrajnej prawicy.

Ponownie użył nazwiska Hidell 12 marca, wypełniając przekaz pieniężny na kwotę 21,45 dolara dla Klein's Sporting Goods w Chicago za mannlichera-carcano, włoski karabin kalibru 6,5 milimetra wyposażony w celownik optyczny o czterokrotnym powiększeniu.

Na pustych ulicach padał deszcz.

Jak wielkie miał poczucie misji, siedząc zamknięty w tym miniaturowym pokoiku, tworząc plan, tworząc sieć połączeń!

Było to jego drugie życie, jego prywatny, trójwymiarowy świat.

Poszedł do sklepu i kupił magazynek do mannlichera, żeby ten mógł wystrzelić siedem razy przed ponownym załadowaniem.

Mokre od deszczu ulice. Gdy znalazł się w pralni, podniecony zaczął tłumaczyć Bobby'emu, że zważywszy na rozkład domu i ogrodu, lepiej będzie strzelać z większej odległości. Potem wślizgnął się z powrotem do swego pokoiku, tak że nikt nie wiedział nawet, że gdzieś wychodził.

W piżamie i na bosaka stał w saloniku, ćwicząc przeładowywanie. Szarpnął uchwytem do góry, przesunął rygiel do tyłu, potem do przodu i pchnął uchwyt w dół. Do góry, do tyłu, do przodu i w dół. Odwrócił się do lustera nad sofą. Do góry, do tyłu, do przodu i w dół.

Marina wyszła do sklepu. June siedziała na krzeselku pod oknem, tocząc szklaną kulkę po tacce.

Za domem było podwórze, skrawek ubitej ziemi, gdzie rosły dwa krzaki forsycji. Wzdłuż płotu wisiał sznur na bieliznę, a Marina wywieszała właśnie pieluchy. Sąsiadów z parteru nie

było w domu.

Minęło dziesięć minut. Lee zszedł na dół zewnętrznymi schodami. W jednej ręce trzymał karabin, w drugiej dwa czasopisma. Był w czarnym pulowerze z krótkimi rękawami i w luźnych ciemnych spodniach. U pasa miał rewolwer.

Oparł karabin o schody i wszedł do mieszkania. Chwilę później wrócił z aparatem fotograficznym Imperial Reflex, który kupił tanio w Japonii.

– Po co to robisz? – spytała Marina. – Gdyby zobaczyli nas sąsiedzi.

– To dla Junie, na pamiątkę.

– Po co jej zdjęcie ojca z bronią? Zresztą nie wiem, jak robi się zdjęcia.

– Trzeba trzymać aparat na wysokości brzucha.

– Nigdy w życiu tego nie robiłam.

– Nie szkodzi. Będziesz miała dla malej.

– Cały na czarno. To głupie. Na kogo chcesz polować z tym karabinem? Na siły zła? Chce mi się śmiać. To głupie. Nikomu tym nie zaimponujesz. Robisz to tylko na pokaz.

Pozował w kącie podwórza z karabinem, który trzymał w prawej ręce lufą do góry, przyciskając kolbę do biodra, centymetry od tkwiącej w kaburze trzydziestkiósemki. Czasopisma, „Militanta” i „Workera” trzymał w lewej, jak karty do gry.

Trzasnęła migawka.

Potem pozował znowu, tym razem z karabinem w lewej ręce i czasopismami pod brodą; tuż nad dłonią widać było słowo „Militant”. Cień Lee sięgał prawie drewnianej furtki, a światło i czas uniosły jego lekki uśmiech i ujęły go w ramy urzędowej pamięci.

Punktualnie o wpół do dziewiątej stanął koło stacji benzynowej Gulfa przy North Beckley; w nocy trochę mniej cuchnęło tam benzyną. Było ponad trzydzieści siedem stopni. Rekordowy upał jak na tę porę roku. Na lewym ramieniu Lee miał wojskową pelerynę, w prawej ręce trzymał puszkę coli, którą kupił w pobliskim automacie i po którą tu niby przyszedł.

Obserwował brązowego forda, który skręcił powoli na stację i zatrzymał się niedaleko miejsca, gdzie serwisowano samochody. Rocznik 1950, coś koło tego. Dupard wysiadł i mrużąc oczy, stanął przed otwartymi drzwiczkami. W jasnoniebieskim kombinezonie, małej, okrągłej czapce i w koszuli z napisem „American Bakery” na piersi; twarz i całe ubranie miał uwalane mąką, która pobieliała mu nawet brwi i wierzch dłoni.

Lee ruszył ku niemu z lewą ręką pod pelerynę; karabin tulił do ciała, kolba tkwiła pod pachą. Odezwał się dopiero wtedy, gdy wyjechali na ulicę, gdy skręcili na północ i gdy położył karabin na podłodze za przednimi fotelami.

– Co cię napadło, Bobby?

– Niby co?

– Jesteś w kombinezonie.

– Dzisiaj nie robię w pralni, ale miałem okazję wziąć nadliczbówki. No to wziąłem.

– Bobby, chcesz powiedzieć, że to przeze mnie nie możesz dzisiaj pracować w pralni? To chcesz powiedzieć?

– Ja tylko tak. Była okazja. Wycisnąłem cztery godziny ekstra.

– Mogą cię rozpoznać. To nie pora, żeby rzucać się w oczy.

– Gówna nikt nie widzi. Załatwimy to szybko i po ciemku. Gdzie masz rewolwer?

Lee wyjął trzydziestkęósemkę i położył ją na siedzeniu między nimi.

– Skołowałeś naboje? – spytał.

– A jakże! – odrzekł Dupard. – Kupiłem od jakiegoś uczniaka na ulicy, piętnaście sztuk. Są dwóch rodzajów, ale pasują do każdej trzydziestkiósemki, więc nie spodziewam się problemów.

– A ja, że w ogóle ich użyjemy. Rewolwer jest tylko na wszelki wypadek.

Na pierwszym czerwonym świetle Bobby otworzył bębenek, sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął sześć nabożów. Wetknął je do komór magazynka.

– Dobry znak – powiedział Lee. – Rewolwer zamawiam w styczniu, karabin w marcu. I rewolwer, i karabin przychodzą tego samego dnia. Moja żona powiedziałaby, że to przeznaczenie.

– A dzisiaj? Co jej powiedziałaś?

– Myśli, że jestem na maszynopisanu. Wylali mnie dwa tygodnie temu. Z roboty też, w zeszłą sobotę byłem ostatni raz.

– Jezu, boję się zwolnienia.

– Powiedzieli, że jestem niedokładny. To musiało się stać. Tak jak to dzisiaj. Dowiedzą się o tym w Hawanie. Przed północą wiadomość dotrze do Fidela.

Wiadukt na Commerce Street i rzecze Trinity.

– Po mojemu ten karabin jest z demobilu. Skąd wiesz, że w ogóle strzela?

– Owinąłem go w płaszcz i pojechałem na Love Field. Poszedłem nad rzekę na zachód od autostrady, gdzie ludzie przychodzą przestrzelać broń. Za dnia jest tam jak na wojnie.

– A ten pas jest chyba od saksofonu tenorowego.

– Ale pasuje. Wszystko gra. Wszystko pasuje. Starannie to zaplanowałem. Byłem w sześciu sklepach, zanim znalazłem odpowiednie naboje.

– Generał musi umrzeć, cały czas o tym myślę.

– Trafię go za pierwszym strzałem – odparł cicho Lee.

– Muszę wreszcie poczuć się lepiej.

– Mam stamtąd idealny widok na każde okno.

– Chcę zobaczyć, jak gryzie ziemię.

– To niecałe czterdzieści metrów.

– Za Missisipi, za Johna Bircha, za KKK, za wszystko, kurwa.

Bobby miał lekko zamglone oczy. Przez chwilę milczeli. Przez okna były fale upału. Jechali w kierunku Oak Lawn Avenue.

– Z Avondale skręcimy w alejkę na parking przed kościołem; alejka ma siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć metrów długości. Będziemy jechać powoli. Na końcu alejki wysiądę. Ty pojedziesz dalej i skręcisz na podjazd przed kościołem. To będzie w czasie mszy. Udasz spóźnionego mormona. Zatrzymasz się i zaczekasz. Zgasisz światła. Wyceluję przez kratki w płocie za domem Walkera. Mam stamtąd czystą linię strzału. Ty będziesz siedział i czekał. Już go widzę. On lubi palić światło w domu. Nocami przesiaduje w gabinecie.

Miał trzydziestodwunastotygodniową subskrypcję „Time’a”. Wyobraził sobie, że zamieścili jego zdjęcie, to z podwórza. Castrowski partyzant z bronią i wywrotowymi czasopismami w ręku. Wyobraził sobie okładkę, wyobraził, że ogląda go cały socjalistyczny świat. Człowiek, który zastrzelił faszystowskiego generała. Przyjaciół rewolucji.

– Siedemnastego – powiedział. – Druga rocznica, co do dnia. W Hawanie to docenią. To ta inwazja zrodziła takich ludzi jak Walker.

Skręcili w Avondale Street. Spostrzegł, że Bobby gapi się na niego, z białymi od mąki brwiami.

– Siedemnastego – powtórzył Dupard. – Co siedemnastego?

– Kwietnia. Przecież dziś środa, nie?

– Tak, ale dziesiątego.

Ted Walker siedział przy biurku w gabinecie. Pięćdziesiąt trzy lata, kawaler, ot, zwykły

sąsiad, wysoki, z krzaczastymi brwiami, nieco już obwisłymi policzkami i sflaczałą skórą na szyi, lekko pochylony, surowy dla miejscowych dzieciaków, wypełniał formularz zeznania podatkowego.

Najlepszy dowcip w Ameryce. Generał Walker wypełnia zeznanie podatkowe.

Przywykł do mówienia o sobie w trzeciej osobie. Z dziennikarzami rozmawiał o sprawie Walkera, o próbach jego uciszenia. Ta świadomość publicznego „ja” była czymś naturalnym, zważywszy na to, z jaką uwagą i ekscytacją pisała o nim miejscowa prasa w październiku, kiedy to szedł łeb w łeb z kubańskim kryzysem raketowym. Sam pan prezydent powiedział o „Morning News”: „Jestem pewien, że mieszkańcy Dallas cieszą się, gdy nadchodzi południe”.

Podstarzałe panie kochają swojego Teda. Są jego ostatnimi prawdziwymi wielbicielkami. Ted mruczy wiersz o ich zaprzepaszczonym życiu.

W popielniczce ćmił się papieros. Generał siedział tyłem do okna, dodając liczby w brulionie, sumując podatki, wypełniając zeznanie, tak jak każdy dureń i naiwniak z Aparatu Kontroli Realnej. Listy od wielbicieli leżały w koszyku po prawej stronie. Kobiety z Chrześcijańskiej Krucjaty, mężczyźni ze Stowarzyszenia Johna Bircha, pracujący dorywczo emeryci, gniewni, zdradzeni i wypaleni. Wszyscy oni doskonale znali Aparat Kontroli od środka. Tu nie chodziło jedynie o politykę z dystansu. Nie chodziło o układy sprzedajnych specjalistów, uległych polityków, słabych sióstr i tych, którzy bez szans na powodzenie próbowali tworzyć politykę. Aparat paraliżował nie tylko siły zbrojne, ale i życie każdej jednostki, udaremniał realizację wszystkich normalnych amerykańskich dążeń, nasączał umysły i ciała fluorem, trawiąc je pełzającą gorączką związków zawodowych, lewicowej prasy i podatku dochodowego, zarażając je wszystkimi współczesnymi chorobami, które nadwątlają wolę narodu do stawiania oporu napierającemu wrogowi.

Czerwoni Chińczycy gromadzą siły na kalifornijskiej granicy. Potwierdzone doniesienia.

Oto człowiek, panie i panowie, który wdrapał się na cokół pomnika Konfederata w Oxfordzie w stanie Missisipi, by zgromadzić tysiące przeciwników integracji rasowej na uniwersytecie. Człowiek, który, jak powiadają, przewodził insurekcji, z dumą nosząc szary kowbojski kapelusz. Och, tak, to było coś! Czterystu szeryfów federalnych, pięciuset stanowych i miejscowych policjantów, helikoptery, jeepy, wozy strażackie, trzy tysiące żołnierzy Gwardii Narodowej, gaz łzawiący na ulicach, płonące samochody, fruwające kamienie, strzały snajperów, dwóch zabitych, niezliczona ilość rannych, dwustu aresztowanych, wojskowe ciężarówki wyładowane żołnierzami, szesnaście tysięcy uzbrojonych żołnierzy przeciwko kilku tysiącom studentów, wieśniaków i patriotów z Południa – a oto powód, źródło i przyczyna całego zamieszania: jeden ponury czarnuch z chustką na twarzy, żeby nie płakać od gazu.

Zabierzcie sztandar, zabierzcie namiot i rondel.

Było to sedno tego, co im wtedy powiedział. Skautowska saga, dwa dni podchodów na świeżym powietrzu.

Po lewej stronie stał drugi koszyk, a ten wypełniony był artykułami prasowymi, które wyciął jego asystent. Oto Ted zgłaszający swoją kandydaturę do wyścigu o fotel gubernatora w prawyborach, wyścigu, który dzięki interwencji Aparatu Kontroli ukończy na szóstym, a więc – jak by tego nie liczyć – ostatnim miejscu. Oto Ted ze swoją kochaną matką Charlottą przed gmachem sądu w Oxfordzie, wśród szeleszczących liści klonów i ambrowców. Chcieli zamknąć go w szpitalu dla umysłowo chorych razem z bandą szczerbato uśmiechniętych kretynów. Aparat Kontroli w swoim najgorszym wydaniu, prosto z komunistycznego podręcznika, Aparat, który próbuje zamknąć wielokrotnie odznaczonego weterana w pokoju bez klamek. Oto przeciw czemu walczy wasz generał, panie i panowie, bracia patrioci, członkowie Stowarzyszenia Johna Bircha, członkowie Rady Białych Obywateli, skauci, chrześcijanie, matko droga.

W czcigodnej sali posiedzeń Senatu spytali go o nazwiska członków Aparatu Kontroli Realnej. To tak, jakby kazali mu nazwać wszystkie cząsteczki powietrza, molekuly albo komórki. Aparat jest właśnie tym, czego nie widać, czego nie można nazwać. Nie można go zmierzyć, panowie, nie można sfotografować. To tajemnica, której nie da się ogarnąć, spisek, którego nie sposób rozwikłać. Co bynajmniej nie znaczy, że spiskowców nie ma. Są. Są nimi urzędnicy naszego rządu, ministrowie, filantropi, ludzie, którzy rozpoznają się za pomocą tajnych znaków, którzy stojąc w cieniu, kontrolują nasze życie.

Ale nie powiedział im tego. Mamrotał tylko i stękał w zatłoczonej sali, a potem uderzył w twarz jakiegoś reportera.

Czasami się w tym gubię. Mamy tu do czynienia z tragedią ludzkiej mowy, tragedią ludzkiego ciała. Są siły, których nie potrafimy zrozumieć.

Zgasił papierosa, zapalił kolejnego. Ostatnio coraz szybciej się męczył. To skutek operacji „Midnight Ride”, serii jednorazowych wystąpień w Louisville, Nashville i Amarillo w trakcie podróży, której celem było rozbudzenie centrum kraju, zmuszenie go do słuchania: St. Louis, Indianapolis i tak dalej – nie zdążył dojść do siebie. I jeszcze ci pikietujący bitnicy, banda najkoszmarniejszych sobowtórów Fidela Castro, jakich kiedykolwiek widział.

Już czas opanować i zlikwidować tę plagę, która szerzy się z Kuby. Męczyło go to i dopadało, kompletnie wyczerpywało. Te straszne pokoje hotelowe – nigdzie indziej i nigdy w życiu nie czuł się tak samotnie jak tam, nigdzie indziej nie było mu tak niewygodnie. Czasami jestem zdezorientowany i zagubiony, gotów ulec samotnej rozpacz, czasami mam dość kręcenia i odpędzania myśli o tym, co wiem i czuję. Pomyśl o tych nieuczestnych chłopakach w ciasnych dżinsach, o tych z plakatami na kijach, którzy ciskają w noc przekleństwami i wrednymi hasłami. Są miękcy, pod tymi kubańskimi włosami są miękcy. Hotele. To tam ma miejsce ta przemiana, to tam Ted zmienia się w obcego, który błądzi umysłem wśród tych po drugiej stronie barykady, idąc za głosem tego, co zawsze czuł.

Niektórzy myślą, że czerń to spalona słońcem biel.

Lepiej się bawił, startując w prawyborach w Teksasie. Ten wesoły tłum. Skandujący i rozśpiewany, ludzie pełni nadziei, a nie ci umęczeni nieszczęśnicy z „Midnight Ride”. Skreślał liczby i sumował podatki, ale wciąż myślał o flagach powiewających we wszystkich salach tego przeklętego stanu, o flagach upiętych, o czystych amerykańskich głosach intonujących tę pieśń.

Włóż niebieską czapkę z Samotną Gwiazdą pośrodku i wyprawmy Walkera w drogę.

Czy to petarda? Odwrócił się do okna, jednocześnie wstając, lecz wstając powoli, z namysłem. Dzieciaki rzucają petardy? Wstawiliśmy siatkę? Tak, zobaczył, że tak, a okno było zamknięte. Wszystkie okna były zamknięte, bo włączył klimatyzację. Odsunął się od światła i coś przykuło jego uwagę. W ścianie była dziura wielkości pięćdziesięciocentowej monety. Próbował to zrozumieć. Ponownie spojrzął na okno: tuż pod rozdzielającą szybę drewnianą ramą widniał otwór, promieniste pęknięcie. Odsunął się jeszcze dalej. W popielniczce ćmił się papieros. Poszedł na górę i wziął rewolwer. Szybko zszedł na dół. Otworzył tylne drzwi, rozejrzał się i znieruchomiał, czując, jak napiera na niego ściana upału. Potem wrócił i zadzwonił na policję. Dopiero wtedy zauważył kawałki szkła i drewna we włosach i w prawym przedramieniu, tuż poniżej podwiniętego rękawa, szkła, drewna i czegoś ziarnistego, jasnego jak piasek, pewnie odłamki miedzianego płaszcza pocisku o dużej prędkości.

Ani trochę go to nie zaskoczyło. Od dawna przeciw niemu knuli, wszyscy członkowie Aparatu Kontroli, knuli i spiskowali, żeby uciszyć Walkera. A kula ucisza.

Wziął pęsetę, usiadł w fotelu i czekając na przyjazd policji, zaczął wydłubywać metal z ciała.

Marina martwiła się o męża. Rano powiedział jej, że stracił pracę. Że niby przez FBI. Powiedział, że pewnie przyszli do zakładu i zaczęli o niego wypytywać. A teraz się spóźnił. Tylko gdzie był? Powiedział, że idzie na kurs, ale kurs skończył się kwadrans po siódmej, przed trzema godzinami, poza tym była środa, a w środy nie mieli zajęć.

Chciał, żeby wróciła do ZSRR. Tu, w Ameryce, nie mógł utrzymać żony i dziecka. Kazał jej napisać do radzieckiej ambasady w Waszyngtonie. Czy opłacać powrót rosyjskiej obywatelki i jej dziecka do kraju?

Znowu była w ciąży, a właśnie tak ingeruje przeznaczenie.

Przynajmniej mieli balkon, gdzie June mogła raczkować na świeżym powietrzu. Kiedy się rozstali, zaraz po Fort Worth, mieszkała w sześciu różnych domach, kilka nocy spędzając w jednym i przeprowadzając się do drugiego. Te przeprowadzki zszargały jej nerwy. Raz Lee został z nią na noc u pewnych Rosjan. Była tam pełna lodówka i elektryczny otwieracz do konserw. I dwa telefony. Kochali się przy włączonym telewizorze.

Właścicielce domu przy Elsbeth Street powiedział, że jest Czeszką.

Raz uderzył ją przy ludziach w twarz, bo rozpiął jej się suwak z boku spódnicy. Przy ludziach.

Holandia była niewiarygodnie czysta. Marzyła o tym kraju, o tych pięknych domkach i czyściutkich dzieciach.

Może wrócą do Rosji razem, chociaż nie chciała wracać. Może przeprowadzą się do Nowego Orleanu. Dużo mówił o Nowym Orleanie, swoim rodzinnym mieście, mieście portowym, jak Archangielsk, gdzie dorastała.

Wykonywał większość prac domowych, a w niedzielę przynosił jej śniadanie do łóżka. Lubiała długo spać, wcale się tego nie wstydziła. Ludzie dawali jej różne rzeczy, a on ich obrażał.

Jeździł autobusem na Love Field, Pole Miłości, tak się to nazywało, i trenował strzelanie z karabinu. Pokłócili się o to. On ją uderzył, ona czymś w niego rzuciła, więc uderzył ją ponownie, pięścią, i rozkrwawił jej nos.

Zakupy spożywcze robimy we wtorek.

To dla niej kolejne nieszczęście, że stracił pracę. Ale w uciekających dniach i tygodniach nie widać schematu życia. Może ich przeznaczeniem było mieszkać w mieście portowym, czuć morską bryzę i wypatrywać czulej obietnicy.

Nigdy dotąd tak się nie spóźnił. Coś kazało jej zajrzeć do gabinetu. Na małym stoliku, którego używał zamiast biurka, znalazła notatkę po rosyjsku. Zawierała jednaście punktów, a niektóre słowa były podkreślone.

Przeczytała ją szybko, tak szybko, że aż zamazywały się litery.

Pisał, żeby nie martwiła się o czynsz. Zapłacił drugiego. Zapłacił za wodę i gaz. Kazał jej wysłać wycinki prasowe do radzieckiej ambasady (jeśli będzie coś o nim w gazetach). Pisał, że kiedy ambasada o wszystkim się dowie, na pewno jej pomoże. Że pomoże jej Czerwony Krzyż. Że niedługo przyślą jej pieniądze z pracy. Że musi iść do banku i zrealizować czek. Prosił ją, żeby zaopiekowała się jego dokumentami. Ale żeby wyrzuciła jego ubrania albo je rozdała.

W punkcie jedenastym napisał: Jeśli przeżyję i mnie aresztują, miejski areszt jest na końcu mostu, przez który przejeżdżamy w drodze do śródmieścia.

Stała tam przez chwilę. Potem szybko wróciła do kuchni, wzięła rosyjską *Księgę pożytecznych rad* i ukryła w niej list.

Lee wrócił na stację benzynową Gulfa i właśnie pił kolejną colę, czując, że koszula lepi mu się do ciała. Ostrożnie podszedł bliżej budki, gdzie grało radio. Już niedługo o tym powiedzą, na pewno. Ilekroć kończyła się piosenka i zaczynali coś mówić, przysuwał się bliżej drzwi, nasłuchując takich słów jak „zastrzelony” „zabity” czy „umierający” słów, które, jak wiadomość

o każdym ważnym zamachu, wywołują podchodzące do gardła podniecenie. Rewolwer, karabin i wojskowa peleryna powinny być teraz jakieś pięć kilometrów stąd, gdzieś w getcie Zachodniego Dallas. Odbierze je za parę dni albo wtedy, kiedy będzie już bezpiecznie.

Pociągnął haust coli i zakłuł butelką, trzymając szyjkę między palcami. Na stacji nic się nie działo. W budce rozmawiali dwaj mężczyźni w utyłanych smarem kombinezonach. Wnętrze budki było dobrze oświetlone. Puszki oleju, seksowny kalendarz na ścianie. Lee podszedł jeszcze bliżej. Próbował udawać próżniaka na zachwaszczonym krańcu miasta.

Późno. Przestały przyjeżdżać samochody. W radiu nic tylko rock and roli. Dopił colę, wstawił butelkę do skrzynki i w przejmującym upale poszedł do domu.

George de Mohrenschildt słuchał radia, często zmieniając stacje. Chciał dowiedzieć się czegoś nowego o aferze z Walkerem. Próba zamachu – fascynujące. Mały włos i by go trafili, nigdy dotąd nie byli tak blisko. Kula musnęła ramę i zmieniła trajektorię. Policja mówiła niewiele. Frustrujące. Łaknął nowych wiadomości. Nie chciał, żeby ten epizod odszedł w zapomnienie.

Wjechał do Oak Cliff. Na siedzeniu pasażera siedział duży różowy zajac dla June.

Nie widział Lee już od jakiegoś czasu. Oswald musiał czuć się wykorzystany i porzucony, musiał być przekonany, że źle go traktują. Wszystkie najsmutniejsze słowa z żebraczego słownika. Ale to jego wina. Wystarczyłoby tylko, żeby porozmawiał z Collingsem jak mężczyzna z mężczyzną. W sumie podziwiał jego opór. Była w tym swego rodzaju uczciwość. Ale i nuda.

A teraz znowu ktoś go porzucał. George wyjeżdżał na Haiti i wiedział, że Lee odbierze to tak, jakby zwiewał tylnymi drzwiami, on, jedyny człowiek, któremu ufał. George chciał otworzyć Haiti na świat. Znał tam największego bankiera, co stwarzało wiele możliwości. Poszukiwania ropy naftowej, kurorty, holdingi. Trwały również przygotowania do szmuglu broni, w głębokim, bardzo głębokim ukryciu. Z szuflad biurki wylaniały się fasadowe firmy. W bankach zakładano numeryczne konta, czarterowano statki. Pewien znajomy z Pentagonu chciał, żeby George pomógł zorganizować tam przykrywkę dla tajnych operacji przeciwko Fidelowi.

Znalazł Neely Street. Pomyślał o ludziach, którzy spędzają całe życie w miejscach takich jak to. Lee siedział w swojej norze, studiując jakieś zagmatwane teorie ekonomiczne, lewicowy bełkot. To było smutne, interesujące, nudne i głupie. I denerwujące. Nie przyszłoby mu do głowy, że widok ich mieszkania może wprawić go w złość. W tej nędzy było coś poważnego i niepokojącego. Wszystko jakieś takie rachityczne, prowizoryczne, przekrzywione. Krzywe. Mieszkanie było odpychające, niewiele lepsze niż klitka w slamsach w Port-au-Prince, i nagle zdał sobie sprawę, że Lee, ten chłopak o dziwnej przeszłości i dziwacznym sposobie bycia, już nigdy go nie rozbawi.

Lee i Marina podeszli do drzwi.

– Mój przyjacielu – zaczął George swoim najdonośniejszym głosem. – Jak to się stało, że spudłowałeś i ten sukinsyn żyje?

Był pewien, że się roześmieją. Ale oni uciekli do pokoju. I jakby się skurczyli. W tym domu żart był najwyraźniej nie na miejscu.

Dał im wielkanocnego zajaca i powiedział, że jedzie na Haiti, na dłużej, służbowo; pozostanmy w kontakcie.

Lee zmieniła się twarz. George poczuł się podle. Zostawiał go samego, bez opiekuna, do którego mógłby przyjść ze swoimi pomysłami i kłopotami. Marina poszła do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę, a on, mówiąc zwrócony w tamtą stronę, opowiadał im o swojej wizji Haiti. O hotelach, kasynach, elektrowniach wodnych, o przetwórnicy żywności. Lee siedział na sofie. Na jego twarzy pojawił się ów specyficzny uśmiech, ten uśmieszek, który kojarzył się George'owi z uśmiechem komika z niemego filmu, gdy wokół jego głowy ciemnieje ekran.

– A więc ktoś się tu wreszcie uśmiecha. Wielce spóźniona reakcja. Staję w drzwiach, rzucam coś zabawnego, wszyscy milczą. Jakbym trafił do doliny zagubionych dusz. Nareszcie widzę zapowiedź uśmiechu. Co cię tak rozbawiło? Proszę. Powiedz.

– Wysłałem ci zdjęcie – odrzekł Lee.

– Jakie?

– Jedno z tych, co to jak na nie spojrzysz, to może zrozumiesz coś, czego dotąd nie rozumiałeś.

– Tajemniczo to brzmi.

– Może poznasz czyjeś prawdziwe oblicze.

Jadąc do domu, George myślał o przeładowanym harmonogramie spotkań w Nowym Jorku i Waszyngtonie, które musiał odbyć przed wyjazdem na Haiti. Biuro Kopalnictwa, Lehman Trading, Chase Manhattan, Manufacturers Hanover Trust, Pentagon, ICA, CIA. To ostatnie było czysto towarzyskie, lunch ze starym przyjacielem z Agencji, Larrym Parmenterem, weteranem z Zatoki Świń, lecz poza tym człowiekiem porządnym i zabawnym, znającym się na winie.

Usiadł przy biurku i zaczął przeglądać pocztę z ostatnich trzech dni. Doszedł do listu od Lee Oswalda. W środku było tylko zdjęcie. Pokazywało ubranego na czarno Lee z karabinem w jednej i czasopismami w drugiej ręce. Ciekawi mnie to czy nudzi? – pomyślał. Spojrzał na odwrotną stronę. Zdjęcie było podpisane. „Mojemu przyjacielowi George’owi, Lee Oswald”.

Zerknął na stempel pocztowy. 9 kwietnia. Dzień przed zamachem na generała Walkera.

Przeczytał drugie zdanie. Było po rosyjsku, napisane charakterem pisma Mariny, najwyraźniej bez wiedzy Lee, ukradkiem, tuż zanim zakleił kopertę i wysłał list – prywatna wiadomość od żony pozującego męża do starszego, ekscentrycznego przyjaciela.

Łowca faszystów – ha, ha, ha!!!

6 września

Wayne Elko siedział pod oknem leśnej chaty na bagnistych rozlewiskach na zachód od Nowego Orleanu. W oknach nie było szyb, tylko resztki zakurzonej plastikowej folii, więc patrzył przez tę folię na niewyraźne sylwetki trzech mężczyzn, którzy strzelali w kępie cyprysów i wierzb.

W okolicy były też inne chaty, tu i tam, które odwiedzali weekendowi goście przyjeżdżający na bagna łowić żaby i raki.

Wczesnoporanna mgła. W ciężkim powietrzu wystrzały były ciche i odległe, jak wystrzały z dziecięcej pukawki.

David Ferrie, zniewalający osobnik, dowcipny mistrz ceremonii, strzelał z dwudziestkidwójki do puszek.

Brzuchaty Kubańczyk, Raymo, miał przerobionego winchestera; ciągle go rozkładał, składał, czyścił flanelą lufę i polerował łożę.

Trzeci z nich, imieniem Lew, ryglował właśnie stary karabin; wymierzył, wystrzelił, przeładował.

Ferrie wyjaśnił, że jest to nowe, pospiesznie zorganizowane obozowisko, stąd brak wygod. Obozowisko stałe było w Lacombe pod Nowym Orleanem, gdzie ludzi z kilku antycastrowskich frakcji uczono zasad walki partyzanckiej, dopóki federalni nie zrobili nalotu i nie przejęli olbrzymich zapasów dynamitu i korpusów bomb. To przedsięwzięcie miało być małe i poufne. Z nikim nie rozmawiać. Szanować środowisko. Czekać na odpowiednią chwilę.

Wayne uważał, że zasady te graniczą z mistycyzmem.

Wiedział, że nie przyjechali tu tylko po to, żeby sobie postrzelać. T-Jay chciał ich odizolować. Zwłaszcza Rayma i jego. Sytuacja się rozwijała, więc snajperzy musieli przywarować gdzieś, gdzie mógł ich znaleźć.

Wyszedł przed chatę w samych lewisach, z nagą, bladą, żylastą pierśią. Zapuszczał włosy i mozolnie zaplatał je w cienki warkoczyk. Ziemia była mokra, a on szedł na bosaka. Stężały bezruch, metaliczne światło, rosnące ciśnienie – gdzieś w pobliżu krążyła burza. Poza tym ptaki były wystraszone i marudne.

Frank Vásquez wrócił do Everglades, żeby szpiegować tych z Alphy 66.

Tamci rozmawiali obok powalonego drzewa. Wayne miał u pasa nóż w skórzanej pochwie, ale tylko tak, na pokaz. Ferrie uśmiechnął się na widok jego bosych stóp.

– Oto człowiek nieustraszony.

– Nie rozumiem, czemu ludzie boją się węży – odparł Wayne. – Co mogą nam zrobić? Mnie nie tykają. Często je spotykam i nigdy mnie nie tykają.

– Nie chodzi o tykanie – powiedział Raymo. – Chodzi o to, że można na jakiegoś nastąpić. Nie widząc, gdzie się idzie.

– Na mokasyna – rzucił Lew.

– Noszę w sobie prymitywny strach – rzekł Ferrie. – Wszystkie moje strachy są prymitywne. Układ limbiczny mózgu. Przechowuję tam milion lat ludzkiego strachu.

Był w zmiętym kapeluszu od słońca, a nad oczami miał ekspresyjne, błazeńskie brwi. Oddał Wayne'owi strzelbę. Obserwowali go, gdy schodził pochyłym pomostem i wskakiwał do skifu. Samochód zostawił na drodze, kilkaset metrów w dół strumienia, i można się tam było dostać tylko łodzią.

Postrzelali na zmianę do celu sylwetkowego, który należał kiedyś do FBI. Potem weszli do chaty, żeby coś przegryźć.

W dach zabębniły pierwsze krople deszczu, ciężko i rytmicznie. Siedzieli przy stole i rozmawiali o pracy, o pracach dorywczych i sezonowych. Wayne opowiedział im, jak to czyścił baseny w Kalifornii. Lew opisał jakąś fabrykę radioodbiorników, tokarki i kruszarki, zalaną olejem podłogę, czarne od brudu ręce robotników. Raymo opisał ręce tych, którzy ścinali trzcinę cukrową, ręce zgrubiałe od szram, lepkie i czarne od soku.

Pierwszy raz Lew powiedział więcej niż dwa słowa. Wayne nie wiedział, co ten człowiek tu robi, chociaż było oczywiste, że jest kimś specjalnym i na swój sposób szurniętym. Przychodził i odchodził, zawsze z tym włoskim karabinem. Zdawało się, że pozostali omijają go z szacunkiem z daleka, jakby był święty albo chory.

Potem rozmawiali o więzieniach.

– Kiedyś myślałem, że najwspanialsze w Fidelu jest to, że siedział – powiedział Raymo. – Bo siedział i na Kubie, i w Meksyku. Mówiłem: oto człowiek silny i honorowy. Jeśli wsadzą go za przekonania, wyjdzie z pudła jako człowiek z autorytetem. W jego więzieniach jest zupełnie inaczej. Wyszliśmy z La Cabaña źli i zde gustowani. Byliśmy gnidami CIA.

– Ja siedziałem w areszcie wojskowym – powiedział Lew.

– Za co?

– Za politykę. Tak jak Fidel. Miesiąc temu zamknęli mnie na noc w Nowym Orleanie. Też za politykę.

– Ja siedziałem trzy dni – wtrącił Wayne. – Przechwycili nasz kuter jakieś dziesięć minut drogi od Keys. Że niby pogwałciliśmy akt neutralności. T-Jay nas wyciągnął. Jakoś to załatwił. Grzeczniutko wycofali oskarżenie, i już.

– Castro siedział czternaście miesięcy w izolatce – powiedział Raymo. – Czytał Karola Marksa. Czytał wszystkich Rusków. Mówił, że czytał dwanaście godzin dziennie. Nawet po ciemku. Że ciągle coś tam studiował, ciągle analizował. Lata później widziałem egzekucje ludzi, którzy walczyli u jego boku w górach.

– Z historii jasno wynika – wtrącił Lew – że człowiek musi iść do więzienia za przekonania. To konieczna faza ewolucji każdego ruchu występującego przeciw systemowi. W prawdziwej walce przekonania się rozmywają.

– Dużo o tym myślałem – odparł Raymo – i opowiem wam o moich przekonaniach. Wierzyłem w Stany Zjednoczone. W kraj, który nikogo nie skrzywdzi. Kraj większy niż wszystko inne, większy od samego Boga. Z poparciem takiego kraju jak mogliśmy przegrać? Mówili nam, mówili, obiecywali, powtarzali i powtarzali. Stoi za nami cała armia. Płynęliśmy na te plaże, myśląc, że dadzą nam wsparcie z powietrza, z morza. To niemożliwe, żebyśmy przegrali. Przecież stoją za nami wielkie Stany Zjednoczone. I co się dzieje? Lądujemy na bagnach, głodni i zagubieni, jemy korę drzew, a w radiu mówią: „Uwaga, brygada, w stodole pohukuje sowa”.

Ze śmiechem powiódł wzrokiem po ich twarzach.

– „Bracia, kalekie dziecko wejdzie jutro na wzgórze”.

Śmiali się już wszyscy.

– Rozbroili nas, powiązali za ręce w długi, zapętlony łańcuch, wsadzili na ciężarówki, wiozą do najbliższego obozowiska milicji i nagle tuż nad naszymi głowami przelatuje samolot. „Nie strzelać, chłopcy! – wrzeszczę. – To nasz”

Oczy miał dzikie i rozradowane. Patrzył to na Wayne’a, to na Lwa, śmiejąc się jak pijany i waląc pięścią w stół. Podskoczyły blaszane talerze. Gdy się wreszcie uspokoili, przez pełne dwie minuty gapił się na jajka i domowej roboty frytki. Palcem wskazującym musnął wąs i zaczął jeść.

– Tu też jemy korę – dodał już bez tej dzikości w oczach, powoli żując jedzenie.

Jakiś czas później zobaczyli T-Jaya, który szedł w ulewnym, niesionym przez wiatr deszczu. Za nim pochylały się drzewa. Na prawym ramieniu miał płócienną torbę, pod lewą pachą niósł drugą. Otworzył je w chacie. W jednej były dwa skórzane pokrowce, w drugiej jeden. Każdy był wyłożony zielonym filcem, w każdym spoczywały dwa karabiny dużej mocy. Mamrocząc, zważyli je w rękach i po kolei obejrzel. Folia w oknie wydeła się i pękła.

– Celowniki są w samochodzie – powiedział T-Jay.

Usiedli i zaczęli rozmawiać o broni. Wayne uważał, że broń zbliża ludzi. Paradoks albo i nie. Z życiowego doświadczenia i z filmów wiedział, że pokój może nadwątlić więzy przyjaźni. To był wykład samuraja. Walka jest prawdą, ale kiedy bitwa dobiega końca i wieśniacy wracają na pola, prawda ta słabnie. Znowu wygrywamy, znowu przegrywamy – mówi jeden z bohaterów *Siedmiu samurajów*.

Twarz T-Jaya spływała wodą. Siedział w kałuży. Prawą rękę oparł o stół, dłonią do góry, zaciskając i rozwierając pięść. Wayne nigdy dotąd nie widział, żeby był tak rozmowny. Raymo też dużo gadał. Broń to język i wspomnienia. Wayne podsłuchał przypadkiem, o czym rozmawiali na uboczu T-Jay i Lew. Ogólny sens był taki, że Lew nie będzie strzelał z tych nowych karabinów. Tylko ze swego mannlichera. Z rozmowy jasno wynikało, że obydwaj się co do tego zgadzają.

Chatą targał wiatr. Gadali przez wiele godzin, wymieniając się krwawymi i zabawnymi opowieściami. Wayne czuł się lekko i rozkosznie, jak Jezus na promieniu księżycowego światła.

Frank Vásquez jechał przez Missisipi bel airem Rayma, jego rozklekotanym *decrépito*. Prowadzenie samochodu nie leżało w jego naturze. Ograniczenia prędkości brał dosłownie, a na widok znaku drogowego cały się spinał, nie zawsze rozumiejąc widniejące na nim symbole i bojąc się, że przydarzy mu się jakieś nieszczęście. Od Miami dwa razy miał kłopoty. Dwa razy źle skręcił. Gdy zatrzymał się na noc w motelu gdzieś pod Pensacolą, na parkingu wybuchła bójka między czterema czy pięcioma mężczyznami; pod ich stopami chrzęścił żwir, w białym kabriolecie płakała jakaś kobieta.

Nie lubił przyjeżdżać do USA, nie lubił oddalać się od mówiących po hiszpańsku Latynosów, nie lubił, gdy u jego boku nie było Rayma.

Miał wiadomości dla T-Jaya. Alpha planowała dużą operację. W Miami, w listopadzie. Początkowo nie domyślał się jaką, ale musiało to być coś wyjątkowego, skoro chcieli przeprowadzić ją w amerykańskim mieście, a nie w jakimś kubańskim porcie czy rafinerii.

Wraz z członkami innych ugrupowań i frakcji spędził dwa i pół tygodnia w obozie Alphy przy autostradzie 41, ćwicząc na torze przeszkód między bagiennymi sosnami. Pewnego dnia zagadał do niego sekretarz generalny Alphy. Chciał, żeby Mackey wziął udział w operacji, której celem miała być zemsta za klęskę na Playa Girón. Mackeya bardzo tam poważano. Dowództwo uważało, że powinien mieć w tym swój udział.

Nie wspominał ani o miejscu akcji, ani o dacie. Frank domyślił się wszystkiego z ogólnej rozmowy. To całe braterstwo go przytłaczało. Nie znosił musztry i strzelania. Dowódcy Alphy chodzili w ciemnych okularach, wojskowych butach, beretach i nosili trochę niepoważne brody. Skoro tak gwałtownie występowali przeciwko Fidelowi, czemu chcieli wyglądać jak Che Guevara?

Przypomniało mu się to, co opowiadał mu kiedyś Raymo: że po jednej z górskich bitew przyjechał na mule Che, żeby pogadać ze schwytanymi jeńcami. A jeńcy co zrobili? Od razu poprosili go o autograf. To właśnie wtedy dotarło do nich, że Batista jest skończony.

Frank znowu pomyślał o górach, o tym gęstym zielonym baldachimie, o dymie spływającym

ze szczytów, znikającym na pewnej wysokości, spływającym jeszcze niżej. Jeśli padał deszcz, był to deszcz totalny. Mieszkali w zakamuflowanych barakach, a czasem w błocie, i myślał wtedy o idei, za którą walczyli. A walczyli o pełną godność dla Kubańczyków. O sprawiedliwość dla głodnych i zapomnianych. Od pierwszego dnia wiedział, że tam nie zostanie. Nie był buntownikiem, ani ciałem, ani duchem. Był zwykłym człowiekiem.

Matka, źródło jego dni, powitała go smutnym śmiechem.

Uczył w klasach jeden-sześć, często jednocześnie, w szkole na skraju miasta, którego mieszkańcy pracowali w większości w jednej i tej samej firmie. Firmą tą była United Fruit, a on miał dwóch braci, brygadzystów na plantacji trzciny cukrowej, którzy mieszkali z żonami i dziećmi w pokoiku trzy metry na trzy, w rzędzie dziesięciu takich pokoików ściana w ścianę z dziesięcioma identycznymi, w długim baraku na słupach półtorametrowej wysokości. Ci, co ścinali trzinę, gnieździli się wraz z rodziną pod barakiem, w płytkich norach z tektury i worków.

Nie mogli nie zauważyć, że amerykańscy dyrektorzy La United mieszkali w pięknych, rojących się od służby domach przy ulicach wysadzanych palmami kokosowymi. Frank winił za to rząd, nie firmę. Chciał, żeby bracia rzucili robotę na plantacji i zostali wykwalifikowanymi robotnikami przy zgniatarkach. La United nie blokowała drogi ambitnym. Z operatora zgniatarki można było awansować na pracownika biurowego albo pracownika wydziału inżynierskiego. Mogliby dostać dwa pokoje w domu na oświetlonej nocą ulicy. Amerykanie szanowali tych, którzy pracowali wydajnie, którzy umieli doprowadzić coś do końca. Awans był jak najbardziej możliwy.

A potem przyszli rebelianci, jego byli towarzysze, przyszli i spalili plantację. Historia Kuby była pod tym względem konsekwentna. Obojętnie kto wzniecał bunt, zawsze zaczynał od palenia trzciny cukrowej. Była to deklaracja polityczna, wyraz protestu przeciw zależności gospodarczej i zagranicznej kontroli. Frank patrzył na płonąca trzinę, wiedząc, że stoją za tym komuniści. Bał się tego od samego początku. Jest w tym coś więcej, jest coś, o czym nie wiemy. Ogień przeskakiwał nad przecinkami. Prywatna policja La United już dawno uciekła.

W Hawanie, wraz z setkami innych, stanął w kolejce przed ambasadą amerykańską, żeby złożyć wniosek o wizę. A teraz dojeżdżał do granicy z Luizjaną, zmierzając prosto w burzę.

Czwartego dnia z Fidelem zastrzelił z karabinu snajperskiego rządowego zwiadowcę. Niesamowite. Naciskasz guzik i sto metrów dalej ktoś pada martwy na ziemię. Takie to puste i nierealne, takie zafałszowane. Optyczna sztuczka. Człowiek stoi prosto. Nagle zawisa do góry nogami. A potem leży na prawym boku. Strzelasz do obrazów, które widzisz w metalowym tubusie. Siła śmierci powinna być potężna, ale skąd masz wiedzieć, jakiego człowieka zabiłeś, skąd masz wiedzieć, kto był odważniejszy i silniejszy, skoro patrzysz przez warstwy szkła, które przekazują obraz, lecz zamazują znaczenie samego aktu zabijania? Wojna musi mieć sumienie, inaczej jest to zwykłe morderstwo.

Frank wiedział, co zamierza Alpha. Myślał o tym i myślał, i to musiało być to. A gdy dowiedział się, że prezydent przyjeżdża do Miami, wyzbył się ostatnich wątpliwości.

Jego bracia też uciekli od Fidela, trochę później i w bardziej niebezpieczny sposób, bo na tratwie z beczek po ropie. Na Kubę wrócili łodziami: jeden zginął podczas walk na plażach, drugiego schwytano i wsadzono do forttecznego więzienia, gdzie pozwolono mu umrzeć spokojnie z głodu, co było formą publicznej modlitwy, jego protestem przeciw biciu i egzekucjom.

Gorliwcy, wygnańcy i antykomunistyczni bojownicy startowali z Key West cessenami i piperami comanche, żeby zrzucić bomby zapalające na kubańską trzinę. Znowu płonęły plantacje.

Tu, na głębokim Południu, zobaczył coś, co pokazywało, jak dziwnie i jak totalnie nienawiść

do prezydenta przeniknęła do miejscowej kultury, do codziennego życia. Pierwszego dnia podróży przez pomyłkę zajechał aż do Georgii i widział tam kino dla zmotoryzowanych, w którym wyświetlano film o młodym Kennedym, bohaterze wojennym. Film miał tytuł *PT 109*, a tuż pod tytułem na szyldzie kina dopisano: „Przyjdźcie zobaczyć, jak żółtki omal dopadły Kennedy’ego”.

Bardzo go to przeraziło, te wszystkie oznaki, które tu widział. Luizjana w ulewnym deszczu. Opowie T-Jayowi o Everglades i Alphonse 66. Łatwo się było domyślić, że celem ich misji jest Kennedy.

W głębi serca chciał, żeby go zamordowano, chociaż zdawał sobie sprawę, że to grzech.

Kurator przysłała mu zdjęcia z sekcji zwłok Oswalda. Nicholas Branch czuje się w obowiązku je obejrzeć, chociaż nie ma pojęcia, czego mógłby się z nich dowiedzieć. Otwarte oczy, duża rana na lewym boku i dwa grube szwy schodzące się pod obojczykiem – tworzą kształt litery „Y” i przecinają ciało aż do genitaliów. Lewe oko jest skierowane na obiektyw aparatu, lewe oko patrzy.

Kurator przysłała mu wyniki testów balistycznych przeprowadzonych na ludzkich czaszkach i baranich tuszach, na blokach wymieszanej z koniną żelatyny. Są tu zdjęcia czaszek z odstrzeloną prawą skronią. Są zbliżenia roztrzaskanych kulami baranich łbów. Branch ogląda zdjęcie żelatynowego manekina, którego przebrano za prezydenta. Czysto modernistyczna rzeźba, blok żelatyny w garniturze, koszuli i w okopconym przez proch podkoszulku. Są tu wyniki badań prędkości wylotowej pocisków. Jest zdjęcie ludzkiej czaszki wypełnionej żelatyną i pokrytej baranią skórą udającą skalp.

Kurator przysłała mu notatki służbowe FBI dotyczące prezydenckiego mózgu, który przed ponad dwudziestu laty zniknął z Archiwum Narodowego.

Przysłała mu zniekształconą kulę, którą dla potrzeb badawczych przestrzelono nadgarstek siedzącego trupa. Przechodzimy na inny poziom, myśli Branch. Na poziom ponaddokumentalny. Chcą, żebym tego dotknął, żebym to poczuł.

Nie wie, dlaczego po tylu latach przysyłają mu te odrażające materiały. Horror i strzaskane kości. Jedynie tyle to dla niego znaczy. W tych zdjęciach i statystykach, w tej smutnej kuli z czubkiem rozplaszczonym jak jednocentówka na torach tramwajowych (jaki on jest już stary!) nie ma nic do zrozumienia, nie ma żadnej głębi. Szydzi z niego zakrwawiony barani łeb. Branch zaczyna dochodzić do wniosku, że to właśnie ta chwila. Że chcą, żeby utyłł się we krwi i glutach. Że się z niego natrzęsają. Że mówią: „Masz, popatrz sobie, to autentyczne zdjęcia. To twoja historia. Podumaj sobie nad tą przestrzeloną czaszką. Nad tym kawałkiem ołowiu w strzaskanej kości”.

Że mówią: „Popatrz, podotykać, to naga prawda o tym wydarzeniu. To nie są wasze piękne dwuznaczności, wasz smutek i żal, wasze ważne życie. To nie jest twój pokój teorii, muzeum sprzecznych ze sobą faktów. Tu żadnych sprzeczności nie ma. Tu wszystko jest proste. Człowiek na stole w kostnicy. Widzisz? Jego otwarte oko. Barani łeb, z którego wypływają resztki mózgu”.

Że mówią: „Tak właśnie wygląda zastrzelony człowiek”.

Jak mógłby zapomnieć o sprzecznościach i rozbieżnościach. Sprzeczności i rozbieżności są solą tej buńczucznej opowieści. Jednym z pierwszych dokumentów, które badał, był opis medyczny przypadku starszego szeregowego Oswalda. Jego rany postrzałowej. W jednym zdaniu napisali, że postrzelił się z czterdziestki. W następnym, że z dwudziestki. Fakty są samotne. Chaos ogarnia nawet te najtwardsze.

Oczy Oswalda są szare, niebieskie, brązowe. Wzrost? Sto siedemdziesiąt dwa, sto siedemdziesiąt pięć, sto siedemdziesiąt siedem. Jest praworęczny, jest leworęczny. Prowadzi

samochód, nie umie prowadzić samochodu. Jest świetnym strzelcem, nie umie strzelać. Branch ma na to wszystko dowody w postaci eksponatów zgromadzonych przez komisję i zeznań naocznych świadków.

Różni się nawet sam wygląd Oswalda, co zdjęcie, to jest inny. Na jednym jest atletycznie zbudowany, na innym wąły, tu ma cienkie usta, tam szeroką twarz, tu jest ekstrawertykiem, tam jest nieśmiały jak urzędnik bankowy, a jeszcze gdzie indziej ma grubą szyję jak obrońca w drużynie baseballowej. Wygląda jak każdy. Na jednym z dwóch zdjęć zrobionych w wojsku jest jak ponury morderca, na drugim jak uśmiechnięty bohater o dziecięcej twarzy. Na jeszcze innym siedzi bokiem wśród kolegów żołnierzy na ratanowej macie pod palmą. Czterech czy pięciu z nich patrzy prosto w obiektyw aparatu. Wszyscy wyglądają jak Oswald. Zdaniem Brancha przypominają go bardziej niż ten siedzący bokiem, ten, w którym oficjalnie rozpoznano Oswalda.

Te subtelności, ta mnogość obrazów, te sprzeczne ze sobą spostrzeżenia – kolor oczu, kaliber broni – zdają się złą wróżbą. Niekończące się rumowisko zgromadzonych podczas śledztwa faktów. Ile strzałów, ilu zamachowców, z ilu kierunków? Wydarzenia o wielkim znaczeniu tworzą swoją własną sieć niekonsekwencji. Nie da się uwierzytelnić najprostszych faktów. Bo ile ran znaleziono na ciele prezydenta? Jaki był ich rozmiar i kształt? Pojawia się sobowtór Oswalda. Bo czy to nie on stoi na zdjęciu w tłumie ludzi przed Teksąską Składnicą Książek Szkolnych, gdy padają strzały? Uderzające podobieństwo – zgadza się Branch. Branch zgadza się ze wszystkim. Wszystko podaje w wątpliwość, nie wyłączając naszych podstawowych założeń dotyczących świata cienia i światła, świata rzeczy materialnych i codziennych odgłosów, dotyczących naszej zdolności oceniania długości, wagi, masy i kierunku, widzenia rzeczy takimi, jakimi są, naszej pamięci, umiejętności relacjonowania wydarzeń.

Schronienia szuka w notatkach. Notatki te stają się celem samym w sobie. Uznał, że jest za wcześnie na podjęcie wysiłku, jakim byłoby stworzenie z nich spójnej całości. Może zawsze będzie za wcześnie. Bo wciąż spływają nowe dane. Bo w rejestrach wciąż pojawiają się coraz to nowe nazwiska. Bo w miarę pisania zmienia się przeszłość.

Każde nazwisko prowadzi go przez labirynt Dallas.

Jack Ruby urodził się jako Jacob Rubenstein. Drugie imię przybrał dla uczczenia pamięci swego przyjaciela Leona Cooka, którego zastrzelono podczas kłótni związkowej.

Wersji nazwiska George'a de Mohrenschildta jest kilka. Czasami przedstawiał się jako Philip Harbin.

Carmine Latta to tak naprawdę Carmelo Rosario Lattanzi.

Pracując jako tajny agent, Walter Everett występował jako Thomas R. Stainback.

Lee Oswald używał kilkunastu nazwisk, z nazwiskiem odwrotnym, O.H. Lee, i słynnym D.E. Drictal włącznie. To ostatnie wpisał w ramkę na nazwisko świadka, wypełniając formularz zamówienia przed zakupem rewolweru. Branch próbował je rozgryźć przez wiele godzin. Czuje się jak dziecko, które za pomocą tekturowych literek chce ułożyć piękne słowo, i jak dotąd udało mu się znaleźć w nim fragmenty nazwiska Fidela Castro, Oswalda i Duparda. Może D.F. Drictal jest zbitką fikcyjnych i prawdziwych postaci, zbitką słów i polityki, świadkiem decyzji zamachu na generała Walkera. Branch zastanawia się, czy Oswald chciał uwiecznić w ten sposób fakt, że pierwsze imię oraz inicjał drugiego imienia generała pasują do imienia i inicjału Edwina A. Ekdahla, przez jakiś czas ojczyma młodego Lee, człowieka, którego Marguerite Oswald nigdy nie przestała obwiniać.

Dyskldzokej Weird Beard nazywał się Russell Lee Moore, lecz używał też nazwiska Russ Knight.

Oficer KGB podający się za Aleksieja Kirylenkę nazywał się w istocie Siergiej Broda, tak przynajmniej wynikało z dokumentów dostarczonych przez kuratora.

Po naleganiach Branch dowiedział się od niego, że Theodore J. Mackey, w skrócie T-Jay, urodził się jako Joseph Michael Horniak i że po raz ostatni widziano go w Norfolk w Wirginii w styczniu 1964 roku w towarzystwie podejrzanej prostytutki, możliwe, że azjatyckiego pochodzenia. Jej nazwiska nie ustalono.

Mackey siedział w samochodzie i słuchał relacji Franka Vásqueza. Frank był podekscytowany i zmęczony. Powtórzył wszystko trzy razy, dokładnie cytując dowódców Alphy, a nawet naśladował ich gesty. Otaczała ich bagienna noc, ponieważ samochód stał w dole strumienia, ze zgaszonymi światłami i wśród narastającego rechotu żab.

Frank uważał, że Alpha zamierza zabić prezydenta. Myślał, że Mackey w to nie uwierzy. Ale uwierzyć w to było łatwo. Ostatnio Mackey wierzył we wszystko, nawet w to, że Frank wszedł na teren obozowiska Alphy i opuścił je bez trudu, wynosząc stamtąd informacje i wszelkiego rodzaju plotki.

Alpha nie słynęła z nieśmiałości czy z zaostrzonych środków bezpieczeństwa. Zwoływała konferencje prasowe, na których ogłaszała plany ataku na kubańskie instalacje wojskowe i sowieckie statki handlowe. Raz zaprosili na taki wypad reportera z czasopisma „Life”; dziesięciu ludzi w dwóch łodziach. Burza pokrzyżowała im plany, ze zdjęć też nic nie wyszło, ale „Life” mimo to zamieścił artykuł. Dzielni chłopcy z Alphy. Żarliwi, rozkrzyczani i niezliczeni – na południowej Florydzie było ich pełno.

– Wy też to planujecie? Chcecie zabić Kennedy’ego? – spytał Frank.

– Po prostu nadeszła jego pora – odparł T-Jay.

– To nie będzie takie łatwe. W Miami dadzą mu dodatkową ochronę. To nie to samo, co wjechać do jakiegoś miasteczka, stolicy stanu, wejść do jakiegoś gmachu czy za parę doliczków przekupić ochroniarza.

– Bariera upadła, Frank. Kiedy Kennedy rozkazał zabić Fidela, wkroczył w świat bólu i krwi. Nikt nie kazał mu w tym świecie żyć. Dokonał wyboru, on i jego brat Bobby. Tak więc natchnęła nas jego własna myśl. A kiedy jakaś myśl trafi na podatny grunt...

– Nie żebym tego nie chciał.

– Na pewno do tego dojdzie.

– Ktoś musi zapłacić za Kubę.

– Obydwaj tego chcemy, Frank.

– I wszyscy pomyślą, że to Castro. Pomyślą: to on. To on ich nasłał.

– Właśnie o to nam chodzi. A nawet jeśli nie wszystko wypali, przynajmniej go dorwiemy.

Ktoś musi umrzeć. Uważamy, że tym kimś powinien być prezydent.

– Tak jak ci z Alphy. Oni też mówią, że ktoś musi umrzeć.

– Nie sposób już tego powstrzymać.

– Dołączymy do nich?

– Czemu nie?

– Ufasz im?

– Pływali tam, wysadzali ruskie transporty. A tutaj? Facet w otwartym samochodzie.

Frank musiał się przespać.

– Kto jest w chacie? – spytał.

– Raymo, Wayne i jeden taki. Z nim raczej nie gadaj. Uśmiechnij się, przywitaj, i tyle.

Oswald chciał, żeby go wysłedzili, żeby poznali jego nazwisko. Miał własne plany; marzył mu się bohaterski czyn i bezpieczna przystań na Kubie. Chciał strzelać z karabinu, który łatwo było zidentyfikować dzięki rzucającemu się w oczy Hidellowi. Mackey zachowywał dużą ostrożność. Ten facet miał zwariowaną przeszłość i grał z Ferriem w lustro. Lewa to prawa, prawa to lewa. Mimo to pasował do koncepcji, którą Everett opracował przed pół rokiem. Sfałszowane

dokumenty, socjalistyczna literatura, broń, nieprawdziwe nazwiska. Był elementem pierwotnego planu, który wciąż trzymał się kupy.

Mackey zapalił reflektory. Frank wszedł do łodzi, włączył szperacz i omijając zatopione drzewa, popłynął cicho przez rzęsę.

Ponownie zapadła ciemność.

Niektórymi z najodważniejszych operacji Alphy kierowali ludzie ukrywający się w Agencji. Alpha miała tam swoich doradców. Mackey ich nie znał. Niewykluczone, że nie znali ich nawet dowódcy Alphy. Przychodził do nich ktoś stamtąd i dawał pieniądze albo doradzał w sprawie jakiegoś sabotażu. Kontakty ograniczał do dwóch, trzech osób. Nie znali jego prawdziwego nazwiska, nie wiedzieli, jakie stanowisko piastuje. Zawsze jest coś, czego się nie wie. Alphą kierowano jak kliniką snów. Agencja przedstawiała im swoją wizję, a oni wcielali ją w życie.

Za dużo ludzi, za dużo spiskowych warstw. Mackey musiał chronić tajemnicę o zamachu nie tylko przed Alphą, ale i przed Everettem i Parmenterem. Zerwał z nimi kontakt, zostawił ich z tymi skomplikowanymi hieroglificznymi układankami. Mogliby ujawnić swój plan. Był jeszcze Banister, Ferrie, no i sponsorzy. Musiał strzec tajemnicy, musiał zabezpieczyć się przed zdradą.

Machnął ręką, bo coś zabrzęczało mu natrętnie koło ucha. Komary roznoszą choroby. Wysiadł z samochodu i wytężył słuch. W powietrzu było coś dziwnego. Nagle dobiegł go szum drzew, przybierający na sile wraz z wiatrem. Dochodził zewsząd i chwilę trwało, zanim Mackey zrozumiał, że to tylko woda spływająca na liście, strącone przez wiatr krople deszczu spadające z liścia na liść.

Jego wóz stał obok wozu Rayma. Do Nowego Orleanu, gdzie zamierzał pogadać z Banisterem o Alphie 66, miał trzy godziny jazdy. Niech wszyscy wiedzą. Niech rozgadają.

Wszystkie wysiłki skoncentruje na Miami. Przewiezie tam ludzi i broń. Zgodzi się na współpracę z Alphą. Wszystko przygotuje. Uruchomi ludzi i pieniądze. Osiemnastego listopada w Miami. Zbuduje całą fasadę.

W Nowym Orleanie

Zaraz po powrocie wsiadł do autobusu i pojechał do Lakeview na grób ojca. Dozorca pomógł mu znaleźć nagrobek. Sterczał tam w słońcu i upale, próbując ustalić, jak się właściwie czuje. Przed oczyma stanął mu mężczyzna w szarym garniturze, inkasent składek ubezpieczeniowych z Metropolitan Life. Potem ujrzał sto scen z przeszłości. Och, te przejażdżki rowerem po City Park! Te owoce morza na piątkowych kolacjach u cioci Lillian! Miał wtedy jedenaście lat i sam przyjechał do niej aż z Teksasu. Zamykał się w pokoju i czytał komiksy, podczas gdy jego kuzyni bili się ze sobą i bawili.

Mężczyzna w szarym garniturze, który pozdrawiał kobiety, uchylając kapelusza.

Na krawężniku przy samochodzie parkującym na Exchange Alley kucał jakiś Murzyn: golił się w bocznym lusterku, a tuż obok stała miseczka z pędzlem.

Żeby odszukać krewnych, Lee zajrzał do książki telefonicznej.

Szukał też pracy. Kłamał w podaniach. Kłamał bez końca i celowo. Wpisywał stare adresy i stare miejsca pracy, załączał fałszywe referencje, podawał fałszywe kwalifikacje zawodowe, nazwy nieistniejących firm i firm istniejących, w których nigdy jednak nie pracował.

Jeden z członków komisji kwalifikacyjnej zanotował: „Garnitur. Krawat. Układny”.

Marina siedziała na krześle pod przepierzeniem bocznego ganku. Trzymała szklankę Lee z nadpitym dr. pepperem. Chociaż dochodziła północ, wciąż było wilgotno, gorąco i koszmarne. To był teraz ich dom, drewniany, z niepotrzebnymi zdobieniami pod dachem i chwastami z boku i od ulicy.

Lee poszedł ze śmieciami. Nie stać ich było na wywóz, więc trzy razy tygodniowo wymykał się w nocy, żeby upchnąć śmieci w pojemnikach sąsiadów. Wkładał koszykarskie szorty, te, które nosił w dzieciństwie, on albo któryś z jego braci, i bez koszulki truchtał chyłkiem Magazine Street, kwartał 4900, szukając pojemnika.

Właśnie wracał przez podjazd sąsiadów, bo tylko tak mogli dostać się do tej części domu. Wszedł na ganek i wziął od niej szklankę. Po podwórzach i podjazdach niesły się głosy z telewizorów.

– Siedzę tu i myślę, że on już mnie nie kocha.

– Tatuś kocha swoją żonę i córeczkę.

– Uważa, że więzę go i krępuję jak sznur czy łańcuch. Tak uważa. Ma górnolotne ideały. Jakże doskonale byłoby życie, gdyby nie żona!

– Przyjechaliśmy tu, żeby zacząć wszystko od nowa.

– On chce, żebym wróciła do Rosji. To ma na myśli, mówiąc „wszystko od nowa”.

– Rosja to tylko jedno z rozwiązań. Myślę też, żeby porwać samolot i polecieć na Kubę. Przyjechałabyś do mnie z June i byśmy tam zamieszkali.

– Najpierw strzelasz do człowieka.

– Jeszcze z nim nie skończyliśmy.

– Ale ja skończyłam.

– Obowiązuje zakaz wyjazdów na Kubę.

– I ty też. Zostawiłeś mi list.

– Mała Kuba potrzebuje wyszkolonych żołnierzy i doradców.

– Przestraszyłeś mnie na śmierć. A teraz chcesz ukraść samolot. Kto będzie go pilotował?

– Głupia jesteś. Pilot. Porwę, uprowadzę samolot do Miami. Wezmę rewolwer i wejdę do kabiny. Do kokpitu, tak się to nazywa.

– Kto tu jest głupi? Które z nas?

– Ten z krótką lufą, dwucalowe komando.

Musiała się rozeźmiać.

– Uprowadzę samolot i każę im lecieć do Hawany.

Roześmiali się obydwójce. Potem pili ciepłego dr. peppera z jego szklanki, na zmianę. Jeszcze potem Lee obszedł dom, psikając aerozolem na karaluchy. Marina stała w drzwiach i patrzyła, jak to robi. Mieli mnóstwo karaluchów, naprawdę dużo.

Powiedziała, że tym tanim sprayem ich nie zabije. Poszła za nim do kuchni, mówiąc, że karaluchy piją tanie spraysy i rodzą dzieci. Lee popsikał listwy przypodłogowe, bardzo starannie, tak żeby nie uronić ani kropelki.

Wieczorem następnego dnia zabrał ją do Dzielnicy Francuskiej i do domu wracali tramwajem. Turyści zerkali ciekawie na mówiącą po rosyjsku parę. Egzotyczne miasto.

Kochali się na małym łóżku w zamkniętym pokoju. Miał wrażenie, że Marina chciała jeszcze, że chciała czegoś więcej, więcej jego ciała, pieniędzy, rzeczy czy podniecenia, bo w jakiś tajemniczy sposób poznał to po szczegółach technicznych samego aktu, po jej oddechu.

Płacili mu półtora dolara za smarowanie maszyn do parzenia kawy. Konserwator narzekał, że nie może odczytać tego, co Lee napisał w książce przeglądów. Że nigdy nie może go znaleźć, że musi przeszukiwać gmach od strychu po piwnicę. Lee wycelował w niego palcem wskazującym, odwiódł kciuk i znieruchomiał. Potem opuścił kciuk i powiedział: „Bum”.

Głównej biblioteki przy Lee Circle już nie było. Musiał spytać kogoś, gdzie jest jej nowa siedziba. Poszedł na północ, potem skręcił na wschód i gdy ją znalazł, otworzył dużą żółtą kopertę i wyjął z niej złożony plakat. Przez dziury na górze i na dole plakatu był przeciągnięty sznurek. Lee stanął przed gmachem biblioteki i z plakatem na szyi zaczął rozdawać ludziom ulotki, które przysłał mu Komitet Rzetelnego Postępowania z Kubą.

Był w białej koszuli z krótkimi rękawami i ciemnym krawacie. Na plakacie napisał kredką: „Viva Fidel”.

Mniej więcej półtorej minuty później do akcji wkroczyli federalni. Niespiesznym krokiem nadszedł jakiś facet, który uśmiechnął się do niego jak na widok dawno niewidzianego kumpla. Agent Bateman.

– Pogadajmy poważnie. Nie przyszedłem się nad panem znęcać ani pana aresztować. Znajdźmy jakieś miejsce, usiądźmy i pogadajmy.

Poszli do smętnej jadłodajni przy stacji Trailways. Sobota, późne popołudnie – w środku było pusto. Usiedli przy ladzie i długo studiowali jadłospis na ścianie. Agent Bateman był prawdopodobnie młodszy, niż wyglądał na pierwszy rzut oka, i miał podłużną, trochę już łysawą głowę, jak trener z ogólniaka albo nauczyciel fizyki z serialu telewizyjnego.

Podejrzane miał tylko buty, które wypucował do czwartej potęgi.

– Mamy pana w kartotece. To ja pana pilnuję.

– Założyliście mi akta.

– Kiedy pan uciekł. Tu się pan urodził, tu spływają wszystkie zapytania.

– Lubię stare, wysokie sufity i dęby.

– To dlatego pan wrócił?

– Już ze mną rozmawiali. Agent Freitag.

– To było w Fort Worth. Ja jestem z Nowego Orleanu.

– Okres rosyjski już się skończył. To było dawno temu. Ciągłe nachodzą mnie i nachodzą,

dłaczego nie mogę spokojnie żyć?

– Mam pewną teorię. Nie ma na świecie nic trudniejszego niż żyć zwyczajnym życiem. Powiedziałbym nawet, że to niemożliwe.

– Czego pan chce?

– Teraz? Kanapki z grilla, z serem i chrupkim bekonem, co też jest niemożliwe, bo tutaj grillują wszystko razem i ser dochodzi przed bekonem. Prawo fizyki. I dostajesz błądy, spurchlony bekon. Wiem o pańskiej korespondencji z Komitetem Rzetelnego Postępowania z Kubą w Nowym Jorku, z Socjalistyczną Partią Pracy i tak dalej. Przechwytyjemy pańskie listy, rutynowa rzecz. Mniej więcej przez cztery godziny dziennie mógłbym zatruwać panu życie. Nachodzić pana w miejscu pracy. Wezwać do siebie pańską żonę i krewnych, przesłuchać ich, wezwać ponownie, i tak bez końca.

Lee wciąż miał na szyi plakat.

– Ale mógłbym też pogadać z panem o wzajemnie korzystnych interesach. Na przykład o tym, czy chce pan dalej prowadzić swoją działalność polityczną, ale tak, żeby nikt w tym panu nie przeszkadzał.

– W zamian za co?

– Organizujemy pewną akcję. Ten cały antykubański interes wyrwał się spod kontroli. Jest taka grupa, Alpha 66, która robi krótkie wypadki na Kubę, żeby atakować ruskie statki w tamtejszych portach. Ci z Waszyngtonu są bardzo niezadowoleni. Alpha stawia ich w kłopotliwej sytuacji, chcą z tym skończyć, dlatego nasze biuro dostało rozkaz śledzenia wszystkich tych, którzy szmuglują broń i organizują te wypadki.

Lee przyszło do głowy, że Bateman może mieć go za wtyczkę agenta Freitag'a z Fort Worth. W aktach napisali na pewno, że jest chętnym do współpracy marksistą, ha, ha, który dorabia sobie jako polityczny informator.

– Jest tu pewna agencja detektywistyczna – ciągnął Bateman. – Agencja i główny ośrodek antycastrowskiego ruchu na tym terenie. Prowadzi ją niejaki Guy Banister. To były pracownik FBI. Niby jesteśmy po tej samej stronie. Często wymieniamy się z nim informacjami. Ale w razie konieczności musimy się trochę pogimnastykować. Chcę tam kogoś mieć, w tej jego agencji. Szukam jakiejś dziury, szpary w ścianie. Aha, tak przy okazji. Czy wyjeżdżając do Rosji, współpracował pan z Biurem Wywiadu Marynarki Wojennej? Pytam, bo wiem, że nasza placówka coś do nich wysyłała.

– Prowadzili program fałszywych uciekinierów politycznych.

– Umieszczali swoich ludzi za granicą. To wiem.

– W Biurze Wywiadu Marynarki jest wiele szarych stref. Należę do jednej z nich.

Bateman chyba to kupił.

– To by pasowało – odparł – bo tak się tu ostatnio porobiło, że białe jest czarne, a czarne białe. Wszędzie burdel.

W jego głosie pobrzmiwała nutka entuzjazmu.

– Banister werbuje studentów. Każe im uczestniczyć w życiu na kampusie i mieć oko na działalność lewicową. Jest pan w dobrym wieku. Zna pan język i lewicy, i prawicy. Zna pan swoją Kubę.

– Dam się zwerbować temu Banisterowi, ale tak naprawdę będę waszym informatorem.

– Naszym kontaktem. W określeniu tym nie ma nic śliskiego czy obrzydliwego. No więc? Co pan na to? Zdziwiłby się pan, wiedząc, jacy ludzie dla nas pracują. Powiem jedynie tyle, że gdyby zebrać ich do kupy, mogliby założyć stowarzyszenie absolwentów średniej wielkości college'u.

Przez chwilę myśleli o tym nad talerzami. Na ścianie szarzał napis: „Wesołych świąt”.

– No więc? Mam mówić dalej? Bo, wie pan, to wymaga zaufania. Takie coś to trudna rzecz. Potrzeba do tego odpowiedniego człowieka. Trudna, niepewna i ryzykowna, ale ja darzę takich ludzi pełnym zaufaniem. I pełnym wsparciem. Każdego, kto dla mnie pracuje.

Lee jadł, niczego po sobie nie okazując.

– Wyglądać to ma mniej więcej tak. Idzie pan do agencji Banistera. Lokalizacja jest bardzo wygodna, zaraz za rogiem. Mówi im pan, że służył w piechocie morskiej, i sugeruje, że ma pan kontakty z naszym biurem w Teksasie. Wyraźnie daje pan do zrozumienia, że nienawidzi Castro. Mówi pan, że chce udawać lewicowca i przeniknąć do tutejszych organizacji.

– Mógłbym powiedzieć, że zakładam własną.

– To jest myśl.

– Na przykład oddział Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą.

– Otworzyłoby to szereg możliwości.

– Mógłbym zamówić w Nowym Jorku ulotki i formularze zgłoszeniowe.

– Obiecujące. Niech pan powie Banisterowi, że zakłada pan filię, oddział. To przyciągnie do pana zwolenników Fidela. Zrobi pan listę ich nazwisk i adresów. Banister uwielbia listy.

– I tak w kółko.

– Pan się wygłupia.

– Nie, nie wygłupiam się.

– Chyba tak.

Jedli dalej. Bateman powiedział, że jeśli Guy Banister zechce sprawdzić jego wiarygodność, na pewno skontaktuje się z miejscową placówką FBI, a konkretnie z nim, Batemanem, a on udzieli mu bardzo wybiórczych informacji. Przy okazji dodał, że nie wolno im pić kawy w biurze. Dyrektor wydał zakaz, pozbawiając ich dostępu do wszelkich uzależniających środków pobudzających.

– Myślę, że Banister się tym zainteresuje. Ale niech pan nie spodziewa się pieniędzy. To dla niego małe, dodatkowe zajęcie. Naszym współpracownikom dajemy dwieście dolarów miesięcznie. Z tego musiałby pan sfinansować całą imprezę. No i oczywiście musiałby pan meldować mi o wszystkim, co dzieje się na Camp Street 544. A tam zawsze coś się dzieje.

– Chcę studiować politykę i ekonomię.

– Ciekawy z pana facet. Każda agencja stąd do Himalajów ma coś na Lee Oswalda. Jednego muszę być pewny. Z pańskich usług nie będzie korzystał nikt inny. Taka jest nasza polityka.

Nie mogę robić interesów z kimś, kto pracuje dla innej agencji. Zgoda?

– Zgoda – odparł Lee.

– Może pan działać zupełnie otwarcie. W tym cały urok. I pracuje pan dwa kroki od nich. Pod względem lokalizacji to idealne miejsce.

Lee schował plakat do koperty. Pojechał autobusem na Camp Street i kilka razy obszedł budynek, w którym mieściła się agencja detektywistyczna Banistera. Cieniste uliczki. I nikogo, oprócz kilku drobnych pijaczków na Lafayette Square oraz kobiety w długim płaszczu i grubych białych skarpetach, którą zdenerwował tym, że za nią szedł. Mamrocząc pod nosem, przystanęła, żeby mógł ją wyminąć, i popędziła go niecierpliwym gestem ręki.

Trocki to czysta forma.

Na środku chodnika stała tylna kanapa samochodowa. Leżał na niej brudny, zarzygany mężczyzna ze zwisającą ręką, który robił wrażenie tak schorowanego, zbolełego czy obłąkanego, że nie sposób było podziwiać widoku kanapy samochodowej bez samochodu, kanapy na środku miejskiego chodnika.

Trocki strzepuje karaluchy z kart książki, studiując teorie ekonomiczne na wschodniej Syberii, dokąd zesłano go wraz z żoną i córeczką.

W poniedziałek, podczas dziesięciminutowej przerwy w pracy, poszedł na Camp Street i wziął formularz od sekretarki. Budynek miał dwa wejścia i dwa adresy. Jeden dla kogoś, kim jesteś, drugi dla kogoś, za kogo się podajesz.

Za dziewięćdziesiąt osiem centów kupił zestaw małego drukarza. Napisał do Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą, prosząc ich o statut i nie czekając na odpowiedź, poszedł do drukarni, przedstawił się jako Osborne i zamówił tysiąc ulotek. „Ręce precz od Kuby!” Niektóre z nich podstemplował pieczętką z własnym nazwiskiem, inne pieczętką z nazwiskiem Hidell. Potem wynajął skrytkę pocztową i poszedł do innej drukarni, gdzie zamówił formularze zgłoszeniowe i legitymacje członkowskie. Kazał Marinie sfałszować podpis A.J. Hidella, jako przewodniczącego oddziału w Nowym Orleanie, po czym wysłał dwa honorowe członkostwa pracownikom Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii USA.

W złocistych szortach i w japonkach wychodził nocą, żeby podrzucać śmieci sąsiadom, i musiał czasem przejść trzy, cztery ulice, zanim znalazł pojemnik, w którym było jeszcze trochę miejsca na worek kości i ochłapów.

Gdy z wypełnionym podaniem o pracę szedł do biura Guya Banistera, przed wejściem zobaczył kogoś znajomego. Był to kapitan Ferrie, instruktor z Obywatelskiego Patrołu Powietrznego, ten sam, który trzymał myszy w klatce w hotelowym pokoju, gdy przed siedmiu laty odwiedzili go z Robertem, chcąc kupić karabin. Kiedy Lee podszedł bliżej, zobaczył, że Ferrie bardzo się zmienił. Zdawało się, że okleił sobie głowę kawałkami futra, kępkami zwierzęcej sierści. I miał wysokie, błyszczące brwi.

Ferrie jakby się go spodziewał.

– Był pan tu wczoraj albo przedwczoraj. Prawda?

– Szukam pracy.

– Tajnej. Słyszałem pana głos. I pomyślałem: ja ten głos skądś znam. Kolejny zagubiony kadet wraca do starego kapitana Dave’a.

Roześmiali się, stojąc w drzwiach. Tuż obok zatrzymał się nagle jakiś samochód i ze skweru po drugiej stronie ulicy zerwało się stado gołębi.

– Czyż życie nie jest fantastyczne? – rzucił Ferrie.

Komitet Rzetelnego Postępowania z Kubą zniechęcał go do otwarcia oddziału. Byli jednak uprzejmi i mili i robili błędy ortograficzne, ale najważniejsze było to, że w ogóle odpisali. Wszystkie listy starannie przechowywał. To były jego dokumenty. Gdy nadejdzie pora, przedstawi kubańskim działaczom namacalny dowód, że jest przyjacielem rewolucji.

Poza tym do otwarcia oddziału nie potrzebował poparcia Nowego Jorku. Miał swego małego drukarza. Wystarczyło tylko podstemplować ulotki skrótem nazwy komitetu, ulotki albo socjalistyczną literaturę. Wystarczyło kilka liter i liczb. I od razu wszystko robiło się prawdziwe.

David Ferrie zaprosił go do Habany, ponurej knajpy na wybrzeżu. Otwarta przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, latynoskie rytmy z szafy grającej, klienci z chronicznie nieobecny wyrazem twarzy, niektórzy zupełnie bez kontaktu – emigranci, marynarze ze statków handlowych, marynarze bez papierów, kilkunastu klientów nieokreślonej proveniencji, głównie samotnych mężczyzn siedzących daleko od siebie przy długiej ladzie.

Oni usiedli przy stoliku.

– Właściciel tej knajpy działa w Kubańskiej Radzie Rewolucyjnej.

– Po czyjej oni są stronie? – spytał Lee.

– Nie domyślasz się?

– Paskudnie tu.

– Gorzej niż w szambie.

– Antycastrowsko.

– Fedzie przychodzą tu i wypytyują, kto jest kim w ruchu. Gdyby nie wypytywali, nie wiedzieliby, co robić. Widzą meksykańskiego chłopaka z krótkimi włosami i myślą, że to kubański partyzant.

– Skąd pan zna to słowo?

– Fedzie? Wymyśliłem je. Już dawno.

– Myślałem, że to ja je wymyśliłem.

– Pewnie słyszałeś je ode mnie – odparł Ferrie. – To się często zdarza. Ludzie twierdzą, że wymyślili coś nowego, tymczasem wiedzą to ode mnie. Umiem przenikać do ich umysłów. Tak ukradkiem.

Nosowy głos, lekko falujący, podający to w wątpliwość.

– Mamy dar postrzegania pozazmysłowego, ty i ja, obydwaj. Dar spinający lata i kontynenty. Mieszkałeś kiedyś za granicą?

Lee kiwnął głową.

– Prawdopodobnie przez cały czas ty miałeś w zasięgu mnie, a ja ciebie. Chcę poeksperymentować z hipnotyzmem na odległość. Z hipnotyzmem przez telefon albo telewizję. To fantastyczna broń polityczna. Pewna kobieta ugania się za mną, bo chce, żebym zahipnotyzował jej syna i pobudził go oralnie. Uczę chłopców latania w Lakefront.

Zaprowadził go do faceta, który mieszkał w odrestaurowanej powozowni za wysokim białym murem z czerwonymi drzwiami pośrodku. Nazywał się Clay Shaw i był postawnym mężczyzną w średnim wieku, o kształtnej głowie i uderzająco białych włosach. Stał pośrodku dużego pokoju, który zajmował cały parter. Jedwabne zasłony, brąz, podłoga z korkowego drewna, na podłodze orientalne dywany. Było tam również dwóch młodych mężczyzn, czujnych i bystrych jak kurek na dachu.

– Kiedy obchodzi pan urodziny? – spytał z miejsca Shaw.

– Osiemnastego października.

– Libra.

– Waga – powiedział Ferrie.

– Równowaga – dodał Shaw.

Zdawało się, że mówi im to wszystko.

Clay Shaw był w swobodnym, dobrze skrojonym ubraniu i zachowywał się jak ktoś, kto zna się na wszystkim co dobre. Gdy się uśmiechał, w kąciku jego prawego oka pojawiała się żyłka sięgająca linii włosów.

– Ludzie spod znaku Wagi dzielą się na pozytywne i negatywne. Osobnik pozytywny to mistrz samokontroli. Jest zrównoważony, trzeźwo myślący, rozsądny i przez wszystkich szanowany. Osobnik negatywny jest, powiedzmy, trochę chwiejny i impulsywny. I bardzo, ale to bardzo łatwo ulega wpływom. Jest zdolny do niespodziewanych wyskoków. I w pierwszym przypadku, i w drugim kluczem jest równowaga.

– Przyprowadziłem go, żeby obejrzał twoją kolekcję pejców i łańcuchów – powiedział Ferrie. Wszyscy się roześmiali.

– Clay ma tu pejczy, łańcuchy, czarne kaptury i peleryny.

– Na ostatki – wtrącił jeden z tych młodych i wszyscy roześmiali się ponownie.

Lee czuł, że jego uśmiech płynie w powietrzu trzydzieści centymetrów od ust. Zostali tam kwadrans, potem wyszli na mrok.

– Wierzy pan w astrologię? – spytał Lee.

– Ja wierzę we wszystko – odparł Ferrie.

Zaprowadził go do swego mieszkania, kilku ciemnych pokoi pełnych połamanych mebli i dewocjonałów. Półki były oklejone drewnopodobną okleiną i ugięły się pod ciężarem setek książek medycznych, ksiąg prawniczych, encyklopedii, stert protokołów z sekcji zwłok, książek o raku, podręczników medycyny sądowej i książek o broni palnej.

Na podłodze leżały hantle. Na ścianie wisiał oprawiony w ramki dokument, dyplom doktoratu z psychologii. Uniwersytet w Phoenix – Bari, Włochy.

Lee musiał skorzystać z toalety. Szklane miseczki były pełne fiolek z pigułkami i kapsułkami. Na podłodze i w wannie wały się pigułki i kapsułki luzem. Umywalka i ściana nad nią były oblepione warstwami lepkiego mazidła, chyba kleju, którego używał do przyklejania moherowej peruki.

Ferrie zaczął opowiadać o swojej chorobie, ledwo Lee zdążył wyjść z łazienki.

– *Alopecia universalis*, tak się to nazywa. Niewiadoma przyczyna, brak skutecznego leku. Zamiast tę chorobę ukrywać, przyozdabiam ją i upiększam. Bóg zrobił ze mnie błazna, więc ja robię błazna z niej. Gdy zaczęły wypadać mi włosy, pomyślałem, że to zapowiedź nadchodzącej apokalipsy, że na Luizjanę spadnie bomba. Że bomba ta ostatecznie potwierdzi moją oryginalność, zrobi ze mnie świętego. Schrony przeciwoatomowe nazywano salonami jutra. Byłem gotowy mieszkać w najgorszej norze. Nadszedł kryzys raketowy. To była chwila najczystszej egzystencjalizmu w historii ludzkości. Nie miałem już wtedy włosów. I powiem ci, że byłem przygotowany. Wciśnij guzik, Jack. Wybaczylbym Kennedy’emu to, że jest Kennedym, tylko wtedy, gdyby zesłał na Kubę pomór i pożogę. Kupiłem dziesięć kartonów konserw i wypuściłem myszy.

Wyjrzał przez okno. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający Jezusa. Jego oczy śledziły każdego, kto przechodził obok. Ferrie zniżył głos do szeptu.

– Ale jest też teoria wysokościowa – powiedział. – Że włosy wypadają na dużych wysokościach. Ekspozycja na wysokość. Przypadłość pilotów i ludzi, którzy spędzają zbyt dużo czasu na wielkich wysokościach, jak piloci U-2.

– Pilotował pan U-2?

– Nie mogę powiedzieć. To największa tajemnica państwowa: nazwiska pilotów, którzy te maszyny pilotują. Ale skoro mówimy już o tajemnicach, pozwól, że o coś cię spytam. Dlaczego szukasz tajnej pracy w ruchu antycastrowskim, skoro to zupełnie oczywiste, że jesteś żołnierzem Fidela, jego partyzantem?

Odwrócił się od okna i spojrział mu prosto w oczy, ale Lee odpowiedział mu tylko swoim zabawnym uśmiechem.

Tak się to zaczęło. Lee przesiedział na ganku wiele wieczorów, długo po północy czyszcząc karabin, trzaskając zamkiem i układając plany.

Z „Militanta” dowiedział się, że w Mexico City można dostać wizę na Kubę i ominąć w ten sposób oficjalny zakaz wyjazdów. Mógłby pracować dla rewolucji jako doradca wojskowy. Stara, mocno zakorzeniona ambicja. Byliby zadowoleni, gdyby dołączył do nich postępowy żołnierz piechoty morskiej.

Zbierał wszystkie listy i przechowywał je w pokoju gościnnym wraz z innymi dokumentami, z przemówieniami Castro i socjalistycznymi broszurkami.

Rozdawał ulotki na nabrzeżu przy Dumaine Street i rozmawiał z marynarzami o Komitecie Rzetelnego Postępowania z Kubą. Funkcjonariusz policji portowej kazał mu się natychmiast wynosić.

Ferrie pozwalał Lee grać na dwa fronty. Banister przydzielił mu mały pokój w agencji, pakamerę na materiały. Prawie z nim nie rozmawiał, zresztą robił wrażenie człowieka, z którym trudno się gada. Część ulotek i broszurek Lee podstemplował pieczętą z adresem Camp Street 544. Mógł tam przychodzić i wychodzić, kiedy tylko chciał.

Szalone lato. Burze, które niemal codziennie wstrząsały miastem. Nocne błyskawice. Chmary komarów przygnanych przez wiatr znad słonych mokradeł. Z czasem zaczął wyczuwać wokół siebie jakąś zmianę. Ludzie z Camp Street 544, odwiedzający agencję Kubańcy, młodzi mężczyźni, którzy udawali studentów Tulane, żeby zbierać informacje wśród lewicowców i zwolenników integracji, patrzyli na niego jakby inaczej. Lee nie był już ciekawostką ani zagadką. Czuł się tak, jakby otaczała go wyjątkowa aura. Teraz przyglądano mu się uważnie i ostrożnie.

Sekretarka Banistera myślała, że ma na imię Lew, tak jak Trocki. I Ferrie zaczął się do niego tak zwracać. Błędy nabierają czasem miłego znaczenia.

Pierwsza dama była w ciąży, tak jak Marina. Lee wyczytał gdzieś, że prezydent lubi powieści z Jamesem Bondem. Poszedł do biblioteki, małej, parterowej kamienicy przy Napoleon Avenue, i wypożyczył kilka Bondów. Wyczytał, że prezydent zapoznał się z pracami Mao Tse-tunga i Che Guevary. Poszedł do biblioteki i wypożyczył biografię Mao. Wypożyczył też biografię prezydenta, w której pisali, że Kennedy przeczytał *Nil Biały*. Poszedł do biblioteki po *Nil Biały*, ale książka była w czytaniu. Zamiast tego wypożyczył *Nil Błękitny*.

John F. Kennedy miał fatalny charakter pisma i robił błędy ortograficzne.

Siedział na ganku w koszykarskich szortach i czytał poleconą przez Ferriego powieść science fiction. Wystrzelił na sucho z karabinu. Wciąż miał podręcznik maszynopisania, ten z Dallas, więc kilka nocy przesiedział nad schematem klawiatury. Ćwiczył układ palców, ich przyporządkowanie poszczególnym literom – „a” lewy mały, „b” lewy wskazujący – stukając w książkę, tak jak uczono go na zajęciach.

– Tatusiu, śmieci – powiedziała Marina.

Przesiadywał w warsztatach Crescent City, tuż obok parzalni kawy. Przychodził tam w pasie elektryka, z olejarką, śrubokrętem, kombinerkami, taśmą izolacyjną i całą resztą. Dziesięciominutową przerwę przeciągał do pół godziny, siedząc w biurze, czytając czasopisma i rozmawiając z kierownikiem. Na parapecie stały kufle do piwa, na ścianie wisiły mapy. Potrafił zabić dziesięć minut, gapiąc się na mapę.

Crescent City miały kontrakt na garażowanie i serwis pojazdów używanych przez miejscowe agencje rządowe.

W niedzielę ulica była opustoszała, a zamknięte i zakratowane warsztaty wyglądały od środka jak opuszczony hiszpański kościół z wysokimi, zakurzonymi oknami. To tam spotkał się z agentem Batemanem, który miał własny klucz. Przeszli przez biuro i wsiedli do samochodu tajnych służb, a może FBI. Streścił mu to, czego dowiedział się na Camp Street, ale było tego tyle co nic. Chciał pójść tam z minoxem, lecz Bateman mu zabronił: nie, nie, nie. Dał mu białą kopertę z wymiętymi banknotami; wyglądały jak pieniądze uzbierane przez dzieci.

Lee koniecznie chciał wiedzieć, jaki przydzielili mu kryptonim, i okazało się, że S-172. Wtedy Lee powiedział, że chce wystąpić o paszport i że zastanawia się, czy mogą być jakieś problemy w związku z jego przeszłością. Bateman obiecał, że się tym zajmie.

Chmary komarów. Oczyma wyobraźni widział, jak z na wpół zjedzonym jabłkiem przy łokciu pisze na maszynie esej polityczny, oparty na doświadczeniach, o jakich jego kolegom studentom nawet się nie śniło.

Ilekoć ma ten specyficzny wyraz twarzy, to rozbawienie w oczach, ilekoć sznuruje usta, zawsze myśli o ojcu. Łączy tę minę z ojcem. Wierzy, że mógł taką robić. Czuje, że mina ta do

niego pasuje. Ciekawe wrażenie: spływa na niego, w ten charakterystyczny sposób przywiera do twarzy i nagle zjawia się ojciec, niesamowity, przekonujący, jak żywy. Spotkanie poprzez światy.

– Wiem o tobie coś fascynującego. Oprócz mnie chyba nikt o tym nie wie. A jeśli już, to niewielu. To ty strzelałeś do generała Teda Walkera dwa i pół miesiąca temu w Dallas.

Lee miał pustkę w głowie.

– Nie mogę ci powiedzieć, skąd o tym wiem – ciągnął Ferrie. – Ale są ludzie, którzy się tobą interesują. Początkowo było to tylko przecucie. Myślałem: łączą nas zdolności parapsychiczne. Zniosłem twoje podanie do Banistera. Wszystko sobie ułożyłem. Chciałem powiedzieć: „Guy, ten człowiek chce nas szpiegować. Chce nas wykorzystać, ale to my wykorzystamy jego. I wcale nie będziemy nim manipulować czy nawracać go politycznie. W głębi serca chłopak ten uważa się za oddanego sprawie lewicowca. Ale jest też spod znaku Wagi. Potrafi dostrzec drugą stronę medalu. To człowiek pełen sprzeczności”. Byłem gotów powiedzieć: „Oto żołnierz piechoty morskiej, który czyta Karola Marksa” Chciałem powiedzieć: „Ten chłopak siedzi na wadze, trzeba tylko przechylić szalkę w jedną lub drugą stronę”.

Lee dopił piwo.

– Ale nie musiałem przedstawiać żadnych argumentów. Wystarczyło, że wymieniłem twoje nazwisko, a Banister chwycił cię i nie chciał wypuścić. Okazuje się, że wypytywał o ciebie w imieniu swego starego przyjaciela. Niejakiego Mackeya. Przepadłeś. Nikt nie wiedział, dokąd pojechałeś po Dallas. Kiedy powiedziałem, że smarujesz maszyny w parzalni kawy tuż za rogiem i że chcesz się do nas przyłączyć, Guy uśmiechnął się swoim najzłośliwszym uśmiechem. Podniósł słuchawkę. „Zobacz, co znalazłem”.

Ferrie zamówił jeszcze dwa piwa.

– Jesteś obiektem intensywnej obserwacji. Banister nie wie, jaką dokładnie rolę dla ciebie zaplanowano. Ale się dowie, to tylko kwestia czasu.

Tego wieczoru w Habanie siedzieli trzech, czterech, sześciu Kubańczyków w podkoszulkach i wojskowych butach uwalanych zaschniętym białym błotem.

– Boisz się, że złapią cię za Walkera? Nigdy nie opowiadałeś mi o Dallas.

– Nikomu nie opowiadałem.

– Myślisz, że się dowiedzą. Wystarczy, że powiesz słowo „Dallas” i wszyscy się dowiedzą. Więzienie jest przerażające. Jak tylko cię aresztują, od razu zaglądają ci do tyłka.

– Przerabiałem to w piechocie.

– Nawet nie pytają o nazwisko, tylko od razu do tyłka. Jak podczas jakiegoś pigmejskiego rytuału w Kongu.

Już po dwóch piwach Lee czuł się dziwnie.

– Jesteś praktykujący? Chodzisz do kościoła?

– Jestem ateistą.

– To głupie. Jak możesz być tak głupi?

– Religia zniewala. To zbrojne ramię państwa.

– Idiotyczne. Krótkowzroczne. Musisz zrozumieć, że niektóre rzeczy sięgają głębiej niż polityka. Nasza skóra polityczna jest tylko najcieńszą warstwą zewnętrzną. Wychowano mnie na katolika, w Cleveland. – Ferrie komicznie rozszerzył oczy, jakby uwaga ta go zaskoczyła. – Pokuta była najważniejszym sakramentem moich młodzieńczych lat. Uwielbiałem konfesjonały. Chodziłem od jednego do drugiego. Czułem się wtedy tak, jakbym grzeszył, zamiast szukać rozgrzeszenia. Miałem w tym jakąś wyuzdaną przyjemność. Wymieniałem swoje grzechy, zmyślałem je, odmawiałem akt skruchy, szedłem do ołtarza, odprawiałem pokutę i znowu stawałem w kolejce do konfesjonału. W sobotnie popołudnia pełną parą pracowały aż cztery.

Zaliczałem wszystkie. Klękałem w ciemności i spowiadałem się szeptem księdzu w sutannie. Byłem w dwóch seminariach duchownych, żeby nauczyć się tego fachu. Założyłem nawet własny kościół. Tylko głupiec nie chce widzieć przez zasłonę.

Lee poszedł do ubikacji i stanął w ciszy, która napała nań jak poprzecinana szarymi liniami przestrzeń. Przez dwie minuty stał na środku toalety. Gdy wrócił do stolika, Ferrie znowu zaczęła.

– Czy Kennedy nie wiedział, jak duża jest Kuba? Nikt mu nie powiedział, że wyspy tej wielkości nie można zająć siłą tysiąca pięciuset ludzi?

– Kuba jest mała.

– Kuba jest duża. Dlaczego zgodził się na inwazję, skoro nie zamierzał doprowadzić sprawy do końca? Dlaczego obiecał nam militarne zwycięstwo, a potem się wycofał? Bo stracił ikre. Wszystko wytłumił. Jak lewym pedałem pianina. Chciał subtelnej inwazji. To cud, że Castro w ogóle zauważył, że go atakujemy.

– Kuba jest mała.

– Powiem ci, co nas dręczy, a jest to coś, co słyszę codziennie od Guya. Bardzo leży mu to na sercu. Uważa, że Kennedy i Castro ze sobą gadają. Że piszą do siebie tajne listy, że są emisariuszy. Że jest to wstęp do rokowań. Że na pewno coś przed nami ukrywają. Coś, o czym nie wiemy. Że jest w tym coś więcej. Bo zawsze jest coś więcej. Z tego składa się historia. To suma wszystkiego tego, czego nam nie mówią.

Na ulicy Lee wdał się w przepychankę z jakimś dziobatym Latynosem z krzyżem na szyi. Nie wiedział, jak się to zaczęło. Nie pamiętał tego nawet wtedy, gdy ścisnął go za bicepsy i mówił mu coś prosto w twarz. Wokoło zebrała się garstka ludzi, głównie z braku innej rozrywki. A potem znalazł się w domu, w łóżku.

W biurze Crescent City czytał czasopisma poświęcone broni palnej. Potem wpadał jeden z kierowników parzalni i kazał mu wracać do pracy. Do silników i dmuchaw, do podajników, młynów i taśmociągów.

Paszport dotarł dzień po tym, jak Lee złożył wniosek.

Wszedł do pokoju gościnnego i wyczuł, że ktoś ruszał jego rzeczy. Na pewno nie Marina, która miała zakaz. Sprawdził dokumenty, zajrzał do szafy, gdzie trzymał broń. Coś mu się nie zgadzało, coś wyglądało inaczej niż zwykle, zaszła jakaś niewidzialna, cicha jak szept zmiana – wiedział o tym, jak wie się o takich rzeczach we śnie, nie zdając sobie sprawy, skąd i dlaczego.

Z tłumy na Rynku Francuskim wychodzi kobieta wyglądająca na Seminolkę, taka płaskogłowa, zresztą wszystko jedno, w każdym razie wychodzi i przeraża go dziwnie płaskimi oczami płonącego świętego.

Pozostał jedynym członkiem nowoorleańskiego oddziału Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą. Nic to. Lato powoli przeobrażało się w wizję, w historię. Czuł, że coś porywa go i unosi, że nie jest już żalonym, odizolowanym od innych człowieczkiem.

Marina pchała wózek. Próbowała odczytywać nazwy ulic na wpuszczonych w chodnik błękitnych płytkach.

Będzie chciał odesłać ją z dzieckiem do Rosji czy wyjadą na tę małą Kubę, gdzie panuje czysty socjalizm i radość między ludźmi?

O drugiej w nocy wstała, żeby napić się wody, i zobaczyła, że Lee siedzi w bieliźnie na ganku, z karabinem na kolanach.

Nocą miewał krwotoki z nosa. Raz widziała, jak przez pół godziny cały się trząsł.

Kazała mu tłumaczyć na rosyjski artykuły o Kennedych. Nie miał nic przeciwko temu i czasem dodawał szczegóły, których w artykułach nie było.

Na zdjęciach znad morza, tych z potarganymi od wiatru włosami, prezydent wyglądał jak jej

dawny chłopak Anatol, ten z wiecznie rozwianą czupryną, który całował tak, że aż kręciło się w głowie.

Bywało, że Lee nie mył się przez kilka dni. Nie zmieniał ubrania, zabronił jej cerować skarpetki i przetarte łokcie swetra. Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Zdawał się mówić: proszę, oto jestem. Patrzcie, jak ten system mnie zdeptał.

Wiedziała, była absolutnie pewna, że żona Kennedy'ego urodzi syna. To na pewno będzie syn, powiedziała mężowi, a zaraz potem im też przybędzie syn.

Wstydziała się przyznać, że jest kobietą o zmiennych nastrojach.

Była w ciąży, tak jak żona prezydenta, ale dotąd nie badał jej żaden lekarz. Lee zaprowadził ją do Charity Hospital, masywnego szarego gmachu, który sprawiał wrażenie, jakby wchodziło się do niego tylko raz, żeby już nigdy stamtąd nie wyjść. W marmurowym holu wisiały wielkie portrety lekarzy w kitlach, lekarzy na tle nieba, ludzi, którzy mieli na głowie o wiele ważniejsze sprawy niż czyjś pęcherz czy nerki. Kłopoty zaczęły się już w punkcie informacyjnym. Pracująca tam kobieta powiedziała Lee, że jest to szpital państwowy i że leczą tam za darmo tylko tych pacjentów, którzy mieszkają w Luizjanie od jakiegoś czasu. Marina mieszkała za krótko.

Wszędzie marmur. Poczowała się jak uciekinierka. Lee szedł za jakimś lekarzem, niemal go błagając. Z bladą, wykrzywioną twarzą zaczęził innego lekarza, który nadchodził z przeciwnej strony, prosząc go i jednocześnie się z nim wyklócając.

Odprawiono ich.

Lee chodził tam i z powrotem po holu, zagadując ludzi, którzy się napatoczyli, i opowiadając im całą historię. Kolejny interes. Robili pieniądze na bólu i cierpieniu. Nikt nie miał pojęcia, co mu powiedzieć, więc Lee w końcu zamilkł i już tylko krążył po holu, żeby wychodzić gniew.

Gniewu tego Marina nie chciała ani nie próbowała ukoić, uważając w głębi serca, że tak trzeba.

Minęła z wózkiem kilka sklepów z wielkimi szyldami. Powtórzyła w myśli ich nazwy. Myjnia samochodowa. Pralnia chemiczna One-Hour Martinizing. Szła trochę na północ, trochę na wschód i ludzi było coraz mniej.

Zastanawiała się, ile kobiet fantazjowało i śniło o prezydencie. Jak to jest wiedzieć, że jest się obiektem tysiąca marzeń? Jakby unosił się nocą nad całym krajem, przenikając do snów i fantazji, uczestnicząc w akcie miłosnym między mężami i żonami. Jakby prosto z telewizyjnego ekranu wpływał do sypialni. Z radia prosto do jej łóżka. Bywało, że na niego czekała, że do późnej nocy czuwała, aby usłyszeć choć kilka słów jego przemówienia albo nagrany wcześniej wypowiedź z konferencji prasowej, że czekała na jego głos przy radiu na stoliku nocnym.

Mieli identyczne blizny na ramieniu, ona i Lee.

Oto podstawowe pytanie, które dręczyło ją w dzień i w nocy: czy zmusi ją do powrotu do Rosji?

Kiedyś powiedziała mu tak:

– Tym domem rządzi zły duch. Nie dajesz mi szczęścia.

Opowiadał June o małej Kubie. Kochasz małą Kubę? Lubisz wujka Fidela? Na ścianie wisiało zdjęcie Castro, które wyciął z radzieckiego czasopisma. Co myślisz o wujku Fidelu? Czy kochasz i popierasz małą Kubę?

Kochając się z nim, myślała czasem o prezydencie, tym ze zdjęć nad morzem.

Ciągle za nią chodził, żeby pisała do ambasady radzieckiej w Waszyngtonie łzawe listy z prośbą o wizę i pieniądze na koszty podróży. Wiedziała, że przyszłość maści mu w głowie.

Była ślepym kociątkiem, które zawsze wraca do tego, kto je kiedyś głaskał, nieważne, że bywał też okrutny.

Wyjęła June z wózka i pozwoliła jej iść z boku. Junie nie lubiła chodzić za rączkę. Szła sama,

źródło niekończącej się radości i trudu.

Druga rano – siedzi na ganku, z karabinem na kolanach.

Przeszli spacerkiem wiele opustoszałych ulic. Domy były stare i ciche, niektóre miały balustrady z kutego żelaza i białe kolumny. A wokół nikogo. Powietrze było ciężkie i nieruchome. Przystanęła na rogu i popatrzyła na samochody przejeżdżające przez skrzyżowanie siedem ulic dalej, ale tu, w pobliżu, nic się nie poruszało, i pomyślała, że może jest to strefa, gdzie w pewnych godzinach nie wolno wychodzić z domu. Pralnia chemiczna One-Hour Martinizing. Mijały domy z rzeźbionymi drzwiami, z magnoliami od frontu, ze strzelistymi palmami. Próbowwała wziąć June za rękę. Upał zaczynał ją przytłaczać. Minęły dom z podwójnym krużgankiem. Przez okno w salonie widziała malowidła na ścianie. Wsadziła June do wózka, na siłę, po prostu ją tam wepchnęła. Potem zawróciła w kierunku, gdzie, jak myślała, jest dom. Szła szybko, nie patrząc już na piękne, stare, ciche rezydencje.

Gdzie są ci wszyscy ludzie? – pomyślała starannie po angielsku.

Bateman powiedział mu o grupie zwanej Cuban Student Directorate. Miała siedzibę w tanim sklepie z odzieżą kilka domów za Habaną. Tajny informator S-172 poszedł tam pewnego dnia i odbył rozmowę z kimś imieniem Carlos, trzydziestokilkuletnim mężczyzną o błyszczących włosach, który nosił ciemne okulary.

Zabrał ze sobą swój stary regulamin żołnierza piechoty morskiej, żeby pokazać im, kim jest. Niecałą minutę od powitania rozmawiali już o mostach, o ich wysadzeniu, o podkładaniu ładunków prochowych, o materiałach wybuchowych i o broni domowej roboty.

Jednakże wyglądało na to, że Carlos bynajmniej nie zamierza mu powiedzieć, jak można się przyłączyć do walki z Fidelem. Lee oświadczył nawet, że chce wstąpić do organizacji, lecz on tę ofertę odrzucił, podobnie jak odrzucił propozycję wkładu finansowego z jego strony. Bał się infiltracji. Powiedział to prosto z mostu. Czasy były niepewne.

Ale i tak miło sobie pogawędzili. W geście dobrej woli Lee zostawił mu regulamin i zapowiedział, że niedługo wróci. W drzwiach uściśnieli sobie ręce.

I co się dzieje? Cztery dni później Oswald stoi na Canal Street z plakatem „Viva Fidel” i rozdaje procastrowskie ulotki.

Nadchodzi Carlos z dwoma kolegami. Dostrzega go z opóźnieniem i z opóźnieniem reaguje.

Przyjął groźną postawę i zdejmując okulary, podszedł bliżej. Lee z uśmiechem skrzyżował ręce na piersi. Nie chciał się z nim bić. Lubił go. Jak każdy Latynos, Carlos dawał się lubić.

– No dobra, Carlos, jak chcesz mnie uderzyć, to uderz.

Stał tam z założonymi rękami i przyjaźnie się uśmiechał. Zebrał się tłumek gapiów, spychając go w stronę wejścia do Walgreena. Jeden z kolegów Carlosa wyrwał mu ulotki z ręki i cisnął je w powietrze. To wywołało małą przepychankę na obrzeżach tłumu. Nadjechał policyjny radiowóz, po chwili jeszcze jeden i już niebawem szli przez piaszczysty parking przed posterunkiem pierwszej dzielniczy przy North Rampart.

Lee zażądał rozmowy z agentem Batemanem z FBI.

Pół godziny później Bateman wszedł do pokoju przesłuchań. Rozłożone ręce, otwarte dłonie, spięta twarz.

– Pytają mnie, ilu członków liczy mój oddział Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą.

– I co im powiedziałaś?

– Że trzydziestu pięciu.

– Świetnie. Ale po co mnie w to wplątałaś?

– Bo co by zrobili, gdybym nie dał im do zrozumienia, że mam związki z policją?

– Chodzi o zwykłe zakłócenie spokoju publicznego. O wywołanie awantury ulicznej.

- To wyciągnij mnie stąd.
- Nie mogę.
- Nie taki był układ. Żeby mieli mnie aresztować.
- Sam dałeś się aresztować. Gdybym cię stąd wyciągnął, wszystko by się wydało. Podałeś im moje nazwisko, już samo to jest fatalne. Pytali, dlaczego chcesz się ze mną widzieć?
- Pytali o Karola Marksa. Powiedziałem, że prawdziwy Marks był socjalistą, nie komunistą.
- Bardzo mnie rozczarowałeś, Lee.
- Przecież nie mogłem pozwolić, żeby mnie wsadzili. Mam żonę i dziecko.
- To tylko jedna noc.
- Musiałem im pokazać, że ktoś wie, kim jestem. Że nie jestem byle kim.
- Chodzi tylko o zakłócenie spokoju publicznego. Mów jak najmniej. Niech myślą, że jesteś zwykłym, rozpolitykowanym chłopakiem.
- Powiedziałem im, że jestem luteraninem.
- Kapitalnie – mruknął Bateman ciepło i zgryźliwie.

Sfotografowali go *en face* i z profilu, zrobili zdjęcie całej sylwetki, pobrali odciski palców i dłoni. Kazali mu opuścić spodnie i się pochylić. Potem, już siedząc w celi, wyobrażał sobie, jak będzie na tych zdjęciach wyglądał, taki dystyngowany i łysiejący. Dochodziły go głosy pijaków i histeryków. W miarę upływu czasu przyprowadzali coraz to nowych. Jakiś wyjca i tancerza. Murzyna w czapce z folii aluminiowej, mycse ze sreberka od gumy do żucia, z wisiorami po bokach.

Trocki przywłaszczył sobie nazwisko klawisza z Odessy i rozstawił je na kartach tysiąca książek.

To on powiedział Marinie, że w nocy zmarło dziecko Kennedych. Chłopiec, miał kłopoty z oddychaniem. Marina stała przy oknie i płakała. Uderzyło ją to z siłą czegoś, czego od dawna się bała i czego po sobie nie okazywała. Syn prezydenta żył trzydzieści dziewięć godzin. Oplakiwała Kennedych, ale także samą siebie i Lee. Jak mogłaby oplakiwać śmierć ich dziecka, nie myśląc o dziecku, które nosiła we własnym łonie? To była ich przyszłość, przyszłość naznaczona.

Lee stanął przed sądem. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, było to, że salę rozpraw podzielono na sektor dla białych i sektor dla kolorowych. Czekał na swoją kolej, usiadł w samym środku sektora dla kolorowych. Potem przyznał się do winy i zapłacił dziesięć dolarów grzywny. Ucisnął rękę Carlosowi i wyszedł.

Rzecz w tym, że nie miało to najmniejszego znaczenia. Znaczenie miało jedynie zbieranie doświadczeń, ich dokumentowanie, przechowywanie dla kubańskich urzędników. Jak się to nazywa? Dossier?

Przed sądem sfilmowała go ekipa wieczornych wiadomości WDSU.

Cztery dni później był już z powrotem na ulicy: rozdawał ulotki przed International Trade Mart.

Piątego dnia zaproszono go do radia na pogadankę o Kubie i świecie.

Bill Stuckey, gospodarz *Latin Listening Post*, spodziewał się kogoś w rodzaju folkowego piosenkarza z brodą i brudnymi paznokciami. Tymczasem Oswald był czysty i porządnie ubrany, w białej koszuli i krawacie, z kołnотatnikiem pod pachą.

Usiedli w studiu z inżynierem dźwięku i Stuckey bez żadnych wstępów przedstawił go jako sekretarza nowoorleańskiego oddziału Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą.

– Tak – zaczął Lee – jako sekretarz odpowiadam za akta i ochronę danych osobowych naszych członków, którzy nie chcą zwracać na siebie uwagi i nie życzą sobie niepotrzebnej

reklamy.

Powiedział:

– Ponieważ kształciłem się w Nowym Orleanie i ponieważ właśnie tu przesiąknęłam ideałami demokracji i obiektywizmu, jest dla mnie zupełnie oczywiste, że Kuba i prawo Kubańczyków do samookreślenia jest zrozumiałe samo przez się.

Powiedział:

– Wie pan, kiedy nasi przodkowie pisali konstytucję, uważali, że demokracja stworzy atmosferę swobodnej dyskusji, argumentacji, poszukiwania prawdy. Że jest to prawo, klasyczne prawo życia, prawo do wolności i szczęścia. Natomiast ja uważam, że demokracja jest prawem do bycia w mniejszości, której się nie tłumii.

Stuckey słuchał, jak Lee mówi o United Fruit Company, o CIA, o kolektywizacji, o feudalnej dyktaturze w Nikaragui i o ruchach narodowowyzwoleńczych. W sumie trzydzieści siedem minut nagrania, które musiał skrócić do czterech i pół w swoim pięciominutowym programie, a szkoda, ponieważ Oswald mówił jasno i inteligentnie, a przyparty do muru umiał sprytnie wybrnąć z trudnej sytuacji.

Po wywiadzie Stuckey zaprosił sekretarza Oswalda na piwo. Potem wysłał kopię nagrania do FBI.

I tak to szło, takie to było lato. Jednego dnia uganiał się za karaluchami, rozgniatając je łopatką do naleśników, taką z elastycznego plastiku, jakie można kupić wszędzie. Stracił pracę. Wyrzucili go, bo nie pracował, co było chyba w miarę sensowne. Miastem wstrząsały burze. W Jackson, Missisipi, zastrzelili Medgara Eversa, sekretarza NAACP, organizacji mającej na celu ochronę praw i popieranie interesów gospodarczych ludności kolorowej. Potem podłożyli bombę w kościele baptystów na Szesnastej Ulicy w Birmingham; czterech Murzynów zginęło, dwudziestu trzech zostało rannych. Jednego dnia polował na karaluchy nieogolony i w ubraniu, którego nie zmieniał od tygodnia. Następnego, w źle skrojonym rosyjskim garniturze, w wąskim krawacie i z kołnotatnikiem w ręku, brał udział w *Conversation Carte Blanche*, kolejnej debacie radiowej WDSU. Tym razem go sprawdzili i przygotowali pytania na temat Rosji i jego wyjazdu, czym dał się trochę zaskoczyć. Popracował nad ryglowaniem i odryglowywaniem mannlicera. Wyczyścić mannlicera. Coś dla niego zaplanowali, wszystko jedno, kim byli. Nocne błyskawice. Łatwo było uwierzyć, że obserwują go od lat, że się wokół niego kręcą, wiedząc, iż nadejdzie odpowiednia chwila.

Wariat, szaleniec boksujący się z cieniem przed toaletą w Habanie.

Zdawało się, że Ferrie czasem nie wie, czy coś jest zabawne, czy smutne. Opowiedział mu, jak to próbował skonstruować maleńkie urządzenie zapalające wyposażone w zapalnik czasowy. Chciał skonstruować tysiące takich urządzeń i przymocować je do tysięcy myszy. Chciał zrzucić te myszy na kubańskie plantacje trzciny cukrowej. Podniecał go widok pięćdziesięciu tysięcy myszy, które rozbiegają się w trzcinie, z płonącymi flarami na karku. Pragnął zostać Hannibalem mysiego świata i to, że plan nie wypalił, bardzo go przybiło.

– Podczas rewolucji – odparł Lee – Castro podpalił plantację własnej rodziny.

– Posłuchaj. Ta sprawa z Walkerem to już przeszłość. Powinieneś o niej zapomnieć. Dla Fidela martwy Walker nic nie znaczy. Walker to przeżytek. Wczorajsze gówno. Nikt go już nie słucha. To, że chybiłeś, wykończyło go skuteczniej niż celny strzał. Zawisł w mroku. Wszyscy się go wstydzą. Jest naznaczony stygmatem człowieka, do którego strzelano i spudłowano.

– Skąd wiesz, że chcę spróbować jeszcze raz?

– Czy słowa są naprawdę konieczne? Czyż nie wiemy, kiedy ociera się o nas śmierć?

Zaczynają na ciebie napierać. Banister mówi, że oni nie żartują. Byli w twoim mieszkaniu.

– Wiem. Takie miałem wrażenie.

– Wyczułeś to. Widzisz? Nie trzeba nic mówić. Szala wagi się przechyla, i już wiesz.

– Czego szukają?

– Znaku, że istniejesz. Dowodów, że Lee Oswald pasuje do tekturowej układanki, nad którą od dawna pracują. Jesteś wybrykiem historii. Jesteś zbiegiem okoliczności. Oni opracowują plan, a ty idealnie do niego pasujesz. Gubią cię, no i proszę, jesteś tutaj. We wszystkim jest jakiś wzór. Coś w nas wpływa na niezależne wydarzenia. Potrafimy sprawić, że coś się dzieje. Świadomy umysł to tylko część całości. Jesteśmy głębsi. Trwamy w czasie. Niektórzy potrafią przewidzieć czas, miejsce i rodzaj własnej śmierci. Podpowiada im to coś, co tkwi głębiej. To jest prawie jak romans, jak flirt. Szukam tego. Dyskretnie się za tym ugamiam.

Walczący z cieniem bokser był teraz na innym poziomie, wykonywał wolniejsze ruchy, coś tam sobie przeliczał. Stał w miejscu ze spuszczoną głową i napotykał opór, jakąś hamującą siłę, z trudem skrzyżował ręce na piersi, jak ktoś gestykujący w przestrzeni kosmicznej.

– Ten twój Kennedy też ma romans ze śmiercią. Ludzie odważni miewają mroczne sny. Tak, Jack jest opętany myślą o śmierci, zgoda, ale nie chorobliwie, bo daleko mu do takiego upiornego robala jak ja. On jest poetycki. Oto twój Jack.

– On nie jest mój – odparł Lee.

– Kennedy wie, jak to jest. Kilka razy otarł się o śmierć. Jego brat zginął na polu walki. Siostra w katastrofie lotniczej. Umarło mu dziecko. Jest katolikiem. Do katolika takie rzeczy docierają bardzo wcześnie. Kadzidło, muzyka organowa, popiół na czole, hostia na języku. W najwspanialszych rzeczach połyskuje strach. Ot, choćby Zezowaty Kościej Pete. Zawsze trzymaliśmy się z daleka od pewnych zaułków i ciemnych uliczek. Bo czekał tam na nas w śmierdzących gaciach, cuchnąc pijackim oddechem. Specjalizował się w dzieciach.

Przy szafie grającej stała jedna z barowych dziewczyn, wysmagana piaskiem mieszkanka zachodniego Teksasu, o tlenionych włosach, jasnej cerze i krótkich złocistych rzęsach. Ferrie przywołał ją gestem ręki. Podał jej czarną muszkę, którą wyjął z kieszeni. Dziewczyna przypięła ją klamerką do kołnierzyka koszuli Lee. Uznali, że wygląda uroczo. Nazywała się Linda Frenchette – podniosła ręce do twarzy i zgięła kciuki, udając, że robi mu zdjęcie.

– On nie pali ani nie pije – powiedział Ferrie. – Nigdy nie przeklina. Chcemy, żebyś była dla niego miła.

– Nic za darmo – odparła Linda.

– Ty weźmiesz przód, ja tył. Będzie jak samochodzik w wesołym miasteczku.

Uznali, że to też jest urocze.

Wsiadli do ramblera Ferriego i pojechali Magazine Street. Temat przejażdżki brzmiał: „Odwozimy Lee do domu”. Linda Frenchette siedziała z tyłu. W kieliszku od wina miała tequilę i kiedy się gwałtownie zatrzymywali, przykrywała go ręką. Na siedzeniu znalazła telewizyjny pojemnik na drugie śniadanie, taki z postaciami z kreskówek na pokrywce, i gdy go otworzyła, okazało się, że w środku jest kilka skrętów. Lee przytrzymał kierownicę, a Ferrie zapalił. Hasz, rzucił kapitan Dave. Zamknęli okna, żeby w samochodzie zebrał się zapach, silny, ciężki i korzenny. Ferrie podał skręta dalej. Skręt był krótki, gruby i zwężony na końcach. Odwozili Lee do domu.

Zaparkowali przed ładną willą z dwupoziomową werandą, dwa domy od jego domu. Kilka razy podrzucał tu śmieci. Linda zapaliła kolejnego skręta. I znowu puścili go w koło. Dochodziła trzecia, mieli zamknięte okna, w środku było gęsto od dymu i świat zewnętrzny prawie przestał istnieć. Nauczyli go, jak palić haszysz. Zażarcie się o to kłócili. Tymczasem on palił tylko po to, żeby palić. Potem, przypalając skręta, Ferrie opowiedział im historię haszyszu, co trwało wieki.

Czas zwolnił bieg. Upał w samochodzie stawał się nie do wytrzymania, dym szczypał Lee w gardle. Linda umoczyła język w tequili i leciutko polizała go w ucho. Byli w miejscu, gdzie uderzenie serca trochę trwało.

– To taka chwila, kiedy nie wiem, czy robię to naprawdę, czy tylko wspominam – powiedziała dziewczyna.

– Ale co robisz? – spytał Ferrie.

– No, czy leżę w łóżku i wspominam, czy to wszystko dzieje się naprawdę, tu i teraz.

– Ale co wszystko? – drążył Ferrie.

Jego głos dobiegał z oddali. Otworzył okno, żeby wypuścić dym. Lee patrzył prosto przed siebie. Z piersi staczał mu się jasny popiół. Zdał sobie sprawę, że Linda wyciąga rękę ponad oparciem fotela. Że go obmacuje – inaczej nie dało się tego nazwać – że rozpiną klamrę paska i rozporek.

– Jezu Chryste, mam nadzieję, że jednak jestem w domu, bo jeśli nie, to nie wyobrażam sobie, jak tam wrócę.

Lee pozwolił, żeby Ferrie rozpiął mu spodnie. Wtedy Linda chwyciła go ręką, ścisnęła i wydając komiczny warkot, z szeroko otwartymi ustami przewiesiła się przez oparcie.

Lee wciąż patrzył prosto przed siebie. Słyszał, jak Linda oddycha przez nos. Zmieniając pozycję, uderzyła się głową w wystającą popielniczkę. Próbował przypomnieć sobie imię dziewczyny, z którą chciał kiedyś chodzić, tej w spódnicy w kratkę. Dawno temu, gdy był jeszcze w wieku, kiedy się chodzi.

Potem zaczął do niego docierać głos Ferriego, docierać w odważonym czasie, powoli, jedno słowo, drugie, głos głęboki i soczysty, jak ten zapowiadający epicki film z trójwymiarowymi literami rozciągniętymi na biblijnej pustyni.

– Od dawna cię obserwuję. Pomyśl o nich. Kim są? Czego chcą? Jestem z nimi, ale jestem też z tobą. Są rzeczy, o których nam nie mówią. Tak jest zawsze. Zawsze jest w tym coś więcej. Coś, o czym nie wiemy. Prawda nie jest tym, co wiemy czy czujemy. Prawda to coś, co czeka tuż za. Dzielimy pewną świadomość, tak jak dzisiaj. Haszysz robi z nas Turków. Dzielimy ojczyznę i ducha. Linda dobrze mówi. Jesteś w domu, w łóżku, i wspominasz.

Potem wyciągnął rękę nad jej ramieniem, żeby poprawić mu muszkę.

Marina miała wciąż aktualne zaproszenie od przyjaciółki Ruth Paine z Dallas. Po porodzie Ruth byłaby bardzo pomocna. Znała kilku tamtejszych emigrantów i chciała poduczyć się rosyjskiego, czym Marina mogłaby się jej zrewanżować.

Wyglądało na to, że okres nowoorleański dobiega końca. W sumie to się chyba nawet nie zaczął. Lee chciał odesłać ją do Rosji, żeby uwolnić się od odpowiedzialności. Doszła do wniosku, że musi wystarczyć jej Dallas, przynajmniej na razie.

Ruth przejeżdżała przez Nowy Orlean w drodze ze Wschodu czy Środkowego Zachodu i mogłaby ją zabrać. Marina przedyskutowała to z mężem. On pojechałby do Mexico City po kubańską wizę, a ona i June do Dallas z Ruth Paine, kwakierką i dobrą przyjaciółką.

I zobaczyliby, co będzie dalej.

Strzelali w mglistym świetle. On, wypalony i oderwany od rzeczywistości, po prostu strzelał. Jedna kula, druga, trzecia.

Ot, pluł ołowiem. Tamci prawie z nim nie rozmawiali i z wyrachowaniem trzymali się na dystans. Nie miał nic przeciwko temu. Tego lata rzeczy powoli nabierały ostrości.

David Ferrie miał w uszach zatyczki i strzelał do puszek z przecierem. W porannym powietrzu tryskały fontanny pomidorowej krwi, jatka na rynek masowy. Nie używał ochraniaczy słuchu,

jakie noszą na strzelnicy. Używał zwykłych, tanich zatyczek, ale jakoś strzelał. Kubańczyk strzelał dobrze. Ten smukły, Wayne, ten o pociągłej twarzy i rozbieganych oczach, pochylony i jakby wycofany, wystrzelił tylko kilka razy i odszedł.

Ferrie musiał pojechać do Nowego Orleanu na rozmowy w izbie handlowej. Powiedział, że wróci nazajutrz, żeby odwiedzić Lee do domu.

Natomiast T-Jaya, ich przywódcę, widok Lee zdawał się bawić. Choć z lekko wystającym brzuchem, facet robił wrażenie silnego i miał na dłoni wytatuowanego ptaka. Jak ten od Marlboro.

T-Jay wiedział, że Lee chce wyjechać na Kubę. Ferrie mu powiedział? Czy Lee wspomniał o tym Ferriemu? A może wiedział o tym agent Bateman? Czy Lee powiedział mu, dlaczego wystąpił o paszport? Seria szybkich pytań. Nieważne. Lato powoli przeobrażało się w wizję.

T-Jay kazał mu ćwiczyć strzelanie z mannlichera, nie z tych nowych karabinów. Lee od początku miał taki zamiar. Sam chciał tu przyjechać. Prosił o to Ferrie'go. Musiał potrenować strzelanie do celu, i to solidnie.

Sęk w tym, że skończyła mu się amunicja. Naboje do tego typu karabinu trudno było dostać. Odwiedził wszystkie sklepy w Nowym Orleanie. T-Jay robił wrażenie rozbawionego, wszechwiedzącego. Powiedział, że ma spory zapas, że przysłano mu tę amunicję prosto z Western Cartridge Company w ramach jakiegoś interesu. Widzisz? O wszystko zadbał. Wszystko zaczyna do siebie pasować.

Zwinął się w kłębek w śpiworze na podłodze chaty.

Ma dużo do pokazania Kubańczykom. Ma listy z Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą i z redakcji „Workera”. Ma ulotki i legitymacje.

Jedno wie na pewno. Będzie studiował politykę i ekonomię.

Prowadź je do Missouri, Matt.

Gdyby tylko nie to zamieszanie wokół zwolnienia karnego, którego nie chcą zmienić na honorowe.

Marina myśli, że jest teraz gdzieś w Luizjanie, że szuka pracy w przemyśle lotniczo-kosmicznym.

Prezydent czyta powieści z Jamesem Bondem.

Ma dowody, że prenumerował lewicowe czasopisma. Ma wezwanie do sądu z opisem ulicznego zajścia, które doprowadziło do jego aresztowania.

Rewolucja musi być szkołą nieskrępowanej myśli.

Mokre od deszczu ulice.

Przemysł lotniczo-kosmiczny ma przyszłość; a wieczorami kurs ekonomii.

Pracuje nad nowym projektem w notatniku stenograficznym. Podzielił go na kilka działów: marksista, agitator uliczny, mówca radiowy, wykładowca. Zamieszcza w tych działach zwięzłe opisy swojej działalności wraz z załącznikami. Ma wycinek prasowy o rozprawie przed sądem, wycinek ze swoim poprawnie napisanym nazwiskiem. Ma deklaracje podatkowe z firmy graficznej w Dallas, po prostu ma, żeby mieć i przechować, tak na wszelki wypadek. Takie deklaracje kwalifikują się jako materiały wywiadowcze.

Mam doświadczenie w agitacji ulicznej.

Mam dalekosiężne i silne ciągoty do niezależności zrodzone przez biedę.

Przemysł lotniczo-kosmiczny.

Ferrie podniósł ten temat dopiero wtedy, gdy na szosie pojaśniało od reflektorów, gdy wjechali w jaskrawą poświatę na przedmieściach Nowego Orleanu.

– Pan prezydent wyrabia nadliczbowki – zaczął. – Wiedziałeś o tym? Kopie grób dla Fidela.

To jedna z najtajniejszych operacji. Spytaj mnie, skąd o tym wiem. Jestem doradcą prawnym Carmine Latty. On o takich sprawach wie. Agencja współpracowała z mafią, żeby zorganizować zamach na Castro.

Jaskrawy tłok. Twarze w bocznych oknach.

– Posłuchaj. Nie mogą tego zrobić bez wiedzy Kennedy’ego. Jeśli prowadzi jakieś brudne interesy, to z kim się konsultuje? CIA jest jego toaletą.

Śmigające obok dzieci mrużą oczy w blasku oślepiającego światła.

– Carmine rozmawiał z ludźmi z Chicago i z Florydy. Masz dużo do przemyślenia, to zdumiewający materiał. Zastanów się. Oficjalnie chce pojednania z Kubą. Nieoficjalnie wysyła tam zamachowców.

Nazajutrz, 9 września, Lee kupił „Timesa-Picayune” i przeczytał, że Castro oskarża USA o planowanie serii zamachów.

„Przywódcy Stanów Zjednoczonych powinni zrozumieć, że popierając terrorystyczne plany, mające na celu wyeliminowanie przywódców kubańskich, sami narażają się na niebezpieczeństwo”.

Przeczytał ten artykuł kilka razy. Jakby mieli kontrolę nad wiadomościami, Ferrie, Banister, wszyscy oni, jakby byli wszechwiedzący. Oczywiście to tylko przypadek, że Ferrie wspomina o tym jednego dnia, a już następnego piszą o tym w gazecie. Ale może było to jeszcze dziwniejsze niż kontrola totalna.

Przypadek. Na rozlewiskach dowiedział się od Rayma, że w partyzantce Castro używał pseudonimu „Alex”; wziął go od swego drugiego imienia, Alejandro. Lee występował kiedyś pod pseudonimem Alek.

Przypadek. Banister próbuje go znaleźć, nie wiedząc, w jakim jest mieście i kraju, tymczasem on idzie na Camp Street 544 i oświadcza, że chce u nich pracować jako tajny agent.

Przypadek. Zamawia rewolwer, sześć tygodni później zamawia karabin. Rewolwer i karabin przychodzą pocztą tego samego dnia.

Przypadek. Zawsze czyta dwie, trzy książki naraz, tak samo jak Kennedy. Służbę wojskową odbył na Pacyfiku, tak jak Kennedy. Ma okropny charakter pisma i robi straszne błędy ortograficzne, podobnie jak prezydent. Żona jednego i drugiego była w ciąży. Obydwaj mieli brata imieniem Robert.

Drugiej nocy w domu znowu miał krwotok z nosa. Zaplamiał poszewkę od poduszki. Marina powiedziała mu, że śpiąc, cały się trząsł.

Wszystko o nim wiedzieli, wiedzieli nawet, skąd wziąć naboje do mannlichera. Poza tym federalni czytali jego listy. Poza tym Marina była w ósmym miesiącu ciąży, narzekała na życie i z sarkazmem wyrażała się o jego zasadach jako bojownika o postęp. Opuścił dwa spotkania z Batemanem. Pieniądze przestały go obchodzić. Mogli je sobie zatrzymać. Ani do nich nie należał, ani nie mieli nad nim żadnej władzy. Schudł. Widział to po ubraniu, po twarzy w lustrze. Z namaszcczeniem przyjął postawę strzelecką na ganku i szepcząc: „Poprawka na wiatr” wycelował z karabinu w przechodzącego przez ulicę mężczyznę, dokładnie w miejsce, gdzie szyja styka się z głową. Postanowił wrócić do nauki hiszpańskiego.

Dostał kartę turystyczną z meksykańskiego konsulatu. Poukładał dokumenty i wycinki. Wszystko dla małej Kuby, żeby Kubańscy wiedzieli, kim jest.

Mógłby załatwić wizę i poprosić, żeby wstemplowali mu datę z wyprzedzeniem. Wtedy wróciłby do Dallas i zastrzelił tego faszystę Walkera. Potem pojechałby do Mexico City, wiedząc, że wiza już na niego czeka, że to niepodważalny fakt, gwarancja wyjazdu do Hawany. Powitaliby go tam jak bohatera.

A hiszpańskiego już się uczył, parę razy zaczynał i przerywał. Łatwiej by mu poszło. Ferrie nazwał jego karabin Młotem na Ludzi.

Przymocował kojec i wózek do dachu kombi Ruth Paine, zielonego chevroleta rocznik 55; samochód był upstrzony plamami rdzy i miał sflaczałe opony. W środku poupychał walizki i pudła, wszystko, co mieli. Teraz należało to do Ruth. Ukradkiem wcisnął tam również karabin, który owinął w koc i przewiązał kuchepnym sznurkiem. Na sznurku zrobił babski węzeł.

Powiedział Ruth, że pojedzie szukać pracy, chyba do Houston, może do Filadelfii.

Marina miała wilgotne oczy z niepokoju i miłości. Czubkami palców musnął jej długą białą szyję. Z trudem powstrzymał łzy. Bał się, że twarz skurczy mu się ze smutku jak twarz dziecka.

Tej nocy lało, a on kilkakrotnie wyslizgiwał się z domu z torbami śmieci, upychając stare gazety w pojemnikach sąsiadów, miażdżąc butelki po napojach gazowanych. Czy ktoś go obserwował? Czy jakaś niemogąca zasnąć staruszka śledziła go podczas tych nocnych eskapad? Powłócząc nogami, wrócił truchtem do domu i chwilę później znowu wyszedł z kolejną torbą przy piersi, chłopiec, który nie rozmawiał z nikim na ulicy.

Następnego wieczoru czekał na ganku, aż dokładnie naprzeciwko zatrzyma się autobus. Gdy się zatrzymał, Lee przebiegł na drugą stronę ulicy z dwiema płóciennymi torbami, nie zapłaciwszy czynszu za ostatnie pół miesiąca.

Na dworcu ruszył prosto do kasy po bilet do Houston, które było pierwszym etapem jego podróży do Mexico City. Przy okienku czekał David Ferrie. Był w zmiętej sportowej marynarce w szkocką kratę, z kieszeni wystawała mu gazeta. Wyglądał jak gracz na wyścigach konnych, któremu pozostały dwa dni życia.

– Dokąd? Do Meksyku? Po wizę na małą Kubę?

– Zgadza się – odparł Lee.

– Tak bez słowa? Nie podoba mi się to.

– Nie chcesz mi powiedzieć, czego ode mnie chcą. Muszę planować najlepiej, jak umiem.

– Wiedzieli, że wyjeżdżasz. Wyjątkowo uważnie cię obserwowali. Jestem urażony. Ja, osobiście. Teraz z kolei Kuba? Nie skończyliśmy jeszcze tutaj.

– Może tu wrócę.

– Na pewno. A wiesz dlaczego? Bo Amerykanom nie dają tak łatwo wizy. Poza tym chcesz wrócić. Chcesz dokończyć nasze dzieło.

– Czego ode mnie chcą?

– Obydwoj znamy odpowiedź na to pytanie.

– Ty znasz. Ja nie.

– Znałeś ją cały czas. Domyśliłeś się nawet przede mną. Pojechałeś na bagna postrzelać ze swego Młota. Wiesz, po czyjej jesteśmy stronie. Wiesz, że nasz cel nie będzie ci odpowiadał. Mimo to chciałeś przyjechać. Jakoś to wyczułeś. Jesteś lepszy ode mnie, naprawdę lepszy.

Po sali krążył Murzyn w modnych butach, sprzedając świecące w ciemności jo-jo.

Ferrie namówił Lee na kolację. Skoro już się tak uparł, rano mógłby go odwiedzić Raymo. Szkoda pieniędzy na autobus. Nie ma to jak duży, wygodny samochód.

Zjedli jajecznicę w jego mieszkaniu. Pod stołem w kuchni leżały materiały wybuchowe. Ferrie nie zdjął marynarki i mówiąc, machał widelcem.

– Widziałem materiały z Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą, które przechowujesz na Camp Street. Zauważyłem coś, co tobie chyba umknęło. Ludzie spod znaku Wagi nigdy nie zauważają rzeczy, które dotyczą ich samych. Oficjalnym symbolem komitetu jest waga w wysoko wyciągniętej ręce. Dwie szalki na sztywnym dźwigarze. Dokądkolwiek byś poszedł. To

jest wszędzie. Która szala się przechyli?

- Nie wiem, czego ode mnie chcą.
- Oczywiście, że wiesz.
- Gdzie to będzie?
- W Miami.
- Dalej nic nie rozumiem.
- Rozumiesz od wielu tygodni.
- Co będzie w Miami?

Chwilę trwało, zanim Ferrie skończył przeżuwać jedzenie.

– Wyobraź sobie dwie równoległe linie – odrzekł. – Jedna to życie Lee H. Oswalda. Druga to spisek na życie prezydenta. Co je spina? Co sprawia, że jest to nieuniknione? Jest jeszcze trzecia linia. Wybiega ze snów, z wizji, przeczuć, modlitw, z najgłębszych poziomów świadomości. W przeciwieństwie do dwóch pierwszych nie jest wynikiem związku przyczynowo-skutkowego. Ta linia ów związek przecina, przecina czas. Nie łączy się ze znaną nam i zrozumiałą przeszłością. Ale wymusza pewien związek. Naprowadza na ścieżkę przeznaczenia.

25 września

Obudził się po północy na sofie. Niemal od razu całkowicie przytomny. Włączony telewizor na półce, rozedrgany obraz bez dźwięku. W łazience gulgotał Ferrie. Wszystko było przesiąknięte zapachem haszyszu, jego włosy i ubranie, obicie sofy.

Do pokoju wszedł nagi Ferrie. Bez brwi i peruki. Smutny, ziemisty i odbarwiony wychynął z cienistej poświaty i przystanął w migotliwym świetle ekranu. Przypominał mieszkańca krainy *nudo*, wygolonego nagusa z tokijskiej budki, nagiego mnicha, którego można sfotografować za pieniądze, jedną z niezliczonych odmian realistycznego malowidła, satyrę dla turystów. Był zamazany, na wpół wytarty. Widział, że Lee ma otwarte oczy?

Przez chwilę stał między książkami i lampami, jakby czegoś zapomniał. Czego można zapomnieć, kiedy jest się nago? Lee poruszył się jak przez sen, przewrócił na drugi bok. Zamknął oczy. Jęknął jak ktoś pogrążony w głębokim śnie.

Ferrie usiadł na brzegu sofy i położył rękę na jego brzuchu, położył rękę na koszuli Hidella i nachylił się, pachnąc mocno płynem do płukania ust.

– Ludzie muszą być dla siebie mili.

Objął go. Ma wędrujące ręce, pomyślał Lee. Stary, szkolny tekst, mówili tak w ogólniaku, dziewczyny mówiły tak o chłopakach. Że ten i ten ma wędrujące ręce.

– Ludzie muszą być mili – szeptał kapitan Dave.

Chyba położył się na sofie, tuż za nim, wciąż go obejmując i głaszcząc powoli przez spodnie. Lee nie pozwolił mu ich rozpiąć. Przez chwilę się nawet mocowali. Nie zmieniając pozycji, walczyli o klamrę u paska. Lee nie otwierał oczu. Przepychali się samymi rękami, klepali po dłoniach. Ferrie był silny. Chwycił go mocno za nadgarstek. Chwycić kogoś za nadgarstek obiema rękami i przekręcić ręce w przeciwną stronę – indiańska przypiekanka, tak się to nazywa. Kolejny tekst z ogólniaka.

– Ludzie są dla siebie mili, mili, mili.

Napierał na niego całym ciałem. Ręka jakby się uspokoiła. Lee ścisnął nogi. Wciąż miał zamknięte oczy. Pocierał twarzą o szorstkie obicie sofy. Czuł na sobie jego oddech, ciężki oddech na szyi i głowie.

Ukryj „l” w Lee.

Nikt się nie dowie, że dobrze ci.

Wtedy poczuł coś mokrego na spodniach. Próbował nie brać tego do siebie. Ferrie odsunął się, podał mu ręcznik i włożył szlafrok. Wszystko prawie po ciemku.

– Kiedy wrócisz do Dallas, powinieneś odwiedzić kilka miejsc.

– Jadę do Mexico City.

– Ale kiedy wrócisz. Na przykład Gene’s Music, taki bar. Powinieneś tam kiedyś wpaść. Albo Century Room; niedawno go otworzyli.

– Po co?

– Żeby kogoś poznać.

– Kogo?

– Ludzi, którzy chcą poznać ciebie. Nie znam barów w Dallas. Przekazuję ci tylko to, co mówią. Ale trzymaj się z daleka od Holiday. Za ostro tam. Nie dla ciebie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ależ oczywiście, że wiesz. Gene’s Music Bar zajmuje pierwsze miejsce na twojej liście.

Chcesz zwrócić na siebie uwagę. Opowiesz mi, jak było.

I znowu haszysz.

– Hasz – powiedział Ferrie. – Ciekawe, bardzo ciekawe słowo. Arabskie. Tak jak *assassin*, zamachowiec.

Jack Ruby lubił wypić z rana szklankę świeżego soku owocowego. Kupił osiem grejpfrutów naraz, za jednym zamachem, wyławiając je ze skrzynki stalowym spojrzaniem, jakby były jedyną rzeczą, która mogła ocalić mu życie. Zapchał nimi wszystkie zakamarki w lodówce. Lubiał poklepać dobrego grejpfruta. Były takie niezawodne. Lubiał ważyć je w rękę. Grejpfruty, pływalia i podnoszenie ciężarów – uważał, że to dobra kombinacja. W wolnym czasie miał świra na punkcie kondycji fizycznej.

Za progiem kuchni zaczynał się kawalerski bałagan. Pokój przypominał przechowalnię rzeczy znalezionych. Ale on nie miał nic przeciwko temu. Nie znosił i bał się wnętrza przypominających hotelowy pokój. Wystarczyło tylko, żeby cofnął się myślą o dziesięć lat, do czasów, gdy dobijały go kolejne porażki, gdy kłopoty finansowe wpełzały mu na plecy i włożyły na łeb. Było tak źle, że musiał wynająć pokój w tanim hotelu i na półtora miesiąca odizolować się od świata zaciągniętymi kotarami, jeść jedynie tyle, żeby przeżyć. Był wtedy kompletnym zerem. Stracił ochotę do życia. Tylko raz, tylko wtedy dopuścił się grzechu rozpachy, która jest największym upodleniem dla ducha, największym i najtrudniejszym do pokonania.

Może właśnie dlatego wziął lokatora. Żeby nie przerażała go samotność. A może dlatego, że z nawyku ściągał z ulicy zbłąkanych, ludzi bez środków do życia? George Senator miał pięćdziesiąt lat, był rozwiedzionym sprzedawcą pocztówek i skończył osiem klas szkoły podstawowej. Od lat ciągle zmieniał pracę: był kuchaczem od szybkich dań, sprzedawcą maskotek i sprzedawcą odzieży damskiej, którą najpierw miał handlować w całym Teksasie, a którą teraz sprzedawał na ostatnim zadupiu. Pomagał Jackowi w klubie i od czasu do czasu dla niego gotował, chociaż źle opiekował mięso i za nic nie potrafił przyswoić sobie czyichś upodobań kulinarnych, owych dietetycznych niuansów, które tak wiele znaczą.

Wychodząc z kuchni ze szklanką soku grejpfrutowego w rękę, Jack ledwo na niego spojrział. George siedział jak klucha na sofie i kaszlał w złożone dłonie.

– Czekam na bardzo ważną wiadomość. Trzymaj się z dala od telefonu. Do początku przyszłego tygodnia.

– Czy ja w ogóle gdzieś dzwonię? – spytał George.

– Nie wiem. Może na pogodynkę.

– Nie dzwonię na pogodynkę. W ogóle nie podchodzę do telefonu.

Jack ledwo go słyszał. Umiał z nim mieszkać i zachowywać się tak, jakby go tam nie było. Jego umysł pracował za szybko i ten bezkształtny spaślak po prostu za nim nie nadążał. Odkąd się tu wprowadził, Jack nie wiedział nawet, jak wygląda jego własny pokój gościnny. Może George pomalował go na pomarańczowo. Nie żeby wolał mieszkać bez niego. Kiedy przywykniesz do czyjejś obecności tak jak ja, a miałem siedmioro braci i sióstr, nie licząc dwojga zmarłych w niemowlęctwie, czujesz wtedy, jakby czegoś tu brakowało.

Samotność wywołuje stres. Obydwaj się co do tego zgadzali.

Jack połknął preludin i popił go sokiem. Obszedł pokój, powtarzając sobie w duchu to, o czym myślał. Sześć tygodni i ani słowa. Wisiał przez nich w powietrzu. Poszedł do kuchni po więcej soku. Włosy znowu domagały się kuracji. Przestał o siebie dbać, i to pod każdym względem.

– Co to za wiadomość? – spytał George.

– Od znajomka z Nowego Orleanu.

– Tego od forsy?

- Powiedział, że będzie dzisiaj w Dallas. Więc dobra. Czekam.
- A ten drugi? – spytał George.
- Karlinsky? To pedant, od samego początku za bardzo się z tym certolił. Wiedziałem, że nic nie zrobi, i nie zrobił.
- I powiedziałaś, że co? Że pójdę do tych z Nowego Orleanu?
- Obszedłem go. Skoczyłem trzy metry wyżej.
- A ten drugi? Jest jakaś szansa?
- Poczekamy, zobaczymy.
- Powiedziałeś, że chcesz pożyczyć? Tak prosto z mostu?
- On zna moją sytuację. Od czerwca, kiedy wpadliśmy na siebie na ulicy. W Nowym Orleanie, gdy szukałem tej kowbojki.
- Nigdy tam nie byłem.
- To miasto, gdzie pieniądze nie są ani czyste, ani przejrzyste.

Włożył marynarkę i kapelusz, wziął torbę z pieniędzmi i rewolwer, zabrał Shebę z fotela i zszedł do samochodu. Posadził psa na przednim siedzeniu, otworzył bagażnik i wrzucił tam torbę. Pojechał na Commerce Street, żeby kupić dwie gazety w kiosku na rogu. Wróciwszy do samochodu, zauważył brudne ubranie na tylnym siedzeniu, przewiązany nogawką piżamy tobołek, który zostawił tam przed sześcioma, siedmioma czy ośmioma dniami. Rozejrzał się za szklanką wody. Zdenerwował się, zanim go obsłużono. Potem przejechał na wstecznym pół ulicy, z powrotem do Karuzeli, żeby sprawdzić, czy dobrze napisali imiona dziewczyn na afiszu, czy nie narobili błędów. Przed zawieszonymi na ścianie zdjęciami stali turyści z Topeki. Jack przedstawił się, uściskał im ręce, rozdał reklamówki, wziął psa i wąskimi schodami wszedł na górę.

Idąc przez opustoszały klub, uświadomił sobie, jak bardzo inspirujące było to, że dorastał w Chicago – miał wtedy ksywkę Sparky, Iskierka – że rzucił szkołę, że konikował przed meczami bokserskimi, że sprzedawał goździki na dansingach, no bo proszę, był teraz właścicielem klubu, wszyscy go znali, zamieszczał ogłoszenia w gazecie: takie coś jest możliwe tylko w Ameryce.

Wszedł do biura, zadzwonił do urzędu skarbowego i poprosił o przełożenie spotkania, ponieważ nie zdążył skompletować dokumentów. Formułkę tę zasugerował mu adwokat. Umówił się na inny termin i obiecał przynieść tysiąc trzysta dolarów w gotówce, żeby załagodzić sprawę niedopełnienia obowiązku płatniczego. Kolejna formułka.

Poszedł do baru, nalał sobie szklankę wody i połknął tabletkę preludinu. Żeby pchnąć dzień do przodu i myśleć pozytywnie. Zadzwonił telefon w biurze. Wbiegł tam i podniósł słuchawkę. George, z domu. Dzwonili do niego. Facet już przyjechał. Tony Astorina. O dwunastej w klubie.

W pokoju obok rozszczeły się psy; chciały wyjść. Jack zszedł do samochodu i pojechał do Ritz Delicatessen niecałe dwie ulice dalej. Kupił sześć kanapek, trochę picia i wrócił.

Zadzwonił jego brat Sam. Miał nowy pomysł na produkcję plastikowych spinnerków, tych wihajstrów, które obracają się na linach przed warsztatami samochodowymi i na parkingach, żeby było ładniej i bardziej świątecznie.

Zadzwonili ci z „Timesa Herald”.

Zadzwoniła striptizerka Double DeLite.

Zadzwonili ci z KLIF.

Zadzwonił detektyw Russell Shively.

Zadzwonił jego brat Earl. Próbował wyperswadować mu pomysł z tą deską. Jack chciał uruchomić produkcję urządzenia składającego się z dwóch płyt pilśniowych i zamontowanego między nimi łożyska kulkowego: stawałoby się na górnej płycie i tańczyło, twista, shimmy, cokolwiek, dla zabawy i wzmocnienia mięśni.

Wszedł Tony Astorina, wypuszczając w jego stronę krótki, przyjazny bokserki cios ze zwodem. Na więcej ruchu nie było go chyba stać. Miał minę typu „a gdzie kawa?”. Kawa była gotowa. Zaczęli od gadki o niczym. Tony miał około czterdziestu lat, ale ubierał się jak facet dużo młodszy. Jego oczy przekształcały się powoli w tonące w fałdach tłuszczu szparki. Powiedział, że za czterdzieści pięć minut musi gdzieś być. Zabrzmiało to bardzo poważnie. Jack nie miał ochoty wysłuchiwać takich uwag. Pragnął wierzyć, że Tony jest szczerze zaangażowany w rozmowę, że nie wpadł tu przejazdem, żeby zabić czas.

Psy szczekały teraz ciszej i bardziej chrapliwie, jak w chińskiej wiosce.

A potem Tony powiedział:

– My nie zajmujemy się lichwą, Jack. Mogę cię komuś polecić. Ale skłamałbym, mówiąc, że na pewno coś załatwisz. Te kluby, nie wiem, to niepewny interes.

– Znają mnie w czterech miastach, w pięciu.

– Masz reputację twardego Żyda. Powiem bez ogródek. Facet robił kiedyś w związkach.

– Złomowiska i handel starzyzną.

– Zajmował się wieloma rzeczami i muszę przyznać, że z dobrym skutkiem.

– Mam niewyparzony język. Zaraz muszę coś chlapanąć. Wszystko przez ten mój temperament. Wychodzę z założenia, że trzeba od razu przejąć inicjatywę. Przyatakować ostro i szybko, zanim przeciwnik przypomni sobie, że chciał powiedzieć „nie” Dziesięć sekund później jestem spokojniutki jak dziecko.

– Próbuję ci coś powiedzieć, Jack. Tu nie chodzi o temperament. Tu chodzi o to, skąd weźmiesz pieniądze na spłatę długu.

– Zarobię. Wycisnę z klubów. I z paru innych interesów. Masz chody u Carmine, o to mi idzie.

– Carmine. Nie mogę do niego pójść z czymś takim. Carmine zajmuje się tak wielkimi sprawami, że byś nie uwierzył, nie każ mi nawet o tym mówić. Myślisz, że cały dzień siedzi w biurze? To inni za niego siedzą, cała organizacja. On jest od konferencji. Od spotkań, cały czas ma jakieś spotkania. On trzęsie całym krajem, Jack.

– Mówię tylko, żebyś mu coś szepnął. Podsunął pomysł.

– Nie wiesz, ile pomysłów mu ciągle podsuwają. Bóg wie, skąd je biorą, bo ja o takich rzeczach nigdy nie słyszałem. Na przykład Kennedy i ta kobieta. Dowiedziałem się ostatnio, że trwa to dwa lata. Mo ciągle gada o tym z Carmine.

– Jaka kobieta?

– Znasz Mo?

– Mo Giancana.

– Sam.

– Giancana.

– Kennedy od dwóch lat rżnie babę, która jest kochanką Sama. A ja nic o tym nie wiedziałem. Robią to w Nowym Jorku. Robią w Los Angeles. Kennedy jedzie do Chicago zbierać fundusze, znajduje dwadzieścia minut i figo-fago.

Jack próbował to sobie wyobrazić.

– A do Carmine wszystko to dociera. Spotkała się z nim tu, spotkała się z nim tam. Powiedział to, powiedział tamto. I tak od dwóch lat. Robili to nawet w Białym Domu.

Jackowi nie mieściło się w głowie, żeby prezydent Stanów Zjednoczonych mógł rżnąć dziewczynę Momo Giancany. To na pewno jakaś pomyłka. Przecież Momo to facet z Patch w Chicago, facet z Dago Town, cztery czy pięć ulic od tej, na której on się wychował. Jack przyjaźnił się z jego goryłami. Znał jego nazwisko od lat. Odkąd nadano mu ksywę „Mooney”. Był szefem gangu 42. Zaliczył pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt aresztowań. Kiblował w Joliet.

Kiblował w Leavenworth. A teraz jest prawdziwą potęgą. Chicago, Las Vegas i tak dalej. Ale żeby dzielić się kobitą z prezydentem? Jack wiedział, że trudno będzie wrócić do rozmowy o pożyczce.

Tony wciąż siedział na krześle, ale tylko fizycznie. Widać było, że już go tam nie ma, że zbiera się do wyjścia – Jack poznał to po jego rękach, niespokojnych jak ręce palacza, który rzucił palenie.

– Jack, przychodzę do ciebie przez wzgląd na stare czasy.

– Pływaliśmy razem na dachu Capri.

– Nie przyszedłem na kawę.

– Tony. Bardzo to doceniam.

– Przyszedłem, bo znamy się od wielu lat.

– Pieprzyliśmy się w sąsiednich pokojach.

– Hawana, o Madonno.

– Tony, mam plan, chcę przemaalować cały klub. Na zupełnie inny kolor. Na taki jedwabiście czerwony, taki niegdyśszy. Niedługo zaczną się te wszystkie konwencje, interes się rozkręci. Gdyby tak Carmine zechciał o tym pomyśleć, chociaż przez dwie minuty, w samochodzie.

– Chciałbym dać ci promyk nadziei.

– Byłoby wspaniale.

– Ale ja go tylko wożę, Jack. Powiem ci, co jest najważniejszą rzeczą, jaką dla niego robię. Codziennie rano ubieram go w kamizelkę. Ubieram, ściągam i zawiązuję.

– W jaką kamizelkę?

– Jego kamizelkę. Kuloodporną. Ten facet rządzi całym, kurwa, krajem.

Uścisnęli sobie ręce na szczycie schodów. Potem Tony objął go na pożegnanie i Jack się wzruszył.

– Coś ci przyślę – powiedział. – Ruchomą deskę do ćwiczeń. Chcę, żebyś ją wypróbował. To prototyp. Tony. Myśmy się razem kąpali.

Zadzwoił do George'a Senatora.

Zadzwoił do swojej siostry Evy.

Zadzwoił do rabina Hillela Silvermana.

Zadzwoił do Lynette Batistone, do kowbojki, żeby zawiadomić ją, że jednak nie ma dzisiaj wolnego. Double DeLite pochorowała się w Grand Prairie.

Otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju. Wybiegły stamtąd psy, potykając się i wpadając na siebie jak oszalałe. Psy są wierne, a ich wierność łagodzi nasz codzienny smutek i cierpienie. Wziął na ręce Shebę i zszedł do samochodu. Pojechał do banku ulicę dalej. Pojechał do Sheratona, wszedł do baru kawowego i opowiedział kasjerce dowcip, wiedząc, że zwali ją z nóg. Odwiedził kilka sklepów, szukając pewnych dodatków do jedzenia dla dietetyków. Słyszając wycie policyjnej syreny, pomyślał, że może by za nimi pojechać, ot tak, dla dreszczyku emocji, lecz nagle mu przeszło, nagle oklapł i popadł w przygnębienie.

Tego rodzaju przygnębienie sprawiało, że czuł się anonimowo. Kim był? Niby dlaczego miałyby kogoś obchodzić?

Przez jakiś czas jeździł po dzielnicy, potem wpadł do cukierni i kupił sernik. Popędził z nim do sądów i wjechał windą na drugie piętro. Zajrzał do kilku pokojów, wreszcie zaniósł sernik do sali konferencyjnej. Wpadło tam czterech czy pięciu urzędników i detektywów. Zapił tabletkę preludinu zimną kawą z czyjegoś papierowego kubka. Ktoś zauważył jego kikut. Drobnny wypadek, mała sprzeczka sprzed lat. Opowiedział dwa kawały i dali temu spokój. Potem poszedł do wydziału zabójstw i zajrzał do Russella Shively'ego. Russell siedział przy biurku, z „Field and Stream” w ręku, chudy jak szczapa i opalony. Na jego widok Jack zawsze się roztkliwiał, myśląc:

oto jak powinien wyglądać teksański stróż prawa.

- Russell, od kiedy my się znamy?
- Kurczę, nie wiem.
- Czy wspominałem ci kiedykolwiek o samobójstwie?
- Chyba nie.

– Russell, jeśli kiedykolwiek wspomnę o samobójstwie, jeśli kiedykolwiek powiem „zabiję się” czy „skończę ze sobą” to wiedz, że to nie czcze pogrożki, że nie mówię tego, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jeśli kiedykolwiek podniesiesz słuchawkę i usłyszysz głos, który mówi, że właśnie popełniam samobójstwo, i jeśli stwierdzisz, że jest to mój głos, głos Jacka Ruby’ego, to wiedz, że nie blefuję.

Powiedział to ni z gruszki, ni z pietruszki, dlatego Shively uważnie spojrział mu w oczy i kiwnął głową, nie mając pojęcia, co na to rzec.

Jack włożył kapelusz i wyszedł. Wsiadł do samochodu i pojechał do Karuzeli. Po drodze myślał o telefonach, które musiał wykonać. Po podłodze turlały się butelki i słoiki. Przypomniała mu się bójka, w której stracił palec. Przed kilkunastu laty wdał się w iście zwierzęcą bijatykę z pewnym gitarzystą z Silver Spur, klubu, który wtedy prowadził. Gitarzysta odgryzł mu kawałek palca wskazującego. Zrobił to, zaciskając zęby tylko raz, mocno i zdecydowanie, z gwałtownym szarpnięciem głową, tak że górna część palca bezwładnie zwisała, nie nadając się do przyszcicia. Ucierpiał na tym jego wizerunek publiczny, bo chciał wstąpić do masonów, do wolnomularzy czy jak im tam, żeby poszerzyć znajomości i kontakty biznesowe. Rzecz w tym, że masoni nie przyjmowali ludzi, którym brakuje jakiegoś organu. Tak mówiło prastare prawo z ich ksiąg.

Zadzwoił do adwokata.

Zadzwoił do „Morning News”, żeby zamieścić ogłoszenie.

Zadzwoił do striptizerki nazwiskiem Janet Alvord.

– Janet, czy ja wyglądam na pedała? A mój głos? Podobno seplenię. Czy cioty seplenią? Czy wyglądam na takiego, co to ukrywa swoje pedałstwo? A może wyglądam na dwururkę? Tylko nie wciskaj mi kitu, mów całą prawdę.

Przyszedł barman. Jack powiedział mu, że jak dla niego szklanki nie są wystarczająco czyste. Zauważył nową kelnerkę w marszczonj bluzce z dużym dekoltem. Zaprowadził ją do kąta i opowiedział jej kawał. Miała dudniący śmiech. Szybko opowiedział jeszcze jeden i odszedł, patrząc przez ramię, jak dziewczyna się śmieje.

Lubił kobiety z piegowatym dekoltem.

Zszedł do samochodu i pojechał do domu na wczesną kolację. Bo jak to jest być Żydem choćby w takim Teksasie? Myślisz: nigdy nic nie mów, nigdy nie rzucaj się w oczy. Mimo to kochał to miasto. Dzięki temu miastu mógł zarabiać na życie tak, jak chciał. Nie musiał ukrywać tego, kim był. Nie musiał wysłuchiwać w klubie dowcipów o Żydach. Konferansjer wiedział, że jeden taki dowcip i wylądjuje w szpitalu. Żadnych skarg. Tylko to niejasne uczucie, że ukrywają przed tobą jakiś sekret. Wychował się na ulicy, brał udział w dzielnicowych wojnach. Cóż w porównaniu z tym znaczyło takie Dallas? Za to, że stawał w obronie swojej rasy, wracał do domu w zakrwawionym ubraniu. Czekał na swoje siostry na przystanku tramwajowym w Dago Town, żeby nikt nie przezywał ich Żydówami, żeby nikt za nimi nie cmokał i nikt ich nie macał. Żadnych skarg. Tylko to wrażenie, że stoi się jakby z boku. Miał za to wpływowych przyjaciół. Lubił udzielać pożyczek młodym policjantom, którym urodziło się dziecko. Do jego klubu wpadali tajniacy. W ilu miastach Żyd może przyjąć na komendę i usłyszeć: Jak się masz, Jack? Życie temu miastu zawdzięczam.

George powiedział, że dziś jest spaghetti.

– Myślałem, że pieczona ryba.

- Gdzie?
- Nie przyniosłem do domu ryby? Zaraz, kiedy to?
- Nie wiem.

Jack połknął preludin i zapił go resztką soku.

- Spytaj mnie, czy jestem zadowolony.
- To znaczy?
- Zadowolony z tego, co powiedział.
- Pożyczka, pożyczka i po pożyczce.
- Pozamykają mi na kłódkę wszystkie kluby.
- Za dużo tego łykasz, Jack.
- To lekarstwo na otyłość.
- Nikt nie jest tak gruby.
- Muszę mieć jakiegoś kopa.

Wziął poranną gazetę i poszedł do ubikacji. Czytał tylko w ubikacji. To była najmiłsza część dnia. Czytał o nocnym życiu w mieście, czytał ogłoszenia nocnych klubów, miejscowe sensacyjki, dział rozrywkowy. W Dallas dużo się działo. Sprawdzał, co knuje konkurencja. Robiąc kupę, uspokajał się wewnętrznie. Było w tym coś kojącego i relaksującego.

Potem poszedł do kuchni pogadać z George'em.

Nie chciał znowu sypiać w klubie, nie chciał wracać do takiego stanu. Jeszcze nie tak dawno temu nie miał gdzie mieszkać. Nie miał ani pieniędzy, ani pola manewru i ciągle się przeprowadzał. Sypiał w klubie. Mieszkał tam, jadł, spał na połówce w pokoju na zapleczu razem z psami. Wszystko pod jednym dachem, całe życie. Smród piwa, smród papierosów, smród psów. Nie licząc ośmiu tygodni w ciemnym pokoju w hotelu Cotton Bowl, był to najgorszy okres jego życia. Nie chciał znowu upaść tak nisko. Nie mieć gdzie mieszkać. Żyć poza wszelkimi normami.

George mówił, że aby sprawdzić, czy makaron jest już gotowy, trzeba rzucić nim w ścianę. Jeśli się przyklei, znaczy, że jest w sam raz.

Jack szybko zjadł i pojechał do klubu swoim podskakującym oldsmobilem.

Zapadł już zmierzch, ale Guy Banister wciąż siedział w biurze, pochylając w zamyśleniu swoją starą, lwią głowę. Jakiś włóczęga sikał na ulicy, wierząc dziurę w ścianie domu. Palila się lampa na biurku. Guy sięgnął po chińskie akta. Sięgał po nie w najspokojniejszej porze dnia, gdyż były to akta koszmaru koszmarów, a takie akta studiuje się powoli.

Na kalifornijskim półwyspie lądowały chińskie wojska, dziesiątki tysięcy żołnierzy. Mobilizowały się tam, koncentrowały, rosły. Żołnierzy z małymi czerwonymi gwiazdami na czapkach.

Tak naprawdę w aktach nie było nic nowego. Te same stare plotki i pogłoski. Zwartą, milczącą masą leżą na piasku w tych swoich watowanych kurtkach i czekają na rozkaz. Nie trzeba było nic rozwijać ani niczego aktualizować. W koncentracji chińskich wojsk było coś klasycznego.

Guy pragnął wierzyć, że to prawda. Ale nie wierzył. Nie wierzył, wiedząc, że to nieprawda. Prawda, nieprawda – Ferrie powiedział, że to nieważne. Najważniejszy był zachwyty nad strachem przed wiarą. Ten zachwyty wszystko potwierdzał. Wszystko usprawiedliwiał. Każdą przemoc i kłamstwo, każdy skok w bok. Dzięki niemu Ferrie mógł zapaść się w siebie, wykształcić pełen szacunku podziw i lęk. Tak mówił. Tym wyjaśniał swoje sny. To Chińczycy je wywoływali. Każdy koszmar, każde dziwactwo, każde niewypowiedziane okropieństwo ma barwę chińskiej porcelany.

Ludzie spływający na ziemię w białym jedwabiu. Żywa masa, żołnierze zbierający jedwabne czasze, niewidoczne na białym piasku. To nie to samo co rakiety czy satelity, cała ta rozbuchana technika. W chińskich aktach tkwiło ludzkie mrowie w watowanych kurtkach, mrowie koncentrujące się na granicy. Leniwa rozkosz strachu.

Otworzyły się drzwi, wszedł Ferrie i wyrwał go z zamyślenia. Oparł się o ścianę, jedząc frytki z kartonowego pudełka.

– Przyszedłem złożyć sprawozdanie. Ale chyba nie zechcesz tego słuchać.

– Gdzie Oswald?

– Pewnie już w Houston. Kazałem Frankowi i Raymowi go odwieźć. Z Houston ma autobus do Mexico City.

– Mackey mówi, że może to załatwić, że Kubańczycy nie dadzą mu wizy. Zna tam kogoś z Agencji. Agencja musi mieć wtyczki w kubańskiej ambasadzie. Liczymy na to, że Lee wróci do Teksasu. Samochód parkujący przed jego domem był na teksańskich numerach. Jego żona i dzieci nim wyjechały.

– Karabin na pewno też.

– Czy on skłania się w naszą stronę? – spytał Banister.

– Właśnie tego nie chciałbyś chyba słyszeć.

– Mówi „nie”.

– Tak. Ale jest jeszcze czas.

– Wie, kto jest celem?

– Wie.

– Nie bawi go to.

– Potrzeba na to czasu. On toczy wewnętrzną walkę.

– To był twój pomysł, Dave.

– Dziś rano odbyliśmy pogawędkę. Rozmawiał ze mną. Nie uciekł.

– Ciągle powtarzasz, że zapanujesz nad jego umysłem.

– Już zapanowałem. Już tam jestem. I piorę, kurwa, jak pralka.

– On strzelał do Walkera.

– W tym rzecz. Walker to była polityka. Ale na Kennedy’ego nie daje się namówić. Uważa, że prezydent naprawił już swoje dawne błędy. Jest pod jego urokiem.

Banister miał ochotę coś zgnieść.

– Tacy ludzie jak on zawsze ulegają, ale z czasem – mówił Ferrie. – Ten czas po prostu jeszcze nie nadszedł. Gdzie Mackey?

– W Miami. Załatwił dwa domy. Jeden dla Alphy. Drugi dla swojego zespołu.

– A jeśli Lee zechce w to wejść?

– Wtedy na dzień przed polecisz z nim do Miami.

– A potem?

– Musimy nad tym popracować.

– Gdy będzie już po wszystkim, trzeba go stamtąd ewakuować – powiedział Ferrie. – Nie chcę, żeby zginął czy został sam. Zostawi karabin i ucieknie tak jak pozostali.

– Taka możliwość zawsze istnieje – odparł Banister.

Ferrie wrzucił puste pudełko do kosza na śmieci.

– Ufasz tym z Alphy 66? – spytał.

– Czemu nie. Od Zatoki Świń są jak w gorączce. Dwa i pół roku z termometrem w tyłku. Są gotowi. Nikt w to nie wątpi.

– A Mackeyowi? Ufasz?

– Całkowicie – odparł Banister. – Chce ustawić mur snajperów. Ośmiu ludzi na

podwyższonych stanowiskach strzeleckich po obu stronach ulicy. Ośmiu, może nawet dziesięciu. Aleja snajperów.

– Myślałem, że Mackey woli misterne operacje.

– Woli. Ale ta będzie inna. Alpha wejdzie w to, chcemy tego czy nie. Najlepiej jest połączyć siły. A on dobrze to wykorzysta. Kiedy upublicznią trasę przejazdu kawalkady, sprawdzi teren i poszuka odpowiednich stanowisk. Nasz bohater wjeżdża do miasta. Tra-la, tra-la. Trafia go za pierwszym strzałem.

Zeszli na dół i przystanęli przed wejściem.

– Trzeba zrobić jeszcze jedno. Od dzisiaj do zakończenia operacji Oswald musi pozostawiać po sobie ślady. Trzeba stworzyć serię incydentów. Chcemy, żeby był tym, kogo ludzie zapamiętają. Kimś zamieszonym w podejrzone sprawy.

– A jeśli nie zechce współpracować?

– To stworzymy innego Oswalda. Drugiego, trzeciego, czwartego. Plan musi wejść w życie bez względu na to, co ten człowiek zrobi po powrocie z Mexico City. Mackey chce, żeby pozostawił ślady w całym Teksasie. Żeby Alpha dostarczyła ludzi. Rozmawiałem z Lattą o pieniądzech.

– To ja rozmawiam z nim o pieniądzech.

– Nie tym razem.

– Ale to ja miałem się z nim kontaktować.

– Zamknij się i posłuchaj.

– Carmine i ja dobrze się rozumiemy.

– W jakiejś ruderze w Dallas czeka człowiek z Alphy. Carmine wysłał tam dzisiaj swego ochroniarza. Z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi.

W Mexico City

Pocztówka 6. Mexico City. Miasto stare i nowe. Rozległe, mimo to przytulne. Miasto kontrastów. Lee stoi w pokoju w Hotel del Comercio i liczy peso. Ma plan miasta z wyraźnie zaznaczonymi miejscami, które ma tego dnia odwiedzić. Ma swoje dokumenty i wycinki. Ma słowniczek hiszpańsko-angielski za trzydzieści pięć centów, z kangurem na okładce. (Nowy, zwięzły – *Nuevo, conciso*). Lubi zagraniczne podróże, tak samo jak prezydent.

Idzie piechotą ponad trzy kilometry do kubańskiej ambasady. Mówi urzędniczce, że jedzie do Rosji i chce zatrzymać się na chwilę na Kubie. Ponieważ Kuba patrzy na Amerykanów podejrzliwie, łatwiej jest dostać wizę tranzytową. A każdemu, kto jedzie do Rosji, powinni uwierzyć na słowo.

Urzędniczka ogląda jego stare pozwolenie na pracę w Związku Radzieckim, legitymację przewodniczącego Komitetu Rzetelnego Postępowania z Kubą, wycinki o jego aresztowaniu oraz kilka innych dokumentów.

Nie mówi *sí*. Nie mówi *no*.

Wysłała go do fotografa, żeby zrobił zdjęcie do podania. Oswald wstępuje do ambasady radzieckiej parę ulic dalej. Jej bliskość podnosi go na duchu. Ambasada mieści się w wielkiej szarej willi z kolumnadą i eleganckimi oknami mansardowymi. Stoją tam uzbrojeni strażnicy, jest wysoki, żelazny płot ze szpikulcami na górze. Lew uświadamia sobie, że ukryta kamera robi mu pewnie zdjęcia.

Urzędnik przegląda dokumenty. Byłoby lepiej, mówi, gdyby Lew przyszedł do nich z kubańską wizą w ręku.

Dobrze. Oswald robi zdjęcie i wraca do ambasady kubańskiej. Urzędniczka mówi mu, że zanim dostanie kubańską wizę tranzytową, musi najpierw załatwić radziecką wizę pobytową.

W porządku. Oswald wraca do willi. Urzędnik mówi, że załatwienie wizy pobytowej potrwa cztery miesiące, zakładając, że Lee w ogóle ją dostanie. Oswald na to, że w Finlandii dostał wizę po dwóch dniach. „Ale tu jest Mexico City”, odpowiada tamten, a Lee tylko czeka, kiedy doda: „Siedlisko intryg”.

Je zupę dnia, ryż z mięsem. Zupa kosztuje czterdzieści dwa centy. Lee zagląda do menu, zagląda do słownika, zjada trochę ryżu i znowu zagląda do menu.

Nazajutrz idzie do kubańskiej ambasady i domaga się widzenia z konsulem. Stoi tam i krzyczy na niego. Dochodzi do ostrej wymiany zdań. Lew zna swoje prawa. Jest przyjacielem rewolucji.

Potem idzie do Rosjan i każe urzędnikowi porozumieć się z ambasadą w Waszyngtonie. Mają tam jego listy. Jego żona jest Rosjanką. Pobrali się w dniu, kiedy Castro dostał Pokojową Nagrodę Leninowską.

Przychodzi mu na myśl, że urzędnik jest najpewniej funkcjonariuszem KGB. Więc wymienia nazwisko Kirylenki. To dobry pomysł czy zły? Ale przynajmniej jest to jakieś nazwisko, jakieś powiązanie. Przychodzi mu też do głowy, że fotografują go nie tylko kamery radzieckie, ale i kamery CIA ukryte w budynku po drugiej stronie ulicy, w zaparkowanym samochodzie albo zamontowane – z tego, co wie – w jakimś krążącym wysoko satelicie.

Ma pokój numer osiemnaście. Jest już prawie październik, a on urodził się osiemnastego października. David Ferrie przyszedł na świat osiemnastego marca. Rozmawiali o tym. Osiemnastego marca tysiąc dziewięćset osiemnastego roku.

W niedzielę po południu idzie do kina, wieczorem idzie jeszcze raz.

W poniedziałek jest znowu w kubańskiej ambasadzie, gdzie rozmawia przez telefon z Rosjanami, a potem idzie do ich ambasady. Uświadamia sobie, że CIA prawdopodobnie podsłuchuje radzieckie rozmowy telefoniczne.

Kuba i Rosja. Rosji całkowicie nie wyklucza. Jeśli Marina dostanie wizę, mógłby tam wrócić. Na trochę albo na zawsze. Mogliby znowu być rodziną.

Pyta radzieckiego urzędnika, czy przysłała odpowiedź z Waszyngtonu. Mówi, że dysponuje informacjami, które mógłby im udostępnić w zamian za pokrycie kosztów podróży do ZSRR. Ponownie wymienia nazwisko Kirylenki.

Po południu przegląda „Esta Semana” gazetę z hotelowego holu. Miejsca i wydarzenia po angielsku i hiszpańsku. Wszystko tu dzieje się podwójnie, więc nieustannie strzela oczami na tekst to w jednym języku, to w drugim.

Nazajutrz w obydwu ambasadach mówią mu, że nie ma nowych wiadomości. Ponownie pokazuje im dokumenty, swoje listy. Dokumenty to istotna podstawa jego życzeń i żądań. Ten, kto je ma, jest kimś ważnym.

Ale wpada w biurokratyczną pułapkę, w dwóch, w trzech językach, i nic nie odnosi skutku. Odmawiają mu, spławiają. Trudno uwierzyć, że przedstawiciele nowej Kuby traktują go w ten sposób. Oswald jest głęboko rozczarowany. Stwierdza, że żyje w samym środku pustki. Pragnie wyczuć strukturę systemu, którego jest częścią, szuka definicji jednoznacznej na tyle, by sprecyzować przynależne mu miejsce. Ale system przepływa przez niego, przepływa przez wszystko, nawet przez rewolucję. Oswald jest w tym systemie zerem.

Po raz trzeci czy czwarty je kolację w małej restauracji obok hotelu. Przychodzi mu do głowy, że między amerykańskimi agencjami wywiadowczymi musi panować teraz duży ruch, że trwa wymiana informacji z podsłuchu i zdjęć z ukrytych kamer.

Do tej chwili był jedynym Amerykaninem w hotelu i w restauracji. Lecz nagle zdaje sobie sprawę, że ktoś na niego patrzy, mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku, i jest niemal pewien, że to nie Meksykanin. Dochodzi do wniosku, że gdy wchodził do lokalu, mężczyzna ten mignął mu przed oczyma. Ale nie chce spojrzeć w tamtą stronę i sprawdzić, kto to jest. Wyczuwa w nim coś, czego woli nie wiedzieć. Z radia na półce płynie jakaś muzyka, może fandango. Oswald poprawia się na krześle i odwraca tyłem do rogu sali, w którym siedzi mężczyzna. Bo rzeczą najciekawszą, najdziwniejszą i najbardziej osobliwą, jest to, że mężczyzną tym jest chyba T.J. Mackey. Lee powoli pije wodę. Czuje, jak sztywnieje mu kark. Wie, że tamten nie jest Latynosem, wie, bo na niego zerknął. Wie, że ma szerokie bary i krótko ostrzyżone włosy. Żeby coś zrobić, żeby czymś się zająć, wyjmuje z kieszeni słownik i zaczyna go kartkować. To było tylko zerknięcie, niewyraźna plama. Pije wodę niespiesznie, niemal dystyngowanie, świadom samego siebie, jak ktoś poprawny i poważny, jak ktoś, kto wie, że jest obserwowany.

Idąc przez plac, słyszy, że ktoś mówi: „Lew”, ale ponieważ wymawia to imię bardziej z hiszpańska niż angielska, Lee uznaje, że chodzi o kogoś innego.

Nazajutrz o wpół do dziewiątej rano wsiada do autobusu i zajmuje miejsce numer dwanaście, zarezerwowane dla H.O. Lee. Dopiero siedemnaście godzin później, tuż przed International Bridge, zdaje sobie sprawę, że zapomniał odwiedzić dom Trockiego, obwarowaną willę w Mexico City, gdzie Trocki spędził ostatnie lata na wygnaniu. Poczucie żalu zapiera mu dech w piersi, fizycznie osłabia, lecz Lee szybko się otrząsa, mówiąc sobie: no i co z tego?

W papierowej torbie wiezie dwa banany, które wyjmuje i szybko zjada, zanim autobus wjeżdża na stanowisko odprawy celnej. Myśli, że nie wolno przewozić przez granicę owoców, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnie, jest kolejna utarczka z władzami.

4 października

Mary Frances odkurzała podłogę w salonie. Czuła się jak rozdęta, czuła, jak buzują w niej hormony. Wysiłkiem było już samo istnienie, stawianie jednej ciężkiej nogi przed drugą. Był piątek, po szkole, więc musiała odkurzać wokół Suzanne, która klęczała na podłodze, oglądając w telewizji kreskówkę z królikami. Przeciągnęła odkurzaczem po garbie między salonem i jadalnią. Odkurzyła wokół stołu i pod dębowym kredensem. Była taka ociężała, tyle musiała pokonać opornych sił.

Za drzwiami przeszedł Win z nożem w rękę.

Wróciła z odkurzaczem do salonu. Był to pięcioletni hoover ze zbiornikiem w kształcie kosmicznego satelity. To zabawne, pomyślała, odkurzała tam i z powrotem tuż przed nią, a ona nic, ani słowa protestu. Widziała przez nią. Mimo szumu odkurzacza słyszała głosy kreskówkowych królików.

Po kolacji Win zszedł do piwnicy, bo usłyszał tam jakiś hałas. Obserwował sam siebie, widział, jak schodzi drewnianymi schodami z lekko przekrzywioną głową i wyprostowanymi palcami prawej ręki. Mary Frances mówiła, że domy wydają różne odgłosy. Poczł zapach terpentyny i zrozumiał, jak można się od niego uzależnić, całkowicie mu ulec, ulec temu lotnemu, lepkiemu, żywicznemu zapachowi, skupić całe życie wokół oparów terpentyny. Mary Frances mówiła, że domy podnoszą się i opadają.

Dzięki. Ale tu chodzi o coś więcej.

Wrócił do salonu i usiadł z nią, słuchając radia. Lubiła kaznodziejów z ewangelicznego ruchu odnowy religijnej, ludzi dziwacznie elokwentnych.

– Źle się czujesz? – spytał.

– Nic mi nie jest.

– Nie chcę, żebyś źle się czuła.

– Nic mi nie jest.

– Byłbym zdruzgotany, gdyby coś ci było. Nie wolno ci, rozumiesz? Nie zniósłbym tego.

Miała na kolanach katalog Searsa. Gdy stacjonował w tych wszystkich zapadłych dziurach, robiła zakupy z katalogów. IZOLACJA TROPIK. Zastanawiał się, co się, do diabła, stało z Mackeyem.

– Nie bądź taki poważny – powiedziała.

– Nie lubisz, jak o ciebie dbają?

– Nie w ten sposób.

– Gospodyni domowa, która nigdy nie ma dla siebie czasu. Nie zasługuje na odrobinę uwagi?

– Ale nie takiej. Masz przerażoną minę. Ciarki mnie przechodzą.

Roześmiał się. Usłyszeli, jak Suzanne przechodzi przez kuchnię, podśpiewując popularną wśród dzieci rymowankę. Parmenter nie mógł go namierzyć, Mackey ciągle mu się wymykał. Co to znaczyło? Larry mówił, że T.J. prawdopodobnie zrezygnował. Że nie chce tego zrobić. Że chce zmienić profil. To już koniec. Próbowaliśmy.

Fasolka, fasolka, muzyczny strączek,
Im więcej jesz, tym głośniejszy bączek.

Sam Parmenter był w Buenos Aires, gdzie szykował się do objęcia nowego stanowiska. To

przyszłość Agencji, mówił. Trzymanie ręki na pulsie światowych walut. Przerzucanie i ukrywanie pieniędzy. Gromadzenie zapasów. Rozkręcanie wielkich operacji za pomocą skomplikowanych sieci finansowych.

Lansjer przyjeżdża do Teksasu.

– Zwróciłeś uwagę, że ona śpiewa niby tak od niechcenia? – spytała Mary Frances.

– Przecież to zwykła dziecięca przyśpiewka. Jak to od niechcenia?

– Nie, to jest takie wyćwiczone od niechcenia. Żebyśmy nie wiedzieli, że mamy to usłyszeć.

– Od niechcenia to od niechcenia.

– Gdzie jest nóż do mięsa, którym wczoraj skrobałeś farbę? Ciągłe gubimy noże.

Przecucie. Wiadomość o podróży prezydenta zamieściła „Record-Chronicle” przed tygodniem. Krótki objazd Teksasu po wizycie na Florydzie. Z przystankami w Houston, San Antonio, Forth Worth i w Dallas. Wiadomość ze środka gazety. Trzy czy cztery linijki tekstu, które zauważyłby tylko ktoś bardzo zainteresowany planami prezydenta. To trochę niesamowite, że Kennedy wybierał się w te strony. Cel spisku zmierzał ku spiskowcom. Zakładając, że ujdzie z życiem z Miami. Bo Parmenter mógł się mylić. Mogli czegoś nie odwołać, coś mogło być wciąż aktualne, jakiś ruch, jakaś kierująca tym wszystkim logika.

– Nie mogę znaleźć skrobaczki – odparł.

– Zostaw noże w spokoju.

– Ze skrobaczką tak zawsze. Wiesz, że tu jest. Patrzysz na nią. Ale nie potrafisz wyłowić jej z tła. Spójrzmy prawdzie w oczy, tło jest duże i dezorientujące.

Pragnął uciec od poczucia winy i strachu. Był za słaby, nie przeżyłby tragicznych skutków, jakie mogłaby wywołać ta operacja, gdyby zaczęła żyć własnym życiem. Podświadomie chciał, żeby go namierzono. Gdyby zmuszono go do wyjawienia prawdy, gdyby podłączono go do wariografu, byłoby to swoiste wybawienie. Wierzył w prawdę. Bał się badania na wykrywaczu kłamstw i jednocześnie go pragnął. Ci z Biura Bezpieczeństwa mieli modele mieszczące się do walizki. Mogliby podłączyć go tutaj, w domu. Przyjechaliby z dwiema walizkami. Wyjęliby i złożyli aparat, wymieszali pytania kontrolne z tymi istotnymi. Resztę zrobiłoby jego ciało, ciało zdradziłoby swoje niestrzeżone informacje. Wariograf przenika człowieka i jego tajemnice. Jest w nim coś intymnego. Mierzy stopień przewodzenia ludzkiej skóry, słyszy, jak się człowiek poci. Daje mu szansę przyznania się do winy. Kłamstwo przyspiesza oddech. Przyspiesza tętno. To takie stare, takie staroświeckie i niemodne, ale na własne oczy widział, jak dobrze to działa. Jednego testu nie przeszedł. Na drugim się załamał. Wariograf. Ładne słowo, takie techniczne, specjalistyczne, jednocześnie tradycyjne, i łatwo daje się rozszyfrować, bo pochodzi z greki.

– Gdzie ona jest? Gdzie jest moja mała dziewczynka?! – zawołał.

– U siebie w pokoju – odrzekła Mary Frances.

– Chcemy, żeby zeszła! – zawołał. – Chcemy, żeby nas rozbawiła.

– Kiedy znika na górze, temat jest zamknięty. Dzień się definitywnie skończył.

– Ja nie miałem własnego pokoju.

– Ja, dzięki Bogu, miałam.

– Rzadko która z największych postaci historycznych miała własny pokój.

– Ja mój uwielbiałam.

– Chcesz powiedzieć, że już żaden inny pokój nie był tak cichy i przytulny? Zejdź na dół! – zawołał. – Bo będziemy baaardzo nieszczęśliwi.

Usłyszał jakiś hałas i wyszedł sprawdzić na ganek. Radio, cichutki głos. Stary, znajomy głos z innej epoki budzi wszystkie wspomnienia. Ten dom pielęgnował wspomnienia. Łukowaty ganek. Owinięte milinem dębowe podpory.

Znał wszystkie techniki, dzięki którym można było tę maszynę pokonać, lecz wiedział

również, że, zupełnie bezradny, ich nie zastosuje. Wierzył w skuteczność wariografu. Chciał z nim współpracować, pragnął im pokazać, że urządzenie naprawdę działa. Ulegamy maszynom. Chcemy sprawić im przyjemność. Po tym, co zrobił, po tym, co uwolnił, maszyna była jego jedynym wybawieniem. Ucieczką od śmierci. Bo z czasem na ich twarzach zagościł wyraz żalu. Z czasem przekonają się, że chciał dla kraju jak najlepiej. Kochał swój kraj. Kochał Kubę, znał tamtejszy język i literaturę. Nie ograniczyłby się do „tak” i „nie” Zapoznałby ich ze śmiertelną logiką całego spisku. T-Jay gdzieś tam jest; żuje gumę i mruży oczy w słońcu. Ze zrozumieniem kiwałoby głowami. W ich oczach dostrzegłby przebaczenie. Bo ostatecznie nie są bezlitośni. Mówcie o Agencji, co chcecie. Agencja wybacza.

Teksas. Bóg żyje tu i ma się dobrze.

Wszedł do środka i zgasił radio. Nie zdążył załatwić połowy rzeczy, a już trzeba było iść spać. Sprawdził frontowe drzwi i zgasił światło na ganku. Po raz stutysięczny przeszedł korytarzem, sprawdził tylne drzwi, sprawdził, czy duchówka jest wyłączona. Duchówka była ostatnią rzeczą na dole, nie licząc światła w kuchni. Zgasił światło i wszedł na schody.

U szczytu potknął się, po prostu źle stanął, nic takiego, rzecz bez głębszego podtekstu, mimo to Mary Frances wypadła jak duch z sypialni, chwyciła go za łokieć i zaprowadziła do środka.

Usiadł na brzegu łóżka i zaczął zdejmować buty. Obserwowała go, sondowała jego twarz.

– Tylko się poślizgnąłem – powiedział.

– Brzmiało to jak...

– Stary głupiec źle stanął.

– Jutro masz seminarium. W Gmachu Nauki i Sztuki. O dziesiątej.

– Nie chcę, żebyś źle się czuła. Musisz być całkowicie zdrowa. Nie możemy dopuścić do sytuacji, kiedy nie byłabyś w pełni sobą. Gdyby coś ci dolegało, nie potrafiłbym dalej żyć. Liczę na ciebie we wszystkim co najważniejsze.

Agencja wybacza. Na najwyższych szczeblach kierowniczych wszystkich czterech dyrektoriatów nie było ani jednego człowieka, który nie rozumiałby niebezpieczeństw związanych z tajną pracą. To, że chciałby współpracować, sprawiłoby im przyjemność. Co więcej, podziwiałoby złożoność jego planu, nie szkodzi, że niekompletnego. Biło zeń poczucie odpowiedzialności, siła moralna. I był to jeden z obrazów w galerii ich własnych grzesznych życzeń. Nigdy nie przynależał do Agencji tak bardzo jak w tych pierwszych zapierających dech w piersi dniach układania spisku.

Stał obok łóżka, już w piżamie. Zapomniał świadomie zarejestrować, że duchówka jest wyłączona. Będzie musiał zejść na dół i znów sprawdzić. Mary Frances leżała w ciemności, oddychając przez sen głęboko i spokojnie. Musi sprawdzić, czy duchówka jest wyłączona, i ten fakt odnotować. Oznacza to, że i tej nocy nic im nie grozi.

Mackey stał obok lodówki i pił wodę z dzbanka. Był w dresie i czapce baseballowej. Biegał nocą, żeby zbić wagę.

Zdjął czapkę i dmuchnął do niej. Potem usiadł przy stole i obrał pomarańczę. Dom stał na końcu rozbebeszonej ulicy, kilkaset metrów od centrum Małej Hawany.

Wszedł Raymo.

– Kiedy wróciłeś?

– Po południu.

– Słyszałeś? Ktoś z Chicago planuje to samo.

– Banister dzwonił. Widział depezę z FBI. Zamach.

– Czteroosobowy zespół. Co najmniej jeden Kubańczyk. JFK ma być w Chicago... kiedy?... gdzieś koło drugiego listopada.

- Musimy poczekać na naszą kolej.
- Jeśli dojdzie do przecieku tam, może dojść i tutaj.
- Liczę na to – odparł T-Jay. – Co więcej, podjąłem kroki, żeby doszło. Tylko tym sposobem nam się uda. Wejdziemy szybko i ostro. I nikomu ani słowa. Nawet Frankowi i Waynetowi.
- A więc Miami odpada.
- Odpada.
- I nie ściągamy tu Oswalda.
- Nie.
- Gdzie on jest?
- Wsiadł do autobusu Transportes del Norte i pojechał do Laredo. Daję głowę, że w Laredo wsiadł do Greyhounda i pojechał do Dallas. Najważniejsze, że Kubańczycy mu odmówili. Nasz Lew nie dostał wizy. Wszystko zaczyna się układać. Po cichu i pod wpływem chwili, tak to ma wyglądać. Zwyczajne teksańskie zabójstwo.
- JFK.
- W przyszłym miesiącu jedzie do Dallas. Facet dużo podróżuje. A gdziekolwiek jest, wszędzie ktoś chce go dorwać. Pożądanie i gniew. Nie wiem, co to jest. Może po prostu jest za ładny, żeby żyć.
- Oderwał dwa kawałki pomarańczy i podał je Raymo.
- Lepiej niech ktoś pilnuje Oswalda.
- Myślę, że Lee będzie się przed nami ukrywał – odparł T-Jay. – Wie, co zamierzamy, i nie do końca to pochwała. Tymczasem mamy własnego Oswalda, modelowego. Alpha rozesłała ludzi po całym stanie. Ale w końcu będziemy musieli namierzyć oryginał.
- Kiedy wieźliśmy go do Houston, nie powiedział do mnie dziesięciu słów. Gadał tylko z Frankiem.
- Co mówił?
- Dużo. Chciał, żeby Frank uczył go hiszpańskiego.

Suzanne siedziała po ciemku na łóżku. Wiedziała, że już śpią. Gdy z uchem przytkniętym do ściany usłyszała, że zgasło radio, musiała tylko policzyć do stu. Obydwoje głęboko spali. Jeśli miała to w ogóle zrobić, to tylko teraz. Potrzebowała bezpieczniejszej kryjówki. W szafie było tyle szpargałów, że lada dzień mogli zrobić tam porządek, a ludziki trzymała w kieszeni torby na buty, która wisiała tuż za drzwiami. Gdyby je znaleźli, to byłby koniec. Nie miałyby jej kto bronić.

Na szczęście znalazła dla nich dobre miejsce.

Wstała i uchyliła żaluzje, żeby wpuścić do pokoju trochę światła z ulicznej latarni. Potem, w długiej do podłogi koszuli nocnej, po cichutku podeszła do szafy. Wyjęła ludziki z torby na buty i ustawiła je na wąskim występie za starą komodą babci. Występ miał jakieś dwa i pół centymetra szerokości i znajdował się na wysokości dolnej szuflady. Tylko ona mogła włożyć rączkę między ścianę i tylną ściankę komody. Miejsce było doskonałe, bo ludziki miały postawę siedzącą, dzięki czemu zachowywały równowagę. Były zrobione z gliny, ludziki kobiety i ludziki mężczyźni, czarnowłosi Indianie Pueblo w pomalowanych na czarno ubraniach, z czarnymi kropeczkami zamiast oczu i ust – dostała je od Missy na urodziny.

Wróciła do łóżka i się przykryła.

Ludziki nie były zabawkami. Nigdy się nimi nie bawiła. Ludziki były tylko po to, żeby trzymać je w ukryciu do chwili, kiedy mogła ich potrzebować. Musiała przechowywać je w zasięgu ręki, w bezpiecznym miejscu, na wypadek gdyby ludzie, którzy podawali się za jej matkę i ojca, okazali się kimś innym.

W Dallas

Przy stole w kuchni pani Roberts siedziały cztery kobiety, pijąc kawę i zabijając czas. Na ladzie stał kosz z poskładanym praniem. Ruth Paine ponownie podniosła rękę, prosząc o ciszę. Kobiety umilkły. Wtedy Ruth przemówiła cicho do Mariny Oswald, która słuchała jej niezdarnej ruszczyzny z uśmiechem i z zakrzywionym palcem w uszku filiżanki. Trajkotały o dzieciach, mężach i lekarzach, jak to kobiety, mimo to dla Ruth spotkanie było ciekawe. Miała okazję porozmawiać po rosyjsku. Tłumaczyła pani Randle, która siedziała obok niej, od czasu do czasu kiwając głową. A Dorothy Roberts uważnie przyglądała się twarzy Mariny, żeby upewnić się, czy gość wszystko rozumie. Nie chciały, żeby czuła się poza nawiasem.

W sąsiednim pokoju hałasowały dzieci. Ruth powiedziała sąsiadkom, że mąż Mariny nie może znaleźć pracy. Że dopóki jej nie znajdzie i nie wynajmie mieszkania dla rodziny, musi mieszkać w pensjonacie w Oak Cliff. No, a Marina miała lada dzień rodzić.

Dorothy Roberts powiedziała, że może spróbować w Manor Bakeries. Mieli tam roznosiciele, dostarczali pieczywo do domów. Albo w Texas Gypsum; ktoś mówił, że szukają robotników.

Ruth zauważyła, że mąż Mariny nie umie prowadzić, co ogranicza możliwości.

Pani Randle, Linnie Mae, doszła do wniosku, że może jednak zje kawałek ciasta kawowego. Tak apetycznie wyglądało.

– Czy mamy taki ciepły październik, czy to tylko mnie jest gorąco? – spytała Dorothy.

Po drugiej stronie ulicy trzasnęły drzwi furgonetki.

Wtedy Linnie Mae wspomniała o swoim bracie. Że nie dalej niż poprzedniego dnia mówił, że w Składnicy Książek Szkolnych, w śródmieściu Dallas, gdzie był zatrudniony, potrzebują kogoś do pracy.

Ruth przetłumaczyła to na rosyjski.

Do kuchni weszła jedna z dziewczynek z sąsiedniego pokoju; pośliniła palec i zaczęła zbierać okruszki ze stołu.

Dorothy otworzyła drzwi do wiaty.

– Na Elm Street – powiedziała Linnie Mae. – Koło Stemmons Freeway.

Pięć minut później Ruth i jej dzieci, Sylvia i Chris, oraz Marina i June ruszyły przez trawnik w stronę domu Paine'ów, skromnego ranczerskiego budynku z garażem. Ruth odwróciła się w drzwiach i spojrzała na Marinę, która szła powoli, szeroka i gruba, niosąc przez ciemność jeszcze jedną duszyczkę, niosąc ją ku światu, a raczej ku przedmieściom Dallas. Oswaldów przybywało. Nie żeby Ruth miała coś przeciwko temu. Nie miała nawet nic przeciwko temu, że raz w tygodniu odwiedzał ich Lee. Była rozwiedziona, a dobrze jest mieć kogoś, kto potrafił zakrzętnąć się wokół domu i naprawić co trzeba.

Gdy weszły, Marina spytała ją, czy zadzwoni. Ruth znalazła w książce telefonicznej numer Teksaskiej Składnicy Książek Szkolnych. Zadzwoniła i opowiedziała Royowi Trully'emu o młodym weteranie sił zbrojnych, którego żona spodziewa się dziecka, który ma już jedną córeczkę, który bardzo chce pracować i szuka pracy, i czy jest jakaś szansa, że dostanie ją w składnicy?

Marina stała tuż obok, czekając, aż Ruth wszystko jej przetłumaczy.

Był to sześciopiętrowy budynek z cegły, z tablicą reklamową Herza na dachu. Lee odbierał zamówienia. Brał je z suwni na parterze i przypinał do podkładki z klipsem. Potem jechał na

górze, zwykle na piąte piętro, żeby odszukać zamówione książki. Ci od zamówień byli w większości Murzynami. Po południu urządzali sobie wyścigi windami. Trzask drzwi, dudniące w szybkie głosy, śmiech i wyzwiska. Lee zwoził książki do dziewczyn z pierwszego i układał na ławie, gdzie je sprawdzano i pakowano.

Tyle książek. Sterty tekturowych pudeł, po dziesięć pudeł w stercie. Pudeł ze stemplem „Książki”. Pudeł ze stemplem „Ten Rolling Readers”. Sterty pudeł przesłaniające wysokie okna. Pudeła są tak wielkie, że trzeba się z nimi mocować. Gdy jakieś otwierasz, bucha z niego zapach papieru, zapach kartek i okładek. I zalewają cię szkolne wspomnienia.

Lubił chodzić z podkładką w rękę. Czuł wtedy, że jest to w miarę przyzwoity sposób zarobkowania. Nie musiał przynajmniej słuchać tych obłąkanych maszyn. Nie musiał tyłać sobie rąk brudem czy smarami. Bo tu był tylko kurz, który podnosił się, gdy tamci biegli do wind, żeby rozpocząć wyścig, trzech czy czterech mężczyzn pędzących z tupotem po starej drewnianej podłodze – słoneczny kurz między książkami.

Siedział w jadalni Paine'ów, zastanawiając się, dokąd się tak ukradkiem wymknęły. Nagłe weszły do pokoju z tortem, śpiewając *Happy Birthday*. Zaskoczyły go. Przeżył wstrząs. Śmiał się i płakał. Dwadzieścia cztery lata.

Tego piątku został na noc, a w sobotę wieczorem siedział przed telewizorem z Mariną, która spała zwinęta w kłębek, z głową na jego kolanach.

Puszczali dwa filmy. Pierwszym było *Miasteczko Suddenly*. Frank Sinatra grał w nim żołnierza weterana, który przyjeżdża do jakiejś dziury, do domu z widokiem na stację kolejową. Przyjeżdża, żeby zabić prezydenta. Lee poczuł, że wszystko zastyga w stężonym bezruchu. Miał dziwne wrażenie, że ktoś obserwuje jego reakcje. Prezydent ma przybyć pociągiem nieco później. Będzie łowił ryby w górskiej rzece. Sądząc po fryzurach i samochodach, film nakręcono w latach pięćdziesiątych, co oznaczało, że prezydentem był Eisenhower, chociaż nikt nie wymienił jego nazwiska. Lee czuł się tak, jakby uczestniczył w rozgrywających się na ekranie wydarzeniach. Jakby poprzez sieć sygnałów i częstotliwości, poprzez wypełniony transmisjami eter ktoś przekazywał mu wskazówki. Marina spała. Przekazywano mu wiadomość, która biegła przez noc, żeby wnikać w niego przez skórę. Sinatra ustawia w oknie karabin snajperski i czeka na pociąg. Lee wiedział, że mu się nie uda. W końcu to tylko film. Musieli to jakoś załatwić, więc nie udało mu się i zginął.

Potem obejrzał *We Were Strangers*. John Garfield jest amerykańskim rewolucjonistą na Kubie w latach trzydziestych. Knuje spisek na życie dyktatora, chce wysadzić w powietrze wszystkich ministrów. Lee wiedział, że był to okres żelaznych rządów Machada, znanego jako „prezydent tysiąca morderstw”. Ulice były ciemne. Dom też, nie licząc migotliwego blasku bijącego z ekranu telewizora. Ten stary, zniszczony film był odzwierciedleniem jego snów. Doskonałość furii, doskonałość opanowania, fantazja nocy. Garfield i jego ludzie kopią tunel pod cementarzem. Lee był w samym środku swego własnego filmu. Puszczali to specjalnie dla niego. Nie musiał nic wymyślać. Obrazy wymyślały się same w tym rozedrganym świetle, na tle włosa w rogu ekranu. John Garfield ginie jako bohater. Musi zginąć. Rewolucja karmi się śmiercią.

Siedział przed telewizorem długo po tym, jak skończył się film i zaczęli puszczać głośne reklamy z rozgadanyimi mężczyznami, którzy demonstrowali miksery i cudowne szampony do włosów. Marina wciąż spała, oddychając cicho i spokojnie.

Nie tylko te filmy sprawiły, że w powietrzu zawisło coś dziwnego. Pora roku też. W październiku miał urodziny. W październiku wstąpił do piechoty morskiej. Postrzelił się w rękę też w październiku. Październik i listopad były miesiącami decyzji i znaczących wydarzeń. W październiku przyjechał do Rosji. W październiku próbował popełnić samobójstwo. W

październiku, przed rokiem, ostatni raz widział się z matką. W październiku był kryzys raketowy. Marina zostawiła go i wróciła do niego w październiku. W październiku postanowili z Dupardem zastrzelić generała Walkera. W październiku ostatni raz widział swojego brata Roberta.

Bracia imieniem Robert.

Pomógł Marinie położyć się do łóżka, usiadł obok i zaczął mrużyć do niej jak do małego dziecka, żeby znowu zasnęła. Czuł siłę jej bezruchu, kobiecą żarliwość i ufność, jej i dziecka w jej łonie. Natychmiast zaczęli odkładać na pralkę i samochód. Będą mieli mieszkanie z balkonem, tym razem z własnymi meblami, eleganckimi, błyszczącymi i nowoczesnymi. To klasyczny sposób obrony przed samotnością.

Właścicielka pozwoliła mu trzymać mleko i słoik dżemu w kącie lodówki. Przez pół godziny tygodniowo siedział wraz z innymi, oglądając telewizję. Nigdy się do nich nie odzywał, nigdy nie podnosił wzroku, żeby wyraźnie ich zobaczyć. Byli szarymi sylwetkami w starych fotelach, byli nikim. Zameldował się tam jako O.H. Lee.

Pensjonat mieścił się w Oak Cliff, dzielnicy, którą dobrze znał. Po drugiej stronie ulicy była stacja benzynowa Gulfa, gdzie spotkał się z Dupardem. A pół ulicy dalej pralnia ekspresowa; nazywała się teraz Reno's. Był w pralni, ale Bobby już tam nie pracował. Za dnia w pensjonacie przebywało sześćcioro kobiet, mężczyzn i ich zaniedbanych dzieci. Dzieci bawiły się i jadły. Z automatu z łomotem wypadały butelki coca-coli.

Mieszkał w pokoju o wymiarach dwa czterdzieści na trzy sześćdziesiąt. Łóżko, komoda, szafa. Godzinami czytał „Militanta” i „Workera”. Pewnego wieczoru wsiadł do autobusu numer 22 i pojechał do śródmieścia. Chodził ulicami, zaglądał do barów. Doszedł aż do South Akard i przystanął przed Gene's Musie Bar. Do baru wchodziło dwóch mężczyzn, więc wszedł za nimi. Stał przy drzwiach. W środku było tłoczno. Pod ścianami biegły długie ławki z grubo ciosanego drewna. Ogniem ciągłym z AR-15, którego używali ochroniarze prezydenta, mógłby bez trudu oczyścić całą salę. Chodziło o to, żeby stać tam, dopóki ktoś go nie zauważy, po prostu obserwować, patrzeć, jak pedzie załatwiają swoje interesy.

Ktoś powiedział:

– To nie twoja broszka, dupciu.

Próbował znaleźć kogoś, z kim mógłby porozmawiać, kogoś, kto by go zrozumiał. Kilku na niego zerknęło, kilku innych spojrzało. Musiał albo wejść i coś zamówić, albo wyjść. Postanowił, że będzie to tylko wizyta rozpoznawcza. Zawsze mógł tu wrócić, pewniejszy siebie, czując się mniej dziwnie i bardziej na miejscu. *Hidell* znaczy *don't tell*. Wyszedł na chłód i stwierdził, że się poci. Wróciwszy do pensjonatu, przeczytał „Militanta” sprzed tygodnia, od deski do deski, każde słowo. Czytał też między wierszami. Można wyczuć, kiedy chcą, żebyś zrobił coś dla sprawy. Przekazują ci wiadomość ukrytą w tekście.

Trzy dni po narodzinach Racheli poszedł na wiec w Memoriał Auditorium. Głównym mówcą był Edwin A. Walker. Lee stał na końcu sali, patrząc na wchodzących ludzi. Dzięki swej tajemnicy czuł się nietykalny. To on był tym kimś, tym, który strzelał i chybił ledwie o włos. Była to tajemnica i władza. Bo przecież stał tam wśród nich, stał wśród tych ludzi, wśród członków Stowarzyszenia Johna Bircha i State Righterów z trzydziestkąsemką pod zapiętą na zatrask kurtką.

Tłum, około tysiąca ludzi. Walker stał w tym swoim cylindrze, gładząc i mendząc o Narodach Zjednoczonych. Klap, klap.

Narody Zjednoczone to aktywny element ogólnoswiatowego spisku komunistycznego. Klap,

klap. Lee usiadł mniej więcej w połowie głównego przejścia. Czuł małość i rozgoryczenie tych ludzi. Musieli powalić kogoś na ziemię i przez kwadrans go tratować. Czujecie się teraz lepiej? Walker zaczął mówić o czymś, co nazywał Aparatem Kontroli Realnej. Mówił zawile, w sposób, który nikogo nie porywał ani niczego na nikim nie wymuszał. Po jego jednej stronie stał sztandar z Samotną Gwiazdą, po drugiej sztandar konfederatów. Lee przesunął się niżej, pochylony, żeby nikomu nie zasłaniać widoku, i znalazł miejsce pod sceną. Walker był zmęczony. Miał twarz aktora, którego ucharakteryzowano na człowieka starego i znużonego. Oczyma wyobraźni Lee ujrzał czerwoną plamę na jego koszuli tuż pod sercem.

Przed wejściem ludzie stłoczyli się wokół generała, próbując go dotknąć, pokazać mu swoją twarz. Walker szedł powoli w stronę samochodu. Lee parł przez tłum. Ludzie wpychali się przed generała, żeby tylko ich zobaczyć. Wołali do niego, wyciągali ku niemu ręce ponad ramionami innych. Lee pochwycił jego spojrzenie i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Na pewno nie wiesz, kim jestem. Jestem nietykalny”. Rękę trzymał w kieszeni kurtki, na uchwycie rewolweru, trzymał tylko po to, żeby trzymać, żeby pokazać, jak blisko można do niego podejść, jakie to proste, jak dziwnie łatwo jest poczuć, że się żyje. Pierzchający tłum, ludzie krzyczący: „Nie, nie, nie!” i Walker na ziemi, już bez cylindra. Zdjęcie na pierwszej stronie „Morning News”

Wrócił autobusem do pensjonatu. Usiadł na łóżku, z rewolwerem w ręku. Zamach na Walkera to ślepy zaułek. Nie miał jak dostać się na Kubę. Nie przyjęliby go pewnie nawet wtedy, gdyby zastrzelił generała i zdołał zbiec. Edwin Walker to już przeszłość. Schował rewolwer do komody. Poszedł do kuchni i wypił po ciemku trochę mleka.

Co musiałby podarować Fidelowi, żeby pozwolili mu żyć szczęśliwie na małej Kubie?

Siedział za kierownicą kombi Ruth Paine. Na wielkim żwirowym parkingu kurzyło piaskiem. Była niedziela i parking już dawno opustoszał.

Ruth była wysoką, szczupłą kobietą o długiej, pociągłej twarzy. Miała trzydzieści kilka lat, włosy kręcone jak u lalki i nosiła bibliotekarskie okulary. Odwróciła się i spojrzała za siebie.

– Powoli, powoli, powolutku. Jedź bardzo powoli.

Przejechał na wstecznym trzydzieści metrów i zahamował tak gwałtownie, że aż szarpnęło. Siedzieli, patrząc na omiatany wiatrem parking.

– Powiedziałas mu, gdzie mieszkam?

– Przecież nie wiem, gdzie mieszkasz – odparła. – Zdałam sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy spytał. Nawet Marina nie wie. Teraz do przodu, poćwiczmy skręty.

– Powiedział, jak mnie znalazł? Skąd wiedział, że Marina tu mieszka?

– Wyglądał na bardzo rozsądnego człowieka. Nie sądzę, żeby przysporzył ci jakichś kłopotów w pracy. Powiedział, że tego nie zrobi, i ja mu wierzę.

– Wie, gdzie pracuję?

– Powiedziałam mu. Nie miałam wyboru. Oni są przedstawicielami rządu, Lee.

Popatrzył przed siebie.

– Jedź. Dojedź do tego kosza na śmieci. Za koszem skręć w lewo.

Wtedy sobie przypomniał. Przed wyjazdem do Mexico City poszedł na pocztę w Nowym Orleanie i zostawił tam swój nowy adres. Adres Ruth Paine. Ale dlaczego go szukają? Bo wiedzą, że był w ambasadzie radzieckiej i kubańskiej. Bo mają go na filmie. Bo mają nagranie jego głosu. Jak się to nazywa? Podśluch elektroniczny?

– Noga z gazu – powiedziała Ruth.

Na koszu była naklejka. WATYKAN JEST WSZETECZNICĄ OBJAWIENIA. Ładnie skręcił i wyprostował.

– Pytał, kto cię odwiedza i kto do ciebie dzwoni. Powiedziałam, że twoje kontakty

towarzyskie w domu Paine'ow polegają głównie na tym, że wykręcasz numer zegarynki. Uznał, że to nawet zabawne.

Jeśli mogli go znaleźć fedzie, znajdzie go i Banister. Banister wie to, co wiedzą oni. Wiatr porwał niedzielną gazetę, która pofrunęła, gubiąc kartki. Lee zahamował i popatrzył w przednią szybę.

– Spróbujmy jeszcze raz na wstecznym – powiedziała cicho Ruth.

W „Morning News” widział coś o Kennedym. Że ma przyjechać do Dallas. Zjeść tu lunch. 21 albo 22 listopada. Ledwo to zauważył. Ot, przebiegł wzrokiem po powierzchni słów. Był jasny, chłodny dzień. Z zaułka wytoczył się powoli wózek na zakupy.

Podczas drugiej wizyty agenta FBI Marina wymknęła się ukradkiem z domu. Kilka razy obeszła jego samochód, próbując ustalić, jakiej jest marki. Nie umiała przeczytać wypukłych liter na karoserii, zapamiętała za to numer rejestracyjny, tak jak kazał jej Lee, i wróciwszy do domu, zapisała go na karteczce, myląc jedną cyfrę.

Lee napisał list do ambasady radzieckiej w Waszyngtonie, na maszynie Ruth. Musiał pisać literę po literze, z kopertą też miał kłopot, bo pomylił adres nadawcy z adresem odbiorcy, poopuszczał całe słowa i cyfry. Ale warto było zobaczyć te zwarte, jasne zdania, zdania, z których bił posłuch, jakiego nie mógł przekazać swoim charakterem pisma. Skarżył się w liście, że nachodzi go FBI. Między wierszami próbował dać im do zrozumienia, że znają go w KGB. Pytał o rosyjską wizę wjazdową i zawiadamiał o narodzinach córki. Winą za fiasko w Mexico City obarczył Kubańczyków.

Potem napisał list do tego z FBI i podczas przerwy na lunch zaniósł go do miejscowej placówki, wręczył recepcjonistce i wyszedł. O ile dobrze usłyszał, facet nazywał się Hardy, więc na kopercie napisał tylko jedno słowo, jego nazwisko. W liście oświadczył, że ma tego dość, że FBI zdręcza jego żonę, że jeśli nie przestaną, podejmie odpowiednie kroki. Dodał, że ma powiązania z nowoorleańską placówką FBI, że przypisano mu oficjalny kryptonim i że można to sprawdzić.

W weekend ćwiczył z Ruth parkowanie.

Znowu zaczął mieć krwotoki z nosa.

Bawił się z małą Rachelą, która miała dołeczki, tak jak tatuś. To David Ferrie powiedział mu przed dwoma miesiącami, że dołeczki są znakiem rozpoznawczym ludzi spod znaku Wagi.

Nicholas Branch ma taśmę z nagraniem, które zrobiono w Miami dziewięć dni przed planowanym przyjazdem prezydenta. Rozmowę nagrał potajemnie niejaki William Somerset, policyjny informator. Jego rozmówcą jest Joseph A. Milteer, członek Kongresu Wolności i Rady Białych Obywateli Atlanty.

SOMERSETT: Kennedy przyjeżdża tu osiemnastego, chyba koło osiemnastego, żeby wygłosić przemówienie.

MILTEER: Postawiłbym ostatniego dolara, że będzie dużo gadał o Kubańczykach. Tyłu ich tu jest.

SOMERSETT: Tak, ale na pewno będzie miał z tysiąc goryli, spokojna głowa.

MILTEER: Im więcej goryli, tym łatwiej go dorwać.

SOMERSETT: Ale jak, kurczę, byłoby najlepiej?

MILTEER: Z jakiegoś biurowca, ze snajperki. On wie, że jestznaczony.

SOMERSETT: Naprawdę spróbują go zabić?

MILTEER: O tak, wszystko jest dograne. Nie ma żadnego odliczania. Od razu będzie start. Jak zaczniesz odliczać, mogą cię rozgryźć i zdjąć, a podczas startu już nie. Odliczanie jest dobre wtedy, kiedy operację przygotowuje się powoli. Przy tych szybkich, awaryjnych trzeba stawiać na sam start.

SOMERSETT: Rany, jeśli zastrzelą Kennedy'ego, będziemy musieli wiedzieć, na czym stoimy. Bo takie coś to ostry wstrząs.

MILTEER: Poruszą niebo i ziemię. Wszystko. Jak do czegoś takiego dojdzie, znajdą kogoś w parę godzin po. Żeby uspokoić ludzi.

Kiedy nagranie przesłuchały tajne służby, agenci wymogli na ludziach prezydenta, żeby odwołano przejazd przez Miami. Kennedy przeleciał śmigłowcem z lotniska do hotelu, gdzie przemówił do grupy dziennikarzy.

Branch miał dwie teorie co do tego incydentu.

Pierwsza zakładała, że T.J. Mackey sprzedał wiadomość o spisku albo bezpośrednio Milteerowi, albo komuś z jego kręgu. Zostało ustalone, że miał kontakty wśród policyjnych wywiadowców w Miami i jest możliwe, że wiedział, iż ci go obserwują. Milteer, sześćdziesięciodwuletni mieszkaniec Georgii, brał udział w gwałtownych protestach przeciwko integracji.

Druga teoria głosiła, że to Guy Banister powiedział Milteerowi o spisku w Miami i w ten sposób niechcący pokrzyżował plany zamachowcom.

(Tajne służby nie przesłały szczegółów nagranej rozmowy agentom odpowiedzialnym za bezpieczeństwo prezydenta w Dallas. FBI przesłuchało Milteera po zamachu, ale zrobiło to pobieżnie).

Branch ma również teorię na temat sobowtórów Oswalda, którzy działali aktywnie przez prawie dwa miesiące, głównie w Dallas i okolicy, lecz także w innych miastach stanu. Uważa, że Mackey wpadł na ten pomysł, aby zająć czymś tych z Alpha 66, aby ludzie ci utknęli w sztywnych, dogranych na styk układach, fortelach i pułapkach i aby nie mogli się pozbierać po tym, jak przy pierwszym podmuchu wiatru runie domek z kart w Miami. Joseph Milteer mówił o różnicy między odliczaniem a startem. Mackey chciał mieć pewność, że Alpha utknie na odliczaniu. On postawił na start.

Operacja była prymitywna: ktoś podobny do Oswalda wchodzi do salonu samochodowego, przedstawia się jako Lee Oswald, mówi, że niedługo sporo zarobi, odbywa jazdę próbną cometą, jedzie bardzo szybko i wspomina o powrocie do Rosji. Ktoś podający się za Oswalda idzie do rusznikarza i prosi o zamontowanie celownika optycznego. W ciągu trzynastu dni ktoś wyglądający jak Oswald przychodzi sześć razy na strzelnicę i celowo strzela do cudzych tarcz.

Wszystkie te incydenty miały miejsce, kiedy prawdziwy Oswald był zupełnie gdzie indziej.

Ostatnio Nicholas Branch coraz częściej dochodzi do wniosku, że „Lee H. Oswald” jest technicznym schematem, elementem ćwiczenia w manipulowaniu historią. Pod zrobionym ukrytą kamerą zdjęciem mężczyzny przechodzącego przed gmachem ambasady radzieckiej w Mexico City widnieje podpis: „Lee H. Oswald”. Oswald był wtedy w tym mieście, lecz mężczyzna ze zdjęcia jest kimś innym: dobija czterdziestki albo już ją przekroczył, ma szerokie bary, okrągłą twarz i krótko ostrzyżone włosy. Kolejny sobowtór. Nic dziwnego, że Branch myśli o dacie zamachu wyłącznie kategoriami liczbowymi: 11/22.

Mylna identyfikacja to jeszcze nie wszystko, jest coś ciekawszego. Branch czytał kilka rysopisów T.J. Mackeya i mężczyzna ze zdjęcia dobrze do nich pasuje.

(Kurator nie był w stanie przysłać mu zdjęcia Mackeya jako takiego).

Branch siedzi w swoim miękkim fotelu i patrzy na otaczające go papierowe wzgórza. Kartki zaczynają się zsuwać i wyslizgiwać drzwiami do sąsiedniego pokoju. Podłoga jest zavalona książkami i dokumentami. Szafa wypchana materiałami, których jeszcze nie przeczytał. Musi upchnąć na półkach nowe książki, musi je wepchnąć na siłę, bokiem, musi je tam wcisnąć, musi wszystko przechować. W pokoju nie ma niczego, co mógłby uznać za nieważne czy nieaktualne. Każdy świstek ma jakieś znaczenie, jeśli nie na jednym poziomie, to na innym. To pokój samotnych faktów. Ciągłe przybywa nowych materiałów.

Kurator przysłała mu kolejne trzydzieści tomów ze stu czterdziestu czterech tomów akt Oswalda. Przysłała kartony pełne protokołów z przesłuchań i stenogramów procesowych ludzi, którzy nie mają prawie żadnego związku z wydarzeniami z 22 listopada. Przysłała protokoły koronera.

Salvatore (Sam) Giancana, boss syndykatu, który dorastał w tej samej dzielnicy Chicago co Jack Ruby, ginie w czerwcu 1975 roku w swojej świeżo wykończonej piwnicy, zabity strzałem w potylicę i sześcioma strzałami układającymi się w ścieg wokół ust. Pięć dni później miał zeznawać przed senacką komisją do spraw zamachów na życie Fidela Castro. Narzędzie mordu doprowadziło FBI do Miami. Nikogo nie aresztowano.

Ciało Waltera Everetta Juniora, człowieka, który uknuł spisek, zostaje znalezione w maju 1965 roku w pokoju motelowym pod Alpine w Teksasie, gdzie Everett był zastępcą dyrektora college'u stanowego Sul Ross. Stwierdzono zawał. Everett zameldował się w motelu jako Thomas Stainback.

Ciało Wayne'a Wesleya Elko, byłego komandosa i dorywczego najemnika, zostaje znalezione w styczniu 1966 roku w motelu pod Hibbing w Minnesocie. Stwierdzono ostre zatrucie morfiną. W jego pickupie policja znajduje narzędzia i miedziany drut skradziony w pobliskiej kopalni rudy żelaza oraz dwuletniego chłopca śpiącego w dziecięcym foteliku.

Francis Gary Powers, pilot U-2, dostaje pracę w KNBC w Los Angeles: lata śmigłowcem, nadzorując ruch i wypatrując pożarów w okolicznych lasach i zaroślach, lecz pewnego dnia, w sierpniu 1977 roku, w zbiornikach jego bell jet rangera kończy się paliwo: maszyna spada na boisko, gdzie kilku chłopców gra w softball, i Powers ginie na miejscu.

Do katastrofy dochodzi niecałe pięć kilometrów od Skunk Works, budynku z zaciemnionymi oknami w fabryce Lockheed Aircraft, gdzie dwadzieścia dwa lata wcześniej powstał prototyp U-2.

Branch podchodzi nieufnie do tych rzucających się w oczy przypadków. Zaczyna podejrzewać, że ktoś chce, by zaczął wierzyć w przesady. Tymczasem on pragnie, żeby takie czy inne zdarzenie było po prostu zwykłym zdarzeniem. Czy nikt nie może umrzeć bez rytuału poszukiwań związków i wzorów?

Kurator przysłała mu czterystustronicowe studium podobieństw między śmiercią Kennedy'ego i Lincolna.

Wayne siedział z tyłu ze starym owczarkiem Rayma. Postanowili podróżować bez zbędnego bagażu. Wyjechali z Miami pospiesznie, zabierając tylko najważniejsze rzeczy, chociaż trudno było zaliczyć do nich wielkiego, schorowanego, walczącego o ostatni oddech psa.

Jechali przez noc.

Raymo prowadził, obok niego siedział Frank. Rozmawiali głównie po hiszpańsku, a Wayne nie próbował nawet tego rozszyfrować. Jego umysł wciąż paliła świadomość czynu, którego mieli dokonać. Mieli przekroczyć granicę. Czysta science fiction. Inny wymiar.

Potem prowadził Frank i Wayne przesiadł się do przodu. Przynajmniej nie jechali bel airem. Mieli mercurego rocznik 58, wóz z trochę przerdzewiałą karoserią, za to z podrasowanym

silnikiem, który bez trudu zasysał powietrze i chodził jak silnik wystrzelonego z katapulty dragstera. Wayne nastawił radio na pełny regulator. Dmuchał wiatr. Wszystkie karabiny zostawili u tych z Alphy, wszystkie z wyjątkiem tego, który miał przewieźć Mackey. W twarz Waynea bił wrzaskliwy rock and roli. Środek nocy pod Tallahassee.

Ojciec Waynea mawiał: „Bóg stworzył wielkich ludzi. I stworzył ludzi małych. A Colt stworzył czterdziestkę, żeby wszyscy mieli równe szanse”.

Nie była to misja towarzyska. Był to błyskawiczny skok przez wszystkie możliwe granice. Wayne nieustannie potrząsał głową, żeby to sobie poukładać. Wyglądało to tak, jakby ciągle dygotał, i zwróciło uwagę Franka, który aż na niego spojrział. Wayne był zdumiony, że tu, w Ameryce, mogli coś takiego wymyślić. Tymczasem, proszę, siedział na huczącym wietrze i brał w tym udział.

Zrobili postój i odlali się na lekkim deszczu.

Gdy wstał czerwony świt, za kierownicą usiadł Wayne.

Wyłączone radio, podniesione szyby. Frank spał na tylnym siedzeniu, pojękując przez gąszcz nierównych zębów.

– Jeszcze to do mnie nie dotarło – powiedział Wayne, spoglądając na Rayma. – Czytujesz science fiction?

– Czyś ty, kurwa, zwariował?

– Tak samo się czułem przed nocnymi skokami. Czy to dzieje się naprawdę?

– To tutaj tak.

– Wiem, że tak.

– Najpierw odwołują Chicago. Potem przejazd przez Miami. Oni też wiedzą, że to dzieje się naprawdę.

Wayne przyglądał mu się, od czasu do czasu zerkając na drogę. Wóz był ostry i cichy, pruł przed siebie jak marzenie.

– Jezus, my naprawdę tam jedziemy – rzucił z udawaną histerią.

– Nieźle nam płacą. I to za dzień pracy.

– Starannie wybrani ludzie w trakcie życiowej misji.

Wyprzedzili konwój pojazdów wojskowych. Po chwili Raymo wskazał za siebie ręką i rzucił:

– Cały czas o czymś myślę.

– O czym?

– Że trzeba go uśpić.

– Kogo? Twojego psa?

– Nie może już chodzić. Próbuje wstać i łapy mu się rozjeżdżają.

– Kiedy wysiada system nerwowy.

– Nie chcę iść do raka. Rakarze je gazują.

– Nie chcesz, żeby trafił do komory.

– Nie podoba mi się, że robią to gazem.

– Pewne rzeczy trzeba jakoś załatwić.

– Wziąłem go jeszcze przed Girón.

– Ale nie masz serca.

– Nie dałbym rady.

– Jak będziesz mógł gdzieś stanąć, to stań – powiedział Wayne.

Sondował jego twarz, ale była jak z kamienia. Szesnaście kilometrów dalej zjechali z autostrady na szosę prowadzącą na miejscowe lotnisko.

Między swetrami w brązowym worku miał myśliwski nóż.

Zatrzymał się na trawiastym poboczu długiej, prostej drogi, biegnącej wzdłuż siatki z drutem

kolczastym na górze. Wsiadł i czekał, aż Raymo wypuści psa. Sylwetki hangarów i małych samolotów. Raymo usiadł za kierownicą i odjechał pięćdziesiąt metrów dalej. Pies stał przy drodze. Wayne podszedł z tyłu i stanął nad nim okrakiem, jakby chciał go dosiąść. Wciąż widać było gwiazdy. Chwytał psa za kark i szarpnął do góry. Przednie łapy owczarka zaczęły młócić powietrze, a wtedy przeciągnął nożem pod dolną szczęką. Głucho warczał, podryzując mu gardło. Puścił lewą rękę. Pies upadł twardo na pysk między jego nogami, mocno krwawiąc. Wayne warknął na niego jeszcze raz, podniósł wysoko zakrwawiony nóż i ruszył do samochodu. Chciał, żeby Raymo go zobaczył, żeby zobaczył ten znak, gest, którego znaczenie trudno było ująć w słowa.

Nareszcie mógł zasnąć. Wczesnym rankiem wszyscy się trochę przesпали. Wiele godzin później, już po zmroku, usłyszeli w radiu pierwsze sygnały z Dallas, pulsujące buczenie i trzaski na granicy pasma, a potem dobiegł ich ten upiorny głos.

– Powiem wam coś, kochane serduszka: w Wielkim D jest dzisiaj baaardzo nerwowo. Zbliża się ta chwila. Zauważyliście, że ludzie opowiadają przerażające rzeczy? Czujecie, jak nadciąga noc? Nie czujecie? W powietrzu wisi niebezpieczeństwo. Widać je na ulicach. Na billboardach. Na naklejkach na samochodowych zderzakach. Na ulotkach. Mówią obrzydliwe rzeczy o naszych przywódcach. Dziś rano idę ulicą, widzę jakiś zygzak na szybie okna wystawowego i nagle zdaję sobie sprawę, że to swastyka. Myślicie, że wciskam wam kit? Nie wciskam. Pozwólcie, że wypuszczę w ozon pewną myśl, która was rozkręci. Skąd wiadomo, że przyjeżdża do nas naprawdę on? Nie słyszeliście plotek, że kiedy jedzie na ziemię niczyją, zawsze zabiera ze sobą dwunastu sobowtórów? Żeby zdezorientować przeciwnika. Tak więc może powitamy tu Jacka numer siedem albo Jacka numer dziesięć. Albo wszystkich Jacków naraz, w różnych miejscach jednocześnie. Doskonale to rozumiem. A może jestem tylko otwarty na fantazje innych. Niektóre rzeczy są prawdziwe. A niektóre więcej niż prawdziwe. Och, jak to powietrze puchnie! Odczuwaliście kiedykolwiek takie napięcie? Wiecie, jakie jest Dallas, prawda?... Dallas w uniwersalnym schemacie rzeczy. Jesteśmy tacy sami jak inni, jak ludzie wszędzie indziej. A może tacy, jakimi chcą nas wszędzie widzieć. Tak samo się ubieramy, tak samo mówimy, tak samo myślimy. Jesteśmy wzorem dla całego kraju. Ja wcale nie zmyślam. Ale sączy się z nas to małe śwędzące coś. Nie czujecie, jak wypływa powoli na powierzchnię? Podobno ma wjechać do miasta na trójkołowym rowerku Caroline. Mięczak: to za mało, żeby poprowadzić nas ku Armagedonowi. W nocy wylazą prastare upiory. Patrzymy na to. Wiemy, że tu jest. Czujemy, że tu jest. Że to musi się stać. Coś dziwnego, mrocznego, jak ze snu. Weird Beard powiada wam: nad Wielkie D nadciąga noc.

Raymo, Wayne i Frank nigdy nie byli w Dallas, dlatego zastanawiali się, o czym ten świrus gada.

Środa. Lee wyszedł z pensjonatu i skręcił w stronę jadłodajni, gdzie zwykle jadał śniadanie. Po drodze sprawdzał numery rejestracyjne samochodów parkujących na North Beckley, szukając numeru agenta Hardy'ego.

Kupił nowoczesne meble i pralkę dla Mariny.

Zamówił jajka w koszulce. Jadł ze złożoną gazetą pod lewym łokciem. Wokoło hałas i gwar rozmów. Głowę trzymał nisko, czytając czwarty już w tym tygodniu czy piąty artykuł o profesorze nauk politycznych z Yale, aresztowanym za szpiegostwo w Związku Radzieckim. Aresztowanym w Metropolu, hotelu, w którym kiedyś mieszkał on, Lee. Aresztowanym i wypuszczonym. Artykuł był tak naprawdę o nim. Wszystko, co ostatnio widział i słyszał, było o nim. Przekazywali mu wiadomość.

Poszedł na przystanek autobusowy, sprawdzając po drodze numery rejestracyjne

samochodów. Nadjechał miedziany mercury; zwolnił i dostosował prędkość do jego kroku. Miał przyciemnione szyby. Lee był przygotowany: postanowił przedstawić się jako O.H. Lee i nie powiedzieć im nic więcej. Znał swoje prawa. Prawa zagwarantowane. Nikt nie będzie go nękał.

Opuściła się szyba w oknie. David Ferrie oparł łokieć o drzwi, odwrócił głowę i spojrzął w jego stronę.

– Nie mogę spóźnić się do pracy – rzucił Lee.

Pojechali do składnicy. Niepokojąc się, że przegapią jakiś skręt, Lee kilka razy przerywał rozmowę, żeby wskazać mu drogę.

– Czytałeś gazety? – mówił Ferrie. – Co dwa dni dodają nowe szczegóły. Najpierw napisali tylko, że przyjeżdża. Potem, że zje lunch w Trade Mart. Jeszcze potem, że przejedzie przez centrum. A wczoraj, w obydwu gazetach, widziałem na własne oczy: trasa przejazdu, ulica po ulicy. Z Harwood w Main. Z Main w Houston. Z Houston w Elm. Elm aż do Stemmons Freeway. I pomyślałem sobie tak: nasz stary Lew to wszystko widzi. Jak się teraz czuje? Jak się czujesz, Lee? To musiała być niesamowita chwila. Jak wizja na niebie. Pewnie zmroziło ci krew w żyłach.

– Wiem tylko, że w dwa dni ma zaliczyć pięć miast. W Dallas będzie dwie godziny.

– Wiedzą, gdzie mieszkasz, wiedzą, gdzie pracujesz.

– Właściwie to nie czytałem wczorajszej gazety.

– Ależ oczywiście, że czytałeś. Pisali w niej, że prezydent przejedzie dokładnie pod twoim, kurwa, oknem. No bo, kurwa mać, składnica jest przy Elm Street, nie? Większość dnia spędzasz na piątym piętrze, tak? Jego limuzyna będzie jechała Houston prosto na ciebie. Potem odbije w Elm. Powolutku, majestatycznie. Przejedzie tuż pod twoim nosem, tuż obok jedynego na świecie budynku, w którym pracuje Lee Oswald. Dokładnie wtedy, kiedy Lee Oswald siedzi samotnie w oknie i je lunch. Nie ma czegoś takiego jak przypadek. Nie wiemy, jak to nazwać, więc mówimy: przypadek. Ale to wszystko dzieje się dlatego, że tak chcemy.

Miał zaczerwioną twarz, prawie krzyczał. Lee kazał mu skrócić w lewo. Ferrie zacisnął rękę na kierownicy.

– Rozumiesz, co to znaczy. Rozumiesz, że to jest wskazówka, która mówi ci, co masz zrobić. Nie załatwiliśmy dla ciebie pracy w składnicy, to nie my ustaliliśmy trasę przejazdu. Nie mamy takiej władzy ani takich wpływów. To wydarzenie zostało sprowokowane przez coś innego. Przez wzór, który istnieje poza ramami naszego doświadczenia. Przez coś, co wyrwa cię z wiru historii. Myślę, że przez cały ten czas rozumowałeś na odwrotną. Chciałeś wejść do historii. Złe podejście, Lee. Tak naprawdę chciałeś z niej wyjść. Wysiąść. Wyskoczyć. Znaleźć swoje miejsce i nazwisko na innym poziomie.

Skręcili w Houston Street i zaparkowali przed gmachem starego sądu, przodem na południe, tyłem do składnicy przy Elm. Ferrie wytarł ślinę z kącików ust. Brakowało mu tchu. Lee siedział spokojnie, patrząc w okno.

– Ten gmach tam po prostu czekał.

– O ósmej muszę być w pracy.

– Stał tam i czekał, aż przetną się ścieżki Kennedy’ego i Oswalda.

– Tak z ciekawości. Skąd wiedzieliście, gdzie mieszkam? Fedzie nie wiedzą. Wiedzą tylko, gdzie pracuję.

– Właśnie, gdzie pracujesz. Stąd wiemy. Wczoraj jechaliśmy za tobą, kiedy wracałeś z pracy. Interesujesz nas bardziej niż ich. Posłuchaj. Przesiedziałem w samochodzie pół nocy przed twoim pensjonatem. Bałem się z tobą spotkać. Teraz, kiedy wiadomo już, że do tego dojdzie, śmiertelnie się boję. Strach wypełnia całe moje jestestwo. Bo spójrz tylko, co my robimy. Ten chaos? To całe, kurwa, cierpienie, które spowodujemy? Wszyscy nabawiają się przez nas raka. Siedziałem w

samochodzie. Bałem się spojrzeć ci w twarz. Myślałem: co my temu biedakowi robimy? Myślałem: biedny Lew widział to w gazecie. Z Harwood w Main. Z Main w Houston. Z Houston w Elm. Jak jakaś upiorna dziecięca rymowanka. Uklęknij w tym oknie i zrobi to. A ja jestem jednym z nich. Jestem agitator. Głupcem, który za to odpowiada.

Lee wyjął z kieszeni listek gumy do żucia i rozerwał go na pół. Dał połówkę Ferriemu, ale ten wytrącił mu go z ręki.

– Gdzie karabin?

– W garażu na przedmieściach, tam gdzie mieszka Marina.

– Kiedy będzie po wszystkim, zawiozą cię do Galveston. Tam się spotkamy. Tym sposobem będziemy jedno miasto dalej od miejsca wydarzeń. W Galveston będzie czekał samolot. Polecimy na Jukatan. Do Meridy. Przewiozą cię na drugą stronę półwyspu. Wsadzą do kutra na Kubę. Chcą, żebyś dotarł do Hawany. Odpowiada to im tak samo jak tobie. Kuter już czeka. Dostaniesz nowe nazwisko i dokumenty. – Ferrie spojrzął na niego ze smutkiem. – Albo jest w tym coś więcej. Coś, czego nie wiemy. Bo mogą nas na tym Jukatanie zabić.

Lee roześmiał się krótko, wypuszczając powietrze przez nos. Potem spojrzął na zegar obok tablicy reklamowej Herza na dachu składnicy. Wsiadł i poszedł w tamtą stronę.

Po lunchu mijał biuro Roya Trully ego na parterze. Trully, człowiek, który go zatrudnił, rozmawiał ze sprzedawcą książek. Sprzedawca podał mu karabin. W drzwiach stało dwóch czy trzech innych mężczyzn, którzy to komentowali. Lee podszedł bliżej. Sprzedawca mówił, że właśnie kupił dwa karabiny. Dwudziestkędwójkę dla syna pod choinkę. I sztucer na jelenie, ten, który oglądał Trully. Stojący w drzwiach mężczyźni wciąż wymieniali uwagi. Sprzedawca włożył dwudziestkędwójkę do pudła, wszedł do windy i wcisnął guzik piątego piętra. Lee zdziwił się, widząc w składnicy karabiny. Ale niby dlaczego? Przecież to wszystko było o nim. Wszystko to, co się działo, było nim samym.

Czwartek. T.J. Mackey stanął przed gmachem archiwum okręgowego. Potem przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w kierunku trójkątnego trawnika między Main i Elm. Spojrzął w stronę torów kolejowych nad przejazdem. Po chwili potruchtał przed siebie Elm Street i przystanął na trawiastej skarpie przed kolumnadą. Podszedł do drewnianego płotu, za którym był parking. Stanął twarzą do Elm Street. Zawrócił i ruszył w stronę tablicy z napisem „Stemmons Freeway”. Samochody. Wszędzie. Wszędzie pędzące samochody.

Siedział w ciemnym fordzie na obrzeżach śródmieścia i rozwijał kanapkę. W okolicy było dużo starych pakowalni, częściowo zabetonowanych torów kolejowych i budynków, na których ścianach widać było cegły i zaprawę murarską odsłoniętą podczas wyburzania sąsiadujących z nimi budowli. Na każdym skrawku nadającego się do wykorzystania miejsca urządzono parking: w przejściach, na zakurzonych podwórkach, na starych stacjach załadowniczych. Panowała lepka południowa cisza, wrażenie całkowitego odizolowania, które Mackey uznał za dziwne w miejscu oddalonym ledwie półtorej ulicy od tłumów i ruchu.

Obserwował idącego niepewnie Oswalda.

Wiedział, że Lee chce strzelać sam. Tak to już jest z tymi samotnikami, z ludźmi, którzy wiecznie planują z myślą o czymś totalnym. Mackey łatwo mógł na to przystać, ale musiał mieć również pewność, że Oswald zacznie strzelać dopiero wtedy, kiedy limuzyna minie go i pojedzie dalej w kierunku wiaduktu. Chciał ją wziąć w krzyżowy ogień. Jeśli Oswald chybi, na pierwszorzędnej pozycji jest drugi strzelec, bo limuzyna pojedzie niemal prosto na niego. T.J. nie wierzył, że Oswald trafi. Ten pacan spudłował, strzelając do generała Walkera – trzydzieści sześć metrów, stacjonarny cel, dobrze oświetlony pokój. Poza tym jego mannlicher jest stary, prymitywny i zawodny. Jeśli Oswald strzeli i spudłuje, kiedy limuzyna będzie jeszcze na

Houston Street, jadąc w jego kierunku, i kiedy drugi snajper będzie miał zasłonięty widok, odejdziemy z niczym. W roli Strzelca Oswald był im niepotrzebny, robił jedynie za wsparcie. Jego zadaniem było dostarczenie namacalnych dowodów historycznych, dającej się namierzyć broni, wszystkich tych świstków, wycinków i dokumentów łączących go z Kubą.

Zauważył samochód i lekko przechylił głowę. Podszedł, wsiadł z kanapką i ćwiartką mleka w kartonie.

– Jak tam dzieciak?

– Dobrze. Bardzo dobrze.

– Skręci z Main w Houston i przez całą długość ulicy będzie jechał w twoją stronę. Ale ty nie strzelisz, nie wtedy. To nieodpowiednia chwila. Strzał byłby łatwy, najłatwiejszy z możliwych, ale wszyscy będą patrzyli prosto na ciebie. Będzie tam wóz pilotujący, będzie piętnastu policjantów na motocyklach, wóz ochrony z ośmioma agentami, z których czterech będzie stało na stopniach. Wszyscy zbici w gromadę wokół limuzyny prezydenta, wszyscy patrzą w twoją stronę. Gdyby padł strzał, od razu wiedzieliby skąd. W składnicy zaroiłoby się od gliniarzy. Bardzo zalecam. Mocno podkreślam. Musisz poczekać. Zaczekać, aż skręcą w Elm i pojedą w kierunku wiaduktu i autostrady. To nie jest trudny strzał. Celujesz w korpus, w środek albo w jakąkolwiek inną część ciała, którą zobaczysz przez celownik. I czekasz. Czekasz, aż limuzyna wjedzie w Elm Street. Czekasz, aż minie ten dąb. Musi minąć dąb. Według moich szacunków pierwszy strzał powinien paść z niecałych sześćdziesięciu metrów. Potem wszystko zależy od tego, jak szybko zareaguje szofer. Huk powinien zrykoszetować, odbić w stronę wiaduktu. Nie będą pewni, skąd strzelasz. Jesteś już za nimi i trudniej im teraz cię namierzyć. Zyskujesz dodatkowe sekundy. Mniej więcej dziesięć dodatkowych sekund na zejście na dół. Te sekundy mogą na wszystkim zaważyć. Czekaj. Pamiętaj, żebyś poczekał. Nawet nie pokazuj się w tym oknie, dopóki limuzyna nie dojedzie do dębu. Potem poczekaaj, aż go minie.

Ich plan zawierał element, którego nie było w wielopoziomowym i wyrafinowanym planie Wina Everetta. Łut szczęścia. Oswald zdjął z chleba listek sałaty i zjadł go oddzielnie.

– Kiedy wyjdiesz na ulicę – mówił dalej Mackey – szybko opuść ten rejon. Niedaleko twojego pensjonatu jest Jefferson Boulevard. Idź na Jefferson Boulevard 231. Jest tam kino, w budynku z taką hiszpańską fasadą. Będzie otwarte. Otwierają o dwunastej czterdzieści pięć. Wejdiesz, usiądziesz i obejrzysz film. Przed zapadnięciem nocy przetrzucimy cię do Galveston, a o świcie nie będzie cię już w kraju.

Mackey zmiażdżył papier i wyrzucił go przez okno. Wyjął z kieszeni cztery naboje. Zagrzechotał nimi w zamkniętej dłoni i wrzucił je do papierowej torebki Oswalda.

– Moim zdaniem więcej niż czterech nie zużyjesz.

– Nie wystarczy czasu.

– Zaufaj swoim rękóm.

– Przeładowywałem go tysiące razy.

– Jak dzieciak ma na imię?

– Żona chciała Audrey, od Audrey Hepburn z *Wojny i pokoju*. Tolstoja. Ale na drugie ma Rachel. I tak do niej mówimy.

– Spodoba ci się ta operacja – powiedział T-Jay.

Patrzył, jak Oswald wychodzi na Griffin Street i skręca na południowy zachód, z powrotem do pracy.

Najważniejsze jest to, żeby Kennedy zginął.

I żeby potem zginął Oswald.

Kiedy wyjdą na jaw jego lewicowe sympatie, władze uznają – będą chciały uznać – że agenci Castro zwerbowali go, wykorzystali i zabili.

Guy Banister miał uczulić FBI na nazwisko Hidell.
A David Ferrie spędzić samotnie noc w Galveston.

Marina i Lee huścali dzieci na podwórzu Paine'ów, na zmianę, Sylwię, Chrisa, June i dwoje dzieci sąsiadów. Było już ciemno, ale maluchy nie chciały wracać do domu. Miały dwie huścawki i dwoje rodziców, którzy je huścali.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co tu robisz w czwartek.
- Zateśniłem za moimi dziewczynkami.
- Nawet nie zadzwoniłaś.
- Jeśli zamieszkaż w Dallas.
- Nie.
- Nie będę musiał dzwonić. Wszystko się zmieni. Nie mogę mieszkać z wami w tym pokoju.
- Dzieciom jest tu lepiej.
- Wiesz, jaki jest mały?
- Ale Ruth cieszy się, że tu jesteśmy.
- Chyba już nie kochasz swego tatusia.

Zdjęli dwoje dzieci z huścawek i posadzili następną parę. Marina wciąż była na niego zła za to fałszywe nazwisko. Dowiedziała się, kiedy Ruth zadzwoniła do pensjonatu i poprosiła do telefonu Lee Oswalda. Chciała, żeby skończył z tymi głupotami. Z tymi wszystkimi komediami. Najpierw jedno, potem drugie.

- Wyżej! – krzyczały dzieci.
- Kupię ci pralkę – powiedział.
- Bardziej przydałby się samochód.
- Oszczędzam, ile się da. Najpierw musimy załatwić mieszkanie.
- Nie.
- Jeśli wrócisz do Dallas.
- Nie.
- Dziewczynki chcą być z tatusiem.
- Z kim będę rozmawiała przez cały dzień? Tu mogę rozmawiać z Ruth. Ruth bardzo mi pomaga.

– I balkon jak w Mińsku.

Przed kolacją Ruth poprosiła, żeby wszyscy troje wzięli się za ręce. Wyjaśniła, że kwakrzy odmawiają tak modlitwę przed posiłkiem. Każdy powinien odmówić ją w duchu, chociaż było oczywiste, że milczenie Mariny i Lee nie należało do tych modlitewnych.

Kiedy Marina sprzątała, do kuchni weszła Ruth i lekko zaskoczona powiedziała, że ktoś zostawił zapalone światło w garażu. Doszły do wniosku, że to pewnie Lee, że szukał tam swetra. Większość dobytku trzymali w pudłach w garażu Paine'ów.

W sypialni Marina zdjęła ubranie. Lee siedział w fotelu, zdjął tylko buty i skarpetki. Szykowali się do snu tak samo jak wszyscy inni w tej części Ameryki.

- Wszystko się zmieni.
- Nie.
- Ale najpierw musimy razem zamieszkać.
- Nie widzę powodów do pośpiechu.
- Jeśli przyjedziesz do Dallas.
- Dzieci mogą bawić się tu na dworze. I jest Ruth.
- Odłożyłem trochę pieniędzy.
- Nie chcę karmić dziecka zdenerwowana.

– Choć raz własne meble.

Stała nago u stóp łóżka. Wzięła koszulę nocną z krzesła. Patrzył na nią. Myślała, że coś powie. Włożyła koszulę przez głowę i zwinęła kapę. Pod każdym względem zupełnie zwyczajnie, suma zwyczajnych chwil i padający na trawnik deszcz.

Wyszedł wczesnym rankiem. Na komodzie znalazła pieniądze w kilku cieniutkich plikach i przeliczyła je zdumiona. Sto siedemdziesiąt dolarów. Była pewna, że zostawił jej wszystko, co miał.

Trzy razy prosił, żeby zamieszkała z nim w Dallas. Trzy razy odmówiła. Stała w zamyśleniu przed komodą. Rzeczy, które występują trójkami, po trzy – to dobrze znany wzór. W trójce tkwi jakaś mroczna potęga. Trójka przez całe życie przynosiła jej pecha.

22 listopada

Stali na wózkach bagażowych, przytrzymywali się słupów latarni. Wisieli na siatkowym ogrodzeniu, zwisali z tablicy z napisem „Wyjście 28” – ludzie w płaszczach przeciwdeszczowych, ludzie machający flagami. Już się przejaśniło i potężny boeing 707 znieruchomiał na asfalcie. Zaczęli wysiadać z samochodów i biec w tamtą stronę. Wspinając się na palce, przystawali na skraju tłumu. Dzieci siedziały na ramionach wysokich ojców. W zbitym tłumie rodził się nastrój, duch żarliwej aprobaty. Członkowie komitetu powitalnego przesunęli się powoli na miejsce, ku schodom, nerwowo poprawiając ubranie i włosy. Otworzyły się tylne drzwiczki i ukazała się w nich pierwsza dama w świetlistoróżowym kostiumie i kapeluszu, a tuż za nią prezydent. Przez tłum przetoczyło się westchnienie, fala nabożnego podziwu, oznaka rozpoznania. Na twarzach ludzi pojawił się wyraz czegoś w rodzaju częściowego zaskoczenia, podobny do wyrazu przeszywającego bólu. „Tutaj!” – wołali. Albo: „Jack!” Albo: „Tam!” Prezydent dotknął klapy, lekkim ruchem ramion poprawił marynarkę i zszedł na dół. Gwar przeszedł w cichy ryk: cud! Zatrzęśli siatkowym ogrodzeniem. Wybiegli z terminalu z podskakującymi aparatami fotograficznymi i torebkami na ramieniu. Aparaty były wszędzie, wysoko w górze, wśród górujących nad tłumem plakatów na patykach, wszędzie trzaskały migawki.

Witajcie w Wielkim D, Jack i Jackie.

Po wymianie pozdrowień i uścisków rąk Jack Kennedy oddalił się od agentów ochrony i omijając kałuże, podszedł do tłumu. Wyciągnął rękę i naparli na siatkę, patrząc na siebie, żeby się zgrać. Prezydent szedł wzdłuż ogrodzenia, przystojny i opalony, zwrócony swoim słynnym uśmiechem do muru otwartych ust. Był do siebie podobny, wyglądał tak jak na zdjęciach, wyglądał jak sternik z białymi, błyszczącymi zębami, mrużący oczy w bijącym od morza blasku. Twarz miał lekko spuchniętą – czasem mu puchła – od kortyzonu na chorobę Addisona, od gorsetu na zwyrodnienie kręgow. Przeszli przez ogrodzenie, otoczyli go, tyle ludzi, tyle rąk. Pojaśniał mu uśmiech. Chciał, żeby wszyscy wiedzieli, że się nie boi.

Lincoln był ciemnoniebieski, połyskliwy jak pawie pióro, z amerykańską flagą i prezydenckim proporcem na przednim zderzaku. Dwóch agentów ochrony z przodu, gubernator Connally z żoną na rozkładanych fotelach, państwo Kennedy z tyłu. Limuzyna ruszyła za nieoznakowanym samochodem pilotującym i pięcioma motocyklami, na których siedzieli policjanci w białych kaskach, z tradycyjnie kamiennymi twarzami. Rozciągnięta na osiemset metrów za nimi, sunęła kawalkada wynajętych kabrioletów, kombi, sedanów, autobusów, motocykli oraz zapasowych chevroletów, a w nich Lyndon i lady Bird, kongresmani, doradcy, żony, mężczyźni z nikonami i rolliflexami w rękę, kamery kroniki filmowej, radiotelefony, karabiny automatyczne, strzelby, służbowe rewolwery i walizka z kodami atomowymi.

Zdawało się, że cały lincoln jarzy się jakimś blaskiem. Blaskiem tym jarzyła się nawet tapicerka foteli, na którą padały promienie słońca odbite od zderzaków i maski. Gubernator machał brązowym kapeluszem, pękały trzonki flag, a pierwsza dama trzymała w zgięciu łokcia bukiet róż. W lśniącej karoserii odbijało się wszystko to, co mijali po drodze. Nie żeby krajobraz był tu bogaty. Odizolowane lotnisko. Niskie, długie budynki z wysypanymi żwirem dachami. Wielkie tablice ze skwierczącymi stekami. Tu i ówdzie ludzie, odważnie wyglądający, machający ręką w tych dużych, żałobnych odstępach. I mężczyzna stojący samotnie na poboczu, z „Morning News” otwartą na stronie, o której wszyscy mówili. „Witaj w Dallas, panie

Kennedy”. Ogłoszenie zamieszczone przez grupę zwaną American Fact-Finding Committee, Amerykański Komitet Gromadzenia Faktów. Urazy, oskarżenia, szowinistyczna fantazja – w sumie nic niezwykłego, nawet jak na dużą gazetę, z tym że tekst ogłoszenia ujęto w czarne ramki. Znacząco i złowroźnie. Jack Kennedy widział je wcześniej i gdy w oddali pojawiły się wieżowce centrum Dallas, odwrócił głowę i powiedział cicho do żony:

– Wjeżdżamy do krainy świrusów.

Mimo to ważne było, żeby widziano go w otwartym samochodzie, bez agentów na stopniach wozu. Oto przyjechał do nich w czasach głębokiego podziału, gdy kraj próbowano rozdrzeć na dwoje, gdy obie armie szalały, a on trzymał za łeb i jedną, i drugą. Czy miał złe przeczucia? Od wielu tygodni nosił przy sobie świstek papieru z odręcznie przepisany fragmentem zakrwawionego Szekspirowskiego starocia. „Każda z tych armii za jedną mię rękę / Trzyma – i w wściekłym teraz swym odskoku, / Tak uczepioną szarpie mię na ćwierci”¹. Mimo to ważne było, żeby limuzyna jechała bardzo powoli, żeby ludzie mieli szansę go zobaczyć. Maksymalna ekspozycja, jak powiadają spece od reklamy, bo kto chciałby mieć tchórzliwego prezydenta?

Ale tam dalej czekały na niego przyjazne tłumy. Pojedynczy ludzie na obrzeżach, ludzie rzucający się w oczy, a jeszcze dalej większe grupy, małe skupiska. Głównie na skrzyżowaniach. Stawali na zderzakach samochodów w zatrzymanym przez policję ruchu i wrzeszczeli: „Jackiiii!” Plakaty, flagi, falujące masy, gruby na piętnaście osób szpaler, tłumy wyrastające na krawężnikach, wyciągające szyje, żeby zobaczyć tę błyszczącą limuzynę. A na wystrzępionych brzegach tłumy policjanci na harleyach. Przyparciu do ścian domów ludzie, którzy nie mogli widzieć samochodu i dostrzegali jedynie przepływające w oddali sylwetki, unoszące się w powietrzu duchy, pogodne zjawy ze snu. Pod Harwood napór tłumy spotęźniał jeszcze bardziej. To były już rzesze, siła burzy. I ten dudniący warkot motocykli, to bijące z dudnienia podniecenie, ta moc i uśmiechnięty, machający ręką prezydent.

– Dziękuję – szeptał.

Uwaga. Nie wypuszczać ich za bariery. Włączyć na jezdnię.

Ulica po ulicy ludzie zaczęli powoli rozumieć, po co tu tak naprawdę przyszli. Z jednej grupy sprasowanych ze sobą ciał do drugiej, przez otwartą przestrzeń przeskakiwała wiadomość: przywiodła ich tu zakaźna choroba, tajemny impuls, wspólny dla setek tysięcy ludzi z setek tysięcy historii i systemów bytu – stali tu razem i krzyczeli na widok przejeżdżającego lincolna, bo w nocy coś przeżyli, bo mieli taki sam sen. Przyszli, żeby stworzyć wydarzenie, stworzyć świadomość, zadziwić wypływające ze starych poglądów strachy, nagie przekonanie, że jest to miasto, gdzie można się szybko dorobić. Wielkie Dallas, które wznosi się ponad nieufność i podejrzenia, by ryknąć jak kręta piaskowa lawina. Przyszli tu, żeby otoczyć kruche ciało jednego człowieka, żeby zyskać prawo do jego uśmiechu, ujrzeć znak, symbol szczodroblewości jego duszy.

Uwaga. Dojeżdżacie do Main, teraz bardzo powoli.

Prosto w ognisty przypływ południa. Dwanaście przecznic Main Street i kilka rozżarzonych węgielków melodramatu z małego miasta, kilka Hallmarków, Walgreenów i Thom McAnów rozrzuconych między bankowymi wieżowcami. Nadjechały motocykle, równy, dudniący warkot, wgryzające się w świadomość napięcie. Na widok lincolna przez całą ulicę przeszedł dreszcz. Jeden ryk pożerał drugi. Wyglądający przez okna ludzie, wybiegająca na jezdnię łobuzeria. „Już jadą. To oni. To naprawdę oni”. Nie tylko Jack i Jackie jechali przez ogień podniecenia. Doszło do samozapłonu i w ogniu stanął cały tłum. Powietrze przesyciła nowa wiedza, nowa samoświadomość. Oto odmienione miasto, oto myśl, która biegnąc z prędkością dźwięku, ożywia

¹ William Szekspir, *Życie i śmierć króla Jana*; w przekł. Stanisława Koźmiana.

stare, przyciszone serca, oto miasto ludzkiego ryku. Głośne, gorące i pulsujące. Tłum napierał na sznury i barierki. Motocykle ustawiły się w klin, agenci zeskoczyli ze stopni samochodu pilotującego i w biegu otoczyli lincolna. Czy to nie przerażające siedzieć tak pośród tego wszystkiego? Czy Jackowi nie przeszło przez myśl, że ten ferwor graniczy z przemocą? Przecież byli tak cholernie blisko, prawie na nim siedzieli. A on patrzył na nich i szeptał:

– Dziękuję.

Mężczyźni w ciemnych okularach ponownie wskoczyli na stopnie samochodu pilotującego i kawalkada zaczęła skręcać w Houston Street, w ostatni łagodny spadek przed autostradą.

Biegli do wind, czterech młodych mężczyzn, codzienny wyścig w porze lunchu, koński śmiech i trzask drzwi. Słyszał, jak nawołują się, zjeżdżając na dół. Kurz. Wypłowiwała farba na starych, ceglanych ścianach. Wszędzie sterty pudeł. Rury wysłużonych zraszaczy i porysowane wsporniki. Kurz. W powietrzu wisiała gruba na metr warstwa kurzu. Podkładkę z klipsem już ukrył, wetknął ją między kartony przy zachodniej ścianie. Stężyły bezruch na szóstej.

Stał przy południowo-wschodnim oknie za stertą pudeł. Te większe tworzyły wysoki na półtora metra mur i były z nich wspomnienia z przytulnej, dziecięcej kryjówki, wspomnienia, dzięki którym czuł się odizolowany i bezpieczny. Za murem stały kolejne cztery pudła: jedno pod oknem na podłodze, dwa na nim, a na tych dwóch jeszcze jedno mniejsze. Tworzyły coś w rodzaju ławki, statywu czy podpórki. Papier, którym owinął karabin, leżał u jego stóp. Kurz. Zwisająca z sufitu pajęczyna. Zobaczył dziesięciocentówkę na podłodze. Podniósł ją i schował do kieszeni.

Popatrzył na Houston Street, na powoli jadącą kawalkadę, dobrze widoczną w promieniach słońca. Na trawnikach Dealy Plaza stali pojedynczy ludzie, sto, sto pięćdziesiąt osób, wielu z aparatami fotograficznymi. Oparł karabin o karton w otworze strzelniczym i stanął na widoku. Wszystko było tak boleśnie wyraźne.

Prezydent miał kasztanowe włosy, a pierwsza dama promieniała w różowym kostiumie i małym, okrągłym kapeluszu. Cieszył się, że ładnie wygląda. Dla jej własnego dobra. Ze względu na aparaty fotograficzne. Na zdjęcia, które wejdą na stałe do akt.

Na jednym z rozkładanych foteli wypatrzył gubernatora Johna Connally'ego, z kapeluszem na kolanach. Podobała mu się jego twarz, surowa, męska, teksańska. Ktoś taki jak on na pewno by go polubił, gdyby tylko mieli okazję się poznać. Pudła ze stemplem „Książki”. „Ten Rolling Readers”. Wszyscy cieszyli się, że na dworze jest tak ładnie.

Skręcił biały samochód pilotujący, skręciły motocykle. Lincoln przejechał pod nim i odbił w lewo, wchodząc w ciasny zakręt, co wyglądało tak, jakby obracał się w miejscu na osi. Wszystko odbywało się powoli, wszystko było tak wyraźne. Ukląkł na jedno kolano, podparł się łokciem i oparł lufę na krawędzi kartonu w oknie. Wycelował w tył głowy prezydenta. Jadący z prędkością szesnastu kilometrów na godzinę lincoln skrył się za dębem. Spokój po lewej, spokój po prawej. W celowniku błyszczała karoseria.

Wystrzelił przez prześwit w gałęziach.

Gdy samochód minął dąb, prezydent zaczął reagować.

Lee odciągnął rygiel.

Prezydent podniósł wysoko ręce z szeroko rozłożonymi łokciami.

Pojawiły się gołębie, nagle i wszędzie, nurkując spod okapów ku ziemi i uciekając na zachód.

Ponad placem przetoczył się huk, suchy, wyraźny trzask.

Lee zaryglował lufę karabinu.

Lincoln zwolnił jeszcze bardziej. Prawie znieruchomiał. Stał tam jak na wystawie, osiemdziesiąt metrów od wiaduktu.

Dokładnie na linii strzału.

Raymo wysiadł z mercury'ego na parkingu na szczycie trawiastej skarpy, mniej więcej w połowie Elm Street. Od strony ulicy stał drewniany płot, a tuż za nim rosły drzewa i krzewy. Tylny zderzak samochodu musnął sztachety. W pobliżu parkowało dziesięć czy dwanaście innych wozów, znacznie więcej na północ i na zachód od nich.

Raymo stał przez chwilę, rozluźniając ramiona. Stanowczym gestem poprawił jaja, lewą ręką zadał trzy szybkie ciosy w powietrze. Płot miał półtora metra wysokości, więc nie mógł wygodnie oprzeć na nim ręki. Obszedł samochód i stanął na tylnym zderzaku. Wyjrzał na ulicę, na skarpe. Wóz pilotujący dojeżdżał do skrzyżowania z Elm Street.

Frank Vásquez też wysiadł. W rękę trzymał karabin snajperski Weatherby Mark V z celownikiem optycznym, załadowany pociskami o miękkim czubku, rozbryzgującymi się w chwili trafienia w cel. Gdy stanął przy zderzaku, Raymo wyciągnął rękę. Frank podał mu broń.

I ponownie usiadł za kierownicą. Samochód zakołysał się i Raymo zerknął gniewnie przez ramię.

Wciąż słychać było dobiegający z Main gwar, cichy jak szelest liści wysoko nad głową, i siedząc tyłem do ulicy, Frank wyteżył słuch. Roztaczał się przed nim widok na północny zachód, hen, aż za tory. Pomalowane na biało wieże ciśnień. Długi rząd słupów wysokiego napięcia znikających w płaskiej, posępnej dali. Wszędzie słońce i niebo. Mógłby zobaczyć stąd krańce Teksasu.

Raymo stał nieco na zachód od miejsca, gdzie dwie części płotu tworzą prawie kąt prosty. Z głębokiego cienia drzew wyglądał na zalaną jaskrawym słońcem przestrzeń. Po obu stronach Elm Street zbierały się grupki ludzi, rodziny, aparaty fotograficzne – jakby zaraz miał rozpocząć się tam piknik. Limuzyna skręciła w Elm. Ludzie stojący po drugiej stronie, plecami do niego, osłaniali oczy. Inni machali, machał i Kennedy: oklaski, słońce, oślepiające refleksy odbitego od maski światła. Przez trawnik biegła mała dziewczynka. Stojący na stopniach agenci.

Czterech agentów po obu stronach samochodu jadącego za limuzyną, ledwie kilka metrów za błękitnym lincolnem.

Dallas Jeden. Powtórz. Nie usłyszałem.

Oswald wystrzelił za wcześniej, wystrzelił, kiedy Kennedy przejeżdżał pod dębem. Zabrzmiało to tak, jakby ładunek był trochę za mały, za słaby, jakby Lee miał wadliwe naboje z niewystarczającą ilością prochu.

Kennedy zareagował z opóźnieniem, początkowo bez żadnego zdziwienia, i podniósł ręce jak ktoś ćwiczący na przyrzędzie do treningu wioślarskiego.

Szofer zwolnił jeszcze bardziej. Szofer po prostu tam siedział. Agenci też. Czekali, aż ktoś wyjaśni im, co się stało.

Tuż przed nimi przeleciały gołębie.

Raymo oparł lufę o płot. Szerzej rozstawił nogi na zderzaku. Jego lewe przedramię, to podtrzymujące karabin, tkwiło między wierzchołkami sztachet. Przytulił policzek do kolby. Czekał z okiem przy okularze celownika.

Gdy limuzyna wyjechała z za tablicy z napisem „Stemmons Freeway” stojąca na skarpie kobieta zobaczyła, jak prezydent chwyta się za gardło. Usłyszała ostry trzask, coś jakby wystrzał samochodowego gaźnika, i zdała sobie sprawę, że słyszy ten odgłos po raz drugi. Zobaczyła, jak jakiś mężczyzna przewraca na trawę syna i przykrywa go własnym ciałem. Tak naprawdę to pierwszy trzask usłyszała dopiero wtedy, gdy usłyszała ten drugi. W stronę limuzyny, machając rączką, biegła mała dziewczynka. I znowu ten suchy, spłaszczony trzask, wszędzie, nad całym placem. To nie miało sensu.

Panowała taka jasność i przejrzystość, że widział siebie w wielkiej, wypełnionej pudłami sali, że widział rozrzucone książki, stare, ceglane ściany, nagie żarówki, częściowo ukrytą sylwetkę drobnego mężczyzny w kącie. Wystrzelił po raz drugi.

Zobaczył, jak gubernator, który patrzył w przeciwną stronę, zaczyna odwracać głowę i nagle zgina się wóół. Przestraszył, gwałtowna reakcja na niespodziewany bodziec. Czytał o tym w czasopiśmie o broni palnej.

Uchwyt, rygiel do tyłu, rygiel do przodu.

Chwileczkę, zaczekajcie.

Dobra, pierwszy strzał oddał za wcześniej i trafił prezydenta poniżej głowy, chyba w kark. Głupota, którą na pewnym etapie mógł zlekceważyć. Dobra, za drugim razem spudłował i trafił Connally'ego. Ale limuzyna wciąż tam była, ledwo się poruszała. Zobaczył, jak pierwsza dama nachyla się ku bezwładnie leżącemu mężowi. Zobaczył klaszczącego mężczyznę na skraju pola widzenia.

Zaryglował i wymierzył. Na podłodze zabrzczała druga łuska.

Między Jackiem i Jackie leżały róże. Wnętrze samochodu było ładne, jasnoniebieskie. Jeden z mężczyzn był tak blisko, że mógłby do nich zagadać. Stał na krawężniku i klaskał.

– Hej, chcemy zrobić wam zdjęcie! – zawołała jakaś kobieta.

Prezydent robił wrażenie niezwykle zaskoczonego i miał pochyloną w lewo głowę. Mężczyzna przestał klaskać i zdezorientowany patrzył na bezwładne ciała, czując, że zaraz zarozi się tu od policji.

Przełącz mnie, Bill. Przełącz mnie.

Bobby W. Hargis, lewa tylna eskorta, wiedział, że był to huk wystrzału. Zobaczył kobietę, która robiła zdjęcie, a za nią inną, która robiła to samo zdjęcie z tą pierwszą kobietą w kadrze. Nie potrafił powiedzieć, skąd padły strzały, na pewno dwa, wiedział jednak, że trafili kogoś w limuzynie. Jakiś mężczyzna powalił na trawę syna i przykrył go własnym ciałem. Stary weteran, zdążył pomyśleć Hargis i w tej samej chwili gubernator Connally osunął się w fotelu, a żona objęła go i jakby wtuliła w siebie. Hargis zobaczył dziewczynkę w pięknej kurteczce, która biegła przez trawnik w stronę limuzyny, i spojrzał w prawo. Obrócił się w prawo całym ciałem, wciąż prowadząc motocykl na zachód, i w tej samej chwili uderzył go strumień krwi i materii – niezapomniane wrażenie – a do twarzy przylgnęła mu warstwa odłamków kości, krwi i tkanki. Myślał, że go postrzelili. Krwawa breja siekła go jak gruby śrut, usłyszał, jak odbija się z brzękiem od kasku, czuł, jak się po nim rozlewa. Na skarpie stali ludzie. Hargis mocniej zacisnął usta, żeby nie ściekła do nich spływająca z twarzy ciecz.

John leżał bezwładnie na składanym fotelu. Nellie Connally dźwignęła go i wzięła w ramiona. Przytuliła głowę do jego głowy. Udawała, że jest nim. Albo obydwójce żyli, albo obydwójce byli martwi. Nie mogło być tak, że żyje tylko jedno. Trzecia kula wszystko rozniosła. Obryzgała ich tkanką, fragmentami kości, miękkimi różowawymi grudami, wodnistą masą, krwią, mózgiem, wszystkim.

– Zabili mojego męża – powiedziała Jackie.

Równie dobrze mógłby to być jej własny głos, głos Nellie, głos kogoś, kto mówił za nią. Myślała, że John nie żyje. Nagle poruszył się lekko i w tym samym momencie Jackie zniknęła gdzieś z tyłu, ale jakimś cudem zaraz pojawiła się ponownie. John poruszył się w jej ramionach. Byli teraz jednym pompującym krew sercem.

Trafili nas. Postrzelili Lansjera. Walimy do Parkland. Gazem.

Limuzyna przyspieszyła i wszystko się rozmasało. Nellie pomyślała, jakie to straszne, jaki

straszny widok muszą sobą przedstawiać, jakie to okropne widzieć pędzący samochód z postrzelonymi ludźmi w środku; potworność, co za widok.

– Mam w ręku jego mózg – powiedziała Jackie.

Wszystko rozmazało się jeszcze bardziej.

Klaszczący mężczyzna w białym swetrze zobaczył, jak głowa prezydenta eksploduje. Minęły go motocykle. Pojawiła się broń, mężczyzna z pistoletem maszynowym w drugim samochodzie. Minał go i drugi samochód. Jeden z motocykli zarzucił tyłem na trawiastej skarpie pod betonową kolumnadą. Stał tam ktoś z kamerą, tam, na wsporniku, z kamerą wycelowaną w ich stronę, i mężczyzna w białym swetrze, z rękami, które zastygły bez ruchu na wysokości pasa, pomyślał, że powinien chyba rzucić się na ziemię, teraz, natychmiast. Jasna mgiełka wokół głowy prezydenta. I pracująca kamera.

Lee miał właśnie wystrzelić, był już w trakcie, już naciskał spust.

Światło było tak jasne, że aż rozdzierało serce.

Wtem jaskrawa eksplozja w samym środku pola widzenia. Straszliwy rozbryzg, eksplozja. Coś oderwało się od głowy prezydenta. Jakaś siła rzuciła nim do tyłu, otoczyła pyłem i mgłą. Nagle mgła opadła, a on osunął się w fotelu i znieruchomiał. Och, tak, Kennedy nie żyje, nie żyje!

Lee podniósł głowę i popatrzył w prawo. Za kolumnadą był biały betonowy murek, za murkiem drewniany płot. I jakiś człowiek na murku, na betonowym wsporniku, mężczyzna z kamerą. Płot tonął w głębokim cieniu. Na wiadukcie stały wagony towarowe.

Wstał i odsunął się od okna. Wiedział, że za trzecim strzałem chybił. Że kula poszła w bok. Że nikogo nie trafił. Że było to jedno wielkie pudło. Szarpnął uchwytem rygla.

Przełączcie mnie. Przełączcie mnie. Przełączcie mnie.

Już o tym komuś opowiadał. Już widział ten obraz: opowiada to mężczyźnie o teksańskiej twarzy, surowej, lecz przyjaznej i zaciekawionej. Wylicza mu sprzeczności. Mówi, że podstępnie go w to wciągnięto. Że... jak to mówią? Że się sfrajerzył. Widzi gabinet i flagę, zdjęcia dygnitarzy na ścianach.

Odwiódł rygiel, pchnął go do przodu i w dół. Ruszył po przekątnej w stronę klatki schodowej. Książki w pudełkach, po dziesięć pudeł w stosie. Zapach papieru i okładek.

Ryknęły zamontowane na zderzakach syreny, pojawiła się broń.

Dziewczynka już nie biegła. Stała i patrzyła przed siebie z twarzą bez wyrazu.

Kobieta z aparatem fotograficznym odwróciła się i zobaczyła, że ktoś robi jej zdjęcie. Że kobieta w ciemnym płaszczu celuje w nią obiektywem polaroida. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że widziała przez wizjer, jak kogoś postrzelono. Na twarzy i rękach miała krew. Pomyślała, jakie to dziwne, że ta kobieta, ta w ciemnym płaszczu, jest nią, a ona tą, którą postrzelono. Obryzgana różową cieczą poczuła się dziwnie, poczuła, że kręci jej się w głowie. Powoli usiadła na trawie. Po prostu usiadła. Kobieta z polaroidem ani drgnęła. Ta pierwsza, ta na trawie, odłożyła aparat i spojrzała na breję, jaką miała na rękach. Krążące nad wierzchołkami gołębie. Jeśli ją postrzelono, pomyślała, nie powinna chyba wstawać.

Agent Hill zeskoczył ze stopnia i popędził przed siebie. Padł drugi strzał. Stopień i zderzak lincolna – Hill wyciągnął lewą rękę i chwycił się metalowej klamry. Odgłos był jakby zdublowany. Albo padły dwa strzały, albo był to jeden strzał i odgłos, jaki wydaje pocisk uderzający w coś twardego. Chciał jak najszybciej dotrzeć do prezydenta, chciał go osłonić.

Wtedy zobaczył jego żonę. Pani Kennedy wypęzła z samochodu. Była już na bagażniku, czółgała się po nim z rękami na płask i prawym kolaniem na oparciu tylnego fotela. Pomyślał, że pewnie coś wypadło jej z rąk, że chce to podnieść, i zdał sobie sprawę, że tuż przedtem coś mignęło mu przed oczami, że widział jakiś rozbłysk, że to coś przeleciało przez pół limuzyny. Zepchnął ją na fotel. Lincoln wyrwał do przodu, omal nie zrzucając go na jezdnię. Byli pod wiaduktem, w cieniu, i gdy ponownie wyjechali na światło, zobaczył zalanego krwią Connally'ego. Ludzie, machające ręką dzieci. Kurczowo trzymał się klamry. Pędzili teraz na złamanie karku. Wieźli czworo zakrwawionych, stłoczonych razem pasażerów. Leżał na bagażniku. Nagle przyszła mu do głowy ta myśl, nagle go olśniło. Ona chciała zabrać stąd fragment czaszki męża.

Trzymał się ze wszystkich sił. Miał przed sobą głowę prezydenta, mógł do niej zajrzeć. Sto trzydzieści na godzinę.

Z OSTATNIEJ CHWILI

SSSSSSSS

KRWAWA PLAMAZAAP

KENNEDY CIĘŻKO RANNY

SSSSSSSS

MOŻE DAJ NIEWYKLUCZONE

NIEWYKLUCZONE ŻE CIĘŻKO RANNY

Raymo miał częściowo przesłonięty widok. Musiał poczekać, aż zza betonowego murku wychynie prawy bok lincolna. Wiedział już, że Connally oberwał. Zdażył jeszcze pomyśleć: Oswald zdejmuję ich jednego po drugim. Czuł, że ludzie padają na ziemię i rozpierzchają się na boki, chociaż nie widział ich w celowniku. Zza murku wysunęła się maska limuzyny, zaraz potem jej dalsza część. Wymierzył w głowę. Prezydent był pochylony w lewo, miał zamknięte z bólu oczy. Trzydzieści dziewięć metrów. Trzydzieści sześć metrów. Pociągnął za spust. Włosy stanęły Kennedy'emu dęba. Zafalowały i po prostu odleciały. Raymo zszedł ze zderzaka. Usiadł z tyłu. Frank ruszył. Przejechał między rzędami parkujących za składnicą samochodów. Jechał prosto na trzy wagony kolejowe z napisem „Hutchinson Northern”. Raymo nachylił się ku niemu. Uważaj, stary. Ale nie powiedział ani słowa.

Dowiedzcie się, czy prezydent będzie w stanie wystąpić. Czekają tu masa ludzi. Nie wiemy, co im powiedzieć, co ogłosić.

Frank znalazł dojazd do ulicy. Pacific Avenue, przecznica na wschód. Skręcił w Record Street. Magazyny i parkingi. Czuł, że ktoś siedzi w jego ciele, że to ten ktoś skręca i zakręca. Próbował nie myśleć o tym, co się stało. Nasyp i autostrada na wprost nich. Zadręczał go lęk przed tym, co będzie, kiedy skończą się wreszcie te wszystkie skrety i światła. Nie wiedział, jak będzie się czuł po powrocie do własnego ciała.

Pojawiła się broń.

Policjanci porzucili swoje harleje i z pistoletami w ręku wbiegali na skarpę. Obstawiający kawalkadę agencji tajnych służb odbezpieczyli pistolety maszynowe, dobyli rewolwerów.

Gołębie zawracały, leciały teraz na wschód.

Mackey obserwował to wszystko spod południowej kolumnady, z drugiej strony Main, mając przed sobą Commerce Street. Tu nie było nikogo, ani na trawniku, ani pod drzewami. Ta część

placu była symetryczna do tej niecałe sto metrów dalej, gdzie rozegrały się wszystkie wydarzenia, lecz całkowicie od niej odizolowana, wyludniona i zalana gorącym blaskiem słońca. Stał z założonymi rękami, opierając się o kolumnę. Spomiędzy palców prawej ręki zwisały mu okulary.

Zawyły syreny. Przed składnicą stali policjanci ze strzelbami, pokazując w górę. Stali ludzie, pokazując w górę. Ludzie z zadartymi głowami.

ZWOLNIJCIE NXR BIULETYN
SSSSSSSSS SNAJPER POWAŻNIE
RANIŁ
UWAGA WSZYSCY
ZWOLNIJCIE TO
NIE WCHODZIĆ NA

Mała dziewczynka zatkąła sobie uszy. Kawalkada się rozpadła, jedne pojazdy stały, inne śmigały obok nich. Cały ruch uliczny przeniósł się na Elm Street. Wielu ludzi biegło po schodach między drewnianym płotem i kolumnadą. Cały, cholera, tłum. Wielu leżało na brzuchu, w trawie. Jakiś mężczyzna walił pięścią w maskę samochodu. Inny wysiadł z samochodu i upadł. Urwane wrzaski i krzyki. Ludzie na kolanach. Ludzie siedzący z aparatami fotograficznymi, niedowierzający, niemogący złapać tchu.

Main Street pędził wóz straży pożarnej. Głępszego widoku Mackey nie widział od dwudziestu lat.

JESTEM NA TT
CZY MOGLIBYŚCIE NIE WCHODZIĆ NA
TO PASMO
SSSSSSSSSS
NIE WCHODZIĆ NA TO PASMO
SSSSSSSSSS
DZIŚ W CENTRUM DALLAS
SNAJPER CIĘŻKO RANIŁ
PREZYDENTA KENNEDY'EGO
NIEWYKLUCZONE ŻE ŚMIERTELNIE

Z tej odległości nie widział, czy wbiegający na skarpę ludzie chcą kogoś zlinczować, czy są po prostu w szoku, czy uciekają, biegnąc za innymi. Był przybity i chciało mu się pić. Od strony trawników ciągle dochodziły dziwne, chrapliwe krzyki, echo spod wiaduktu, gąszcz dobytych z rozpaczliwym wysiłkiem głosów przypominających mowę głuchoniemego.

Lee ukrył karabin na podłodze między rzędami pudeł w pobliżu strzałki wskazującej drogę do schodów. Łatwo go znajdą. Ale ukryć go musiał, musiał zrobić coś, czego się spodziewali, sprawić, żeby uwierzyli, że nie chciał, by go zidentyfikowano. Tak jak podkładkę z przypiętymi do niej zamówieniami, którą ukrył już wcześniej. Chciał, żeby coś znaleźli, żeby znaleźli

wierzchnią warstwę dowodów, którą mogliby zedrzyć.

Podobała mu się taka praca, taka z podkładką.

Szybko zbiegł schodami na dół i skręcił w stronę automatu z colą na pierwszym piętrze. Z butelką w ręku poczuje się bezpiecznie. Cola to rekwizyt, coś do noszenia, coś, co mówi, że ten, kto ją nosi, jest w porządku. Pomyślał, że warto mieć taki rekwizyt, że dzięki niemu wyjdzie bez przeszkód ze składnicy.

– Chodź tu. – Głos zza pleców.

Do stołówki wpadł policjant z rewolwerem w ręku. Na kasku miał plastikową osłonę od deszczu. Lee odwrócił się i ruszył powoli w jego stronę. Zrobił minę, jaką widzi się w środkach transportu publicznego, rozmarzoną i nieobecną. Celowo nie patrzył na wymierzony w jego pierś rewolwer.

Nadszedł Roy Truly i policjant spytał:

– Czy ten człowiek tu pracuje?

Truly odparł, że tak, i obydwaj poszli dalej w stronę schodów. Lee kupił colę, zszedł na parter i w dziurawej na łokciu koszuli wyszedł na ulicę.

Agent Grant stał przed zadaszonym wejściem do Trade Martu zaraz za Stemmons Freeway. Tłumaczył dwóm przedstawicielom miejscowych biznesmenów, jak mają się przedstawić prezydentowi. Usłyszał narastające wycie syren. Zobaczył wóz pilota, motocykle, zobaczył pędzącego ponad setką lincolna z kimś rozciągniętym na bagażniku. Za lincolnem jechały inne pojazdy, pełnym gazem – obłęd, zwariowana scena – a tuż za nimi przemknął autobus z dziennikarzami. Agent spytał biznesmenów, która jest godzina. Spojrzeli na zegarki, umiejscawiając wydarzenie w czasie.

ON LAAAAA

Jakiś mężczyzna trzymał Mary za rękę, a Mary płakała. Mężczyzna trzymał też jej aparat, próbując go odebrać. Featherstone z „Times Herald” tak się przedstawił.

– Myślałam, że to pies – mówiła Jean, jej przyjaciółka. – Że siedzi między nimi pies. I właśnie powiedziałam, że z psem to mogłaby podróżować Liz Taylor czy Gaborowie, ale nie oni.

Mary jej nie słuchała. Wciąż płakała i szarpała się z Featherstone’em. Featherstone nie chciał puścić jej ręki. Ciągnął ją za sobą w stronę Houston Street. Jean nie mogła wstać. Siedziała na trawie, próbując pozbierać myśli o tym psie. Chciała powiedzieć i w końcu powiedziała:

– I wreszcie rozpoznałam to małe puszyste coś. To były leżące między nimi róże.

Na złamanie karku autostradą nie wiadomo dokąd, z umierającymi mężami w ramionach. Wszystko miga i zostaje w tyle. Tablica reklamowa z napisem „Pora na wrotki”.

Lee wysiadł z autobusu, który utknął w korku, i ruszył na dworzec, żeby złapać taksówkę. Korki tworzyły się z oczywistych powodów, więc może autobus nie był najlepszym pomysłem. Szedł na południe Lamar Street, zewsząd słysząc wycie syren, i nagle zauważył wolną taksówkę. Zdażył się już nieco oddalić od tłoku i zamieszania.

Usiadł obok kierowcy, gdy wtem dostrzegł w oknie głowę jakiejś miłej staruszki. Chciał wysiąść. Odstąpić jej taksówkę. Ale kierowca już ruszył, więc podał mu adres kilka ulic od pensjonatu. Pięć, sześć minut jazdy przez stary wiadukt. Taksjarsz powiedział, że wszystkie radiowozy jeżdżą na trójce. Koguty, syreny, kod trzeci. Zastanawiał się dlaczego.

Lee wysiadł i ruszył na północ Beckley Street, słysząc dzwonięcie w powietrzu, po raz pierwszy popadając w nerwowość.

Jak wyglądam?

Jeśli ktoś mnie teraz widzi, to pomyśli, że skąd wracam?

Sprawdzał numery rejestracyjne parkujących na chodniku samochodów.

Czy wyglądam jak ktoś, kto wraca stamtąd?

Miał pusty żołądek, rdzawy smak w ustach, coś sączyło mu się z dziąseł.

Znajomy, łaciaty smutek tej części Oak Cliff, tablice z napisem „Pokoje do wynajęcia” łysiejące drzewa, sznury na bieliznę, nagie frontony domów.

Żałował, że nie zabrał ze sobą tej coli.

Gospodyni oglądała telewizję i mówili o tym na wszystkich kanałach. Coś powiedziała, ale on bez słowa poszedł dalej. W toalecie sikał i sikał. Lało się z niego jak z sikawki.

To dzwonięcie w powietrzu.

Wszedł do swego pokoju, otworzył szufladę komody i wyjął trzydziestkęósemkę. Zdrowy rozsądek. Nie mógł teraz wyjść bez rewolweru. Akurat tego dnia najbardziej potrzebował ochrony.

Znajdą karabin Hidella. W garażu Ruth Paine leżały dokumenty, też Hidella. W portfelu było ich pełno. Musiał więc mieć przy sobie jego broń, tak nakazywała logika. Tuzin kolejnych warstw do zderzenia. Wszystko do siebie pasowało. Hidell.

Wyzbrał z szuflady naboje. Te, które Dupard kupił na ulicy. Czy w ogóle da się nimi strzelać?

Niebieską marynarkę zostawił w pracy. Wziął szarą. Bez względu na to, gdzie spędzi tę noc i resztę życia, marynarka zawsze mu się przyda. Poza tym zasłaniała rewolwer.

Pokój. Żelazne łóżko.

Czy ktoś zobaczy to wyrzucenie na biodrze?

Biały mężczyzna o nieustalonej tożsamości. Szczupły.

Wyszedł na ścieżkę przed domem. Nie bardzo wiedział, co robić. Cała jasność myślenia prysła. W powietrzu wisiało nerwowe napięcie.

Jak wyglądam?

Czy idąc ulicą, będę rzucał się w oczy?

Skręcił w Beckley Street, doszedłszy do wniosku, że nie ma wyboru, że może tylko iść do kina, gdzie mieli go odebrać. Wiedział, że nie może im ufać, ale nie miał dokąd pójść. Miał przy sobie czternaście dolarów i bilet autobusowy. Był na ich łasce. Mógł wpaść w zasadzkę. Ta natrętna myśl, myśl, że decyzje podejmują teraz inni. Chciał wierzyć, że on nie ma już na nic wpływu.

W oddali zobaczył jadący w jego stronę radiowóz i skręcił w Davis Street, wiedząc, że zrobił to za szybko. Ulice były prawie opustoszałe. Chociaż radiowóz zniknął za rogiem, widział, jak gliniarz mruży oczy, jak go obserwuje.

Dobra, postrzelił go. Ale nie zabił. Trafił w górną część pleców, w kark, i rana na pewno nie była śmiertelna. Potem chybił i trafił gubernatora. A za trzecim razem kompletnie spudłował. Są okoliczności, o których nie wiedzą. Bo czy to na pewno on stał w tym oknie? Mogło być zupełnie inaczej, niż myślą. Mogli go wrobić.

Szczupły biały mężczyzna. Metr siedemdziesiąt pięć.

Radiowóz pojawił się znowu, na Patton Street, więc przeszedł pół ulicy, a potem zrobił w tył zwrot i ruszył w przeciwną stronę. Żeby zmylić tamtego. Pomyślał, że jeśli zawróci i pójdzie tam, gdzie widział radiowóz, radiowozu już tam nie będzie.

Czy wyglądam na podejrzanego, który próbuje uciec?

Odkryli już, kogo brakuje w składnicy?

Jakie im podam nazwisko, jeśli mnie spytają?

Doszedł do Dziewiątej. O tej porze dnia nikogo tu nie było. Zamierzał szybko wrócić na

Beckley i dojsć do Jefferson. Na chodniku stało dwanaście wielkich suszarek do włosów. Na trawniku leżał materac.

Chciał kiedyś pisać opowiadania z życia współczesnej Ameryki.

Myślał, że na skrzyżowaniu Dziesiątej i Patton zobaczy – jeśli w ogóle – radiowóz jadący w przeciwnym kierunku. Tymczasem radiowóz jechał na wschód, po jego prawej stronie, prosto na niego. Przeszedł na drugą stronę ulicy i tym razem ruszył na wschód, ale radiowóz cały czas jechał za nim, szesnaście, dwadzieścia kilometrów na godzinę, z prędkością kawalkady, radiowóz cały czas go prowokował.

Kącikiem oka dostrzegł numer na drzwiach. Dziesięć. Radiowóz numer dziesięć na Dziesiątej Ulicy.

Nie wiedział, czy to on zatrzymał się pierwszy, czy tamten. Pewnie zrobili to jednocześnie. Podeszedł do okna od strony pasażera.

Odezwali się też jednocześnie.

On powiedział:

– O co chodzi, panie władzo?

A gliniarz, facet o wyrazistych rysach twarzy, chyba w jednej ósmej Indianin:

– Mieszka pan tu, kolego?

Lee wetknął głowę do środka, czując stęchły zapach papierosowego dymu.

– Jest jakiś powód, dla którego chce pan ze mną rozmawiać?

– Obserwuję pana i widzę, że robi pan jakieś uniki.

– Przecież idę ulicą w jasny dzień.

– A według mnie robi pan wszystko, żeby nikt pana nie zauważył.

Skrzeczwał głośnik radionadajnika.

– Jestem zwykłym obywatelem i po prostu sobie idę.

– W takim razie może powie mi pan dokąd.

– Chyba nie muszę. Mieszkam w tej okolicy; powiedziałem panu więcej, niż wymaga prawo.

Postanowił przyjąć tę postawę, postawę obywatela napastowanego przez policję. Bo nawet jeśli mieli jego rysopis od świadków, którzy widzieli go w oknie, czy mógł to być rysopis szczegółowy?

– Dla własnego dobra.

– Przecież idę tylko ulicą.

Ktoś w polu widzenia, kobieta dochodząca do skrzyżowania Dziesiątej i Patton Street.

– Ma pan jakieś dokumenty?

– Ja tu mieszkam.

– Powtarzam ostatni raz.

Nie lubił, nie znosił sytuacji, kiedy gliniarz siedział sobie w radiowozie, a klient musiał podejść do niego z dokumentami, zgięty w pół, pochylony w stronę okna.

– Pytam tylko, z jakiego powodu.

– Lepiej pokaż mi jakieś papiery, i to szybko.

– Już pan mówił.

– No to już.

– Jestem zwykłym przechodniem.

– Powtarzam ostatni raz.

Mówili jednocześnie. Policjant siedział w tym swoim fordzie i zaczynał się wkurzać. „Rozczochrane włosy” – zaskrzeczało w głośniku.

Dziesiąta Ulica, radiowóz numer dziesięć. Zbiegają się wszystkie ścieżki.

– Słuchaj, koleś. Jeśli będę musiał wysiąść.

- To napastowanie.
 - Chcę zobaczyć twoje ręce.
 - Stąd te wszystkie nieporozumienia.
 - Kurwa mać, ręce na maskę.
 - Słyszę.
 - No to, kurwa, łapy na maskę, chuderlaku.
- Nie spuszczając go z oka, policjant położył rękę na klamce. Przechodzili na inny poziom.
- Pytałem tylko za co.
 - Ręce, ręce. Chcę widzieć ręce.
 - Znam swoje prawa, idę spokojnie ulicą i nikogo nie zaczepiam.

Policjant wysiadł z radiowozu. Rzucił coś w rodzaju:

- Tylko powoli, bardzo powoli.

Na co Lee odparł:

- Jestem na spacerze, w swoim własnym mieście.

Mówili jednocześnie.

Policjant stał po drugiej stronie radiowozu. Na ulicy prawie nikogo. Lee wyjął zza pasa trzydziestkęsemkę i wystrzelił cztery razy, szybko mrugając i coś do siebie mamrocząc. Biedny, głupi gliniarz. Rozdziawił usta i osunął się na zderzak. Wtedy Lee zobaczył tę kobietę – stała jakieś trzydzieści metrów dalej i na pewno spotkali się wzrokiem. Upuściła coś, co niosła, i zasłoniła rękami twarz. Lee potruchtał w kierunku Patton i skręcił na południe, wyrzucając po drodze łuski i ponownie nabijając rewolwer.

Helen oderwała ręce od oczu. Była zupełnie sama i przeraźliwie krzyczała. Czapka policjanta upadła kilka kroków od ciała. A on leżał na boku i buchała z niego krew. Helen podniosła torebkę i buty, w których zwykle pracowała, i wciąż przeraźliwie krzycząc i wzywając pomocy, ruszyła w tamtą stronę. Szła pochylona i krzyczała na bezwładne ciało.

Potem pojawili się jacyś ludzie, jakiś mężczyzna wysiadł z pickupa. Zanosząc się krzykiem, Helen podeszła jeszcze bliżej. Mężczyzna siedział już w radiowozie.

- Halo – mówił. – Halo. Halo.

Kałuża krwi miała owalny kształt. Helen obeszła policjanta i postawiła buty na masce. Nachyliła się i zobaczyła rany na jego piersi i głowie. Nie mogła uwierzyć, że ma tyle krwi.

- Halo, halo, halo – mówił Meksykanin do deski rozdzielczej.

Potem przyjechała karetka i mnóstwo radiowozów z czerwonymi światłami i syrenami, a na chodnikach i trawnikach zaroilo się od samochodów i ludzi fotografujących krwawe plamy na jezdni. Helen stała przed drewnianym domem pół ulicy dalej, gdzie się jakoś znalazła, próbując opowiedzieć detektywowi to, co widziała. Była kelnerką w barze Eat Well w śródmieściu i właśnie szła na przystanek, żeby pojechać do pracy. Tak, trzy albo cztery strzały, bardzo szybkie, jeden po drugim.

Na masce radiowozu policjanta Tippita stały białe płócienne buciki. Skupieni wokoło detektywi z wydziału zabójstw patrzyli na nie w zamyśleniu. Nie wiedzieli, co to znaczy.

Wayne Elko siedział w ostatnim rzędzie środkowego sektora Texas Theater, oglądając czarno-biały film *Cry of Battle* z Vanem Heflinem i aktorami, których nigdy dotąd nie widział. Film zaczął się przed godziną i Van Heflin zastrzelił już Atonga, filipińskiego bandziora. Rzecz ma miejsce jakiś czas po Pearl Harbor i Wayne był pewien, że Japończycy szykują nocny atak na filipińskich partyzantów i ich amerykańskich przyjaciół. Pod marynarką miał pistolet tarczowy z obciętą lufą i dwudziestocentymetrowej długości tłumikiem. W kinie było siedmiu widzów. Siedzieli rozproszeni po całej sali. Wystrzał zabrzmiał jak kasznięcie.

W filmie występowała kobieta partyzant w obcisłych dżinsach. Cały Hollywood! Wymyślają te babki na takie popołudnia jak to, białe i obnażone, i dla tych znudzonych facetów, czających się w ciemności. I właśnie wtedy na końcu przejścia pojawił się Lee. Stał tam przez chwilę, czekając, aż oczy przywykną do ciemności. Miał potargane włosy, koszulę na spodniach i robił wrażenie przerażonego, spanikowanego. Usiadł w trzecim rzędzie od końca. Dwa rzędy przed nim, cztery krzesła w prawo.

Spokojnie, Wayne. Nie spiesz się.

Na srebrzystych twarzach malował się wyraz to strachu, to pożądania. Czekał, aż będzie głośniejszy, aż hordy Japończyków wpadną do obozu partyzantów z karabinami maszynowymi i granatami w rękę. Zamierzał wstać, dojść do przejścia, przystanąć za Oswaldem, szepnąć mu do ucha: *Adiós*, pociągnąć za rowkowany spust i natychmiast ruszyć do drzwi.

Ale najpierw zaczeka na krzyki i wybuchy.

Niech wzrośnie napięcie.

Tak jak na filmach.

Ale napięcie wzrosło wcześniej, niż zakładał. Cztery czy pięć minut po przyjsciu Oswalda otworzyły się drzwi obok sceny i pojawiły się w nich sylwetki. Zaraz potem wszedł ktoś drzwiami od tyłu, a w holu zabrzmiały czyjeś głosy. Zapaliło się światło i Wayne zobaczył w przejściach policjantów. Dwóch stało na scenie i z dłonią na rękojeści rewolweru rozglądało się po sali.

Z przeciągłym buczeniem zgasł ekran.

Obszukali dwóch mężczyzn z pierwszych rzędów. Ruszyli do przejścia. Boczными drzwiami weszli kolejni. Na ulicy wyły syreny. Jeden z tych dwóch zeskoczył ze sceny. Drugi wyciągnął rewolwer. Bez paniki, Wayne. W stronę Oswalda szedł gliniarz o zawianej twarzy. Lee wstał i coś powiedział. Gdy gliniarz wszedł między rzędy, Oswald go uderzył. Trafił w twarz. Huknął go tak mocno, że tamten zgubił czapkę. Policjant mu oddał. Lee wygiął się do tyłu z bolesnym uśmiechem i w jego rękę pojawił się rewolwer.

Wtedy rzucili się na niego, wszyscy. Policjanci stękali i tłukli kolanami w krzesła. Posypały się przekleństwa. Wayne usłyszał metaliczne kliknięcie i pomyślał, że to kurek, że ktoś odbezpieczył broń. Dopadli go z tyłu, z sąsiedniego przejścia, chwycili za szyję i włosy. Lee omal nie zerwał któremuś identyfikatora z koszuli. Szarpali się i szarpali, niezdarnie, lecz krewko.

Wreszcie wyrwali mu rewolwer z ręki i spróbowali go skuć. Między rzędami roило się od gliniarzy. Trochę go tam poturbowali.

Skuli go wreszcie i pchnęli w stronę przejścia. Policjanci wciąż tłukli kolanami w krzesła, podnosząc swoje czapki i latarki. Potem stłoczyli się wokół niego i szybko wyprowadzili go do holu.

Wayne usłyszał jeszcze jego głos:

– Policja, policyjna brutalność.

Przez kilka chwil widzowie nie wiedzieli, co robić. Potem ci, którzy stali, wrócili na swoje miejsca. Ktoś krzyknął:

– Światło!

Ktoś inny przekrzywił głowę i powtórzył:

– Światło, światło!

Czekali, słysząc, jak w oddali cichnie wycie syren. Ktoś zaczął klaskać.

– Światło! – krzyknął Wayne. – Światło!

Piętnaście sekund później zgasło światło i rozjarzył się ekran.

Zadowoleni widzowie usiedli wygodniej. Wayne poczuł, jak powraca nastrój, ta miła

atmosfera oczekiwania. Mieli do obejrzenia jeszcze połowę filmu. No i drugi film, cały, *War Is Hell*.

Aresztant stał w windzie niedostępnej dla zwykłych pasażerów. Tłoczyło się wokół niego czterech detektywów o kamiennych twarzach, smukłych mężczyzn w ciemnych garniturach, krawatach i kowbojskich kapeluszach.

W korytarzach kłębił się tłum reporterów i dziennikarzy. Czekali, aż sprowadzą aresztanta na przesłuchanie, tu, do sali na drugim piętrze gmachu policyjno-sądowego. Na wózkach stały kamery telewizyjne, a z parapetów zwisały kable ciągnące się przez biura zastępców szeryfa. Nikt nie sprawdzał nikomu dokumentów. Reporterzy oblegali telefony i wpychali się do służbowych toalet. Korytarzami snuli się zupełnie obcy ludzie, pozwani z innych części gmachu, świadkowie, turyści, mamroczący pod nosem mężczyźni, pijacy w porwanych koszulach. Zamieszanie, kompletny burdel. Plotka goniła plotkę. Jakiś reporter pisał coś w notesie na plecach naczelnika miejscowej policji.

I skandowali:

– Sprowadźcie go, pokażcie go. Sprowadźcie go, pokażcie go.

Mijające godziny. Puste twarze pod ścianami. Mężczyźni kucający przy windach. Wyczuwali w tym jakąś niekompletność, czuli, że pełno tam dziur, luk, bezładu, niewypełnionych miejsc, pustych korytarzy, ciemnych miast, pełno zatrzymanego życia. Ludzie tęsknili za wiadomościami. Tylko wiadomości mogły ich na powrót scalić, przywrócić im zdolność odczuwania. Trzystu reporterów stłoczonych w ciasnocie, a wszyscy napierają, żeby wyrwać z nich chociaż słowo. Słowo to magiczne zaklęcie. Czyjekolwiek słowo. Dysponując słowem, opletliby świat siatką, błyskawicznie stworzyli nową powierzchnię, którą ludzie mogliby razem zobaczyć, której mogliby razem dotknąć. Dzwoniące telefony, prawie awantury, przydymione oczy, wisząca w powietrzu śmierć i zgryzota. Czy Connally żyje? Czy Johnson jest bezpieczny? Czy w SAC ogłoszono alarm? Zaczynali czuć się odizolowani w tym gmaszynie z szarego teksańskiego granitu. W radiu słyszeli swoje własne wiadomości, oglądali je na przenośnych telewizorach. Ale co tak naprawdę wiedzieli? Wiadomości były gdzie indziej, w Parkland Hospital, w Air Force One, w głowie aresztanta na czwartym piętrze.

Ktoś powiedział, że już idą. Stłoczone poruszenie, jak wśród podrażnionych pszczoł. Potem przepychanka na korytarzu, walka o miejsce. Gdy stanął w drzwiach windy, szczupły, nieogolony mężczyzna w kajdankach, z podbitym okiem, trochę im odwaliło. Skuleni fotoreporterzy idący tyłem do przodu, najeżony mikrofonami tłum, wrzask, wyciągające się ku niemu ręce. Ryk, furia w korytarzu. Kamery telewizyjne nad głowami eskortujących go funkcjonariuszy. Musieli rozpychać się łokciami, przecząc przez tłum w stronę sali przesłuchań. Jedno oko podpuchnięte, drugie z rozciętą brwią, zwisająca koszula. Wyglądał jak wychodzący na fajkę menel. Tylko ten upór na twarzy, ta nieustępliwość. Błyskały flesze. Reflektory tych z telewizji przypiekały najbliższe głowy. Reporterzy gapili się i wyli. W młynie wokół aresztanta trudno było oddychać. Patrzyli na niego. I wrzeszczeli.

– Dlaczego zabiłeś prezydenta?

– Dlaczego zabiłeś prezydenta?

Odparł, że nie pozwalają mu wziąć prysznic. Że odmawiają mu prawa do podstawowych zabiegów higienicznych. Eskorta przepchnęła go wreszcie do drzwi.

Już przesłuchany, oskarżony, skonfrontowany. Ilekroć wysiadał z windy, czuł buchające z tłumem gorąco, wyczuwał zawirowania wilgotnego powietrza. Zabójca, morderca.

W celi rozmyślał, jak to rozegrać. Mógłby tak albo inaczej. Wszystko zależało od tego, co wiedzieli.

Siedział w środkowej celi bloku o zaokrąglonych środkach bezpieczeństwa. Sąsiednie cele były puste. Nieustannie obserwowało go dwóch strażników w zamkniętym na klucz korytarzu.

Gdy wracał do celi, za każdym razem kazali mu się rozbierać. Siedział w samej bieliźnie. Bali się, że jak zostawią mu ubranie, to coś sobie zrobi.

Prycza, wyszczerbiona umywalka, skośna dziura w podłodze. Brak spłuczki. Musiał korzystać z dziury.

Zglądali mu do tyłka. Raz przyszli, dwóch takich z FBI, zgolili mu trochę włosów łonowych i ostrożnie włożyli je do plastikowych woreczków.

Rewolucja musi być szkołą nieskrępowanej myśli.

W sali przesłuchań siedzieli funkcjonariusze policji z Dallas, funkcjonariusze policji stanowej, agenci tajnych służb, agenci FBI, szeryfowie okręgowi, inspektorzy pocztowi i egzekutor sądowy. Brak magnetofonów, brak stenotypistki.

Nie, nie posiada karabinu.

Nie, nikogo nie zastrzelił.

To nie on jest na zdjęciu, które znaleźli w garażu Ruth Paine – mężczyzna z karabinem, rewolwerem i lewicowymi czasopismami w ręku. Zdjęcie jest podrobione, to widać. Wzięli jego głowę i przykleili do czyjś ciało. Pracował kiedyś w firmie graficznej i zna te sztuczki. Jedyną rzeczą ze zdjęcia, która do niego należy, jest twarz, a twarz jest z innego zdjęcia.

Zaprzeczył, że zna A.J. Hidella.

Nie, nigdy nie był w Mexico City.

Nie, nie podda się badaniu na wariografie.

Spytali go, czy wierzy w Boga. Odparł, że jest marksistą. Ale nie marksistą-leninistą.

Było jasne, że tego nie rozróżniają.

Ilekcioć prowadzili go na dół, słyszał swoje nazwisko w radiu i telewizji. Lee Harvey Oswald. Brzmiało bardzo dziwnie. Nie rozpoznawał w nim siebie. Pełnego nazwiska używał tylko wtedy, gdy wypełniał formularz z miejscem na drugie imię. Nikt się do niego tym imieniem nie zwracał. A teraz było wszędzie. Słyszał, jak dochodzi ze ścian. Jak wypowiadają je reporterzy.

Lee Harvey Oswald, Lee Harvey Oswald. Brzmiało głupio, idiotycznie, jak zmyślone. Mówili o kimś innym.

Mężczyźni w kowbojskich kapeluszach przepchnęli go przez tłum do windy. Podniósł skute ręce i zacisnął pięść. Błysnęły flesze, buchnęły chrapliwe okrzyki. Wywrzaskiwali pytania, zakrzykiwali odpowiedzi. Windą na blok.

W pierdłu. W pudle. W kiciu. W wielkim domu. Gdy włączają prąd, migoczą światła. Żegnaj, mamusiu.

Mokre od deszczu ulice.

Siedział w celi i czekał na rozwój wydarzeń. Wiedział, że jest późno. Wyobraził sobie ulicę Ruth Paine, trawniki i platan. Czy Marina leżała już w łóżku, przerażona i zasmucona – czy żałowała, że nie okazała mu więcej szacunku, nie dostrzegła wagi jego idei? Chciałby do niej zadzwonić. Wyobraził sobie, jak bezwładną ręką spod ciepłej kołdry Marina podnosi słuchawkę, wyobraził sobie jej ufne, senne „halo”, jej zamknięte oczy.

Nigdy nie czuj się winna. Nigdy nie myśl, że to przez ciebie, bo to przeze mnie. Zawsze przeze mnie.

Zaraz znowu zabiorą go na dół. Przypuszczał, że zwolnią go, jeśli tylko będzie konsekwentnie trzymał się swojej wersji wydarzeń. Tak jak Rosjanie zwolnili Francisca Gary'ego Powersa. I tego profesora z Yale aresztowanego za szpiegostwo. Dęte oskarżenia. „Klawisz” to w więziennym żargonie „strażnik”.

Zaprowadzili go do sali odpraw w suterenie. Zwozili go na dół już czwarty raz tego dnia. Trzy razy ciągnęli go na konfrontację. A teraz, o północy, chcieli, żeby stanął przed dziennikarzami na oficjalnej, kontrolowanej konferencji prasowej.

Piekło i dom wariatów. Zbity tłum aż na korytarzu. Próbujący wepchnąć się do środka dziennikarze ze Wschodniego Wybrzeża i z Europy, którzy dopiero co przyjechali; mieli złane potem twarze i byli w rozwiązanych krawatach. Aresztant stał na scenie przed weneckim lustrem, jakiego używają na konfrontacjach. Miał skute z tyłu ręce. Fotoreporterzy natychmiast przypuścili szturm, łażąc pod sceną jak raki. Krzyczeli do niego dziennikarze. Niosły się dziwne, jękliwe odgłosy przypominające czyjąś charyzmatyczną przemowę. Naczelnik policji nie mógł wejść do sali. Próbował się wepchnąć, mocno pracując łokciami. Bał się o bezpieczeństwo aresztowanego.

Przez tłum przedzierał się krzepki, tęgi jegomość, przedstawiając policjantom reporterów spoza miasta. Rozdawał nowiutkie ulotki reklamowe jakiegoś klubu. Któż to mógł być, jeśli nie Jack Ruby? Był z tych reklamówek bardzo dumny, bo na każdej widniała butelka szampana i świecąca gołym tyłkiem dziewczyna w czarnych pończochach. Taki wabik na klienta, ale wabik z klasą. Nikt nie kwestionował jego obecności w sali odpraw. Wchodząc do jakiegoś budynku, wnosił ze sobą poczucie władzy. Szukał reportera radiowego nazwiskiem Joe Long, bo miał w samochodzie tuzin kanapek z peklowaną wołowiną – zamierzał je rozdać członkom ekipy KLIF, którzy pracowali do późnej nocy, relacjonując niedowierzającemu miastu te obłąkane wydarzenia. Ale zamiast Longa złapał Russa Knighta, Weirda Bearda, i torując mu drogę do prokuratora okręgowego – Russ chciał go nagrać – umówił się z nim nawet na wywiad. Tej nocy Jack był dziennikarzem i facetem od poufnych informacji. Całkowicie panował nad umysłem, nad swoimi reakcjami. Pod ręką miał ołówek i notatnik na wypadek, gdyby usłyszał coś, co mógłby sprzedać NBC.

Tak jest, chłopcy, sfotografujcie tego szczura.

Chodziło mu po głowie, żeby pojechać potem do redakcji „Timesa Herald” i zajrzeć do zecerni. W samochodzie miał swoją deskę i pomyślał, że mógłby zrobić tam pokaz, tak dla jaj. Lubili, kiedy tańczył rumbę, żeby pochwalić się swoją deską.

Dopadły go potworności dnia. Rozszlochał się, rozmawiając z jakimś reporterem pod ścianą.

Chłopcy, spytajcie cwaniaka, dlaczego to zrobił.

Dziennikarze nie przestawali wrzeszczeć. Aresztant próbował odpowiadać na pytania, a może złożyć oświadczenie, ale nikt go nie słyszał. To było jak zamieszki na posterunku policji. Za duży tłum, za duże niebezpieczeństwo. I detektywi przerwali konferencję, zanim się na dobre zaczęła.

Zaprowadzili go z powrotem do celi. Rozebrał się do bielizny i zamyślony usiadł na prycy, czując, jak jego ciało wciąż wibruje od hałasu w sali. Cela to stan wyjściowy, to surowa prawda o świecie.

Mógłby rozegrać to tak lub inaczej, zależnie od tego, co by mu udowodnili. Wcale nie był na piątym piętrze. Był w stołówce i jadł lunch. Wrobiono go, jest ofiarą spisku. Knuli ten spisek od lat, obserwowali go, wykorzystali, z niewinnych faktów z jego życia stworzyli serię dowodów. Ale mógłby też powiedzieć, że ponosi tylko część winy, że jest kozłem ofiarnym, który miał odwrócić uwagę od prawdziwych zamachowców. Zgoda, strzelał z okna. Ale nikogo nie zabił. Nigdy nie zamierzał oddać śmiertelnego strzału. Nigdy nie zamierzał doprowadzić do czyjejś śmierci. To miała być tylko demonstracja polityczna. Za zabójstwo odpowiadali inni. Zorganizowali to tak, żeby wszyscy uznali, że działał sam. Przykleili jego głowę do czyjegoś ciała. Sfałszowali jego nazwisko w dokumentach. Zrobili z niego największego frajera w historii.

Jeśli będzie musiał, poda im wszystkie nazwiska.

W Dallas

Dealey Plaza jest symetryczna. Składa się z pasujących do siebie kolumnad, drewnianych płotów, trójkątnych trawników i basenów, przeciętych na pół Main Street, która biegnie pod wiaduktem prosto do centrum Dallas. Po jednej stronie Main Elm Street wychodzi łukiem spod wiaduktu i biegnąc pod górę z boczem lekkiego wzniesienia, mija Tekszańską Składnicę Książek Szkolnych, gdzie w oknie piątego piętra czekał Lee Oswald z karabinem w rękach. Po drugiej stronie Main biegnie na wschód Commerce Street, którą można dojechać do Karuzeli, sześć ulic w stronę centrum, gdzie o czwartej nad ranem siedzi Jack Ruby, przeklinając tego szyderczego sukinsyna, który zabił naszego prezydenta.

Jack był sam i rzygał. Wyrzygał wszystkie posiłki z ostatnich trzech tygodni. Pięć minut płakał, pięć rzygał. Oswald – nie mógł znieść brzmienia tego nazwiska. Nawet gdy opuszczało jego umysł, czekało na końcu każdej skurczonej myśli.

W piątkową noc niektóre kluby były otwarte. On swoje zamknął, Karuzelę i Vegas. Chciał je zamknąć na cześć zastrzelonego prezydenta.

Zwymiotował jeszcze raz, do jednego z polietylenowych pokrowców na deskę do tańca. Potem podniósł słuchawkę i zadzwonił do swego współlokatora, George'a Senatora.

– Co robisz? – spytał.

– Co robię? Śpię.

– Dureń. Zabili prezydenta.

– Jack, to było wczoraj.

– Jedziemy robić zdjęcia. Gdzie jest polaroid?

– W klubie.

– Widziałeś te tablice z Warrenem? Te „Usunąć Warrena”? Jedna jest gdzieś tutaj. Jadę po ciebie.

– Jack, musisz o czymś wiedzieć. Dochodzi do ciągłych kolizji między godziną, o której wstaję, a godziną, o której ty kładziesz się spać. Po prostu do siebie nie pasują.

– Ubieraj się, szybko.

Znalazł aparat i pojechał do domu. Blok stał przy autostradzie i wyglądał jak motel, który zmienił zdanie. Wszystko tu było ruchome. George siedział na żelaznych schodach, w luźnym ubraniu i papciach. Pojechali z powrotem do centrum.

Jack wyjaśnił mu charakter misji.

Przede wszystkim w „Morning News” było to ogłoszenie. „Witaj w Dallas, panie Kennedy”. Seria obelg i kłamstw. Nie żeby Jack w pełni zrozumiał, o co tam chodzi. Ale najbardziej rzucił mu się w oczy ten wredny ton. No i czarna obwódka. No i oczywiście to, że podpisał je jakiś Bernard Weissman. Żyd albo ktoś, kto podawał się za Żyda, żeby Żydów oczernić. I tak się przypadkiem stało, że mijał niedawno tablicę z pięcioma wielkimi słowami. „Usunąć z urzędu Earla Warrena” Pod ogłoszeniem był numer skrytki pocztowej. Na tablicy też. I jak o tym teraz pomyślał, to numery skrzynek były chyba takie same.

– Dlatego próbuję to ze sobą połączyć.

– Myślisz, że to jedna i ta sama osoba?

– Osoba albo grupa osób. A ponieważ chodzi o prezydenta, będę myślał jak reporter z działu kryminalnego.

Objechali całe śródmieście, żeby znaleźć tablicę z Earlem Warrenem i porównać numery

skrytek. Jack był przekonany, że to spisek. Na dwóch pierwszych miejscach listy podejrzanych zamieścił Stowarzyszenie Johna Bircha i komunistów. Miał przy sobie notes i ołówek, żeby zapisać szczegóły.

To czyste i samotne uczucie, gdy nie ma innych samochodów. Światła uliczne zmieniają się tylko dla ciebie.

Na Central Expressway znowu zaczął rzygać. Z prawą ręką na kierownicy otworzył drzwi, spuścił głowę i wyrzygał się na jezdnię. Kierunek jazdy utrzymywał, patrząc na białą linię na asfalcie, ledwie kilkadziesiąt centymetrów niżej. George wrzasnął, żeby się zatrzymał albo oddał mu kierownicę. Jack usiadł prosto. Spokojnie, odrzekł. Robił to już jako nastolatek, dorastając na najbardziej niebezpiecznych ulicach Chicago. Inaczej by tam nie przeżył. Potem wychylił się za drzwi i ponownie zwymiotował. Przez ten gwałt na jego duszy wyrzygał pół życia.

Tablicę znaleźli na Hall Street. George wysiadł i zrobił trzy zdjęcia z fleszem. Dla Jacka było to polowanie na najważniejszy trop, na namacalny dowód rzeczowy. Teraz musieli tylko znaleźć to ogłoszenie i porównać numery skrytek. Jack nie pamiętał, gdzie zostawił gazetę. Pojechali do baru kawowego w Southland Hotel, żeby trochę ochłonąć po tych emocjach. Bar albo się właśnie zamykał, albo otwierał. Stara, pochylona Murzynka przecierała mopem podłogę. Usiedli przy ladzie, no i proszę: tuż obok leżała gazeta, jakby tam na nich czekała. Popatrzyli po sobie. Jack szybko przerzucił kartki i znalazł ogłoszenie. George wyjął zdjęcia.

Numery nie pasowały.

Jack rozejrzał się, żeby zamówić kawę. Nawet tego nie skomentował. Miał apatyczne oczy i przytępiony wzrok. Jak takie kompletne nic, takie kompletne zero w podkoszulku mogło nagle zabić naszego prezydenta?

Przejechali przed Karuzelą, żeby popatrzeć na wywieszkę. Tylko jedno słowo: ZAMKNIĘTE.

Potem wrócili do domu. Jack przespał się kilka godzin, wstał, wziął preludin, popił sokiem grejpfrutowym i obejrzał w telewizji słynnego rabina z Nowego Jorku.

Rabin przemawiał wspaniałym barytonem. Wychwalał prezydenta, mówił, że oto Amerykanin, który walczył na wszystkich frontach, który zwiedził cały świat i który wrócił do USA tylko po to, żeby zabito go strzałem w plecy.

To, w połączeniu z piękną frazeologią, sprawiło, że Jacka zalała fala przeraźliwego smutku. Wyłączył telewizor i podniósł słuchawkę telefonu.

Zadzwoił do czterech osób, żeby powiedzieć im, że zamknął klub na weekend.

Zadzwoił do Chicago, do swojej siostry Eileen, i się rozszlochał.

Zadzwoił do KLIF i poprosił do telefonu Weirda Bearda.

– Powiem szczerze – zaczął – że nie mam pojęcia, o czym gadasz na antenie, ale słucham cię, kiedy tylko mogę. W twoim głosie jest coś podtrzymującego na duchu.

– To radio osobowościowe, Jack. Ma przyszłość.

– Poza tym gdzie w tym mieście można zobaczyć faceta z brodą?

– Jestem jedyny.

– Russ, dobry z ciebie człowiek, dlatego chcę ci zadać pytanie.

– Wal, Jack.

– Kto to jest Earl Warren?

– Earl Warren. Mówimy o bluesie czy o rock and rollu? Przez jakiś czas na Zachodnim Wybrzeżu śpiewała Earlene (Big Sister) Warren.

– Nie, Earl Warren, z tych tablic „Usunąć Warrena”. Z tych czerwono-biało-niebieskich.

– „Usunąć z urzędu Earla Warrena”.

– Otóż to.

– Warren jest przewodniczącym Sądu Najwyższego, Jack. Sądu Najwyższego Stanów

Zjednoczonych.

– Przez te wydarzenia wszystko mi się poplątało.

– Wcale się temu nie dziwię.

– To najgorsza rzecz, jaka się tu kiedykolwiek wydarzyła.

– Przychodzi jeden mały człowieczek i wywraca wszystko do góry nogami. Lecz my go o to obwinimy.

– Nie wypowiadaj jego nazwiska. Jak je słyszę, od razu mi gorzej. Jakbym patrzył na psa, który bawi się na ziemi moją własną wątroba.

Sobotnie popołudnie. Lee Oswald siedział w szklanej budce, z telefonem na półce po prawej stronie. Otworzyły się drzwi na drugim końcu pomieszczenia. I oto weszła: krzywe nogi, suche oczy i zupełnie siwe włosy, długie, białe i lśniące. Usiadła naprzeciw za przepierzeniem. Przyjrzała mu się uważnie, chłonąc go wzrokiem, sondując jego twarz. Potem podniosła słuchawkę.

– Zrobili ci krzywdę, skarbie?

Zacząła mu opowiadać, jak usłyszała o tym w samochodzie, jak zawróciła do domu, jak zadzwoniła do „Star Telegram” i poprosiła, żeby zawieźli ją do Dallas samochodem prasowym. Potem przesłuchiwało ją dwóch agentów FBI, dwóch Brownów. Powiedziała im, że ze względu na bezpieczeństwo narodowe nie powinno rozgłaszać się faktu, że jej syn, Lee Harvey Oswald, wrócił z Rosji za pieniądze z Departamentu Stanu. Brownowie o tym nie wiedzieli i wybałuszyli oczy.

– Mamo, oni to nagrywają.

– Wiem. Będziemy uważać na słowa. Powiedziałam im, że nie widziałam syna od roku. „Przecież jest pani jego matką, pani Oswald” Ja na to, że pracuję jako pielęgniarka i że nie powiedzieli mi, dokąd się przeprowadzają. „Przecież jest pani jego matką, przecież jest pani jego matką”. To mówię im, że nie wiedziałam nawet, że mam drugą wnuczkę. Że musiałam znieść rok milczenia, a teraz co chwila mówią o naszej rodzinie w radiu.

Ci dwaj, ci Brownowie, szukali podejrzanych, gdzie się tylko dało. A ci z gazety zamknęli całą rodzinę w hotelu Adolphus. Wszystko było tajne przez poufne. Przewożono ich z miejsca na miejsce z zachowaniem nadzwyczajnych środków ostrożności. Ich wszystkich. Oskarżoną matkę, brata, rosyjską żonę i dwoje małych dzieci. Pod obstawą osiemnastu, dwudziestu ludzi, którzy podejrzewali i ich, i siebie nawzajem. Agentów FBI, tajnych służb i reporterów z „Life’u”. Jakiś człowiek nieustannie robił zdjęcia. Marguerite zdejmuje pończochy, a on pstryka zdjęcie: oto matka, która po tym historycznym dniu zdejmuje pończochy.

– Robią to bez mojej zgody – mówiła. – Ale sprawdzam każde słowo i jeśli znajdę jakieś błędy, od razu wiem, że to spisek, że to wszystko idzie z Rosji.

W hotelu dzieci dostały rozwolnienia, więc na przeciągniętych od ściany do ściany sznurach wisiały pieluchy. Musieli zastrzelić prezydenta, żeby się dowiedziała, że po raz drugi została babcią.

Wchodząc do rozmównicy, Marina nie wiedziała, że policja znalazła zdjęcia, które robiła za domem przy Neely Street. Leżały z rzeczami Lee w garażu Ruth Paine. Ona znalazła tylko dwa, w książeczce June, te, które przeoczyła policja. Zdjęcia z tym nieszczęsnym karabinem. Karabin w jednej ręce, potem w drugiej.

Złożyła je i obydwą miała teraz w bucie.

– O nic się nie martw – powiedział przez telefon. – Masz przyjaciół, którzy ci pomogą.

Bolało ją, że widzi go w takim stanie. Nie chodziło tylko o sińce i zadrapania. Lee był jak ktoś

ze snu, zniekształcona postać w ciemności na skraju zwykłej nocy.

Przypomniała jej się łagodna twarz chłopca, za którego wyszła, nieoczekiwanego Amerykanina, który poprosił ją do tańca. Wtedy jego twarz była niemal pulchna, różowa i chłodna, włosy ze starannym przedziałkiem, miał wyprasowane ubranie. Kładąc się do łóżka, był czystszy od niej, czystszy we wszystkich nawykach.

A potem był Teksas i Luizjana. Lee jako robotnik, czasem uwalany smarem, coraz chudszy, łysiejący, wykończony, cierpiący na nocne krwotoki z nosa, niezmieniający ubrania.

A teraz nowy obraz, obraz mężczyzny o spiczastym nosie i ciemnych oczach, mężczyzny ze spuchniętym łukiem brwiowym, w za dużym ubraniu. Obraz szaroskórej zjawy. Popatrzyła na jabłko Adama, na jego długi nos. Miał zapadnięte policzki, które go uwydatniały, ten ptasi nos.

Wygląda tak źle, pomyślała, że chyba jednak to zrobił.

Powiedział, żeby nie płakała. Miał smutny, łagodny głos. Powiedział, że nagrywają każde słowo.

Tak więc nie mogła wspomnieć o zdjęciach w bucie. Ani o tej drugiej rzeczy, którą odkryła wieczorem po wyjściu policji. O obrączce w filizance na komodzie w sypialni. Zostawił ją tam z pieniędzmi w piątek wczesnym rankiem.

Pieniądze, zdjęcia, obrączka.

Trzy razy prosił ją, żeby zamieszkała z nim w Dallas, a ona nie, nie, nie.

Kazał jej kupić buty dla June. Nie martw się, powtórzył. I ucałuj ode mnie dzieci.

Strażnicy podnieśli go z krzesła i ruszył tyłem do wyjścia, patrząc na nią, dopóki nie zniknął za drzwiami.

A w domu ciocia Wala pewnie kisila teraz kapustę, czyściła miedziane kociołki, robiła to co zwykle albo była z wujkiem Ilją u Andrianowów, prowadziła życie bez nagłych zwrotów i przerw, czekając na pierwsze śnieżyce.

Nie wiedziała nawet o tym policjancie. Nie wiedziała o gubernatorze Connallym. Dopiero pod wieczór powiedziano jej, że Lee jest oskarżony o postrzelenie jednego i zamordowanie z zimną krwią drugiego.

Z powrotem do celi. Zdjął ubranie i dał je strażnikowi. Zjadł lunch, fasolę, gotowane ziemniaki i jakieś mięso.

Nic w tym miejscu nie zaskakiwało go ani nie zmuszało do zastanowienia, co będzie dalej. Nie zaskakiwali go reporterzy, ten ryk na korytarzach. Przedstawiciele prawa zadawali oczywiste pytania, a nawet kiedy nie udało mu się przewidzieć kolejnego, zawsze było to coś codziennego i łatwego. A w pomieszczeniach takich jak ta cela mieszkał przez całe życie. Siedział w bieliźnie na drewnianej pryczy. Kapiący kran nad umywalką. Nic nowego. Był gotów tak żyć dzień po dniu, powoli wchodząc w nową rolę. Nie bał się absolutnie niczego. Czerpał z tego siłę. I celę, i całą tę sytuację stworzono po to, żeby stał się silniejszy.

Wrócił mu nawet apetyt. Był to pierwszy posiłek, który tak naprawdę zjadł. W kubku miał kawę. Pił ją powoli. I myślał. Słyszał cichą rozmowę strażników w wąskim korytarzu.

Mógł to rozegrać jeszcze inaczej. Mógł im powiedzieć, że nikogo więcej nie było. Że działał sam, na własną rękę. Że była to kulminacja jego poświęconego walce życia. Że chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko antycastrowskiej polityce rządu, zaszczerpić marksizm w sercu amerykańskiego imperium. Nikt mu nie pomagał. To był jego plan i jego broń. Trzy kule. Wszystkie dosięgły celu. Był świetnym strzelcem.

Sobotni wieczór. David Ferrie krążył samochodem po Galveston. Przekrzywił mu się tupecik z małego futra. Jego umysł osiągnął stadium krańcowej hysterii.

Gdy zastrzelono prezydenta, był w sądzie federalnym w Nowym Orleanie, gdzie reprezentował oskarżonego o uchylanie się od płacenia podatków Carmine Latte, dla którego wywalczył przychylny wyrok.

Gdy aresztowano Lee, pakował się w hotelu przed wyjazdem do Galveston. Akurat wkładał do torby swoją starą kapitańską czapkę, tę z Eastern Airlines, kiedy radio nadało komunikat o jego schwytaniu.

Wtedy wpadł w panikę. Od razu jej uległ. Zawsze uważał, że panika jest zwierzęcą reakcją organizmu umożliwiającą przetrwanie. Że jest to reakcja o wiele starsza niż logiczne działanie. Pakował się dalej, tylko szybciej, po czym zbiegł do samochodu.

Przez wiele godzin krążył po Nowym Orleanie, słuchając komunikatów radiowych. Potem wziął pełen bak benzyny i ruszył na zachód, przez czarną burzę, jedną z tych nawalnic przesyconych rozsmaganą furią, i siedem godzin później był już w Houston.

Tu też krążył i krążył. O wpół do piątej rano wynajął pokój w czymś o nazwie Alamotel. Nie miał nastroju na patriotyczne kalambury. Porozmawiał po hiszpańsku z recepcjonistą, poszedł do pokoju i wykonał serię telefonów do Nowego Orleanu, do przyjaciół, kochanków i księży. Szukał w nich pocieszenia i mówił po hiszpańsku nawet do tych, którzy nie znali ani jednego słowa w tym języku.

Bał się, że Lee poda policji jego nazwisko.

Bał się, że go zabiją.

Bał się, że Lee, żywy czy martwy, ma jego kartę biblioteczną w portfelu. Bo chyba kiedyś mu ją pożyczał.

Rano kupił gazetę i z kubkiem kawy w ręku wysłuchał wiadomości w samochodzie. Słuchając, czuł, że jego życie wisi na włosku w ustach prezentera. Potem pojechał na lodowisko i stamtąd wykonał kolejne telefony. Banister nie chciał z nim rozmawiać. Latta był na jakiejś niasiadówce. Zadzwoił więc do chłopców, których uczył kiedyś latać. Organy grające na lodowisku brzmiały tak, że pomyślał o śmierci totalnej. Wrócił do samochodu.

Jesień miała w sobie coś, co go przybijalo. Zaciągnięte niebo, przeszywający wiatr, opadające liście, wczesny zmierzch, noc, która zapada, zanim człowiek zdąży się na to przygotować. Przerazenie. Nagość duszy. Słyszy szelest zakonnych habitów. W kościołach czuć już zimę. To myśmy ją uwolnili. Musi istnieć jakaś piosenka, poemat czy ludowe zaklęcie, które złagodzi ten strach. Kościej Pete. Jest tu, w tym krajobrazie, na tym niebie. Wypuściliśmy go. Otworzyliśmy wrota, no i proszę. Międzystanówką 45 na południe. Nie chciał, żeby zabili Oswalda. Dojeżdżał już do Galveston i nagle wypełniło go poczucie śmierci, wypełnił go strach, taki aż do szpiku, który wysysa się z kości.

Krążył po mieście i krążył. Samolot wciąż czekał pewnie na lotnisku. Piper aztec – mógłby nim polecieć, mógłby uciec do Meksyku bez zamachowca. Doszedł do wniosku, że to wcale nie szaleństwo. Że jest to pasujący do wydarzenia rytuał.

A wydarzeniem tym była śmierć totalna. Tylko rytuał mógł go od niej ocalić.

Wynajął pokój w motelu Driftwood. Przez telefon rozmawiał po hiszpańsku.

Co on robił w Galveston? Czy nie przyjechał tu po to, żeby polecieć samolotem? To myśl o lataniu go przywiodła. Był pilotem, panem przestworzy. W razie potrzeby gotów był ulec śmierci na końcu drogi przez lśniącą zatokę, na jakiejś zerodowanej, brązowej meksykańskiej równinie, w zabójczym upale, z drżącymi z gorąca górami w zasnutym mgiełką tle. Sam na te zasady nalegał. Meksyk to kraj, gdzie rozumieją godność reguł umierania.

Złapał Banistera. Guy powiedział, że coś się kroi, ryzykowny plan z małymi szansami na powodzenie. David Ferrie postanowił się wyspać i rano wrócić do Nowego Orleanu.

Na trawnikach Dealey Plaza leżały wieńce i kwiaty, symbole smutku i pożegnania, i jadąc o północy przez miasto, Jack Ruby chłonał tę atmosferę, to uczucie. Przejechał tamtędy sześć razy. Przejechał przed sześcioma czy siedmioma klubami nocnymi, żeby sprawdzić, które są otwarte. Wpadł w gniew, taki patriotyczny, taki, gdy człowiek zaciska zęby na widok współobywateli, którzy zarabiając na rozpaczy innych, jako jedyni pracują w weekend narodowego bólu. W trakcie tego całodziennego objazdu oglądał telewizję w różnych częściach śródmieścia. Mówili o tym wszędzie. Zdjęcia pogrążonej w smutku rodziny. Rekonstrukcja wydarzeń na miejscu zbrodni. To może przebić samego Jezusa, pomyślał. Ma na ludzi tak wielki wpływ, tak wielkie wzbudza emocje. Jakby rekonstruowali jego ukrzyżowanie. Boże, dopomóż Żydom. Puste butelki po bąbelkach u jego stóp.

Pojechał do domu i zaczął wyciągać jedzenie z lodówki. Z tej rozpaczy musiał się nazreć, napchać, tak do syta. Miał ochotę dotykać jedzenia, gotować je, wachać, patrzeć, jak na patelnię tryska zwierzęca krew. Karkówka i krew. Bez chrząstek. Chciał poczuć w ustach soczyste mięso, poczuć, jak między zębami musuje woda sodowa. To zwiększy trochę moją siłę woli.

Przez dziesięć minut robił kanapkę, ale nie miał serca jej zjeść. Poszedł do sypialni i wziął gazetę, żeby obejrzeć swoje ogłoszenia, te o zamkniętych klubach. George siedział rozwalony na sofie w jego szlafroku, z puszką piwa w spoconej ręce.

Zadzwoił do Detroit, do swego brata Earla.

Zadzwoił do swojej siostry Evy, tej z Dallas, żeby po raz trzeci czy czwarty porozmawiać z nią o tym, co się stało. Eva zaczęła płakać. Była kompletnie załamana. Podał słuchawkę George'owi, bo chciał, żeby ten usłyszał, jak Eva szlocha. A szlochała tak sucho, jakby kaszłała. Tak prawdziwie. Jack i Eva szlochali, a George stał z telefonem przy lewym uchu i wyglądał tak, jakby mu tym zaimponowali.

Jack położył się do łóżka. Patrzył na sufit w ciemności. Każda przejeżdżająca Thornton Freeway ciężarówka wydawała odgłos przypominający darcie papieru. Zadzwoił telefon, więc wstał i poszedł odebrać. Słuchał przez jakieś dwadzieścia sekund. Potem ubrał się i pojechał do Karuzeli.

Wąskimi schodami wszedł na górę i zapalił światło. W pokoju na zapleczu rozszczękały się psy. Usiadł w biurze i przecesał ręką włosy. Domagały się kuracji, i to natychmiastowej.

Usłyszał kroki. Do biura wszedł Jack Karlinsky. Robił wrażenie nieco zmęczonego. Był w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i miał nierówną, rozciągniętą szyję. O tej porze wyglądał staro, sprawiał wrażenie nieprzygotowanego. Strzepnął z sofy psią sierść i usiadł.

– To straszne, co dzieje się w tym mieście – zaczął. – Z każdą godziną za granicę trafia coraz więcej słów smutku i zdumienia, jak to się mogło stać. Europejczycy już teraz mówią, że zawiązano jakiś spisek. Ale czego innego można się po nich spodziewać? Sztylet w plecy, trucizna i zmowa, u nich trwało to wieki. To fatalny sposób myślenia. Zwiększa stres, a dla miasta to źle, źle dla nas wszystkich.

– Kiedy pomyślę, że mój ojciec, który urodził się w Polsce, w jakiejś wiosce.

– W polskiej wiosce, no właśnie.

– Został członkiem związku zawodowego cieśli w Chicago.

– I wychował syna, który ma teraz własny interes. Właśnie tego chcemy bronić, Jack. Jakie są pierwsze słowa tych, którzy mówią o tej tragedii? Co mówi moja matka, osiemdziesięcioośmioletnia starowinka? Dzwoni do mnie z domu opieki i czy muszę ci powtarzać, co mówi? „Dzięki Bogu, że ten Oswald to nie Żyd”.

– Dzięki Bogu.

– Mam rację? Ilu ludzi mówi to samo od dwóch dni? „Dzięki Bogu, że ten Oswald to nie Żyd”.

- „Kimkolwiek jest, dobrze chociaż, że to nie Żyd”.
 - Mam rację? Tak mówią.
 - Kiedy pomyślę o moim ojcu – zaczął Ruby.
 - Oczywiście. Nawet ja tak mówię.
 - Ciągle chłał i chłał. Przez lata nie pracował. Matka do śmierci mówiła w jidysz. Po angielsku nie umiała się nawet podpisać.
 - I właśnie w takiej sytuacji znaleźliśmy się dzisiaj. Pewnych rzeczy trzeba strzec.
 - Mocno wierzę w to, że trzeba bronić wartości przyrodzonych.
 - Nie ukrywać tego, kim się jest.
 - Nie ukrywać. Nie uciekać.
 - Dzisiaj rozmawiałem o tym z Carmine. Tak szczerze. Wspomniał, że niepokoi go ta sprawa z Oswaldem. Cały kraj na tym ucierpi, na tej gadaninie o spisku. Powiem ci, czego chcą ludzie. Chcą, żeby ten Oswald zniknął. Tylko tak zatka się gębę plotkarzom. Ludzie chcą, żeby facet wyparował, Jack. Nieprzyjemnie na niego patrzeć.
 - W tym przyprywie emocji wszystko może się zdarzyć.
 - To prawdziwa fala, Jack. Czuje się ją na ulicach. Wszystko porywa. Siedzimy w tym, chcemy tego czy nie. Spójrz tylko na to ogłoszenie w czarnych obwódkach. Podpisane żydowskim nazwiskiem. Ludzie takie rzeczy widzą. I pamiętają. Żydzi ściągają na siebie wiele skrajnych uczuć.
 - Osobiście czuję się tak, jakby wrzucono mnie do kloaki.
- Jack Karlinsky kiwnął głową.
- Powiem ci coś prosto z mostu, Jack. O tym, kto dorwie Oswalda, ludzie powiedzą, że jest najdzielniejszym człowiekiem w Ameryce. Bo na pewno ktoś go dorwie i skasuje, to tylko kwestia czasu. Władze boją się, że lada chwila może dojść do linczu. W miejscu, gdzie ten człowiek stoi, ludzie chcą widzieć białą plamę. Za ten czyn temu, kto go dokona, ludzie zbudują pomnik. Ten człowiek zostanie bohaterem tak szybko jak nikt nigdy dotąd.
 - Gadałeś z Carmine.
 - Carmine o tobie słyszał. Od Tony’ego Klawisza. W Nowym Orleanie cię znają, Jack.
 - Ostatecznie robiło się coś dla Kuby.
 - Innymi słowy, ten Oswald to taka zadra. Wie o kilku małych, mętnych sprawkach. Po głowie chodzi mu parę nazwisk. Carmine chce oczyścić atmosferę.
 - Byłem dziś na komendzie. Podobno przenoszą go do aresztu okręgowego.
 - Właśnie miałem o tym mówić. Kiedy ktoś popełnia ciężkie przestępstwo, muszą przestrzegać pewnych procedur. Sądy są w tym mieście kompletnie popieprzone. Popelnij jakąś zbrodnię i jest duża szansa, że z tego wyjdiesz. Taki tu klimat. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Z morderstwa łatwiej się wywinąć niż ze zwykłego włamu.
 - Trzeba wziąć pod uwagę to, czego chcą ludzie.
 - Prawda? A ludzie chcą załatwić to jak za dawnych czasów, jak na Dzikim Zachodzie. Mają to we krwi. Jak czarnuch zastrzeli czarnucha, sprawa nie trafia nawet do sądu.
 - Bo wszyscy mają to gdzieś.
 - Otóż to. Po mojemu to jest tak. Zabijesz kogoś takiego jak Oswald i będzie tak samo. Myślisz, że ktoś taki dostałby wysoki wyrok?
 - Ludzie chcą jego głowy.
 - Wszyscy by się tylko ucieszyli. Bo Jack, ile ty jesteś tu wart? Jesteś dla nich facetem z Chicago. Spekulantem z Północy. Gorzej, Żydem. Żydem w stolicy gojów. Kogo my tu próbujemy oszukać? Jesteś właścicielem klubu ze striptizem. Dupy i cycki. Tym dla nich jesteś.
 - Nie ma co się oszukiwać.

- Nie ma co się oszukiwać.
- Jak pomyślę o mojej matce.
- Otóż to.

– Ona kompletnie zwariowała. Nie potrafię nawet opisać tego koszmaru. Patrzyłem jej w oczy i nie widziałem w nich nic ludzkiego. Cały czas wrzeszczała i szalała. To było jej życie. Ojciec ją bił. Bił nas. Myślała, że się ze sobą pieprzymy. Że my, bracia i siostry, ciągle uprawiamy seks. Nie chodziłem do szkoły. Biłem się. Roznosiłem koperty u Ala Capone.

– Po mojemu to jest tak. Tak to widzę. Ta sprawa wzmagą napięcie, a to źle dla nas wszystkich.

Zapadła krótka, ciężka cisza.

– „Dzięki Bogu, że to nie Żyd”.

– „Dzięki Bogu, że to przynajmniej nie Żyd”.

– Jack, jestem pewien, że od dwóch dni słyszysz to samo co ja. Ten, kto zabije tego komunistycznego skurwysyna, zaoszczędzi Dallas wstydu i świat przestanie wytykać nas palcami. Oto co mówi ulica.

– A Carmine?

– Dobre pytanie. Bo masz w nim sojusznika i protektora.

Masz w nim wsparcie. To właśnie on podniósł temat tej pożyczki. Ucieszysz się, jak ci powiem, na jakich warunkach.

– A w zamian za pożyczkę?

– Oczyszczisz to miasto.

– Innymi słowy?

– Jack, przez całe życie chwytaleś się różnych zajęć. Masz teraz szansę położyć rękę na czymś konkretnym i uczciwym. Chcesz do końca życia sprzedawać noże do obierania ziemniaków w Piano? Stwórz coś. Wyrób sobie nazwisko.

– A więc co proponujesz, Jack?

– Wymaż go z kalendarza.

– Skasuj.

– Załatw – dodał ze smutkiem Karlinsky.

Rozwinął cygaro, ale go nie przypalił. Wyglądał mizernie i staro. Siedział jak pacjent w poczekalni, pochłonięty myślami, spięty i skulony.

– Carmine proponuje, żebyśmy w ogóle zapomnieli o pożyczce. Damy ci pożyczkę i od razu anulujemy dług. Czterdzieści tysięcy dolarów. Wypłata przy pierwszej sposobności. Kwestia tylko kiedy. Chcemy załatwić to jak najszybciej. Opóźnienie nie wchodzi w grę.

– A co z moimi klubami?

– Zajmiemy się nimi. Jestem przekonany, że będziesz świadkiem ich odrodzenia. Pomyśl tylko o tych wszystkich ludziach, którzy zechcą się pochwalić, że byli w Karuzeli. W klubie Jacka Ruby’ego, człowieka, który zabił Oswalda.

– Byli, żeby zobaczyć, jaka panuje tu atmosfera.

– Tłumy przyjezdnych, Jack. Masz broń?

– A jak myślisz?

– Carmine ma zapewnioną pełną współpracę ze strony chłopaków z Dallas. Chłopcy mają kogoś w policji. Wiedzą, że Oswalda wyprowadzą przez piwnicę. Kilka minut po dziesiątej. Z piwnicy można wyjść dwiema rampami.

– Od Main i od Commerce.

– Otóż to. Obydwie będą dobrze strzeżone. Wszystkie główne wejścia zamknięte. Zamknięte będzie to harmonijkowe przejście między komendą i sądem. Zatrzymają wszystkie windy z

wyjątkiem tej do aresztu, którą zwiozą Oswalda.

– Mógłbym wejść rampą.

– Zaczekaj.

– W komendzie mnie znają.

– Jutro rampą nie wejdiesz. Wpuszczą tylko dziennikarzy z legitymacjami prasowymi, nikogo więcej. Dziennikarzy też wpuszczą niewielu, głównie fotoreporterów. Te przenosiny to bardzo delikatna sprawa. Ściągnęli posiłki. Nie chcą nawalić.

– To jak tam wejdę?

– Posłuchaj. Po wschodniej stronie komendy jest uliczka. Tam nie będziesz rzucał się w oczy. W połowie budynku są drzwi do aneksu komunalnego. Zawsze zamknięte, ale zrobimy tak, że jutro będą otwarte. Nikt ich nie pilnuje. Wejdiesz tamtędy. Wejdiesz, zobaczysz windy i schody. Pójdziesz do schodów. To schody ewakuacyjne. Dostaniesz się nimi do piwnicy.

– Jak go wyprowadzą?

– Skutego z detektywem. Jeden detektyw po jednej stronie, drugi po drugiej. Jaką masz broń?

– Trzydziestkęósemkę z krótką lufą. Zmieści się w kieszeni spodni.

– Będziesz miał największy wzwód w Stanach.

Karlinsky roześmiał się ponuro i z gardłowym warkotem. Jack siedział przy biurku z tępym wyrazem twarzy. Na tym skończyli rozmowę.

Przez godzinę był sam, główkując, skąd wytrzasnąć pieniądze na wypłatę i ostatnie rachunki; wypłaty i rachunków za najbliższy weekend nie uwzględnił. Od tej parszywej arytmetyki skurczyła mu się czaszka.

Przejrzał notes z adresami. Znalazł numer i zadzwonił do domu Russella Shively'ego, zaprzyjaźnionego detektywa. Było po trzeciej nad ranem. W słuchawce zahuczał samotny sygnał.

– Tak. Kto mówi?

– Cześć, Russell.

– Ki diabeł?

Jack zrobił krótką pauzę.

– Jutro zabiją tego sukinsyna Oswalda, w piwnicy, kiedy będziecie go przewozić do aresztu okręgowego.

Znowu krótka pauza i odłożył słuchawkę.

Lee Harvey Oswald nie spał. Zaczynało do niego docierać, że oto znalazł zajęcie na całe życie. Po zbrodni zawsze przychodzi czas na jej rekonstrukcję. Będą motywy do przeanalizowania, cały wachlarz pytań o prawdę i winę. Będzie czas na przemyślenia, na refleksje. Oto zbrodnia, która dostarcza materiału na dogłębną interpretację. Będzie mógł schwytać światło tej spotęgowanej chwili, tych ostrych cieni na trawnikach, tej drżącej w blasku słońca nieruchomej limuzyny. Pora poznać samego siebie, zgłębić znaczenie tego, co zrobił. Przeanalizuje to wydarzenie na dziesiątki sposobów, to przyspieszając, to spowalniając bieg czasu, kładąc nacisk to na jeden aspekt, to na inny, szukając subtelnych różnic, widząc, jak zmienia się całe jego życie.

To był prawdziwy początek.

Dadzą mu papier do pisania i książki. Wypełni celę książkami na temat zamachu. Będzie miał czas studiować prawo karne, balistykę, akustykę i fotografię. Zbada i przetrawi wszystko to, co łączy się ze sprawą. Będą odwiedzali go goście, najpierw prawnicy, potem psychologowie, historycy, biografowie. Celem jego życia była teraz analiza jednego konkretnego obiektu: Lee Harveya Oswalda.

On i Kennedy byli ze sobą związani. Postać Strzelca w oknie stała się nieodłączną częścią

ofiary i jej historii. To dodawało mu sił do życia w celi. Dawało mu wszystko to, czego potrzebował do życia jako takiego.

Im więcej czasu tu spędzał, tym był silniejszy. Wszyscy wiedzieli, kim teraz jest. To go wzmacniało. Było oczywiste, że jest to najlepsza pora na nowy początek, na dogłębne studia, na samoanalizę i przebudowę. Życie w odosobnieniu przestało być przekleństwem. Odnalazł w tej celi prawdę. Mógłby mieszkać nawet w o połowę mniejszej.

Niedziela rano. Normalna krzątania, codzienny rozruch. Trochę trwało, zanim zdołał się dobrze skupić. Napił się soku grejpfrutowego i zaczął krążyć po pokoju. George na sofie czytał gazetę, a on chodził przed nim, sięgając wzrokiem nie dalej niż na trzydzieści centymetrów.

– Jack, nie umiem opisać twojej miny, bo wiesz, kiepsko u mnie ze słownictwem, ale w sumie to marnie wyglądasz.

Jack włączył telewizor. Umył się i ogolił żyłką Wilkinsona, dla samej nazwy, bo była ładna, i po to, żeby potem wklepać w twarz płyn po goleniu, tak by aż zabolalo. Zrobił sobie jajecznicę, zaparzył kawę i jedząc, wciąż tylko w szortach, spojrzął na pierwszą stronę „Timesa Herald”. Był tam list otwarty do Caroline Kennedy, list tak wzruszający, że ścisnęło go w gardle i nie mógł nic przełknąć. Odtworzył w duchu tragedię prezydenta i jego rodziny.

Zadzwoił telefon. Brenda Jean Sensibaugh, Baby LeGrand z Fort Worth.

– Jack, muszę zapłacić czynsz. Nie mam nic dojedzenia ani dla siebie, ani dla dzieci.

– Ledwo podniosłem słuchawkę.

– Już przechodzę do rzeczy, żeby nie tracić czasu. Wczoraj wieczorem miałeś nam zapłacić.

– Dobrze wiesz, dlaczego zamknąłem klub.

– Nie mówię, że źle zrobiłeś. Ale powiedz mi, jak mam przeżyć ten tydzień bez pieniędzy.

– Przecież już coś tam wzięłaś.

– Nie denerwuj się, Jack, nie bądź na mnie cięty. Proszę tylko o małą zaliczkę, żeby dzieci mogły coś dzisiaj zjeść. Nigdy cię nie zawiodłam, dobrze o tym wiesz. Proszę tylko o drobne na jedzenie i o coś dla właściciela mieszkania, żeby cicho siedział.

– Ile chcesz, zdroiro?

– Dwadzieścia pięć dolarów. Nie mogę przyjechać do Dallas, ale gdybyś nadał przekaz czy jak się to tam nazywa, mogłabym podejść na pocztę.

Jack przypomniał sobie, że niedaleko komendy jest Western Union. Baba miała szczęście. Gdyby się pospieszył, zdążyłby wysłać jej dwadzieścia pięć dolarów, a potem zabić tego skurwysyna Oswalda.

Połknął preludin, popił kawowymi fusami i ubrał się. Ciemny garnitur, szary kapelusz filcowy, węzeł windsorski na krawacie. Wziął Shebę i powiedział George’owi, że jedzie do klubu. Wrzucił psa na tylne siedzenie i odpalił silnik.

Było późno. Jeśli nie zdążę na czas, to znaczy, że nie było mi to pisane. Trochę zboczył i przejechał przez Dealey Plaza, żeby jeszcze raz popatrzeć na wieńce. Spytał Shebę, czy jest głodna, czy chciałaby coś zjeść. Zaparkował naprzeciwko Western Union. Otworzył bagażnik, wyjął puszkę psiego żarcia i otwieracz do konserw, postawił miskę na przednim siedzeniu. Wziął z torby dwa tysiące dolarów i wepchnął je do kieszeni – oto jak właściciel klubu wchodzi do lokalu. Do prawej kieszeni schował rewolwer. W kapeluszu miał wytłoczone swoje nazwisko, złotymi literami.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby wysłać pieniądze. Urzędnik podstemplował pokwitowanie: jedenasta siedemnaście. Czas uciekał. Po raz pierwszy tego dnia Jack trochę przyspieszył i niecałe cztery minuty później stał już w garażu pod komendą policji.

Jeśli wszedłem tak łatwo, to znaczy, że chcę, żebym to zrobił.

Przeciął opustoszały parking, idąc w stronę dwóch nieoznakowanych fordów stojących między rampami. Usłyszał głosy: „Idzie, idzie” i początkowo myślał, że mówią o nim. Wszedł na łagodną pochyłość i stanął za grupą reporterów. Z przejścia dochodziły odgłosy jak z grobowej krypty, dudniące echo, warkot samochodowych silników, brzęk sprzętu, głosy ludzi. Wszędzie byli tajniacy i wysokiej rangi oficerowie w białych czapkach. Pod ścianami korytarza prowadzącego z biura aresztu na rampę stali detektywi. Był wśród nich Russell, ale Jack nie miał czasu spotkać się z nim wzrokiem. Trzy kamery telewizyjne i większość fotoreporterów tłoczyła się na rampie po jego prawej stronie, tej wychodzącej na Main Street. Na szczycie drugiej czekała opancerzona furgonetka.

– Idzie.

– Idzie.

– Idzie.

Wyczuł czas co do sekundy, miejsce było idealne. Zapłonęły reflektory. Wszystko stało się nagle czarne i białe, jaskrawe i mroczne. Z biura wyszła grupa policjantów eskortujących aresztanta, który miał na sobie ciemny sweter i wyglądał tak, jakby nie wiadomo było, kim jest i skąd się tu znalazł.

Poruszenie wśród reporterów. Potem rozbłyski fleszów, odbijające się echem krzyki, a wszystko to jakieś takie dziwne, takie *déjà vu*, a przecież stał teraz tutaj, w tym sztucznym świetle, w tej zatechłej piwnicy, niedaleko ramp brudnych od spalin i oparów benzyny.

Idzie.

Jack wyszedł z tłumu, widząc wszystko z wyprzedzeniem. Wyjął z kieszeni rewolwer i przykrył go ręką, przytulił do biodra. Jest luka. Nikogo między nim i Oswaldem. Podniósł broń. Zrobił ostatni, długi krok i z odległości kilku centymetrów wypalił do celu. Oswald skrzyżował ręce, zacisnął powieki. Jęknął głośno, głucho i posepnie. I osunął się w świat bólu.

Kłęb ciał na zamachowcu, wszyscy ci ciężko dyszący policjanci w kapeluszach, walka o rewolwer, kolano na jego brzuchu. Nie rozumiał ich postawy. To nie było konieczne, przecież go znali. Poczul się jeszcze gorzej, słysząc Russella Shively’ego, jego głos o ton ostrzejszy od kilkunastu pozostałych głosów.

– Jack, ty skurwysynu.

Wystrzał.

Ktoś wystrzelił.

Postrzelono Oswalda.

Postrzelono Oswalda.

Zabrzmiał wystrzał.

Kompletny chaos.

Zamknięto wszystkie drzwi.

O kurde.

Ktoś wystrzelił, kiedy prowadzili go do samochodu.

To był wystrzał.

Kompletny chaos.

Turlają się i szarpią na podłodze.

Kiedy prowadzili go do samochodu.

Teraz zabierają go z powrotem.

Postrzelono Oswalda.

Policja obstawiła ulicę.

Cofnąć się, cofnąć się, krzyczą.

*Krępy mężczyzna w kapeluszu.
Oswald zgięty w pół.
Obłąkana scena.
Syreny i jaskrawoczerwone światło.
Mężczyzna w szarym kapeluszu.
Jakoś się tu dostał.
Wszędzie policja, wszędzie policyjne kordony.
Ludzie. Policjanci.
Jest młody Oswald.
Spieszą się, wynoszą go.
Leży na plecach.
Dostał w brzuch.
Jest blady.
Oswald jest blady.
Leży w karetce.
Zwisa mu głowa.
Jest nieprzytomny.
Bezwładny.
Zwisa mu ręka.
Karetka już odjeżdża.
Migają czerwone światła.
Wiozą młodego Oswalda.
Jest blady, blady.*

Pamiętasz tę karetkę w Atsugi, tę w zielonych barwach ochronnych, drżącą na gorącym asfalcie – pamiętasz, jak wysiadał z niej pilot?

Lee nie czuł się za dobrze. Najpierw go postrzelili, a potem próbowali zrobić mu sztuczne oddychanie. Ze szkolenia w piechocie morskiej wiedział, że kogoś z postrzałem w brzuch może to wykończyć.

Widział, jak do niego strzelają, widział, jak rejestrują to kamery. Oglądał telewizję poprzez ból. Wyła syrena, tak panicznie, tak jak wyje, gdy karetka jedzie z dużą prędkością, chociaż nie miał poczucia ruchu. Ktoś do niego przemawiał, ktoś mówił, że jeśli ma coś do powiedzenia, to lepiej niech powie to teraz. Poprzez ból, tracąc czucie w całym ciele z wyjątkiem miejsca, gdzie najbardziej bolało, Lee obserwował swoją reakcję na świdrujące gorąco kuli.

Ten pilot wyglądał jak astronauta w hełmie i gumowym kombinezonie, pamiętasz?

Wszystko go opuszczało, wszystkie odczucia stępiały i odlatywały w przestrzeń. Wiedział, że wciąż jest w karetce, ale nie słyszał już syreny ani człowieka, który do niego przemawiał – sądząc po głosie, przyjaznego Teksasńczyka. Pozostał jedynie szyderczy ból, obraz wykrzywionej twarzy na ekranie. W *Hidell* są *die* i *hell*, „śmierć” i „piekło”. Oglądał telewizję w czymś ciemnym gabinecie.

Odpywanie rzeczy, które w sobie nosimy, dymu z kominów o zmroku. Co robi we mnie ten kawałek metalu?

Bolało go. Wiedział, co znaczy ból. Wystarczyło tylko pooglądać telewizję. Ręka na piersi, usta w znaczące „O”. Ból zabijał najpierw słowa, potem myśli. Pozostał mu jedynie wydrążony przez kulę kanał. Przebita śledziona, żołądek, aorta, nerka, wątroba i przepona. Pozostała jedynie świadomość istnienia kuli.

I sama kula, miedź, ołów i antymon. Umieścili metal w jego ciele. I właśnie to wywoływało

ból.

A pamiętasz tych, co obserwowali start? Nie mogli uwierzyć, że samolot tak szybko znika we mgle.

O jedenastej czterdzieści dwie przyjęto go do szpitala w Parkland. Rozpoznanie: rana postrzałowa.

Stwierdzono, że serce jest zwiotczone i nie bije. Nie zdołano pobudzić go do życia. Źrenice były nieruchome i rozszerzone. Brak krwotoku siatkówkowego. Ranny nie oddychał. Nie udało się przywrócić krążenia krwi. Czas zgonu: trzynasta zero siedem. Po zamknięciu ciała stwierdzono brak dwóch gąbek.

Przestrzeń powietrzna i kosmiczna.

W białym koszmarze południa, hen, wysoko nad Rosją. „Ja też” i „ty też”. Jest obcym w masce i spada.

Jeśli się w tym nie siedzi, każdy spisek wydaje się intrygą doskonałą. Milczący mężczyźni o prostych sercach. Spisek jest wszystkim tym, czym życie nie jest. Jest grą wtajemniczonych, zimną, zdecydowaną i bezbłędną – grą, w której nigdy nie weźmiemy udziału. To my jesteśmy niedoskonalimi, ci niewinni, ci, którzy próbują doszukać się choćby ogólnego sensu w codziennych przepychankach. Spiskowców cechuje logika działania i odwaga nam niedostępna. Wszystkie spiski są pełnymi napięcia opowieściami o ludziach potrafiących dostrzec spójność w akcie zbrodni.

A może i nie. Nicholas Branch wie lepiej. To, czego dowiedział się o dniach i miesiącach poprzedzających 22 listopada i o samym 22 listopada, skłania go do wniosku, że zamach na prezydenta był kulminacją szeroko zakrojonego planu, który przypadkowo wypalił. Skutkiem działania ludzi inteligentnych i głupców, skutkiem niezdecydowania, żelaznej woli i dobrej pogody. Branch dysponuje nie tylko materiałami z wewnętrznych śledztw CIA – Everett i Parmenter poszli na współpracę, choć w różnym stopniu – ale i informacjami na temat ostatnich faz zamachu, uzyskanymi od informatorów z Alphy 66.

Wciąż spływają nowe materiały. Kurator przysłała mu dzienniki operacyjne FBI. Przysłała taśmę filmową, trzydzieści pięć godzin surowego materiału, nakręconego przez kamery stacji telewizyjnych 22 listopada. Przysłała komputerowo wyretuszowaną kopię filmu Zaprudera, domową ósemkę nakręconą przez producenta ubrań, który w chwili zamachu stał na betonowym murku na trawiastej skarpie przy Elm Street. Eksperci przeanalizowali każdy mroczny niuans jego filmu. Film ten jest podstawą do ustalenia dokładnej godziny zamachu oraz głównym źródłem niepewności i chaosu. Uwiecznił przejmujący moment śmierci, wszystkie plamy, smugi i cienie.

(Przeanalizowawszy film oraz inne dowody rzeczowe, Branch dochodzi do wniosku, że wbrew niemal wszystkim teoriom pierwszy strzał padł znacznie wcześniej, prawdopodobnie już na klatce numer 186 filmu Zaprudera. Gubernator Connally został trafiony dwie i sześć dziesiątych sekundy później, na klatce 234. Strzał, który w sposób tak makabryczny zabił prezydenta, padł cztery i trzy dziesiąte sekundy po nim. Chociaż Branch jest tego niemal całkowicie pewny, postanawia przeanalizować komputerową wersję filmu. Za głęboko w tym tkwi, żeby teraz zrezygnować).

Kurator przysłała mu raport specjalny FBI zawierający sny naocznych świadków, spisane po zamachu na Kennedy’ego i po zabójstwie Oswalda.

Przysłała akta Bobby’ego Duparda. Branch wie o jego istnieniu tylko od kuratora. Ale skąd o Dupardzie wie kurator? Czy Bobby opowiedział komuś o roli, jaką odegrał w zamachu na Walkera? Czy Oswald niechcący zdradził jego nazwisko komuś z Nowego Orleanu?

Pełno w tym niepokojących opustek i luk. Oczywiście Branch rozumie, że Agencja jest

systemem zamkniętym. Wie, że nie wyjawi tego wszystkiego innym agencjom, a tym bardziej nie upubliczni. Dlatego historia, którą ma napisać, jest historią tajną. Ale w takim razie dlaczego nie udostępniają mu wszystkich materiałów? Coś przed nim ukrywają. Kurator spełnia jego prośby z opóźnieniem, zwłaszcza ostatnio, a niektóre zupełnie ignoruje. Czego nie chcą mu powiedzieć? Jak dużo tego jest? Branch zastanawia się, czy nie istnieją przypadkiem jakieś ograniczenia co do rodzaju tajnych materiałów, które mu udostępniają. Nie mogą przekazać wszystkich nawet jemu, jednemu ze swoich, komuś zaufanemu i wprowadzonemu. Przed przejściem na emeryturę Branch analizował materiały wywiadowcze, szukał wzorów wśród chaotycznie porzucanych skrawków informacji. Uważał, że tajemnice to dziecinada. Osiągnięcia tajnych agentów, ludzi, którzy ich prowadzili, wszystkie te tajne akcje nie robiły na nim wrażenia. Uważał, że Agencja stworzyła coś w rodzaju rozbudowanego systemu teologicznego, sformalizowanego i zakodowanego systemu wiedzy, który służy w zasadzie zabawie w dochowywanie tajemnicy, jednej z największych przyjemności dzieciństwa.

Teraz zastanawia się, czy Agencja nie chroni własnej tożsamości, własnej prawdy, teologii własnych tajemnic.

Kurator zaczyna przysyłać mu powieści, wszystkie powieści na temat zamachu, jakie napisano w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Przysyła filmy fabularne i dokumentalne. Przysyła odpisy dyskusji panelowych i debat radiowych. Branch musi je przestudiować, nie ma wyboru. Jest tyle ważnych rzeczy, o których jeszcze nie wie. Musi prześledzić życie tylu ludzi. Najważniejsze to zapanować nad informacjami.

Ramona Beniteza, mężczyznę z trawiastej skarpy, widać na zdjęciu zrobionym w kwietniu 1971 roku podczas uroczystej ceremonii na Cuban Memorial Plaza przy Ósmej Południowo-Zachodniej w Miami. Urna z wiecznym płomieniem stoi na prawie czterometrowej kolumnie. Na pięciu tablicach widnieją nazwiska poległych – *los mártires de la brigada de asalto*. Kurator przysyła niejednoznaczne raporty, z których wynika, że używając innego nazwiska, Benitez przez kilka lat pracował jako taksówkarz w Union City w stanie New Jersey. Poza tym nie ma nic.

To samo zdjęcie uwieczniło również stojącego w tłumie Antonia Vecianę, założyciela Alphy 66. Osiem i pół roku później zostanie postrzelony w Miami. Dojdzie do tego tuż po tym, gdy komisja senacka opublikuje raport na temat zamachu – raport zawierający jego twierdzenie, że na krótko przed 22 listopada Lee Oswald miał się jakoby spotkać z agentem amerykańskiego wywiadu. W tym przypadku nikogo nie aresztowano.

W czerwcu 1965 roku znalezione zostają zwłoki Brendy Jean Sensibaugh, striptizerki, której Jack Ruby wysłał pieniądze – ciało wisi na jej własnych rybaczkach w celi w Oklahoma City, gdzie osadzono ją za nagabywanie klientów i namawianie ich na seks. Uznano, że popełniła samobójstwo.

Dwa dni później, podczas napadu na sklep żelazny Ray's Hardware w zachodniej części Dallas, ginie Bobby Renaldo Dupard, który był tam zastępcą kierownika. Branch natychmiast łączy nazwę sklepu z jednym z tych bezużytecznych faktów, które nie dają mu w nocy spać. To właśnie tam, w 1960 roku, Jack Ruby kupił rewolwer, z którego zabił Oswalda.

Jack Leon Ruby umiera na raka w styczniu 1967 roku, czekając na ponowne rozpoznanie sprawy o zabójstwo Lee Harveya Oswalda. W więzieniu próbuje popełnić samobójstwo, taranując głową ścianę celi i wtykając palce do gniazdka elektrycznego, z nogami w kałuży wody na podłodze.

Na przesłuchaniu przed komisją mówi sędziemu Earlowi Warrenowi, że go wykorzystano, że chce wyznać prawdę, a potem odejść z tego świata. Ale najpierw muszą go zawieźć do Waszyngtonu. Powie prawdę prezydentowi Johnsonowi.

Siedzi w odizolowanej części aresztu okręgowego, w małej kwadratowej celi z klozetem i materacem na podłodze. Strażnik czyta mu Biblię. Jack uważa, że strażnik ma mikrofon w ubraniu. Że tamci nagrywają wszystkie obciążające go uwagi, a potem wymazują te, które dowodzą, że nie było to morderstwo z premedytacją, tylko skutek paroksyzmu sumienia.

Gdy jest zupełnie przybity, gdy czuje się kompletnym zerem, czyta telegramy, które dostał w ciągu pierwszych kilku dni po zabójstwie. BRAWO JACK. JEST PAN BOHATEREM PANIE RUBY. KOCHAMY PANA ZA ŚMIAŁOŚĆ I ODWAGĘ. ZABIŁ PAN WĘŻA. ZASŁUGUJE PAN NA MEDAL A NIE NA WIĘZIENNĄ CEŁĘ. CAŁUJĘ PAŃSKIE WĘGIERSKIE STOPY. Z UŚCISKAMI. Potem przypomina sobie werdykt przysięgłych – winny – wyrok – kara śmierci – i odwołanie, które złożył na podstawie mętnych i łatwych do obalenia zarzutów technicznych. Wie, że mieszkańcy Dallas pragną, by umarł i jak najszybciej odszedł w zapomnienie, tak samo jak Oswald. Wie, że wszystkie strzały, jakie padły tego tygodnia, są dla nich odpryskami jednego i tego samego zabójstwa, a według nich zabójstwa tego dopuścił się on, Jack. Martwi się, że obsadzono go w złej roli. Bierze rozbieg i wali głową w ścianę.

Nosi biały aresztancki kombinezon i podczas narad z adwokatami w rozmównicy, która jest na podsłuchu, zamiast mówić, pisze do nich liściki. Nalega na badanie na wariografie, ponieważ szczerść i niepodważalna prawda są najcenniejszymi amerykańskimi wartościami. „Im głębiej się w coś wgryzasz – pisze w notatniku – to chociaż wiesz, co zrobiłeś, obraca się to przeciwko tobie, pierze ci mózg do tego stopnia, że prawda, którą chcesz powiedzieć, brzmi nieprzekonująco”. W lipcu 1964 roku władze poddają go badaniu na wykrywaczu kłamstw. Wyniki nie są jednoznaczne.

Zaczyna słyszeć głosy. Słyszy przeraźliwe krzyki brata, którego ludzie podpalają przed aresztem.

Jest przekonany, że wszyscy jego bracia i siostry zginą z powodu tego, co zrobił.

Uważa, że ludzie wypaczają jego słowa nawet w chwili, gdy je wypowiada. Że on wypowiada jakieś słowo, a ludzie udają, że słyszą je i dobrze rozumieją, ale tak naprawdę to zmieniają jego znaczenie na takie, jakie im odpowiada.

Jest przeświadczony, że amerykańskich Żydów wrzuca się do maszyn do zabijania i masowo morduje.

Że obsadzono go w niewłaściwej roli albo w roli kogoś innego, a konkretnie Oswalda. Że wspólnie z Oswaldem dokonali tej samej zbrodni. Że tkwią w tym razem i będą tkwili po wsze czasy.

Adwokaci wychodzą, tanecznym krokiem wchodzą lekarze. Rak się rozprzestrzenia. Jack czuje jego zapach na ich rękach. Czyta swoje telegramy.

Czy ktokolwiek jest w stanie zrozumieć pełną miarę jego rozpacz, powolną torturę życia w chaosie, powrót na Roosevelt Road, do bezzębnej Fanny Rubenstein, która krzyczy w nocy, powrót do chwil niezrozumienia, najwcześniejszych, jakie tylko może sobie przypomnieć, do czasów, kiedy był wagarowiczem, podopiecznym państwa, kiedy mieszkał w rodzinach zastępczych, powrót do pierwszego ciosu, wstrząsu, który towarzyszy zrozumieniu, co to znaczy być nikim, świadomości, że nikim się jest, do stanu, w którym karmią cię tą nicością dzień po dniu, przez wszystkie dni i wszystkie lata?

Nie nadają pan, sędzio Warren.

Zaczyna stapiać się w jedno z Oswaldem. Już ich nie rozróżnia. Na pewno wie tylko, że brakuje tu jakiegoś elementu, słowa, które całkowicie wymazano. Jack Ruby przestał być człowiekiem, który zabił mordercę Kennedy'ego. Jest człowiekiem, który zabił prezydenta.

Właśnie dlatego pakują Żydów do tych maszyn. To jego wina. To skutek potęgi, impetu i rozmachu masowych odczuć.

Oswald jest teraz w nim. Jak można walczyć ze świadomością tego, kim się jest? Prawda o świecie wyczerpuje. Jack spuszcza głowę, bierze rozpęd i taranuje betonową ścianę.

A Nicholas Branch studiuje wyniki badań psychiatrycznych. Czyta długo w noc. Śpi w fotelu. Są takie chwile, kiedy myśli, że nie da rady. Jest zniechęcony, niemal sparaliżowany obecnością zmarłych. Bo w pokoju są zmarli. Ich zdjęcia odciskają żałobne piętno na jego umyśle. Na umyśle starca. Mimo to Branch się nie poddaje, pracuje dalej, dalej notuje. Wie, że nie może zrezygnować. Że sprawa ta będzie prześladowała go do samego końca. Oni oczywiście o tym wiedzą, wiedzieli od samego początku. Dlatego zbudowali ten aneks, ten pokój starzenia, pokój historii i snów.

Niedziela wieczorem. Beryl Parmenter oglądała telewizję w swoim małym domku w Georgetown. Pokazywali scenę zabójstwa.

Bez końca. Ekran jest pełen barczystych mężczyzn w kapeluszach, stłoczonych wokół Oswalda, który ma gołą głowę i wybieloną światłem twarz, całą z wyjątkiem lewego oka, ciemnego i błyszczącego. W kadrze pojawia się Jack Ruby, zwalisty i pochylony. Jego prawa ręka jest jak jaskrawe imadło. Obraz drga. Wyraz zaskoczenia i bólu na twarzy Oswalda izoluje go od pozostałych. Oswald jest sam, już gdzieś daleko, i jedyny nie zastanawia się, co się stało. Chwila zimnego bezruchu zaraz po wystrzale. A potem wszystko się rozpada.

Nie chciała tych ludzi w swoim domu..

Kamera nie pokazuje wszystkiego. Wydaje się, że słyca przekaz, że połknęła kilka klatek. Choć prosty i krótki, film jest nie do oglądania, za dużo w nim napuszonego wysiłku. Każda kolejna powtórka ujawnia nowe szczegóły. Tym razem Beryl widzi, że Jack Ruby ma w butonierce okulary w rogowych oprawkach. Oswald umiera tak samo.

Dlaczego powtarzają to i powtarzają? Czy jeśli puszczą film tysiąc razy, Oswald na zawsze zniknie? Beryl dobrze wie, czego chciał Ruby. Chciał tego człowieczka wymazać. Wykasować. Nie chciał ani go widzieć, ani słyszeć, ani o nim myśleć. Tak samo jak my wszyscy, Jack. My też chcemy go wymazać. Teraz już go nie ma, ale wcale nie jest lepiej.

Beryl zawsze podziwiała prezydenta Kennedy'ego. Uważała nawet, że miała osobisty udział w tym, że doszedł do władzy, że łączy ich coś w rodzaju wspólnoty terytorialnej, ponieważ jeszcze jako senator Kennedy mieszkał w kamienicy przy N Street, a więc praktycznie tuż za rogiem. Pragnęła, żeby śmierć Oswalda dała jej jakąś satysfakcję, coś zrekompensowała. Ale te wszystkie powtórki pogłębiały tylko i przedłużały cały koszmar. Były jak koszmar na koszmarze.

Nie chciała tu tych ludzi. Czuła się jednak moralnie zobowiązana do oglądania. Oni to puszczali, a ona oglądała. Wyciszyła dźwięk, bo płakała, słysząc głosy reporterów.

Płakała przez cały weekend, płakała i oglądała. Nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że ją namierzono. Ci mężczyźni byli w jej domu z tymi swoimi rewolwerami i kapeluszami. Obrazy z innego świata. Znaleźli ją, zmusili do oglądania i wcale nie przypominało to wycinków prasowych, które rozsyłała przyjaciółom. Czuła, jak do pokoju wlewa się przemoc, wlewa się i wlewa. Mężczyźni w ciemnych kapeluszach, mężczyźni w szarych kapeluszach z czarną wstążką, mężczyźni w brązowych stetsonach, w białych czapkach z błyszczącymi daszkami i odznakami. Mały człowieczek z gołą głową, który mówi „och” albo „nie”.

Po kilku godzinach koszmar stał się koszmarem mechanicznym. Puszczali film klatka po klatce, puszczali same cienie. Proces ten pozbawiał życia tych na ekranie, unieruchamiał ich w kadrze. Byli teraz ponadczasowi, identycznie martwi.

Larry katalogował wina w piwnicy.

Znowu się rozplakała. Miała ochotę wyczołgać się z pokoju. Ale coś ją tam trzymało. Pewnie Oswald. W jego twarzy było coś – może to zerknięcie w stronę kamery tuż przed wystrzałem –

co przenosiło go na widownię, między nas, tych dotkniętych bezsennością – zerknięcie, które mówiło, że Oswald wie, kim jesteśmy i jak się czujemy, które sprawiło, że zaczęliśmy postrzegać tę zbrodnię i interpretować ją tak samo jak on. Ta przebiegłość i inteligencja, spojrzenie niezwykle krótkie, lecz brzemienne w skutki: ten wybielony przez światło kontakt mówi, że Oswalda już tam nie ma, że ogląda to wszystko razem z nami. Właśnie to trzymało ją w pokoju, to i przeświadczenie, że ucieczka byłaby tchórzostwem.

Oswald komentuje ten dokument na żywo. A potem go zabijają, zabijają i zabijają, i na jego twarzy widać inny rodzaj świadomości. Zmusił nas do tego, że staliśmy się częścią jego umierania.

Powtarzali ten film aż do wczesnych godzin rannych. A Beryl siedziała tam i oglądała. Po raz dwudziesty zadzwonił telefon. Ani drgnęła. Wyraz bólu na twarzy Oswalda. W ten zimny weekend nie zamierzała odbierać żadnych telefonów.

25 listopada

Droga pięła się zboczem między dębami i chińskimi wiązami, zostawiając w dole upstrzoną nagrobkami podmokłą łąkę, a drogą tą, z absurdalnie majestatyczną prędkością, jechały samotnie dwa zakurzone radiowozy. Zatrzymały się na szczycie wzniesienia, przed ładną kaplicą z piaskowca, aby żałobnicy mogli wysiąść i w zorganizowany sposób dać upust smutkowi. Ale od razu widać było, że coś jest nie tak. Gdy tylko wysiedli, w łukowatych drzwiach pojawili się agenci tajnych służb i obsługa cmentarna z posępną dumą, z jaką urzędnicy niższego szczebla wypełniają znienawidzony obowiązek. Na wschodzie zaśpiewał wiatr znad rozległej przemysłowej równiny między Dallas a Fort Worth i Marguerite Oswald stanęła przed kaplicą: w czarnej sukni, w okularach w czarnych oprawkach, na rękach trzymała dziecko, wnuczkę, którą przed nią ukrywano, a na jej twarzy malował się wyraz bezradnego bólu. Bo ktoś odwołał nabożeństwo. Bo ktoś kazał wynieść ciało z kaplicy. Bo kaplica była pusta. Bo nie było w niej ciała.

Dzwonili do wielu duchownych, luterańskich pastorów, ale żaden z nich nie chciał odmówić modlitwy nad trumną Lee Harveya Oswalda. To dlatego z takim pośpiechem i zażenowaniem chcieli złożyć mego syna do grobu. Robert gorzko płakał, próbował namówić ich, żeby pozwolili wnieść trumnę do kaplicy, żeby choć przez chwilę powstała w świętym miejscu, żeby odprawili choć krótką mszę. Więc zainterweniowałam, mówiąc: „Skoro Lee jest zagubioną owieczką, a wy nie chcecie go w kaplicy, to znaczy, że kościół nie spełnia swojej roli. Dobrzy ludzie nie muszą chodzić do kościoła. Powiedzmy, że Lee jest mordercą. Przecież to właśnie mordercy potrzebują kościoła. Czyż nie tak naucza Jezus?” Tak się im spieszyło z pochówkiem Lee Harveya Oswalda, że zapomnieli powiadomić tych, co mieli nieść trumnę do grobu, i musieli ją dźwigać panowie z prasy. Mogłabym dużo opowiadać, wysoki sędzie. O rzeczach, o których wysoki sąd na pewno nie wie. Występuję w tej sprawie jako matka.

Mknące po niebie chmury. Drewniana trumna na katafalku nad otwartym grobem, betonowa krypta w dole, masywna i zabezpieczona przed wandalami – tysiąc lat spokoju. Rodzina siedziała na powyginanych metalowych krzesłach pod wyblakłym baldachimem. Robert Oswald między wdową i matką, a każda z nich z małą dziewczynką na kolanach. Reporterom wolno było się przyglądać, ale z daleka. Nie dopuszczono ani przyjaciół, ani sympatyków; nie żeby tłumnie walili na cmentarz. Wokół baldachimu stali agenci tajnych służb i umundurowani policjanci, wielu ze skrzyżowanymi na piersi rękami, przestępując z nogi na nogę, a wzdłuż cmentarnego płotu czuwali uzbrojeni strażnicy. Reporterzy żartowali, że Fort Worth lepiej zajmuje się Oswaldem martwym, niż zajmowało żywym. Robert próbował się nie załamać. Był poważnie wyglądającym mężczyzną o starannie przystrzyżonych włosach, koordynatorem sprzedaży, ciężko pracującym człowiekiem – robił wrażenie starszego i bardziej odpowiedzialnego niż jakkolwiek dwudziestodzieciolatek stąd do Texarkana, jakby to, że młody Lee wagarował, że uciekł z kraju, że wydalono go karnie z wojska, jakby to wszystko razem ubrało go w sztywny gorset życia.

Wysoki sędzie, nie potrafię stwierdzić, co jest prawdą w tej sprawie, odpowiadając po prostu „tak” lub „nie”. Muszę opowiedzieć całą historię. Chodzi o chłopca, któremu dokuczały inne dzieci. O te podarte, porozrywane koszule i zakrwawiony nos. Niech pan posłucha. Napiszę książkę o życiu Lee Harveya Oswalda. Jestem w posiadaniu związanych z tą sprawą informacji. Mówią o mnie na całym świecie. Miałam tak mało pieniędzy, że ledwo zdołałam wychować

synów, a teraz jestem wszędzie, w kronice filmowej i w zagranicznych gazetach, ale gdzie są fundusze na godziwy pogrzeb? W tych wszystkich opowieściach są inne opowieści, panie sędzio. Lee zbierał znaczki pocztowe i uczył się grać w szachy na kuchennym stole, a oni wysłali go do Rosji na przesłpiegi. Będę chodziła z aparatem fotograficznym i dokumentowała jego życie, robiła zdjęcia domów i pokoiów, w których mieszkał. Opowiem, jak musiałam pracować na kilku etatach naraz, żeby wychować moich chłopców, jak zostałam w końcu pielęgniarką. Wiem, jak wygląda choroba. Wiem, co to znaczy mało zarabiać. Pracowałam za dziewięć dolarów dziennie, na stałe przy rodzinie, na całodobowych dyżurach. Przez trzy dni nie zdejmowałam mundurka, bo ciągle wymykałam się z hotelu z tajną policją wszelkiej maści, z dziennikarzami z „Life’u” z tłumaczem, fotografem, rosyjską synową i dwiema chorymi wnuczkami. Marina stoi i zupełnie na widoku pali papierosa. Ja jestem w mundurku, a oni przynoszą jej ubranie. A wszędzie wiszą pieluchy. Telewizja dała znak i zastrzelili mojego syna. Nam nic nie powiedzieli, bo jesteśmy kobietami, ale kiedy przewozili nas samochodem do kolejnego hotelu, zaczęli mówić coś przez policyjne radio, a wtedy ten agent powiedział: „Nie powtarzaj tego, nie powtarzaj”. Ja na to: „Chodzi o mojego syna?” On milczy. „Zastrzelili mojego syna, prawda?” – pytam. A on swoje: „Nie powtarzaj tego, nie powtarzaj”. Wtedy powiedziałam: „Niech pan odpowie, chcę wiedzieć”. „Nie powtarzaj tego, nie powtarzaj” No, a potem, już w pokoju, pokazywali to w telewizji, ale Marina i ja nic nie widziałyśmy. Kazali nam usiąść za telewizorem, a ci wszyscy agenci stłoczyli się przed i oglądali. Telewizor stał tyłem do nas. A po drugiej stronie tłoczyło się piętnastu czy osiemnastu ludzi. Dali nam kawy i oglądali.

Przeżywam jego śmierć i bardzo mi ciężko.

Zamierzam zbadać tę sprawę i przedstawić wyniki. Ale nie potrafię streścić jej jednym prostym zdaniem. Jak miał dwa latka, a mieszkaliśmy wtedy przy Pauline Street, to wróciłam kiedyś do domu i zobaczyłam czerwone pręgi na jego nogach, bo pani Roach go zabiła, więc umieściłam go z braćmi w domu opieki i spali tam razem w takiej wielkiej, długiej sypialni, rzędy i rzędy łóżeczek, a w tych łóżeczkach stu małych chłopców. Zanim skończył dziesięć lat, dziesięć razy zmieniał szkołę. Tamci powiedzą pewnie, że to czynniki środowiskowe, że nic, tylko przeprowadzaliśmy się z domu do domu. Panie sędzio, mieszkałam w wielu miejscach, ale nigdy w brudzie, nigdy w nieporządku, nigdy bez ciepłego, osobistego akcentu, bez drobnej choćby ozdoby. Przeprowadzaliśmy się, żeby scalić rodzinę. Taki będzie temat moich badań.

Ja się uśmiecham, panie sędzio, jak przystało na matkę, która musi czytać te nieprawdziwe rzeczy, jakie wypisują o moim synu. Lee był szczęśliwym dzieckiem. Lee miał psa. Kiedy mieszkaliśmy na Collinwood Avenue, poszedł do ogólniaka w Arlington Heights i chociaż chodził tam tylko miesiąc, bo zaraz potem wstąpił do piechoty morskiej, w albumie szkolnym są trzy jego zdjęcia. To ja się pytam: dlaczego ze wszystkich uczniów i uczennic wybiera się do zdjęć chłopca, który był tam tak krótko? Ludzie mówią: „Pani Oswald, ale o co pani chodzi?” Nie rozumiecie? Chodzi o to, że jak się to wszystko zaczęło, to potem trwało już i trwało. Kiedyś włąził z lornetką na dach, żeby popatrzeć na gwiazdy, a oni wysłali go do Rosji z jakąś misją. W Lee Harveyu Oswaldzie kryje się coś więcej. Już teraz kradną mi dokumenty. Jeden z tych tajnych policjantów ukradł mi z domu wycinki prasowe. Mówią o mnie na całym świecie, a oni szperają w moich aktach.

Przyszedł pastor, który zgodził się powiedzieć kilka słów nad grobem. Był wyższym urzędnikiem w Radzie Kościołów i od ośmiu lat nie odprawił ani jednego nabożeństwa. Chciał pomóc, chociaż zostawił Biblię w samochodzie. Kiedy grabarz otworzył trumnę, Marina Oswald pocałowała męża i włożyła mu dwie obrączki na palce. Była w czarnej sukience i jasnym płaszczu: ona szlochała, dzieci płakały, a ochroniarze przestępowali z nogi na nogę i patrzyli w niebo. Marina pomyślała: jakie to dziwne, że kiedy Chruszczów odwiedził Mińsk, gdy mieszkała

tam razem z Lee, po mieście krążyły uporczywe plotki o próbie zamachu na jego życie. Gdyby to był Lee i gdyby go złapano, na pewno nic by mu się nie stało. Jedno trzeba Rosjanom przyznać: potrafią pilnować podejrzanych. Te wymuszone chwile nad grobem były dopełnieniem osamotnienia, gdyż teraz pozostały jej tylko sny. Sny, które przez lata będą niekompletne, bez tego słodkiego Aleka sprzed lat, bez jego zabaw z June Lee, bez godzin, które potrafił przesiedzieć, patrząc na córkę.

– Boże otwartego nieba i nieskończonego wszechświata – powiedział pastor.

Została sama z dwojgiem małych dzieci pod tymi niesionymi przez wiatr chmurami, była skurczonym ze smutku wyrzutkiem z motelu, gdzie mieszkała z dwunastoma uzbrojonymi mężczyznami. Próbowwała zrozumieć, jak to się stało.

A teraz o Marinie jako Rosjance albo Francuzce. To zdumiewające, jak po śmierci męża poprawił się jej angielski. To zdumiewające, że nagle ma w rękę papierosa, czego za życia Lee nigdy nie widziałam. Przyjrzę się jej dokładniej i sprawdzę, czy to wszystko prawda. Mam szósty zmysł, panie sędzio. Umiem postrzegać pozazmysłowo, nie ja jedna to zauważyłam. Więc skoro Lee Harvey Oswald zastrzelił prezydenta, to dlaczego o tym nie wiedziałam? Każda matka zna to uczucie, kiedy dzwoni telefon, a ona wie, że to jej syn. Więc dlaczego nie wyczułam, że kiedy padły strzały, Lee stał w tym oknie z karabinem w ręku? Bo nawet jak miał karabin, to wcale nie znaczy, że strzelał. Będę chodziła z aparatem fotograficznym. Dokładnie sprawdzę, co i o której tego dnia robił. Nie ustane, bo w tych opowieściach są inne opowieści, o których prasa nic nie wie. Marina zna angielski, Marina zna francuski. Tę cudzoziemkę wyszkolono. Przynosili jej ubrania. Czytałam w gazecie, że jakaś kobieta zaproponowała jej dom. Chcą, żeby wzięła na siebie jego winy i znajdą dla niej dom. Robert cały czas stoi po stronie tajnej policji. Nasze zeznania się nie zgadzają. To bolesne dla rodziny. Zapominam o wielu rzeczach, wysoki sędzie. Lee miał rower. Lee miał psa. Zastrzelono go, gdy był skuty ze stróżem prawa. Ktoś zapłacił, żeby zabito go w odpowiednim momencie. Ci z telewizji dali znak i było po nim. We wszystkim tym, o co walczę, jest problem moralny. Otwierają moją korespondencję. Z biurka zginęły mi trzy listy. Lee pisał do mnie z Rosji: „Brakuje mi książek”. W tym liście dziękuje mi za książki, które mu wysłałam. Prosi mnie. Pyta o wieści z kraju. I właśnie ten list zginął. Nasz rząd obserwował go od lat. Czy Lee w ogóle wiedział, że go wykorzystywano? Postaram się to zbadać. Niech pan posłucha. Muszę to opowiedzieć. Muszę wrócić do czasów, kiedy mieszkaliśmy we francuskiej części miasta. On znał na pamięć regulamin Roberta. Lubił czytać i oglądać mapy. Oficer werbunkowy powiedział tak: „Pani Oswald, w Japonii i w tych innych krajach jest mniejsza przestępczość niż tutaj”. Oszukał mnie. Lee miał wtedy szesnaście lat, był niepełnoletni, a on chciał wziąć go podstępnie do wojska. Przygotowywali go. Już wtedy go wykorzystywali. Trzy zdjęcia w szkolnym albumie, a on był tam tylko miesiąc. Ludzie pytają: „Pani Oswald, ale o co pani właściwie chodzi?” Chodzi o to, jak długo to trwało. Kiedy zaczęli go obserwować. Czy miał należeć do nich do końca życia. Chodzi o tego chłopca w trumnie, bo co z nim? Chodzi o Lee, który w garniturze i krawacie zupełnie nie przypomina tego stracha na wróble w gazetach i telewizji, tego barczystego Rosjanina o szerokiej twarzy. Czy ten, którego pochowali, i ten, którego zabili, to jedna i ta sama osoba? Czy naprawdę go zabili? Czy Lee, który wrócił z Rosji, to ten sam Lee, który tam wyjechał? Mam prawo zadawać te pytania. Ile miał wzrostu? Jakie miał blizny? Podniosę te kwestie w mojej książce i moich wystąpieniach.

W lipcu 1960 roku, kiedy mój syn przepadł w Rosji, napisałam do pana Chruszczowa. Nie otrzymałam odpowiedzi. 21 stycznia 1961 roku pojechałam do Waszyngtonu, bo chciałam prosić prezydenta Kennedy’ego, żeby znalazł mojego syna i sprowadził go do domu. A oni piszą... niech pan zaczeka, to jest dobre... a oni piszą, że zaniedbywałam ich jako matka. Że zostawiłam moich synów samym sobie. Że pojechałam aż do Nowego Jorku tym starym, rozklekotanym

dodge'em. Że nigdzie nie mogłam zagrać miejsca. Tymczasem prawda jest taka, że to matkę zaniedbywano. Jeśli przyjrzeć się życiu Jezusa, od razu widać, że gdy tylko wstał z grobu po ukrzyżowaniu, Maria zniknęła z zapisów. Gdzie jest matka, która go wychowała? Czy po śmierci syna matkę też zamykają w trumnie? Grałam na pianinie ze słuchu. Byłam lubianym dzieckiem. Trzymajmy się faktów. Życie człowieka to wiele historii. Ot, choćby Ekdahl, który oszukał mnie na ugodzie rozwodowej, tak że musiałam biedować. Ekdahl to też historia. I Marina, zwłaszcza że niektóre szczegóły się nie zgadzają. Uważam, że moje podejrzania są słuszne. Jej zeznania, sposób jej życia, to, że pali, że nie karmi piersią dziecka. Marina ma menażera. Ma mnóstwo różnych propozycji, ale gdzie jest matka? „Life” zamieścił moje zdjęcie, jak zdejmuję pończochy. Cierpię tak samo jak mój syn. Jesteśmy podobnej konstrukcji.

Powoli zapadał zmierzch i na obrzeżach nisko płynących obłoków, ciemnych i zbitych, pojawił się burzowy poblask, na niebie zaś niepokój, naelektryzowana dzikość. Pastor skończył czytać psalm i przedsiębiorca pogrzebowy zaczął przygotowywać trumnę do opuszczenia. Policjanci nieśmiało poprawili pasy z bronią. Rodzina stała i patrzyła. Robert i Marina mieli podobny wyraz twarzy, łagodny, zagubiony i błagalny. Niech będzie inaczej, niechaj się odstanie, daj mu jeszcze jedną szansę, jeszcze jedno życie. Na twarzy Marguerite, która miała na rękach małą Rachelę, malowała się rozpacz tak wielka, jakby była to jedyna rzecz, jaka jej pozostała, wszystko to, co miała i kim była, wszystko to, co dała i co powróciło do niej w tym leżącym w trumnie garniturze, sama rozpacz i ruina, zdruzgotana dusza. Podała dziecko pastrowi i zasłoniła rękami twarz, nie dotykając jej, tylko ją obejmując, chroniąc tę chwilę przed wszystkimi zewnętrznymi zgryzotami.

Składali jej najmłodszego syna do czerwonej teksańskiej gliny, dla bezpieczeństwa grzebiąc go pod innym nazwiskiem, pod ostatnim przybranym nazwiskiem, jakiego używał. William Bobo.

Marina podeszła bliżej i podniosła garść ziemi. Zrobiła znak krzyża, wyciągnęła rękę i posypała ziemią trumnę. Marguerite i Robert nigdy czegoś takiego nie widzieli. Gest był porywająco piękny. Dziwny, wyrafinowany i na swój sposób prawdziwy. Odkąd Robert był małym chłopcem, w niczym się ze sobą nie zgadzali, lecz teraz pochylili się razem nad kopcem, przeżegnali, wzięli trochę ziemi, podnieśli ją do góry w zaciśniętej pięści i rozluźnili palce, a wówczas ziemia, niczym piasek w klepsydrze, posypała się na sosnową trumnę.

Stoję na tej przesiąkniętej rozpaczą ziemi, patrzę na kamienne nagrobki, na to falujące pole śmierci, na kaplicę na wzgórzu, na gnące się na wietrze cedry i wiem, że pogrzeb powinien pocieszyć rodzinę dostojnością ceremonii i otoczenia. Ale mnie nie pocieszył.

Za dawnych czasów, gdy mężczyźni się wzajemnie zabijali, kobiety musiały stać nad ich grobem. Ale mnie stanie nie zadowala, panie sędzio.

Sprawdzę, co robił tego feralnego dnia. Przepytam wszystkich świadków. I nie mówię tego, żeby tylko mówić. Wiem, że jako oskarżona matka muszę stawić czoło faktom. Niech pan posłucha. Wie pan, że chodziłam do biblioteki na kurs rosyjskiego? Raz w tygodniu, jak wracałam z pracy, bo miałam nadzieję, że któregoś dnia Lee się do mnie odezwie, że będę mogła normalnie rozmawiać z Mariną. Niech pan posłucha. Niech pan posłucha. Nie mogę żyć z datków, darów i jałmużny. Marina podpisała umowę, ma kogoś, kto napisze za nią książkę. Nie chciała nosić szortów, które jej kupiłam. A w niedzielę to on nie był nawet spakowany, tam, w Fort Worth, a już nazajutrz wyjechał z żoną i dzieckiem do Dallas, tak z dnia na dzień, nie uprzedziwszy ani swego byłego pracodawcy, ani własnej matki. Dostał pracę w fotografii, przy takich niewyraźnych zdjęciach. Ciekawe. Kto ułożył życie Lee Harveyowi Oswaldowi? I tak to jest, to jest jeden ciąg zdarzeń. Miał kolekcję znaczków. Pływał w Y. Widywałam go na Ewing Street z mokrą głową. Szybciutko do domu, skarbie, bo przeziębisz się na śmierć. Nie jestem

doskonała, ale jakoś dawałam sobie radę, wysoki sędzie. Wiele godzin przepracowałam w porządnym domu. Widziałam, jak jeden taki dżentelmen bije na moich oczach żonę. W takich domach dochodzi czasem do zbrodni. Ten chłopak i jego rosyjska żona nie mieli tu ani telefonu, ani telewizora. To kolejny mit. Niech pan posłucha. Nie umiem wymieniać suchych faktów. Muszę opowiedzieć całą historię. Raz wrócił do domu z klatką, w której była poprzeczka i doniczka. W doniczce rosło dzikie wino. Była doniczka z dzikim winem, była klatka, była papużka i pokarm dla papużki. Ten chłopiec kupował prezenty dla swojej matki. I łaknął książek.

Moim jedynym wykształceniem jest moje serce. Muszę rozpracować to po swojemu, poczynając od dnia, kiedy przyjechałam z nim do domu z Old French Hospital w Nowym Orleanie. Opowiadałam o czymś życiu, na to potrzeba czasu.

Włosy miała jasne i dziwne w tej jaskrawej poświacie. Spadły pierwsze krople deszczu. W tych ostatnich chwilach nad grobem wciąż byli rodziną. Jednakże wiedziała, że gdy tylko ruszą w stronę samochodów, agenci tajnych służb oddzielą ją od pozostałych. Pomyśl o pustce samotnego powrotu do domu. Pomyśl, że już nigdy nie zobaczysz dzieci. Była pewna, że rozpętano przeciw niej kampanię wiecznej izolacji. Przedsiębiorca pogrzebowy wziął ją pod ramię i coś wymamrotał. Zabrała rękę. Rodzina zbiła się w grupkę pod parasolami agentów, idąc powoli do samochodów. Marguerite została z grabarzami. Chciała, żeby zasypali grób, zanim deszcz przybierze na sile, więc usilnie pracowali, trzech mężczyzn metodycznie przerzucających ziemię. Podeszło do niej dwóch miejscowych policjantów. Podeszli agenci tajnych służb, o martwych, ciemnoszarych twarzach. Mimo to nie ruszyła się z miejsca. Popełniła błąd, oddając dziecko pastorowi. Dopóki miała dziecko, wciąż należała do rodziny. Odebrali jej najmłodszego syna, a teraz odbierali synową i dwie małe wnuczki. Poczula, że nogi ma jak z waty. Baldachim załopotał na wietrze. W ciele i duszy czuła pustkę. Ale gdy prowadzili ją od grobu, usłyszała, jak imię jej syna wypowiadają dwaj chłopcy stojący piętnaście metrów dalej, którzy przyszli tu, żeby wziąć z grobu grudkę ziemi na pamiątkę. Lee Harvey Oswald. Zabrzmiało to jak tajemnica, której zamierzali strzec po wsze czasy. Zobaczyła, jak odjeżdża zakurzony radiowóz, zobaczyła zarys głów w oknach. Podeszła z policjantami do drugiego samochodu, gdzie stał przedsiębiorca pogrzebowy z parasolem, przytrzymując dla niej drzwiczki. Lee Harvey Oswald. Bez względu na to, co się stało, bez względu na to, jak zaciekle przeciwko niej knuli, tego jednego jej nie odbiorą: prawdziwej i nieprzemijającej potęgi jego nazwiska. Teraz należało do niej i do historii.